



Diana Abu-Jaber



PÓŁKSIEŻYC

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Niebo jest białe.

Niebo nie powinno być białe, bo minęła północ, ale księżyc jeszcze się nie pojawił, a nie jest równie czarne i pradawne, jak noc w Bagdadzie. Jest ciemna i pachnąca niby wiszące ogrody wymarłej Chaldei, ciemna i cicha na podobieństwo nocy w najwyższej komnacie spiralnej wieży Babel.

Lecz jest białe, ponieważ biel to kolor wybuchających pocisków. Tych, które przybywają zza rzeki, ponad polami, z drugiej strony niewidzialnej granicy, z innego starożytnego kraju, zwanego Iran. Rakiety są tak blisko, że czasem może usłyszeć ostrzegawczy świst, nim eksplodują. Te, które wybuchają na niebie, rozrzucają wielkie, okrągłe kwiaty kolorów, spirale ognia. Ale te, które eksplodują na ziemi, zmiatają wszystko — wyrzucają rozbryzgi płomieni, pędzące po ziemi niby elektryczne węże. Oświetlają osły przy wodopoju i sprawiają, że ich cienie rozciągają się na sto metrów. Rozjaśniają każde źdźbło trawy, każdą jaszczurkę i każdy daktyl; przeszywają prądem drzemiące palmy i zapalają ogień na najdalszych górach — tych, które wuj nazywa Krainą Na. W ich blasku twarz siostry lśni niby żółty kwiat, a woda płynąca z kranu wygląda, jakby fosforyzowała. Rzucają skry na dachy najwyższych zachodnich gmachów i kręgi światła na minarety i świątynie. Świszczą w sadach i wyrzucają w powietrze całe akry drzew oliwnych.

Rozświetlają rzekę Eufrat, burzą ściany starych kościołów, starożytnych synagog, tajemniczych, rozsypujących się posągów starszych niż księgi, pomników bogów, którzy stracili imiona, a pradawne mury rozpuszczają się w falach uderzeniowych niby kurz.

Do końca odbierają sen. Na całe lata.

Za miastem chłopiec leży w łóżku. Wciąż nie śpi. Próbuje się uspokoić, recytując wiersz:

Wiedz, że świat to zwierciadło od stóp aż do głów,

W każdym atomie sto płonących słońc,

Jeśli pochwycisz serce jednej kropli wody,

Wyplynie nieskalanych oceanów sto.

Daleko, daleko stąd, po drugiej stronie miasta, w głębi śródmiejskiej nocy, za Hotelem Wschodnim, gdzie zatrzymują się wszyscy cudzoziemcy, jest basen okrągły niby księżyc. Kobieta o białej skórze czeka tam na niego w fosforyzującej wodzie. Chłopiec wie, że bomby nie wdarły się w noc ponad basenem, bo nic nie może się przedostać do świata jasnowłosych kobiet o pomalowanych paznokciach, z błyszczącymi włosami i lśniącą skórą. Stoi w płytkim krańcu basenu, zanurzona po uda, bez ruchu, i czeka, żeby do niej przyszedł. Ma włosy koloru ognia i oczy koloru nieba, a basen to okrągły księżyc nad Bagdadem. Chłopiec leży w swojej sypialni po drugiej stronie miasta, śniąc na jawie. Jest prawie dzieckiem, ale od lat nie spał głęboko. Ona może go wysłać w inne miejsce, daleko od nowego prezydenta, aż na drugi koniec świata, tam, gdzie nie będzie już musiał patrzeć na bezsenność brata i siostry, gdzie nie będzie musiał liczyć bicia własnego serca, oddechów, uderzeń pulsu w powiekach. Gdzie nie będzie czuł smaku żelaza w ustach, dzwonienia w uszach, mrowienia stóp i dłoni, gdzie żołądek nie będzie mu się kurczył na warkot, który wdarł się do wnętrza jego ciała. W najgłębszej głębi serca chłopiec boi się, że ten warkot nigdy go nie opuści.

Stryj jest w pokoju wyobrażonych książek. Wszystko pachnie książkami — to zapach zapomnianych wspomnień. Stryj nazywa to biblioteką wyobrażonych książek, ponieważ nigdy żadnej z nich nie przeczytał. Zdobywał je jednak po piwnicach i strychach znajomych, na przeprowadzkowych wyprzedazach i we wdowich zakamarkach, w całym Culver City, zachodnim Hollywood, Pasadenie, Laurel Canyon, wybierając książki dla ciężaru i skórzanej oprawy. Same strony nie mają znaczenia.

— Jeżeli będziesz grzeczna — mówi do swojej trzydziestodwuletniej bratanicy Sirine — tym razem opowiem ci wszystko do końca.

— Zawsze mówisz, że jestem za młoda, żeby wysłuchać wszystkiego do końca — odpowiada Sirine. Odcina kawałek skórki cytrynowej, żeby wrzucić do kawy stryja. Jest błękitnie biały przedświt, a oni już nie śpią. To chroniczne, oboje zawsze wstają wcześniej i wciąż są niewyspani.

Stryj spogląda na nią znad okularów. Wąskie owale zjeżdżają mu z nosa, próbuje je wcisnąć z powrotem na miejsce.

— Tak mówię? Ciekawe czemu. To ile teraz masz, już z pół wieku?

— Trzydzieści dziewięć lat. I pół. Stryj lekceważąco macha palcami.

— Za młoda. Zachowam najsmakowitsze kawałki, póki nie będziesz miała pół wieku.

— O jejku, doczekać się nie mogę.

— Właśnie, tacy są młodzi. Nikt nie chce czekać. — Uroczyście upija łyk kawy i kiwa głową. — A więc oto niepouczająca historia Abdelramana Saladyna, najulubieńszego z moich kuzynów, którego nieuleczalnym nałogiem było sprzedawanie się w niewolę i udawanie własnego utonięcia.

— Zapowiada się na długie — wtrąca Sirine. — Czy ja już tego nie słyszałam?

— To jest dobra, krótka historia, Panno Szybka Amerykanko. To jest opowieść o tym, jak kochać — odpowiada stryj.

Sirine kładzie dłoń na swoich nieposłusznych włosach, przymyka oczy.

— Znowu się spóźnię do pracy.

— Tak to jest: cały świat spóźnia się do pracy, i jeszcze wszystkie krany przeciekają, i co można na to poradzić? A więc zaczyna się. — Stryjek sadowi się w pozie opowiadacza bajek, z łokciem na kolanie, dłonią dotykając brwi. — Abdelraman Saladyn był człowiekiem wrażliwym. Nigdy nie zapominał o kąpieli przed modlitwą. Czasami klękał na plaży, czyniąc piasek swoim modlitewnym dywanikiem. Miał tylko jedną skazę.

Sirine mruży oczy.

— Czekaj chwilę... mówiłaś, że to opowieść o tym, jak się zakochać. Będzie w niej w ogóle jakaś kobieta?

Stryj odchyła głowę do tyłu, unosi brwi, mlaska językiem. Znaczy to „nie” albo „zaczekaj”, albo „niemądra”, albo „ty nic nie rozumiesz”.

— Uwierz mi na słowo — mówi. — Miłość i modlitwa są nierozdzielnie złączone. — Wzdycha. Po czym podstępnie rzuca: — A słyszałem, że Profesor Przystojny był wczoraj u ciebie i jadł twoje tabule. Znowu.

Stryj kolejny raz mówi o Hanifie Al Eyadzie, nowym nabytku Wydziału Studiów Wschodnich na uniwersytecie. Hanif cztery razy był w restauracji, odkąd kilka tygodni temu przyjechał do miasta, a stryj raz po raz przedstawia go Sirine, bez końca powtarzając ich imiona:

— Sirine, Hanif. Hanif, Sirine.

Sirine pochyla się nad deską do krojenia, którą oparła sobie na kolanach, i przytrzymuje cytrynę.

— Naprawdę nie mam pojęcia, kogo masz na myśli.

— Jest fantastyczny, cały w muskułach, a ramiona ma jak... jak cadillac, a twarz... sam już nie wiem. — Stryj gestykuje obiema rękami.

— No, jeżeli ty nie wiesz, to ja tym bardziej nie — stwierdza Sirine, krojąc plasterki cytryny.

Stryj wyciąga się w swoim wielkim niebieskim fotelu.

— Nie, naprawdę, to nie do uwierzenia, mówię ci, on wygląda jak bohater. Jak Odyseusz.

— To ma być zachęcające?

Stryj pochyla się i bierze do ręki niepokrojoną połówkę cytryny, wacha i nadgryza koniec.

— Nie wiem, jak ty to robisz — mówi Sirine.

— Gdybym był dziewczyną, szalałbym za Odyseuszem.

— Niby jak wygląda Odyseusz? Głowa posągu bez oczu?

— Nie — z oburzeniem odpowiada stryj. — On ma oczy.

— Nadal nie jestem zainteresowana.

Stryj marszczy twarz, popycha okulary w górę, a one znowu zjeżdżają.

— Sama wiesz, że skoro masz pięćdziesiąt dwa lata, to znaczy, że ja mam osiemdziesiąt cztery...

— Tylko że ja mam trzydzieści dziewięć.

— I niedługo mnie tu nie będzie. Na tej planecie. Sirine wzdycha i spogląda na niego.

— Chciałbym tylko zobaczyć cię z kimś miłym i czarującym i tak dalej. To wszystko.

Grill w pracy jest tak szeroki, że Sirine musi stanąć na palcach, żeby dosięgnąć do krańca. Z pręta nad głową zwisają błyszczące garnki, a lśniące noże układają się w magnetyczny szereg. Sirine ma ręce poznaczone czerwonymi strużkami oparzeń. Kiedy się pochyla, żeby wyszorować ruszt, czuje, jak jego zapach przenika jej włosy i ubranie. Nawet pod koniec wolnego dnia wyczuwa smugi tego zapachu, kiedy odwraca głowę. Promiennik lśni rubinowym blaskiem, z pieca unoszą się opary i wszędzie słychać mruczenie wentylatorów.

Nadia's Café jest podobna do innych takich miejsc, zatłoczona w porze posiłków, cicha przez resztę dnia, ale zwykle trwa tu rozmowa, arabskie frazy krążą wokół Sirine, napełniają jej głowę miodopłynnymi głosami. Zawsze są tutaj te same grupki studentów z uniwersytetu, do którego idzie się w górę ulicy. Wciąż tacy samotni, z szarym zagłębieniem smutku na szyi, szaroniebieskim pyłem dla żon i dzieci, które zostały w kraju, albo dla amerykańskich kobiet, których nie poznali. Arabskie rodziny zwykle trzymają córki w bezpiecznym domu. Nieliczne

kobiety, którym się udaje wyjechać do Ameryki, to pilne studentki — uczą się w bibliotece i same sobie gotują, a tylko mężczyźni spędzają czas na dyskusjach i samotności, na picciu herbaty i zagadywaniu Um-Nadii, Mireille i Sirine. Zwłaszcza Sirine. Przepadają za jej potrawami, smaki przypominają im dom, ale uwielbiają też przyglądać się Sirine z jej skórą tak białą, że aż niebieskawą jak rozlane chude mleko, z czupryną dzikich jasnych włosów, z morskozielonymi oczyma. Ma najgorsze dla kucharza włosy, skręcone pnącza, okrywające całe ramiona, czuprynę, która broni się przed kucykami, wstążkami i warkoczami. Jest taka dobra, ma łagodny głos, a jej potrawy są tak smaczne, że studenci nie mogą nic na to poradzić — siedzą przy stołach i wychylają się w jej stronę.

Um-Nadia, szefowa i właścicielka lokalu, zwykle dotrzymuje studentom towarzystwa, opierając biodro o krzesło któregoś z nich. Nosi kwiecistą różową podomkę wyciętą w głębokie V — nic, tylko miękki biust, kołyszące się złote koła i za małe klapki na wysokim obcasie — a wokół niej kręcą się jej córka Mireille, Victor Hernandez, młody meksykański pomocnik beznadziejnie zakochany w Mireille, Cristobal, dozorca z Ameryki Środkowej, i szef kuchni, czyli Sirine.

— Raj — lubi mawiać Um-Nadia. — To życie na ziemi to raj, gdybyśmy tylko o tym wiedzieli. — Sirine słyszała to tyle razy, że umie to powiedzieć po arabsku.

Victor Hernandez, który wygląda trochę jak niski, meksykański Anthony Hopkins, uśmiecha się i unosi brwi ku Mireille. Mireille odwraca wzrok i marszczy się w stronę lodówki.

Dziewięć lat temu, w roku 1990, restauracja należała do egipskiego kucharza i jego żony. Nazwali ją Falafel Faraon. Cieszyła się powodzeniem wśród zabiedzonych studentów uniwersytetu, którzy Piątkowym Zestawem Falafel urozmaicali swą zwykłą dietę, złożoną z burrito, chińskich naleśników i hamburgerów. Ale kiedy iracki prezydent Saddam Husajn w 1991 roku wkroczył do Kuwejtu, Amerykanie zaczęli ostrzeliwać Irak. I nagle wśród studentów w podkoszulkach i džinsach lub szortach i pośród garstki bliskowschodnich chudzielców z uniwersyteckiej wymiany międzynarodowej ubranych w ciasne portki, którzy szybko odkrywali, że falafel faraona smakuje całkiem inaczej niż w domu, pojawili się dwaj dojrzały mężczyźni w garniturach. Codziennie siadali przy kontuarze i zapisywali coś w notesach. Nic innego nie robili — zerkali na studentów z Bliskiego Wschodu i notowali. Tych dwóch mężczyzn otaczała chłodna, nieprzenikniona ściana, oddzielająca ich od wszystkich innych i rosnąca z każdym dniem, gdy tak siedzieli, popijali kawę i cicho mówili coś do siebie. Ludzie zaczęli szeptać: CIA. Stopniowo studentów coraz mniej przyciągały specjalne zestawy i kolorowy afisz, wy-

wieszony od frontu. Interes zaczął podupadać, a potem upadać zupełnie. Pewnego dnia, po miesiącu siedzenia przy barze, dwaj mężczyźni wzięli kucharza na bok i spytali, czy wie coś o terrorystycznych spiskach, zawiązywanych w arabsko-amerykańskiej społeczności. Oczy biedaka zrobiły się okrągłe, a ręce śliskie od potu i kuchennego tłuszczu. Ścisnął łopatkę do bólu dłoni. W ciemnym szkłe okularów jednego z obcych mężczyzn dostrzegł podwójne odbicie swojej przerażonej twarzy. W życiu nie słyszał czegoś podobnego. Lubili z żoną oglądać wieczorami *Colombo* — tylko tyle wiedział o spiskach i zbrodni. Wydawało mu się, że mieszka w Ameryce. Tego wieczoru zadzwonił do swojej libańskiej znajomej Um-Nadii, która kiedyś prowadziła uliczną knajpkę w Bejrucie, i zapytał, czy nie chciałaby kupić restauracji, tanio, a ona odpowiedziała: pewnie, czemu nie?

W następnym miesiącu Um-Nadia znalazła Sirine, razem zdrapały ze ścian lata żółtego tłuszczu i otworzyły lokal na nowo, z jadłospisem, który głosił: „Prawdziwe autentyczne arabskie jedzenie”. Dwaj mężczyźni w przeciwsłonecznych okularach sumiennie wrócili na barowe stołki, ale Um-Nadia, która twierdziła, że w Bejrucie widywała gorsze rzeczy, przegoniła ich z lokalu, machając kuchenną ścierką.

Um-Nadia mawia, że samotność Araba jest straszliwa i wszechogarniająca. Tkwi pod jego sercem jak mały cień już wtedy, gdy kładzie głowę na kolanach matki. Kiedy Arab opuszcza swój kraj, samotność zagraża, że połknie go całego, choćby się ożenił, podróżował i gadał z przyjaciółmi dwadzieścia cztery godziny na dobę. Sirine podejrzewa, że Arabowie wszystko odczuwają w taki sposób — uczucia tak wszechogarniające, jakby dotykały nieba. I czasami, leżąc bezsennie w środku nocy, nocy chłodnej i smakowitej jak palmowe serce albo malutki kebab z kurczaka, Sirine rozpoznaje to samo uczucie, tętniące we własnej krwi. Lecz zarazem urodziła się z wytrwałą cierpliwością, z darem życia wyłącznie w głębi swojego ciała, darem zaprzestania myślenia, darem pracy, prostego istnienia w najzwyklejszych czynnościach, jak siekanie cebuli czy mieszanie w garnku.

Sirine nauczyła się profesjonalnie gotować, pracując jako pomocnica kucharza, a potem zastępczyni szefa kuchni na zapleczach restauracji specjalizujących się w potrawach francuskich, włoskich i kalifornijskich. Ale kiedy przeniosła się do Nadia's Café, przejrzała stare przepisy rodziców i zaczęła gotować swoje ulubione, choć niemal zapomniane dania z dzieciństwa. Czuliła się, jakby wracała do rodzicielskiej kuchenki i do swoich najwcześniejszych wspomnień.

I klienci wkrótce powrócili do restauracji, tylko że tym razem było wielu studentów z wymiany i bliskowschodnich imigrantów. Wcześniej rano Sirine wałkowała ciasto w swojej otwartej kuchni i dyskretnie zerkała na studentów, którzy popijali kawę, czytali gazety i sprzezcali się. Wszystko w tych młodych chłopcach robiło wrażenie delikatności i wrażliwości: ich gęste, podwinięte rzęsy, miękko zaokrąglone nozdrza i pełne wargi, twarze i ciała zwrócone w dal.

Czasem przebiegała salę wzrokiem, przywołując wyraz „terrorysta”. Ale kiedy rzucała spojrzenie na twarze, wracały do niej tylko słowa „samotny” i „młody”.

Czasem zdarzało się, że student zasiedziało się przy kontuarze, rozmawiając z Sirine. Opowiadał jej, jak boleśnie być emigrantem, choćby tego właśnie pragnął przez całe życie, a czasem szczególnie wtedy, gdy pragnął tego przez całe życie. Amerykanie, mówił jej, nie mają czasu ani miejsca na taką przyjaźń, z piciem kawy i rozmowami trwającymi całe dni, za jaką tęsknili arabscy studenci. Dla wielu z nich restauracja była skrawkiem domu.

W Nadia's Café telewizor, przechylony w kącie nad kasą, jest na stałe nastawiony na ogólnoarabską stację z wiadomościami z Kataru, rewiami i telezakupami z Kuwejtu, nie kończącymi się egipskimi filmami, beduińskimi telenowelami po arabsku i amerykańskimi telenowelami z arabskimi napisami. W grupie stałych bywalców każdy ma ulubiony program i ulubione danie. Siadają zawsze przy tych samych stolikach, tak niezmiennie, jakby zostali do nich przydzieleni. Są tam Dżenub, Gharb i Szmaal — studenci inżynierii z Egiptu, Shark, student matematyki z Kuwejtu, Lon Hayden, szef wydziału badań bliskowschodnich, Morris, właściciel stoiska z gazetami, Raphael-z-New-Jersey, Jay, Ron i Troy ze stowarzyszenia Kappa Cośtam Cośtam, Oda, turecki rzeźnik, i jego liczni synowie. Są dwaj amerykańscy policjanci, czarny i biały, którzy codziennie przychodzą do restauracji, zamawiają fasolowy sos fawa i soczewicę smażoną z ryżem i cebulką i dali się bez reszty wciągnąć w intrygi beduińskich telenowel z ich odwiecznymi krwawymi waśniami rodowymi, wyrodnymi dziećmi i plemiennym honorem. Są studenci, którzy przychodzą, jakby wypełniali religijny obowiązek, niemal każdego dnia przez całe lata zjawiają się z gazetami przy barze, aż pewnego dnia zdają końcowy egzamin i znikają, i słuch o nich ginie. I wreszcie są tacy, którzy nigdy nie zdają końcowego egzaminu.

Mimo że Nadia's Café mieści się w środku irańskiej dzielnicy, wśród klientów jest niewiele Irańczyków. Po długiej, zaciętej wojnie między Irakiem i Iranem niektórzy z sąsiadów Um-Nadii odmówili wchodzenia do restauracji z powodu Sirine, iracko-amerykańskiej szefowej kuchni. Jednak Kurosz, perski właściciel Victory Market wyżej przy tej samej ulicy, poja-

wił się w pierwszym dniu pracy Sirine, oświadczając, że w imieniu Irańczyków jest gotów wybaczyć Irakijczykom. Kiedy zobaczył jasnowęsą Sirine, stanął z otwartymi ustami, a po chwili wydusił z siebie:

— Patrzcie no, co to się udało wydać Irakowi!

Spytał Sirine, czy umie przyrządzać jego ulubiony perski specjał koreszt fessendżan, gulasz z orzechami włoskimi i granatem, a kiedy obiecała, że się nauczy, jeszcze tego samego dnia wrócił, przynosząc jej drzewko granatu w doniczce.

Sirine spina włosy z tyłu, ale one i tak zwisają na wszystkie strony wilgotnymi pędami, wchodzą jej do ust i do oczu. Sirine pracuje i słucha podzwania dzwonka nad wejściem, trzaskania drzwi, rozmów podnoszących się w spór i na nowo opadających.

Zawsze jest tyle hałasu, ptaki kłócą się na drzewie za kuchennym oknem. Życie to dyskusja, mawia Um-Nadia. Kiedy Sirine śmieje się i pyta, o co oni się tak sprzeczą, Um-Nadia odpowiada: O świat — o cóż by innego?

Sirine podnosi wzrok, spogląda poza pokrywę promiennika, patrzy, jak klienci gromadzą się przy stołach. Coraz więcej chłopców chudych studentów z twarzami wydłużonymi wyczerpaniem, samotnością i mówieniem. Sirine smaży cebulę i jednocześnie przygotowuje dwie potrawy, sieka bakłażany i miesza labne — delikatny, aksamitny sos jogurtowy, który wymaga stałego mieszania, bo inaczej się zetnie — i obserwuje spór przy ostatnim stole. Czterej mężczyźni, wśród nich Hanif Al Eyad, właśnie przyszli. Padają na nich prostokąty światła z szyby w ciągle otwieranych i zamykanych drzwiach. Mieszające się i rozdzielające głosy, skomplikowane gesty, machanie rękami i dłońmi. Brzmi to tak samo jak wszystkie dyskusje, które toczą studenci: o Ameryce, o Bliskim Wschodzie, o tym, kto kogo krzywdzi, chwilami po arabsku, chwilami po angielsku, najczęściej w obu językach po trochu.

Sirine zauważyła, że Hanifa często otacza świta studentów, młodych mężczyzn — i paru kobiet — którzy chodzą za nim niepewnie, dopytując go o zdanie. To, na co zwróciła uwagę w Hanifie, to przede wszystkim włosy, proste i lśniące niby czarne szkło, i nieco tropikalna senność w spojrzeniu. I jeszcze piękny, płynny głos z lekkim akcentem, ciemny jak czekolada. W jego intonacji słyhać ślady Anglii i wschodniej Europy, zmieszane w skomplikowany sos.

Sirine właśnie odwróciła się od leбену do bakłażana, kiedy Hanif przechodzi na angielski:

— Naturalnie, że kocham Irak, Irak to mój dom, i oczywiście nie ma mowy o powrocie do domu... — dalej mówi po arabsku.

Sirine spogląda na niego, na białość zębów, skrawek jedwabistej skóry, brązowy jak ziarno kakaowe. Jest dobrze zbudowany, wysoki i silny. Śmieje się, a inni przyłączają się do jego śmiechu. Um-Nadia zajęła miejsce przy jego boku. Stoi z biodrem opartym o stół, a dłoń wyciąga tak, jakby chciała zanurzyć palce w jego włosy. Wzdycha, przekrzywia stopę opartą na lśniącym, zdartym obcasie, po czym przyklepuje własną nastroszoną fryzurę. Wciąż uśmiechając się, spogląda w stronę Sirine, za kontuar, i mówi:

— Pieczone jagnię, ryż z orzeszkami piniowymi, sałatka tabule, sok z moreli. — Po czym posyła całusa.

Hanif zerka na Sirine. Ona pospiesznie opuszcza wzrok, czubkami palców przytrzymuje pęk natki, kołysze potężną siekaczką w stercie zielonych liści, cebuli, tłuczonej pszenicy. Nagle przypomina sobie o lebenie i gna do wielkiego garnka jogurtowego sosu, który już-już ma się zwarzyć.

Rozdział drugi

Stryj pochyla się nad ich kuchennym stołem i przygląda się, jak Sirine zgarnia jeszcze trochę sałatki tabule na jego talerz.

— Jestem już za bardzo najedzony, *habibti* — mówi. — Naprawdę, nie dam już rady przełknąć ani kęsa.

— W ogóle nie jesz warzyw. — Sirine wstaje i wkłada naczynia do zlewu. Ale gdy się odwraca, widzi, jak stryj nadgryza duże, nadziewane włoskimi orzechami ciastko ma'mul. Opiera ręce na biodrach.

— Więc — pospiesznie mówi stryj, otrzepując okruszki, jakby mógł zataić dowody — czy już nie czas na następny rozdział niepouczonej historii Abdelramana Saladyna?

Abdelraman Saladyn nosi się niby dłoń pełna wody.

Abdelraman Saladyn — takie długie imię. Trwa wieki, nim się je wypowie.

Niezwykłe, bez wątpienia, ale szacowne. Imię niosące wielkie piękno i współczucie: „Sługa łaskawego” — Abdelraman — i miano sławnego wojownika i wyzwoliciela, Saladyna.

Abdelraman Saladyn był ulubionym synem swojej matki.

Za dnia jego skóra ma kolor cynamonu i miodu. W nocy jest niemal niewidzialny. Kiedy porusza się, wygląda, jakby się nie poruszał — jak oko, przesuwające się po słowach na kartce.

Wśród trzciny kołysze się ukryta mała, drewniana, wiosłowa łódź. Czeką przy niej saudyjski handlarz niewolników ze wzrokiem spuszczonej skromnie, jak starający się o rękę. Przybył, żeby kupić Abdelramana i uwięzić go daleko, za Morze Czerwone, do swego zamku na pustyni.

Handlarz niewolników pomaga Abdelramanowi Saladynowi wsiąść do łódki. Gdy już się usadowili, wiosłuje, zagadując Abdelramana Saladyna — próbuje zrobić na nim wrażenie swoimi badaniami nad językiem syren. Między uderzeniami wiosła wręcza Abdelramanowi Saladynowi jego zapłatę — woreczek złota, złotą bransoletę na nogę i złote kolczyki.

Abdelraman nastawia ucha ku horyzontowi, jak gdyby czegoś nasłuchiwał. Wreszcie, gdy są już daleko na morzu, otoczeni ciemnymi, tajemniczymi, długimi falami, pod odległym baldachimem dudniących chmur, prostuje się, jakby odebrał niewidzialny sygnał. Handlarz niewolników spogląda na niego niemal błagalnie, być może już wyczuwa, co ma się wydarzyć. Abdelraman unosi ręce i skacze, wycieka do wody niby miód ze słoja, zwarty i lśniący, i natychmiast znika.

Handlarz niewolników wstaje z otwartymi ustami. Łódka kołysze się lekko. Handlarz siada. Nie umie pływać. Wzywa Boga, niewidzialne byty ziemi i nieba, wiedząc, że wszystko to było pisane. Załamuje ręce, przeklina swojego pecha, ocean, nędzną instytucję niewolnictwa, potrząsa głową. W końcu zaczyna się śmiać.

W ubiegłym tygodniu rozpoczęły się zajęcia. Na drzewach wokół uniwersytetu topnieją kwiaty późnego lata, pachną słodko jak woda i zasypują krawężniki skrawkami fioletowych płatków. Mimo że to Los Angeles, Sirine chodzi piechotą lub jedzie rowerem prawie wszędzie, dokąd się wybiera, a nigdy nie jest to daleko.

Dwie mile dzielą drzwi domu stryja i wejście do Nadia's Café. Między restauracją a biurom stryja w miasteczku akademickim jest półtorej mili, a droga prowadzi prosto w dół Westwood Avenue, przez ruchliwe miasteczko studenckie, wzdłuż rozległego Wilshire (gdzie zielone światło zamienia się w czerwone, zanim przeszło się połowę ulicy), obok jaskrawej, przykuwającej wzrok markizy kina, do tak zwanego Teherangeles z salonami piękności, księgarniami i sklepami spożywczymi, gdzie wszystko nazywa się po persku, który zapisuje się jak arabski, ale znaczy to coś innego, i żaden Amerykanin nie potrafi do końca zrozumieć, że Arabowie i Irańczycy to „zupełnie inne zwierzęta”, jak to ujmuje Um-Nadia. A kiedy ktoś pyta Um-Nadię, czemu postanowiła założyć iracko-libańską restaurację (i czy ci Libańczycy to Arabowie, Fenicjanie, druidzi czy co? Stryj Sirine unosi tylko ramiona i mówi: Bóg jeden wie,

a Um-Nadia klepie go po ramieniu i oświadcza: Wcale nie, są Libańczykami!) w połowie drogi, w samym środku Teherangeles, ona wzrusza ramionami i odpowiada:

— Bóg jeden wie. Gdzie indziej mam ją dać?

Rano, jeśli stryj nie upiera się przy odwiezieniu jej do pracy, Sirine budzi się wcześniej i rzuca wyzwanie samochodom, by przejechać na rowerze z zachodniego Los Angeles do Westwood. Jest przyzwyczajona do szybkiego rytmu i fizycznego wyzwania pracy w kuchni i lubi wysiłek. Potem dostrzega kwiaty wokół, rośliny o żłobionych brzegach podobne do opierzonych pucharów, albo pasiastoróżowe kiście kołyszące się przed witryną sklepu, albo dwie ogromne bliźniacze palmy w Ptasim Ogrodzie za Nadia's Café. Ich długie, wytworne pnie ocierają się o siebie, kiedy wiatr się wzmaga.

Sirine nigdy nie poznała innego miejsca. Śnieżne zamiecie widywała w telewizji, o dotkliwym zimnie tylko czytała. Domy, które widuje, mają zwykle otwarte wejścia, szeleszczące żaluzje i kraty dla pnączy. Zna zapach jaśminu w powietrzu, srebrzyste liźnięcia spryskiwaczy, ogrodników zgarniających ściętą trawę, pchających maszyny do zbierania liści przez kurz i głęboki upał.

To dopiero początek sierpnia i kiedy dusznym południem Sirine i jej stryj idą do miasteczka akademickiego, powietrze stoi w miejscu. Ale gdy docierają do wejścia do budynku, z gór sfruwa podmuch gorącego wiatru — drobne wiry kurzu unoszą kawałki odpadków, plastikowa torba łopocze w powietrzu jak skrzydła. Sirine przyszła na wieczór poezji, bo stryj powiedział jej, że za dużo pracuje i że, jego zdaniem, wszystkim nam przydałoby się nieco kultury. Ale kiedy tylko znaleźli salę wykładową, gdzie odbywa się wieczór poetycki, stryj macha jej na pożegnanie i odpływa w dół korytarza, do swoich znajomych z Wydziału Kultury Turckiej.

Sirine z westchnieniem opada na jedno ze składanych metalowych krzeseł. Po kilku minutach na podium wychodzi mężczyzna w jedwabnym krawacie i marynarce z polerowanej bawełny. Wygląda jak wytworniejsza wersja uniwersyteckich koleżków stryja — zwinny, dobrze zbudowany i wyrafinowany. Jego ubranie robi wrażenie europejskiego. Ciemne włosy rozsypują mu się na czole. Odgarnia je do tyłu, ale one i tak z powrotem opadają w przód, i Sirine czuje dla tego mężczyzny skrawek czułości. Papier drży mu lekko w dłoni, kiedy mężczyzna zaczyna opowiadać o poecie. Nie pomyślał o tym, żeby się przedstawić.

— Aziz Abdo to cudowny, cudowny autor — mówi napiętym głosem. Podnosi głowę, tak że Sirine może dostrzec lekki, perlisty połysk na jego czole. Jeszcze raz odgarnia włosy.

Chyba zgubił na kartce miejsce, do którego dotarł. Wreszcie ciągnie dalej: — Abdo przeistacza język arabski. Wydaje się, że rozumie jego najgłębszą, ukrytą naturę, możliwości, które on daje, wywiera na język nacisk, jakby zmuszał wiosenny zasiew do najbujniejszego rozkrzewiania i owocowania. Pielęgnowuje ten głęboki, potężny język, popychając sadzonki ku światłu. Cytując, co historyk Jaroslav Stetkevych napisał na temat języka arabskiego: „Podobny Wenus, narodził się w stanie doskonałej piękności i zachował tę piękność mimo wszelkich zawirowań historii... Poznał surowość, święte uniesienie i obfitość, rozkwit i dekadencję. Kwitł w dniach chwały i trwał w czasach przeciwności, nieomal w uśpieniu. Ale gdy znów się budził, był tym samym językiem”. Taki sam opis mógłby się odnosić do dzisiejszego autora. Abdo manipulował bogatym ciałem tego języka i wyśnił je. To poeta erotyczny, poeta uczony, wieszcz z ciała i ducha, który rozumie, jak zanieść nas, omdlałych, poprzez język, w nasze najczystsze sny.

Urywa i spogląda na kartkę w swojej dłoni. Podnosi wzrok, jak gdyby właśnie przypomniał sobie o publiczności. Odrobinę brakuje mu tchu. I Sirine zdaje sobie sprawę, że jej też trochę brakuje oddechu, bo pochwyciła ją ta pochwalna przemowa. Nigdy jeszcze nie słyszała, by ktoś opowiadał o języku arabskim tak wymownie i z taką tęsknotą. Niespodziewanie odczuwa brak ojca. A kiedy mówca spogląda na nią, Sirine lekko otwiera usta — przez cały czas słuchała Hanifa, znajomego swojego stryja.

On jednak tylko mruga, jakby był trochę krótkowzroczny, a potem jeszcze raz zerka na kartkę, a Sirine znów może odetchnąć. Wtedy Hanif wyciąga dłoń i mówi:

— Powitajcie, proszę, Aziza Abdo.

Sirine pochyla głowę, starając się wsłuchać w poezję. Gdzieś w odgłosie swojego oddechu słyszy szmer podobny do szeptu, jakby ktoś mówił do niej półgłosem. Stara się robić wrażenie niezbyt przejętej, przypatruje się swoim paznokciom, wyczuwa ślady maślanego zapachu, który pozostał z gotowania lunchu, kadzidło oliwy i trawy. Ale jej umysł wciąż krąży między wierszami i Hanifem. Sirine nigdy nie czytuje poezji i nie ma pojęcia, czemu dziwne wprowadzenie Hanifa tak ją poruszyło. Wyciąga z kieszeni topazowe modlitewne korale stryja i próbuje się uspokoić, myśląc o duszonych gołębiach: sos do dziczyzny, z nutą cynamonu i dymu.

Poeta, gościnnie występujący autor imieniem Aziz, pochyla się na podium. Mówi to po angielsku, to po arabsku, jak ktoś, kto idzie krętą ścieżką. Sirine zna tylko kilka słów po arabsku, ale dźwięk tego języka działa na nią kojąco. Szybuje na swoim krześle, przesiewa korale, pozwala sobie zapaść w półsen w rytm poezji i oddechów słuchaczy, wpatruje się w dywan,

połyskujący i lśniący, jakby posypano go mikią. Od czasu do czasu rzuca spojrzenie na salę, próbując dojrzeć Hanifa.

Próbuje się ożywiać za każdym razem, gdy poeta spogląda w jej stronę. Jego głos dźwięczy jak trzepaczka w miedzianej misie. Wiersze przywołują obraz starca zmiatającego ulice Bagdadu, Jerozolimy, Damaszku. Sirine widzi drzewa zawieszane ptasimi klatkami, skrzące się od kolorowych, śpiewających ptaków. Patrzy na węzłaste piaski, na palmowe drzewa gnące się na niebie. Brzmi to tak, że chyba chciałaby odwiedzić te miejsca. Zastanawia się, czy to dobra literatura.

Ktoś sadowi się na krześle obok niej. Jego ramię ociera się o jej ramię i głębokie ciepło gna z miejsca tego zetknięcia do czubka jej głowy i podeszew stóp. I przez resztę wieczoru poezji Sirine siedzi niemal bez ruchu, ściskając swoje modlitewne korale. Poeta kołysze się na piętach do przodu i do tyłu, twarz ma zaróżowioną, lekko połyskującą od potu. Jedną dłoń kładzie na sercu, drugą unosi jak do przemowy i kończy wersem, który, jak mówi, pochodzi od jego duchowego mistrza, słynnego poety: „Niech piękno, które kochamy, będzie tym, co czynimy. Jest sto sposobów, by klęknąć i ucałować ziemię”.

Potem wszyscy wstają. Sirine zerka kątem oka i przekonuje się, że to rzeczywiście Hanif siedział obok niej. Nerwowo podnosi się i wychodzi z rzędu, próbując robić wrażenie nonszalancki. Sala konferencyjna otwiera się na niewielką werandę z długim stołem, zastawionym winem i serami. Stoi tam grupka kobiet o czarnych włosach, wijących się na ramionach jak burzowe chmury, i mężczyzn z brodami blond oraz starsza pani w jedwabnej czapeczce. Hanif przeciąga się i w ślad za Sirine rusza ku stołowi, a ona próbuje go ukradkiem obserwować. Jego czarne włosy przetyka siwizna, a w zarysie czoła jest coś czystego i monarszego — tak wygląda ten szczególny, pięknie ukształtowany łuk brwiowy, który od pokoleń hoduje się w królewskich rodach. Uniósł brwi — to pytanie — po czym zaczął napełniać dwa kieliszki. Powietrze jest wilgotne i w miarę nalewania zimnego białego wina plastikowe kubeczki pokrywają się rosą. Hanif spogląda na Sirine. Jego oczy mają odrobinę azjatycki wykrój, przydymione, lekko przypalone tęczęwki. Nie opuszcza jej wyraz zranienia w jego spojrzeniu. Sirine myśli o bohaterach opowieści stryja, o ich dramatycznych, czarnych oczach.

— Chcesz trochę? — Podsuwa jej kubeczek. Sirine, zaskoczona, przytakuje, a potem na chwilę unosi naczynie do policzka. Wokół Hanifa krąży kilkoro studentów, ale on na nich nie patrzy. — Zauważyłem, że masz modlitewne korale... — Podniósł rękę, jakby próbował ją naśladować. — Trzymasz je w taki rozkoszny sposób... tak po amerykańsku.

— Och. — Czuje się zawstydzona i skonsternowana. — Dostałam je od stryja — mówi, jak gdyby próbowała się bronić.

— Ach, więc cóż to za cudowny stryj — odpowiada on.

Potem zapada cisza, która trwa odrobinę zbyt długo. Oboje marszczą się nad kubeczkami z winem. Hanif podnosi wzrok, jakby sobie o czymś przypomniał, i pyta:

— Podobał ci się wieczór poezji?

— Twoje wprowadzenie było wspaniałe — odpowiada Sirine, ale brzmi to zbyt osobiście, więc dodaje: — Myślę, że to było naprawdę mądre. Nawet nie wiem czemu. — Dostrzega, że koniuszki jego uszu robią się różowe, i ogarnia ją przerażenie. — Chciałam powiedzieć... och, sama nie wiem, co mówię, to zawsze brzmi jakos nie tak... przy takich okazjach zawsze się czuję, jakbym się podszywała pod intelektualistkę — rzuca. — To znaczy, jakbym tu weszła na przeszpiegi, wcale nie uważam, że intelektualiści się podszywają...

— Tak, tak, ze mną jest dokładnie tak samo! — przytakuje on.

— Ale jak to możliwe? Chodzi mi o to, że ty tu przecież pracujesz, jesteś jednym z tych intelektualistów.

Odpowiada jej nierozumiejące spojrzenie. Sirine przytula łokieć do boku i małymi łyčkami popija wino, nie czując smaku. Oboje wbijają wzrok w ziemię. Żadne z nich nic nie mówi.

— No cóż. Chyba... nie powinienem cię zatrzymywać? — odzywa się on.

— Witaj, profesorze — damski głos przepływa ponad ramieniem Sirine, która obraca się i widzi, że stoi tam młoda kobieta z głową okrytą czarną chustą. Widać tylko jej twarz.

Hanif robi wrażenie zaskoczonego, potem marszczy brwi. Chyba próbuje sobie przypomnieć, jak kobieta ma na imię.

— A, witaj — odpowiada. — Jak się masz... no... Rana?

— Ostatnim razem był na zajęciach taki temat — kobieta nie zauważa Sirine. Przysuwa się i wciska przed Sirine ramię. — Związki między różnymi okresami klasycznymi, które pan nakreślił, tak wiele wyjaśniły. Potrafi pan tłumaczyć rzeczy w taki sposób, że wreszcie mogę zrozumieć. Inaczej niż niektóre osoby.

— No cóż... — Hanif ponad jej ramieniem spogląda na Sirine. — Podobno należę do intelektualistów — stwierdza z uśmiechem.

Kobieta obraca się, wędrując za jego spojrzeniem, i wreszcie okazuje, że dostrzegła Sirine. Kiwa do niej głową, potem na nowo odwraca się w stronę Hanifa.

— Och, chciałam tylko, żeby pan wiedział — mówi. — Nie mogę się doczekać następnych zajęć. — Macha do niego, tak że czubki jej palców, pomalowane purpurą, połyskują spod skrajy długich rękawów, po czym odchodzi.

Sirine nabiera powietrza. Podnosi się lekka bryza i pąki bugenwilli, podobne do maleńkich, fioletowo-różowych latarenek, suną po podłodze. Sirine szuka w myślach czegoś, co mogłaby powiedzieć, żeby odnowić rozmowę.

— A, tu jesteś, dobrze, dobrze. — Stryj podchodzi, zauważa ser i krakersy i odrywa kiść winogron. — Szukałem cię absolutnie wszędzie.

Sirine krzyżuje ramiona.

— A próbowałeś szukać tutaj? — pyta.

— Ach... ha, ha. Zabawne. O, czy poznałeś mojego kolegę Hanifa Al Eyada, nasz nowy nabytek w Studiach Bliskowschodnich? Oto moja urocza bratanica, Sirine. Sirine, Hanif. Popatrz na niego, spójrz na tę twarz. Co za twarz. Jak Odyseusz, co? Popatrz na wyraz tej twarzy. Iracka klasyka, całkiem jak twój stary stryjek.

Hanif potrząsa głową i uśmiecha się szerokim, kanciastym uśmiechem, błyskając zębami na tle brązowej jak grzanka skóry. Opuszcza wzrok, znowu go podnosi, i Sirine dostrzega bladą plamę, biegnącą od zewnętrznego kącika oka na kość policzkową.

— Proszę, nazywaj mnie po prostu Han — mówi do Sirine.

— Poznaliśmy się już — oświadcza wujowi Sirine. — Przedstawiłeś nas sobie.

Spojrzenie Hana przebiega po niej, jakby chciał sprawdzić, czy Sirine tylko się droczy. Przesuwa dłonią po karku. Nagle jego głowa podskakuje.

— Ty jesteś Sirine. Z restauracji. Spotkaliśmy się. Sirine zaczyna się śmiać.

— Nie rozpoznałeś mnie — mówi. — Przez cały czas, kiedy rozmawialiśmy!

Jego oczy są okrągłe i rozszerzone.

— Ja... ty... ty jakoś... wyglądałaś całkiem inaczej poza restauracją...

Sirine dotyka luźnych spiral włosów, które opadły jej na ramię. Nie ma zaczesanej do tyłu fryzury, swojej kucharskiej bluzy i fartucha. Uśmiecha się do niego.

— Ja też cię w pierwszej chwili nie poznałam.

— Naprawdę? — Spogląda na nią, a potem przesłania oczy w udawanym zawstydzeniu.

— Wy dwoje toczycie wojnę na uśmiechy — stwierdza jej stryj.

Sirine rzuca mu groźne spojrzenie.

— Tak czy inaczej — mówi stryj, rozglądając się dookoła. — O, pięknie, pięknie, patrzcie tam, to nasz nowy wybitny student, Nathan. — Kiwa do niego. Młody mężczyzna w owalnych okularach bez oprawek, z kwadratowym czarnym aparatem fotograficznym na szyi przesuwają się przez tłum i dołącza do nich.

— Właśnie miałem powiedzieć mojej bratanicy, jaki wspaniały jest nasz Hanif — stwierdza stryj Sirine.

Nathan zdejmując okulary i przeciera owale rąbkiem koszuli, potem starannie zawiesza je z powrotem na uszach. W jego wąskich rysach widnieje melancholia. Podnosi talerz i obraca się ku Sirine.

— Czuję się zaszczycony, że mogę cię poznać. To ty przyrządzasz tę słynną potrawę z soczewicy i cebuli. — Jest drobny i żylasty, ale z bliska Sirine dostrzega, że musi być starszy, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Jego uśmiech jest lekko nierówny, jakby niedokładnie wyważony. Włosy ma zgolone do czarnego meszku. Bezceremonialnie, żartobliwie kieruje kciuk na Hana.

— Był w Cambridge, studia postdoktoranckie robił w Yale. To językoznawca. Był wszędzie. Mógł przebiegać w uczelniach, wcale nie musiał tu przyjeżdżać.

— A co, tu niby jest źle? — pyta stryj.

— I obszernie pisał o amerykańskim transcendentalizmie, i tłumaczył Whitmana, Poego, Dickinson, a teraz Hemingwaya na arabski!

— Jeśli w ogóle można sobie coś podobnego wyobrazić — rzuca stryj.

— Nathan... — Han się śmieje, potrząsa głową. — Ten Nathan to istny cud. O wszystkim coś wie.

Nathan wzrusza ramionami.

— Nie. Może trochę o muzyce i fotografii. I tyle. Tak naprawdę to nic nie wiem.

— Musicie zobaczyć jego wystawę w następnej sali — stwierdza Han. — Jest tak uzdolniony, że to trochę przerażające mieć go w grupie.

— Założę się, że tak — przytakuje stryj.

— Jestem... zapaleńcem — z zawstydzonym uśmiechem przyznaje Nathan, po czym wyciąga do Sirine rękę. — Nathan Green.

Sirine przyjmuje ją ostrożnie.

— Cóż, witaj.

Aziz poeta zmierza w ich stronę. Co chwila przystaje, rozmawia ze wszystkimi, obejmuje i mężczyzn, i kobiety. Kiedy się zbliża, Sirine wyczuwa melodię korzennej wody kolońskiej.

Wreszcie do nich dociera — obejmuje ramieniem stryja Sirine, a potem Hana. Nathan cofa się o krok, ale po chwili i on zostaje zagarnięty.

— Wspaniale — żarliwie ogłasza Aziz. — Wspaniale, wspaniale.

Odwraca się w stronę Sirine, której przychodzi do głowy, że on rzeczywiście wygląda na poetę. Ma skórę w kolorze kawy z mlekiem i satynowe, głęboko osadzone oczy. Wieczorowa, lazurówoniebieska koszula przylepiła mu się do piersi długimi smugami potu. Włosy nosi zaczesane do tyłu, tak że unoszą się parę cali nad głową.

— Aaaach — mówi, powoli wydechając powietrze. — Tak, tak, wspaniale!

— Azizie, oto Sirine, moja siostrzenica nie do zdobycia — przedstawia stryj.

— Och, cudownie. Jakie to nadzwyczajne. Uwielbiam siostrzenice. A to jest najwyraźniej siostrzenica nad siostrzenicami. — Otula ręką jej dłoń, a potem przykrywa drugą ręką. Wygląda, jakby chciał ją zatrzymać. — *Enchanté* — mówi. — Poważnie.

Sirine uśmiecha się i kiwa głową, ale wzrokiem na chwilę przeskakuje ponad jego prawym ramieniem do Hana, który im się przygląda.

— Czy jesteś zachwycona wieczorem poezji? — pyta Aziz. — Mów prawdę.

Han przybliżyła się do nich, kładzie rękę na plecach Aziza.

— Ten facet — mówi. — Jeździłem po całym świecie, czytałem najróżniejsze rzeczy. Wydawało mi się, że już dałem sobie spokój z poezją. Przyjechałem do Los Angeles i akurat tutaj, w sąsiednim biurze, znalazłem Walta Whitmana Syrii.

— Poeta do szpiku kości — przyznaje stryj Sirine. Aziz wciąż trzyma jej rękę. Sirine, lekko zmieszana, pyta:

— Och, jesteś sławny?

— Przyzwyczała się do hollywoodzkich poetów — mówi do Aziza stryj.

Nathan obraca się ku Sirine, poufale się pochylając.

— Wydał tylko jedną książkę, *Pół-Maur*, ale zdobył niewielki rozgłos wśród arabskich intelektualistów — wyjaśnia. — Oczywiście nie taki jak Mahmoud Darwisz, czy nawet Abdelkebir Katibi.

— Oczywiście — przytakuje stryj, zrywając kolejne winogrona.

Azizowi najwyraźniej podoba się ta wymiana zdań na jego temat. Sirine nie ma pojęcia, czy dosłyszał słowa Nathana.

— Tak, ja i moja książeczka jesteśmy rozchwytywani — oświadcza. — Dość gwałtownie zostaliśmy wywiezieni z Damaszku i przez chwilę uczyliśmy gdzieś na Cape Cod, nikt mi nie powiedział, jak się nazywa to miasto. Potem mieszkaliśmy w jakimś Mobile, w Alabamie. Wykładałem tam w prywatnej szkole żeńskiej z mnóstwem inteligentnych, kochających poezję dziewcząt. Potem tutejszy wielki uniwersytet zawezwał mnie, a ja rzekłem: Przybywam. I wiesz, co się stało? Przybyłem.

— Myślę, że kiedy się rozmawia z kimkolwiek w Syrii, nawet z szarym człowiekiem, szewcem albo rzeźnikiem, ten ktoś o nim słyszał — dodaje Nathan.

— Szewc, może. Ale rzeźnik? Aż tak sławny nie jestem. Nathan zerka na rękę Aziza na dłoni Sirine i stwierdza:

— Wiesz, teraz mógłbyś już ją puścić.

— Może tak... a może i nie — z szerokim uśmiechem odpowiada Aziz.

Sirine ma ochotę uwolnić się szarpnięciem, ale się opanowuje.

— Hmm — mówi.

— No nie, naprawdę — mówi do Aziza Han, także z uśmiechem. Kładzie rękę na ramieniu Aziza. — Może jednak spróbujesz?

Aziz ściska jej dłoń, a potem wypuszcza.

— Sezamie, otwórz się — mówi. — Zaklęcie przestało działać.

Sirine czuje na grzbiecie dłoni zimny pot. Han lekko klepie Aziza po ramieniu.

— Tak lepiej.

Wychodząc ze stryjem, Sirine zauważa mniejszą salkę. Jest pusta, tylko na ścianach wisi trochę matowych fotografii. Na pierwszy rzut oka wszystkie wyglądają na nieostre, ale zbliżając się, Sirine dostrzega, że są to portrety ludzi w rozmaity sposób wzburzonych albo poruszonych — zamazane głowy odwracają się, ręce trzepocą, jakby chciały osłonić, niektórzy po prostu krzyczą albo się śmieją. Obrazy niepokoją, ale są wdzięczne, pełne płynnych cieni, jak gdyby fotograf robił zdjęcia przez jakieś filtry. Małe etykiety pod portretami podają niewygodne ceny i tytuły: *Emily, Omar, Ian*. Sirine jest urzeczona tymi twarzami.

— No. Można popatrzeć na coś ekscytującego — mówi stryj.

— Co to jest? — Sirine zatrzymuje się przed jednym z portretów, który wygląda trochę tak, jakby pod obiektywem kamery uwięziony był tonący mężczyzna; szparki oczu i otwarte, umorusane usta.

— Nathan? Nat? Ten amerykański chłopak? Jest takim jakby fotografem. Zdobył stypendium dla absolwentów i Szkoła Sztuk Pięknych zaprosiła go, żeby przygotował autorską wystawę. Ale kiedy się dowiedział, że Aziz będzie miał wieczór poezji, postanowił pokazać swoje zdjęcia w tym samym czasie. Chyba chciał przez to dać coś do zrozumienia. Nie wiem co. —

Pokazuje na wywieszkę na drzwiach z napisem: „Fotografia przeciw Sztuce: Naprawdę zobaczone, Nathan Green”.

— To jego? — W czasie spotkania zauważyła, że Nathan robi zdjęcia ludziom pochyłonym nad talerzami. Jego palce kreśliły koła wokół obiektywu aparatu. Przed każdym ujęciem lekko się pochylał, jakby chciał się przeproszająco pokłonić.

Stryj na chwilę zatrzymuje się przy portrecie tonącego i uśmiecha się, jakby rozpoznał przyjaciela. Kiwa głową, odwraca się.

— Cóż, to niezwykły facet — stwierdza.

Fotografie prześladują Sirine — przypominają jej chwile, kiedy wiedziała, że coś jest snem, ale nie potrafiła się obudzić. Wpatruje się w jedną z nich — szczególnie ciemny wizerunek, coś, co wygląda jak studnia światła, wewnątrz człowiek z odrzuconą głową patrzy prosto w obiektyw. Ten obraz wślizguje się w nią, zimny jak przełknięte łyżo.

Księżyc wzeszedł już, gdy ze stryjem wychodzą z budynku. Sirine widzi twarz stryja w twardych światłach, rozjaśniających front gmachu. Zauważa ślady pokrywających ją zmarszczek, promieniujących z kącików oczu i przecinających policzki. Dostrzega zarys brody, która zmiękła i stopiła się z szyją, i to, jak na głowie skóra prześwieca spod włosów.

Stryj spogląda na nią i uśmiecha się, a ona rzuca niemal szorstko:

— Proszę, stryju, uważaj na schody. A on odpowiada:

— Ach tak, te straszne, przerażające schody.

Rozdział trzeci

Chcę tylko dodać w tej chwili, dla porządku, że szacownych stryjów i bajarzy nagradza się zwykle półmiskiem ciasta kunafa. Dla porządku. Teraz możemy ciągnąć naszą opowieść. A więc podstępny kuzyn Abdelraman Saladyn wpełza bokiem pod dzikie, wędrowne fale. Spędził tyle czasu pod powierzchnią morza, że okrywa się nim jak pościelą. Sztuki złota zderzają się i nurkują, ciasno związane w mieszkku wsuniętym do kieszeni zapinanej na złoty guzik, zasupła-

ne wokół mięśnia, którym jest ciało Abdelramana Saladyna. Ryby obracają głowy i snują teorie, że widziały twór wyobraźni, dzina o różowych dłoniach, ducha z któregoś z zatopionych miast. Fale rzucają swój przyćmiony blask na jego twarz i członki — jest przystojny jak egipska gwiazda filmowa z dawnych czasów. Meduzy budzą się z sennego życia, kraby odkładają wiersze, krewetki otrząsają się jak kastaniety. On właściwie nie płynie, ale tańczy z rozpostartymi ramionami, wyprężonymi nogami, głową odrzuconą do tyłu, oczami otwartymi jak w jasny dzień. Cóż z niego za istota.

Za każdym razem, kiedy to robi, obiecuje sobie, że to już po raz ostatni. Co to za kariera dla młodego mężczyzny? To jest brzydkie przyzwyczajenie. Jego matka, a moja ciotka Camille, uwolniona nubijska niewolnica, chce, żeby się zajął stomatologią. Podoba mu się ten pomysł — ostre, spiczaste narzędzia, młoteczki, kleszcze i nożyce, odrętwiające olejki, a zwłaszcza gładkie, emaliowane powierzchnie zębów, czekających w ciemności.

Myśli o zębach, prześlizgując się ponad skałami i innymi twardymi obiektami, wzdłuż morskiego dna. Widzi siebie jako drobny język w ogromnej paszczy morza.

I kto przyjdzie na jego pogrzeb, jeżeli tym razem utonie? — zastanawia się. Na pewno nie matka, milion sześć razy mu to powtarzała; nie ojciec, tak zapijaczony, że nie pamięta o swoich dwóch domach, czterech żonach i dwudziestu synach, z których jeden zarabia, sprzedając się w niewolę, a potem fingując utonięcie przy próbie ucieczki.

Na pogrzeb przyjdą tylko jego bracia. Oni kochają go najmocniej.

Sirine nie może spać. Leży bezsennie w swoim przypominającym sanie łóżku z chłodną, białą pościelą. Dziwne rzeczy nie pozwalają jej zasnąć: rytmiczna poezja Aziza, zamazane twarze ze zdjęć Nathana, ciemna czekolada głosu Hanifa. Pozwala sobie na błąkanie się poza stadium snu, a nawet poza stadium pamięci, i wkracza na terytorium zagłądania we własną duszę. Czasem, kiedy tak leży na jawie, czuje się, jakby jej ciało było dostrojone jak kamerton. Słyszy i wyczuwa najdelikatniejsze sygnały, zapach i muzykę samych myśli. Wijąca się bryza wieje przez koronkowe firanki, tak że zaczynają falować, wołania ptaków szeleszczą w zaroślach. Sirine nasłuchuje odgłosów wieczoru. Przychodzi jej do głowy, że gdyby żyła w chłodniejszym miejscu, odgłos za oknem mógłby być deszczem, ale to tylko liście palm trą o siebie na wietrze.

Jakoś tak się złożyło, że ma trzydzieści dziewięć i pół roku. Jej rodzice nie żyją. Nigdy nie była zameżna. Wspomnienia jej wszystkich dawnych chłopaków całkiem spłowieły, jakby podniosła się jakaś magiczna kartka, ścierając rysy z ich twarzy. Żadnemu z nich nie udało się

jej zainteresować na tyle, żeby chciała wyjść za męża, mieć dzieci albo przynajmniej się przeprowadzić, a ona zawsze uważała, że to właśnie jest cel bycia z mężczyzną. Przypomina sobie, że jeden z nich interesował się dawnymi wynalazkami. Inny świetnie grał w brydża. Wszyscy przepadali za jej kuchnią, nawet ci, którzy nigdy wcześniej nie nadgryźli falafela ani nie nabrali humusu chlebkiem pita.

Sirine czasem spotyka się z dwoma mężczyznami naraz, a ostatnio tak się złożyło, że trzech wydzwaniali i wpadali do niej do domu: niebieskooki mechanik jej stryja, stażysta z uniwersyteckiego szpitala i zabiegany szef kuchni z niemieckiej restauracji na Sepulveda, który przynosił jej puszki pełne wymyślnych maślanych ciasteczek. Ale odkąd skończyły się wakacje, była zbyt zajęta gotowaniem, żeby do nich oddzwaniać. W jej życiu zawsze było tylu mężczyzn, że nie wiedziała, co z nimi robić. Um-Nadia twierdzi, że atrakcyjność Sirine to jej szczególny talent, rodzaj magnetyzmu głębszego niż zwykła uroda czy urok. Nigdy z nikim nie zerwała, po prostu traci z nimi kontakt, dodając po drodze kolejnych mężczyzn. Od drugiej klasy szkoły średniej nie przeżyła nawet dnia, nie mając chłopaka lub jakiegoś adoratora, i nigdy, z żadnym z nich nie była w pełni. Wie o tym — to nie był jej świadomy wybór, po prostu coś takiego nigdy się nie zdarzyło. Zastanawia się, czy to nie jest jakaś jej przywara, jakiś brak, ta niezdolność do zatracenia się w drugiej osobie. Sirine prawie całe życie przeżyła w spokojnej bibliotece, jaką jest dom stryja. Nigdy nie udało jej się zrozumieć, jak ludzie mogą zamieniać ciche przestrzenie, samotne ogrody i dziedzińce, pełne rozmyślań spacerów i smakowity rytm pracy na przeraźliwy tumult zakochania.

Um-Nadia pomaga czyścić ziarna wędzonej pszenicy do dzisiejszego głównego dania wieczoru i po arabsku śpiewa piosenkę o mężczyźnie, który zgubił swoją ukochaną i pyta pasterza, czy jej gdzieś nie widział.

— Wczoraj w nocy długo nie spałam, próbowałam sobie przypomnieć moich dawnych chłopaków — mówi Sirine do Mireille, córki Um-Nadii.

— No cóż, jeden z nich miał na imię Doug. Jeden z tych twoich facetów. Jeśli to coś pomoże — stwierdza Mireille, przyglądając się, jak jej matka i Sirine przebijają ziarna. — Ładniutki był, pamiętasz? Nosił taki kombinezon w paski. — Mireille odmawia przygotowywania potraw i tylko rzadko, opornie coś zjada. Najczęściej, oparta o framugę drzwi, wydmuchuje tylnym wejściem papierosowy dym. Właśnie wydycha pióropusz dymu i odchyła głowę. W jej tlenionych włosach lśni światło poranka.

Um-Nadia przerywa śpiewanie.

— Tak, tak, tak — mówi. — Życie to bezsenność. I kto by mógł spamiętać tych wszystkich chłopaków?

— Znaczy chcesz powiedzieć, że życie to amnezja — zauważa Mireille.

Um-Nadia zastanawia się nad tym przez chwilę.

— To też. Ale przede wszystkim bezsenność. Kiedy siedzisz po nocy i próbujesz sobie przypomnieć różne głupoty: gdzie ja zgubiłam mojego dawnego męża, co się stało z tymi niebieskimi spodniami, czemu boli mnie ręka i tak dalej, i tak dalej.

Przysuwa się odrobinę do Sirine, przygląda się jej, spychając z deski na patelnię posiekaną cebulę.

— Jest tu właśnie w tej chwili, wiesz? — mówi ściszym głosem. — Akurat stoi na zewnątrz.

— Kto, mamó? — Mireille próbuje obejrzeć się ponad ramieniem matki. — Co to znowu za „on”?

Sirine wie, kto. Dostrzega jego cień przez drewnianą żaluzję w drzwiach, których zasuwa przypomina srebrny ząb.

— Wiesz, on jest muzułmaninem — głos Um-Nadii to na wpół śmiech, na wpół ostrzeżenie. — Ciemnym jak Egipcjanin.

— Mamó! — krzyczy Mireille. — Daj spokój.

Um-Nadia uśmiecha się szeroko, jakby to był jeden z jej starych żartów.

— A tutaj nasza piękna Sirine, bielsza niż to. — Odgryza kęs obranej cebuli, jakby to było jabłko. — Oto wreszcie mężczyzna, którego zapamięta.

Na zewnątrz stoi kolejna grupa arabskich studentów, którzy znowu przybyli, żeby się w tym roku stołować w Nadia's Café. To nowi albo stali klienci. Niektórzy z nich wysiadują na frontowych schodach, nim jeszcze restauracja zostanie oficjalnie otwarta, przed porannymi zajęciami. Zamawiają najmniejsze, najtańsze dania: sos z fasoli i czosnku, chleb z oliwkami i zagęszczony jogurt. Czasami przynoszą własne jedzenie. Albo siadają przy stołach na zewnątrz i palcami grają na bębenkach, na jednostrunnym rebabie, na skrzypcach, na flecie, arabska muzyka żegluje przez ściany restauracji i nikt z pracujących w środku nie może dosłyszeć własnych myśli.

Um-Nadia czeka, aż powietrze uprzy się na czekoladowo, wielkie i przydymione od aromatu parzonej kawy. Potem, uderzając w zamek, otwiera drzwi wejściowe. Przytrzymuje je szeroko rozwarte i pozwala, by starsi powracający studenci, imigranci i robotnicy weszli po

jednym do środka, porannie nieśmiali, na wpół śpiący, z nadzieją ze snów, z przechadzki w nieruchomo słodkim powietrzu, nie tak samotni u zarania dnia. Nic, czego by nie mogły uleczyć mała filiżanka kawy i talerz chleba z oliwkami. Młodszym studentom każe czekać na zewnątrz, póki starsi nie wypiją pierwszej filiżanki kawy.

Han i Nathan wchodzą razem. Han kłania się Um-Nadii i całuje ją w rękę, a jej uśmiech poszerza się w dołeczki. Sirine przygląda się, jak Um-Nadia podsuwa mu krzesło, jakby należał do rodziny królewskiej, i myśli, że on rzeczywiście wygląda inaczej niż pozostali klienci. Włosy czarnym łukiem opadają mu na czoło. Sirine stoi w kuchni od frontu, wyciągając z pieca poranne ciasto, pachnące brązowymi przyprawami, przekładane orzechami, cukrem i serem.

— Aaach, zrobiłaś dzisiaj kunafę — mówi Um-Nadia, przesuając się obok Sirine. — Ciekawa jestem, w kim to się zakochaliśmy. — A potem jej ciemny, tajemniczy śmiech.

Mireille sadowi się na stołku obok Sirine, zakłada nogę na nogę w ciasnych džinsach i zerka za plecami Sirine na stolik Hana.

— Popatrz na nich — mruczy. — Na pewno ktoś skakał dookoła nich wszystkich od dnia, kiedy się urodzili.

Sirine zerka na mężczyzn.

— Myślisz?

— Ci faceci chcą tylko jednego: zapędzić nas z powrotem w czadory, żebyśmy rodziły dzieciaki i nie wiem co, karmiły kozy czy coś podobnego. Ty uważaj, ostrzegam cię.

Sirine kiwa głową i skrapia ciasto gorącym syropem.

— Oni są jak zwierzęta, popatrz na nich! Słowo daję, faceci to pół zwierzęta, a pół jeszcze coś gorszego.

Victor Hernandez wchodzi i z grzbietu zsuwa na pulpit dwa wielkie płócienne wory ryżu, a potem złowrogo spogląda na Mireille.

— Nagadujesz na nas? — pyta.

Mireille wzrusza ramionami i wydyma szkarłatne usta, co po arabsku znaczy: może, albo: nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Palcem z długim paznokciem zakręca sobie włosy dookoła ucha.

— Wiesz, nie jesteśmy wszyscy jednakowi — dodaje Victor, zaczynając rozmowę, którą toczą codziennie.

— Och, naprawdę, macho?

— Tak.

— Hmm.

Sirine uderza w dzwonek i czeka, żeby Mireille zabrała zamówienie. Ale Mireille tego nie robi i Sirine wychodzi z za kontuaru, sama niosąc Hanowi półmisek kunafy. Mireille i Victor przerywają rozmowę, a Um-Nadia i klienci podnoszą wzrok, obserwując to wydarzenie bez precedensu — nawet dwaj policjanci, którzy siedzą przed telewizorem, jedząc smażoną soczewicę z cebulą i oglądając arabskie informacje o terrorystach z Arabii Saudyjskiej.

— Kunafa dla pana? — pyta, a kiedy Han na nią spogląda, Sirine czuje to spojrzenie jak ból w karku i ramionach. Ma ochotę usiąść i nakarmić go z ręki.

— Och, kunafa — tęsknie wzdycha Nathan.

— A byłeś zaproszony? — ze śmiechem pyta Han.

— Oczywiście, że jest zaproszony — mówi Sirine. — Wszyscy są zawsze zaproszeni.

Natan przesuwając po niej świetliste, pełne wdzięczności spojrzenie bladych oczu, ale nie wykonuje żadnego ruchu w stronę jedzenia. Śmiech Hana przesuwając się po skórze Sirine, która wbija wzrok w cukiernicę. Mireille pojawia się obok niej.

— Ja tu jestem kelnerką — oświadcza Nathanowi. — Nie zwracaj głowy szefowej kuchni. Jeżeli czegoś potrzebujesz, masz mnie poprosić.

Han obraca się do Sirine, jakby w tym pełnym ludzi pomieszczeniu chciał o coś zapytać. Jego twarz robi się wilgotna, rozgrzana od krwi. Sirine słyszy, że gdzieś w tle Nathan słodko, tęsknie mówi:

— Zawsze uwielbiałem kunafę. — Jakby teraz była mu zabroniona.

— O kunafie powiada się — odzywa się Um-Nadia — że jest tak smakowita, że sprowadza do domu nawet dzikie zwierzęta.

— Jakie znowu dzikie zwierzęta? — dopytuje się Mireille.

— Pewnie — przytakuje Han. — Te wszystkie opowieści o zwierzętach, o dżemel i asfuri i gazalu... och, jak on się nazywa po angielsku?

— Oryks — od razu odpowiada Nathan.

— Oryks? Naprawdę? — Han spogląda na Nathana. — A więc gazal bez przerwy wędruje, szuka swojej utraconej miłości, i mówi się, że musi odejść, zanim znajdzie powrotną drogę do domu.

— Aha, a co to niby znaczy? — Mireille stuka paznokciami w ladę.

— No, pomyśl — unosząc łukowatą brew, odpowiada Um-Nadia. — To oznacza pewne rzeczy.

— Zresztą nie wiem, co ma do tego kunafa.

— Dlaczego ty zawsze musisz być przeciwko miłości? — pyta Mireille Victor.

— Nie jestem przeciwko miłości! Co to ma wspólnego z miłością?

— Chyba żartujesz. W tym wszystkim chodzi właśnie o miłość — oświadcza Um-Nadia.

— Spytaj Sirine, to ona zrobiła kunafę.

Wszyscy spoglądają na Sirine. Han uśmiecha się.

— Jasne — rzuca Mireille. — Akurat Sirine coś wie o miłości. — I zerka na Sirine, jakby wystraszona. — Głupio to zabrzmiało.

Sirine, z rękami owiniętymi fartuchem, cofa się. Przez wahadłowe drzwi wpada do kuchni.

Potem Mireille przychodzi przeprosić. Przygotowuje dla Sirine dzbanek słodkiej herbaty i mówi, że Sirine wie o miłości dużo, dużo więcej niż ona sama.

W pierwszy piątek września wcześniej zamykają restaurację. Um-Nadia mocuje w witrynie wywieszkę z napisem: „Wszyscy poszli do Lona”.

Lon Hayden, który wydaje takie przyjęcie każdej jesieni, był kiedyś aktorem filmowym i grał kowbojów w iluś drugorzędnych westernach, a potem zmienił zdanie, zrobił dyplom z teatru Środkowego Wschodu i został dziekanem Wydziału Studiów

Bliskowschodnich. Jego żona prowadzi castingi do wysokobudżetowych filmów akcji i zarabia wystarczająco dużo, żeby było ich stać na wielki dom z laskiem brodatych palm o srebrno łuskowanych, prehistorycznych pniach. Lon raz w tygodniu przychodzi do restauracji na udziec jagnięcy duszony w oliwie i czosnku.

Stryj zabiera Sirine z pracy i wiezie przez Westwood, w bujną część Beverly Hills. Powietrze wibruje od żeglujących w nim pyłków i woni delikatnych, rzadkich deszczów, unoszącej się znad oceanu. Dom Lona to niska, rozległa konstrukcja. Całe akry aksamitnie zielonej trawy oddzielają go od bramy, upstrzonej kamerami ochrony. Stryj Sirine macha do kamery, a potem podskakuje, kiedy bezcielesny głos mówi:

— Proszę do środka. Brama otwiera się na oścież.

— Amerykanie — wzdycha stryj. Samochód toczy się po krętym podejździe, dojeżdżając do małej armii młodych mężczyzn w białych mundurach. Jeden z nich podbiega i przedstawia się:

— Parkingowy. — A stryj Sirine ze zdenerwowania upuszcza kluczyki na trawę.

Filmowcy, ludzie z uniwersytetu i z Nadia's Café zbierają się w grupkach, z wysokimi szklankami w dłoniach. Um-Nadia włożyła portfelową sukienkę i klapki, które nazywa rubinowymi, a czarne włosy upięła wysoko. Stoi, podpierając się jedną ręką, z udem wygiętym jak znak zapytania. Macha do Sirine i porozumiewawczo mruga do jej stryja, uśmiechając się powolnym uśmiechem, przymykając obmalowane na niebiesko oczy. Potem unosi brodę i stwierdza:

— Muszę pogadać z ludźmi.

Mireille też tu jest, w srebrzystym dresie i srebrnych butach na obcasie, a Victor Hernandez, ze swoją kwadratową szczęką i spojrzeniem utkwionym w dal, stoi obok niej, trzymając swoją i jej szklankę oraz półmisek z jajkami na ostro.

Dom i jego otoczenie są tak rozległe, że goście, spacerujący po wijących się trawnikach, wydają się pojawiać znikąd. Rozszepcane, odosobnione grupki wylegają się w wyplatanych fotelach.

Centralny punkt terenu to piękny podświetlany basen, który przypomina pięć czy sześć luźno połączonych lagun z pejzażem liści-pióropuszy, bulgoczących wodospadów i skalnych stopni. Stryj napomyka, że zaproszono większość Języków Obcych i Studiów Bliskowschodnich — Sirine ukradkiem wypatruje Hana, ale słońce zniknęło za horyzontem, wszyscy są tylko na wpół widoczni i trudno rozpoznać twarze.

Sirine sadowi przy grupce filmowców, którzy niedbale rozsiedli się na leżakach i porównują pokarmy, na które są uczuleni: pszenica, nabiał, kukurydza, orzechy, kawa, czekolada, drożdże, wino, cebula, jaja — co przechodzi w rozmowę o różnych dietach, jakich próbowali: na grupę krwi, Scarsdale, grejpfrutowa, DNA, co daje początek dyskusji o ulubionych chińskich ziołach, aromaterapii, wyciągach ziołowych i zestawach witamin. Pod wpływem brzęku nudnej paplaniny Sirine wpada w przyjemny trans. Przygląda się, jak Lon i jego trzech nastoletni synowie taszcą z domu poobijany gramofon i głośniki w orzechowej okleinie. Ciągną za sobą kabel, który na oko ma dobre pięćset metrów.

— Lon, nie! — krzyczy jego żona, opierając ręce na biodrach.

— Pamiętam, jak kupił ten adapter, jeszcze na uczelni — mówi jeden z aktorów, który w westernach partnerował Lonowi. — Jeszcze dziś lubi go wyciągać na przyjęciach. — Sympatyczni, niczym nie zawstydzeni synowie Lona rozstawiają sfatygowany gramofon. Na aksamitnej trawie wygląda dosyć smętnie, ale jeden z synów kładzie płytę na obrotowym talerzu,

starannie ustawia igłę, a w powietrzu zaczynają wirować i rozbrzmiewać bliskowschodnie skrzypce i flety.

— O, nie — jęczy jedna z aktorek. — Muzyka na ból głowy.

Dawny partner Lona uśmiecha się.

— Simon Szain gra Mohameda Abdula Uaaba. Wiem, co Lon najbardziej lubi.

Sirine patrzy, jak Um-Nadia odstawia szklanę, chwytając profesora rusycystyki, Zinowieja Basiliewicza, i zaczyna z nim okręcać basen w skomplikowanym, przypominającym shimmy tańcu. Potężny profesor o żółtych wąsach wygląda na przerażonego i uszczęśliwionego. Przesuwają się obok kilku grup ludzi, jedna z mijanych osób podnosi wzrok. To Han.

Chyba nie zauważył Sirine. Stoi przy odległym krańcu jednej z lagun basenu, różowej od punktowych świateł, ubrany tak, jakby chciał zrobić jak najbardziej amerykańskie wrażenie: luźne beżowe szorty, sandały, lejąca się żółta koszula. Na przyjęciu zebrał się tłum i wokół niego cisną się ludzie — Sirine myśli o tym, że coś w Hanie każe innym gnać się do niego. Gdy podchodzą, Han uśmiecha się i lekko pochyla do każdego, kto coś do niego mówi, jakby był zaintrygowany i trochę zakochany w każdym z nich.

Sirine rusza w stronę lasku doniczkowych palm obok stołu z napojami. Jej serce tłucze się, jakby ktoś ją gonił. Kilku studentów studiów podyplomowych podchodzi do Hana, ale on wciąż się rozgląda. Przechadza się wzdłuż brzegu basenu, przebiega wzrokiem gości, a studenci idą w ślad za nim. Powierzchnia basenu wygląda jak wosk, woda wygina się i przechyla. Jej odbicie pada na twarz Hana. Pióropusze paproci rozmywają się przed oczami Sirine. Gardło jej się zaciska, ziemia faluje pod stopami.

— Trzymaj się od niego z daleka — mruczy do siebie.

— Zdecydowanie — potwierdza Mireille do jej prawego ucha. — Spójrz tylko: jest w sobie tak zakochany, że najchętniej by sobie włożył język do ucha.

Sirine zerka na nią, ale Mireille spogląda w inną stronę, gdzie w połowie zbocza Aziz leży wyciągnięty na leżaku. Sirine dostrzega zaokrąglone wzniesienie jego brzucha w bladej jedwabnej koszuli, skrzyżowane w kostkach nogi, gładki, łagodny wyraz twarzy, oczy ocienione grubymi, prostymi rzęsami.

Po obu stronach ma studentki, wpatrzone w niego z wyrazem Uwielbienia na twarzach. Jedną rękę trzyma w powietrzu, obraca nią to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby przyglądał się delikatnej wazie, a wszystkie studentki patrzą, jakby także widziały tę wazę.

— Oto i wcielony kłopot na leżaku — z przekonaniem mówi Mireille.

— Myślisz? — pyta Sirine. — Wydaje się jakiś taki... niewinny.

Mireille podzwania lodem w szklance.

— No, jasne. Ty to mówisz.

W tej chwili znad brzegu basenu podnosi się śmiech Um-Nadii, która stoi między rosyjskim profesorem i studentem podyplomowej etnomuzykologii. Trzyma dłoń na piersi każdego z nich, jakby chciała ich powstrzymać, żeby nie zaczęli się o nią bić. Potem opuszcza ręce i gestykuluje do stryja Sirine obracającymi się, płynnymi ruchami, ale on potrząsa głową i zostaje w fotelu. Podnosi tylko szklankę, jakby chciał wznieść toast.

— Skończyłaś z tymi ludźmi? — pyta Mireille. — To wynośmy się stąd, zaczynają grać tam-tamy.

Sirine jest zmęczona i zbyt onieśmielona, żeby samotnie zostać na przyjęciu. Rusza za Mireille, ale ledwie zaczyna iść, chudy, zwinny młodzieniec podchodzi ku niej zza wzgórza.

— Sirine — woła. — Sirine, Sirine! — To Li Pin Chu, nowy student inżynierii, który daje lekcje tajwańskiego, jeden z wielu zamorskich studentów, Ignących do jej stryja. Jest też głęboko zakochany w jej gotowaniu.

— Och, super, teraz ten gość — mruczy Mireille. — Zostajesz sama, moja droga, ja znikam — oświadcza, po czym potrząsa żółtymi, nakrochmalonymi włosami i majestatycznie się oddala.

— Sirine! Tu jestem. Znasz to wyrażenie: Jak grom z jasnego nieba — mówi Li Pin, wyciągając ramiona, jakby chciał ją zamknąć w objęciach.

— Tak — przytakuje Sirine. — Na pewno jest prawdziwe.

— Gdzie masz kostium kąpielowy? — Przyszedł na przyjęcie w bawełnianej koszulce, kąpielówkach czerwonych jak kwiaty pelargonii i klapkach. Ściąga koszulkę.

— Gotowy do pływania! — oświadcza. — A ty?

Sirine spogląda w dół, na swoje džinsy i bluzkę, muska kołnierzyk.

— Hmm — mówi — Chodzi o to, że...

Wtedy Li Pin zaczyna się rozglądać i wreszcie zauważa, że wszyscy są całkowicie ubrani i nikt nie pływa.

— Och — wzdycha. — Ciągle mi się przydarzają takie rzeczy.

Paru gości stojących w pobliżu posyła mu spojrzenia. Sirine przygryza wargę — ręcznie wypisane, powielone na ksero zaproszenie wspominało tylko o „przyjęciu nad basenem”. Mówi Li Pinowi, że wróci za moment, i rusza w labirynt obsługiwanego przez personel parkingu.

Odnajduje swój samochód, wyciąga stary kostium kąpielowy, który trzyma w bagażniku, a potem nakłada go, kuląc się na tylnym siedzeniu. Wracając nad basen, zauważa zarzuconą na krzaki cytrynową koszulę — i Hana, który wszedł już do wody. Nogawki beżowych szortów żeglują wokół jego ud. On i Li Pin Chu dają sobie żartobliwe wskazówki, jak pływać.

— Chyba trzeba się położyć twarzą w wodzie — stwierdza Han.

Sirine przygląda się im przez chwilę ze stoku nad basenem, jej myśli ucichły, oddycha powoli, ogarnia ją uczucie podobne do wdzięczności. Nurkuje ze skraju basenu i wynurza się obok Hana. Czuje się mniej nieśmiała w wodzie, która nabrzmiewa wokół nich i zbija ich z nóg.

— Nimfa wodna — mówi Han.

Li Pin prezentuje coś w rodzaju stylu grzbietowego, padając tyłem do wody i utrzymując się na powierzchni jedynie dzięki rękóm. Przyglądają się, jak robi to wzdłuż całego basenu, raz po raz. Wieczór jest ciepły i niemal nie można wyczuć różnicy między temperaturą nocnego powietrza i wody. Wydaje się, jakby oni troje zamieszkali w miejscu całkowicie odrębnym od przyjęcia, które sunie w górze, zaledwie metr od nich. Niebo zrobiło się już zupełnie ciemne; poznaczone gwiazdami, unosi się nad całą przestrzenią wzgórz. Dryfują na plecach, zamykają oczy i opowiadają o dziecięcych grach, potem o zabawkach, potem o potrawach z przeszłości. Li Pin Chu zwierza się im, że gdyby mógł jeść jedno danie codziennie do końca życia, to byłaby to krojona wieprzowina z jajkiem w cukrze palmowym. Han mówi, że jemu sprawiłby przyjemność kurczak duszony w cebulowo-jogurtowym sosie. Sirine sądzi, że wybrałaby odgrzewane spaghetti z klopsikami — śniadanie, które matka przyrządzała z resztek kolacji. Woda obmywa jej uszy i wypełnia głowę lekkim warczeniem. Czuje się wyraźny, mocny zapach chloru. Sirine nie ma pojęcia, jak długo są w basenie. Nie odczuwa zimna, chociaż ma pomarszczoną skórę na czubkach palców. Jest jej wygodnie i sennie, ma wrażenie, że zna Li Pina i Hana od bardzo dawna. W końcu Li Pin podpływa, żeby uścisnąć im ręce i pożegnać się, jakby byli gospodarzami. Wdrapuje się na powierzchnię, a Sirine i Han przez chwilę trwają bez ruchu, przyglądając się, jak woda uspokaja się w roztopiony blask, przepelniona światłem półksiężyca.

Han wzdycha, odwraca się i nurkuje pod wodę. Kiedy cicho porusza się wzdłuż basenu, plecy układają mu się w łuk, a potem znikają.

— Patrz! — mówi Li Pin, stojąc na skalnej półce przy basenie. Twarz ma rozświetloną, jakby oglądał coś nadprzyrodzonego. — On się zna na pływaniu! — Han wynurza się na prze-

ciwległym końcu i macha do nich. — I jakie człowiek ma o tym pojęcie? — zastanawia się Li Pin. — Jego wypełnia niewidzialne pismo.

Sirine kiwa do Li Pina, a potem także się zanurza. Wtedy zauważa, że basen rozświetlają małe, bursztynowe lampki, zatopione w pofałdowanym dnie, tak że woda wydaje się pusta i rozległa. Przypomina sobie nocne pływanie w bezdennych wodach oceanu, kiedy była dziewczynką, i ożywiający chłód Pacyfiku. Ale ta woda jest podgrzewana, ciepła jak wnętrze ust. Ona i Han nurkują i wynurzają się, płyną pod powierzchnią, jakby odkrywali pokoje w jasnym, cichym domu. Włosy Sirine wirują i burzą się nad jej głową, w pewnej chwili, gdy się nawzajem okrążają, ich dłonie i nogi ocierają się o siebie i oboje muszą wychynąć na powierzchnię, żeby chwycić powietrze.

— A więc pływasz — mówi Sirine. Han wygląda na zadowolonego.

— Może trochę.

— Jak się nauczyłeś?

Przez chwilę milczy, zanurzony po ramiona. Falujące światło basenu mieni się na jego twarzy i szyi.

— Czyż nie rodzimy się wszyscy, pływając? Myślę, że albo to pamiętasz, albo pozwalasz sobie zapomnieć.

Sirine zanurza się.

— Chodzi ci o to, że to jak jazda na rowerze?

— W zasadzie tak — odpowiada i na chwilę zanurza głowę, a potem unosi ją, śmieje się i dodaje: — Oczywiście o ile ktoś się rodzi, jadąc na rowerze.

Przesuwają się do jednego z cichych zakoli basenu, zaledwie parę metrów od miejsca, gdzie siedzi jej stryj, który snuje właśnie opowieści przed niewielką grupą uczonych. Niektórzy z nich wyglądają, jakby przysypiali. Inni wydają się zmieszani i znudzeni. Rozglądają się, wypatrując, czy ktoś nowy pojawił się na przyjęciu.

— Nie rozumiem — odzywa się Fred Perlman z Wydziału Historii. — Ta opowieść jest prawdziwa czy nie?

— Nie, i właśnie to jest wspaniałe — odpowiada ciemnooka kobieta w skórzanej sukni. — To jak granie w reklamach: trzeba tylko się temu oddać, być sobą, a wszystko wychodzi tak prawdziwie.

Stryj Sirine przytakuje i wskazuje na kobietę w skórzanej sukience, potem kołysze się w leżaku, szukając swojej filiżanki z czarną kawą.

— Widzicie? Ona właśnie wszystko zrozumiała. — Próbuje na nowo ustawić filiżankę w trawie. — Więc gdzie to ja byłem? Ach tak, Abdelraman Saladyn rozważa z konikiem morskim...

Sirine jest tak ciepło, że nie ma ochoty wychodzić z wody, więc siada na płytkim skraju basenu, z nogami unoszącymi się na wodzie. Han opiera się z drugiej strony, odchyła głowę do tyłu. W ciemności nie sposób odczytać wyrazu jego twarzy — jest w nim coś nieuchwytnego, jakby był daleko, ale zarazem w pełni zdawał sobie sprawę z jej obecności. Sirine, wyczerpana od pływania i gorąca, czuje, że mogłaby zasnąć w ciepłej wodzie.

Han staje obok niej.

— Popatrz tam — wskazuje na niebo. — Arabski półksiężyc.

Sirine spogląda na papierowocienki obwarzanek.

— Czemu go tak nazywasz?

— Przypomina mi księżyc w domu. — Spogląda na nią. — To dobry znak. — Opiera głowę na obramowaniu basenu. Przez chwilę przysłuchują się słowom jej stryja.

— Abdelraman Saladyn — mruczy Han.

— Co?

Han lekko unosi głowę. Jego spokojne, czarne oczy błyszczą.

— Opowieść twojego stryja. Jest taka znajoma.

— Znałeś ją już wcześniej? Han nie porusza głową.

— Ogólny nastrój. — Chyba lekko się uśmiecha. — W Iraku wszyscy opowiadają dowcipy i bajki. Zbyt trudno jest powiedzieć cokolwiek bezpośrednio.

Słuchają, jak stryj opisuje obyczaje syren. Sirine mokrą dłonią wygładza włosy. Od chloru zrobiły się grube i sztywne.

— To znaczy bajki są tajnym szyfrem?

— W Ameryce mówi się „tajny szyfr”, ale w Iraku po prostu tak się rzeczy mają. Wszystko jest ponakładane, warstwowe, trochę bardziej skomplikowane. Tutaj wszystko jest na widoku, na powierzchni. Przez cały czas wszyscy dokładnie opisują, co czują i co myślą. Próbują to przyszpilić.

— Czy to źle?

Han obraca nogami w połyskliwej wodzie, a Sirine czuje na swoich łydkach podwodne wirki. Stopy ma wygięte, jej nogi lekko kołyszą się w wodzie, do przodu i do tyłu.

— Och, nie, nie źle. Po prostu jest inaczej — odpowiada. — Na przykład tutaj musisz znać tylko jeden język, ale w wielu innych miejscach potrzebujesz więcej. Przyzwyczailem się do mówienia wielu rzeczy jednocześnie. Tak na wypadek, gdyby tajna policja była w pobliżu.

— Więc na przykład historie o rybach w rzeczywistości mówią o...

— Mogą mówić o wszystkim. O wojnie albo narodzinach. A może to sposób, żeby opowiedzieć o podróży albo snuć rozważania na temat miłości.

Jej śmiech tryska nerwowo. Sirine na chwilę wślizguje się pod powierzchnię i otwiera oczy. Widzi jego ciało, migoczące nogi, wygięcie klatki piersiowej, które unosi się ku powierzchni wody. Jest jej tak ciepło, wszędzie na jej skórze woda skwierczy w małych banieczkach.

Tej nocy, po przyjęciu, kiedy Sirine właśnie wybiera się spać na górę, stryj zatrzymuje ją w przejściu.

— I co? — pyta. Na spodniach ma trawiaste plamy, a jego głos jest jasny i niewyraźny od nadmiaru wina i kawy. — Co myślisz?

— O? — Sirine krzyżuje ramiona i opiera się o wygiętą poręcz schodów.

Stryj unosi brwi.

— Dobrze wiesz. O nim.

Sirine uśmiecha się i odwraca wzrok, ale na chwilę przemyka oczy.

— Och, nie wiem. Pewnie, że jest bardzo słodki. I nie wygląda najgorzej.

— Słodki... po dziewczynskiemu to chyba znaczy dziwny i głupi?

— Ale w nim jest też coś skomplikowanego... i czuję... — Sirine potrząsa ręką.

— Skomplikowanego? — Stryj drapie zarost, który pojawił się na jego brodzie, i zamyśla się. — Ale przecież jest wygnańcem, a oni wszyscy są pokręceni. Myślałem, że dziewczyny za tym przepadają.

— Co masz na myśli, mówiąc: wygnaniec? Że opuścił Irak?

— Że nie może wrócić. Bo jeżeli nie możesz czegoś mieć, to dwa razy bardziej tego pragniesz. Bo on potrzebuje kogoś, kto mu pokaże, jak żyć w tym kraju, a nie trzymać się tamtego.

— Cudnie. Zadanie. — Sirine na niby szturcha stryja w ramię, ale zastanawia się nad tym przez całą drogę po schodach. W Hanie jest rodzaj wewnętrznego światła. Dzięki temu staje się intrygujący, ale zarazem Sirine trudno popatrzeć na niego wprost — jest taki czarujący, wykształcony i światowy. Ale to coś jeszcze. Większość arabskich mężczyzn zawsze okazywała

jej wyszukaną uprzejmość, pełną stosowności rodem ze Starego Kraju, tak formalną, że wydawali się niemal nie dostrzegać jej, a tylko zarys z napisem: Kobieta. Tymczasem Han patrzy na nią — zauważyła to. I chociaż ledwo się znają, Sirine ma już wyraźne, zdumiewające uczucie, że kiedy on patrzy, to ją widzi.

Tej nocy, gdy Sirine kładzie się spać, wciąż czuje pod nogami i rękami falowanie wody w basenie. Leży w łóżku, dryfując. Gdy zapada w sen, wrażenie unoszenia się w wodzie miesza się ze snem o Hanie, który płynie głęboko pod wodą. Ona pływa tuż przy powierzchni i nie może go odnaleźć, ale wie, że Han jest pod nią, w ciemnej głębi, i tam zatacza nie kończące się koła.

Rozdział czwarty

W porządku, teraz jest zwykły dzień w małym portowym mieście Akaba. Abdelraman Saladyn umknął ostatniemu handlarzowi niewolników, aranżując utonięcie i dopływając do brzegu. Przez parę tygodni siedzi cicho, a nie dostrzegając burzy na horyzoncie, raz jeszcze wyrusza przez pocięte trzcina piaski, tym razem wracając na targ. Stopy ma muskularne, z podszwami miękkimi jak dłonie od chodzenia po plażach. Nikt nie potrafi mu powiedzieć, kim jest. Jest Abdelramanem Saladynem, synem uwolnionej Nubijki i zadłużonego irackiego Beduina.

W większości arabskich krajów niewolnictwo zostało zakazane już przed laty. Ale w Jordanii całe wsie zamieszkują wyłącznie potomkowie zbiegłych saudyjskich niewolników. Abdelraman wie, że mógłby być wolny, lecz zawsze pozostanie Arabem. Nikt nie chce być Arabem — to zbyt pradawne i zbyt tragiczne i zbyt tajemnicze i zbyt przykre i zbyt samotne, żeby ktokolwiek, prócz samych Arabów, mógł to długo znosić. W zasadzie jest to problem wizerunku. Można spytać kogokolwiek, Persów, Turków, nawet Libańczyków i Egipcjan — nikt z nich nie chce być Arabem. Mówią: cóż, właściwie jesteśmy indo-ruso-azjato-euro-Chaldejczykami. Więc w końcu Arabem pozostaje zawsze ten sam mały, stary Beduin ze swoimi kozami i owcami i ze swoimi wierszami o kozach i owcach, bo on nawet nie wie, że jest Arabem, a czego się nie wie, to nie boli.

Tymczasem oczy Abdelramana mają twardy, lakierowany połysk chrząszcza, a kiedy Abdelraman się śmieje, ludzie przerywają rozmowę. Wkracza na zakurzoną uliczkę targowiska i ogłasza, że jest na sprzedaż, i wszyscy podnoszą głowy.

— Pięćdziesiąt denarów — wykrzykuje — za te włosy, te oczy, pot moich ramion, za szerokość mojej piersi, pięćdziesiąt denarów, żeby mnie wziąć w posiadanie.

Wiele lat temu Abdelraman zastał swoją żonę w łóżku z innym mężczyzną i w jednym błysku przekonał się, że przez cały czas miał rację. Przypomniawszy sobie ten ciemny czas, zanim odkrył prawdę, wiele nocy, kiedy szeptała, że postradał rozum, uśmiechała się do jego oczu, przekonywała go, że oszalał. Zdał sobie sprawę, że równie łatwo być zdrowym na umyśle, co obłąkanym. Opuścił dom, przysięgając sobie, że nigdy więcej nie da się oszukać.

Abdelraman Saladyń, tak jak to ma w zwyczaju, wystawia się na sprzedaż na targowym placu. Klient, który właśnie się do niego zbliża, jest niewielkiej postury, z oczyma miękkimi jak rękawiczki. Ma zasłoniętą twarz, zawój na głowie i kompletną szatę, białą jak pierś ptaka. Jego głos to samo wyrefinowanie.

— Witaj, niewolniku — mówi. Ogląda go, okrąża trzy razy, sprawdza kończyny, przypatruje się białkom oczu. Wreszcie oświadcza: — Tak, tak, doskonale. Chcę cię kupić. Zbieraj rzeczy i chodźmy.

— Moja cena to pięćdziesiąt denarów — przypomina Abdelraman.

— Zapłacę ci sto — odpowiada Zasłonięty Mężczyzna.

— Spotkamy się jutro rano, w takim to a takim ukrytym miejscu wśród trzciny, na brzegu Morza Czerwonego — mówi Abdelraman Saladyń.

— O nie — szepce Zasłonięty Mężczyzna, a jego głos przenika przez zawoje jak dźwięk nostalgii i utraconej miłości, i zdają się z niego parować aromaty eukaliptusa, cyprysu i rzeki Tygrys. — Musisz iść ze mną od razu. Mam skłonność do tego, żeby tracić wszelkie zainteresowanie do rana. — A wypowiedziawszy te słowa, owija przegub Abdelramana siatką złotej nici i prowadzi go z sobą.

O jedzeniu Sirine nauczyła się dzięki rodzicom. Wprawdzie jej matka była Amerykanką, ale ojciec zawsze mawiał, że jego żona podchodzi do gotowania jak Arabka. Matka Sirine precedzała osolony jogurt przez gazę, żeby przygotować kremowy labne, na ciężkiej stalowej patelni mieszała cebulę i soczewicę na mdzedra, a jagnięce udźce nabijała grubymi ząbkami czosnku, aby przyrządzić pieczony karuf. W swoim najwcześniejszym wspomnieniu Sirine siedzi na książce telefonicznej, położonej na krześle. W powietrzu unosi się kwaśno-cierpki zapach marynowanych winnych liści. Matka rozpostarła je na stole, jak małe szybujące dłonie, na środku każdego umieściła łyżkę ryżu i mięsa, a Sirine swoimi malutkimi palcami zwinęła liście

ciaśniej i staranniej, niż ktokolwiek inny by potrafił — delikatne, czosnkowe, mięsne paczuszki, rozpływające się w ustach.

Aromat przygotowywanego posiłku zawsze przyciągał ojca do kuchni. Było to magiczne zaklęcie, które umiało go przywołać z pokoju obok, z piwnicy, z garażu. Gdziekolwiek był, zjawiał się, uśmiechnięty i głodny. A jeśli to było któreś z jego szczególnie ulubionych dań — gołąbki w liściach winogron, mdzeddra albo pieczony jagnięcy udziec — to pojawiał się w kuchni, jeszcze zanim danie było gotowe. Kiedy Sirine była małą dziewczynką, myślała, że matka właśnie po to gotuje — żeby zatrzymać męża w pobliżu, przywiązać go delikatną, złotą nicią zapachu.

Rodzice zginęli, kiedy miała dziewięć lat. Należeli do służby kryzysowej amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Wysłani na misję do Afryki, zostali zabici w potyczce między plemionami. W dniu, gdy Sirine dowiedziała się o ich śmierci, poszła do kuchni i całkiem sama przygotowała całą tacę winogronowych gołąbków. Potem jedli je ze stryjem przez cały tydzień, siedząc przy kuchennym stole. Sirine siedziała na książce telefonicznej ułożonej na krześle, machała nogami, jadła i wpatrywała się w tylne drzwi.

Wiele lat później, zatrudniając Sirine, Um-Nadia powiedziała, że nieraz miała sny, w których rozmawiała z jej matką o pracy i że matka Sirine stwierdziła: Tak, Sirine to kucharka do szpiku kości.

— Tak więc sprawdziłam twoje referencje — oświadczyła Um-Nadia. Potem jeszcze odczytała, co mówią fusy z kawy Sirine, i opowiedziała o znakach, wypisanych w czarnych śladach kawy na białej porcelanie: o ostrym nożu, bystrych rękach, białym fartuchu i smutku kucharza.

— Kucharze wiedzą: nic nie trwa wiecznie — rzekła do Sirine. — Do ust, i znika.

Sirine czasem chodzi spać tak wcześnie, że na niebie jest jeszcze szary muślin światła, a potem budzi się przed świtem. Um-Nadia mawia, że najlepsze jedzenie potrzebuje ciemności. To ona pozwala ciastu oddychać najwcześniejszym porankiem, a kebabom przez całą noc poić się winem i czosnkiem i — niekiedy — daje sposobność, by nadziewać małe ptaki, gołębie i ich pisklęta, i inne słodkie, dzikie ptactwo pod kręgiem księżyca, „gdy już wyswobodzą swoje pieśni”, jak mówi Um-Nadia. Sirine śni o kuchni i budzi się, myśląc o kuchni, nawet kiedy nie może znieść starego zapachu zjełczałego masła i oliwy, wczepionego w jej włosy. Stale wstaje zbyt wcześnie, żeby ucierać i rękami solić jagnięcinę i wachlować pietruszką po desce do siekania.

Król Babar, pies jej stryja, spaceruje z nią w bezsennym przedświcie. Powietrze jest gęste i wilgotne. Przysiada na jej gołych stopach, gdy Sirine przygotowuje marynaty, które chce zabrać do pracy, i wpatruje się w nią, z oczyma rozplływającymi się w wyrazie niewypowiedzianej miłości, kiedy wychodzi do pracy, jakby to było o wiele, wiele więcej, niż może znieść biedny, zaniedbany, skundlony terier.

W sobotni poranek Sirine czuje się wyczerpana. Gardło i wargi palą ją, jakby jadła surowy cukier. Mireille i Um-Nadia i Viktor Hernandez i czyściciel Cristobal i wczesni poranni studenci czują to samo. Niektórzy z nich wyglądają, jakby ruszyli do codziennych zajęć prosto z wczorajszego przyjęcia. Policjanci tulą głowy w dłoniach. Włosy Um-Nadii wciąż są zaczesane w pianisty kok, a niebieski cień z oczu rozmazał jej się aż nad brwi.

— No, to było przyjęcie — stwierdza Um-Nadia. — Przepadam za tymi fikołkami z limonką.

Drzwi podzwaniają i pojawia się uczeń Hana, Nathan. Um-Nadia obraca się powoli, z ręką przy skroni, żeby zobaczyć, kto przyszedł.

— Jest tu ten Amerykanin — mówi.

Nathan podchodzi do baru i siada naprzeciw miejsca, gdzie pracuje Sirine. Odsuwa na bok serwetkę i stawia na blacie aparat fotograficzny. Jego skóra wydaje się lekko zdarta, jakby wyszorowana z całej siły. Kręgi oczu mają soczysty, niebieskoszary kolor i kiedy na nią spoglądają, Sirine wyczuwa w nich coś ciężkiego jak aksamitne zasłony, coś, co on na wpeł wstrzymuje.

— Możesz się napić herbaty — mówi do Nathana Um-Nadia, stawiając parującą szklankę z łyżeczką w środku. — Może w końcu ktoś zrobi kawę.

— Um-Nadio — odzywa się Nathan. Marszczy się lekko, z góry na dół przygląda się jej włosom i twarzy. — Wygląda pani dziś inaczej.

Um-Nadia unosi brodę i ostrożnie poklepuje swój kok.

— Jestem zwolenniczką zmian wyglądu. Człowiek się od tego robi coraz młodszy i młodszy.

Mireille wychodzi z półmiskiem humusu i chleba.

— Mało brakuje, a będziesz całkiem bez wieku — stwierdza. Um-Nadia unosi brwi.

— Ona myśli, że nie wiem, co to znaczy. Ale ja wiem, co wszystko znaczy! — Zabiera Mireille humus i stawia go przed Nathanem. — Jedz — mówi. — Wyglądasz jak Etiopczyk. —

Po czym siada obok policjantów, żeby obejrzeć swoją beduińską operę mydlaną i wymownie obraca się do Nathana plecami.

— To chyba nie jest poprawne politycznie — odzywa się do niej jeden z policjantów.

— Co nie jest poprawne? — pyta Um-Nadia. — Etiopczycy? Nathan przesuwa talerz o czterdzieści pięć stopni. Ma kościste, sterczące ramiona — kiedy je unosi, przypominają skrzydła. Sirine podaje mu trochę świeżego chleba pita.

— Uważaj na parę, kiedy go będziesz rozrywał — mówi.

— Dziękuję ci za kunafę... wiesz... tamtego dnia — mruczy Nathan.

— Myślałam, że nic nie zjadłeś.

— Właściwie to nie przepadam za jedzeniem — ze spuszczonego wzrokiem mówi Nathan.

— Mmmm. — Sirine podchodzi do lady, pochyla się i z małego dzbanuszka wylewa na czubek humusu trochę oliwy, zielonej i aksamitnej.

— Spróbuj tak — zachęca.

Ale on żalobnie potrząsa głową. Jest taki chudy, jakby składał się z samych uszczypnięć i zgnieceń.

— Czy Han już przyszedł? — pyta. Sirine wyciera dłonie o fartuch.

— A miał przyjść?

Nathan uśmiecha się i unosi brwi. Sirine pospiesznie się odwraca, skupia się na wycieraniu.

— Co? — dopytuje się Nathan. — Co ja powiedziałem?

— To tylko to, jak na mnie patrzysz.

— Patrzyć?

Sirine wbija wzrok w ścierkę.

— Nie wiem. Jakbyś robił zdjęcie.

Nathan wybucha śmiechem. Podnosi gorącą herbatę, po czym z powrotem ją odstawia.

— Nic nie mogę na to poradzić, kiedy widzę cudowny temat.

Sirine muska włosy, splecione do pracy w nieporządny warkocz. Odsuwa ścierkę i zaczyna się rozglądać za patelnią.

— Na zdjęciach wychodzę koszmarnie.

— Wcale nie. Pięknie byś wyglądała. — Przechylił głowę i w powietrzu obrócił dłoń. — Jest w tobie coś, co przyciąga oko. To rzadka zaleta. Ludzie na ciebie patrzą i zapominają o różnych rzeczach. — Opuścił wzrok, twarz ma zaczerwienioną.

— A czy to dobrze? — Zdejmuje jedną z patelni z wieszaka na szynie pod sufitem i stawia ją na piecu. Szalona wyszywanka świetlnych wzorów przesuwają się po ścianach, odbita od szklanych drzwi, bo klienci wchodzi i wychodzą. — To niekoniecznie znaczy coś dobrego — dodaje Sirine.

— A co to za różnica, czy to dobrze? Dobrze to znaczy miło, przyjemnie, normalnie — wykrzywił twarz. — Ale tu nie tylko o to chodzi, nie tylko o twój wygląd. „Dobrze” to takie bla bla bla. A ty to co innego, taka skomplikowana.

— Ja jestem nudna.

— Nie jesteś — zaprzecza z przekonaniem.

Sirine spogląda na niego. Ma dziwne wrażenie — jakby łaskotało ją przecucie albo déj à vu — że on chce jej o czymś opowiedzieć. Odwraca od niego wzrok i zaczyna drewnianą chochlą zgarniać pomidory na patelnię.

— Szczerze mówiąc, czasem mi się wydaje, że w ogóle nikt mnie nie zauważa.

Drzwi znowu się rozdzwiają, wyrzucając na salę maleńkie gwiazdki. Nathan prostuje się.

— Chyba powinienem ruszać na zajęcia. — Wchodzi kolejni studenci, Nathan przygląda się im, a potem znów się sadowi. Miesza z herbatą strumyczek cukru z cukiernicy. — Późno się zapisałem na uczelnię i u Hana był już komplet, kiedy się pojawiłem, ale przekonałem go. Teraz twierdzi, że na mnie liczy: mam tam być, żeby mówić interesujące rzeczy w czasie zajęć. — I krzywo się uśmiechając, dodaje: — Nie jestem pewien, co on ma na myśli.

Sirine odgarnia pasemka włosów.

— Założę się, że świetny z ciebie student. Nathan zerka na nią.

— Nie. To Han jest świetnym profesorem. Nigdy wcześniej u kogoś takiego nie studio wałem. Zawsze się ma nadzieję spotkać takiego nauczyciela, tylko że tacy nie istnieją. A on istnieje, jest tutaj. Jak słuchasz jego wykładów, to masz uczucie, że rozbiera cię na części, kawałek po kawałku. Wydawało ci się, że coś wiesz? Nie, wszystkiego musisz się nauczyć od nowa. Odkrywasz, że musisz znaleźć nowy sposób poznawania. Słuchasz całym ciałem, a nie tylko głową, i widzisz, że on uczy tak samo, całym sobą. Wykłada historię muzułmańską i literaturę

arabską, ale jednocześnie uczy życia i sztuki i wiary i miłości... Oczywiście jeśli wiesz, jak słuchać.

— Jestem pewna, że ty wiesz.

— Jasne, że mam pewną przewagę. Jestem trochę starszy od innych i spędziłem jakiś czas poza szkołą, pracowałem... w świecie.

— Naprawdę?

Nathan pochyla się, wsparty na łokciach.

— Widzisz, ja specjalnie się tutaj przenieśliem, żeby u niego studiować, kiedy usłyszałem, że tu przyjeżdża. Nie wiem, czemu pozwala, żebym się koło niego kręcił. Pewnie jest mu mnie żal.

— Och, nie. — Sirine stuka łyżką o brzeg patelni, żeby ją oczyścić, odkłada ją i opiera przedramiona na barze. — To raczej nie jest w stylu Hana. Pewnie po prostu cię lubi.

Nathan opuszcza głowę, jakby nie mógł sprostać wyrazowi jej twarzy, poduszczyk dłoni pociera oczy, uśmiecha się, jakby miał się roześmiać sam z siebie.

— Trudno sobie to wyobrazić.

— Więc znałeś jego prace, tak? Czy on jest słynny jak Aziz?

— Aziz! — Nathan machnięciem dłoni odpędza tę myśl. — Nie, tylko że... od jakiegoś czasu śledzę karierę Hana. Wyszukuję jego eseje w pismach naukowych, jego artykuły o literaturze arabskiej i przekładach, cokolwiek. Jestem osobiście zainteresowany.

— Jak bardzo osobiście?

Nathan odrywa kawałek chleba, trzyma go tuż nad humusem, nawet go nie zanurzając.

— Mamy wspólnych znajomych. — Spogląda w dół, na humus, i wzrusza ramionami. — A poza tym... to znaczy poza sprawami osobistymi... uważam, że jest fantastyczny.

Krytyk kulinarny z „Los Angeles Times” określił kiedyś potrawy Sirine jako fantastyczne. Pamięta zarumieniony blask satysfakcji, jaką czuła, wpatrując się w ten jeden wyraz.

— Uważasz go za geniusza, czy coś?

— No cóż, geniusz? To zabawne słowo. Może i jakiś rodzaj geniusza. — Nathan kręci swoją szklanką z herbatą. — Mam chyba na jego temat trochę przemyśleń.

— Na temat Hana? — Sirine czuje zarazem zaintrygowanie i niepokój, nie jest pewna, czy chce usłyszeć te rzeczy. Zabiera się do otwierania główek czosnku i obierania papierowej skórki, okrywającej ząbki. — A może... może raczej byś mi opowiedział coś o sobie?

Nathan otwiera usta, po czym mówi:

— Och. Naprawdę. Wolałbym nie. — Wyciąga z paczki papierosa, bawi się nim nerwowo, wkłada niezapalonego do ust (Um-Nadia pozwala palić tylko po południu, między trzecią i wpół do siódmej). — To znaczy po prostu nie ma we mnie nic interesującego, nic do opowiadania.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Sirine obiera kolejny ząbek czosnku. — Jesteś fotografem i w ogóle. Jesteś bardzo interesujący.

— Nie, poważnie, niczym nie jestem. Najwyżej przerośniętym studentem, który sobie szuka życia.

Sirine śmieje się miękkim wydechem. Potrząsa głową i bokiem noża rozgniata czosnek.

— Kiedyś było ze mną... powiedzmy lepiej. Dawno temu. Ale teraz... czasem aż trudno mi wysiedzieć na krześle, trudno mi chodzić po ziemi. Jestem cały w proszku... — Rzuca jej pospieszne spojrzenie, jakby przerażony tym, co mu się właśnie wyrwało. — Cholera. Czy wszyscy to robią? Przychodzą do ciebie i zaczynają wygadywać niemożliwie pokręcone rzeczy? Sirine znów się śmieje.

— Och, cóż... — mówi. Ale rzeczywiście tak jest. Przywykła do tego, że mężczyźni zwracają na nią uwagę, że pragną zrobić na niej wrażenie albo przynajmniej sprawić, żeby nadal ich słuchała. Cicha, wzięta w niewolę publiczność za blatem baru i za pieńkiem do siekania.

— Tak czy inaczej pociesza mnie, że nie jestem jedyny — stwierdza Nathan. — Dużo jest podobnych ludzi. — Wkłada do ust papierosa i znów go wyjmuje. — W proszku. Tak jakby... — Macha dłonią. — Niektórych ludzi widzę na wylot. Tak mało w nich jest. Dlatego moje fotografowanie jest właśnie takie. Mam spojrzenie jak rentgen. I są ludzie tacy jak ty i Han. W was jest więcej. Warstwy, niespodzianki. A Han, no cóż... — milknie.

— Co?

— Nie — śmieje się Nathan.

Sirine spogląda na niego z ukosa, zastanawia się, co on właściwie myśli, lekko przygryza górną wargę.

— No cóż... — Nathan poufnie zniża głos i pochyla się do przodu. — No dobra. Słyszałaś o kiedyś o oryksach? — Wyciąga plastikową zapalniczkę i zapala papierosa. Jego poplamione dłonie lekko drżą. — Czarno-białe, z długimi, prostymi, spiralnie skręconymi rogami. Podobno to z nich wziął się pomysł z jednorożcem. Nie wiem, czy to prawda, tak tylko słysza-

łem. I jak poznałem Hana, to jakoś to mi od razu przyszło do głowy: oryks. Nie wiem dlaczego, one pewnie nawet nie żyją w Iraku. Niektórzy ludzie mówią, że to gazyłe albo antylopy, ale w rzeczywistości to inny gatunek, są większe i odporniejsze. Wspaniałe. I prawie całkiem je wyniszczono polowaniem. Różnią się od wszystkich innych zwierząt. Kiedyś bardzo chciałem je sfotografować, ale nigdy nie miałem okazji. — Patrzy na nią tak uważnie, że Sirine czuje, jakby wydobywał coś ukrytego wprost z jej skóry. — Zawsze chciałem jakiegoś zobaczyć, tak żeby wiedzieć, czy istnieją. Zawsze myślałem: gdybym mógł sfotografować oryksa, to miałbym jakiś dowód.

— Dowód na co? — pyta Sirine.

Nathan uśmiecha się, wydycha dym, wzrusza ramionami.

— Jeszcze nie wiem — odpowiada. — Po prostu dowód!

I właśnie w tym momencie otwierają się drzwi do kuchni na zapleczu, Um-Nadia wychodzi i wytrąca Nathanowi papierosa z ręki, jakby chciała pacnąć muchę. Macha na niego palcem, mówiąc:

— Żadnego palenia przed trzecią!

Kiedy Nathan pakuje książki i pospiesznie wychodzi, Sirine spogląda na talerz humusu, który wygląda, jakby z wierzchu została zlizana cała oliwa.

Rozdział piąty

Oczywiście nie należy zapominać, że jest to rodzaj zaszyfrowanej opowieści o miłości. Kto zresztą zna się na miłosnych opowieściach lepiej od Beduinów? Na przykład ten wiersz miłosny, w którym Beduin jest tak zakochany, że mówi o tym, jak jego wielbłąd kocha jej wielbłądnicę... Klasyka.

Ostatni nabywca Abdelramana Saladyna — Zasłonięty Mężczyzna — porusza się z gracją ptasiego śpiewu. Abdelraman przygląda się jego lekkim gestom, gdy razem przeciskają się przez zatłoczony suk, i zaplątuje się we własnych myślach, potyka o swoje emocje. Podejrzewa, że ten mężczyzna to jakiś dzin, który przybył, żeby wykraść go z wody — matka zawsze go uprzedzała, że tak będzie. Czuje, że mężczyzna zapętlil nitkę smyczy w kącie jego duszy.

Ulice Akaby to spiralne kręgi muszli, w letnie noce zatłoczone i skomplikowane jak serce kobiety. Chłopcy przesiadują na krawężnikach, rozmyślając nad miłością, kobiety przebiegają rękami włosy z lokami sztywnymi od morskiej soli, mężczyźni rozwijają aksamitne mo-

dlitewne dywaniki, z dłońmi na kolanach zginają się, podnoszą, kołyszą w morskie fale modlitwy. Zasłonięty Mężczyzna prowadzi Abdelramana Saladyna do nowej przystani na krańcu najruchliwszej ulicy, postrzępionej od piasku i poszarpanej w trzciny, muszle i szkło. Pogmatwane fale splatają się i rozplatają, sunąc, łamią się, cofają w niekończącej się dyspucie. Zasłonięty Mężczyzna wiedzie Abdelramana ku łodzi na przystani, do pradawnej feluki, takiej, jakimi żeglowali Portugalczycy, z wydłużoną łabędzią szyją i spiczastymi bokami, wygiętymi niby usta. Feluka śmieie kołysze się pośród innych łódek, które skrzypią i obijają się o jej burty. Żeby do niej dotrzeć, trzeba przeskakiwać z pokładu na pokład. Gdy Abdelraman staje na niej, łódka kolebie się, ale w miarę jak on przesuwają się po pokładzie, łódź sztywno się prostuje.

Abdelraman pierwszy raz w życiu rozgląda się za wiosłami, żeby zachować się, jak przystało na prawdziwego niewolnika. Ale Zasłonięty Mężczyzna mówi:

— Nie, usiądź, proszę. — Bierze z rufy zamiatające wiosło. Przerywają złotą nić, która ich łączyła, i wyruszają.

Nadia's Café zajmuje stary, zamieniony na restaurację dom z trzema głównymi pomieszczeniami: małą, zatłoczoną zbyt wieloma stolikami salą jadalną od frontu z rzędem obrotowych krzeseł wzdłuż chromowanego baru; otwartą kuchnię za ladą, gdzie jest ruszt ze srebrnym okapem, ciąg roboczy z blatem do siekania i okno nad zlewem; i kuchnię na zapleczu, za wahadłowymi drzwiczkami, pełną półek, szafek, z gigantyczną lodówką, pokrytym metalem stołem na chybottliwych, metalowych, rurkowatych nóżkach i pięcioma krzesłami, na których popękał winyl. Ściany z frontu kawiarni są pokryte paskami żółknących gazetowych recenzji z tytułami w rodzaju: „Ukryty skarb Aladyna!” albo „Bliski Wschód w Westwood”. Jest nawet oprawione, lśniące zdjęcie z autografem — to Casey Kasem, który kiedyś zatrzymał się w restauracji, żeby coś zjeść, i ogłosił, że robią najlepsze mdzeddra w mieście.

Kuchnia na zapleczu to schronienie Sirine, ulubione miejsce, w którym może usiąść przy stole, siekając marchew i snując myśli. Może popatrzeć przez okno na tylne podwórko i poczuć się, jakby znowu była dzieckiem, pracującym przy stole matki. Poniedziałki są przeznaczone na baklawę — nauczyła się ją robić, podpatrując rodziców. Matka mawiała, że ten, kto przyrządza baklawę, powinien mieć wrażliwe, zwinne ręce, więc to na niej spoczywało otwieranie i rozdzielanie papierowo cienkich warstw ciasta i układanie ich w stos na tacy. Zadaniem ojca było smarowanie każdej warstwy ciasta pędzlem zanurzonym w stopionym maśle. Ich praca była dobrze zorganizowana, ale pełna wdzięku — matka starannie odłączała każdą warstwę i ukła-

dała na tacy, a tam ojciec Sirine malował je masłem. Trzeba było się uwijać, żeby niepokryte masłem kawałki ciasta nic wyschły i nie zaczęły się kruszyć. Właśnie takimi sposobami Sirine dowiadywała się, jak bardzo jej rodzice się kochają — ich zsynchronizowane ruchy były jak taniec, razem płynęli zaokrąglonymi łukami rąk matki i czułymi posunięciami ojca. Sirine była dumna, kiedy pozwolili jej posmarować którąś warstwę. Jeszcze więcej dumy czuła, gdy mogła podnieść jeden z przezroczystych płatów i przenieść go na tacę — był lekki jak surowy jedwab, delikatny niby welon.

Ale we wtorek rano Sirine zasnęła. Spóźniła się do pracy i nie starczy jej czasu, żeby skończyć przygotowywanie bakławy, zanim zacznie się śniadanie. Mogłaby sobie darować dzień deserów i podać klientom lody i figi albo ciasteczka kokosowe i maślane ciasto z irańskiej piekarni Szusza, dwoje drzwi dalej. Ale bakława jest ważna — poprawia studentom humor. Zamykają oczy, nadgryzając jej chrupiące warstwy, samą lekkość i woń kwiatu pomarańczy.

I Sirine czuje niepokój, kiedy próbuje wziąć się za śniadanie, nie przygotowawszy wcześniej bakławy. Nie może znaleźć sobie miejsca. Wreszcie odsuwa na bok produkty potrzebne do śniadania i wyciąga tacę na bakławę, nie mając pojęcia, kiedy znajdzie czas, żeby ją dokończyć, myśląc tylko: cukier, cynamon posiekane orzechy włoskie, sklarowane masło, ciasto. Pracuje w zielonkawym świetle poranka, tak skupiona, że nie zwraca uwagi na stukanie do tylnych drzwi, nie słyszy nawet, że drzwi się otwierają, a jakiś głos odzywa się:

— Sirine?

W świetle z otwartego wejścia wiruje mgielka mąki i kurzu i ktoś tam stoi, światło pada na niego z tyłu.

— Och! — Sirine się prostuje.

— W porządku? Zaryzykowałem, pomyślałem, że będziesz tu wcześniej — mówi, wchodząc do środka. A światło łagodnieje i odwraca się, i Sirine poznaje Hana. — Przyszło mi tylko do głowy... to znaczy... chciałem się tylko przywitać. — Spogląda na blat, na którym piętrzy się ciasto filo. — Przepraszam. Wepchnąłem się tu w nieodpowiednim momencie, prawda?

Sirine przygląda się jego palcom. Przypomina sobie ich podwodne muśnięcie.

— Co?

Sirine uśmiecha się.

Zdąży z bakławą, jeśli będą ją robili razem. W wielkiej szufladzie szuka drugiego fartucha, pokazuje mu, gdzie ma stać, jak podnosić płatek ciasta filo za brzeg, ostrożnie, precyzyjnie

odklejać, szybkim ruchem przenosić ze złożonych płatów na tacę i wreszcie jak układać na czubku. Han dokładnie się przygląda, nie zadaje żadnych pytań, po czym idealnie nakłada następny kawałek ciasta. Sirine smaruje go sklarowanym masłem. I chociaż nigdy nie umiała tańczyć, zawsze sztywniała i próbowała prowadzić, kiedy jej partner mruczał: odpręż się, odpręż, i choć bardzo niewiele osób umie razem z nią gotować i poruszać się po kuchni, wygląda na to, że ona i Han wiedzą, jak razem zrobić baklawę. Jest zdumiona, że odczuwa jego obecność w ramionach, że to uczucie biegnie przez ręce aż do przegubów, do dłoni. Jej zmysły skupiły się w jednym miejscu, jak ręce ściskające bukiet, skórę ma wrażliwą na dotyk. W głowie czuje lekkość. Przypatruje się płynnym poruszeniom jego nóg, rąk i karku, ciemnej grzywie jego oczu. On przenosi płatki, ona smaruje je kuchennym pędzlem, zatracą się w kołyszącym ruchu. Wchłania mocne wygięcie jego szyi i ramion, jego skóra jest jedwabiście brązowa, w oczach ma zaledwie ślad bezsenności, zwrócone do wewnątrz, samotne światelko.

— To mi przypomina... — odzywa się Han.

— Przypomina ci? O czym? Han kiwa głową.

— O kuchni. Nigdy specjalnie nie lubiłem przebywać w sadzie ojca. Woląłem to. Garnąłem się do kuchni. Stół. Piec. Gdzie kobiety stale snuły opowieści. Moja matka i moje ciotki i sąsiadki i... moja siostra. — Wyglądza kolejny płatek.

Sirine smaruje go masłem, po czym nalewa na wierzch grubą warstwę nadzienia z siekanych orzechów włoskich, cukru i przypraw. Głaszcze, żeby wyrównać wierzch.

— Moja matka też — szepce. — Cóż, zwykle byłyśmy tylko ja i ona. Rozmawiała ze mną, kiedy pracowałyśmy. Opowiadała mi różne rzeczy.

Han zerka na nią.

— Jakie rzeczy?

Sirine uśmiecha się i wzrusza ramionami, trochę zawstydzona.

— Och, takie głupstwa, na przykład, czy się leje gorący syrop na zimną baklawę, czy zimny syrop na gorącą.

— To jak najbardziej poważne, metafizyczne.

Sirine zastanawia się nad tym, zaskoczona wspomnieniami, które zaczynają do niej powracać: tym, jak drobne wskazówki matki wydawały się wielkimi sekretami, kiedy Sirine była dzieckiem, jak pouczenia na temat dokładnego siekania orzechów i sposobu klarowania zmieniły się w medytacje nad miłością i oddaniem.

— Tak — mówi, a w jej głosie świta miękkie rozpoznanie. — Ja też tak myślę.

— Och, zdecydowanie. Matka mi mówiła, że gdybym wiedział, jak robić dobrą baklavę, to żadna kobieta nie mogłaby mi się oprzeć.

— Ach, więc to ona cię nauczyła, jak się robi baklavę — wtrąca Sirine.

— Nie. Nie zgadzała się mnie nauczyć. Sirine wybucha śmiechem.

— Ale i tak jakoś się nauczyłeś ją robić. Na moje szczęście.

— Tak naprawdę, to uczę się właśnie w tym momencie. Kolejna warstwa. Masło. Sirine zerka na niego, potem znowu na baklavę.

— Brakuje ci tego? Han podnosi wzrok.

— Brakuje mi...? Kuchni? Mojego domu? — Przypadkiem odrywa róg płátka ciasta, które zaczęło wysychać. — Brak mi kawy mojej matki. Tęsknię za mej matki chlebem.

Sirine unosi brwi.

— To wiersz. Nie mój. — Robi minę, próbując przykleić oderwane ciasto. — Nie, Sirine, tęsknię za wszystkim. Absolutnie za wszystkim.

— Powiedz mi o czymś, za czym tęsknisz — wyglądając masło na cieście, mówi Sirine. — To znaczy, za czym szczególnie tęsknisz.

— Mmmm, szczególnie. — Han odrywa następny płát ciasta. — No dobrze. Jest jedna rzecz: na naszej ziemi mieliśmy studnię. Była otoczona wielkimi, splekanymi palmami. Wszyscy Beduini z niej korzystali. Stałem z nimi w jednej linii, trzymając dwa wielkie metalowe wiadra, a oni wyciągali wodę staromodną korbą i wylewali ją z cebrzyka do moich wiader. I piłem kubek tej wody, gdy tylko wypłynęła z ziemi. Była taka zimna, że w uszach mi dzwoniło. I smakowała jak... nie wiem, była taka dobra, smakowała jak skały i wiatr i czysta esencja zimna.

Sirine nakłada więcej masła na pękający kawałek. Niemal czuje zimną słodycz tej wody, jakby próbowała jej wcześniej i wiedziała, jaka jest dobra, i ogarnia ją dzikie pragnienie, żeby napić się jej tu i teraz.

— Mogę to sobie wyobrazić — mówi. — Mogę sobie dokładnie wyobrazić, jak to smakowało.

Han ostrożnie układa następny płatek ciasta, pociągając za końce, żeby rozprostować zmarszczki.

— Stary Beduin pilnował dla nas tej studni. Miał cienkie kości, lśniące włosy i przezroczyste oczy, pół jastrzęb, pół człowiek, jak tyłu pustynnych Beduinów. Nazywał się Abu-Nadžmeh, miał małego żółtego psa, na którego wołaliśmy Zibde, i Abu-Nadžmeh sypiał na siedząco,

przy studni, ze strzelbą w ramionach i psem u stóp. — Han uśmiecha się. — Od lat o nim nie myślałem. Wycelowałby w każdego, kogo podejrzewał, że chce ukraść wodę. Włącznie ze mną i moją siostrą. Ale nie za często strzelał. Zwykł mawiać: Nie ma większego złota niż woda, dzięki niech będą Allahowi.

Sirine uśmiecha się. Poklepuje kolejną spękaną warstwę, muskając ją pędzlem.

— Pewnego razu, kiedy szedł przez miasto, znalazł na śmietniku za jednym z wielkich hoteli dwa dziecięce rowery. Po prostu wyrzucone. Może jakiś dyplomata kupił je dla dzieci, kiedy tu przyjechały, a potem nie chciało mu się wysyłać rowerów do domu, jak dzieci wróciły. W każdym razie Abu-Nadźmehowi, który przez całe życie ani nie słyszał o rowerze, ani żadnego nie widział, wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, na jakiej zasadzie działają. Jeden dał mnie, a drugi mojemu przyjacielowi Samiemu i nauczył nas jeździć, biegając obok roweru. Miał sześćdziesiąt sześć lat, szabla majtała mu u pasa, na grzbiecie miał strzelbę, zawój frunął za jego głową, a w obu rękach trzymał kierownice rowerów.

Sirine śmieje się i ściąga płat ciasta ze środka, rozrywając go. Próbuje go z powrotem przyciągnąć na miejsce, przygryza dolną wargę.

— Jak myślisz, wrócisz tam? Jego plecy sztywnieją.

— Nie mogę wrócić — odpowiada. — Do Iraku? Nie. Sirine przechyla miseczkę z masłem.

— Czemu nie?

— No, oczywiście nie w takiej sytuacji, jaka jest teraz. To bardzo niebezpieczne, trzeba zacząć od tego, że bardzo trudno mi było się wydostać z kraju. — Han próbuje przyklepać ostatnią, pękniętą warstwę ciasta, żeby się na nowo zlepiała. — Ale i tak część mnie nigdy nie przyjmie do wiadomości, że nie ma powrotu. Muszę sobie o tym przypominać. Trudno to sobie wyobrazić. Więc powtarzam sobie: jeszcze nie teraz.

— Jakie to okropne — mówi Sirine. To, co powiedział Hanif, przypomina jej wrażenie, jakie sama miewa: poczucie, że coś zna i nie zna zarazem. Nieraz czuła, że czegoś jej brakuje, lecz nie całkiem wiedziała czego. Ale zarazem nie jest pewna, co Han ma na myśli, mówiąc o zagrożeniach i o tym, że trudno było wyjechać, a jednocześnie krępuje się go spytać i ujawnić swoją niewiedzę. Nie śledzi aktualnych informacji i teraz jej wstyd, że tak mało się interesowała rodzinnym krajem swego ojca. Z roztargnieniem opuszcza pędzel i przypadkiem smaruje mu masłem palce. Rumieni się, pospiesznie obciera mu rękę fartuchem.

— Och, bardzo mi przykro — przeprasza.

Jego dłoń jest ciepła, palce splatają się z jej palcami.

— Możesz mi smarować ręce masłem, kiedy tylko zechcesz — mówi Han, po czym zaczyna kasłać. Wygląda na zmieszanego. Drzwi kuchni otwierają się energicznie i do środka wchodzi Um-Nadia. Widząc ich, zastyga w miejscu, z rozszerzonymi oczyma, wymalowanymi tuszem rzęsami jak kolce, a na jej twarzy rozbłyskuje promienny uśmiech.

Po wyjściu Hana Sirine przechodzi do otwartej kuchni od frontu. Właśnie przygotowuje się do południowej godziny szczytu, kiedy Victor z mopem przeciska się przez drzwi z zaplecza.

— Witaj, szefie kuchni — mówi i przez parę minut macha dookoła mopem. Potem rzuca: — A więc... robiłaś z Hanem baklawę?

Sirine opuszcza łyżkę, spogląda na niego.

— Ciekawski.

Victor uśmiecha się, opuszcza głowę ku mytej posadzce.

— A tak przy okazji — dodaje, przecierając podłogę wokół Sirine — podoba mi się twoja różyczka.

Sirine marszczy twarz, a potem zagląda do kuchni z tyłu i dostrzega kartkę papieru, wystającą spod deski do krojenia. Papier listowy uniwersytetu. W rogu zabawny rysunek wygiętej w łuk, uskrzydłonej ryby, a pod spodem numer telefonu i adres. Sirine rozwija kartkę. „Sirine, jestem bardzo marnym kucharzem. Ale jestem pilnym uczniem. Czy zechciałabyś jutro wieczorem spotkać się ze mną na kolacji? Szczerze oddany, Hanif. Obok liściku leży rzodkiewka, wycięta w kształt kwiatu.

Rozdział szósty

Późnym wieczorem Sirine schodzi na dół i zastaje stryja, wyjadającego resztę falafli z wielkiego talerza. — Wiesz, ile w tym jest tłuszczu? — pyta go Sirine. — A może tak trochę pysznego jogurtowego labne z ogórkami?

Stryj przypatruje się jej z namysłem i odkłada pół falafła.

— Jesteśmy przy rozdziale... no, którym? Trzecim? Siódmym?

Sirine wzdycha.

— A czy zostały jeszcze jakieś ciastka?

Skoro znaleźli się poza zasięgiem innych statków, Zasłonięty Mężczyzna stawia żagle i ruszają na fale z błękitnymi wiatrami. Zdaje się, że w mgnieniu oka znaleźli się w sercu Morza Czerwonego. Abdelraman słyszy nawoływania koników morskich, tęskne promieniowanie manty, okrzyki syren i syrenów: Abdelramanie Saladynie! Gdzie jesteś?

Zbierając całą siłę woli, zaciska oczy i wstaje. Ale zaczyna drżeć i na nowo siada. Myśli, że za długo czekał, morze go zniesie. Lecz co się zdarzy, jeśli zostanie z tym dżinem? Wstaje raz jeszcze, ale jego drzenie przybiera na sile, więc znowu siada.

Przez chwilę prostuje się tak i opada, a tymczasem woda robi się coraz bardziej wzburzona, a łódź staje się coraz mniejsza. Tak się składa, że Abdelraman właśnie stoi, gdy Zasłonięty Mężczyzna sadowi się wygodniej i nalewa im po filiżance kawy. Po czym zaczyna opowiadać:

— Pochodzę z plemienia Beni-Sakr. Po tym, jak nakładam zawój, możesz poznać, że należę do ludzi pustyni. Ale może nie wiesz, że Beduini byli niegdyś wodnym ludem, że tam, gdzie teraz są wydmy, kiedyś były szafirowe fale.

— Więc to dlatego jesteś tak wprawnym żeglarzem! — zdumiewa się Abdelraman, mierząc wzrokiem długi, misterny zawój, okrywający głowę i twarz mężczyzny, z czerwoną wstęgą pośrodku. Zdaje sobie sprawę, że stoi, i siada pospiesznie.

Zasłonięty Mężczyzna wzdycha, jakby się zastanawiał, czy to możliwe, by jedna istota prawdziwie zrozumiała drugą.

— Nie, niestety ani ja, ani moi współplemieńcy nie pamiętamy morza — odpowiada. — To zapomniany język. Ale ta opowieść zaczyna się od morza, niedługo po dniu moich szesnastych urodzin, kiedy poślubiłem stryjeczną kuzynkę. Niektórzy utrzymują, że celem małżeństwa jest połączenie bogactw i wzmocnienie rodziny. Ale dla nas znaczyło ono o wiele więcej. Kiedy zostaliśmy zaślubieni, poczułem, że nasze dusze się rozpoznały, może z poprzedniego życia, i przylgnęły do siebie. Po naszych zaślubinach byliśmy nierozłączni.

— Ale coś się stało, prawda? — pyta Abdelraman Saladyn. Nerwowo rozgląda się po złowrogo wzbierającej wodzie i powstaje.

Zasłonięty Mężczyzna wydaje się uśmiechać.

— Widzę, że opowieści nie są ci obce! Zawsze musi się coś stać, nieprawdaż? Nie może być prostego „i żyli razem szczęśliwie” i tak dalej... A więc rzeczywiście, coś się stało: moja towarzyszka i ja wędrowaliśmy po wielkich handlowych szlakach pustyni, w każdym z miast, które odwiedzaliśmy, mając na wymianę hafty, przyprawy i zwierzęta. Byliśmy w karawanie,

zmierzającej do miasteczka Dżidda, wtulonego w wybrzeże Zatoki Arabskiej. Jeszcze nikt z nas nie wyprawiał się tak daleko od brzucha pustyni. Po raz pierwszy mieliśmy wszyscy zobaczyć ocean i zastanawialiśmy się, jak on może wyglądać. Niektórzy mówili, że toczy się po niskim nabrzeżu niby tysiąc tysięcy kamieni, inni, że płynie jak stopione szkło.

Trzy tygodnie zabrała podróż z Wielkiej Pustyni do oceanu. W miarę jak się zbliżaliśmy, piasek zaczął wydawać rozmaitość poskręcanych roślin, wielbłądzich wrzośców, drażniących cierni i zwiniętych paproci. Nie zwracałem na to wiele uwagi — czekałem, by zobaczyć wodę. Najpierw wyczułem jej wysoki, oczyszczający zapach. Potem ją usłyszałem, pomruk, narastający stopniowo aż do warczenia. Zakryłem uszy i spojrzałem w górę i zobaczyłem chmury lśniące jak jedwab, a potem popatrzyłem na dół i moje oczy napełniły się płonącym, spienionym morzem. Odruchowo poszukałem dłoni mojej ukochanej, ale ku mojemu zdumieniu nie było tam nikogo. Wtedy ujrzałem, jak ktoś zbiega po nabrzeżu.

— I to była...? — Abdelraman niecierpliwi się, czuły na kołysanie wody, która ich otacza.

Zasłonięty Mężczyzna przytakuje.

— Oczywiście, moja jedyna ukochana. Ta, która w ciągu pięciu lat stała się źrenicą mojego oka, nieodzowną mi jak sól i powietrze. I oto moja Niezrównana, mój Diament Diamentów, moja Róża biegła wprost w ogromne, błękitne objęcia.

Tego wieczoru, wracając z pracy, Sirine słyszy skomlenie i płacz Króla Babara, zanim jeszcze otworzy drzwi. Pochyliła się nad nim, a on skacze w jej objęcia i opiera się o pierś, zagrzebuje nos w jej włosach. W niedziele i poniedziałki, jedyne wieczory, gdy Sirine jada w domu, bo restauracja jest zamknięta, Król Babar przez cały posiłek siedzi jej na kolanach. Przysypia, na wpół budzi się tylko po to, by skubać kąski, które Sirine wsuwa dla niego pod stół, i odpływa w słodki sen miłości, jedzenia i zapomnienia. Przez resztę tygodnia Sirine jada w pracy i kładzie się spać prawie natychmiast po powrocie do domu, żeby następnego dnia znowu zacząć wcześniej rano.

Dzisiaj, zgodnie z wewnętrznym zegarem Króla Babara, Sirine powinna położyć się wcześniej, ale ona przebiera się, na ciepły wieczór zakłada obłoczek zielonej sukienki. Król Babar idzie za nią do frontowych drzwi, przygląda się, wpatrzony w jej twarz. Sirine całuje go na pożegnania, z leciutkim ukłuciem żalu, że go zostawia.

Sprawdza adres, który dostała od Hana — okazuje się, że jego mieszkanie też jest w zachodnim Los Angeles, właściwie można tam dojść na piechotę. Wyprowadza swój poobijany,

trójprzerzutkowy rower, prowadzi do frontowego wyjścia, unosi spódnicę, omotuje ją sobie wokół nóg i rusza.

Rower Sirine toczy się cichymi ulicami, w falach światła z ulicznych latarni. Han mieszka w bloku, wtapiającym się we wszystkie inne bloki wzdłuż ulicy. Noszą nazwy w rodzaju Del Mar, Vista i Casa Lupita, rzędy balkonów, szklane płyty, otoczone palmami daktylowymi, bugenwillami i bananowcami. Ulica połyskuje, w księżycowym świetle wygląda ulotnie jak miraż. Sirine stoi przed budynkiem Cypryjski Ogród, sprawdza numer, wypisany na dłoni. Przez chwilę sobie wyobraża, że jeśli zamknie oczy, cała okolica zniknie — tak właśnie mawia o Los Angeles jej stryj: zamknij oczy, a ono rozplynie się w powietrzu.

Domofon przy wejściu jest zepsuty, drzwi przytrzymuje płaski, nakrapiany kamień. To starszy budynek, wzniesiony wokół podwórza z sennym, piżmowym zapachem gnijących róż, jaśminu i kurzu. Sirine wchodzi do windy, której drzwi zamykają się, grzechocząc. Wzbija się w górę pośród niezliczonych drgnień i wodnych westchnień. Winda jęczy i trzęsie się aż do piątego, najwyższego piętra. Sirine na chwilę zatrzymuje się przed wejściem do niej, oddycha przez nos. Numer 503. Unosi pięść i niechęć stuka zbyt głośno.

Han otwiera drzwi natychmiast, jakby czekał tuż za drzwiami. Bierze ją za rękę. Dotyk przenika ją aż do kręgosłupa. Jest taka nerwowa, z wyostrozonymi zmysłami, uświadamia sobie tylko po jednej rzeczy naraz: pomalowany skraj framugi, gdy Han wprowadza ją do środka, stosy, stosy książek, ułożonych jedna na drugiej, niebieska tkanina, rozpostarta na podłodze, powietrze wibrujące aromatem gotowania. Z jakiegoś powodu przychodzi jej na myśl słowo „Afryka”. Jeszcze raz spogląda na Hana — świeżo ogolony, włosy zaczesane do tyłu, z pasmami opadającymi na brwi. Właśnie z roztargnieniem odgarnia je ręką. Wygląda, jakby nie całkiem wierzył, że ona naprawdę tu jest. Mieszkanie pachnie tymiankiem i sumakiem i czymś bogato, perłowo słodkim. W tej lakierowanej atmosferze Han wydaje się inny, twarz ma miększą, jakby wszystkie emocje wypłynęły na powierzchnię ciała, tak że Sirine w dotyku ręki czuje go całego. Podchodzi do niej pół kroku, a żółte światło zaczyna migotać.

Mówi coś głosem tak niskim, że Sirine musi przechylić głowę, żeby usłyszeć.

— Jesteś... Wyglądasz...

Niebieska tkanina na podłodze pulsuje kolorem. Rozbłyskuje jej pod powiekami i wypełnia głowę i przez chwilę uczucie — intensywne, przenikające atomy pożądanie — jest takie samo, jak ten morskobłękitny kolor u ich stóp.

Sirine uśmiecha się.

— ...pięknie — mówi Han.

Potem jeszcze o coś pyta, ale ona rozgląda się, przez chwilę nieuważna, i musi się odrobinę od niego odsunąć, żeby go usłyszeć. Spytał, czy może jej podać coś do picia. Ona ledwie kiwa głową. Okazuje się, że na obrazie okna jest pełno gwiazd. Sirine patrzy i patrzy. Między czarnymi połaciami nieba rozbrzmiewa dźwięk nieuchwytny jak brzęczenie pszczoł albo odległe dzwony. Po chwili Sirine zdaje sobie sprawę, że to kobiecy śpiew. Han wychodzi, a potem wraca z okrągłymi pucharami purpurowego wina.

— Jak ślicznie — mówi Sirine. — Jaki ona ma śliczny głos.

— To Fairuz — wyjaśnia Han. — Chciałem dla ciebie włączyć jakąś amerykańską muzykę, ale zdaje się, że chyba żadnej nie mam. Chciałem ci dzisiaj zrobić stuprocentowo amerykański wieczór.

— Ale ja nie jestem stuprocentową Amerykanką — mówi Sirine.

— Więc mam nadzieję, że mi powiesz, kim jesteś — odpowiada Han.

Sirine idzie za nim do kuchni, gdzie wilgotna smużka wije się z pieca. Podziwia kwadratowy kształt jego dłoni i to, jak chwytają drzwiczki piekarnika. Wciąga powietrze i uświadamia sobie, co to za zapach.

— Och! Przygotowałaś mieloną pieczeń? Han wyciąga ją, rękaw mięsa.

— Czy taką robiła mama?

Gałązki brokułów, gniecione ziemniaki, szpulki sosu, pokrojone poduszeczki białego chleba. Ześlizgują się na talerz Sirine, lśniąc od masła. Pod przypieczoną skórką pieczeń, ozdobiona słodkimi bajorkami keczupu, jest cebulowa i zwarta. Na blacie leży poplamiona jedzeniem *Radość gotowania* i książka Betty Cocker w oprawie przypominającej czerwony pled, obie pożyczone z biblioteki. Sirine jest pod wrażeniem. Nikt nigdy nie próbuje dla niej gotować. Nieczęste domowe kolacje u przyjaciół są podawane z napięciem i usprawiedliwieniami. Ale Han, z lekko wilgotną, różową od kuchennego żaru skórą, wygląda tylko na podekscytowanego i zaintrygowanego tym nowym rodzajem gotowania, zmianą składników, która przypomina przejście z ojczystej mowy na obcy język: masło w miejsce oliwy, ziemniaki zastępujące ryż, wołowina zamiast jagnięcia. Sadowi ją na poduszce na błękitnym materiale, a potem rozstawia przed nią na tkaninie naczynia. Siada naprzeciwko, muska ją kolanem. Dotykają się, Sirine pochyla się, żeby sięgnąć po misę z ziemniakami. Ich kolana znowu się muskają.

Han próbuje każdej potrawy, wpatrując się w Sirine, więc posiłek przypomina pytanie. Ona kiwa głową i szczerze go chwali.

— Mmmm, ta pieczeń, jakie bogactwo smaków, jajko i tarta bulka, i te kawałki cebuli są takie dobre, i jest tu trochę ostrej papryki i musztardy w proszku, prawda? To pyszne. A w sosie jest coś takiego... coś...

— Masz na myśli keczup? — podpowiada Han.

— Och, tak, chyba tak — z uśmiechem przytakuje Sirine.

— To niezwykle.

Sirine lekko się uśmiecha, przechyla głowę, niezbyt pewna, co Han ma na myśli.

— Co?

— To, jak smakujesz jedzenie... — Han gestykułuje nad daniami, unosi w palcach kawałek pieczeni, jakby to była oliwka. — Rozpoznajesz wszystko, co tu jest, tak dokładnie.

— Och, nie — śmieje się Sirine. — To takie oczywiste, każdy może to zrobić. Chodzi o to, żeby wyczuć smakiem miejsce pochodzenia, skąd to wszystko się wzięło. Rzecz jasna to nie dotyczy keczupu.

Han przygląda jej się, po czym delikatnie bierze jej rękę i całuje palce.

— W takim razie myślę, że twoje miejsce pochodzenia jest tutaj.

Sirine znowu wybucha śmiechem, zawstydzona jego intensywnością.

— No, tego nie wiem, ale myślę, że jedzenie powinno smakować tym, skąd pochodzi. Zwłaszcza dobre jedzenie. Możesz to jakoś prześledzić z powrotem. Wiesz, najlepsze masło ma w smaku coś z łąk i kwiatów, o to chodzi. Rzeczy pokazują, jakie są ich początki.

— To na pewno dlatego wydajesz mi się taka amerykańska — nieśmiało odpowiada on i spogląda w dół, do swojego kieliszka z winem.

Sirine nie całkiem rozumie, co chciał przez to powiedzieć, ale najwyraźniej nie robi to wielkiej różnicy. Nocne chmury falują za drzwiami balkonowymi jak rybie ogony. W powietrzu czuć zapach pustynnej soli. Dopija swoje wino, a on jej dolewa. Przyciąga ją miękkie wycofywanie się w jego wzroku. Jakby nie w pełni był w tym pokoju — jego spojrzenie delikatnie przechodzi to na nią, to w jakieś ukryte, wewnętrzne miejsce. W oczach odbijają się i lampy z kuchni, i nocne chmury. Sirine pochyla się bliżej, skórę ma rozgrzaną. Jego zapach i bliskość dezorientują ją.

— Więc... — Sirine rozgląda się przez chwilę. — Ach, więc właściwie nie masz w ogóle mebli. To dosyć niezwykle.

Han spogląda za siebie, jakby właśnie to odkrył, po czym potrząsa głową.

— Niezbyt tu wygodnie, prawda? Po prostu... jakoś nigdy mi to nie przyszło do głowy... to znaczy, że będę potrzebować takich rzeczy, jak krzesła czy półki na książki. Tyle razy się przenosiłem ze szkoły do szkoły, zmieniałem miejsca, gdzie wykładałem i miałem z milion różnych mieszkań. Nic mnie nie zachęcało do kupienia mebli. Chyba uważałem, że to by było jak zobowiązanie się wobec miejsca.

Sirine unosi brwi.

— Ale w taki sposób nigdy nigdzie naprawdę nie zamieszkasz, zawsze będziesz myślał o tym, gdzie pojedziesz dalej. Nigdy nigdzie nie będziesz do końca.

— To prawda — przytakuje on. Na twarzy ma przechylny uśmiech, jakby Sirine właśnie go na czymś przyłapała.

— Więc... — Sirine dotyka skraju kieliszka. — Myślisz, że mógłbyś żyć tutaj?

— Tak mi się wydaje. — Patrzy na nią przez chwilę. — Właśnie tego próbuję się dowiedzieć.

Wtedy jej wzrok ześlizguje się — Sirine patrzy na jego rękę, gładkie wnętrze dłoni, o tyle jaśniejsze od skóry na grzbiecie ręki, kratownicy ciemnych zmarszczeń. Znowu komentuje potrawę, a potem muzykę. Przygląda się jego dłoni, dolewającej im obojgu wina. Głos śpiewaczki wibruje, zdaje się wplatać w misterną pieśń to, co unosi się w powietrzu między nimi.

Han kiwa głową i nalewa jej jeszcze wina.

— Ta piosenka ma tytuł *Andaluzja*. To było miejsce, gdzie Żydzi i muzułmanie żyli razem i stworzyli wspaniałe dzieła filozofii i architektury. Takie rzeczy, do jakich ludzie się biorą, jeśli zostawić ich na chwilę na słońcu.

— Naprawdę muzułmanie i Żydzi tworzyli coś razem? — dziwi się Sirine. Przymyka oczy i małymi łydkami popija wino, czuje smak wiśni i dębu, i miękkie echo rodzynek i smoły. — Pomyśleć tylko.

— Och, tak, bystrzy byli — Han mówi tonem poufności, jakby zdradzał sekret. — Widziałeś Alhambrę, te wspinające się spirale i łuki? Bardzo bystrzy. To niezwykle miejsce, nie-raz je odwiedzałem.

— Co się z nimi stało?

— Z Andaluzyjczykami? Och, rozproszyli się, rozegnani, podbici. Wyprzedzili swoje czasy.

— To cudowne, widziałeś tyle miejsc. Han podnosi ramię, pozwala mu opaść.

— Naprawdę czasem mam wątpliwości, czy to coś cudowniejszego, niż zostać w domu.
— Spogląda na okruchy na jej talerzu, a potem na Sirine. — Najadłaś się? Jesteś jeszcze głodna? — Ten głos szmerze na jej obojczyku jak koniuszki palców.

Sirine wybucha śmiechem. Odstawia kieliszek z winem — szkło kołysze się, więc musi je przytrzymać.

— Naprawdę zjadłam dosyć. Najadłam się po uszy. Han odkrawa plasterek z pieczeni w rondlu i bierze go końcami palców. Podnosi do jej ust.

— No, proszę — zachęca. — *Min idi*.

Z mojej ręki. To, co najbliżsi przyjaciele mówią sobie, żeby wyrazić, jak bardzo się o siebie troszczą. Otwiera usta i przypomina sobie, jak ojciec podawał jej kawałek chleba, *min idi*, mówił. I Han wkłada jedzenie do jej ust.

Odnoszą naczynia do gładkiego, białego zlewu, do małej kuchenki, i przez chwilę sprzeczą się, kto ma zmywać, i w końcu zmywają razem, zderzając się ramionami, potem łokciami, potem biodrami.

Po zmywaniu i następnym kieliszku wina Han odpowiada na pytania Sirine o islam — jest ciekawa, w jej rodzinnym domu nie praktykowano formalnej religii. Opisuje jej, jak wygląda wnętrze meczetu, jego czysta, otwarta sala modlitewna, i po długich namowach na zewnątrz, na balkonie, recytuje przed Sirine *athan*, wezwanie do modłów. Dla Sirine brzmi to jak śpiew, lecz on zaprzecza — to jest modlitwa, a modlitwa jest czysta. Przez chwilę się waha, jakby nie mógł sobie przypomnieć, a potem pokazuje modlitewną postawę i przyklęknięcia, skłaniając się w pasie, kolanami i głową. Sirine jest zachwycona tymi ruchami i próbuje go naśladować, ale trochę kręci jej się w głowie, więc musi przysiąść na posadzce balkonu.

— Jakie to ładne — mówi cicho. — To mi przypomina moją pracę, kiedy czasem mieszałam w garnku z zupą albo wyrabiam ciasto na chleb. — Urywa i zastanawia się, czy to, co powiedziała, ma jakiś sens.

Han siada obok niej po turecku i pociera sobie kark.

— Jakiś czas się nie modliłem. Wyszedłem z wprawy.

Sirine zawsze uspokajało chłodne przesuwanie modlitewnych koralików stryja w dłoni, ale właściwie nigdy jeszcze nie próbowała się modlić. Nie chce mu o tym mówić. To jakby nie potrafić grać na instrumencie albo nie znać obcego języka, kiedy się czuje, że powinno się to

umieć. Przygląda się Hanowi z bliska, próbuje zapamiętać wyraz jego twarzy, sposób, w jaki ułożył ręce na kolanach.

Nagle on zastyga i spogląda na nią z przerażeniem.

— O mój Boże, deser — mówi.

— A jest deser?

— W zamrażalniku.

Księżyc wschodzi, zaczyna świecić czerwono. Znowu siedzą obok siebie na malutkim balkoniku, jedzą mrożone przekładane ciasto czekoladowe prosto z pudełka, a lody waniliowe łyżkami wprost z kartonu, i z jednego kubka piją herbatę Lipton, o której Han mówi, że to wspaniała torebka herbaty kolonialnej: brązowa herbaciana torebeczka, na której zbudowano wielkie białe imperia. Sirine śmieje się z opowieści Hana o miejscach, gdzie wykładał, o trudnych studentach i trudnych kolegach. Mówi jej o studiowaniu w Anglii, o domu, gdzie mieszkał — przysięga, że miał on kształt, wielkość i zapach dużego ceglaneanego komina w okolicy pełnej dużych ceglanych kominów, przenikniętej zapachem pieczonej jagnięciny i curry z kozy. Wspomina Sudańczyka, z którym dzielił pokój w Georgetown, a który miał modlitewny dywanik z wszytym kompasem, żeby odnajdywać Mekkę.

— Po paru tygodniach w Ameryce go zwinął, a kompasu używał na wycieczkach — mówi Han.

Sirine przygląda się jego oczom, a potem ustom. Wdycha ślady cytrynowej wody kolońskiej, przypomina jej się, jak podpatrywała gołącego się ojca.

— A co z dawnymi dziewczynami? — pyta.

— Z kim?

— Och, jestem pewna, że miałeś parę poważniejszych związków.

Han wzrusza ramionami, patrzy niewinnie, jakby właśnie wywrócił kieszenie.

— Żyłem, ucząc się jak szalony. Potem żyłem, nauczając i pisząc jak szalony. Słowo, jestem bardzo dobry w byciu tylko z sobą.

— Och, naprawdę...

— Były może trzy kobiety, które ledwo można by nazwać kimś w rodzaju mojej dziewczyny, Angielki. Była Miriam, i Julietta i jeszcze jedna... chyba nie pamiętam, jak miała na imię... — Twarz ma jaskraworóżową. — Właściwie wszystkie ledwie pamiętam.

Sirine uświadamia sobie, że jej pytanie mogło zabrzmieć bardziej osobiście, niż chciała. Pospiesznie pyta:

— A co z Irakiem? Opowiedz mi, jaki jest Irak.

Han znowu się rozluźnia. Opiera się o ścianę, wpatrzony w wielki, czerwony księżyc. Wokół nich porusza się powietrze tak ciepłe, że niemal bez temperatury.

— Irak jest nieskończony. Jako dziecko myślałem, że mieści się w nim cały świat — mówi. — W jedną stronę płynie rzeka Eufrat, w drugą Tygrys. W Bagdadzie Tygrys jest jak odbijające zwierciadło pod wszystkimi wysokimi gmachami. Złotymi i turkusowymi meczetami z rozległymi dziedzińcami, wszystkimi bibliotekami i muzeami z wielkimi drewnianymi wrotami i potężnymi bramami. Ale to więcej niż budowle, powietrze w Iraku ma szczególną cechę. Takie uczucie...

— Jakie?

Han zaciska wargi.

— Nie wiem, jak to wyrazić, żeby nie brzmiało głupio.

— Nic nie szkodzi, mów, może brzmieć głupio. Znowu przechylił głowę, zamyka oczy i bierze głęboki oddech.

— To jest tak: czasami wydaje mi się, że czuję duchy tych wszystkich niewidzialnych miast i miejsc, które kiedyś były tam, na tej ziemi, imperium Chaldejczyków i wiszących ogrodów Babilonu i... wiem, że nie najlepiej to tłumaczę. Noc tam jest taka jasna i sucha, jakby się zaczęła dwa tysiące lat temu, chyba trochę jak ta noc. — Spogląda z balkonu w stronę niewidzialnego miejsca. Sirine patrzy w tym samym kierunku. — I jeszcze jest dom moich rodziców.

Opowiada jej o pobielanych ścianach ich małego domu, o gajach oliwnych ojca, o słonym, trawiastym zapachu oliwek, prażących się na słońcu. Opisuje misterne hafty matki, precyzyjną delikatność wyszyć. Mówi o irackiej gwardii, o żołnierzach z automatyczną bronią, w wyprasowanych mundurach i przekrzywionych beretach, żołnierzach, których widział na ulicach miasta, o tym, że się ich bał, kiedy był dzieckiem. Wspomina, jak próbował zasnąć, słysząc na ulicy karabinowe wystrzały, nigdy nie czując się całkiem bezpiecznie, zawsze pragnąc uciec.

Sirine pochyla się do przodu w słuchanie, a on pochyla się do przodu w opowiadanie, i raz jeszcze stykają się ich kolana. Bardzo by chciała wziąć go za rękę. Ale siedzą tak blisko siebie, że nie jest pewna, co robić. Zastanawia się, czy sprawia wrażenie zbyt łatwej. Czy Hana przyciągają tylko jej srebrnoblond włosy, błękitnawa przezroczystość skóry. Arabscy mężczyźni, których zna, potrafią w miejscach publicznych być gadatliwymi żartownisiami, ale kiedy wchodzi do restauracji, stają się przyciszeni i poważni. Całują Um-Nadię w rękę, jakby była

ich matką, a potem drażnią się z Mireille i grożą, że wydadzą ją za któregoś ze swoich braci. Siedzą, przyglądając się ukradkiem Sirine albo przez szybę restauracji wodzą wzrokiem za amerykańskimi dziewczętami. Czasami któryś z nich pojawia się z amerykańską przyjaciółką, a wszyscy inni studenci ich obserwują. Ale nigdy z arabską dziewczyną. Sirine jest przyzwyczajona do ich słodkich, łagodnych zalotów, do tego, że przynoszą jej drobne podarki, czekoladki i kwiaty, lecz nigdy nie próbują jej dotknąć.

— Marzę o tym, żeby zobaczyć Bagdad — mówi niepewnie, a wypowiadając te słowa, uświadamia sobie, że to prawda, chociaż nigdy nie lubiła podróży.

Han wciąż ma opuszczoną głowę, ale podnosi wzrok, żeby się jej przyjrzeć.

— Byłaś kiedyś w ogóle na Bliskim Wschodzie?

Czubki palców szczypią ją, jakby było jej zimno — chowa je w dłoni.

— Ja właściwie nigdzie nie byłam — odpowiada. Potem lekko się uśmiecha i dodaje: — A ty byłeś wszędzie.

Sirine zostaje zbyt długo, pijana jego opowieściami i śmiechem. Chwilami Han wydaje się kusić ją, by się przybliżyła, jakby chciał ją wziąć w ramiona i pociągnąć w pocałunek, a chwilami ona płoszy się i wycofuje, zbyt podekscytowana i zdziwiona tym, że on wywarł na niej takie wrażenie. Pamięta o zacienionej sypialni obok drzwi na balkon, więc kieruje wzrok w drugą stronę i przygląda się srebrnokonarym drzewom wzdłuż chodnika, ich liściom w kształcie dłoni, które płyną w księżycowym świetle. Wieczór wygląda tajemniczo i ponętnie, kusi ją.

Ale w końcu księżyc w kolorze curry zachodzi i Han potrząsa butelką po winie, próbując wylać ostatnie krople — kielichy zniknęły i najwyraźniej piją z filiżanki do herbaty. Odprysk wina na dnie filiżanki wygląda jak atrament. Sirine zmusza się do spojrzenia na zegarek.

— Och, nie. Och, nie, jest tak późno. Muszę wracać do domu. Bardzo wcześnie się budzę. — Prostuje nogi i chwyta balustradę balkonu, żeby się podnieść.

— Ale... — Han wstaje. Wydaje się zdumiony. — Wcale nie mam wrażenia, że jest późno. — Rozgląda się po niebie, oświetlonym przez miasto. — Tutaj to prawie wcale nie wygląda jak noc. Przy tych wszystkich światłach ledwo widać gwiazdy. W Bagdadzie księżyc i gwiazdy są takie wyraźne, jak lód. — Ma czarne oczy, gładką, afrykańską skórę. Tuż przy oku lekko połyskuje blizna w kształcie półksiężyca.

Jej rower wciąż stoi oparty o mur przy drzwiach Hana. Ale on nie chce słyszeć, żeby wracała na rowerze po ciemku.

— To miasto jest pełne wszelkich świrów, jakich tylko można sobie wyobrazić, a każdy z nich ma skądś samochód — perswaduje. — Może nie zauważyłaś?

— Och, nie, to żaden problem. Stale to robię. Właściwie mogłabym jechać na rowerze z zamkniętymi oczami — odpowiada Sirine, pstrykając przymocowane do ręcznego hamulca światełko, które rzuca zielonkawy blask na ponury korytarz.

— Prawdę mówiąc, czasem myślę, że łatwiej się jeździ bez światła. — Wyłącza je.

— Zawiozę cię — oświadcza Han i chwyta kluczyki.

Łagodnie sprzeczą się o to w windzie, Sirine stuka go w pierś. Han łapie jej rękę i nie wypuszcza, a potem drzwi otwierają się ze skrzypieniem i musi pozwolić jej wyjść, więc Sirine może popchnąć rower.

Samochód Hana jest zaparkowany na ulicy, przed budynkiem. To potężny, obciosany prostokąt z emblematem kotwicy. Wisi nad nim biała kula światła latarni, rzucająca na maskę szafirowy połysk. Wnętrze samochodu jest tak przestronne, że właściwie da się wtoczyć rower do tyłu, nawet go nie wyginając. Sirine przechodzi na stronę pasażera i zapada się w pluszowe siedzenie.

— To niesamowite — mówi, przesuwając dłonią po tapicerce.

— Należał do Lona, dziekana wydziału — wyjaśnia Han.

— Jego żona mi go dała, kiedy tu przyjechałem. Tylko nie wiem, czy wcześniej spytała Lona o zdanie.

Ruszają od krawężnika, a uliczne światła skradają się po przedniej szybie i po wnętrzu samochodu. Z mieszkania Hana do domu Sirine jest zaledwie jakieś dziesięć przecznic — kiedy dojeżdżają na miejsce, Han robi wrażenie zaskoczonego i rozczarowanego.

— Już jesteśmy? — pyta. — Nie miałem pojęcia, że mieszkasz tak blisko.

— Jesteśmy sąsiadami — odpowiada Sirine.

Han parkuje wzdłuż krawężnika przed domem, przesuwając auto powolnymi łukami. Maskę sięga tak daleko za koniec podwozia, że Sirine niemal wyczuwa, jak przedni i tylny koniec kołysze się w górę i w dół. Han wyłącza silnik, opiera się o fotel i przesuwa dłońmi po kierownicy. Uliczne latarnie płoną wśród nocy łagodnym, bursztynowym blaskiem.

— Naprawdę nie mogę pojąć topografii tego miasta — odzywa się Han. — Jakby wszystko dookoła mnie pływało. Wydaje mi się, że wiem, gdzie coś jest, a potem to znika.

— To nie takie trudne — zapewnia Sirine. — Popatrz, na przykład tam... — stuka w przednią szybę — tam jest ocean, a...

— Pokaż mi. — Patrzy na nią oczyma ciemniejszymi niż powietrze. — Chyba zrozumiałem lepiej, kiedy mi narysujesz mapę.

— Jest tu jakiś papier? — Sirine rozgląda się po czysto uprzątniętym wnętrzu auta. — I nie mam nic do pisania.

Han wyciąga dłonie, jedną obok drugiej, jakby były połączone zawiasami.

— To nic. Możesz użyć moich rąk.

Sirine uśmiecha się, odrobinę zmieszana. Han pochyla się do przodu, w świetle latarni ma żółto-brązowe, kocie oczy. Samochód, który przejeżdża ulicą w ich stronę, wypełnia wnętrze światłem, po którym napływa fala kłującej czerni.

— W porządku. — Bierze jego dłonie, przebiega palcem po krawędzi. — O to ci chodziło? Więc jeśli ocean jest tutaj z boku, a te kostki to góry, to tu z tyłu są Santa Monica, Beverly Hills, Zachodnie Los Angeles, Zachodnie Hollywood, a ten X pokazuje, gdzie my jesteśmy. — Wodzi czubkami palców po grzbietach jego rąk, a z drugiej strony naciska miękkie poduszeczki we wnętrzu dłoni. — To właśnie my, tu, w X.

— W tej chwili? W tym samochodzie? — Odchylił się do tyłu, jego oczy to czarny marmur, ciemne lampy. Sirine na chwilę wstrzymuje oddech, słyszy w uszach przyływ krwi jak oceaniczny przybój. Jej oddech robi się wysoki, ciasny i płytki. Ma nadzieję, że on w samochodzie nie widzi jej wyraźnie, jej przezroczystej skóry, tak podatnej na najłżejsze emocje. Han obrócił jej dłonie wnętrzem ku górze.

— Kolej na ciebie — mówi. Przesuwa palcem wzdłuż grzbietu jej ręki i opowiada: — Tu jest dolina rzeki Tygrys. W tej części leży pustynia, a w tym miejscu równiny. Tędy płynie Eufrat. Tutaj jest Bagdad. A tu plac Tahrir. — Dotyka środka jej dłoni. — U stóp mostu Dżumurija. Centrum wszystkiego. Z tego placu biorą początek wszystkie główne ulice. W tę i w tamtą stronę są ruchliwe, szerokie chodniki i mieszkania nad sklepami, mężczyźni w garniturach, kobiety z wózkami, uliczni handlarze sprzedający kebaby, jajka, owocowe napoje. Tutaj stoi mężczyzna z obwoźnym kramem, który co rano sprzedawał mi roladki posypane tymiankiem i sezamem, a potem salutował mi jak żołnierz. A tu jest ta ulica... — Otula dłonią jej dłoń i wiedzie palcem po wewnętrznej stronie ręki, do wklęsłej fałdki wewnątrz łokcia, potem do ramienia. Sirine ma wrażenie, że miejsca, których dotknął, zaczynają świecić, jakby malował jej skórę ciepłym masłem. — ...Która prowadzi, prowadzi, prowadzi, z Bagdadu aż do Paryża. — Kreśli krąg wokół jej ramienia. — A tutaj... — dotyka zagłębienia jej łokcia — jest dom nilo-

wych krokodyli, które przemawiają pięknym głosem. A tu... — palce wracają do ramienia, zagłębiają się pod obojczykiem — rośnie groźny śpiewający las.

— Groźny śpiewający las? — szepce Sirine. Han marszczy brwi, jakby się zastanawiał.

— A może to na Madagaskarze? — Jego ręka wślizguje się za jej kark, Han przesuwa się w jej stronę na siedzeniu. — Tam jest sawanna. Kameleony jak szmaragdy i limony i szafran i rubiny. Czerwone cynamonowce pełne lemurów.

— Zawsze chciałam zobaczyć Madagaskar — mruczy Sirine. Czuje jego oddech na twarzy. Ich czoła się stykają.

Dłoń Hana unosi się do jej twarzy i Sirine czuje, że on drży i uświadamia sobie, że ona drży także.

— Zabiorę cię tam — szepce Han.

Kiedy ją całuje, jej uda miękną, oddech się rozplywa, powieki zasnuwają oczy. Ma ochotę dłonią przycisnąć sobie mostek. Ale przesuwa ręce po jego ramionach i zbliża się jeszcze bardziej.

Rozdział siódmy

Czy słuchasz uważnie? Oczywiście niepouczająca historia wymaga większej troski i przytomności umysłu niż byle jakie, codziennie opowieści z morałem, które na koniec i tak da ją ściągę z samych siebie. Historia niepouczająca jest głęboka, ale żeby ją opowiedzieć, potrzeba nie więcej czasu, niż zabiera zaparzenie filiżanki miętowej herbaty.

A więc: kołysząc się i tracąc równowagę w niebieskiej łodzi, nasz biedny kuzyn Abdelraman Saladyn zgarnia sól ze skroni i próbuje się skupić na Zasłoniętym Mężczyźnie, który rozmywa się i faluje w przezroczystym morskim świetle, opowiadając historię swojej miłości. Powietrze podnosi się z zachodu, przebiega nad łódką i chłodzi mu skórę. Spoglądając w stronę zatartego horyzontu, Abdelraman przestępuje z nogi na nogę, a potem znowu siada obok Zasłoniętego Mężczyzny.

— Pozwól mi powtórzyć: przy naszym pierwszym spotkaniu poczuliśmy, że się rozpoznajemy — ciągnie Zasłonięty Mężczyzna. — Czuliśmy, że istnieliśmy razem, zanim jeszcze narodziły się nasze ciała. Od chwili naszego związku byliśmy nierozłączni. Nie zdarzyło się nic, powiadam ci, nic, co by mnie przygotowało na chwilę, gdy moja ukochana odkryła morze i uciekła po piasku.

Przez kilka minut nie słychać żadnego dźwięku prócz odbijających światło fal i nocy, która wlewa się do oceanu. Zaćmienie objęło Abdelramana Saladyna i Zakrytego Mężczyznę, a w wietrze pełno jest ciemności. Dłoń Abdelramana zaciska się na cienkiej burcie łodzi. Potem przychodzi mu do głowy, że może boi się wody nocą. Mięśnie jego grzbietu napinają się, a na skronie występuje pot.

— I co się stało, kiedy twoja ukochana pobiegła do wody? — z odwróconą głową pyta Abdelraman.

Zasłonięty Mężczyzna odpowiada:

— Stało się to, co musiało się stać. Jak wiesz, wszystkie rzeczy pochodzą z Bożego przeznaczenia, i wszystko jest przepowiedziane w doskonałej symetrii Jego oka. Rozbiliśmy obozowisko na skraju plaży. Większość Beduinów za bardzo się bała, żeby zbliżyć się do wody. Spali odwróceniem od morza plecami. Ale moja towarzyszka przesiadywała z obiema stopami na jego ścieżce. Po trzydziestu dniach handlowania w mieście nadszedł czas, aby powędrować dalej. Lecz moja ukochana odmówiła, pragnęła świetlistych ramion fal. Powiedziałem Beduinom, żeby ruszali, że później ich dogonimy. Próbowali mnie przekonać, bym poszedł z nimi. Mówili, że morze przywłaszczyło sobie moją umiłowaną. Że nie jestem już poślubiony istocie ludzkiej, ale stworzeniu z korzeniem unoszącym się na wodzie, niby u meduzy.

Jak można zostawić przedmiot swojej miłości? Pomachałem na pożegnanie moim współplemieńcom. Sypiałem sam na plaży, jedynie z piaskiem za poduszkę. Spałem z twarzą zwróconą ku oceanowi, jak samotny kochanek śpiący z twarzą skierowaną ku drzwiom, za którymi zniknęła droga osoba.

Moja ukochana nie wracała już po zabawach w falach. Dzień zmieszał się z nocą, czasami udawało mi się dostrzec ramię, migające wśród toni. Aż pewnego dnia obudziłem się ze snu, w którym całowaliśmy się tak jak kiedyś, i w tym śnie moja towarzyszka dotknęła mej twarzy, a potem powiedziała: Pozwól mi odejść.

Ocknąłem się, przepatrywałem wodny horyzont, wykrzykując imię, ale to było jak krzyk w pustkę pomiędzy gwiazdami. I wtedy zrozumiałam, że na zawsze straciłam męża.

I mówiąc te słowa, Zasłonięty Mężczyzna odchyła zawój, i czy już to odgadłaś? On jest nią! Wstaje pospiesznie, drzenie przebiega orzechowobrazowy kadłub. I chociaż są w głębi brzucha nocy, tarcza Zodiaku przesuwana nad nimi i strzała Łucznika rozświetla jej brew, a piękno rozbłyskuje przed Abdelramanem, oślepiając go.

— Wybacz, że musiałam ukryć, kim jestem — mówi ona. — Ale nie widziałam innego sposobu.

Abdelraman szuka dłonią relingu, ale nawet deski pokładu stopniały pod jego nogami. Nic na świecie nie jest takie, jak mu się wydawało.

— Ija Allah — wzdycha. — O Boże.

— Gdzie ona jest? — wykrzykuje Um-Nadia. — Gdzie ta królowa Saby?

Sirine ziewa. Było naprawdę późno, gdy wreszcie wyszła z wielkiego auta Hana i wróciła do domu, za późno, by stryj wstał i zaczął zadawać pytania. Tej nocy Sirine miała całą serię erotycznych snów, senne ciało w dłoniach, oczy jej nieznanymi partnerów były zamknięte, ich powieki lśniły czarno niby figi, nogi zaciskali między jej nogami. Obudziła się, kiedy ptaki zaczęły swoje spory na drzewach, przepelniona poczuciem, że spędziła całą noc, całując Hana. Teraz zdrapuje tłuszcz jak warstwy skóry i przysłuchuje się brzęczeniu studenckich rozmów dookoła. Uśmiecha się do siebie i z nikim nie rozmawia. Schodzi na dół, przetrząsa zamrażarkę w piwnicy, nasłuchuje, jak Um-Nadia wchodzi, drepcze jej nad głową i woła:

— Halo, królowo! Gdzie jesteś?

W końcu Sirine rusza z powrotem na górę, niosąc naręczę cebuli. Mireille układa listę zakupów, postukując o papierosa.

— Musiałś mieć przyjemną noc. Mama już o tobie mówi: Królowa Saby.

Um-Nadia i Mireille wiele razy obserwowały, jak Sirine łączy się z kimś w parę, a potem rozłącza, gdy tymczasem one obie nieodmiennie żyły w pojedynkę. Nikt nie pamięta, co stało się z mężem Um-Nadii i czy kiedykolwiek w życiu Mireille był jakiś mężczyzna. Od lat radzą sobie same. Ale za każdym razem, kiedy Sirine ma nowego kochanka, Um-Nadii wystarczy na nią spojrzeć, żeby to dostrzec, albo wyczytać to w jej fusach z kawy, albo zbudzić się rano, czując to w kościach.

— Ten mężczyzna jest taki ekscytujący. Gdyby to były czasy Saladyna, Han byłby słynnym generałem — Um-Nadia poucza policjantów, przynosząc im purée z fasoli i chleb. — Byłby dowódcą was obu. A Sirine byłaby jego Kleopatram. Albo jego Królową Saby. I jej rozkazów też musielibyście słuchać.

Policjanci sceptycznie unoszą brwi.

Um-Nadia obraca się i dostrzega wyraz twarzy Sirine, która podeszła do niej z tyłu.

— Co?

— Mogę z tobą chwilę porozmawiać? — pyta Sirine. — Na zapleczu.

Przechodzą przez tylną kuchnię, mijają Mireille i Victora, pogrążonych w swojej zwykłej dyskusji o tym, czy mężczyźni to bydła, i wychodzą na podwórze.

— No i jesteśmy — stwierdza Um-Nadia. — Na osobności. Sirine odgarnia kosmyk, wsuwa go pod opaskę na włosach.

— Han i ja ledwo się znamy. Nie mam pojęcia, do czego to doprowadzi. Za wcześnie na Antoniusza i Kleopatrę.

Przenikliwe czarne oczy Um-Nadii trzepoczą, jakby czytała coś wypisanego na twarzy Sirine.

— A co jest złego w prawdziwej miłości? Sirine mruga.

— W samym pomyśle nic.

Um-Nadia krzyżuje ręce pod biustem i ciężko wzdycha.

— No dobrze, *habibti*, w porządku. Posłuchaj mnie, pozwól, że ci poradzę, nie ma tu żadnej tajemnicy. Mogłam mieć każdego mężczyznę, jakiego tylko zapragnęłam, wiesz, w każdej chwili, kiedy tylko chciałam. — Pstryka palcami. — Ot, tak! Zauważyłaś, jak twój stryjek stale się tu kręci i kręci? To nie przypadek. Prawda jest taka, że kobiety zawsze zdobywały mężczyznę szczególnymi sposobami: gotowaniem, aktem miłosnym, przez przypodobanie się jego matce, dając mu udane dziecko. Zadanie kobiety polega na tym, żeby, jeśli tego nie wyczuwa węchem i instynktem, nauczyła się swojego mężczyzny od góry do dołu i na wylot. Musisz być uważna, *habibti*. On się zdradzi. Jest jak ryba, trzymasz go już za ogon, ale jest śliski, nie chce ci wyskoczyć z rąk, ale może nie będzie umiał się powstrzymać. Musisz go jeszcze złapać za głowę.

— Ja mam łapać Hana za głowę?

— Musisz uważać, to się przekonasz, *habibti* — łagodnie odpowiada Um-Nadia. — Och, *habibti*, wiesz, że jesteś dla mnie jak druga córka?

Niemal wszyscy w Nadia's Café, od studentów do pracowników, wiedzą, że ważniejsza córka Um-Nadii Nadia (bo Um-Nadia znaczy Matka Nadii, żeby wszyscy wiedzieli, że jest się matką) w przeciwieństwie do tego, co mówi Um-Nadia, wcale nie mieszka w Dearborn, gdzie dla niektórych mieści się ziemski raj amerykańskich Arabów, z libańskimi piekarniami i wezwaniem do modlitwy, nadawanym codziennie przez radio. Wiedzą, że Bint Um-Nadia (czyli córka matki Nadii) umarła wiele lat temu, ale Um-Nadia nigdy nie wymawia słowa „rak”.

Zwykle opowiada, że Nadia umarła „od dymu”. Ale najczęściej i obcym, i starym znajomym mówi tylko, że Nadia jest w Dearborn.

W dniu, gdy Um-Nadia weszła do kuchni w Café De Venise w Brentwood, żeby wykraść Sirine z dawnej pracy, Sirine dostrzegła w niej wolę tak silną i wyraźną, jakby był to dotykalny przedmiot. Ściągnęła fartuch, zostawiła na wpuł przygotowane sałatki z wędzoną mozarellą, kaparami i suszonymi na słońcu pomidorami i wróciła do robienia prostych, doskonałych potraw swojego dzieciństwa. W zamian za to Um-Nadia śpiewa dla Sirine i całuje jej ręce, i mówi jej, że jest piękną doskonałą.

Na podwórzu Um-Nadia przybliży twarz, tak że Sirine dostrzega w jej tęczęwkach plamki koloru kawy i splecione tuszem rzęsy, uśmiecha się szeroko i stwierdza:

— Wybacz mi, *habibti*, wcześniej w ogóle tego nie zauważyłam. Ty się tak boisz!

— Nie, wcale nie — w otepieniu zaprzecza Sirine. — Czego mam się bać?

Um-Nadia klaszcze w dłonie, cmoka, a z drzew sfruwają jaskrawopomarańczowe i turkusowe ptaki.

— Ale to dobry znak, to wspaniały znak, najlepszy ze znaków.

Sirine ma ściśnięte gardło. Wpatruje się w białe płytki, którymi wyłożono podwórze, przygląda się ich skomplikowanym wzorom.

— Ani trochę się nie boję — zaprzecza. Um-Nadia czule przesuwa ręką po warkoczu Sirine.

— Ale z czasem to uczucie zniknie. Musisz mieć trochę cierpliwości. Jak to mówi stara pieśń, nawet ptaki czekają na miłość. Przychodzi czas — oświadcza Um-Nadia, unosząc palec, jakby to był wykrzyknik — kiedy rzeczy tracą rytm. Nie jest tak stale. Nawet nie często. Ale to się zdarza. I wtedy musisz sobie z tym poradzić. Wszystko wychodzi nie tak. Śnią ci się małpy i kozły. Ludzie zaczynają patrzeć na rzeczy w niewłaściwy sposób. Może ci się zdawać, że świat jest zgnieciony i płaski. Możesz mieć kamienie w bulgurze i przypalasz wędzoną pszenicę.

Sirine powoli siada na dolnym schodku. Um-Nadia sadowi się obok niej.

— Moja córka Nadia — znowu uniesiony palec — zaplątała się w jeden z takich węzłów. To dziecko to było czyste złoto. Wiesz, co mam na myśli? Chodzi mi o to, że każda jej cząstka była taka żywa. Ale przyszedł na nią ten zły czas. Chce się chronić swoje dzieci, prawda? Wypuszcza się je ze swojego ciała, ale nigdy nie wypuszcza się ich do końca. Nadia zaczęła patrzeć na rzeczy w niewłaściwy sposób, jakby próbowała w lustrze napić się wody. Staralam się

przynieść jej wodę. We własnych rękach niosłabym jej czystą, świeżą wodę, gdyby mi pozwoliła, ale czy myślisz, że pozwoliła?

Sirine dotyka ręki Um-Nadii. Jej skóra jest lekka i ulotna jak pragnienie.

Um-Nadia potrząsa głową, jakby zaprzeczała jakiemuś niewypowiedzianemu argumentowi. Jej palce zaciskają się wokół palców Sirine.

— Jakie ciepłe! Masz przegrzaną krew. Myślę, że się bardzo przejechałaś. — Um-Nadia wydyma wargi i mruży oczy. Stuku palcem o usta i mówi: — Jest miłość do szaleństwa i jest normalna miłość. Gdyby twoi rodzice żyli, to by ci pokazali, jak ludzie się kochają. Ale ty masz tylko tego biednego durnia, twojego stryja, więc wszystkiego musisz się nauczyć sama.

Mireille wpada do kuchni.

— Sałatka tabule nam się skończyła!

Sirine zaczyna się podnosić, ale Um-Nadia kiwa, żeby usiadła.

— Nic nie szkodzi — mówi do Mireille. — Wymyśl coś. Pokrój pomidora.

— Pomidora! — oburzona Mireille z hukiem znika za drzwiami.

— Co to ja mówiłam? Właśnie. Popatrz na swojego Hana. Jego twarz wypełnia kobietę. Nie przeszkadza ci, mam nadzieję, że to mówię — dodaje skromnie. — I jest w nim taki wspaniały, potężny duch, jaki kiedyś był dany mężczyznom. Teraz muszą go kupować albo wymyślać. Ale są inne trudności.

— Z Hanem? Co masz na myśli?

Um-Nadia macha rękami, wystawia przed siebie wnętrze dłoni, jakby polerowała okno.

— Patrzę i jeszcze raz patrzę. Stale widzę arabskich mężczyzn, którzy tu przybywają z daleka. Wszyscy trafiają do mnie, bo my w tym kraju dajemy im coś na kształt domu. To pomaga. I większość z nich zostaje. — Unosi brwi. — Ale wielu z nich odchodzi.

— To naturalne — odzywa się Sirine. Um-Nadia przymyka oczy i potrząsa głową.

— Świat jest pełen cieni i promieni rentgenowskich, i rzeczy przestawionych do góry nogami, a nam się zdaje, że z nimi jest wszystko w porządku. Zwłaszcza mężczyźni się w tym płaczą. Tak jak mąż mojej przyjaciółki Muniry. Opowiadałam ci o niej? To ta, która się dowiedziała, że jej mąż w tajemnicy ma jeszcze jedną rodzinę w kraju, w Libanie. To klasyka. Mężczyźni gubią się, nie wiedzą, gdzie są. Brakuje im ojca i matki, i siostry. Nie mają pojęcia, jak przenosić swój dom wewnątrz siebie. — W skupieniu przypatruje się Sirine. — A trzeba umieć to robić.

Sirine obejmuje ramionami klatkę piersiową, odchyła się do tyłu, tak że czuje wciskający się w ciało brzeg drewnianego stopnia.

Um-Nadia mówi, wskazując brodą:

— Zrobimy ci kawy, *habibti*. A potem powrózę z twojej filiżanki.

Sirine potrząsa głową.

— Nie, to mi się nie podoba. Nie chcę wiedzieć. Mireille znowu z łomotem wpada do kuchni.

— Pomidory nam się skończyły! Mam podawać liście i gałęzie?

Um-Nadia unosi brwi.

— Bądź twórcza.

Sirine muska barwnie kwitnący krzak obok schodków, przebiega dłonią po płatkach.

— Myślę po prostu, że na to wszystko jest za wcześnie. Nie czuję się dobrze. Czuję się, jakbym się miała rozchorować czy coś.

— Tak... tak! — Um-Nadia wstaje w swoich malutkich, chybotliwych bucikach. — Właśnie tak się czujesz. — Odrywa parę kwiatów z drzewa i potrząsa nimi przy Sirine, tak że płatki dziko się rozsypują. Potem rwie kwiaty jaśminu z krzewu obok, gniecie je w dłoni i podsuwa Sirine pod nos. Głowa Sirine napełnia się słodkim, wilgotnym zapachem. — Czujesz się tak, jak to pachnie. Tak to działa. Właśnie tak szybko się to dzieje.

Co tam jeden pocałunek. — Rzuca kwiaty w krzaki. — Wystarczy mniej niż sekunda. — Um-Nadia opiera ręce na biodrach i kiwa głową z przekonaniem. — Nigdy wcześniej nawet nie wiedziałas, co to za uczucie, miłość.

Tego wieczoru wszyscy goście wychodzą przed dziesiątą. Um-Nadia liczy pieniądze w kasie, a Mireille sprawdza swoją listę zakupów. Cristobal i Victor Hernandez sprzątają i myją podłogę. W ciepłe wieczory wszyscy chodzą tam i z powrotem, zatrzymują się przy stołach na zewnątrz, gawędząc z paroma ostatnimi klientami, potem wracają do środka, do pracy, i znowu wychodzą. Um-Nadia, oparta o framugę drzwi, dzieli papierosa z Nathanem, wpatruje się w białą noc i sterty bibułkowatych kwiatów bugenwilli, zbierające się pod drzwiami.

— Kwiaty filmowej gwiazdy — mruczy. — Medznuna.

To ulubiony czas Sirine, gdy noc staje się czarna jak gorzka czekolada, a na niebo wytryskują gwiazdy. Han przychodzi tuż po zamknięciu, Sirine słyszy sprzed restauracji ich głosy: Hana jest miękki i gęsty, a Um-Nadii zalotny, wręcz śpiewny z podniecenia. Um-Nadia ceremonialnie wiedzie Hana przez kuchnię na zapleczu, prowadząc go do Sirine. Kiedy inni ocią-

gają się od frontu, Sirine stoi z Hanem przy tylnych drzwiach. Właśnie skończyła przygotowywać tacę kibbe i wyciera z palców kawałki surowej, przyprawionej, mielonej jagnięciny. Śmieją się, flirtują i szepczą do siebie słowa tak ciche, że nikt ich nie słyszy.

Sirine uśmiecha się i nieśmiało przesuwając palcem po gorsie jego koszuli.

— Dzisiaj muszę pracować do późna — mówi.

— Na pewno? — Przechylił głowę, a ona śmieje się i raz po raz przytakuje. Wtedy on dotyka jej włosów i cofa się o parę kroków, zanim obróci się w noc.

Wszyscy idą do domu, ale Sirine zostaje. Nie włącza światła, pracuje przy księżycu i poświacie ulicznych lamp, na wycucie, rozkłada małe marynowane liście winorośli płasko na desce, wycina drobne ogonki, owija gwiaździste liście dookoła ryżu i mięsa. Lubi sobie zostawiać tę kojącą pracę na samotne wieczorne rozważania. To jej pierwsza okazja, żeby zastanowić się nad ubiegłym wieczorem w mieszkaniu Hana, wieczorem, który już wydaje się o wiele ważniejszy niż zwyczajna pierwsza randka. Ale słodkie słówka Um-Nadii sprawiły, że czuje się niezręcznie i jest podenerwowana, i znowu ma wrażenie, że jej uczucia biegną gdzieś do przodu, że mądrzej byłoby trochę się cofnąć, spróbować lepiej zrozumieć, kim jest Han. Wzdycha i zjada liść winorośli prosto z zalewy, wydymając usta na ten cierpki, surowy smak. Noc jest tak cicha — Sirine wydaje się, że dociera do niej odległa muzyka, którą u niego słyszała, teraz wpleciona w lekki szum bryzy, gdy przykłada czubek noża do liścia. Pozwala, żeby to wrażenie ją przeniknęło, zawibrowało pod skórą, bujnie rosnąc w słodczy przypomnienia. Jednocześnie zaczyna sobie uświadamiać własny lęk przed ciemnością. Poirytowana tym, że czuje się słaba i dziecinna, próbuje odepchnąć od siebie strach. Ale napięcie jakby na przekór zaciska się wokół niej jak sieć. Nie pozwala sobie spojrzeć w górę, na trzaski i skrzypienia, które słyszą w starym budynku — wie, że te dźwięki są tu obecne także za dnia. Dreszcz biegnie wzdłuż jej kręgosłupa i Sirine, gdy już zdecydowała, że włączy światło, spogląda w górę.

— O mój Boże.

Odkłada nóż i wciska ręce w fartuch, serce jej łomocze. Nathan stoi tuż za siatkowymi drzwiami.

— Jeszcze tu jesteś — mówi cicho.

— O mój Boże. Przestraszyłeś mnie.

— Przepraszam, przepraszam. Nie zamierzałem się tak skradać. — Lekko obrócił twarz. Jego szare oczy wyglądają za siatką jak cienie. — To chyba taki nawyk fotografa. — Pochyliła czoło do drzwi i spogląda na nią. — Poszedłem do domu, ale nie mogłem zasnąć. — Sirine

wpatruje się w niego. — Tak tylko pomyślałem, że może ktoś tu jeszcze będzie, może by odwiedzić... — mamrocze.

— No, tak. — Sirine pociera palcami skronie. Potem próbuje na nowo dopasować nóż do liścia, ale jej ręka ześlizguje się i ostrze rozcina liść na pół. — Cóż, wejdź, jeśli chcesz.

Nathan popycha siatkowe drzwi.

— Przepraszam, naprawdę. Ludzie mi mówią, że tak robię. Czasem muszę sobie przypominać, żeby hałasować. — Siada naprzeciwko niej przy stole, na jednym z kolebiących się krzesel, i kołysze się do przodu i do tyłu. — Faszerujesz winne liście.

Sirine zerka na niego.

— Wiesz, co się z nimi robi?

— Przez parę lat włóczyłem się po Bliskim Wschodzie. Po Jordanii. I Iraku. — Kołysze się mocniej. — Uczyłem się arabskiego, tak, dla przyjemności, i przyszło mi do głowy, że chciałbym pofotografować te okolice. A jak już zacząłem to robić... — Wzrusza ramionami. — Właściwie straciłem głowę na tym punkcie. Wszystkiego się chciałem dowiedzieć: o historii, o ludziach, o potrawach, o wszystkim... — Odchrząkuje. — Zawracam ci głowę? Mam iść do domu?

Sirine kręci głową, ale skupia się na zwijaniu liścia, na dokładnym składaniu każdego rogu.

— Myślałam, że smaki nie robią ci różnicy.

— Teraz. Ale wtedy czułem, że im bliżej jestem rzeczy fizycznych, tym lepiej rozumiem duszę.

Sirine uśmiecha się i podnosi wzrok, niepewna, czy Nathan żartuje, ale natychmiast dostrzega jego powagę — to dlatego innym tak łatwo z niego drwić. Z drgnieniem poczucia winy pyta:

— Chciałbyś trochę bakławy?

Nathan dotyka czubka liścia, który Sirine przykrawa.

— Takiej nocy jak dzisiaj, kiedy ten wielki księżyc za oknem nie daje spać, robi mi się trochę smutno.

Sirine unosi brwi.

— Och, jestem do tego przyzwyczajony. Jak to się mówi? Lekarstwo na smutek nazywa się smutek? — Śmieje się do siebie. — Patrzę na rzeczy i wiem, jak dobrze byłoby spróbować

twoich potraw, jaka to przyjemność jeść baklawę. Czuć zapachy i smaki w kuchni. Tylko że... nie ma już właściwie po co. Sirine odkłada nóż i opiera brodę na rękę.

— Dlaczego wtedy powiedziałeś, że jesteś w proszku? Nathan kiwa głową.

— Zapamiętałaś to? — Zamyka oczy. Milczy tak długo, że Sirine nie spodziewa się już odpowiedzi, ale wreszcie mówi: — Czy kiedykolwiek... czy kiedykolwiek byłaś w kimś tak zakochana, że pochłonęło cię to całą? Że nie mogłaś myśleć ani jeść, ani nic, tylko się obnosić z tą wielką, szaloną miłością?

Sirine znowu spogląda na liść winorośli.

— No... — odpowiada powoli — tak naprawdę to chyba nie. Nie aż tak.

On przez chwilę nic nie mówi, ale kiedy Sirine znowu podnosi wzrok, widzi, że się w nią wpatruje.

— Właśnie myślałem, że jest w tobie coś takiego... Samokontrola. Nie pozwoliłaś, żeby cię to porwało. Ja to rozumiem. Myślę, że to rodzaj niewinności. Byłem taki, ale podróż do Iraku otrząsnęła mnie z tego, kim byłem. Taka głęboka, dzika obcość tego miejsca. Sposób, w jaki powietrze pachniało kurzem i ziołami, dziwne pochylenie słońca. Nic nie mogłem na to poradzić. Zakochałem się tam w dziewczynie, zdaje mi się, że to było prawie nieuniknione, tak szeroko byłem na wszystko otwarty. — Wypuszcza powietrze. — A kiedy to się stało, to naprawdę nigdy wcześniej nie czułem czegoś podobnego. To było jak ciężar, który przygniatał do ziemi każdą część mojego ciała, tak bardzo przeniknął wewnątrz mnie, do mojej krwi i kości. Uciskał mi głowę i ramiona. Zawsze myślałem, że dzięki miłości człowiek czuje się lekko, ale tym razem było dokładnie na odwrót. To była najcięższa rzecz na świecie.

Sirine mimo woli wybucha śmiechem.

— Brzmi to dosyć okropnie — mówi. Nathan przypatruje się jej.

— Naprawdę, jest w tobie coś, co tak mi przypomina... — muska płatek jej nosa i policzek. — Właśnie tutaj. To miejsce. Jest takie jak u niej. I dookoła oczu też, tuż pod brwiami... Sirine przekrzywia głowę.

— Mówię dziwnie? Nie mam wycucia proporcji. Wtedy dałem się ponieść. — Odchyła się razem z krzesłem do tyłu. — Wiedziałem, że to za mocne, ale nie dbałem o nic. To mnie obdarło ze wszystkiego, do czysta. Czułem się starty na miazgę. Jak nowo narodzony. Kochałem w niej wszystko i niczym innym się nie przejmowałem. Kochałem jej przeguby i jej śmiech, i jej buty, i jej zęby. Byłem taki szczęśliwy, że przestałem nawet robić zdjęcia. Byłem pewien, że tak się będę czuł, absolutnie i całkowicie, do końca moich dni. — Nathan pociera

sobie wnętrzem dłoni krótko przystrzyżone włosy na czubku głowy. — Nie wiem, czy potrafisz to pojąć. Moi rodzice się rozwiedli, kiedy byłem mały, i o rodzinie wiedziałem tylko tyle, ile zobaczyłem u innych ludzi. Pojechałem na Bliski Wschód, nie mając pojęcia, kim jestem. W moim kompasie nie było igły, rozumiesz? Ale ludzie w Iraku... to brzmi głupio i romantycznie, ale oni naprawdę robili wrażenie, że wiedzą, kim są. Ubierali się tak samo jak ich dziadkowie, jedli tak jak od setek lat. I byli tacy żywi... Chodzi mi o to, że wielu nie miało telewizora ani telefonu, ale wszyscy rozmawiali o polityce, o sztuce, o religii, o czym tylko chcesz. Żyli w dyktaturze, ale ich wewnętrzne ja pozostało żywe, rozumiesz?

Sirine kiwa głową, ale czuje, że słowa spływają jej po skórze. Skupia się na każdym liściu winorośli, pracuje i słucha.

— I kiedy spotkałem tę kobietę... wiesz, to się zdarzyło całkiem przypadkowo... ale ona stała się moją Gwiazdą Polarną. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem na targu, to było tak, jakbym ujrzał coś najprawdziwszego na świecie. Zrobiłbym dla niej wszystko. Pamiętam... miała takie długie, niesforne włosy, jak ty. Codziennie związywała je chustką, ale każdego dnia pod wieczór znowu spadały jej na ramiona. Mówiła: Chcę być dobrą muzułmanką, ale włosy mi nie pozwalają. A potem się śmiała, jakby to wszystko było po prostu zabawne. Miała najpiękniejszy, przepiękny śmiech. Unosił się i opadał jak muzyka. — Zdejmuje okulary i wbija wzrok w sufit. — Przepraszam. Wiem, że gadam za dużo. Od dawna w ogóle o tym nie rozmawiałem.

— I nie mogłeś zasnąć — Sirine uśmiecha się do niego. — To musiało być coś naprawdę poważnego.

Nathan opuszcza głowę i z powrotem nakłada okulary, zakłada je na uszy.

— Och. Cóż. Zawsze są jakieś komplikacje, prawda? Arabska dziewczyna, muzułmanka, Irakijka. I amerykański chłopak, zbłąkany wyznawca Kościoła episkopalnego.

Sirine zabiera się do przycinania następnego winnego liścia.

— To nie musi w niczym przeszkadzać.

— Może i nie. Nie wiem. Ale nam to bardzo utrudniło bycie razem.

— Ciągłe się schodzą z sobą ludzie, którzy się różnią.

— Tak, ale potem ona umarła.

— Och. — Sirine odwzajemnia jego spojrzenie. I teraz to dostrzega: ciemny kryształ, odłamki czarnego szkła w jego wnętrzu. Powinna była od razu to zauważyć. — Tak mi przykro — szeptem. Słyszy własny oddech. Ma ochotę zapytać: jak. Ale teraz czuje, że już za dużo powiedziała. Znowu odkłada nóż.

— I wtedy zmieniłem się w proch. — Pstryka palcami w powietrzu. — Puf.

Sirine wpatruje się w nóż i żałuje, że nie jest bystrzejsza. Szkoda, że nie wie, jak powiedzieć coś mądrego albo pocieszającego, coś, co nie zabrzmi niezręcznie i nie ujawni jej przeżenienia. Ale wtedy przypomina sobie czas po śmierci rodziców, kiedy ludzie zaczęli z nią rozmowę i próbowali wytłumaczyć jej tę stratę. Wygłaszali słowa, które miały uleczyć smutek, ale nic to nie dawało. I wtedy zrozumiała, chociaż miała tylko dziewięć lat, że nie ma żadnych mądrych ani pocieszających słów, które można by wypowiedzieć.

Ale Nathan chyba niczego nie oczekuje. Podnosi się, przeciąga, wygląda, jakby właśnie wypowiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Podchodzi do drzwi, kładzie rękę płasko na siatce, popycha i schodzi dwa stopnie w dół. Zatrzymuje się i zawraca, teraz obie dłonie unoszą się na siatce. Przez chwilę wpatruje się w Sirine.

— Zostaw mi parę winnych liści, dobra? — prosi. Sirine wbija wzrok w drzwi — tak trudno go dojrzeć, jego cień miga do przodu i do tyłu.

— Nathan? Zaczekaj sekundę. Nie idź... Nie odpowiada.

Sirine odkłada nóż i idzie otworzyć drzwi. Ale kiedy je otwiera, jego już tam nie ma.

Rozdział ósmy

Łódź kołysze się i pochyla na głębokiej wodzie oceanu. Abdelraman chwytą się za serce, a Zasłonięty Mężczyzna, który zmienił się w Odsłoniętą Kobietę, wyciąga dłoń. Jej nagie po łokcie ręce to przejrzystość, jej talia nie rzuca cienia.

— Poprzedza cię twoja reputacja, Abdelramanie Saladynie — mówi. — Od dnia, gdy zniknął, najmowałam pływaków i żeglarzy w nadziei odzyskania męża, ale wszystko na próżno. Lata wyciekły jak oliwa i ludzie mi mówią, że nie zostało z niego nic prócz kości. — Unosi przezroczyste ręce. — O, Abdelramanie, myślałam, że jeśli jakiś człowiek może przejrzeć ciało oceanu, zajrzeć w dwulicowe umysły ryb, to jesteś to ty, słynny pośród wszystkich pływaków, ten, który po tysiącokroć tysiąc razy topił się i powracał! A jednak...

Abdelraman próbuje uciszyć serce, wytęża słuch na owoc, który może się kołysać na smukłej gałęzi tego „A jednak...”. Ocean wzdycha, pełen nocy, i z dala, z jednego z odległych biegunów wieczoru, słycać odgłos, jakby Szatan płakał za światem, który utracił.

— A... jednak...? Ona mówi dalej:

— A jednak... dzisiaj się przekonałam, że to, co brałam za miłość, stało się jedynie kośćmi, a co było dla mnie wspomnieniem, to nic więcej niż popioły. Od pierwszej chwili, o, Abdelramanie, kiedy cię ujrzałam na targowisku, moja dusza przylgnęła do ciebie.

Abdelraman czuje przyływ stu uczuć, palenie niewidzialnych skrzydeł. Próbuje przemówić, ale może się jedynie roześmiać śmiechem skazanych na zagładę. Mięśnie jego grzbietu pływaka rozciągają się, kiedy rusza, by objąć umiłowaną, tę, która na nowo nauczyła go, jak silne i jak przerażające zarazem może być pożądanie. W ciemnej łodzi kroczy naprzód.

Ale nie ma dokąd iść. Bo zdaje mu się, że pokład się stopił, u reling roztrzaskał, i kiedy Abdelraman zaczyna spadać, nie może się zatrzymać. Ale czy to nie ślad jej palców na jego skórze? Czy to nie słodycz jej oczu zamykała się w miłości? I czy to zazdrosny głos oceanu woła jego imię, kiedy Abdelraman szybko, bez wdzięku i zawahania w niego spada?

Wiruje w martwym czarnym powietrzu morza i ostatnie, co widzi przez mętną powierzchnię, to twarz umiłowanej, która płacze... a może się śmieje? A potem stado rozmaitych motyli, beztroskich i niewytłumaczalnych tak daleko od wybrzeża, trzepocze nad powierzchnią wody.

I Abdelraman toczy się w ciemne morze, z miłością wbitą w bok jak wielki hak. Siła miłości obdarła go z mocy. Ziemia obraca się i ocean otwiera swoje nieskończone katakumby, swoje podziemne królestwo kości, i wpuszcza Abdelramana Saladyna do środka.

Tego ranka Sirine budzi się z poczuciem udrczenia, poruszona późną rozmową z Nathanem. Ma wrażenie, że jej własny duch uniósł się w noc, osobny i ciemnopłynny, ledwie mieszczący się w ciele. To stare, znane i nieprzyjemne uczucie. Żeby się ukoić, rozmyśla o bohaterkach opowieści stryja — kobietach wojowniczkach, które miały za zadanie rozwiązać nierozwiązywalne, śmiertelne zagadki. Te kobiety podbijają pałace i armie, łamią zaklęcia ciszy i bezruchu, mieszają w głowach sfinksom i dżinom, znają siedem rodzajów uśmiechu, a na koniec, właśnie rozwiązawszy łamigłówkę, odrzucają maskę i mężowskie szaty, broń, pióro, i znowu po prostu są sobą. Sirine chciałaby być taką kobietą i z takich czerpie natchnienie, ale martwi się, że nie ma ich bystrości umysłu ani wytrzymałości.

Ale Króla Babara nie interesują nastroje, w jakich budzi się Sirine. Dla niego świat jest tym, czym jest: czystą szczęśliwością, póki może być z kimś, kogo kocha. Wyczekuje na delikatne poruszenia świadomości w pokoju, po czym skacze na łóżko, obok Sirine, która najpierw całuje go w fioletowawy pysk, a potem się ubiera.

W drodze do łazienki słyszy głosy: jeden, mrużący, unoszący się i opadający, należy do jej stryja, drugi, sprytny i bystry, brzmi jak głos Aziza. Rozmawiają wewnątrz stryjowskiej biblioteki i kiedy Sirine tam wchodzi, w powietrzu unosi się ostry zapach kardamonu i kawy. Wydaje się emanować z perskich dywanów i z grzbietów nieprzeczytanych książek, a nie tylko z brązowego dzbanka na kawę na środku stołu.

— Witaj, *habibti* — mówi stryj. — Pamiętasz naszego słynnego przyjaciela poetę.

Sirine krzyżuje ramiona i szeroko uśmiecha się do Aziza.

— Nie wyglądasz mi na rannego ptaszka.

Aziz usadowił się na zbyt głębokich poduszkach aksamitnego fotela przy kominku — stryj nazywa go swoim rozkładającym fotelem. Sirine zauważa, że Aziz trzyma przed sobą wielki talerz z piramidą jej cukrowych ciasteczek graiba.

— Wcale nie jest rano, jest po prostu bardzo, ale to bardzo późno. Jeszcze się nie kładłem. Po tej przekąsce o północy mam zamiar iść do domu i spać aż do kolacji:

— Aziz właśnie tłumaczył, jak to bliskowschodnia polityka jest odwieczną zagadką.

— Nigdy nie wiedziałem, kiedy mam się przymknąć — oświadcza Aziz. — Myślałem, że pisanie wierszy mnie tego nauczy, ale jestem żalonym przypadkiem.

— Witamy w klubie — stwierdza stryj. — W Klubie Żalonych Przypadków.

— Ach, tak, to ten klub — przytakuje Sirine. Nalewa sobie pół filiżanki kawy i siada obok ich foteli, na pokrytym skajem tapczanie. — Co się stało?

— Cóż, właściwie to nic się nie stało — odpowiada Aziz. — Rozmawiamy o życiu uniwersyteckim.

Stryj przytakuje i muska poślaczony brzeg porcelanowej filiżanki.

— Bardzo uprzejmie i miło powiadomiłem pewną kobietę na moich zajęciach z arabskiej poezji, że musi przestać twierdzić, jakoby współczesny islam był religią wrogów kobiet. Przy najmniej na czas zajęć musi przestać.

— Naprawdę? I co ona na to powiedziała?

— Z początku wcale się nie odzywała, tylko rzuciła we mnie długopisem. A potem oświadczyła, że próbowałem ją uciskać. Ja! Aziz! Oto ja, największy na świecie feminista i miłośnik kobiet...

— Jedno nie musi się równać drugiemu. — Stryj sięga do talerza Aziza i strzepuje trochę cukru z proszkowatego ciasteczka graiba.

— Ja tylko zwróciłem uwagę, że w islamskiej poezji istnieje tradycja używania postaci idealnej kochanki jako hołdu dla boskiej miłości. Innymi słowy, seksowna poezja miłosna w rzeczywistości mówi o niebie. I na odwrót. — Tnie powietrze gestem dłoni. — Jestem niewinny — zapewnia.

— Niewinny jak mała zielona — rzuca stryj. On i Aziz spoglądają na siebie. Aziz zapada się w aksamitny fotel ze śmiechem, który jest na wpół warczeniem, a na wpół sapaniem.

— Ja nie jestem profesorem! — zapewnia Aziz. — Nigdy nie twierdziłem, że jestem! Ktoś przeczytał moją książeczkę i do mnie zadzwonił, mówiąc, żebym tu przyjechał opowiadać studentom różne rzeczy. Przez połowę zajęć sam nie wiem, co mówię. Rzucam jakieś myśli i mam nadzieję, że ktoś złapie z tego jedną albo dwie. Dla mnie to jedynie słowa. Kiedy siadam do pisania, chcę tylko, żeby rzeczy były jasne i czyste. To jak patrzenie przez okno.

— Biedny Aziz — mruczy stryj. — Ciągłe czyści okna.

— Jesteś muzułmaninem? — pyta Sirine. Aziz wzrusza ramionami.

— A kto to wie? Jestem Aziz, jestem rozległy, mieszczę w sobie wielość. Nie da się mnie sklasyfikować. Ja tylko uważam, że islam dostał w tym kraju za swoje. No w porządku, to patriarchalizm i ucisk i jeszcze dziesięć milionów innych rzeczy. Religia powinna właśnie taka być! Ale jak Amerykanie w mojej grupie mają się czegoś nauczyć, kiedy ta kobieta wrzeszczy jak terrorystka?

— No cóż — wtrąca stryj — jeśli ta kobieta na zajęciach z poezji...

— Rana — podpowiada Aziz.

— Rana? Ona jest Arabką? — dopytuje się stryj. Aziz podnosi ręce.

— Nie mam pojęcia, kim ona może być.

— No więc gdyby ta Rana Cośtam naprawdę wierzyła w swoje przekonania, to nie pozwoliłaby, żeby ktoś taki jak ten mały poeta wytrącił ją z równowagi.

— Nikt jej tam nie trzyma — zrzędliwie stwierdza Aziz. Zjada następne ciastko i macha palcem w stronę Sirine. — Tak, tak — ciągnie. — Ty mnie rozumiesz. Każdy, kto potrafi robić takie ciastka, rozumie mnie. Niesamowite, jak to działa. Większość kobiet zna prawdziwego Aziza. Zawsze to czułem. Widzą coś w głębi mnie. Ty też, prawda? Nie bądź skromna, czytasz we mnie jak w książce.

— Może jak w broszurce — rzuca stryj.

Sirine wzrusza ramionami, ale pochlebia jej to — słynny poeta uważa, że ona go rozumie. Aziz wstaje, bierze dłoń Sirine i zgina się w pasie, aż jest niemal równoległy z podłogą. Przymyka oczy i całuje jej rękę tak czule, że Sirine czuje strumyczek ciepła pod skórą.

Stryj sięga ze swojego siedzenia, łapie Aziza za tył koszuli i z powrotem ciągnie na fotel.

— Ty rozumiesz — zapadłszy się, stwierdza Aziz. Jego winogronowoczarne oczy wydają się płynne. — Wybawiłaś mnie i muszę się zastanowić, jak ci zadośćuczynić.

— Och, doprawdy — mówi Sirine, uśmiechając się do własnych kolan, żeby wyglądać skromnie. Na grzbiecie swojej dłoni dostrzega mały odcisk pocałunku z cukru pudru.

— Właśnie — przytakuje do Aziza stryj. — Prawdę mówiąc, żadne zadośćuczynienie nie będzie konieczne, jeśli łaska.

Ale Aziz tylko mruga do Sirine i nadgryza ciastko.

W restauracji jest mały ruch, więc Um-Nadia wysyła Mireille i Sirine na cośrodowy popołudniowy targ rolny w Westwood. Dwie kobiety przepatrują stoły i kramy pełne lśniących pomidorów, czarnookich słoneczników, granatów pełnych nasion czerwonych niby krew. Powietrze pachnie jak pęknięty owoc. Żar toczy się wokół, opróżnia ulice, faluje nad samochodami. Obie kobiety zapełniają torby guzkowatymi kulami dyń, i jeszcze jedną torbę czosnkiem i jedną ogórkami.

— Najlepsze włoskie orzechy w mieście — zachęca Sirine młody, opalony pomocnik z farmy. — Są świeżutkie, doskonałe i smakują jak masło.

Sirine wygina brwi.

— No myślę, za taką cenę?

Mężczyzna uśmiecha się, zęby ma niemożliwie białe.

— Hej, dobry towar musi kosztować.

Mireille mruga do niego. Dzisiaj ma sztuczne rzęsy swojej matki, które trochę drżą.

— Weźmiemy kilo — oświadcza łobuzersko.

Kiedy już biorą torbę i odchodzą, Mireille szturcha Sirine i mówi:

— Mam pomysł, chodźmy posiedzieć na wykładzie Hana. Sirine zatrzymuje się i spogląda w górę ulicy, w stronę wejścia do miasteczka uniwersyteckiego.

— Och, naprawdę — mówi. — Nie wiem. Nie jestem pewna, czy on by chciał, żebyśmy to zrobiły.

— Jasne, że by chciał! Ma dzisiaj zajęcia, prawda? — dopytuje się Mireille. — Chodźmy tam i popatrzmy na niego. Nie chcesz się dowiedzieć, jakim jest nauczycielem?

Mireille ma czterdzieści dwa lata, o dwa i pół roku więcej niż Sirine, ale nigdy nie potrafi zapamiętać, do jakiego wieku się przyznaje, więc podaje ludziom najróżniejsze liczby między dwadzieścia sześć i trzydzieści pięć. Lubi wydawać napiwki na zabiegi kosmetyczne: maseczki, pedikiur, sesje makijażu. Brwi ma wywoskowane w zaskoczony łuk i wycina z gazet ogłoszenia chirurgów plastycznych, przygotowując się na dzień, gdy, jak mówi, zbierze się na odwagę, żeby sobie zafundować operację plastyczną. Jeśli o tym nie zapomni, robi pompki od pasa w górę na blatach kuchni na zapleczu.

Sirine waha się, ale jak zwykle Mireille udaje się ją namówić do zrobienia czegoś, do czego Sirine nie ma przekonania. Idą razem w górę, w stronę rozległego miasteczka akademickiego. Sirine zawsze zaskakuje tłumy studentów, to, ile w nich życia i niezależności, jak bardzo uniwersytet jest odrębnym światem. Sirine i Mireille wkraczają do gmachu językoznawstwa, gdzie uczy także stryj Sirine, i przechodzą korytarzami. Większość sal ma zamknięte drzwi, dźwięki wykładów są rozmyte i przytłumione. Nagle Sirine wydaje się, że zza rogu słyszy głos Hana. Przez chwilę jest niemal przerażona, ma wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, czuje się prawie jak szpieg. Lecz wtedy Mireille wyszczerza zęby i ciągnie ją ku głosowi Hana. Sirine idzie za nią, ręce ma zimne od potu, serce jej łomocze, a on rzeczywiście tam jest. Drzwi są uchylone, więc widzi Hana stojącego po drugiej stronie sali. Jest tak zaskoczona jego widokiem — niemal nie może uwierzyć, że od razu na nie nie spojrział.

— No już, wchodzimy — szepce Mireille.

Sirine chce wejść, ale coś ją powstrzymuje. Czuje się bezczelna, pozbawiona godności. Nie była też przygotowana na wdzięk, jaki Han roztacza podczas wykładu. Kiedy uczy, wygląda na tak spełnionego, tak absolutnie rozluźnionego, zupełnie jak ona przy gotowaniu — Sirine nie chce mu przeszkadzać.

— A więc, jak wszyscy wiecie, prawda? Mahfouz urodził się w Kairze w roku 1911 — stwierdza. Jego ręka sunie po tablicy, szybko i intensywnie kreśląc notatki. — Napisał ponad trzydzieści powieści i w 1988 roku otrzymał literacką Nagrodę Nobla...

Jest głęboko skoncentrowany, jego ręce się poruszają, głowę przechylił w stronę studentów, zabiegający o uwagę i czuły. Sirine przygląda się ładnym młodym kobietom — wiele z nich ma bliskowschodni wygląd — które siedzą w przednich rzędach tak skupione, całe zamienione w drobne, uważne ruchy, skrzyżowanie nóg, dłoni ślizgającą się po włosach.

— To dziwne. Niby widzę, że jest atrakcyjny, ale jest o wiele za... za arabski jak na mój gust — szepce jej do ucha Mireille.

— Spójrz na te wszystkie dziewczyny. Mireille zerka na Sirine, unosi brwi.

— Nie są tak ładne jak ty.

Kobieta z tyłu sali przykuwa uwagę Sirine — czarna chusta i suknia okrywają ją tak, że widać tylko blady owal twarzy. Oczy ma pluszowe jak futro norki. Całą sobą wpatruje się w Hana.

— Nie miałam pojęcia, że w Ameryce dziewczyny noszą takie stroje — szepce Sirine. — Myślałam, że to tylko w starym kraju.

— Założę się, że rodzice je zmuszają — stwierdza Mireille. — To chyba ta rzuciła w Aziza długopisem. Mówił mi. Przechodziła koło restauracji.

— Ona? — Sirine cofa się od drzwi do holu, do Mireille. — Ta, która jest cała okutana?

— No — przytakuje Mireille.

— Ale ona powiedziała, że islam to religia wrogów kobiet, coś w tym stylu.

Mireille opiera ręce na biodrach i spogląda na Sirine jak na lekko obłąkaną.

— Ty czasem naprawdę nic nie rozumiesz.

Głos Hana podnosi się i Sirine znowu obraca się w stronę drzwi. Han idzie, skrobiąc coś na tablicy. Sirine przypomina sobie, że to zajęcia na temat współczesnych pisarzy arabskich

— na tablicy wypisane są nazwiska Ahdafa Soueifa, Emile Habiby i Naguiba Mahfouza. — Niektórzy krytycy dowodzą, że komitet noblowski wybrał Mahfouza, bo to pisarz bezpieczny — mówi Han. — Jego styl jest bardzo zachodni, bardzo przystępny dla amerykańskich czytelników, trochę jak u Dickensa: z szerokim wachlarzem postaci, prostą prozatorską narracją i wieloma elementami humoru.

Dwie kobiety w pierwszym rzędzie wymieniają spojrzenia. Jedna zakłada włosy za ucho, potem druga robi to samo. Ich skrzyżowane nogi podskakują w górę i w dół.

— Ale Mahfouz to autor wybitnie egipski, jego pisarstwo odbija obraz społeczeństwa tego kraju. Brał udział w ekscytującym tworzeniu nowej tożsamości narodowej.

Jego gesty są szerokie, koliste, elektryzujące. Kreda obsypuje tablicę. Han wchodzi i wychodzi z kolumny światła, padającego z bocznych okien.

— Said orzekł, że Mahfouz to „Galsworthy, Mann, Zola i Jules Romains”. — Kreśli strzałki na tablicy. Sirine podziwia jego pewność siebie i to, jak łatwo mu kierować. — To prawda, w Mahfouzie zawiera się ich społeczne sumienie, skupienie na cierpieniu ludzi i zmysłowość, a zarazem ich skłonność do filozoficznych rozważań.

Han obraca się do słuchaczy, podchodzi i się cofa, porusza ręką, jakby dyrygował symfonią.

— Ale nie wszystko, co robi wrażenie, musi być porównywane do Zachodu. — Kpiąco uśmiecha się do studentów, a Sirine zaskakuje wybuch ich śmiechu. — Mahfouz wywodzi się ze starożytnych arabskich tradycji sztuki i poezji. Przypomnijcie sobie klasyczny okres Abbasydów. Abbasydzi byli walecznymi przywódcami wojskowymi, ale zarazem cenili sztukę i teatr. Budowali wykładane glazurą meczety z rozległymi dziedzińcami i dla duchowego oraz psychologicznego dobra swojej kultury wspierali literaturę i edukację. W świecie arabskim jest stare powiedzenie: Kair pisze, Bejrut drukuje, a Bagdad czyta. Abbasydzcy pisarze z Bagdadu byli zarazem czytelnikami i myślicielami. Udało im się wytworzyć nowy rodzaj poezji, która zerwała ze sztywnymi przedislamskimi konwencjami poetyckimi, obserwując i biorąc za cel zmiany ówczesnego życia. Pokolenia później Mahfouz zrobił to samo, wyruszając na ulice i zaułki Kairu i przyglądając się codziennemu życiu ludzi, którzy go otaczali. — Kreda zostawia na tablicy kolejną strzałkę. — Mahfouz, jeśli pozwolicie to tak określić, ucieleśnia abbasydzkiego, arabskiego „człowieka Renesansu”, politycznie i artystycznie wyrafinowanego, a zarazem obdarzonego społeczną świadomością... — Przerzywa i spogląda na słuchaczy. — Można go nawet porównać z Hemingwayem...

Kolejny wybuch śmiechu. Niektórzy przytakują. Kobieta, której przyglądała się Sirine, podnosi rękę, nie czeka na dopuszczenie do głosu.

— Nie widzę związku, profesorze — stwierdza.

— Ach, Rana — z westchnieniem odpowiada Han. Mówi serdecznie i poufale, jakby byli starymi przyjaciółmi. — Jaka niecierpliwa... Daj mi, proszę, minutę, żebym mógł wytłumaczyć, co mam na myśli.

Rana udaje kwaśną minę, a Sirine zauważa, jak dwie dziewczyny w pierwszym rzędzie spoglądają na siebie znacząco.

— To się wydaje dziwne — skromnie mówi Rana. Zainteresowanie najwyraźniej jej pochlebia.

— No cóż, można na to spojrzeć w taki sposób: chodzi o miejsce i tożsamość — wyjaśnia Han. Jego dłonie z powrotem wślizgują się do kieszeni, robi kilka kroków w jej kierunku. — Hemingwayowi łatwo przychodziło przechodzenie między narodowymi przynależnościami, podróżował po świecie, spotkał mnóstwo ludzi, przeżywał tyle przygód, ile się tylko dało, a jednak uważa się go za pisarza najgłębiej wcielającego amerykańskość. Z kolei Mahfouz pra-

wie całe życie spędził na tych samych ulicach, w tej samej okolicy, pisał o Kairze i tamtejszych ludziach, a jednak uważa się go za autora międzynarodowego...

— Tylko dlatego, że nie był Amerykaninem! — potrząsając głową, wtrąca Rana.

— W porządku, ale weź pod uwagę, że Mahfouz kiedyś powiedział: Jestem pewien, że gdybym podróżował jak Hemingway, moje dzieła byłyby inne. Kształt mojej pracy nadało to, że jestem tak egipski.

Rana pozwala sobie na cień uśmiechu, przechyla głowę. Sirine, przyglądając się jej, ledwo może odetchnąć. Wtedy czuje na ramieniu dłoń Mireille, która szeptem:

— No, chodź. Lepiej wracajmy.

Han podchodzi do środka sali, do miejsca, gdzie światło muszelkowatymi falami pada z na wpół zasłoniętych żaluzji. Włosy opadają mu na czoło, oczy mają kolor przymglonego złota.

— Pytanie dzisiejszej ery brzmi: co to znaczy, nazwać się pisarzem egipskim czy nawet pisarzem bliskowschodnim? — mówi miększym tonem. — Obrazy Zachodu przenikają media. Czy w ogóle można, i czy jest to pożądane, posiadać tożsamość, która się w tym nie mieści?

Zanim wyjdą, Sirine raz jeszcze zerka na spowitą kwefem kobietę. Rana podnosi wzrok i Sirine ma wrażenie, że spojrzała na nie, a właściwie na kogoś za nimi, ale kiedy Sirine się obraca, nie widzi nikogo.

Rozdział dziewiąty

— Abdelraman Saladyn nosił się, można by powiedzieć, niby dłoń pełna wody — mówi stryj. — I to dlatego jego matka Camille, moja cioteczna prababka Camille, jego właśnie kochała najbardziej. Niebieska, niebieska woda jak pomalowana na niebiesko skóra błękitno odzianego Beduina, pełne ręce niebieskości.

— Niebiesko, niebiesko, niebiesko! — mruczy Um-Nadia. — Gdzie w tym całym niebieskim interesie jest opowieść?

Stryj wzdycha, unosi brwi. On, Sirine i Um-Nadia siedzą razem w jego bibliotece wyimaginowanych książek — to wizyta na koniec roboczego dnia.

— Gdy pewnego dnia nie wrócił z pracy, wiedziała, że są dwie możliwości. Jedna, że jej syn został zaczarowany przez hurysę, dzina albo piękną kobietę. I druga, że w końcu utonął, tak jak mu to przepowiadała. A będąc niewiastą przenikliwą, zdawała sobie sprawę, że mogła to być także jakaś niefortunna kombinacja tych dwóch przyczyn. Moja ciocia Camille, wyzwolona

nubijska niewolnica, nie była głupia, co to, to nie! Przez jakiś czas była sułtaną, trzecią żoną sułtana Imr.

— Uff — wtrąca Um-Nadia. — Gdybym dostała po jednym awokado za każdą sułtanę, jaką spotkałam, wszyscy mielibyśmy gładką skórę.

Stryj Sirine prycha.

— Tak czy inaczej, historia tego, jak z królewskiego majestatu popadła w niewolnictwo, jest zajmująca i kiedyś mogę ją opowiedzieć. A więc. Oto węzeł w kręgosłupie tej opowieści: moja ciocia Camille dochodzi do siebie po nieprzyjemnym epizodzie niewolnictwa. Od dawna podejrzewała, że syn pragnie wziąć odwet za jej zniewolenie i że stąd wzięła się jego niekończąca się ciuciubabka z niesławnymi saudyjskimi handlarzami niewolników.

Zysk z jej firmy malowania dłoni henną ledwo starczał na utrzymanie, więc ciocia Camille uznała, że jedyny sposób, żeby zgromadzić środki potrzebne na odszukanie syna to, zgodnie z rodzinną tradycją, znowu się sprzedać w niewolę. Ale nie poddałaby się zwykłym handlarzom. Nie. Zaproponowała siebie nie komu innemu, jak tylko brytyjskiemu odkrywcy, sir Richardowi Burtonowi, który dzielił z moim ulubionym walijskim aktorem tylko nazwisko, lecz nie jego słodycz.

Um-Nadia wzdycha.

— Więc, mówiąc inaczej, to będzie jakaś historyjka o jakiejś gwiazdce filmowej.

— Właśnie ci powiedziałem, że chodzi o innego Richarda Burtona — odyma się stryj Sirine.

— Wybacz, wybacz, wybacz, sahibie — szybko powtarza Um-Nadia, spoglądając porozumiewawczo na Sirine.

— Świetnie! A więc! Powód, co właśnie miałem wam powiedzieć, dla którego ciotka Camille sprzedała się Burtonowi, był taki, że słyszała o tym, jak ten Anglik odnalazł źródło rzeki Nil.

— A co, zgubiło się? — zaledwie wypowiedziawszy te słowa, Um-Nadia przyciska sobie rękę do ust.

— Czy mogę mówić? — Stryj spogląda na nie obie. — Czy po prostu mam teraz iść spać? — Podnosi się. Obydwie kobiety zaczynają protestować, a on z powrotem siada. — Właśnie. Miała plan odnalezienia syna. Myślała, że jeżeli uda się jej przekonać Richarda Burtona, żeby ją zabrał do źródła Nilu, to będzie się mogła spotkać z Matką Wszystkich Ryb i po-

prosić ją o pomoc, jak to matka matkę, w dowiedzeniu się, gdzie się podział jej syn, a mój kuzyn, Abdelraman Saladyn.

— Kiedyś ludzie w taki sposób myśleli — wyjaśnia Um-Nadia, mrugając do Sirine. — Ja tam wolę ryby smażyć.

— W takim razie w porządku, skoro najwyraźniej nic was nie obchodzi ta opowieść... — wstając, mówi stryj Sirine.

— Nie, nie, stryju, proszę. — Sirine dotyka jego nadgarstka. — Słuchamy.

Stryj przez chwilę wpatruje się w Um-Nadię, która odpowiada mu bardzo niewinnym spojrzeniem, po czym znowu siada.

— Co to ja mówiłem?

Mija chwila, nim Sirine zaśnie — w głowie wirują jej okruchy rad i opowieści. Już odpływa, gdy we śnie pojawia się dźwięk, jakby bębnił deszcz. Śni jej się, że unosi się w rzece, a cząstki deszczu macą powietrze wokół. Wyciąga ręce, unosi twarz. Deszcz pada coraz głośniej.

I wtedy się budzi, a dźwięk brzmi już trochę inaczej niż deszcz. To pukanie w okno. Szturcha Króla Babara, śpiącego przy jej kostkach, a on pojękuje z niezadowoleniem. Sirine podnosi się i podchodzi do okna. To Han, stoi pod domem z garścią kamyków, patrzy w górę, szaleńczo roześmiany. Sirine uchyla okno, śmieje się, ale jednocześnie próbuje nie hałasować.

— Obudzisz mojego stryja!

— Cześć — Han woła szeptem. — Witaj.

— Co ty robisz?

Uśmiecha się, niemal onieśmielony.

— Właściwie nie wiem. Masz coś przeciwko temu?

— Która jest godzina?

Położył rękę na ścianie domu, jakby chciał ją zmierzyć.

— Mogę wejść? Tylko na minutę, ani chwili dłużej. Muszę cię tylko znowu zobaczyć.

Sirine schodzi do frontowych drzwi w postrzępionej niebieskiej piżamie w kratkę — sypia w niej od lat. Chłodne czarne powietrze wdiera się od wejścia, wiję się wokół jej nagich kostek jak zakłęcie.

— Jestem — mówi, trochę onieśmielona. — Hmm. Chcesz gorące kakao?

W ciemności trudno dojrzeć jego twarz. Kładzie rękę na jej włosach, a jej kolana znowu miękną na wspomnienie pocałunku z ubiegłego wieczoru.

— Więc byłaś dzisiaj pod moją klasą — odzywa się.

— Zauważyłeś nas?

— Jak mogłem nie zauważyć? Dlaczego nie weszłaś? Sirine wpatruje się w niego, porażona zawstydzeniem.

W końcu Han zaczyna się rozglądać i pyta:

— Więc to jest dom twojego stryja?

Sirine przypuszcza, że stryj może spać w którymś z foteli na dole.

— Wejdz — szepce. — Chodźmy na górę, do mojego pokoju.

Sirine zawsze wychodziła na spotkania z chłopakami. Nigdy dotąd nie zaprowadziła mężczyzny na piętro, do swojej sypialni. Stojąc tam z Hanem, ma wrażenie, że wprowadziła coś nieprzewidywalnego do pokoju, który oświetlają tylko gwiazdy i uliczne latarnie. Teraz to miejsce wygląda inaczej, jest sterylne i puste: gołe ściany, ledwo zmarszczona kołdra na łóżku. „Stara panna” — przebiega przez głowę Sirine. Obejmuje własne łokcie. Han przechyla się w wejściu, zagląda do środka.

— Aha — mówi. — Więc to jest twoje sekretne miejsce.

— Sekretne?

— Pewnie. Sypialnie są pełne ciekawych, ukrywanych rzeczy.

— Ja żadnych nie mam — mówi Sirine. — Przynajmniej nic o tym nie wiem.

— Wszyscy coś ukrywamy.

— Więc moje sekrety są ukryte nawet przede mną. — Prowadzi go w stronę łóżka, siadają obok siebie. Czuje się niezgrabna i podekscytowana jak nastolatka. — Naprawdę, ja tu tylko sypiam. Nic ciekawego.

— Robiłaś te wszystkie amerykańskie, dziewczynskie rzeczy? Piżamowe przyjęcia i walki na poduszki i to wszystko, co pokazują w telewizji?

— Nie bardzo. Przez pół nocy nie sypiałam, bo oglądałam wiadomości ze stryjem i robiłam herbatę i przekąski dla jego przyjaciół. Wszyscy się schodzili i tylko gadali, gadali, gadali.

— Nie brzmi to specjalnie amerykańsko. Nie miałaś wyznaczonej godziny na chodzenie spać?

Sirine śmieje się, przesuwa dłonią po kołdrze.

— Zwykle nawet tu nie sypiałam. Zасыпiałam gdziekolwiek. Pamiętam, że lubiłam spać na podłodze pod stołem w jadalni, z psem. Mój stryj nie bardzo wiedział, jak się wychowuje dzieci. Więc właściwie improwizowaliśmy to, co było akurat potrzebne.

— I proszę, jak ci to dobrze zrobiło. — Han wpada w zadumę.

Sirine spuszcza wzrok i zaciska wargi, próbując ukryć uśmiech.

— Boże, ale byłem zadowolony, jak cię zobaczyłem na uczelni — mówi Han.

— Wiem — nie podnosząc oczu, odpowiada Sirine. — Ja też.

— Ale nie mogłem popatrzeć wprost na ciebie. Bo nie umiałbym dokończyć zajęć. — Jego ręka nasuwa się na jej dłoń, obraca ją wnętrzem do góry. — Mogę ci coś dać?

Sirine podnosi rękę. Leży w niej nowy, srebrny klucz.

— To do mojego mieszkania — wyjaśnia Han. Sirine spogląda na niego, zaskoczona. — Chciałbym, żeby był u ciebie. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Chcesz mi dać swój klucz?

— Tak tylko mi przyszło do głowy. — Uśmiecha się, ręce uniósł bezradnie. — Pomyślałem, że od tego się jakoś lepiej poczuje... wiedząc, że go masz.

Sirine wpatruje się w niego, zastanawia się, co powiedzieć, ale pochlebia jej to i czuje dziwne zadowolenie. Przebiega ją dreszcz. Han przyciąga ją bliżej, w ciepło swojej klatki piersiowej, i ustami dotyka czubka jej głowy. Sirine przechyla głowę, więc Han całuje ją w czoło, potem obok oka, potem w zewnętrzny kącik ust.

A potem znowu się całują, jej usta miękną, pożądanie jest jak błękitny błysk, ciała ocierają się o siebie. Całując się, kładą się na łóżku, zderzają się z Królem Babarem, który pojękuje, skarży się, ale śpi dalej. Skóra Sirine jest zarumieniona i wrażliwa, na ustach ma nowy naskórek, jakby otarła go na zaroście, kielkującym na jego twarzy. Dłonie Hana trzepocą przez cienką bawełnę jej bluzy od piżamy. Sirine odpycha je z uśmiechem. Czuje się zarazem śmiała i cnotliwa. Coś w jej wnętrzu, mieszanina podniecenia i strachu, od której kręci się w głowie, stawia opór. Nie zgadza się na nic ponad pocałunki, ale całują się tak głęboko, że zderzają się zębami, śmieją się i całują się dalej. Sirine zaciska klucz w dłoni.

Budzi się o piątej, o swojej zwykłej godzinie, gdy świt nie jest jeszcze nawet srebrny, a wszystkie ptaki śpią. Powoli dociera do jej świadomości, że Han jest obok, śpi, nadal ubrany, a Król Babar wtulił się między nich jak dziecko.

— Och, Boże. — Sirine na wpół się śmieje, a na wpół złości, potrząsa Hanem, który budzi się zaskoczony i rozgląda dookoła. Siada. Włosy opadły mu lśniącym pasmem na czoło, ubranie ma pogniecione, koszula owinęła mu się wokół piersi. Sirine przyciska rękę do ust i spogląda na drzwi.

— Mój stryj już wstał! Musisz zmykać.

Han kiwa głową, całuje ją dwa razy i głaszcze kciukiem jej kość policzkową.

— Więc tak to jest, spotykać się z porządną arabską dziewczyną.

— Porządne arabskie dziewczyny z nikim się nie spotykają. — Sirine ogląda się za siebie, na zamknięte drzwi. Chyba słyszy stryja w łazience.

Han wstaje i usiłuje wygładzić ubranie. Odgarnia włosy.

— Zobaczą cię później?

— Jest sobota, czeka mnie dużo pracy.

— Nie szkodzi — odpowiada, podchodząc do okna. — Mogę zaczekać.

— Nie możesz wyjść przez okno! Jesteśmy za wysoko.

— To tylko jedno piętro — stwierdza z lekko obłąkańczym uśmiechem. — Więc zobaczą cię dzisiaj wieczorem?

— Jeszcze nie wiem — szepce Sirine, uśmiechając się i złoścąc na siebie za ten uśmiech. — Proszę, nie, zrobisz sobie krzywdę.

— Och, mnie już nic nie zaszkodzi — wesoło odpowiada Han i wystawia nogi na zewnątrz. I zanim Sirine ma czas, żeby go powstrzymać, wysuwa się cały, zawisa na czubkach palców półtora metra nad ziemią i spada. Chwieje się, obraca, macha i odchodząc, posyła pocałunki.

W czasie porannej przerwy Sirine idzie na podwórko z tyłu, które Um-Nadia nazywa ptasim ogrodem. Zapada się w sznurkowy hamak zawieszony między dwiema pochylonymi palmami, częściowo ukryta w altance szerokich, wachlarzowatych liści. Drzemie, przypominając sobie noc z Hanem, własne ciało miękkie od gorąca i pożądania. Okruchy ptasiego śpiewu przelatują wokół, niby płatki dziwnych kolorów. Powietrze pachnie oliwkami, cyprysem i piekącymi się ziołami, lawendą i szałwią i tymiankiem i rozmarynem, pędami cebulki i czosnku, które na całym podwórzu rosną na wpół dzikie, na wpół pielęgnowane przez Mireille i Sirine. Czuje się osłabiona, kolana ma miękkie, jakby zapadała na jakąś chorobę. Jak gdyby unosiła się poza własnym ciałem. Ostatniej nocy spała tylko parę godzin i zaczyna odpływać, gdy niski pomruk głosów przesuwają się przez kuchnię na tylne podwórze.

Nathan i Aziz wychodzą drzwiami z zaplecza, nie przerywając dyskusji — ich ciała i gesty buzuja energią wypowiedzianych słów. Nathan przesuwają dłońmi po przyciętych na jeża włosach, a fryzura Aziza jest zmierzwiona jak skrzydła kosa. Żaden z nich jej nie zauważa. Siadają przy żelaznym stoliku pod rozłożystymi gałęziami bugenwilli, hałaśliwie odsuwają żelazne krzesła. Pochylają się do przodu, kostki zaplatają wokół nóg krzesel.

Sirine zamyka oczy i na chwilę odgłosy ulicznego ruchu i mruczenie przewodów elektrycznych z tyłu podwórza mieszają się w miękki pomruk, jakby grały cykady.

— Ale ta dawna bliskowschodnia poezja — peroruje Aziz — to takie nudziarstwo. To tylko słowiki, które w rzeczywistości nie są ptakami, i róże, co wcale nie są kwiatami. I wielkogłowi krytycy twierdzą, że Omar Chajjam wcale nie pisał o winie i jedzeniu, że chodziło o boską miłość albo inne fitu-fitu. Nikt nie może się cieszyć życiem. Wolę, kiedy się okazuje, że modlitwy mówią o seksie, a nie odwrotnie.

Nathan pociąga nosem.

— Ale co w tym takiego strasznego? To poezja. Wiesz, symbolizm.

— To dym, lustra i tak dalej — odpowiada Aziz. — Powiedzmy, że wolę trochę staromodnego całowania. A może trochę zwykłego, staromodnego, szaleńczego seksu.

Sirine znowu podnosi powieki i widzi mężczyzn poprzez mgiełkową warstwę słońca i liści. Podnosi dłoń, żeby przesłonić oczy, i dostrzega Hana, wystawiającego głowę z tylnych drzwi.

— Sirine?

— Tutaj! — Nathan macha do niego.

— To chyba nie o nas mu chodziło — wtrąca Aziz.

— Dyskutujemy na temat bliskowschodniej poezji — wyjaśnia Hanowi Nathan.

— Och, dobra, ja pasuję. — Han zajmuje trzecie miejsce przy stole, ale przez ramię obserwuje podwórze. — Poezja to nie moja działka.

Sirine przeciąga się, ale postanawia zaczekać za zasłoną liści.

— Aha, rozumiem. Pewnie wolisz coś takiego: Poszli do baru. I to było dobre. A potem wypili piwo, i to też było dobre.

— Czy Aziz udaje Hemingwaya? — pyta Han.

— Aziz interpretuje wszystkich wielkich — oświadcza Aziz. — Mój arabski poeta może pobić twojego Hemingwaya w każdej chwili. — Obraca się do Nathana. — Whitmana też by pokonał. Czy wiesz, że istnieje wspaniała tradycja wrażliwych, choć męskich arabskich poetów?

Nathan wystawia palec w górę.

— „Mieszkam w twarzy kobiety / Która żyje w fali / Wzbierającej fali / Co znajduje brzeg / Zgubiony jak przystań pod muszlami”.

Han stuka w brzeg stołu.

— Brawo, Nathan.

— Tak, wielkie brawa — przytakuje Aziz. — To jest oczywiście poezja Alego Ahmeda Saida, bardziej znanego jako Adonis. Wszędzie rozpoznam ten ton. A co powiecie na to? — Odchrząkuje, po czym mówi: „W stadzie jest młoda gazela, ciemnoustą, potrząsa owocami, / Szczyci się naszyjnikami z pereł i topazów, / Stoi z boku, gdy stado pasie się w gęstych zarostach, / Spowita swą szatą, skubie czubki owoców araku”.

— Ibn al-Abd! — rzuca Nathan. — To łatwe. *Oda Tarafaha*.

— Dobra, dobra. — Han unosi rękę. — Pozwólcie mi też raz spróbować:

— „I czerwone piórko / Unosi w górę czarownik / Czasami zmienia w gazelę / Z rogami ze złota / Czasem w kapłankę, co odprawia powab / I w grę uwieńczenia / Gdy w haremie kalifa / Duchy i nuda nawiedzają noc”.

— Abdul Wahab Al-Bayati! — Nathan i Aziz wołają razem, zanim jeszcze Han dokończył.

— „Rano, gdy odchodziły / Wyrzekliśmy pożegnanie / Napętnieni smutkiem / Nieobecności, co ma nadejść” — mówi Nathan.

— Och, to jest, hmmm, to... wiem, co to jest... — Han macha ręką.

Aziz prostuje się.

— To *Odejsie* Ibn Jaka, jedenasty wiek. Dobra, tego nigdy nie zgadniecie, wyzywam was obu! — Unosi obie ręce i deklamuje: — „Jeśli biel jest kolorem / Żaloby w Andaluzji, / To jest to dobry zwyczaj. / Spójrz na mnie, / Odziewam się na białą / W biel włosów / Z żaloby za młodością”.

Krzyżuje ręce na piersi.

— Oto moja melodia.

— Jasne, to *Żaloba w Andaluzji* Abu il-Hasana al-Husri — odpowiada Nathan. Z namysłem przesuwając ręką po czubku głowy. — To właśnie był ulubiony wiersz grupy młodych pisarzy w Radzie Francuskiej.

Han pochyla głowę ku Nathanowi.

— Rada Francuska. Och. Chyba nie to małe biuro na placu Tahrir?

— Tak! Znasz je? Popołudniami zbierała się tam grupa studentów i literatów z bagdadzkiego uniwersytetu, rozmawiali o pisaniu i recytowali swoje prace.

— Dlaczego w Ameryce nikt nie recytuje poezji? — narzeka Aziz. — Idą do kawiarni tylko po to, żeby wypić kawę.

— Słyszałem o salonach Rady Francuskiej — Han zwraca się do Nathana. Głos ma ożywiony. Sirine siada w hamaku, tak że siatka lekko się kołysze, a liście falują jej nad głową. — Zawsze chciałem tam pójść.

— Żałuj, że tego nie zrobiłeś! Były najrozmaitsze stowarzyszenia artystyczne — opowiada Nathan. — Nie tylko poetyckie. Spotykaliśmy się po całym Bagdadzie: aktorzy, pieśniarze, malarze. Mnóstwo ludzi. Oczywiście z powodu Saddama dużo rzeczy trzeba było robić w tajemnicy.

Aziz wtula głowę w dłonie.

— Ach, ale czy zakaz nie sprawia, że wszystko jest bardziej ekscytujące?

— Nie. — Han i Nathan odzywają się jednym głosem.

— No cóż — przyznaje Han — może czasami. Wtedy wydawało mi się ekscytujące. Ale wyjechałem do szkoły, kiedy byłem jeszcze bardzo młody, zanim cokolwiek z tego naprawdę umiałem dostrzec. Kiedy byłem chłopcem, jeździłem na rowerze pod kawiarniami i próbowałem zerknąć do środka.

— Och, tak, kawiarnie i kluby były takie zatłoczone, pełne życia — wspomina Nathan. — Oczywiście ludzie często odwiedzali się w domach, zwłaszcza że było coraz ciężiej. Ale uważałem, że najlepsza scena to Klub Szafirowy. Późno wieczorem. Kiedy wszyscy turyści i cudzoziemcy poszli już do domu.

— Klub Szafirowy! — powtarza Han. Sirine słyszy w jego głosie słodkie zawirowanie, jakby patrzył na coś, za czym tęsknił. Jej serce potyka się. Odpycha się od hamaka, żeby lepiej się przyjrzeć jego twarzy, ale traci równowagę, ręką przebija się przez liście.

— Och!

W tej samej chwili tylne drzwi się otwierają i na podwórku staje Um-Nadia w złocistych klapkach na wysokich obcasach. Spogląda po kolei na Hana, Aziza i Nathana.

— Gdzie szefowa kuchni? — pyta, machając w stronę liściastej zasłony. — Kleopatro? Jesteś potrzebna przy ruszcie.

Cicho, z miną winowajczyny, Sirine okrąża zarośla, a trzech mężczyzn odwracają się, żeby się jej przyjrzeć.

Rozdział dziesiąty

Sir Richard Burton wędrował po arabskim świecie na podobieństwo piegowatego widma. Przywdziewał tubylcze odzienie, godzinami wpatrywał się w arabskie oczy. W zamian za to arabska mowa wdarła się aż do jego serca, wwiercić się jak ziarno, rosnąc wąsami wierzeń i przekonań. Ale jego język był płaski niby deska. Mówił tyloma językami, że nie zostało w nim nic z rodzimej melodii. Jednakże, podobnie jak wielu ludzi epoki wiktoriańskiej, miał skłonność do posiadania, przywiązanie do rzeczy materialnych i osobistych, takich jak kolonie i niewolnicy. A już zwłaszcza lubił mieć niewolników, mieszkając jednocześnie w cudzym domu. Był amatorski w posiadaniu niewolników, ale swoje amatorstwo realizował profesjonalnie — nosił przecież szaty tylu różnych plemion, jadł ich pożywienie i wkraczał na terytoria tylu rozmaitych krajów.

Burton napisał książkę zatytułowaną *Ogród wonności*, a ciocia Camille, matka Abdelmana Saladyna, znalazła się właśnie w takim miejscu, gdy sprzedała się Burtonowi. Dom Burtona w Syrii, bo tam wtedy przebywał, był hałaśliwy od ptasiego śpiewu, płamiasty od motyli. Drabiny rosły w pergole, kołysały się kiście winogron, obracały się kratownice i przywierały pnącza, a niebo układało się w łuk, niby dach meczetu. A pośrodku tego wszystkiego siedział sir Richard, przykucnięty na poduszkach, gruby jak pasza, z przyjaciółmi i tłumem miejscowych kmiotków, którzy przychodzili i odchodzili, gadali, jedli, wyrabiali sobie opinie, przekładali papiery i tak dalej. Nie jak w tak zwanej współczesnej Ameryce, gdzie przez cały dzień rozmawia się przez telefon i przez komputer i nikt na nikogo nie patrzy, i nikt nie pamięta, jak się gotuje pomidory, przynosi kwiaty i całuje dzieci.

Nieważne. Sir Richard powiedział ciotce Camille: Tak, rzeczywiście znam drogę do źródła Nilu, pomogłem ją znaleźć, ale to już nie ma znaczenia. Nie chcę mieć więcej nic wspólnego z tą głupią rzeką. Widzicie, niegdysiejszy najbliższy przyjaciel sir Richarda przywłaszczył sobie całą zasługę znalezienia źródła, więc sir Richard stracił do tego serce.

Co w tej sytuacji zrobiła Camille? Czy ona także straciła serce? Ani trochę. Usiadła na dywanie na tarasie i zaczęła podziwiać ogród. Słyszała odgłos liści muskających liście, a ten dźwięk to słowo, a słowo, jak mówiła, to *audžuba*, cud. Przyglądała się, jak słowiki i kolibry kręcały się po ogrodzie, podobne do duchów i cieni. Tworzyła dom na zewnątrz, noc była jej peleryną. Nietrudno zgadnąć, że nieszczęśliwie nadawała się na niewolnicę, ale Burtonowi specjalnie to nie przeszkadzało — lubił kolekcjonować ludzi dla samego kolekcjonowania. Otaczał

się Arabami, Chińczykami i Hindusami, pisał, pisał i pisał, próbując warstwą atramentu wypełnić pustą przestrzeń w sobie.

Tak się składa, że był też żonaty. Był to związek na dystans. Ale, rzecz jasna, jak powiedział Czechow: jeśli boisz się samotności, małżeństwo nie jest dla ciebie. Jego żona była poczciwą duszyczką i bez zastanowienia paliła wszystkie pisma męża, które jej nie przypadły do gustu.

Cóż, uwadze pani sir-Richardowej nie mogło umknąć to, że węglówka piękność o czarnych włosach zamieszkała na jednym z ich tarasów, a kiedy zwróciła na to uwagę sir Richarda, on zdawkowo odparł: Hmmm, a, tak, rzeczywiście, rzeczywiście. A kiedy pani domagała się bliższych informacji, powiedział: Och, hmmm, ona jest jedną z niewolnic, moja droga.

Ale teraz zaczyna się robić ciekawie. Na swój powolny, bardzo miły i rozmyślny sposób ciocia Camille zaczęła zajmować miejsce w wyobraźni Burtona. Jak stworzenie opuszczające poczwarkę rozpoczęła przemianę z niewolnicy w mużę. Burton zauważył, że miło patrzeć na nią, zwiniętą na trawniku, gdy się je porannego różka. Lubił się przyglądać, jak obierała nieśpliki, gdy on tymczasem pracował nad koniugacją chorwackich czasowników nieprzechodnich.

Był właścicielem niewolników, odkrywcą i tłumaczem, ale nie potrafił do końca przełożyć na właściwe słowa białego Nilu skóry Camille i błękitnego Nilu jej włosów. Sprawiała, że czuł siedem boleści, i nauczyła go siedmiu rodzajów uśmiechu. Napełniła jego sen dymem, a usta smakiem wiśni. I pewnego dnia, przerzuciwszy stare notesy, luźne opowieści ze starożytnej Persji, Fenicji i Hindustanu, Burton nakreślił frazę o sile pioruna: „A później”. Zaczął swoją słynną, występłą, sugestywną, imperialną wersję wiktoriańskiego oblędu, rozpuszczonego w niebie nad Bliskim Wschodem — swoje tłumaczenie *Baśni tysiąca i jednej nocy*.

Tego wieczoru po pracy, gdy ptaki-przedrzeźniacze głośno śpiewają na gałęziach, a palmy pochylają się w wietrze nad jej głową, z liśćmi jak skrzyżowane miecze, Sirine wybiera się do Victory Market. Załedwie wchodzi, gdy Kurosz woła:

— Bonjour, szacowna szefowo kuchni!

Sklep jest mały i ciasny, z powietrzem wilgotnym od bogatego napływu przypraw, czosnku, szafranu i goździków. Sirine często robi tu zakupy, nawet kiedy niczego nie potrzebuje. Bierze tylko próbki nowych przypraw albo kosztuje któregoś z importowanych produktów Kurosza, marząc o nowych daniach, umiejscowionych gdzieś między Irakiem, Iranem i Ameryką.

— Szefowo, odłożyłem to specjalnie dla ciebie — spiesząc na zaplecze, oświadcza Kurosz. Wraca z marynowanymi cytrynami, tureckim miodem, pastą z granatu i pojemnikiem ma-
lutkich morelek. Wszystko to kładzie na ladę. — Popatrz na te cuda — mówi szarmancko. —
To pokarm miłości.

— Piękne. Ile kosztują? — pyta Sirine.

— O czym ty mówisz? Teraz mnie obrażasz.

— Kurosz, nie możesz ciągle dawać mi wszystkiego za darmo.

— Nie, to prezent.

— Chcę płacić za moje prezenty.

— Nic nie szkodzi. To prezent, z mojej ręki do twojej. Jeżeli powiesz jeszcze chociaż
jedno słowo o pieniądzach, będzie mi bardzo przykro. Już zaczyna mnie boleć głowa.

Wchodzą klienci, pozdrawiają Kurosza po persku, język płynnie faluje między nimi. Si-
rine umyka między regały, a odgłos śmiechu kupujących miesza się z poufałym dymem przy-
praw.

Podobają jej się wyrafinowane perskie kadencje, lubi podsłuchiwać, niczego nie rozu-
miejąc — to pocieszające, rozkoszne i głęboko znajome, jak szczególny imigrancki język tęsk-
noty i nostalgii. Spędziła dzieciństwo w miejscach podobnych do Victory Market. Trzymała
stryja za rękę, gdy wędrowali w poszukiwaniu szczególnych smaków, których nie dało się zna-
leźć w wielkich amerykańskich sklepach spożywczych. Nie miało znaczenia, czy to sklepik
perski, grecki czy włoski — we wszystkich były wielkie wory fasoli i soczewicy, pojemniki
białych i plecionych serów, ciemne słoje oliwek, a powietrze pachniało świeżym chlebem i
wypiekami. Sklep przypomina jej o Hanie — jakoś wszystko tchnie zapachem, przelewa się
wspomnieniem Hana. Kiedy skręca między półki pełne puszek z czerwonymi i żółtymi przy-
prawami i żywicznymi zapachami, wirującymi w powietrzu, ogarnia ją tak przenikliwa tęskno-
ta, że wreszcie pojmuje: nie jest chora. Zupełnie jakby coś potężnego uwolniło się w niej tej
nocy, kiedy dzielili sen, nie całkiem się dotykając, a jego oddech wachlował jej twarz. Teraz
wraca do niej intymna bliskość ciała Hana, zapach jego skóry rozbrzmiewa echem w bogatych
proszkach przypraw. Przepaja ją pożądanie, wypełnia komórki, a poczucie rezerwy natychmiast
ustępuje. Porusza ją przesunięcie własną ręką po włosach, splecenie nóg, nawet oddech, bie-
gnący przez usta. Z niewielkimi zakupami spieszy do kasy, głowę ma spuszczoną, w dłoniach
międkli pieniądze i płaci tyle, ile Kurosz zgadza się przyjąć.

Po czym wychodzi, zapominając swoich zakupów, i Kurosz musi biec za nią z torbą. Sirine śmieje się bez tchu, wciska torbę do koszyka na rowerze, kopie podpórkę i rusza w obsypaną gwiazdami noc. Po zakończeniu pracy czuje się otumaniona, kończyny ma luźne, mięśnie odprężone, ale pedałuje, póki nie obleje jej pot i nie zabraknie tchu. Nawet nie wie, czy Han jest w domu, ale on tam jest, otwiera drzwi i kiwa głową, jakby odpowiadał na pytanie. Kładzie jej torbę na kuchennym blacie i przygląda się Sirine. Robi parę kroków w jej stronę, a ona instynktownie, nieśmiało się cofa.

— Czekaj — mówi mu. Wyciąga półlitrowe opakowanie moreli, pulchnych i pięknych jak róże, i podaje mu jedną. Han nadgryza i przykrywa dłonią jej rękę, kiedy Sirine gryzie kęs, a aksamitna skórka i owocowa słodycz wypełniają jej usta. Powietrze między nimi jest skomplikowane, nasycone zapachami z toreb: prażonym sezamem, słodką wodą pomarańczową i wonną wodą różaną.

Dojadają morelę, a Sirine wrzuca pestkę do zlewu. Han jeszcze raz obejmuje jej dłoń i zlizuje z czubka palca kropelkę soku.

Sirine wstrzymuje oddech, ziemia zaczyna lekko falować. Han przysuwa się do niej z tyłu i przesuwa dłońmi po jej ramionach. Przybliża czubek głowy do tyłu jej głowy, przyciska i zaczyna masować mięśnie między jej karkiem i ramionami. Głowa Sirine, porwana przyjemnością, opada do przodu. Han naciska poduszkami dłoni wzdłuż środka jej pleców, masuje łopatki i pociera między nimi. Sirine pozwala, by opuszczał dłonie aż do zagłębienia jej pleców, a potem znowu unosił, aż do miejsca między ramionami. Głaszcze boki jej klatki piersiowej, wciska się w zwarte ciało między ramionami, trze kark, potem przesuwa kłykcie wzdłuż kręgosłupa. Wplata nowe sposoby naciskania i głaskania. Po kilku pogłębiających się, obfitych przejściach jej ciało jest płynne, jakby nie miała kości.

Obraca się do niego, otulają się ramionami. Ślizgają się i całują, a Sirine zsuwa buty. Tanecznie prowadzi go do tyłu, do sypialni, tak że Han tyłem podchodzi do materaca. Tarmoszą nawzajem swoje ubrania, próbują się z nich wywinąć, kopią majtki i odrzucają koszule. Han zatrzymuje się, delikatnie wyciąga jej z włosów żółte plastikowe wsuwki. Turlają się, jedno na drugim, głaszczą sobie ręce i nogi. Han spleta palce z jej palcami. Sirine otwiera usta, smakuje jego skórę i język. Han jest barwy bursztynu, karmelu i ziemi. Jego skóra ją podnieca — wdycha głęboko, jakby mogła wchłonąć jego esencję. Jego smak to migdały, słodycz. Sirine waha się przez chwilę, ale pyta:

— Czy masz, wiesz...

— Co?

— No wiesz. Ochronę?

Han patrzy, jakby nie rozumiał, i pyta:

— Ochronę przed czym?

Potem uśmiecha się, turla do zdjętych spodni i wyciąga z kieszeni prezerwatywę. Łapie plastikową paczuszkę za róg, macha nią i woła:

— Jesteśmy bezpieczni!

Ostatni raz Sirine uprawiała seks z opalonym chłopakiem z plaży imieniem Danny, ponad trzy lata temu — minęło tyle czasu, że właściwie zapomniała, jakie to uczucie. Ale teraz, gdy Han kołysze się nad nią, a smukły ciężar jego ud pociera o jej uda, to jest to tak naprawdę całkiem nowe doznanie, fizyczna przyjemność otwiera ją i przepływa przez jej mięśnie. Sirine wygina grzbiet, ma wrażenie, że otwierają się jej żebra. On porusza się z głęboką, niemal zwierzęcą pewnością, nie okazując śladu zawstydzenia — jego ciało jest w pełni zaangażowane, a oczy pewne i skupione. Sirine otwiera usta, ale jedynym głosem jest pospieszny oddech, omiatający, rozszerzający i kurczący pokój. Poruszają się razem, patrząc na siebie, trzymając się za ręce.

W ostatniej chwili oczy Hana rozszerzają się i ciemnieją, jego usta otwierają się, jakby w zaskoczeniu, ale nie wydaje żadnego dźwięku, całe jego ciało zatrzymuje się i zaciska, mięśnie i powoli opada na nią. Sirine wciska się w niego i czuje, że zapada się w siebie, puls tłucze w jej piersi. Wreszcie zamyka oczy i odczuwa pod skórą ostatnie, drgające falowanie, a potem przez chwilę ma wrażenie, jakby opuściła swoje ciało — unosi się tuż za ich balkonikiem, widzi rzędy balkonów, blade ulice, betonowe domy w kolorze skóry, zgrabne dachy pokryte czerwonymi dachówkami. Fioletowa noc rysuje smugi na fasadach. Migoczące palmy, ciemne jak basen salamandry pomiędzy domami, ciepłe iguany. Czuje, jak obraca się świat owadów, rogate żuki i ważki o woskowych skrzydłach wzbijają się w powietrze. Otwiera oczy w wilgotny, gorączkowy sen, w którym leżą w swoich objęciach.

Ręce Hana pachną snem i chlebem. Kiedy ją znowu przygarnia, Sirine czuje się, jakby coś ją wciągało do podwodnego świata, do jaskini pod powierzchnią morza. Zamyka oczy i zanurza się. I w końcu, wciąż w jego ramionach, zasypia.

Chwilami sen wydaje się jej ciężki jak ocean, innym razem Sirine unosi się ku powierzchni i ma wrażenie, że słyszy dziwne dźwięki: ciche okrzyki, niedostrojoną muzykę. Albo migają przed nią chmurne twarze, nieznane zjawy. Ślad uczucia, że jest obserwowana.

Budzi się zaledwie po paru godzinach, u zarania świtu, gdy mieszkanie wypełnia srebrzysta mgła. Kraina pełna mlecznych kanałów. Podchodzi do drzwi i obraca się, żeby popatrzeć na Hana, na jego wygładzoną snem twarz. Jego skóra nabrała brązowej patyny.

Chodzi po małej sypialni naga, z zaczerwienionymi oczyma, czując się, jakby się ocknęła w cudzym śnie. Wokół leżą różne przedmioty: kilka książek z inskrypcjami wypisanymi złotą arabską kaligrafią, butla z różnokolorowym piaskiem, sznurki paciorków, złożony kwadrat jedwabiu, brązowy nóż do otwierania listów, a obok fotografia w srebrnej ramce: młodszy Han obok chłopca i młodej kobiety, wszyscy troje o tej samej orzechowobrązowej skórze, kasztanowobrązowych włosach. Wydają się szczęśliwi i pełni — Sirine czuje ukłucie zazdrości, bo oni najwyraźniej do siebie przynależą. Próbuje sobie przypomnieć, czy Han wspominał coś o siostrze. Ostrożnie odkłada zdjęcie na miejsce, obok noża do otwierania listów.

Senna, już ma wrócić w ciepłą jaskinię jego ramion i piersi, ale przystaje na chwilę, nasłuchując. Zdaje się jej czy naprawdę coś słyszała? Stoi w drzwiach prowadzących w stronę balkonu i widzi, jak pachnąca kardamonem mgła wypełniła drogi, jak unosi się z oddechu śniących przy pełnych domów ulicach.

Obraca się, żeby wrócić do łóżka, lecz coś miga w kącie jej oka. Odwraca się i to niemożliwe, ale ciemność i mgła stworzyły złudzenie wpatrującej się w okno twarzy gargulca, jakby ktoś obserwował, przykucnięty w rogu balkonu.

Sirine gwałtownie łapie oddech. Ale wie, że to na pewno złudzenie, część snu. Zamyka oczy i powoli, ostrożnie się cofa, póki nogą nie dotknie brzegu łóżka. Kładzie się i leży tam przez chwilę, czekając, aż jej umysł się uspokoi, powtarzając sobie: to nic, tam nie ma nikogo. Naciąga sobie kołdrę aż po szyję, podpełza blisko Hana i po długim moszczeniu się i obracaniu stopniowo zasypia raz jeszcze.

Kiedy się znowu budzi, jest ranek, a mgła zniknęła. Han miele ziarna kawy w ciężkim miedzianym młynku, miesza herbatę pełną mięty i cukru i tnie na kawałki ser, dojrzałe pomidory i śmietankowe awokado na śniadanie. Po posiłku jadą do Santa Monica i spacerują porannymi, pocztówkowo niebieskimi ulicami. Świtające słońce już praży niebo, chmury wytopiły się tak, że zostały tylko żebra i ości, palmy połyskują od gorąca.

Sirine i Han mijają rozmytych w ruchu biznesmenów, studentów, pracowników kawiarni, turystów.

Wtem mały chłopiec o szerokich brązowych oczach i jedwabistych rzęsach mówi:

— Popatrz na nich, mammo.

Matka ucisza go, łapie za rękę. Sirine zerka na dłoń Hana, na doskonałą skórę w kolorze kawy przy jej własnej bieli.

Na słońcu jest zbyt gorąco, więc idą w cień i na skraju parku znajdują otwarty budynek, centrum seniora. Wewnątrz panuje cienista ulga, ale pomarszczony mężczyzna w wózku inwalidzkim sunie w ich stronę po wyblakłej, wywoskowanej podłodze.

— Centrum jest zamknięte — oświadcza. Zbierają się do wyjścia, ale on podjeżdża bliżej. — Chyba że przyszłście zobaczyć kamerę obskurę? Klucz jest na półce, więc możecie tam iść.

Spoglądają po sobie, obracają się i zaczynają się wdrapywać po skrzypiących schodach. Powietrze jest ciasne, ciężkie od śniedzi i pleśni, jak zbyt długo nieotwierana szafa. Na szczycie wchodzi do nieoświetlonej, wyłożonej boazerią salki. W środku pokoju duży, barwny dysk przykrywa powierzchnię stołu. Wygląda jak malowidło, ale Sirine zauważa na nim poruszające się światła.

— To coś w rodzaju obrazu z peryskopu — mówi Han. Sięga, żeby obrócić mechanizm, a panorama na stole zaczyna wirować. — Popatrz, to widok z ulicy, z zewnątrz, blisko budynku.

Sirine okrąża wielki stół — pełno na nim obrazów jadących samochodów, przechadzających się turystów, wzbijających się mew.

— Niesamowite. — Wyobraża sobie ten pokój, pełen ludzi z centrum seniora, pochyłych nad stołem i obserwujących przechodniów na ulicach. — To szpiegowska kamera — mówi. — Lepsza niż telewizja. Można podpatrzeć, co kombinują sąsiedzi.

— Jakie to ciekawe — stwierdza Han. — Kto by podejrzewał, że ci wszyscy emeryci ukrywają się tu i szpiegują każdego dookoła. Nie mówiąc już o tym, że sam pomysł pochodzi od muzułmanów.

— Pomysł tej kamery?

Han jeszcze trochę obraca peryskop, przygląda się obrazowi.

— Uczony z pierwszego wieku, Al-Hazen z Bagdadu, wymarzył sobie kamerę obskurę. Sirine uśmiecha się filuternie.

— A wyobrażał sobie, że będzie na górnym piętrze domu seniora? — Spoglądając w dół, zauważa wśród obrazów rzuconych na blat stołu sylwetkę mężczyzny, który wygląda jak jedyna nieruchoma postać w samym sercu całej tej krzątaniny i sprawia wrażenie, jakby ze swojego miejsca na stole wpatrywał się prosto w nią.

— Popatrz na to — mówi, wskazując go Hanowi.

Han mruży oczy, obrazy migoczą przez chwilę i wyostają się — spogląda tuż obok miejsca, gdzie stał ten człowiek, na pustą parkową ławeczkę naprzeciw oceanu. Mężczyzna zniknął.

— Na co mam popatrzeć? — pyta Han. — Co widziałaś?

— Wydawało mi się... sama nie wiem, to takie dziwne.

— Powiedz.

— Ostatnio mam zwidy. — Kładzie rękę w miejscu, gdzie, jak się jej zdawało, widziała mężczyznę, a obrazy poruszają się po jej palcach.

Han namawia ją, żeby pójść w to miejsce — zapamiętała ławkę, kępę lilii tygrysich, ale mężczyzny tam nie ma. A może nigdy go tam nie było. Sirine odwraca się w stronę centrum seniora i teraz ją widzi — obracającą się kamerę obskurę usadowioną na dachu, przykrytą własnym spiczastym daszkiem, niemal niewidoczną.

— To, że teraz go tu nie ma, nie znaczy, że wcale go tu nie było — szarmancko stwierdza Han. — Prawdopodobnie to oznacza dokładnie coś przeciwnego.

— Mój stryj mawia, że to arabska przypadłość. Wydaje ci się, że chodzi za tobą CIA.

— Robię się nerwowo, jak ktoś za mną chodzi. Sirine zerka na niego i z jakiegoś powodu mówi:

— Nathan to robi. To znaczy chodzi za tobą.

— Zastanówmy się — Han jest rozbawiony. — Czy Nathan może być z CIA? Nosi te ciasne okulary, ciągle gapi się na ludzi i robi zdjęcia. Ale, z drugiej strony, jest całkowicie oddany, po arabsku mówi zaskakująco dobrze, zna nawet wiejską gwarę. I nigdy nie widziałem równie pilnego studenta. Myślę, że w sumie ma czyste serce. — Siada na zbitej z desek ławeczce i wyciąga rękę do Sirine. Ona też siada, wsuwa się pod jego ramię. Park jest położony wysoko nad plażą. Przyglądają się, jak fale, wirując, zbliżają się i oddalają. Sirine ujęła fraza Hana: „czyste serce”, i już chce zapytać, co on przez to rozumie, ale powstrzymuje się. Zamiast tego mówi:

— Tak bym chciała umieć mówić po arabsku. — Odchyła się do tyłu, ciepłe słońce pada na jej twarz i ramiona.

Han wygląda na zadowolonego, przybliży brodę do piersi.

— Naprawdę? Chciałabyś się nauczyć? To nie jest łatwy język do nauczenia.

Sirine uśmiecha się i wzrusza ramionami. Urosła otoczona rozmowami po arabsku i czuje obecność tego języka gdzieś z tyłu głowy, jakby to była mowa duchów: lapidarna, czysta i niezapisana jak ocean. I czuje się winna, że nie potrafi jej używać.

— Nie znasz biegle języka, dopóki nie stanie się dla ciebie właściwie niewidzialny — stwierdza Han. — Kiedy tłumaczę, zmagam się ze słowami jako z czymś świadomym. Wpatrujesz się w kartkę i wiesz, co oznacza każde słowo w obu językach, i zastanawiasz się, jak, na litość boską, masz sprawić, żeby oba, z ich historią i niuansami, oznaczały to samo.

— To się wydaje niewykonalne, kiedy o tym opowiadasz. Han przez chwilę pociera czoło dłonią.

— Tłumaczyć Hemingwaya na arabski to jakby tłumaczyć ptaka na rzekę. Musisz oddać nie tylko wyrazy, trzeba jeszcze spróbować przełożyć z jednej kultury na drugą uczucia i pomysły na najróżniejsze rzeczy, na przykład co oznacza wiara albo odwaga.

— Ja w ogóle ledwo wiem, co one oznaczają

Han uśmiecha się i odwraca wzrok, wydaje cichy dźwięk.

— Co?

— Myślałem o sobie, kiedy miałem dziesięć lat. Że nawet by mi coś takiego nie przyszło do głowy. Że któregoś dnia będę siedział w miejscu takim jak to, z kobietą taką jak ty.

Sirine próbuje sobie wyobrazić Hana dziesięciolatka. Przychodzi jej to z trudem — jest w nim coś, co musiało zawsze być dorosłe. Potem przypomina sobie zdjęcie, które znalazła w jego pokoju: młodszy Han, stojący obok dziecka i młodej kobiety.

— Gdzie jest reszta twojej rodziny? — pyta.

Han nie odpowiada od razu. Sirine czeka, patrząc na wodę. Fale w Santa Monica są miękkie i ruchliwe, z koronką piany. Wreszcie Han zaczyna mówić:

— Rodzina ze strony mojej matki mieszka w Nasra, w południowym Iraku. Dalai, siostra ojca, mieszka na północy. Mam jeszcze trochę krewnych, rozrzuconych po Bliskim Wschodzie i Ameryce Środkowej od czasu wojny w Zatoce. A moja matka i brat wciąż są w Bagdadzie.

Sirine odczekuje chwilę, zastanawia się i wreszcie pyta:

— A twoja siostra?

Kiedy tylko pada to pytanie, wydaje jej się, że coś dzieje się wewnątrz Hana — nieskończenie mała, ale wyraźna zmiana, jakby przestał działać jakiś mikroskopijny organ wewnętrzny. Ale on tylko potrząsa głową i odpowiada:

— Jest tam, w Iraku, z innymi. — A potem dodaje: — Dobra, teraz ty mi powiedz, gdzie jest twoja rodzina.

Sirine wyciąga rękę.

— Tutaj. To znaczy mój tata i stryj przyjechali z Iraku, ale nie wiem, skąd dokładnie. Moja mama była z Santa Barbara, wiesz, Kalifornia, i nie znam rodziny z jej strony. Oboje rodzice nie żyją, nie mam ani braci, ani sióstr. Właściwie od dawna jestem sama ze stryjem.

Han podnosi rękę z jej ramienia, dotyka rozpuszczonych włosów i patrzy na nią z namysłem.

— To dlatego nigdy nie wyjeżdżasz z Los Angeles, prawda? — pyta.

Sirine chce zaprotestować, ale powstrzymuje się. Spogląda ponad głową Hana i zauważa, jak na szczycie budynku kamera obskura obraca się pod spiczastym daszkiem. Wiatr podnosi się, potrząsa różnymi krzewami, wzbija trochę piaszczystego kurzu.

— Chyba zawsze szukałam domu. To znaczy mieszkam tutaj, ale mam wrażenie, że mój prawdziwy dom jest gdzieś indziej.

Han na chwilę przysłania oczy trójkątem otwartej dłoni. Sirine nie potrafi odczytać wyrazu jego twarzy.

— Więc co dla ciebie sprawia, że jakieś miejsce staje się domem?

— Praca — odpowiada Sirine. — Praca to dom.

— Jakie to amerykańskie! — z uśmiechem stwierdza Han. — Czy praca to także rodzina?

Sirine przypatruje mu się przez sekundę.

— Może i tak.

Jego oddech na jej brwi jest lekki i przezroczysty. Nic nie mówi. Przyglądają się, jak skrada się odległa, szara woda, a Sirine wsłuchuje się w głęboki, podzielony na dwa uderzenia rytm w piersi Hana. Potem czuje, jak on głęboko nabiera powietrza.

— Jest jeszcze coś, o czym chyba nie mówiłem — odzywa się miękko. — O moim bracie.

— Tak?

Chmurka nasion centradonii przepływa w powietrzu, muska jego włosy. Han odchrząkuje i prostuje się. To, o czym myśli, musi szczytać mu skronie. Opuszcza wzrok. Grzbietem dłoni przesuwają po czole. Sirine czeka, patrzy na jego łopatkę, czuje narastające napięcie, jakby jakieś palce wciskały jej się w mostek.

— Nie musisz mi mówić — odzywa się bardzo cicho.

— To mój młodszy brat — Han powoli wypowiada słowa.

— Na imię ma Arif. Nie widziałem go ani, nawiasem mówiąc, moich rodziców, od ponad dwudziestu lat.

— Przez dwadzieścia lat nie wróciłeś do domu?

— Uciekłem do Anglii niedługo po tym, jak Saddam Husajn doszedł do władzy.

— To musiało być przerażające. Han blado się uśmiecha.

— To jest bardziej interesujące w opowiadaniu niż w rzeczywistości. Wszystko się sprowadzało do tego, że miałem stypendium, ale nie było łatwego sposobu, żeby się dostać do Anglii. Kiedy wyjechałem z Iraku, Arif miał zaledwie dwanaście lat, ale zgodnie z odwieczną iracką tradycją już zaczął walczyć o obalenie przywódcy, głównie pisząc i czytając podziemną poezję. Wyobraź sobie tylko...

— Chyba niektóre z tych wierszy napisał mój stryj. Dużo w nich jest rymów?

— O, tak, rymów i odważnych deklaracji. — Han uśmiecha się szeroko. — Dałem mu zły przykład. Jest młodszy o prawie dziesięć lat, wbił sobie do głowy, że jestem jakimś odważnym rewolucjonistą, który się udał na wygnanie. Chciałem, żeby opuścił kraj, kiedy to jeszcze było możliwe, ale on odmówił. Powiedział, że musi pracować. — Han wywraca oczami.

— Został zaarrestowany i wtrącony do więzienia, zanim skończył trzynaście lat. To było dwadzieścia jeden lat temu. A ja nie mogę wrócić, żeby mu pomóc.

Sirine czuje, jak płytki jest jej oddech i jak wciska się w klatkę piersiową.

— Czemu nie?

— Hmm. Właśnie, czemu nie? — Kołysze połączonymi palcami, jakby na wpół się modlił. — W Iraku są różne „bo nie”. Dla Irakijczyków to niebezpieczne miejsce. Jest wojsko, są więzienia, tortury, egzekucje. Jestem poszukiwany za niedopełnienie obowiązku wojskowego. To raz. I jest wiele czynników, które pogłębiają problem. — Han przygląda się swoim modlitewnym paznokciom. — Władca słynie z bezwzględności. Kiedy jego zięciowie wrócili do Iraku po wyjeździe, na który nie mieli pozwolenia, Saddam okazał łaskawość w ten sposób, że pozwolił im prosić o wybaczenie za ucieczkę, zanim rozkazał ich zgładzić. Jeżeli Arif jeszcze żyje... — przerywa. — Jeżeli Arif jeszcze żyje, to mogłoby mu zaszkodzić, gdybym znowu się znalazł w kraju. Ale kto wie, może wcale nie. Może to by w ogóle nie zrobiło różnicy. Między innymi dlatego to jest takie bolesne. Przez tę frustrację. I niewiedzę. — Skrupulatnym spojrzeniem wpatruje się w twarz Sirine. Potem składa ręce pod brodą. — Jak mam o tym mówić? Nie

potrafię o tym nawet myśleć. A teraz jeszcze pewnie cię przeraziłem tymi dramatami i intrygami.

— Och, nie tak łatwo mnie przestraszyć — niedbale mówi Sirine, ale wcale nie jest tego pewna. Tak trudno jej wyobrazić sobie coś podobnego: zagrożenia, uwięzienie brata, kiedy odpoczywają w tym śmietankowym powietrzu Santa Monica.

— Zabiliby cię? — pyta. Przesuwa dłonią po jego rękę. Nigdzie go nie wypuści. — Poważnie?

Han smutnym, arabskim gestem odchyła do tyłu głowę. Stryj ją nauczył, że to oznacza: Czy ty mnie słuchasz? W jego wyrazie twarzy jest kapitulacja, utrata czegoś, co tracił już dawniej. Odwraca wzrok.

Przez jej umysł przebiegają kolejne pytania. Ale właśnie w tej chwili lśniący czarny ptak sadowi się na palmie tuż nad ich głowami, nawołuje do nich i Sirine uświadamia sobie, że zrobiło się późno. Słońce jest wysoko, a owady w otaczających ich drzewach syczą jak czajnik. Sirine spóźni się do pracy, Mireille będzie robiła kawę i wszyscy wpadną od tego w zły humor. Spogląda przez zagajnik poruszających się palmowych liści, pni krzyżujących się, nakrapianych jak szara flanela. Zaskakuje ją ruch wśród drzew. Przez chwilę ma wrażenie, że dostrzega skórę w kolorze gałki muszkatołowej i włosy czarne jak goździki — twarz młodego mężczyzny, który przesuwają się między drzewami, patrzy przez ramię, ucieka od nich. Ale teraz jest już daleko, to tylko plamka światła między drzewami, tak odległa, jakby wcale nie istniał.

Rozdział jedenasty

W stylowym domu sir Richarda Burtona powietrze wypełniały szerszenie o tygrysiach paskach i pszczoły machające odnóżami obsypanymi złotym pyłkiem, a niebo — granatowe burze. Ciotka Camille od dawna sypiała, budziła się i medytowała na swoim perskim dywanie na trawniku z boku domu, a czasami dołączał do niej szakalouchy pies imieniem Napoleon Tu Był. Czekala, aż Burton pomoże jej odszukać nieznośnego, zaginionego syna Abdelramana Saladyna, a jednocześnie, nie zdając sobie z tego sprawy, stawala się dla Burtona muzą i współpracownicą, bo przecież muza to najlepszy możliwy pomocnik. Tak całkowicie nie nadawala się na niewolnicę, że wyłoniła się po drugiej stronie własnej obojętności jako władczyni. Wszyscy jej uslugiwali — służba, cudzoziemscy uczeni i studenci, angielscy odkrywcy, nawet sam Burton. Przynosili jej szklanki herbaty i półmiski maślanych ciasteczek. Camille robiła dla

Burtona o wiele więcej niż zastęp niewolników z miotełkami do kurzu. Akurat pisał o dawnej królowej Bagdadu, słynnej bajorce z *Tysiąca i jednej nocy*, Szeherezadzie, i to właśnie Camille pokazała mu, kim mogła być Szeherezada ze swoją cierpliwością na trawniku, nieugiętym karkiem, stalowymi przegubami, nieruchomym kręgosłupem. Była w największym rozkwicie piękności: miała pięćdziesiąt dziewięć lat, sypiała na zewnątrz przez całe poranki długie i białe jak powieka, a gdy się budziła, jej kształt rozcinał mu zmysły tym, co mogłoby się wydarzyć. Pobudziła jego wyobraźnię i rozpałała świadomość jak pochodnię.

Burton się w niej zakochał, chociaż był w najwyższym stopniu żonaty. Ale kto z nas nie zakochuje się od czasu do czasu w niewłaściwej osobie? Jednakże pani Richardowa Burtonowa, która zdążyła się już przyzwyczaić do wszystkiego: koczowniczych plemion, robaczyc, wędrówki pośród burzy piaskowej, ta sama pani Richardowa Burtonowa miała pewne trudności z przywyknięciem do królowej Szeherezady, sypiającej u niej na trawniku.

— No więc kim ona właściwie jest? — dopytywała się u męża, tęsknie i z rozmarzeniem wpatzonego w nie całkiem nagą postać ze swojej wyobraźni.

— Niewolnicą — wymruczał on.

— Niewolnicą. Tak. A czyją właściwie?

— No cóż, moja droga, to nasza niewolnica. Przypuszczalnie.

— Nasza. Przypuszczalnie. Ale nikomu nie służy. Prawda?

— Prawda.

— I... nie chciałabym się nad tym specjalnie rozwodzić, ale... czego ona chce? — A widząc zakłopotaną minę sir Richarda, pani sir-Richardowa uznała, że czas wybrać się na trawnik i dowiedzieć się, o co chodzi.

— I Camille jej powiedziała? — pyta Sirine.

— Moja droga, najwyraźniej nikt ci nie wytłumaczył, jak się słucha takich historii. Musisz pozwolić, żeby opowieść przyszła do ciebie, nie powinnaś się na nią rzucać. A więc. Żeby skrócić długi rozdział o wiele bardziej, niż to potrzebne, dla Sirine-z-zegarkiem: owszem, ciotka Camille powiedziała pani sir-Richardowej: Chcę, żeby mnie zabrano do źródła Nilu. Odwdzięczę się za to, uwalniając twojego męża z oczarowania.

Cóż, sir Richard nie był pewien, czy pragnie uwolnienia — więźniowie zawsze mają wątpliwości, czy naprawdę chcą się wyrwać z kajdan. Na szczęście jego żona rozsądniej widziała sytuację. Wezwała afrykańskich przewodników.

W dniu, gdy wyruszali, słońce było jak żółta jedwabna wstążka. Mieli z sobą pomocników i tragarzy, ludzi do podnoszenia i taszczenia oraz jednego szakalouchego psa o połyskliwych czarnych oczach.

— Napoleon Tu Był — wołali do psa. — Chodź!

Han zaczyna regularnie przychodzić do Nadia's Café. Po wyjściu klientów Sirine przygotowuje dla niego kolację i przygląda się, jak je, nieśmiała i zadowolona, gdy on ją chwali i raz po raz powtarza, że to jest właśnie jego ulubione danie. Wieczorem chodzą na spacery albo do kina i Sirine idzie z nim do domu dwa, a potem trzy razy pod rząd, zapomniawszy zadzwonić do stryja i powiedzieć, że nie wróci na noc. Ale kiedy telefonuje z przeprosinami czwartego wieczoru, on odpowiada:

— Ja już wiem, *habibti*.

Ona i Han wieczorami rozmawiają do późna. Han odkłada książki i papiery, siedzą wtuleni w siebie na dywanie, w pozbawionym mebli pokoju, urywkami i fragmentami próbują sobie wytłumaczyć, kim są i skąd się wzięli. Han opowiada o potrawach, jakie jedli w Iraku, o ubraniach, które nosili, o zwierzętach i roślinach i wiatrach i skałach swojego domu. Opisuje to wszystko rzeczowym, zwyczajnym tonem, jakby dawno zrzucił z siebie każdy z tych codziennych przedmiotów, na które spogląda wstecz niemal bez uczuć. A potem Sirine próbuje podobnym natłokiem drobnych szczegółów przywołać dla niego swoje dzieciństwo w Los Angeles: zapach klasy, wełniane spódniczki i podkolanówki, to, jak zaplatała włosy w warkocze, mocowała spinkami, ściągała w kucyk, próbując znaleźć sposób, żeby je wygładzić, sprawić, by były lśniące, proste i porządne. Ale zauważa, że przypomina to sobie z wysiłkiem, a niektóre wspomnienia, te wczesne, sprzed śmierci rodziców, szczególnie trudno jej przywołać.

Pewnego wieczoru z początkiem października, gdy spotykają się ze sobą od czterech tygodni, Sirine, która spędziła z Hanem cztery noce pod rząd, dochodzi do wniosku, że stęskniła się za domem stryja. Dzwoni powiedzieć Hanowi, że tego wieczora z nim nie pójdzie. Potem wraca z pracy do domu na rowerze, wędrując za wąskim pasmem swojej lampki przez gęstą, cukrową ciemność, pełną krzyżujących się samochodowych reflektorów i palców palmowych liści zgiętych w łuk nad chodnikiem, miękkich jak mech albo ząbkowanych i sztywnych niby słoma. Kanty i wyboje otwierają się przed nią, a z cieni wyłaniają się kształty zmienne i płynne jak ryby pod wodą. Z furkotem przejeżdża obok mieszkania Hana, opony postukują, ale z zewnątrz nie potrafi odróżnić, które okno należy do niego.

Teraz wydaje się, że noc wypełniają cieniste formy, które wypłynęły z jej wnętrza, bezładne i przepełnione tęsknotą. Słyszy drapanie w zaroślach, głosy pomiędzy budynkami, miasto rozbrzmiewa hałasem, wszyscy gadają.

W zamkniętej sypialni stryja panuje cisza. Sirine mija ją bezgłośnie. Król Babar śpi na środku jej łóżka, z uśmiechem na pysku — śni mu się jedzenie mrówek. Otwiera oczy, kiedy Sirine wchodzi, i obserwuje każdy jej ruch. Sirine uchyla okno. Po tych wszystkich prowadzonych z Hanem rozmowach o utraconym domu i rodzinie boi się, że przyśnią się jej rodzice — czuje, że czeka to w niej, żeby się rozsypać. Ten szczególny sen. Kładzie rękę na okiennicy. Chciałaby wyśnić go teraz, z otwartymi oczyma, w nocy rozświetlonej gwiazdami i ulicznymi latarniami, pod niebem jak błękitny łupek, bez duchów czających się w szafie.

Nie ma ochoty myśleć o Hanie, ale nic nie umie na to poradzić — opanował już jej myśli, zagarnął głowę. Pochwyciło ją nowe światło, morski blask, który do niej przylgnał, jakby płynęła w fosforyzującym przypływie. Han. Czuje w ustach jego imię. Potem przychodzi jej do głowy zakwefiona kobieta na jego zajęciach, piękny, podobny do rzadkiej orchidei owal jej twarzy, i serce jej przyspiesza. Wyobraża sobie kochanka z alabastrowymi oczyma, skrytego za szarfą w kolorze kości słoniowej, która owija mu głowę i usta, w tumanie bitewnego kurzu, gdy walczy o wymarłe imperium. Potem myśli o nim samotnym, w zakurzonej, pozbawionym okien biurze. Korytarze wypełniają urocze dziewczyny, wiele z nich to Arabki, podobnie jak on — wykształcone, czarujące, a każda z nich ma do Hana większe prawa niż ona sama.

W powietrzu i na ubraniu wyczuwa ślady jego zapachu. Wchodzi do łóżka, wsuwa się pod kołdrę, a głos Hana brzmi jak rzeka przepływająca przez pokój. Nigdy nie czuła czegoś takiego do żadnego mężczyzny — amerykańskich chłopaków dużo łatwiej było zdobyć na własność. Teraz jej pożądanie niepokojąco się rozszerzyło, na podobieństwo dzina wypuszczonego z butelki.

Powietrze w sypialni jest gorące i suche jak proszek. Wisi nad łóżkiem, kurzy sufit. Podobne do duchów komary wpływają przez otwarte okno. Palmy wzdłuż ulicy wydają intensywną, czystą woń, ale w powietrzu jest też inny zapach, dymny i ziemisty, jakby na polanie w głębi lasu paliły się liście.

Widzi Króla Babara, zwiniętego na ulubionym miejscu w nogach łóżka, który patrzy na nią w swój napięty, nieco zmartwiony sposób. Jego oczy połyskują, a doskonały czarny nos odbija plamkę światła. Sirine nie może zasnąć. Brakuje jej Hana. Zamyka oczy, a z ciemności

wyłania się obraz: Han, młoda kobieta, chłopiec. Skóra w kolorze gałki muszkatołowej, oczy barwy goździków.

Bryza zrywa się, wieje przez zasłony. Sirine otwiera oczy, wydaje jej się, że na suficie nad łóżkiem widzi jaszczurkę. Przez chwilę się przygląda, wreszcie zamyka oczy. Wyłania się inne wspomnienie: białe ząbkowane brzegi, czerń i biel, młoda kobieta w sukience w kratkę, krótkie białe skarpetki, blada, okrągła twarz — jej matka.

Sirine wychodzi z łóżka, idzie na dół, do, jak to nazywa jej stryj, porzuconego salonu, i w dolnej szufladzie wysokiej biblioteczki odnajduje ciężki album ze zdjęciami. Wyciąga wielki album, dwa razy grubszy przez wypychające go fotografie, i postanawia, że go zabierze do malutkiej włoskiej kawiarni La Dolce Vita, cztery przecznice dalej. Kawiarenkę oświetlają tylko ogarki świec, zatknięte w butelkach po winie, więc niezmiennie wygląda, jakby była zamknięta, ale Sirine za każdym razem przekonywała się, że jest otwarta, o którejkolwiek godzinie by tam przyszła.

Jest ciepła, połyskliwa noc i przy przekrzywionych stolikach, wystawionych na chodnik, siedzi kilkoro starszych Włochów w czarnych płaszczach. Jedyne kelner, zawsze umiejący się znaleźć, wyprostowany Eustavio, kłania się, całuje ją w oba policzki i mówi:

— *Ciao, maestra* — po czym idzie, żeby jej przynieść mleczne cappuccino, bo już przed laty postanowił jej podawać właśnie ten napój.

Sirine szybko sadowi się przy jednym z malutkich stołów z kutego żelaza, kolanami objając się o żelazne nóżki, i otwiera album, który zakrywa cały blat. Między kartki wciśnięto zasuszone płatki kwiatów, stare listy, rysunek z pierwszej klasy, na którym Sirine sportretowała matkę, ojca i stryja — trzymają się za ręce i wszyscy mają włosy w kolorze marchewki i morskozielone oczy.

Sztywne kartki albumu pokrywają czarne nacięcia z wczepionymi rogami fotografii. Zdjęcia są czarno-białe, a rodzice Sirine chudzi i roześmiani jak dzieci. Bryza podwiewa spódnicę i pcha do przodu włosy matki, która siedzi na wyrzuconej przez morze kłodzie na plaży wyspy Catalina. Na innym ona i ojciec Sirine pochylają się ku sobie w przejściu, wyciętym w jednej z ogromnych sekwoi. Na jeszcze innym o wiele młodszy stryj wygłupia się — kręci nieudanego młynka na frontowym trawniku przed ich dawnym mieszkaniem. Wypisaną stalowymi zawijasami nazwę całego kompleksu budynków widać w rogu: Avalon. Był pomalowany na różowo. Sirine wydaje się, że pamięta ten blok. Ale może zapamiętała tylko zdjęcie? Foto-

grafie nieznanymi przyjaciół, długonogich, roześmianych, wywracających szklanki napojów, usadowionych na trawie, na nylonowych leżakach. Niektórzy z nich byli w Czerwonym Krzyżu, tak jak rodzice. Sirine żałuje, że nie wie, jak się nazywali. Obraca kartki — jest tu ona sama, ciasno owinięta becikiem, z podobnym do gwiazdy janowcem białych włosów na głowie, maleńka pomarszczona twarz, paluszki zaciśnięte na wskazującym palcu matki. Sirine przysuwa twarz do zdjęć, przygląda im się.

— Ach, album fotograficzny o północy — mówi stryj zza jej ramienia. Siada przy stoliku, naprzeciwko niej, kolanami uderza o żelazne nóżki. — A więc znowu nadszedł ten czas.

Sirine uśmiecha się do niego.

— Wiedziałeś, że tu będę? Stryj wzrusza ramionami.

— Można się było domyślić.

Eustavio podchodzi pospiesznie, całuje stryja Sirine i wita go po włosku.

— *Si, si, si* — odpowiada stryj. Tylko tyle zna włoskiego. — Stryju, z której części Iraku pochodzi nasza rodzina? —

Na zdjęciu jej ojciec z oszołomionym wyrazem twarzy siedzi, krzyżując stopy, na biurku załadowanym stosami papierów.

— Rozmowa o Iraku o północy — stwierdza stryj. — Czy ja ci już tego nie mówiłem? Przysięgłbym, że tak, ale może i nie...

— To powiedz mi jeszcze raz, dobrze?

— Och, byliśmy z małej, starej miejscowości. Nazywała się Bab el-Szaik, Drzwi Szejka. Podoba ci się?

— Nigdy o tym nie mówisz. W ogóle nie wspominasz o Iraku.

Stryj unosi w górę rękę.

— Jestem sentymentalny. Wszystko dotyka mojego czułego serca. Jeśli się jest sentymentalnym, nie sposób rozmawiać o takich sprawach.

Fotografia: objęci rodzice, kloszowa spódnica matki skręca się, wirując.

Sirine stuka palcem o filiżankę.

— Dlaczego tak jest?

— Bo to oznacza, że trzeba powiedzieć o różnicy między przeszłością i teraźniejszością, co często jest przygnębiające. A imigranci i tak od początku zawsze są trochę smutni. Kiedy opuszczasz miasto, nikt cię nie uprzedza, co się stanie z twoją głową. A niektórzy imigranci są smutniejsi od innych. Z mnóstwa powodów, ale najważniejszy jest taki, że nie można wrócić.

Na przykład Irak, z którego przybyliśmy ja i twój ojciec, już nie istnieje. To jest nowe, przerażające miejsce. Kiedy twojego dawnego domu już nie ma, to, ogólnie rzecz biorąc, wszystko jest jeszcze bardziej przynębiające.

Eustavio niesie im półmiski z pokrytym rosą, pachnącym różami panna cotta.

— Nie uważasz, że emigranci są smutniejsi niż reszta ludzi? — pyta kelnera stryj.

Eustavio prostuje się i przymyka oczy. Stryjowi Sirine odpowiada po włosku, a potem po angielsku, z silnym akcentem, mówi do Sirine:

— Smutek? *Certo!* Kiedy opuszczamy dom, zakochujemy się w naszym smutku.

Stryj kiwa głową, gdy Eustavio odchodzi.

— No widzisz — mówi.

Sirine sunie łyżeczką po gęstych nabrzeżach piany w swojej kawie.

— Jak tam było? W waszym rodzinnym mieście? Stryj przez chwilę się zastanawia.

— Powiedziałbym, że właściwie tak samo jak tutaj. Ale było małe. Bez kina. Latem sucho i gorąco. Zimą chłodno i wilgotno. Nic się właściwie nie działo. Był targ warzywny, najlepsze pomidory trzymali tam z tyłu. Nieduża pobielana szkoła, drewniane ławki. Wszyscy wsadzali nosy w nie swoje sprawy, to pamiętam. Nikt nie miał wiele, nie było samochodów ani telewizorów. Mieliśmy trochę osłów. Ja i twój ojciec lubiliśmy walczyć na rzucane kamienie z dziećmiakami, które mieszkały na wzgórzu.

— Brat Hana został aresztowany i wciąż jest w więzieniu — wrywa się Sirine. — Han mówi, że nigdy nie będzie mógł wrócić.

Fotografia dwuletniej Sirine, która siedzi w nadmuchiwanym brodziku. Jedno z ramiączek kostiumu ześlizgnęło jej się z ramienia.

Stryj przygląda jej się, przymyka oczy. W końcu pociera palcami powieki.

— Och, nie. To okropne. Tak, widzisz, teraz to jest inne miejsce, ten Irak, o którym ty mówisz. Inne niż to, w którym dorastaliśmy, ja i twój ojciec. Tak mi żal Hana. — Przyciska kostki dłoni do ust, przez chwilę się zastanawia. — Jest tam to zdjęcie nas dwóch? Kiedy tu przyjechaliśmy, byliśmy chudzi jak dawny Frank Sinatra.

Sirine odnajduje je: guzy łokci, szyje jak wrzeciona, wystające kolana, spodnie wiszące dwa cale nad kostką. Obejmują się ramionami.

— Zapuszczaliśmy jak najdłuższe wąsy. Byliśmy całkiem pewni, że dziewczyny stracą od tego głowy.

Sirine przesuwa palcem po fotografii, dotyka wąsów ojca.

— *Habibti* — głos stryja wije się wokół jej głowy jak pasmo dymu — dlaczego jesteś taka nerwowa? Czy Han cię nastraszył? Tymi swoimi opowieściami?

— Och, nie — Sirine zaczyna potrząsać głową. Tak.

— Moja droga, myślę, że tutaj wszyscy jesteśmy bezpieczni. Po co szukać Saddama Husajna w schowku na szczotki?

Sirine krzyżuje ręce na piersi.

— *Habibti* — odzywa się stryj — poradzisz sobie z tym świetnie. W tej rodzinie to twój stryjek trzęsie się jak osika, twój ojciec taki nie był. Był dzielny. Wystarczy na niego spojrzeć. Popatrz na te wąsy! Nic go nie przerażało. Poszedłby wszędzie... Zakochał się w twojej matce, jakby skakał do jeziora.

Sirine spogląda na zdjęcie, na niewyraźne twarze, i żałuje, że nie pamięta, jak brzmiał głos ojca. Nabiera kęs kremowego panna cotta, a ono rozpuszcza się w tuzin osobnych smaków. Czuje aromat pomarańczy i cytryn, wiśni i drewna, a nawet miękkiego jedwabiu i wełny perskich dywanów — a myślała, że ten zapach pochodzi z Iraku.

Po powrocie do domu Sirine zasypia na podłodze salonu, z wielkim albumem zdjęć zamiast poduszki pod głową. Stryj okrywa ją kocem, a Król Babar wtula się w nią. Przysypia, sny przechodzą we wspomnienia, odłamek pamięci wiruje jej nad głową, rozwijając się, jak to nie-raz bywa, w coś, o czym dotąd nie pamiętała.

Miała jakieś cztery lata. Dziewczynka, na którą patrzyła przez szklane oko ekranu telewizora, mogła być w tym samym wieku. Monitor był okrągły i wygięty. Gdy pojawiła się telewizja, Sirine myślała, że to akwarium i była rozczarowana, kiedy włączyli aparat, a w środku byli ludzie.

Ale polubiła także oglądanie ludzi. Patrzyła na małą dziewczynkę w telewizji. Dotknęła szkła ekranu, a elektryczna iskra trzasnęła tuż przy jej dłoni.

— Jak ona ma na imię? — zapytała Sirine.

— Nie wiem — odparł stryj. — Może Mina?

— Tak — odrzekła Sirine. — Chyba tak.

Dziewczynka wpatrywała się w Sirine. Na pewno ją widziała — tego Sirine była pewna. Można to było poznać po kształcie jej oczu. Mimo że był to czarno-biały telewizor, rozpoznawała kolor dziewczynki. Przycisnęła swój przegub do jej twarzy, żeby lepiej widzieć różnicę.

— Patrz — powiedziała. — Ona jest pokolorowana. Tak jak *baba*.

— Tak, tak jak twój *baba*.

Sirine usiadła jakieś osiem cali od telewizora i wsunęła kciuk do ust. Dziewczynka miała wydęty brzusek, wokół jej oczu chodziły muchy. Sirine miała ochotę zapytać dlaczego, ale nie zrobiła tego. Potem pojawił się wielki napis — stryj powiedział jej, że to słowo to „Bangladesz”.

— Mama i *baba* — stwierdziła Sirine.

— Tak, *habibti* — przytaknął stryj. *Habibti*. Moja najdroższa. — Właśnie tam są.

— Czy oni znają Minę?

— Trudno powiedzieć. Musimy ich spytać, kiedy wrócą — odparł stryj.

Kiedy wyłączyli telewizor, dziewczynka zmieniła się w punkcik światła pośrodku ekranu. Sirine przyłożyła do niego palec.

Później Sirine ze stryjem siedzieli na Twardym Tapczanie i oglądali wiadomości. Występowali w nich dwaj poważni mężczyźni o nazwiskach Huntley-i-Brinkley. Muzyka przed wiadomościami była głośna i przerażająca i przebiegała ciało Sirine jak deszcz. Potem nadawano show o Perrym Masonie — jego muzyka była jak długie cienie.

Ale kiedy słuchali głośnej muzyki i patrzyli na poważnych mężczyzn, Sirine wiedziała, że szukają rodziców. Rodzice zawsze byli w miejscach, o których ci mężczyźni rozmawiali. I chociaż nigdy nie zobaczyła w telewizji mamy ani *baby*, wiedziała, że muszą być gdzieś w tym pudełku.

Rozdział dwunasty

A więc ciotka Camille przygotowuje się do wyruszenia w swoją podróż w górę Nilu. Ale jest w tym pewien interesujący szczegół, mianowicie: podróż nigdy nie jest tylko podróżą, a miejsce nie jest jedynie miejscem. W niektórych arabskich krajach jeżeli ktoś wymienia Malte, ma na myśli koniec świata. Jeżeli coś jest tak piękne, że wprost trudno to znieść, mówisz, że wysłało cię to do rajskiego ogrodu. Jeśli oświadczasz, że jesteś gotowa powędrować do źródeł Nilu, masz na myśli to, że będziesz czekać na coś, czego pragniesz, do końca świata i o jeden dzień dłużej. A co z ludźmi, którzy zakochali się bez pamięci? Mówi się o nich, że przenieśli się do Bagdadu.

Poranek w restauracji lśni jak chrom, szarpie nerwy Sirine, jest tak przenikliwie upalny. To szczególnie rodzaj późnojesiennego upału w Los Angeles, z zapachem mączki kostnej,

wapna i kurzu, ubrań prażących się na sznurach, wodorostów i wyschniętej oceanicznej soli wiszącej w powietrzu, jakby zaznaczając miejsce, do którego dotarła woda. Nawet warkot samolotów wydaje się niższy, nasiąknięty gorącem, jak odgłos rosnącej temperatury. Jeśli przychodzą sny, do rana zostawiają ją czystą i osmaloną — nie pamięta niczego. Kiedy się obudziła, miała na policzku kreskę od albumu fotograficznego, który zaniósła do łóżka. W nogach siedział Król Babar i przyglądał jej się zazdrosnymi, wodnistymi oczyma.

Bierze się do robienia kawy na śniadanie dla porannej fali klientów, wdycha bogaty aromat. Ten zapach ją zwykle podnosi na duchu, ale dziś, z jakiegoś powodu, staje się węzełkiem w dole klatki piersiowej. Idzie do tylnej kuchni, przystaje w drzwiach, spogląda na podwórze — niebo wypełniają chmury o kształcie grotów strzał, pasma kobaltu i błękitu i wąsaty wiatr.

W otwartych drzwiach do łazienki Mireille robi przed lustrem ćwiczenia na ujędrnienie podbródka. Kredką narysowała sobie kocie linie w kącikach oczu. Victor Hernandez wyciera talerze i spogląda na Mireille tak jak zwykle, zagubiony i trochę zrezygnowany. Sirine powinna siekać pomidory, ale zamiast to robić, wychodzi na tylne podwórko ze swoją dziwną, przyjemną samotnością. Przysiada na chłodnym schodku przy tylnym wyjściu. Um-Nadia podchodzi z dzbankiem kawy i filiżanką i sadowi się obok niej.

— O czym ty tak rozmyślasz i rozmyślasz, *habibti*? Sirine opiera brodę na rękach i wpatruje się w kwitnącą bugenwillę z jej wodotryskiem śmiałych kolorów.

— To jak się je nazywa, to drzewo szalonej kobiety?

— Medznuna. Szalona z miłości.

Przez cały ranek rozciąga i zwija ciasto na chleb, a tłuste, jedwabiste liście kapusty okręca wokół ryżu z porzeczkami. Dodaje do sałatki nowe składniki, falbankę orzechów, świeżych ziół, suszonych owoców. Um-Nadia próbuje trochę sałatki o smaku oceanu i wydmowej trawy. Wydaje się zaskoczona.

— Jakie to dobre — mruczy.

Sirine miesza i nuci. Przesiewa worki dzikiego ryżu. Victor biega dookoła, jak zwykle przygotowując półmiski z humusem i tabule, a ona tymczasem przyrządza sos z gniecionych winogron, ciasto z pręgami cynamonu i pieprzu.

Tego wieczoru przychodzą Nathan i stryj. Stryj opowiada Nathanowi o siedmiu rodzajach uśmiechu:

— Jest też Uśmiech Przez Łzy, w górę i na dół, kiedy próbujesz zachować się z godnością, Uśmiech Niewinnego Psa, gdy masz coś do ukrycia, Uśmiech Ślicznotki, jeśli chcesz, by wszyscy cię podziwiali...

Sirine zaczyna nalewać herbatę, ale Nathan potrząsa głową.

— Nathan to wspaniała dama do towarzystwa — stwierdza stryj. — On słucha. Przez większość czasu.

Sirine przynosi stryjowi talerz ciastek ma'mul nadziewanych daktylami. Stryj podnosi ciasteczko.

— Spójrzcie na to. Arabowie nadziewają, co się tylko da: pomidora, liść kapusty, ciastko. Oba średniowieczne poradniki kulinarne, *Księga kucharska al-Bagdadięgo* i *Kitab al-Wusla Ila'L-Habib*, znana też jako *Księga zjednoczenia z umiłowanym*, zawierają przepisy na smakowite bakłażany z mięsnym farszem. Słyszeliście o tym, że faszerowany bakłażan był ulubionym daniem Szekspira? I że według niektórych prawdziwe nazwisko Szekspira brzmiało Szejk Zubajr. — Stryj kiwa do Nathana. — Oto ciekawy temat na esej dla ciebie.

Dopija herbatę i wstaje, by odejść, mówiąc, że musi poprowadzić zajęcia z grupą, ale Nathan zostaje przy stole. Sirine zauważa, że ma swój wielki aparat fotograficzny na pasku przewieszonym przez szyję, a wypchana torba z książkami zajmuje krzesło obok. Kładzie aparat na torbie. Potem zmienia zdanie i stawia go na stole.

Popołudniami Nadia's Café wypełniają studenci, kadra naukowa zwykle idzie do domu, do żon i dzieci. Za każdym razem, gdy pojawia się profesor, przez restaurację przebiega dreszcz. Studenci są zaciekawieni. I wydaje się, że poprzez kontakt ze stryjem Sirine na Nathana spłynęło nieco profesorskiej magii. Studenci zerkają na niego. Abdullah, chudy jak patyk młody Jemeńczyk, student inżynierii, rzuca spojrzenia na aparat Nathana, a Gharb i Dżenub, nowi studenci z Egiptu, bez powodzenia próbują wciągnąć Nathana w spór o legalność podatków.

Sirine kończy wyciągać szpadki z sześciu półmisków baranich sziszkebabów i trzech półmisków kurczaka, pokrapia olejem humus i mieloną wołowinę, purée z podwędzonego bakłażana, miseczkę oliwek, i dokłada cytrynę do czterech sałatek tabule. Wyciera ładę, po czym opiera się o nią, patrząc na Nathana.

— Ładny aparat — mówi.

Jego szare oczy podnoszą się ku niej, potem umykają pośpiesznie.

— Tak — przytakuje. — Prawda? — Z uczuciem podnosi go w rękach. — Chcesz go obejrzyć?

Sirine pokazuje mu dłonie, połyskujące od soku z cebuli i łupinek czosnku.

— Dzięki, ale... — mówi.

Nathan patrzy nieruchomo, wprost i okropnie poważnie, na jego twarzy widać skupienie i nadmiar gorąca. Potem odwraca wzrok do swojej kawy, miesza ją lewą ręką, a prawą wsypuje cukier.

— Mam trochę nowych odbitek, właśnie je wywołałem. Może masz ochotę obejrzyć — proponuje niedbale. Z torby na książki wyciąga teczkę, a z teczki wysuwa fotografię dużą jak arkusz maszynowego papieru, połyskliwą, o przytłumionych, szaro-śnieżnych odcieniach. Sirine potrzebuje chwili, by rozpoznać, co to: ona i Han stoją tuż obok siebie, ich lekko nieostre twarze lśnią, wyglądają, jakby właśnie mieli się pocałować, ale oboje trzymają talerze i plastikowe kubki. Sirine starannie wyciera ręce i chwyta zdjęcie za brzegi. Przez chwilę wydaje jej się, że papier jest rozgrzany jak elektryczna spirala w piecu, i to wrażenie bąbelkami przebiega jej ciało. To taki słodki obraz: jakby komuś udało się uchwycić chwilę miłości, unieruchomić pryzmę mgiełki, wiszącej między nimi w powietrzu.

— O jejku — mówi. Potem spogląda na niego. — Kiedy to było? Nawet tego nie pamiętam.

Nathan, skromny i zawstydzony, wzrusza ramionami.

— Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Ja nie pytam o pozwolenie... to znaczy nie mogę pytać. Moje zdjęcia przychodzą do mnie, to tak, jakby duch we mnie wstępował. Coś zauważam i już, muszę to pstryknąć. — Jego oczy lśnią za okularami. Dotyka zdjęcia. — To zrobiłem na wieczorze poezji, u Aziza. Wyście tak sobie stali, rozmawialiście, a ja się kryłem w tłumie. I oboje wyglądaliście tak... no właśnie tak — wskazuje na ich sylwetki. — Sama widzisz. Ale naprawdę, nie chciałem się pchać z butami, jeżeli ci się nie podoba... — dodaje pospiesznie, sięgając po nie.

— Bardzo mi się podoba — odpowiada Sirine i przysuwa je do siebie. Czuje ukłucie zawstydzienia, bo ich osobiste życie jest tak widoczne, tak publiczne, ale potem dochodzi do wniosku, że to wrażenie wynika z daru Nathana, który widzi to, czego inni nie dostrzegają, jak ksiądz albo lekarz, ktoś, komu się ufa, że będzie traktował poufne informacje profesjonalnie i z zawodowym brakiem wścibstwa.

— Naprawdę? Serio? — Wargi ma blade, oczy spuszczone, rzęsy gęste jak kawałki filcu.

Właśnie wtedy podzwaniają otwierające się drzwi i wchodzi Han. Nathan pospiesznie wyciąga fotografię z palców Sirine i wsuwa z powrotem do torby. Kiedy podnosi wzrok, jego oczy nabierają światła i głębi, jakby czekał właśnie na to, by zobaczyć Hana. Podnosi w jego stronę torbę z książkami.

— Dzisiaj wywołałem parę starych rolek filmu, jest tu trochę zdjęć, które ci się mogą spodobać...

Han uśmiecha się do Sirine, jakby Nathan był przedmiotem żartów między nimi, ale Sirine patrzy na torbę z mimo woli podrażnioną ciekawością.

— Proszę — mówi.

Nathan ostrożnie wydobywa inną teczkę, otwiera i wyklada na stół duże, czarno-białe zdjęcia. Obrazy są urokliwe i pełne wdzięku: mężczyźni z długimi strzelbami, wydłużone szable, falbaniaste, kunsztownie splecione zawoje. W tle rozległe białe doliny, zdjęcia starych ludzi o górzystych twarzach, młodszych z delikatnymi, trójkątnymi kośćmi policzkowymi.

— Boże. — Han nabiera tchu, przerzucając odbitki. — Popatrz na to. — Podnosi zdjęcie samotnej, rzucającej długie cienie karawany na tle rozmytego horyzontu wydm. — To są irackie pustynne plemiona, prawda? Beduini.

— Właśnie, właśnie — przytakuje Nathan. — Może też być trochę bagiennych Arabów. Być może paru Kurdów.

Han wybiera fotografię roześmianego mężczyzny z ręką na podołku, z najbielszymi zębami w ciemnej jak kurz twarzy, przyciskającego do piersi rączkę bułata.

— Te twarze — mówi miękko.

Sirine także uderzają nieruchome, cierpliwe spojrzenia portretowanych, jakby całe życie spędzili, wpatrując się w horyzont, jakby odległość i czas przynależały do ich ciał. Podziwia ujęcie wielbłądów, te wzgardliwe, inteligentne pyski.

— Myślę, że naprawdę udało ci się tutaj coś oddać — stwierdza Han. — To niezwykle.

Nathan opuszcza wzrok, zadowolony, ale jakby trochę zdezorientowany pochwałą. Han obraca portret roześmianego mężczyzny.

— Właściwie to mógłby być brat strażnika naszej studni, Abu-Nadžmeha. On miał taki sam uśmiech, ogarniający całą twarz. I zawsze tak sobie kładł rękę na sercu, jakby składał przysięgę. — Han spogląda na Nathana. — Mieszkałeś u tych ludzi?

Nathan wpatruje się w czarne oko swojej filiżanki z kawą, potrząsa głową.

— Tylko ich odwiedzałem. Przewędrowałem cały Irak, ale stale byłem w ruchu. Im więcej widziałem, tym więcej chciałem zobaczyć. Aż wreszcie zatrzymałem się na jakiś czas w Bagdadzie. — Zerka na Sirine.

Han kartkuje resztę odbitek i zatrzymuje się przy jednej z nich, przedstawiającej góry, pełne pozalamywanych cieni obłoków.

— Tutaj — odzywa się. — Ten krajobraz... — Pokazuje go Sirine. — Kochałem to miejsce.

Nathan kiwa głową.

— Och, Dolina Masra.

— Mój ojciec ma tam krewnych. Wiosną jeździliśmy ich odwiedzić. Prawie czuję ten zapach — wspomina Han. — Powietrze pachnie suchymi jaskiniami i prażącymi się chwastami i kośćmi.

— I solą, i oliwkami, i kawą — wylicza Nathan. — A to powietrze to biały kurz. — Nathan zbiera odbitki i przesuwa teczkę w stronę Hana. — Proszę, chcę, żebyś to wziął.

Han waha się, zerka na Sirine.

— To nic takiego — namawia Nathan. — Mam negatywy. Mnóstwo mi jeszcze zostało. Proszę.

Sirine odwraca wzrok. Wyciąga z teczki inne zdjęcie i przygląda mu się w zdumieniu. To scena miejska: śmiała smuga neonów na tle zmierzchu, dywany zwisające z wysokich okien, luki i drzwi małe jak dziurka od klucza, pasma aut i motorowerów, mieszkania spiętrzone jedno nad drugimi, arabskie i angielskie napisy, ludzie przecinający ulicę pomiędzy samochodami, chłopiec, który niesie srebrną tacę, a wszystko to wygląda jak poplamione sadzą, przechylone, przyprawiające o zawrót głowy. Szalone miejsce — Sirine trzyma zdjęcie, przyciskając palcami boki, jakby mogło buchnąć płomieniem. Fotografia przyciąga ją, sprawia, że czuje się, jakby spadała naprzód, jak gdyby mogła się potoczyć na ten szary asfalt, gdyby tylko trzymała je chwilę dłużej.

Han zagląda jej przez ramię.

— To, na co patrzysz... Nathan zauważa to.

— Och, ciągle mi się mieszają zdjęcia, to jest z Bagdadu. — Już wyciąga je z jej palców, ale przestaje i marszcząc się, patrzy w górę. — Sirine, czy to dym?

Sirine wreszcie odwraca wzrok od fotografii i uświadamia sobie, że z tylnej kuchni sączy się ciemny zawijas dymu z czegoś płonącego. Odpycha krzesło i wpada tam przez wahadłowe

drzwi. To wielki kocioł ryżu — zostawiła go na małym ogniu i zapomniała o nim. Teraz kuchnię wypełnia dym, a na górze garnka z ryżem widać parującą czarną chmurę.

Sirine ściąga go z pieca i biegnie na podwórze z tyłu, z nadzieją, że Victor jednak nie zabrał się jeszcze do wymiany baterii w restauracyjnym systemie automatycznego zraszacza. Um-Nadia, Mireille i Victor stoją z tyłu w kółku i palą. Zerkają z ukosa, jak Sirine taszczy gar w dół po schodach i stawia na łupkowych płytach.

— Właśnie mi się zdawało, że coś czuję — stwierdza Mireille.

Victor unosi pokrywę i macha nią na wielki kłęb dymu.

— Spaliłaś ryż? — dopytuje się Um-Nadia. Wygląda na zdumioną, wręcz podekscytowaną. — Przecież nigdy nie przypalasz ryżu.

Sirine pociera czoło.

— Ale zamieszanie. Ale zamieszanie.

— Przecież nigdy nie przypalasz ryżu — powtarza Um-Nadia, nie kryjąc już uśmiechu. — Zrobiłaś ciekawą rzecz.

Gdy Sirine wraca do frontowej kuchni, Nathana już nie ma, a Han mówi, że musi iść na zajęcia. Kiedy wychodzi, Sirine zauważa coś opartego o grill. To zdjęcie, które Nathan zrobił jej i Hanowi, z jednym rogiem osmalonym od bliskości żaru — czuje przypalony papier. Na odwrocie fotografii jest adres i prosta notka: „Studio Nathana”.

Kupiec Kurosz siedzi przy stole i je lunch. Podnosi wzrok znad talerza kapuścianych gołąbków i gestykuluje widelcem.

— Ten amerykański chłopak ci to zostawił — mówi. — I powiem ci, że on jest trochę niepozbierny. Czasem przychodzi do Victory i fotografuje rzeczy.

— Jakie rzeczy? — pyta Sirine.

Kurosz ociera wielkie wąsy dwoma pociągnięciami serwetki.

— Zwariowane rzeczy. Pudełka chusteczek, słóiczki dla niemowlaków, selery. Denerwuję się przy nim. Powiem ci, że lepiej by coś zjadł, zamiast fotografować jedzenie.

— Jakie to dziwne.

— To taki typ, lubi się sprzeczać, pyta o zdanie w milionie spraw: jak mi się podoba ten prezydent, tamten dyktator, szach czy ajatollah, irańscy Żydzi, iraccy Żydzi, palestyńscy chrześcijanie, muzułmanie w Hollywood i nie wiem sam co jeszcze — opowiada, machając ręką.

Sirine spogląda na drzwi.

— I co odpowiadasz?

Kurosz nabiera duży kęs gołąbka i wzrusza ramionami.

— Tłumaczę, że ja tylko prowadzę mały biznes. Nie mam czasu na politykę, ani pieniędzy, ani energii, i specjalnie mnie to nie interesuje. A w dodatku większość ludzi na tym świecie całkiem mi się podoba.

— Cóż, tym lepiej dla nas — mówi mu Sirine, opierając się o bufet.

Kurosz uśmiecha się do niej szeroko, nadziewa ostatni kawałek gołąbka, wznosi go w powietrze i oświadcza:

— Ciebie to uwielbiam.

Resztę dnia Sirine spędza z łokciami przy bokach, lewo podnosząc wzrok znad jedzenia i pieca. Przyprawiające o zawrót głowy zdjęcie wciąż do niej wraca, tarmoni jej myśli. Bagdad. Sirine dochodzi do wniosku, że wcale nie chce nigdzie jeździć. W ogóle nie ma ochoty opuszczać domu.

Ale tego wieczoru, gdy praca się kończy, znowu idzie do mieszkania Hana.

Rozdział trzynasty

Ciotka Camille, sir Richard Burton, pani sir-Richardowa Burtonowa i tuzin albo dwa tragarzy, odczytywacze śladów, biegacze, przewodników i pomocników do wszystkiego przekroczyli pokrętny, miedziany Synaj, wkraczając w Matkę Afrykę, wysiedli w Kairze i przypadkiem wybrali dłuższą drogę w dół Nilu. Burton był lepszym tłumaczem niż odkrywcą i lepszym organizatorem przyjęć niż tłumaczem. Ale wiesz, jacy są niektórzy ludzie, jeżeli są dobrzy w jednej rzeczy, wydaje im się, że potrafią wszystko.

Wędrowali szlakiem połyskliwej, szeroko rozlanej wody, do miejsc, gdzie zmieniała się w mleko i srebrne nici. Ale, o dziwo, nazwy nie miały z tym nic wspólnego — Błękitny Nil wcale nie jest błękitny ani Biały Nil nie jest biały, i można by przypuszczać, że Morze Martwe nie ma za wiele charakteru, ale ono gryzie cię i drapie od chwili, gdy do niego wejdiesz, i zostawia skorupę, jeśli się nie opluczesz.

A więc. W końcu skierowali się do źródła Nilu, jeziora Njanza albo Tana albo Alberta albo Tanganika, zwanego też Jeziorem Wiktorii, w zależności od tego, z której strony się do niego dociera i czyje wsie się splądrowało. Ale czy rzeka troszczy się o imię swoich źródeł?

Przecież nawet Libańczycy nie potrafili się zdecydować na bycie Arabami, bo dwa tysiące lat temu Fenicjanie kręcili się w tej samej okolicy.

Tak czy inaczej, doszli do rozstajów dróg, gdzie miała miejsce potężna *miszkila* o to, które z jezior jest najprawdziwszym źródłem Nilu. Sir Richard opowiadał się za największym źródłem, a Richardowa przekonywała, że to musi być to najstarsze, ale ciotka Camille szukała duszy rzeki. W końcu podjęła decyzję — jak nader często decyduje się w podobnych sprawach — nie ufając nauce czy historii, ale posłuszna nakazowi wewnętrznego głosu. Postanowiła powędrować do jeziora noszącego najelegantszą nazwę, imię rozwijające się niby warstwy begonii: Tanganika, do jeziora nazwanego także na cześć wąsatej angielskiej królowej z kwaśną miną. Uznała, że Tanganika/Wiktoria najlepiej łączy oba światy, północ i południe, Afrykę i kolonizatorów, kury i jaja i tak dalej.

A więc właśnie tam ją zabrali, do stromego zielonego brzegu jeziora Tanganika. Woda rozpościerała się przed nią jak balowa suknia, rozwijała zieloną głębię, ryby wisiały w jej prądzie niby kawałki jadeitu i topazu. Zostawili ją tam samą z młodym afrykańskim tragarzem i szakalouchym psem, a gdy tragarz w końcu zauważył, że nikt go właściwie nie pilnuje, wymknął się w rozpadliny dżungli. Ciotce Camille to nie przeszkadzało. W nocy woda zdawała się ospała i bezdenna, płatki światła połyskiwały na jej powierzchni, podobne do metalowych łusek. Przyglądała się kątem oka i przysłuchiwała kątem ucha, rozwinęła swój perski dywan i zasnęła, wyciągnięta pod wszystkimi gwiazdami nieba, a świerszcze podzwaniały przez całą noc.

Reszta tej opowieści to domysły i pogłoski, ale oto, co opowiadała: wcześniej rano obudził ją rozbrzmiewający w głowie głos podobny do dzwonu. Powietrze wypełniała migocząca zasłona owadziego brzęczenia, a głos płynął na podobieństwo nitek miodu, układającego się w kręgi w miseczce mleka.

— Jestem strażnikiem Nilu — miał rzec głos. — I słyszałem, że mnie szukasz.

Tego wieczoru Sirine pedałuje do mieszkania Hana. Jest wycieńczona pracą, umysł ma przytępiony. Zdjęcie, które Nathan zrobił im obojgu, leży w kopercie w koszyku przymocowanym do kierownicy. Sirine widzi pasmo światła pod drzwiami Hana i cicho puka. On otwiera drzwi, uśmiecha się szeroko.

— Sirine — wypowiada to, jakby nie widział jej od lat. — Brakowało mi ciebie ostatniej nocy. — Otula ją ramionami i nuci coś, co brzmi jak wznosząca się i opadająca arabska melodia, i suną po podłodze salonu, bardziej drepcząc, niż tańcząc. Śmieją się i obracają na bezo-

wym dywanie, mijają stosy książek, mnóstwo kartek z notatkami, ołówki, fiszki, notesy. Sirine dostrzega rzeczy w pasmach: kawowe kółka odcisnięte na papierze, zgniecione koszule, skarpety nie do pary. Gdzieś zniknął uporządkowany, precyzyjny pokój z ich pierwszej randki. Tańczą dookoła rozłożonych książek, otwartych kaset z nagraniami, paru pokrytych okruszkami talerzy, filiżanek po kawie przylepionych do spodków, nad kilkoma pogniecionymi pracami studentów, aż do sypialni.

Sirine cała zmienia się w trzpiotowaty śmiech. Cichy głos we własnej głowie ostrzega ją, że powinna na chwilę zwolnić, spróbować się otrząsnąć. Ale zamiast tego pozwala, żeby opadający na łóżko Han pociągnął ją na siebie, a potem turlają się, jedno na drugim, jakby staczali się ze wzgórza. Han przyciska ją i zaczynają się całować tak głęboko, że Sirine ledwo może złapać oddech, gdzieś pod powiekami błyskają jej kolorowe światła. Han szarpie na sobie koszulę, nie zwracając uwagi na guziki, unosi ją nad głowę. Sirine podrzuca spódnicę na biodra i ściąga majtki. Wdrapuje się na Hana, ale on ją przewraca, unosi jej biodra, wchodzi w nią z góry, kochają się intensywnie i w ciszy, rozchichotanie odpływa. Sirine w orgazmie zamyka oczy i znowu czuje, jakby frunęła naprzód przez całą długość ciała. Potem kochają się jeszcze raz, niemal bez odpoczynku. Kochają się zbyt wiele razy, aż oboje czują się wypaleni i na wpeł obdarci ze skóry. Sirine wdycha aromat spomiędzy jego włosów i woń wewnętrznej strony szyi. Zapach soli. Potem pocierają stopami o stopy, całują się i wiercą, nie mogą znaleźć miejsca, by położyć ręce. Za sprawą potoku pocałunków i egzotycznej nocy we wciąż obcym pokoju, z dwurogim księżycem w oprawie balkonowych drzwi, przechylonym jak czekający na napełnienie puchar, Sirine buzuje pożądaniem. A kiedy wreszcie zasypiają, to tak, jakby wpadali do bezdennej, ciemnej, rozbrzmiewającej echem studni.

Później Sirine jeszcze raz budzi się we mgle wczesnego poranka. Trzyma Hana za rękę. Radio-budzik pokazuje już piątą trzydzieści, a ona czuje się, jakby w ogóle nie spała. Wstaje, żeby pójść do łazienki. Mgła za ciemnymi szybami jest jak gaza. Sirine widzi książki, nóż do otwierania listów, opalowe modlitewne korale ze srebrnym frędzlem, ale zdjęcie Hana z chłopcem i młodą kobietą zniknęło — dziwne, że została tylko srebrna ramka.

Kiedy wraca, Han już nie śpi, czeka na nią. Rozchyła ramiona, wyciąga je do niej.

— Chodź z powrotem do łóżka.

— Nie mogę. Naprawdę muszę się pospieszyć. Ostatnio za późno przychodziłam do pracy. — Ale wsuwa się na nowo do łóżka, kładzie głowę na jego piersi, palcami przeczesuje kręcone włoski.

— *Ja elbi, ja hajati* — mruczy Han.

— Co to jest?

— *Elbi* znaczy moje serce, *hajati* to moje życie. *Ja ejeni*, moje oczy. — Słowa spływają po niej, migocząc.

— Mów dalej — prosi.

— *Ja uardi*, mój kwiat, *ja taabi*, mój skarb... — To jak litania części ciała, rzeczy ziemskich i powietrznych, fizycznych i metafizycznych: moja róża, moje siódme niebo, moje drzewo figowe, moje złoto, moje zmysły, jakby wszystko było powiązane w tej miłosnej mowie.

— To jak poemat — odzywa się Sirine, postukując palcami o jego pierś. — Po arabsku to brzmi bardziej miłośnie.

— Niż po angielsku? No, nie wiem. Romeo i Julia wzięli się z Anglii. Chociaż w sztuce byli Włochami. — Han ziewa zmysłowo, głaszcząc dłonią jej włosy. — Amerykanie powiedzieliby, że jesteś etnocentryczna. Sirine wybucha śmiechem.

— A co by powiedzieli Arabowie?

— Pewnie, że masz rację. — Jego wzrok sunie po niej. — Moja amerykańska Królowa Saby. — Sirine powoli przesuwa palce w dół jego twarzy, a on na chwilę przymyka oczy. — Czasem na ciebie spoglądam i czuję coś takiego, takie swobodne spadanie — mówi, po czym otwiera oczy. — Jakbym spadał ze szczytu drzewa albo coś podobnego.

Sirine mruga.

— Co przez to rozumiesz?

— Co rozumiem?

— Co we mnie sprawia, że tak się czujesz? — Sirine obawia się, że to zbyt śmiało zadać takie pytanie w równie bezpośredni sposób. Ale Han dokładnie opisał to, co ona sama czuje — wrażenie pikowania, bardzo szybko i bardzo głęboko.

Han unosi się na łokciach i przytrzymuje ją, zatrzymuje się nad nią, jego oddech porusza jej włosy. Patrzy na jej twarz tak cicho i z takim skupieniem, że Sirine nie spodziewa się już odpowiedzi. Ale on wreszcie zaczyna mówić:

— Jesteś miejscem, w którym chcę być... jesteś przeciwieństwem wygnania. Kiedy na ciebie patrzę, kiedy cię dotykam, czuję swobodę. Czuję radość. To tak, *hajati*, jakbyś знаła jakąś tajemnicę, klucz do tego, jak żyć... tajemnicę życia. — Całując po kolei czubki jej palców, ciągnie: — Właśnie tutaj i tu, i tu, i tu...

Sirine śmieje się.

— Ja to wiem? — pyta z powątpiewaniem.

— To jest na przykład sposób, w jaki wiesz różne rzeczy. U większości ludzi, jeśli coś wiedzą tak, jak im się wydaje, że powinni wiedzieć, jakby to posiadali albo schwytali, to, moim zdaniem, w ogóle tego nie wiedzą. Ale ty z jakiegoś powodu jesteś inna. Umiesz pozwolić, żeby wiedza po prostu była w tobie albo wokół ciebie, albo na powierzchni twojej skóry. Jakbyś potrafiła siedzieć tak nieruchomo, żeby dzikie ptaki nie bały się zbliżyć i przysiąść obok.

— A ty jesteś takim dzikim ptakiem? Han powoli zaczyna się uśmiechać.

Wtedy Sirine przypomina sobie o czymś i mówi mu, żeby zaczekał. Naciąga jego koszulę, miękką od potu i płynu po goleniu, i idzie do roweru, opartego o drzwi do salonu. Wraca ze zdjęciem od Nathana, podaje mu je.

— To dla ciebie. Wczoraj tego nie widziałeś.

Han włącza lampkę przy łóżku, wpatruje się w fotografię, lekko ją obraca, dziwi się.

— Mój Boże — mruczy. — To my. Skąd się to wzięło? Nie pamiętam, kiedy było robione.

Sirine kiwa głową.

— Nathan je zrobił, kiedy nie patrzyliśmy. Tego dnia, kiedy się poznaliśmy.

— A to diabeł. — Han odchyła głowę do tyłu. — Podkraść się do nas?

— On twierdzi, że nie prosi o pozwolenie. Przeszkadza ci to? — pytając, Sirine zastanawia się, dlaczego jej to nie robi różnicy.

Han opiera zdjęcie o lampkę, przypatruje mu się.

— Chyba powinno mi przeszkadzać. Ale mi nie przeszkadza. To jest piękne: my oboje, razem.

Chce je oddać Sirine, ale ona potrząsa głową.

— Zatrzymaj je, proszę — mówi.

Han kiwa głową i patrzy na nie dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał. Wreszcie wstaje.

— Ja też chcę ci coś dać — stwierdza, podchodzi do sterty książek, bierze modlitewne korale i jedwabną chustę. Podaje jej złożoną tkaninę.

— Chcę, żebyś to wzięła.

Materiał między palcami jest tak miękki, że Sirine czuje się, jakby zanurzyła dłoń w wodzie. Tkanina unosi się i połyskuje na jej kolanach. Sirine odczuwa przed nią lęk, nie rozkłada jej.

— Dziękuję — mówi. — Ale to jest... to zbyt wiele. Naprawdę nie mogę tego przyjąć.

Han otula dłonią skraj jej włosów w miejscu, gdzie opadają na twarz, odgarnia je do tyłu.

— Proszę — powtarza z przekonaniem. — Chcę, żebyś ją wzięła.

Sirine uśmiecha się, muska tkaninę.

— Skąd to pochodzi?

— Przysłali mi to po mojej ucieczce. Chcieli, żebym miał coś na pamiątkę.

— Czego?

Han przypatruje się jej — Sirine ma wrażenie, że nie wie, co ma jej powiedzieć. W końcu się odzywa:

— Nie spędziłem zbyt wiele czasu z moją rodziną. Kiedy byłem nastolatkiem, pojechałem do Kairu, do szkoły z internatem. A potem na dobre wyjechałem z Iraku, jak miałem dwadzieścia jeden lat. Moim rodzicom brakowało pieniędzy, żeby mi pomóc się stamtąd wyrwać, i było to niebezpieczne. Ale zostać też nie było bezpiecznie. Mieliśmy 1980 rok, Saddam Husajn wypowiedział Iranowi tę straszną wojnę. Wcieliliby mnie do wojska albo zamknęliby w więzieniu. Większość ludzi była za bardzo wystraszona, żeby próbować uciekać z kraju, ale mnie pomagali. Wszyscy mi pomogli uciec, rodzina i przyjaciele. Przynosili pieniądze, zaplanowali trasę. Abu-Nadžmeh podarował mi swój kindżał do obrony, skończyło się na tym, że dałem go jako łapówkę żołnierzowi, który mnie zatrzymał pod Bagdadem. Mój przyjaciel Sami znalazł taksówkarza, który mnie w nocy wywiózł czterdzieści kilometrów w głąb pustyni. Musiałem przez pustynię dostać się do Jordanii, rodzina miała tam przyjaciół. Najpierw w otwartym dziupie, w ścisku z innymi uciekinierami, potem na końskim grzbiecie z grupą Beduinów, w końcu przez dwa dni na własnych nogach.

— Przeszedłeś pieszo pustynię — mówi zdumiona Sirine. Han pociera sobie kark.

— No, najmniejszy kawałek. Ale faktycznie to była pustynia i na pewno szedłem pieszo. Beduini ostrzegali mnie, że wszędzie są uzbrojeni ludzie, oddziały Saddama, najemnicy, kurdyjscy bojownicy, że w jaskiniach i między drzewami kryją się żołdacy wszelkiej maści. Rozsądniejszych dawało się przekupić, ale wariatów tylko w połowie. Miałem trochę zagranicznych monet, które dał mi przyjaciel, żeby im było trudniej liczyć. Przez te dwa dni nic nie jadłem i prawie nie piłem. Przed południem było ponad czterdzieści stopni, w nocy mróz, i nigdy nie wiedziałem, kiedy znikąd może się pojawić żołnierz albo strażnik graniczny. Wszystko, co miałem, kiedy odchodziłem, to ubranie na grzbiecie i butelka wody. I to, owinięte na ręce, pod koszulą. — Podnosi modlitewne korale tak, że prześlizgują mu się między palcami. Sirine ma wrażenie, że wyglądają, jakby były zrobione z niebieskich łez. — Ten sznur *misbaa* jest od oj-

ca. To kamienie lapisu. Miały mi pomagać w modlitwie — dodaje. — Ale okazało się, że modlitwy mnie opuściły, więc używałem ich do liczenia smutków. A to było od... — dotyka jedwabnej tkaniny, marszczy brwi, jakby nie mógł sobie przypomnieć. — To było od matki. W Anglii okrywałem tą chustą łóżko.

Zsuwa koszulę z ramienia Sirine, rozpościera tkaninę i powoli układa na jej pólleżącym ciele. Jedwab unosi się nad jej skórą. Zasłona ma jakieś półtora na półtora metra, jest czarna, lekko rozjaśniona odcieniami szarości i różu, na brzegach obszyta kunsztownym, precyzyjnym ścięciem, który przywodzi na myśl jakieś czerwone jagody.

— To tradycyjny wzór ze wsi mojej matki na południu. Każda wioska ma własny deseń. Jeżeli je znasz, to potrafisz rozpoznać, skąd pochodzą poszczególne szwy haftu. — Podaje jej chustę. — Miała zwyczaj nosić ją na włosach.

Sirine podnosi ją i układa na głowie w sposób, jaki podpatrzyła u muzułmańskich kobiet, zawijając rogi wokół szyi.

— Tak — przytakuje Han. — Właśnie tak. Aha. Teraz dostrzegam w tobie Arabkę, arystokratkę ze starożytnego królewskiego rodu. Tutaj i tu... — Dotyka jej oczu i ust. — I tutaj. — Przesuwa dłoń wzdłuż jej nagiego ciała, ześlizguje ją wokół zaokrąglenia bioder. — Tak właśnie wyglądasz najlepiej.

— To znaczy w chuście? — Sirine skrajem tkaniny dotyka szyi. — Czy nago? — ściąga brzeg materiału na twarz. — Tak jak teraz?

Han dotyka jej kości policzkowej i delikatnie całuje ją przez tkaninę.

— Mhmmm. Albo, albo.

Sirine muska palcami obramowanie i zsuwa materiał.

— To jest piękna rzecz. Ale naprawdę...

— Nie, proszę. — Han przyciąga chustę z powrotem. — Ja mam moje korale. — Unosi rękę, żeby zobaczyła, że owinął je dookoła palców. — Mam to. Ale chcę, żebyś ty zatrzymała chustę.

Sirine pragnie tej chusty, ale jest w niej coś, przed czym ma się na baczności.

— To twoja jedyna pamiątka — protestuje.

— *Ja elbi* — mówi Han. Moje serce. Otula tkaniną jej ramiona i zapada się w łóżko obok. — Wystarczy na ciebie spojrzeć. Została stworzona dla ciebie. Nie ma mowy, żebyś jej nie zatrzymała. — Związuje dwa rogi. — Moja matka miała ją na sobie, kiedy ojciec się w niej zakochał.

Sirine pochyla się ku niemu, ale go nie dotyka. Chce spojrzeć prosto w twarz Hanowi i przyplwowy jego pamięci. Muska materiał, a potem cicho pyta:

— Tęsknisz za rodziną?

Han przypatruje się jej w ciszy, z wyrazem namysłu na twarzy.

— I tak, i nie. Trudno o informacje z Iraku, bardzo mało listów się wydostaje, a te, którym się udaje, zwykle są tak mocno ocenzurowane, że nie ma w nich wiele sensu. Przypuszczam, że brat dalej jest w więzieniu i mam nadzieję, że on i moja matka jeszcze żyją. Ale nie ma sposobu, żeby się tego dowiedzieć na pewno. I nie ma sposobu, żeby wiedzieć, czy ich jeszcze kiedyś zobaczę. — Przerывa. — Myślę o nich bez przerwy.

Sirine nie potrafi się powstrzymać. Zadaje pytanie:

— A twoja siostra?

Han odczekuje chwilę, nadal się jej przygląda. Ale Sirine czuje to raz jeszcze — ma wrażenie, że oboje są we wnętrzu tej opowieści. Jakby coś się rozsypywało. Oddycha płytko. Ona i Han są tak blisko, ich ramiona się splatają. Ale nie odpowiada jej. Zamiast tego pyta:

— A ty, Sirine? Czy tęsknisz za rodzicami?

Sirine czuje ból w podnoszących się ramionach. Światło przechodzi przez szyby jasnymi plamami, jakby przepływały czystobiałe żagłówki. Nigdy o tym nie rozmawiała. Jeszcze raz spogląda na jego twarz, a potem w tę rozpadlinę światła, pamięć.

Powoli zaczyna mówić. Opowiada mu o pracy rodziców w sztabie kryzysowym. Że często wyjeżdżali z domu, zawsze w najgorsze miejsca, najbardziej niebezpieczne, rozdarte wojną, zrujnowane. Cytuje przeświadczenie ojca, że większość problemów współczesnego świata pochodzi z amerykańskiej obsesji handlu, i przekonanie matki, że Amerykanie taką samą wagę jak Arabowie przywiązują do natury, religii, przyjaźni i rodziny.

Opowiadając, obserwuje Hana, który trzyma ją za rękę. Jego wzrok wędruje za jej spojrzeniem. Głos jej nie drży, więc Sirine ciągnie dalej — przywołuje to, jak siedziała ze stryjem, czekając na rodziców, oglądając wiadomości i czekając. Wspomina, jak czasem myślała, że między rodzicami nie ma dla niej miejsca — byli tak skupieni na sobie, razem podróżowali, odmawiali wyjazdu na misje, które by ich rozdzieliły, a ją zostawiali.

— To nie było to samo, co przejść przez pustynię — mówi cicho. Opiera się o ścianę za wezłowiem łóżka. — Ale w pewien sposób uczucie było podobne. Czekanie, kiedy wrócą do domu. Patrzenie na dni w kalendarzu jak na coś, co można wykreślić, wymazać. Pamiętam, że

prawie co rano pytałam stryja: „Czy dzisiaj przyjadą do domu?”. A on odpowiadał na przykład: „Nie do popołudnia przed ranem za trzy i pół wieczoru pod rząd”.

Han śmieje się i głaszcze jej dłoń.

— Twój stryj...

Sirine zamyka oczy, czuje palce Hana, przesuwane się między swoimi.

— Myślę, że chciałam, żeby znikła połowa mojego dzieciństwa, bo wtedy czekałam na nich. Aż wreszcie pewnego dnia przestałam. Wstałam i zrobiłam dla nas śniadanie i zapomniałam zapytać, czy to już ten dzień. I to była taka ulga, że dalej się starałam nie pamiętać. Po prostu przestałam czekać. To mój stryj ze mną rozmawiał i czytał mi, a nie oni. Kochał mnie tak, jak należało.

Han przytakuje, patrząc na nią.

— To znaczy był przy tobie — stwierdza.

— I to było najważniejsze. Właśnie to. — Ponad ramieniem Hana Sirine spogląda na białe, połyskujące okno. — Nawet przestałam szczególnie przeżywać, kiedy rodzice wracali. Staralam się tego nie okazać, ale pamiętam, jak nie chciałam iść do domu, do rodziców, po ich powrocie. Nie było ich czasami miesiąc, czasem jeszcze dłużej, dla dziecka to wieczność. Po pewnym czasie miałam wrażenie, że właściwie nie wiem, kim oni są. To byli ci dorośli, co sobie chyba myśleli, że mam ich kochać. Jakbym im była winna miłość. — Opuszcza wzrok, zaskoczona gorącem, które czuje na twarzy. Gardło się jej zaciska, wspomnienie tkwi zimno pod skórą. — Moja matka zrobiła się taka smutna... chyba nie wiedziała, o co chodzi. Była taka podekscytowana, że wraca do domu, wchodziła z płaczem i ścisnęła mnie tak mocno. A ja byłam... po prostu... wiotka.

Sirine opowiada Hanowi: musiała mieć jakieś siedem lat, kiedy matkę zaczęły nawiedzać koszmary. Pierwszych kilka nocy po powrocie rodziców do domu upływało spokojnie, niemal bez żadnych wydarzeń, zważywszy, jak dramatycznymi sprawami się zajmowali: miesiąc leczenia ofiar poparzeń w Indiach albo pomoc dla głodujących kobiet i dzieci w Sudanie. Ale potem przychodziła noc, gdy Sirine budziła się — z początku nawet nie wiedziała, co ją zbudziło — ze zmysłami zamroczonymi głębokim snem. Odgłos był taki, jakby coś rozrywało noc na dwie połowy. Sirine, przykuta do łóżka przerażeniem, była jak sparaliżowana, czuła się, jakby oddech został wypchnięty z jej piersi. A potem dźwięk głosu ojca, wołającego przez krzyk matki:

— Sandra! Sandra! — Jakby nawoływał ją z drugiego brzegu, przyzywał do domu. Ale matka nigdy nie budziła się ze swoich krzyków. Czasem się nasilały, a czasami natychmiast cichły. Parę minut później ojciec stawał w drzwiach Sirine i szeptał:

— *Habibti?* — Ale ona z jakiegoś powodu zaciskała oczy, oddychając płytko i cicho, jakby była przerażona albo zawstydzona tym, że słyszała krzyk matki. Rano nikt o niczym nie wspominał.

Kiedy Sirine miała dziewięć lat, krzyki ustały. ale za to zaczęła słyszeć nocą matczyne płacz. Słyszała matkę, powtarzającą:

— Nie mogę tego znieść. Nie mogę tego robić, nie mogę. I w odpowiedzi niskie mruczenie ojca:

— Możesz, Sandy, możesz. — Aż pewnego wieczoru, gdy płacz nie ustawał, Sirine usłyszała, jak jego głos mówi:

— No dobrze, dobrze, dobrze... — Kilka dni później matka powiedziała jej, że przestaną podróżować. Poprosili o przeniesienie do pracy biurowej w Los Angeles i zostaną w domu. Z nią. Pozostało im tylko jedno wyjazdowe zadanie, pomoc w odbudowie afrykańskiej wioski. Potem będą w domu na dobre, obiecała przykucnięta, niemal na klęczkach. Kiedy mówiła, szukała wzroku Sirine, jakby prosiła o wybaczenie.

Wyjechali i Sirine nigdy więcej ich nie widziała.

Sirine uwierzyła, że znikli na jej życzenie.

— No cóż — mówi Han. Ostrożnie bierze jej dłonie, jakby były skorupkami jajek. — Dzieci wyobrażają sobie, że mają takie nadprzyrodzone zdolności, prawda?

Sirine potrząsa głową. Sama nie wie, co myśleć — nie pozwala sobie na rozważanie takich spraw, od lat sobie nie pozwalała. Przyciska brodę do piersi i czuje, jak w głębi ciała zaczyna się drzazga bólu, ciemna przestrzeń, która rozwarła szczęki, kiedy Sirine zrozumiała, że jej rodzice nie żyją. Wtedy nie może już powiedzieć nic więcej. Patrzy na Hana, a on odwzajemnia spojrzenie i Sirine widzi, że w pełni to zrozumiał. Sięga, otula ją chustą i bierze w ramiona. Sirine czuje rozkoszne bogactwo i bezpieczeństwo zamknięcia, opiera mu głowę na piersi i oddycha.

Później tego samego dnia, znowu w pracy, Sirine wiesza swoją chustę na kołku w tylnej kuchni, żeby się nie pobrudziła. Owinęłaby ją sobie wokół talii, ale chce uchronić jej łagodną,

ulotną woń, boi się, że ją stłamsi kuchennymi zapachami smażonej cebuli, czosnku, jagnięciny i oliwy.

W popołudniowym bezruchu, kiedy upał gromadzi się w powietrzu, a palmy zmieniają się w szkło, Sirine siedzi z Um-Nadią w tylnej kuchni, gdy rozdzwania się telefon. Um-Nadia podnosi słuchawkę i po sposobie, w jaki mówi: „Tak? Ho, ho. Och, nie, ty łajdaku... tak, tak, nicpoń z ciebie... nie, nie, jesteś, ty niedobry, wyjątkowo nieznośny...” — Sirine poznaje, że rozmawia z tureckim rzeźnikiem Oda, który podkochuje się w Um-Nadii, przynajmniej odkąd Sirine go poznała. Um-Nadia zawsze wmawia Odzie, że chce zachować siebie dla tajemniczego pana X. Teraz przykłada dłoń do słuchawki i szeptem do Sirine:

— Powiedział, że odłożył jakieś specjalne baranie udźce i żebyś przyszła wybrać najlepsze.

Sirine odwiązuje fartuch. Zastanawia się, czy narzucić chustę na szyję, ale termometr za oknem pokazuje 32 stopnie. Wszyscy powtarzają, że to wyjątkowo ciepła jesień.

Sirine idzie skrajem Westwood Boulevard. W późnym popołudniu szeroka ulica wygląda jak ugotowana, jest żółta niby skóra jaszczurki. Od przecznicy do przecznicy pełno tu irańskich restauracji, sklepów spożywczych i piekarń, teraz cichych, ale zatłoczonych w porze kolacji. Ogląda tę scenę niemal codziennie od ośmiu lat. Za wzgórzem ruch uliczny przybiera na sile — szare krawężniki, chodniki z cementową piersią i ruchliwa platanina perskich firm: Salon Piękności Sziraz, Victory Market, piekarnia Szusza i drogeria Szeherezada, ze sklepowymi wywieszkami wypisanymi po angielsku i arabskimi znakami, z długimi, aksamitnymi limuzynami i obdrapanymi małymi autkami, zaparkowanymi nos w nos wzdłuż ulic.

Sirine nie dochodzi do rogu. Czeka na przerwę między samochodami i przebiega na drugą stronę ulicy. Przechodzi obok kramu z owocami, gdzie za darmo dają jej kumkwaty, mija przewody elektryczne, które upadły na ziemię, pracowników elektrowni i policjantów — pytają ją, jakie dziś będzie danie wieczoru — idzie obok Perskiej Rewolucyjnej Księgarni Marksistowskiej, skąd machają do niej sprzedawcy, aż do sklepu mięsnego Topkapi w dole ulicy. To nieduże miejsce, wypolerowane i pokryte emalią jak ząb. Nikt nie może tu mówić głośniejszym niż szeptem, bo głos będzie dzwonił i odbijał się od ściany do ściany. Sklep Ody wypełniają zawsze Turczynki, Arabki i Iranke, a także Włoszki, Polki, Bośniaczki i Rosjanki. Klientela składa się niemal wyłącznie z jednakowo ubranych kobiet w czarnych chustkach i ciężkich, czarnych butach. Stryj Sirine nazywa to sklepem starszych pań.

Zwykle Oda zleca wysyłkę mięsa do restauracji Um-Nadii jednemu ze swoich niezliczonych synów i bratanków. Ale Sirine nie ma nic przeciwko temu, żeby tu przychodzić obejrzyć towar i przypatrzeć się Odzie i jego przystojnym synom, jak biegają od skrzynek do wagi, taszcza wielkie udźce, mięso ze świeżym kwiatem tłuszczu i krwi.

Stoi jeszcze daleko w poszarpanej kolejce, która od drzwi prowadzi aż do lady, i przygląda się, jak drobna kobietka, najwidoczniej nie mówiąca po angielsku, gestykuluje do jednego z synów Ody, próbując mu pokazać, jaki kawałek mięsa by chciała, kiedy ktoś wpycha się do rządka. Starsze panie nabierają powietrza, torebki kołyszą się im na ramionach. Sirine obraca się i rozpoznaje tył męskich pleców. Mężczyzna wygląda, jakby na wpół przykucnął, próbując się ukryć za szeregiem klientek.

— Aziz?

Obrócił się, rozgląda się nerwowo, warstewka potu kropli mu się na skroniach.

— Kto...? — Urywa i wreszcie rozpoznaje Sirine. Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

— To Kleopatra! — mówi. Unosi i całuje jej rękę.

Rozlegają się głośne pomruki i kilka starszych kobiet wypycha Aziza z ogonka. Stojąca za nimi siwowłosa niewiasta z porażająco niebieskimi oczyma potrząsa w jego stronę wężłastym palcem i rzuca:

— Nie ustąpimy!

— Przed kim się ukrywasz? — Sirine wychodzi z kolejki. Patrzy przez wielkie okno witryny i zauważa skraj czarnej kobiecej zasłony, podskakujący na ulicy. — Hej, czy to nie ta studentka?

Oczy Aziza robią się okrągłe i niewinne.

— Kto, jaka studentka? Ja nie mam żadnych studentek, same zamachowczynie. — Wyciąga z kieszeni chustkę i przeciera twarz, po czym odsuwa od piersi wilgotną niebieską jedwabną koszulę. Potem jeszcze raz przebiega wzrokiem wewnątrz i stwierdza:

— Nie, naprawdę, przeżywam tylko małe kłopoty techniczne. Komplikacje, jak to mówią. Więcej zabawy, niż jeden Aziz może wytrzymać. — Uśmiecha się swoim ogromnym uśmiechem i jeszcze raz bierze Sirine za rękę. — Jak dobrze znowu cię zobaczyć, moja droga. Patrzcie tylko, jaka jesteś śliczna, jak nie masz fartucha.

— No, naprawdę. — Sirine pochyla głowę.

— Co robisz w wolnym czasie? Czy Han ma monopol na twoje życie? Wiesz, on nie pisze wierszy.

Sirine wciska ręce do kieszeni, próbuje sobie przypomnieć coś, co robiła sama.

— Cóż, zajmowałam się różnymi rzeczami — wypowiada to, jakby się broniła.

Aziz unosi czarne brwi.

— Mówisz jak moi studenci, oni się ciągle zajmują rzeczami. Może byś przyszła do mojego biura, to cię nauczę, jak pisać poezję? Mogę cię poprowadzić. — Pochyla się, przybliża twarz, Sirine czuje w jego oddechu coś podobnego do lukrecji.

— Och... — otula się ramionami, łapie się za łokcie. — Z angielskiego byłam najsłabsza.

— Wszystko będziemy pisali w klasycznym arabskim — obiecuje Aziz.

— Nie wiem, czy Hanowi by się spodobało, że mi dajesz prywatne lekcje.

— Hanowi? — Aziz wypowiada to, jakby nigdy wcześniej nie słyszał takiego imienia.

— A czemu?

— Sirine moich snów! — głos rozbrzmiewa echem wśród białych płytek sklepu. — Sirine spośród drzew! — Oda ma trochę ponad półtora metra wzrostu, grube, szerokie ramiona, nie ma szyi, a jego wielką głowę pokrywają czarne wełniste włosy. Potężny miękki nos wygląda jak rozplaszczony na twarzy, a oczy są ogromne i rzewne. Im Oda jest szczęśliwszy, tym smutniej wygląda. — Sirine, chodź tu na zaplecze! Chcę ci pokazać! — Łapie ją za rękę i znikają za ladą, a Aziz rusza za nimi. Idą korytarzem i przechodzą przez drzwi do pokoju-chłodni za sklepem. Ich oddech zamienia się w parę. Długie, niepocięte półcie wołowiny wiszą u sufitu. Oda prowadzi Sirine do małej, srebrnej chłodziarki wielkości szafki na buty. Pochylają się, a ich oddech kreśli blade spirale.

— Sezamie, otwórz się! — mówi Aziz. Oda spogląda na niego.

— A ty to niby kto?

— To tylko Aziz — wyjaśnia Sirine. Aziz wyciąga rękę.

— Jestem Aziz poeta — przedstawia się.

— Ach, poeta. — Oda nie zwraca uwagi na wyciągniętą dłoń. — Nieważne. — Zgina się nad chłodziarką i otwiera ją, nabierając powietrza. Pochyla Sirine, pokazuje rząd jaskrawo-różowych jagnięcych udźców. — Wybierasz pierwsza. Najlepsza wiosenna jagnięcina.

— Przecież jest październik — protestuje Aziz.

— Na Nowej Zelandii jest wiosna! — głos rzeźnika odbija się od lśniących szarych ścian. Oda delikatnie kładzie rękę na piersi, dochodzi do siebie i znowu pochyla się nad mię-

sem. — A to — mówi, z czułością tuląc w dłoniach kilka kawałków, owiniętych w rzeźniczy papier — dla mojej róży, Um-Nadii. Powiesz jej, prawda? Specjalnie od Ody.

Gdy Sirine wybrała już jagnięcinę i wróciła do frontowej sali sklepu, Oda wręcza jej paczkę z kawałkami dla Um-Nadii owiniętą w złotą folię z różową wstążką. Popukuje w nią, potem stuka się w pierś, mówiąc:

— Pamiętaj, ode mnie.

— No, to jest prawdziwy romantyk — stwierdza Aziz, patrząc, jak Oda znowu znika w swoim biurze. — Musi być żonaty.

— Nie, rozwiedziony. I to nie raz.

— Ach, nic dziwnego. Nieuleczalny romantyk. Ale romans to jeden z fundamentów życia, element nieodzowny jak chleb i woda, nie uważasz? — Przygląda się jej uważnie, ze swobodnym, miękkim uśmiechem, i Sirine przez chwilę widzi, jak gładka jest jego beżowa skóra i jak świecą ciemnobrązowe oczy. Potem sobie uświadamia, że on znowu trzyma ją za rękę. Uwalnia się i raz jeszcze wciska dłoń do kieszeni. Czuje rumieniec, rozchodzący się na wszystkie strony od środka mostka.

— Może i tak. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam — odpowiada.

— Prawdopodobnie nie dostajesz minimalnej dziennej dawki — orzeka Aziz. — Wyglądasz mi na trochę bladawą. Nieco anemiczną. Doktor Aziz uważa, że przydałoby ci się więcej poezji, więcej muzyki, więcej pocałunków, więcej śmiechu, u także więcej tańca. I jest gotów wypisać ci receptę.

Sirine właśnie próbuje wymyślić jakąś odpowiedź, gdy siwowłosa kobieta, która stała za nią w kolejce, a teraz właśnie wychodzi, stuka ją w ramię paczką mięsa owiniętą w biały papier, podnosi palec i energicznie potrząsa nim w ich stronę, mówiąc w łamanej angielszczyźnie:

— Stare numery!

Znienacka zrywa się dzikie trzepotanie, drżący dźwięk wypełnia ciasną przestrzeń niby woda, która warczy w bębnie, jaskrawoniebieska plama wiruje wokół nich — ptak dostał się jakoś do sklepu i obija się o okno ze szklanych płytek, próbując uciec. Stare kobiety krzyczą w dwudziestu różnych językach, porzucają paczki i plecione koszyki i torby na kółkach, wybiegają ze sklepu, podobnie jak Oda i jego synowie. Aziz także wyciąga Sirine na zewnątrz, śmiejąc się.

— O nie, o jejku — woła, zanosi się śmiechem i potrząsa głową. — Oni myślą, że to Złe Oko.

— To JEST Złe Oko, ty durny poeto! — wrzeszczy na niego Oda, kiedy przeciskają się przez drzwi. — Zdajesz sobie sprawę, co do dla mnie znaczy? Wszystkie amulety do wymiany!

Serce Sirine przyspiesza, brak jej tchu. Jedną rękę przyciska do klatki piersiowej, jak gdyby mogła je uspokoić, i spogląda przez okno. Nieszczęsny ptak wciąż tłucze skrzydłami o szybę, oszalała, okrągła niebieskość. Oda odwraca się do niej, zgina się w pokłonie, po czym wyjmuje jej z rąk przewiązaną różową wstążką paczkę.

— Okropnie mi przykro — mówi, a jego okrągłe oczy lśnią. — Ale teraz to niemożliwe. W tych okolicznościach nie mogę pozwolić, żeby Um-Nadia to dostała.

— Czemu nie? Wyszliśmy ze sklepu, wszystko w porządku. Oda złowieszczo potrząsa głową.

— Coś... albo ktoś... — mierzy wzrokiem Aziza — pozwoliło, żeby Złe Oko dostało się do mojego sklepu. Wszystko jest skażone. Wierz mi, dowiem się, kto za to odpowiada...

— Czas sprawdzić, co tam na moich zajęciach z poezji — oświadcza Aziz i zaczyna się tyłem oddalać od Sirine i Ody. — Zostawiłem ich, żeby coś napisali. Z wami dwojgiem było przemiło. — Obraca się i rusza w górę wzgórza, do miasteczka uniwersyteckiego.

Oda z westchnieniem kładzie mięso na skrzynce pocztowej, jakby to była przesyłka polecona.

— Świetnie — stwierdza i krzyżuje ręce.

Sirine i inni klienci stoją wciąż na chodniku, gdy dwóch młodych policjantów podejżdża radiowozem. Oda wyjaśnia im, że w sklepie jest Złe Oko. Jeden z policjantów kładzie rękę na pistolecie, a drugi mówi:

— Chyba powinniśmy wezwać straż pożarną. — Potem wszyscy stoją tam przez chwilę i przyglądają się ptakowi, który krąży po sklepie, Oda zaś raz po raz ciężko wzdycha, a od czasu do czasu wykrzykuje:

— Och, to zły znak!

Wreszcie Sami, najbystrzejszy z synów, wpada na pomysł, żeby otworzyć drzwi. I ptak wyfruwa nimi równie nagle, jak wleciał do sklepu, po czym spokojny niby westchnienie wzbija się w korony drzew. Patrząc, jak odlatuje, Sirine czuje, że także z jej ciała wypływa napięcie. Kiedy wraca ze sklepu rzeźnickiego, jest dziwnie spokojna. Skręcając, ma wrażenie, że widzi w jednym z krzewów błękitny rozbłysk i podchodzi bliżej, zastanawia się, czy to nie ten sam ptak. Ale wtedy słyszy, jak Mireille wykrzykuje jej imię w dół ulicy. I cofa się, myśląc, że Złe Oko najlepiej chyba zostawić w spokoju.

Rozdział czternasty

Opowieść, w którą nie uwierzysz, brzmi tak: Było kiedyś arabskie imperium, które panowało nad światem. Wspaniałe Imperium Abbasydów władało od ósmego do trzynastego wieku — przez pięćset lat. A Bagdad był jego niebiańską stolicą. Teraz mrugnij: minęło siedem albo osiem stuleci i świat obrócił się do góry nogami, jak to ma w zwyczaju. Imperium Abbasydów rozpląnęło się. Ale niektórzy Arabowie mają długą, długą pamięć i wierzą, że pewnego dnia zostanie im zwrócony świat razem z całą zawartością. Większość pozostałych Arabów zadowoliliby się tym, by mieć odrobinę spokoju, mniej walk na podwórku, żeby w ogóle zatrzymać to podwórko i tak dalej. I są jeszcze Arabowie przekonani, że czegokolwiek by pragnęli — czy to jest cały świat, czy trochę spokoju i ciszy — Ameryka robi wszystko, żeby tego nie dostali.

A więc ciotka Camille czekała na brzegu Tanganiki, z nadzieją na audiencję u Matki Wszystkich Ryb. Czy rozmyślała nad końcem Imperium Abbasydów? Możliwe. Ale niezbyt prawdopodobne. Przyjęła, jak większość Arabów, że zabawa się skończyła późnego ranka w 1258 roku, gdy mongolskie hordy stanęły u wrót Bagdadu. A może była przekonana, że końcem był ten dzień w 1492 roku, gdy mauretański książę Grenady wręczył królowi Ferdynandowi klucze do miasta.

Ciotka Camille usłyszała właśnie głęboki, podobny do dzwonu głos, pytający, kogo szuka — szczególnie, nieziemski głos, który z radością przypisała Matce Wszystkich Ryb. Wyobraź sobie więc jej zaskoczenie, kiedy liany zakołysały się, krzaki zatrzęsły, gałęzie zaskrzyphiały i zamiast Matki Wszystkich Ryb ukazał się olbrzymi dżin z oczyma koloru granatu i skórą o barwie sproszkowanych ziaren kakaowych i zawołał:

— Stać! Jestem Tajemnym Zaginionym Królem Imperium Abbasydów i żądam, żebyś mi powiedziała, po co tu przyszłaś.

Dżin nie był głupi — mówiąc takie rzeczy, usiłował wytrącić z równowagi każdego napotkanego Araba. Arabskie Imperium Abbasydów chwałą równało się z Imperium Rzymskim, a głębią z Grecją. Ogarniało kontynenty i półkule, wydało biblioteki, wynalazki i zajrzało w głąb nieba, a potem znikło, a Arabowie musieli na nowo stać się zwyczajnymi ludźmi. Aż tu nagle pojawił się dżin z chrzęszczącymi od złota sandałami i lśniącymi szmaragdowymi pierścieniami na środkowych palcach. Jego pierś pokrywały dzwoniące medale wszystkich królów i generałów, których pożał, nozdrza miał rozwarte, a włosy i broda jeżyły się na wszystkie

strony. Tajemny Zaginiony Król Imperium Abbasydów! Dawał im gorzkie, cyniczne nadzieje na odnowienie chwały z dodatkiem kęsa nostalgii. Zaginiony król przybył, by na nowo odzyskać arabski tron! To jakby stanąć twarzą w twarz z Karolem Wielkim albo białym duchem Elvisa.

Ale ciotka Camille była na cztery nogi kuta — przyjrzała mu się od stóp do głów i wreszcie oświadczyła:

— Nigdy nie słyszałam o żadnym zaginionym królu Abbasydów.

— Cóż — zasyczał dżin, a jego oddech cuchnął zapalonymi właśnie zapalkami, wrzącym olejem i ostatnimi wykrzyczanymi życzeniami tysiąca umierających istot — właśnie dlatego jestem Tajemnym Zaginionym Królem Imperium Abbasydów, nie? Kiedy mój nieudany ojciec, mauretański książę, oddał klucze do muzułmańskiego miasta Grenada, babka umieściła mnie w ukryciu, co, jak każdy wie, jest sposobem, żeby zatrzymać czas. Sto lat spędziłem w jaskini, a kiedy nadeszły powódzie, musiałem przemierzać świat jak bezimienny dzikus, mając tylko dzikiego osła za towarzysza, z włosami opadającymi z tyłu i brodą opadającą z przodu i umysłem wypełnionym porażającymi myślami. Tak to trwało, z wieloma komplikacjami i przygodami, aż Matka Wszystkich Ryb znalazła mnie i przygarnęła, nauczyła mnie, jak się modlić, i na nowo wskazała drogę życia.

Na wzmiankę o rybiej matce ciotka Camille podskoczyła i zawołała:

— Właśnie po to przyszłam, żeby się z nią zobaczyć! Dżin rozwinął się na całą wysokość 215 centymetrów, tak że jego włosy błyszcząły, a palce u nóg połyskiwały, i rzekł głosem, w którym dudniące nuty wędrownego Nilu mieszały się z jedwabistym przeplataniem splotów Eufratu:

— A CZY BYŁAŚ UMÓWIONA?

Tego wieczoru, gdy Sirine ma właśnie wyjść do domu, Mireille staje przy oknie i szeptem:

— Spójrzcie na księżyc, wygląda jak niemowlak! Um-Nadia marszczy brwi, odwraca się i mówi do Sirine:

— Coś się wydarzyło u rzeźnika!

Sirine, która całkiem zapomniała o ptaku, zaskoczona podnosi wzrok.

— Oda do ciebie dzwonił? Um-Nadia patrzy na nią z ukosa.

— To jest w twoich oczach, są o, takie. — Wprawia palce w ślizgające się, kreślące obrys kołysanie. — I wróciłaś bez jagnięciny.

— No, stała się jedna rzecz — ryzykuje Sirine. Spojrzenie Um-Nadii wyostrza się. Sirine opowiada jej o ptaku uwięzionym w sklepie, a Um-Nadia uderza się dłonią o pierś. Potem każe Sirine powoli przekrecać głowę z boku na bok, ogląda jej twarz i dokładnie przypatruje się dłoniom, obracając je na drugą stronę.

— Dobrze, w porządku — orzeka wreszcie, robiąc wrażenie uspokojonej. — Dzisiaj wieczorem musisz być szczególnie ostrożna, coś wisi w powietrzu — dodaje, celując w Sirine palcem.

Ale Sirine czuje się spokojnie i lekko, ma jasny umysł i niczego się nie lęka. Zamyka restaurację, po czym jedzie do Hana na rowerze przez noc gęstą i ciepłą jak kaszmir. Bugenwilla, roślina szalonej kobiety, potrząsa papierowymi płatkami. Chmury pienią się na niebie, niski księżyc jest niemal cynobrowy, a gwiazdy żeglują po swoich prywatnych orbitach. Sirine ma wrażenie, że myśl o Hanie krąży w jej ciele, jakby to on był tym nieodzownym elementem, o którym wspomniał Aziz — po prostu niezbędnym, jak powietrze i chleb. Czuje, że coś przyciąga ją do Hana, jakby działało na nią najślodsze zaklęcie.

On czeka na nią przed budynkiem, stoi bez ruchu pod długimi, fioletowymi cieniami. Uśmiecha się i bierze od niej rower. W windzie całuje ją w szyję. Potem się cofa i spogląda na nią, mętne światło rozmywa wyraz jego twarzy.

— I jesteś — mówi. — Niech na ciebie popatrzę. Czy ty tu naprawdę jesteś?

— Cóż — odpowiada Sirine — a czy ty tutaj jesteś naprawdę?

— Czasem sam nie wiem — z powagą stwierdza Han. — Czy ja to wszystko wyśniłem, czy to prawda?

Idą do jego mieszkania z rękami splecionymi na plecach i wchodzą wprost do sypialni. Na łóżku stoi półmisek z pokrojonymi owocami. Jedzą, piją trochę wina, a potem się kochają. Nagranie libańskiej pieśniarki brzmi gdzieś w głębi, ciche jak dłoń, która błądzi po jej włosach.

Potem Sirine leży z policzkiem przy piersi Hana, bicie jego serca bębni w jej uchu, a w tle słychać dźwięki muzyki. Zapada się w wibrowanie jego ciała, w płynność głosu, poruszającego płuca. Ciepłe i hipnotyczne pociągnięcia pieszczoty powtarzają się i Sirine odpływa w śnienie.

Ale w nocy oddalają się od siebie. Jej sen jest przerywany, oprószony dziwnymi, wyśnionymi odgłosami: dziecięcym śmiechem, nutami muzyki, niskim, wibrującym pomrukiem. Sirine unosi się tuż pod powierzchnią niespokojnego snu, budząc się raz po raz. Nie widać

księżycyca, a noc za oknem jest pluszowa jak poduszczyca do igieł i zbyt ciemna, przesłania wszystko, nawet gwiazdy.

I Sirine znowu ma wrażenie, że ktoś ją obserwuje, tak silne, jakby ktoś naprawdę był w tym pokoju. Czuje, że gdyby otworzyła oczy, zobaczyłaby nad łóżkiem pochyloną, przypatrującą się postać. Kilka razy usiłuje się obudzić, śni, że umysł ma przytomny, ale jej ciało śpi dalej. Wreszcie udaje się jej otworzyć oczy w ciemności, zaledwie odrobinę, lecz nikogo tam nie ma. Tylko uśpiony Han oddycha cicho i regularnie. Sirine obraca się na bok, przypatruje mu się. We śnie wygląda inaczej, jego rysy są jak wytarte. Sirine przesuwając kolana do skraju łóżka, a potem zatrzymuje się, odwraca, żeby na niego popatrzeć i zastanawia się, czy to możliwe, że już go pokochała.

Bezgłośnie unosi stopy z łóżka, wstaje, znowu przyciąga ją szafka po drugiej stronie pokoju. Przedmioty, które tam stoją, są te same, ale zdają się odmienione — butelka pełna kolorowego piasku przywodzi na myśl truciznę, nóż do otwierania listów przypomina sztylet. Sirine rozgląda się w poszukiwaniu zdjęcia Hana z chłopcem i dziewczyną, ale ono zniknęło na dobre. Szuka czegoś, co byłoby wskazówką, jakiegoś małego klucza. Musi wiedzieć o nim więcej, dowiedzieć się, czy to bezpieczne czuć do niego to, co czuje. Jej dłonie ostrożnie, ostrożnie wślizgują się do górnej szuflady komody, która otwiera się z sykiem, ukazując miękkie, pozwijane kształty ubrań. Sirine wsuwa w nie ręce, zerka przez ramię. Wyczuwa coś na dnie szuflady i delikatnie wyciąga: to list.

Drżąc, niesie go do łazienki, zamyka drzwi. Nigdy wcześniej nie myszkowała w pokoju mężczyzny, sama jest sobą zdumiona — skąd wzięła tyle śmiałości? A jeśli on się obudzi? Ale nie umie się powstrzymać. List został zaadresowany do angielskiej szkoły Hana i kilka razy był przesyłany dalej, kopertę pokrywają gryzmoły i poprawki. Wewnątrz data z kwietnia 1999 roku, sześć miesięcy temu. Kilka zdań po arabsku, resztę napisano ściśniętym, pochylonym angielskim:

Teraz więc przechodzę na ten język w nadziei umknięcia cenzorom i wścibskim spojrzeniom, sam rozumiesz. Dzięki Bogu za czas, który spędziłam w Szkole Żeńskiej Aalijja — przynajmniej nauczyłam się tam czegoś pożytecznego. Ale do tutejszej poczty nie można mieć zaufania, kto wie, czy w ogóle dostałeś choć jeden z moich listów. Powód, dla którego piszę, to przynajmniej w połowie chęć usłyszenia własnych myśli, bo nikt inny nie będzie słuchał. Jesteśmy głośno myślącym narodem, a Bagdad to miasto umarłych.

Mam nadzieję, że dostałeś chustę, którą przesłałam w ubiegłym roku.

Często się zastanawiam, jak wygląda twoje życie w tym zimnym, odległym miejscu. Nie potrafię sobie tego do końca wyobrazić. I ty najprawdopodobniej nie zdołasz już sobie wyobrazić naszego.

Oto, co mamy dzisiaj: powietrze nad miastem jest naelektryzowane, popioły mieszają się z kurzem chemikaliów. Szara zupa, ziemia obrócona w ugor. Życie postępuje skokami, potem się zatrzymuje. Sprzedawca warzyw otwiera kramy, ale nie wystarcza mleka dla dzieci, a dzieci są wszędzie, na wszystkich ulicach, oczy mają zbyt wielkie, a ich kolana, kostki i przeguby są jak węzły. Jeśli dasz któremuś banana, odbiegnie w miejsce, gdzie nie uda ci się go złapać, gdybyś przypadkiem zmienił zdanie, i zje go całego, razem za skórka. Karuzelę w parku rozrywki obok bagdadzkiego zoo wciąż wypełniają dzieci. Biegają i wdrapują się na malowane koniki, a ich śmiech zamarza w powietrzu, jest już echem, gdy go słyszysz. Nasze młode kobiety, podobnie jak mężczyźni, oddziałami maszerują po ulicach, mają chusty i długie, czarne karabiny. Nasz wspaniały, piękny kraj zniknął. Nie możemy uciec przed odorem spalenizny. Paskudny chemiczny opad, głód, brak lekarstw, zawsze ta sama katastrofa — to takie nudne być ofiarą. Jest wiele chorób, malaria, cholera, tyfus i krzywica. Co za idiotyzm, walczyć z chorobami z przeszłości! Nasza pradawna noc rozbłyskuje od bomb. Amerykanie wciąż prawie każdego dnia bombardują Irak. Słyszałam, że w czasie wojny w Zatoce w amerykańskiej telewizji porównywano te eksplozje do fajerwerków.

Twoja matka mówi o tobie bez przerwy, jakbyś tylko wyszedł na chwilę do drugiego pokoju i miał zaraz wrócić. Piszę teraz do ciebie, żeby ci powiedzieć, całkiem po prostu i z wielkim smutkiem, że twoja matka nie czuje się dobrze. Oczywiście już wcześniej była chora, ale teraz to co innego. Nie wiem, czy można umrzeć ze smutku, żyjąc z taką stratą i żalobą, ale zaczęłam myśleć, że to możliwe. Twoja matka je coraz mniej. Nie chce wstawać z łóżka i nie prześiaduje już z innymi kobietami. Widzę, jak podnosi się w niej mrok, jakby ciemność unosiła się z dna studni.

Mówię ci to teraz, mój drogi, nie po to, żeby cię zranić, ale żebyś wiedział: jeśli chcesz jeszcze raz w tym życiu zobaczyć matkę, to może być ostatnia szansa. Oczywiście nie ma sposobu, żeby cofnąć morderstwo, i wszyscy żyjemy w strachu przed bezwzględnością Saddama. Ale być może znajdziesz jakiś sposób, by wrócić do domu.

Codziennie o tobie myślę i o ile Bóg pozwoli, odnajdziemy się w przyszłym życiu, jeżeli nie w tym. Czy pamiętasz, jak mi mówiłeś, kiedy byliśmy w szkole, że nigdy nie opuścisz od-

mawiania modlitwy? Powiedziałaś, że wiara ukształtowała twój umysł i charakter i dała ci nadzieję na przyszłość. Zastanawiam się, Hanifie, czy nadal codziennie się modlisz?

Potem następuje linijka po arabsku. I dalej:

Wciąż kochająca D.

Ręce Sirine drżą. Jakie morderstwo? Jest jak sparaliżowana, myśli: muszę go zapytać. Ale jeśli spyta, ujawni swoje wścibstwo, to, że zawiodła jego zaufanie. Czuje, jak unosi się nad nimi obecność martwej osoby, niewypowiedziana i nieodparta, granatowooki duch w kącie — może to tego przypatrującego się intruza czuła przez sen.

Wyślizguje się z łazienki i pospiesznie wsuwa list z powrotem pod ubrania w szufladzie. Teraz ma wrażenie, że w całym mieszkaniu słychać dziwne, lekkie dźwięki, niespodziewane stuki i skrzypnięcia, od których serce skacze jej w piersi. W ciemności trudno jej zobaczyć postać Hana, a musi go widzieć. Czy on planuje powrót do Iraku? Czy kogoś zabił? W głowie się jej miesza, ale jest za bardzo przerażona, żeby spróbować jeszcze raz rozłożyć i przeczytać ten list. Rozgląda się.

I kto to napisał? Autorka listu zwraca się do niego: „Mój najdroższy”. I wtedy, jakby jakieś stworzenie wynurzało się z całkiem zmałconej wody, Sirine przypomina sobie opowieści Um-Nadii o oszukanych kobietach, o ich niewiernych mężczyznach. Patrzy na sylwetkę śpiącego Hana — w tym momencie sprawia wrażenie, jakby był jedynie cieniem, zmarszczką atramentu, spływającą po pościeli. A to wszystko, co zdawało się między nimi zaczynać, mogło być tylko opowieścią, którą opowiadała sobie sama.

Sirine przychodzi na myśl to, w jaki sposób jej rodzice zniknęli w Sudanie, gdy była małą dziewczynką. Tylekroć wcześniej wyjeżdżali: do Turcji, Afryki, Indii, w głód, wojny domowe i trzęsienia ziemi, czasem zostawiali Sirine na tygodnie, a nawet miesiące ciszy, bez adresu, linie telefoniczne były zniszczone. Gdy wyjechali po raz ostatni, Sirine i jej stryj dopiero kilka dni po ich śmierci dowiedzieli się, co zaszło. W wiadomościach rodziny ofiar opowiadają o przecuciach, niepokojących znakach, ale Sirine wtedy wcale nie przypuszczała, że stało się coś złego.

Kręci jej się w głowie, kolana ma miękkie. Jeszcze raz zapada się w łóżko. A jeśli on zamierza wyjechać? Przychodzi jej do głowy, że Han może być żonaty. Niewykluczone, że ma dzieci. I być może kogoś zabił. Sirine leży bez ruchu, wpatruje się we wznoszenie i opadanie

jego klatki piersiowej. Jeśli teraz od niego odejdzie, nigdy nie wróci — za wiele dla niej tego wszystkiego.

Zaczyna robić to, co zawsze robiła, kiedy była mała: wypatruje znaku, jakiegokolwiek wskazówki. Robiła to, kiedy rodzice odjeżdżali, żeby wiedzieć, czy jeszcze żyją — niebieski samochód albo dziecko z zabawką, albo ptak na drzewie sprawiały, że byli żywi w jej umyśle. A teraz wie, że to dziecinne i niemożliwe, ale czeka, nawet w chwili, gdy potrząsa głową, żeby odgonić te myśli. Czuje się, jakby miała przezroczyste serce. Zaciska dłonie w pięść, oddech jest uwięziony w klatce jej piersi. Za dużo, za mocno. Doznaje wrażenia, że jej uczucia do Hana zaciskają się, cofają do zamkniętej, odległej gwiazdy w głębi niej. Właśnie ma wstać, iść po ubranie, torebkę i kluczyk do roweru, gdy Han obraca się do niej. Sirine słyszy, jak mruczy:

— Sirine.

— Tak?

Ale on śpi. Jego dłonie bębnią po łóżku.

— Sirine — mamrocze. — Sirine.

Sirine odwraca się z szeroko otwartymi oczyma, a jej wzrok pada na srebrną ramkę — przestawił ją na stolik koło łóżka. Teraz jest w niej zdjęcie, które zrobił Nathan: Sirine i Han i ich połyskliwe, przytrzymane spojrzenie, opalizująca chwila miłości.

Wszystko w niej się zatrzymuje, a potem bieleje i rozszerza się i Sirine przymyka oczy, słucha jego głosu, bezradnej szczerości śpiącego. I w tej chwili to wystarczy — to sposób, żeby mu uwierzyć.

Jest niedziela, wolny dzień Sirine. Śpią do późna i przyrządzają śniadanie z tego, co znaleźli na owocowych drzewach i w ogrodzie na podwórku przed wejściem: ze słodkich pomarańcz, mandarynek, pomidorów, grejpfruta i awokado. Sadowią się na podwójnym składanym aluminiowym siedzisku na balkonie, z talerzami, nożami i miseczką soli. Po jej palcach spływa strużka soku i Han całuje wewnątrz jej dłoni.

Patrząc na niego w ten czysty poranek, gdy powietrze zbija się w kotary, Sirine czuje się odnowiona i pełna nadziei, jakby wyzdrowiała z choroby. Za dnia wspomnienie nocnego listu stało się łatwiejsze do zniesienia. Myśli, że na pewno jest jakiś sposób, żeby o to zapytać. Powtarza sobie, że to próba dla nich, chociaż nie jest pewna, czemu mieliby zostać poddani próbie, i że jedyny sposób, żeby ją przejść, to trwać bez ruchu.

Han rozdziela mandarynkę na cząstki i karmi ją, kawałek po kawałku. Potem rozcina na pół cytrynę, posypuje przecięcie łyżeczką cukru i nadgryza. Sirine rozgląda się dookoła, patrzy na wędrujące palmy i zakurzoną ulicę. Właśnie dziś rano radiowy meteorolog zapowiadał upał babiego lata. Sirine rozkrawa awokado i oprósza je grubą solą, a potem podaje Hanowi.

— O, Lejla tak robiła — cicho mówi Han. — Sól na awokado.

Sirine spogląda na niego.

— Lejla?

Punkcik w środku jego oka zastyga. Han odkłada połówkę awokado w maślanym kolorze.

— Lejla, moja siostra.

— Nie wiedziałam, że tak ma na imię.

— Nie wspomniałem o tym kiedyś? — dotyka bladego awokado na talerzu, ale go nie podnosi.

Sirine czuje ukłucie, jakby coś przeoczyła.

— Właściwie to nie. W ogóle niedużo o niej mówiłeś.

— Naprawdę? — Han uśmiecha się, ale ten uśmiech jest pęknięty. Kładzie sobie dłoń na karku i wzdycha. Pod balkonem rześka bryza spiralami rozgarnia kurz. Han próbuje bardziej udanego uśmiechu i mówi:

— Chyba nie mówiłem. Jest młodsza. Jest z moimi rodzicami... — jego głos cichnie.

Oczy ma ciemne i pełne blasku, niemal fosforyzujące. Unosi jej rękę, przesuwa palce między jej palcami. Odrzucone skórki z owoców zaczynają się już zwijać na talerzu, wysuszone jak małe palemki w kolorach klejnotów. W powietrzu wisi łagodny zapach pomarańcz i cytryn.

— Sirine... wybacz mi to okropne pytanie, ale... czy ty mi ufasz?

Natychmiast ogarnia ją poczucie winy. Opuszcza wzrok, znów go podnosi.

— Myślę, że tak. Han kiwa głową.

— Oczywiście. Wiem, dopiero zaczynamy się poznawać. Potrzebuję... jeśli możesz się na to zgodzić... potrzebuję trochę czasu. Jest więcej rzeczy, które powinienem ci powiedzieć, tylko że... jeszcze nie teraz. Ale zrobię to, jeśli możesz zaczekać. Obiecuję. Czy to jest... czy możesz to dla mnie zrobić?

Sirine pochyla się, otwiera usta, chciałaby spróbować zapytać go o coś jeszcze, ale zarazem czuje coś w rodzaju ostrzeżenia, jakby liście opadały jej na pierś. Może sama nie chce na

razie wiedzieć wszystkiego. Więc wstaje po prostu i zaczyna zbierać naczynia. Sztućce dzwonią jej w ręce. Pospiesznie niesie nakrycia do kuchennego zlewu i czuje w głowie taką lekkość, że zastanawia się, czy nie za krótko spała ostatniej nocy. Wpuszcza do zlewu mocny strumień gorącej wody, tak że para okraża jej twarz. Bierze gąbkę w jedną rękę, a talerz w drugą i spogląda w stronę Hana, wciąż siedzącego na balkonie. Wyciągnął z kieszeni swoje błękitne modlitewne korale i przesuwa je, pocierając każdy kamień kciukiem i wskazującym palcem.

Sirine zostawia naczynia i znowu wychodzi na balkon. Czuje, że wewnętrzne napięcie przybiera w niej jak przypływ. Siada obok niego na podwójnej kanapce, krzyżuje ręce na piersi i pyta:

— Czy to prawda, że muzułmanie mogą mieć cztery żony? Han, zaskoczony, wybuchł śmiechem.

— A to co?

Sirine czuje się głupio, ale pytanie już padło.

— Tak tylko słyszałam — szepce. — Zawsze byłam tego ciekawa. Mireille mówi, że mogą.

Han wyciąga ramię wzdłuż oparcia kanapy.

— W porządku. No więc, mówiąc ściśle, jeżeli się trzymać islamskich reguł, to tak, cztery żony. Tylko że jest jedno ale: Mahomet powiedział, że jeśli żenisz się z więcej niż jedną kobietą, musisz każdą żonę traktować tak samo. A wielu nauczycieli religii twierdzi, że to właściwie niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe?

Han otacza ręką jej ramiona. Sirine czuje, jak jego żebra unoszą się i opadają.

— Ludzka natura jest taka, że zawsze kogoś wyróżnia — mówi cicho, głaszcząc ją po włosach.

— Czy czujesz się... — Sirine przerywa, spięta i z poczuciem winy, przypomina sobie ukryty list. — To znaczy... czy wierzysz, że twoja religia, że islam określa, kim jesteś?

Czuje jego wahanie, poruszenie głowy, jakby próbował na nią spojrzeć.

— To interesujące pytanie — odpowiada ostrożnie. Ręce jej wilgotnieją, zastanawia się, czy się tym nie ujawniła. Ale kiedy ona się nie odzywa, Han wzdycha i znów zaczyna mówić:

— Dla mnie to bardziej skomplikowane. Słyszałem, że ludzie określają siebie według pracy, religii albo rodziny. A ja myślę, że właściwie określam się przez nieobecność.

Sirine odważa się na niego spojrzeć.

— Jaką nieobecność?

— No cóż, nie jestem już wierzący, ale wciąż uważam się za muzułmanina. W pewien sposób religia jest dla mnie przez to jeszcze ważniejsza.

— Jak możesz być muzułmaninem, jeżeli nie wierzysz?

— Nie wierzę w określone wizje Boga. Ale wierzę w społeczną budowlę, w pojęcie lojalności, tożsamości kulturowej... Och. — Odwraca wzrok, a Sirine od razu zaczyna się obawiać, że zniecierpliwiły go wszystkie jej pytania albo że uznał ją za nie dość inteligentną dla siebie. Ale wtedy on mówi: — Fakt wygnania jest w moim życiu ważniejszy niż cokolwiek innego. Kiedy porzucałem mój kraj, to było jakby... nie wiem... jakby odrywała się część mojego ciała. Mam fantomowe bóle w tej utraconej części, sam dla siebie jestem upiorem. Nie wiem... czy to w ogóle ma sens? Jakbym próbował opisać coś, czym nie jestem, czego już nie ma.

— Wydaje mi się, że rozumiem — nieśmiało wtrąca Sirine.

— Wygnanie jest jak... — Han pochyla się, opiera łokcie nu kolanach, modlitewne korale owinął wokół dłoni, ręce szukają formy lub obrazu. — To przyćmiony, szary pokój, pełen dźwięków i cieni, ale nie ma w nim nic prawdziwego, nic rzeczywistego. Wciąż ci się wydaje, że na ulicy rozpoznajesz przyjaciół albo starych wrogów, takich, co we śnie przyprawiają o krzyk. Podchodzisz do ludzi, pewien, że to członkowie twojej rodziny, ale kiedy się zbliżasz, ich twarze rozplývają się w kogoś zupełnie obcego. A czasem po prostu zapominasz, że to nie Irak, tylko Ameryka. Wszystko, czym byłeś, każdy widok, dźwięk, smak, wspomnienie, to wszystko zostało zatarte. Zapominasz wszystko, co, jak ci się zdawało, wiesz. — Opuszcza dłonie. — Musisz.

— Czemu?

— Musisz sobie pozwolić na zapomnienie, bo inaczej zwariujesz. Czasem, kiedy widzę na ulicy niektórych bezdomnych, rozumiesz, takich co chodzą i gadają w powietrze, szurają nogami, w starych, podartych ubraniach, czasem myślę, że nigdy z nikim nie czułem się tak blisko, jak z tymi ludźmi. Oni wiedzą, jakie to uczucie, żyją między światami i nigdzie nie są naprawdę. Na wygnaniu od siebie.

Sirine ma wrażenie, że niewidoczne palce suną wzdłuż jej kręgosłupa. Drży i przyciska łokcie do ciała.

— A więc... właśnie to zrobiłeś? Pozwoliłeś sobie zapomnieć? — pyta z nadzieją, że on przytaknie.

Ale on odpowiada:

— Próbuję. — A potem: — Czasem to takie trudne. Kiedy opuszczałem kraj, nie miałem pojęcia, bladego pojęcia, jak to odmieni moje życie. To o wiele trudniejsze, niż mógłbym sobie kiedykolwiek wyobrazić. Nie byłem przygotowany na to, jak bardzo będzie mi ich brakowało, i jak ten prosty fakt, że nie mogę wrócić, pogorszy sytuację. I oczywiście nie było sposobu, że-
bym zdawał sobie z tego sprawę wcześniej, kiedy byłem taki młody i podekscytowany i myśla-
łem, że jestem gotów ni wszystko w świecie.

Sirine przypatruje mu się, czeka, żeby wrócił na balkon, otulił ją ramionami, powiedział, że ona z naddatkiem wynagrodziła mu wszystko, co w życiu utracił. Ale on tylko zamyka oczy, ciężko opuszcza ramiona i ze stukaniem przesuwając swoje modlitewne korale.

Rozdział piętnasty

Ciotka Camille znalazła w końcu drogę do szerokich barków Egiptu, pod drzwi Matki Wszystkich Ryb, a zatrzymało ją to, że nie była umówiona na spotkanie. Kto by pomyślał?

A więc delikatne ramiona ciotki Camille opadły, a Napoleon Tu Był zwiesił ciężki psi łań i zapłakały krokodyle, a z purpurowego nieba opadło kwiecie dzakarandy.

— Nie — przyznała dżinowi-strażnikowi Camille. — Nie byłam umówiona.

Cóż, w rzeczywistości nie był to wcale dżin o twardym sercu. Tak naprawdę nietrudno go było rozczulić. Ale Odwieczna Złota Zasada brzmi: wymaga się wcześniejszego umówienia. W końcu na świecie nie brakuje rybaków łajdaków z głodem w oczach, co sobie myślą, że nie może być nic smakowitszego, nic bardziej soczystego niż filet z Matki Wszystkich Ryb z dodatkiem czosnkowo-cytrynowego sosu. Tacy to nigdy nie są umówieni.

Dżin musiał znaleźć jakiś sposób, by pozostać Czułym Serduszkciem, a zarazem nie naruszyć właściwego dżinom przywiązania do zasad. Był siostrzeńcem sfinksa i ciotecznym przyrodnym kuzynem Rumpelstiltskina. Zastanawiał się, czy by jej nie zadać którejś z tych zwyczajowych u dżinów zagadek, które strzegą wejść, a rozwiązać je potrafi tylko bohater. Ale od razu wykoncypował, że przecież Camille jest współbohaterką tej opowieści, co jej daje oczywistą i naturalną przewagę.

A więc pochrząkiwał i próbował nawiązać pogawędkę, o ile szkarłatnooki dżin w ogóle może gawędzić, a w sumie zastawiał Camille drogę, póki muezin jeziora Tanganika nie wdrapał się na drzewo i nie rozpoczął nawoływania do modłów. W tej chwili czas się zatrzymał i

Natura podniosła wzrok, ptaki przestały świergotać, a liście przestały szeleścić, bo chciały, by ich dusze porwało to słodkie, snujące się wezwanie na ścieżkę modlitwy.

Wielki dżin z ulgą chwycił jej dłoń w swoją mięsistą, zapoconą łapę i powiedział:

— Módlmy się!

Ciotka Camille uklękła i wypowiedziała modlitwy, których główną treścią było: „Dobry Boże, proszę, pozwól mi jakoś wykołować tego dżina”. I po stosownej przerwie zakończyła modły, a wszystkie pozostałe stworzenia, duchy i istoty z lasów także je zakończyły. Wszystkie, ale nie dżin, który dalej bił pokłony i modlił się i modlił, jakby nie było jutra ani dnia dzisiejszego. Ciotce Camille przyszło do głowy, że może się tak modlić przez kilka godzin, aż zostanie ogłoszone następne wezwanie do modłów, i w ten sposób taka modlitewna karuzela może trwać bez końca, całkowicie uniemożliwiając jej dotarcie do rybiej matki. Obmyśliła więc inny plan. Przywołała swojego wiernego towarzysza Napoleon Tu Był, skrzyżowała palce i zapytała:

— Czujesz, czy ten stuknięty dżin nie ma tu gdzieś *mutbak*, zwanego też kuchnią?

A pies wystawił w powietrze swój długo kształcony nos, pokręcił nim i rzeczywiście, już wiedzieli, dokąd iść.

Jest późne popołudnie z czerwonym, jakby napływającym z daleka, połyskliwym światłem. Ale przed drzwiami do biura Hana czekają jeszcze dwie studentki, obie młode, w krótkich spódniczkach, z plecakami i obgryzionymi ołówkami. Sirine siedzi obok nich i słucha głosów zza matowej szyby drzwi — jeden jest niski, powolny jak ciemna rzeka, drugi młodszy i łagodniejszy, roziskrzony kobiecym śmiechem, podzwaniający niby łyżeczka w szklance z herbatą. Cienie wodnistymi pasmami marszczą się na szybie. W końcu Han wystawia głowę, dostrzega Sirine i uśmiecha się.

— Skończę za parę minut... — Wskazuje na czekające studentki.

Staje w drzwiach, a kobieta, z którą rozmawiał, prześlizguje się obok niego — Sirine zauważa, że go lekko musnęła.

— Dziękuję, profesorze — mówi, opuszczając wzrok, z nikłym uśmiechem na ustach. To ta zawoalowana kobieta, ciasno zamotana pod brodą zasłona okala jej twarz, ale Sirine zastanawia się, czy ona nie jest umalowana szminką i kredką do oczu. Han woła kolejną studentkę i zamyka drzwi. Kobieta w chuście odwraca się, żeby odejść. Sirine próbuje sobie przypomnieć — czy to nie ona rzuciła w Aziza długopisem? — gdy kobieta obraca się i pyta:

— Ty chyba jesteś Sirine? Sirine prostuje się, zaskoczona.

— Czy my się znamy?

Oczy dziewczyny są czarne, z plamkami koloru wina, a rzęsy ma tak długie, że wyginają się w dół jak baldachim.

— Moja rodzina często chodziła coś zjeść w Nadia's Café, kiedy byłam dziewczynką. Uwielbiałam na ciebie patrzeć, jak pracowałaś w kuchni. To było lata temu, teraz tu studiuje — wyjaśnia. Skromny uśmiech. — A Hanif... to znaczy profesor... często o tobie wspominał.

— Hanif mówił coś o mnie?

— Och, nie na zajęciach. Prywatnie. — Teraz przykrywa uśmiech czubkami palców, jakby powiedziała za dużo. — To znaczy oczywiście w czasie godzin konsultacji. Mówi o tobie... bardzo ciepło. Wspomnił coś o tym, że chodzę w hidżabie — pokazuje na swoją chustę i czarny płaszcz — i zaczęliśmy o tym rozmawiać. W tym kraju tak niewiele z nas nosi zasłonę. I napomknął, że okazałaś pewne zainteresowanie islamem. Trudno powiedzieć, by Sirine się uśmiechała.

— Powiedział ci coś takiego? Prywatnie?

Studentka przysuwa krzesło i siada naprzeciwko Sirine. Twarz ma zrównoważoną, ale żarliwą.

— Jeżeli chciałabyś się dowiedzieć czegoś więcej, należę do takiej grupy... — Wrywa z notesu kawałek papieru i zaczyna na nim coś pisać. — Kobiety w Islamie. Spotykamy się raz w tygodniu. Proszę, przyjdź. Jeśli jesteś chociaż odrobinę zainteresowana. To bardzo ważne, żeby przychodziły kobiety takie jak ty, jesteś wzorem dla młodszych. — Sirine przypatruje się jej. Studentka ma twarz otwartą i wypolerowaną jak muszla. Sięga i bierze w palce chustę od Hana, którą Sirine owinęła sobie wokół szyi. — To wspaniałe. Te ściegi. Wyglądasz w niej tak... prawie jak Arabka. Jesteś Irakijką, prawda? — pyta.

O tym też Han jej musiał opowiedzieć, myśli Sirine.

— W połowie — odpowiada. — Po ojcu.

— Jak Han! — Kobieta łapie Sirine za rękę. — Chciałabym być Irakijką. Uwielbiam Irakijczyków. To najlepsi z Arabów. Bagdad jest matką całego arabskiego świata. W takim razie naprawdę musisz przyjść. W tę niedzielę po południu robimy spotkanie, masz wolne w pracy? Będę na ciebie czekać. — Wstaje, pospiesznie się pochyla i składa na policzku Sirine lekki pocałunek. Sirine czuje perfumy o zapachu jaśminu i goździka.

Kobieta znika za drzwiami, a Sirine siedzi z dłońmi na kolanach i z bijącym sercem.

Tego wieczoru, w łóżku, Sirine odsuwa się od Hana. Cienie ze skręcających samochodowych reflektorów pełzną przez sypialnię, tworzą niskie, czarne bruzdy, białą pianę fal.

— O co chodzi? — pyta Han, odgarniając jej za ucho zwisający lok.

— Chyba mam ochotę iść na to spotkanie — oświadcza Sirine. Wie, że wystawia go na próbę, chociaż sama nie jest pewna, jakiej odpowiedzi by oczekiwała. — To zebranie Kobiet w Islamie, o którym mi mówiła twoja studentka.

Han waha się, jakby rozbawiony. Czerń jego oczu miesza się z czernią rzęs podobnych do stopionej czekolady, z ciemnymi pochyleniami pod fałdkami skóry. Miękkie skrzydło zarostu pokrywa dół jego twarzy.

— No jasne, jeżeli masz ochotę.

— Wszystko ci jedno?

Nie od razu odpowiada, a im dłużej milczy, tym bardziej w niej narasta chęć, żeby tam iść. Han opiera się na łóżku, a Sirine ześlizguje się na niego. Wargi Hana są białe i miękkie, dłonie otwarte.

— Cóż, cokolwiek zrobisz, będzie dobrze. — Nabiera pełne garście jej włosów. — To mi się właśnie podoba w tym kraju — stwierdza. — Możesz robić, jak chcesz. Spotkanie to tylko spotkanie. Nie musi w tym być nic więcej.

Zebranie odbywa się w wielkim hotelu w centrum miasta. Sirine skręca, zgodnie ze wskazówkami recepcjonistki przemierza niekończące się, kręte korytarze. Wzdłuż nich przed każdą z sal wisi złota tabliczka z wypisaną nazwą: Santa Ana, San Gabriel, Sierra. Odnajduje salę Shasta na końcu korytarza i kiedy popycha ciężkie drzwi, wytryskają ściany obłożone białymi płytami i ozdobne kryształowe świeczniki. Ściany i dywan są w tym samym śmietankowo-białym kolorze, wyglądają, jakby płwiały od środka sali. Jest tu podium z kaskadą żółtych róż, a w środku przestronnego pomieszczenia stoi luźny krąg krzeseł i zebrało się może z siedemnaście albo osiemnaście kobiet. Kilka z nich spowijają zasłony i czarne, sięgające do podłogi kaftany. Reszta ma na sobie spodnie i rozpinane swetry, dzinsy i bluzki.

Dywan pod stopami Sirine ugina się gąbczasto, głosy kobiet wnikają w ściany, więc trudno cokolwiek wyraźnie dosłyszeć, póki się nie siądzie w kręgu krzeseł. Puls jej narasta, wypełnia uszy. Sirine żałuje, że nie przyprowadziła Mireille, żeby mieć jakieś wsparcie, ale kiedy ją zapraszała, Mireille odparła, że jest „przeciwko religii i kropka”. Sirine przyszła z myślą, że może się tu dowiedzieć czegoś ważnego o Hanie — tych fragmentów, o których on jej nie zdołał opowiedzieć. Ale im dłużej stoi w tej sali, tym bardziej niezręcznie się czuje. Przy-

pomina jej to konferencję, na którą kiedyś przygotowywała jedzenie — małą, agresywnie nątrętną grupę o nazwie Kobiety z Interesem. Zastanawia się, czy ktoś by zauważył, gdyby spróbowała się odwrócić i na palcach wyjść. Ale teraz wszystkie twarze zwracają się w jej stronę. Nigdzie nie widać studentki, która ją zaprosiła, i Sirine na chwilę zastyga, zastanawiając się, czy to nie jakieś tajne sprzysiężenie. Wtedy jedna z kobiet w czerni kiwa na nią i odzywa się:

— To nic takiego. Nie gryziemy.

Sirine sadowi się na brzeżku krzesła, w każdej chwili gotowa skoczyć na równe nogi. Kobiety wracają do przerwanej pogawędki. Jedna z nich rozwiązuje krzyżówkę. Inna, z włosami okrytymi czarną chustą, zaplata warkocze kolejnej, ubranej w puchaty różowy sweter. Kilka uśmiecha się do Sirine.

Kobieta w szarym, zrobionym na drutach kardiganie, z dwuogniskowymi okularami przyczepionymi do sznurka pereł wstaje i wita zabrane. Prosi, żeby wszystkie się krótko przedstawiły — Sirine zastanawia się, czy robią to ze względu na nią — a niektóre kobiety mamroczą tylko nieśmiało imię i narodowość. Jedna z nich mówi:

— Jestem żoną Hassana Almiry, a moje dzieci nazywają się Tonia i Tamim. — Aż ktoś jej przypomina, że należy podać własne imię.

Ale wiele wygłasza coś w rodzaju świadectwa czy prośby:

— Zażywałam narkotyki, bo próbowałam sobie oczyścić duszę, ale potem odnalazłam islam.

Albo:

— Modłę się, żeby dostać pracę i na nowo stanąć na nogach. Kiedy nadchodzi kolej na Sirine, serce jej zaczyna się tłuc, u w głowie czuje pustkę. Teraz wszyscy patrzą na nią.

— Sirine — udaje jej się wydusić. — Gotuję. Zakwefiona kobieta, która siedzi obok niej, dotyka jej ramienia i pochyla się.

— Nie wierzyłam, że naprawdę przyjdiesz — szepce.

Sirine obraca się — cała twarz kobiety jest zakryta, z wyjątkiem oczu, czarnych marmurowych kulek pod ciężkimi powiekami. Um-Nadia mawia o takich: oczy Kleopatry. Kobieta odsuwa zawój, osłaniający jej usta i nos, i Sirine rozpoznaje ładną studentkę z grupy, z którą Han prowadzi zajęcia.

— Nazywam się Rana — mówi do reszty grupy studentka. — Jak większość z was wie. Z Arabii Saudyjskiej. I nie mam męża ani żadnych dzieci, zgadza się?

Sekretarz grupy odczytała protokół, a teraz otwiera dyskusję nad tym, czy w miasteczku uniwersyteckim wezmą udział w proteście przeciwko okupacji Zachodniego Brzegu, czy podarują wypieki luterańskiej fundacji, czy pokażą się w wiadomościach lokalnej telewizji, żeby dyskutować o negatywnym obrazie Arabów w hollywoodzkich filmach.

Sirine przypatruje się twarzom otaczających ją kobiet — mniej więcej połowa, nawet te w czadorach, ma jasną skórę i niebieskie oczy. Niektóre noszą białe zawoje, inne czarne, a każda chusta jest związana czy zasupłana odrobinę inaczej — końce wsunięte z boku twarzy albo kunsztownie zarzucone na szyję, albo upięte pod brodą. Parę starszych kobiet ma obwiedzione tuszem oczy i usta pomalowane na jaskrawoczerwony kolor.

Nagle Rana pochyła się do przodu, opiera łokcie na kolanach i mówi, że ma coś ważnego do powiedzenia. Na kciuku nosi złoty pierścień z inskrypcją, przypominającą rzymskie cyfry. Sirine przygląda się, jak Rana obraca pierścionelek, mówiąc o wojnie w Zatoce Perskiej. Jej głos nabiera żarliwości:

— Całe dziewięć lat po wojnie... to całkowite zniszczenie irackiej ekonomii i narodu... kobiety i dzieci brane na cel... amerykańskie embargo... broń biologiczna, wyrzutnie raket, gaz porażający system nerwowy... — Sirine nie może się skupić, słowa docierają do niej urywkami, ale rozprasza ją głos Rany i przejęty wyraz jej twarzy. — Amerykańscy muzułmanie muszą zrobić wszystko, co tylko możliwe, żeby okazać wsparcie braciom i siostram w Iraku. Możemy urządzić demonstrację, napisać do Kongresu...

Dziewczyna w różowym swetrze strzela gumą do żucia i rytmicznie kiwa nogą. Kiedy Rana przemawia, kilka kobiet zapala papierosy. Prowadząca spogląda nerwowo i rozpedza dłońmi dym.

— Kto znowu uruchomi czujnik przeciwpożarowy — wtrąca — będzie musiał szukać następnego miejsca na spotkania.

Rana ciągnie oburzona, posyła zgromadzonym piorunujące spojrzenie. Jedna ze starszych kobiet wzdycha i krzyżuje ręce, odchylając się do tyłu.

— Przepraszam, Rana, ale czy ty musisz cały czas krzyczeć, ile sił w płucach? Przez takich ludzi jak ty Amerykanie myślą, że muzułmanie zawsze są wściekli. — Dorzuca coś po arabsku, więc kilka innych kobiet woła:

— Angielski, angielski! Rana wygląda na zdumioną.

— Jak możesz tak mówić, Suha? — oburza się. — Czy wiesz, co amerykańska rakietka robi z irackim czołgiem? — Podnosi rękę. — Amerykanie strzelali dalej, kiedy Irakijczycy się już poddali i wycofywali się.

Suha pociąga nosem.

— Ja nawet nie wiem, czemu się spodziewasz, że będziemy się znały na całej tej polityce — oświadcza. — My tylko chcemy być Amerykankami, jak wszyscy.

Rana wskazuje palcem na Suhę.

— Widzisz? Właśnie takie podejście tworzy problem. Chcesz wiedzieć, skąd się biorą terroryści? Z bierności, z ludzi o dobrych chęciach! Amerykanie chcą mieć wielkie auta, wielkie domy, nie obchodzi ich, co robi rząd, żeby im do tych aut wlewać tanią benzynę, żeby były te wszystkie duże, kosztowne rzeczy. Niech tak będzie, tylko się nie dziwcie, jak terroryzm dotrze aż tutaj.

— Jak możesz mówić takie rzeczy o własnym kraju? — z twarzą pociemniałą ze wzburzenia pyta Suha. Kilka innych kobiet przytakuje. — W końcu tutaj się urodziłaś.

— Jak ty możesz być tak obojętna na ludzkie życie? Mówimy o twoich braciach i siostrach.

Suha podnosi rękę i stwierdza:

— Moi bracia i siostry są u siebie, w hrabstwie Orange.

Po spotkaniu Rana obraca się w stronę Sirine, łapie ją za ręce. Dłonie Rany są ciepłe, z całego jej ciała promieniuje żar, a jasne oświetlenie wymywa z jej twarzy różowość. Olbrzymie oczy patrzą bez mrugnięcia.

— Sostro — mówi i nawet jej głos jest gorący. — Jesteś urodzoną muzułmanką, ja to widzę.

Sirine stoi bez ruchu, pozwala, by Rana zapalczywie ścisnęła jej dłonie. Trochę się jej obawia, ale też czuje się przez nią zainspirowana i nagle ma nieodpartą ochotę, żeby się jej zwierzyć, zadać pytania, które ją trapią.

— Zastanawiałam się — zaczyna ostrożnie, ale traci śmiałość, widząc, jak rozszerzają się oczy Rany. — To znaczy... no cóż, chciałam ci podziękować, że mnie zaprosiłaś.

Sirine uśmiecha się, ale Rana patrzy, jakby szacowała ją wzrokiem, z wyrazem lekkiej ironii.

— Mam nadzieję, że coś z tego wyniosłaś. Czasem nie jestem nawet pewna, czy chrześcijanin w ogóle może zrozumieć muzułmanina— mówi z namysłem. — Czy mogę spytać, jaką wyznajesz wiarę?

Sirine spogląda w dół, na swoje dłonie. Między palcami i pod paznokciami dostrzega cienką kreskę mąki. Wciska ręce do kieszeni.

— Właściwie to chyba żadną — odważa się odpowiedzieć. — To znaczy moi rodzice żadnej nie wyznawali, więc... — milknie. Ale obawia się, że w ten sposób rozczaruje Ranę, więc dodaje: — No, wierzę w różne rzeczy.

— Aha. — Rana nie wygląda na zachwyconą. — A to ciekawe.

Sirine wydaje się, że pod powierzchnią oczu Rany dostrzega odbijający się grot przebiegłości, która wprawia jej smukłą sylwetkę w falowanie podobne do tłumionego śmiechu. A jednak Sirine nie umie nie podziwiać jej intensywnej urody i żarliwego sposobu myślenia. Ma przy niej wrażenie, że jej własny umysł jest ciasny i słabo oświetlony.

W sali robi się chłodno, jakby zaczęła działać klimatyzacja. Sirine przesuwa dłońmi po pokrytych gęsią skórą ramionach.

— Zimno ci? — Rana zdejmuje z pleców szeroką bawełnianą chustę i otula ją. Sirine przypomina się chusta, którą dostała od Hana. Ta jest czarna, obramowana niebieskim haftem w kształcie płatków. Przez moment Sirine zastanawia się, czy Han podarował po jednej każdej z nich. Ale Rana pochyla się nad nią, namawia:

— Proszę. Zatrzymaj ją, proszę. Koniecznie.

Przez okno Sirine widzi gorący górski wiatr, który wzbija w powietrze piasek i kurz.

— Och, nie, nie, nie mogłabym — wymawia się.

Rana obejmuje ją, otulając Sirine tkaniną i całując w oba policzki, a potem szepce jej do ucha:

— Moja siostró.

Rozdział szesnasty

Niewiele osób wie, że wprawdzie dżiny nie mają salonów ani jadalni, ani pracowni, ani łazienek, ani nawet szczególnie wygodnych łóżek, lecz lubią mieć ładną kuchnię, żeby zaspokoić swoją słabość do łasuchowania, zaparzyć trochę kawy, zaprosić parę osób i tak dalej. *Mutbak* rzeczno dżina mieścił się za rozpadliną w wielkiej skalnej ścianie biegnącej wzdłuż brzegu jeziora i Napoleon Tu Był oraz ciotka Camille musieli się przeciskać jedno za drugim, żeby dostać się do środka. Kuchnia była tylko siedmioboczną marmurową komnatą z kopułastym sklepieniem wysokim na cztery metry, ze zrabowaną rzymską mozaiką uskrzydłonej antylopy, z pokrytym mchem głazem zamiast stołu, czterema krzesłami z patyków, maciupkim paleniskiem z wiecznym ogniem w skale, zimnym kątem i spiżarką, i z ogromną stertą kości, na które Camille wołała nie zwracać uwagi, ale które bardzo zainteresowały Napoleona Tu Był. Camille zajrzała do zimnego kąta i znalazła siedem myszy, dwie wiewiórki, palec krokodyla i parę szarych *wut-wut*, czyli nietoperzy. W spiżarce był dzban oliwy, kilka główek czosnku i cebuli, dojrzałe pomidory, pół cytryny, trochę daktyli, wielka głowa kapusty, garść ryżu, słoiki z kardamonem, herbatą, pieprzem, orkiszem, cukrem, kurkumą, solą, gałką muszkatołową, kozieradką, suszoną miętą, szafranem, cynamonem, lebiodką, sumakiem, soczewicą i sproszkowaną kawą. A za tym wszystkim Camille znalazła połyskliwego i spoconego, gładkiego i aksamitnego, czarnego jak onyks i tłustego jak niemowlę bakłażana.

Ciotka Camille uniosła go wysoko w powietrze w obu rękach, jak akuszerka podnosi noworodka, i rzekła:

— Oto odpowiedź na nasze modlitwy!

Po czym nastąpiło wydrążanie i zdrapywanie, krojenie i siekanie, nadziewanie i pieczenie. Tu zauważyła kilka rodzynek, tam parę orzeszków piniowych, podsmażyła w *alija*, tłuszczu z jagnięcego ogona. Musiała trochę poeksperymentować z ogniem w palenisku, ale nie minęło wiele czasu, a na kobaltowoniebieskim szklanym talerzu leżało wspaniałe danie — nadziewany bakłażan.

Aromat tej potrawy wypełnił kuchnię i otaczał ich, gdy ciotka Camille niosła bakłażana lasem do dżina, który przez cały ten czas ani na chwilę nie przerwał modłów. Ale gdy ciotka Camille była blisko, jego głowę okrążył gęsty, czosnkowy, maślany, orzechowy, oberżynowy aromat, tak że dżin poczuł, iż zmysły opuszczą za chwilę jego ciało. Zakołysał się na piętach, wyszedł ciotkę Camille z tym przysmakiem i nie zwlekając ani chwili, zagrzmiał:

— ROZKAZUJĘ CI DAĆ MI TEGO BAKŁAŻANA!

— Nie tak prędko — odparła ciotka Camille, chowając półmisek za plecami. — Nie chciałabym przeszkadzać pobożnemu dżinowi w modlitwie.

— Hmm, no tak — przyznał dżin, a po jego minie było widać, że jest głodny i że wpadł w pułapkę.

Nagle ciotka Camille spojrzała, jakby coś jej przyszło do głowy.

— Chyba że...

— Że...?

— Chyba że, oczywiście, należysz do tych, co uważają, że szacunek dla ciała i zaspokojenie zmysłów są pośród najlepszych sposobów, aby złożyć podziękowanie Bogu.

Dżin aż podskoczył z ulgi.

— A no właśnie! Dokładnie tak! — zawołał, jego język zaś rozwinął się, a palce wyprostowały w stronę bakłażana.

— A wiesz, co się mówi o tym rodzaju świętych mężów? — ciągnęła, wciąż ściskając talerz.

— No, nie, nie, właściwie to nie — odparł dżin, nie spuszczać oczu z bakłażana.

— Że tacy świątobliwi mężowie nigdy nie domagają się ceremonii i w żadnym razie nie żądają wcześniejszego umawiania się.

W tym momencie głód pokonał dżina — i jeśli kiedyś będziesz się zmagać z dżinem albo jakimś innym nieprzyjemnym strażnikiem, warto zapamiętać, że takich zawsze pokonuje głód. Dżin podskoczył i wykrzyknął:

— Wybacz mi, Matko Wszystkich Ryb! — I chwyciwszy półmisek, Tajemny Zaginiony Król Imperium Abbasydów, czyli Święty Mąż Bakłażana, pognał do czarnego lasu ze swoim nowym sposobem wyznawania wiary.

Sirine śledzi wiadomości z Kataru na ekranie umocowanego nad blatem telewizora. Mężczyzna i kobieta o poważnym wyglądzie siedzą przy biurku i czytają coś z przesłaniających ich kartek papieru. Za nimi małe, osobne obrazy: płonące szyby naftowe, zagłodzone niemowlę, ciężarówki ONZ, które przemierzają błotniste, pokryte koleinami ulice. Sirine zastanawia się, jak ktoś taki jak Rana może odnaleźć sens w tych opowieściach, które zdają się nie mieć ani początku, ani końca, ani granic, ześlizgują się jak wiadomości na ekranie, z Iraku do Bośni,

do Irlandii, do Palestyny. Ponura relacja napęła ją szybującym napięciem, lękiem przed światem, który rozciąga się poza Westwood Boulevard.

Studenci sączą się do restauracji, zajmują te same co zawsze krzesła przy tych samych stolikach. Przychodzą tak wcześnie — słońce wstaje teraz później — że na niebie rozciągają się jeszcze długie chmury podbite różowym tiulem. Powietrze pachnie ogniem i czekoladą, czarną herbatą i metaliczną wonią ziemi. Wszyscy noszą sterty podręczników, ale rozkładają gazety z kraju, wydrukowane na bladozielonym i żółtym papierze. Otwierają je z szelestem, zagłębiają się w strony, żółty papier migocze jak mały płomyk. Wiadomości z Algierii, Betlejem, Bagdadu. Czasem ich widywała w uniwersyteckiej bibliotece, kiedy w komputerach śledzili informacje w Internecie. Wie, że to rdzeń ich życia — wiadomości, raporty z rodzinnych miejsc, które musieli opuścić, przerażające rzeczy, które mogły się przydarzyć krewnym i przyjaciołom.

Młody student, siedzący przy barze, pionowo trzyma otwartą gazetę, tak że Sirine widzi zdjęcie na pierwszej stronie. Jest ziarniste, trochę rozmazane, jakby wzięło się z na wpół zapomnianego koszmaru: grupa postaci z workami na głowach. Przechylone karki. Sztywne palce u nóg. Ich stopy nie dotykają ziemi. Sirine zatrzymuje się, wpatruje w fotografię, przyciska ręce do fartucha, nie porusza się. Zimno przebiega środkiem jej piersi, żelazna łyżka dzwoni w pustym stalowym garnku. Prawie tak samo się czuła, gdy czytała list w mieszkaniu Hana. Student wreszcie opuszcza gazetę, spogląda ponad nią. Delikatne, wysokie kości policzkowe. Okulary rozbłyskują bielą na tle jego skóry. Wygląda trochę znajomo, widywała go już wcześniej w restauracji, jest za młody na studiowanie. Patrzy na nią.

— Co to jest? — niepewnie pyta Sirine, wskazując na zdjęcie. — Co tam się dzieje?

Student na wpół wzrusza ramionami. Jest tak chudy, że przez cienką koszulkę widać kość ramienia.

— To tylko Saddam Husajn. Tak, dla przykładu. On twierdzi, że ci ludzie byli w zмовie z Amerykanami, żeby obalić rząd. — Jego głos jest żałobny i zbyt ironiczny, jak na tak młodą twarz.

— A byli?

Student popycha palcem okulary. Sirine nie widzi wyraźnie jego oczu. I nie wie, z jakiego on jest kraju.

— Może i tak. A może chodziło o coś innego. On ma tyle powodów, przychodzą mu do głowy, wymyśla je, kiedy zechce. — Student jeszcze raz zerka na fotografię i wzrusza ramionami. — To nic szczególnego.

— Nic szczególnego?

Jeszcze raz szturcha okulary, lecz tym razem przygląda się jej z bliska i bardzo dokładnie.

— A co ci to przeszkadza? — pyta w końcu.

Sirine jest zaskoczona, bezwiednie przykładła rękę do piersi.

— Oczywiście, że mi to przeszkadza. Czemu tak mówisz? Student jeszcze raz otwiera gazetę, składa ją tak, że Sirine nie widzi pierwszej strony.

— Jesteś Amerykanką — odpowiada.

Później, w czasie przerwy, Sirine przegląda pierwsze strony amerykańskich dzienników na ulicznym stoisku: „Los Angeles Times”, „New York Times”, „Washington Post”. Nie ma zdjęcia. Dzisiaj żadnych wzmianek o Iraku. Ani słowa.

Tego wieczoru Sirine wychodzi z pracy wcześniej, kiedy tylko kończy się największy ruch w porze kolacji, a niebo dopiero zaczyna ciemnieć. Pedałuje przez Westwood Village, skrajem miasteczka uniwersyteckiego, w mrowisko domów studenckich, stowarzyszeń i bloków. Ma jedynie adres, pospiesznie zapisany na skrawku papieru. Po drodze musi pytać kilka osób, jak jechać dalej. Kiedy tylko oddala się od nabrzeża ulicznych latarni, zapada zupełna noc z ciemnością tak gęstą, że gwiazdy wyskakują wprost na nią. Niebo komplikują lśniące planety i łatwe do rozpoznania gwiazdozbiory, Byk, Plejady, które stryj pokazywał jej z dachu, gdy czekali, aż rodzice wrócą do domu. Zatrzymuje się i niemal widzi nakrapiane światło zza gwiazd — nie księżyc, tylko następny wymiar gwiazd za gwiazdami, warstwy jak kolejne pomieszczenia, na które otwiera się ciemny pokój.

Jeszcze raz sprawdza adres w błękitnym świetle, płynącym na chodnik z telewizora w czyimś salonie. Skręca i uświadamia sobie, że to ta ulica. Adres wiedzie do szopy, wtulonej między dwa stateczne bloki, dwu- i trzypiętrowy. Tekturowe, pokryte pleśnią ściany gniją, a część konstrukcji tworzą niepasujące do siebie płyty dykty. Na trawniku rozpełzły się chaszcze chwastów i nawet dwa drzewa bananowe wyglądają krzywo i karłowato, ich szerokie liście są spękane i zwijają się brązowo. Nad zapadnięty dach opada trzeszczący przewód elektryczny. Nie ma numeru domu, a wewnątrz nie widać żadnych świateł — chyba nikt tutaj nie mieszka.

Sirine zsiada z roweru i ostrożnie wchodzi na ganek. W powietrzu wisi nieznanym, gryzący zapach. Wpatruje się w drzwi, przekrzywione we framudze, i postanawia zrezygnować z tego idiotycznego pomysłu, obrócić się na pięcie i jechać do domu. Właśnie wsuwa złożony adres do kieszeni i wraca na ulicę, gdy słyszy, jak drzwi za nią się otwierają. Odwraca się i widzi stojącego w nich Nathana.

— O mój Boże, Sirine — mówi on. — Właśnie mi się zdawało, że słyszę coś na zewnątrz. — Opuszcza ręce wzdłuż boków i uśmiecha się. — Wchodź.

— Cześć. Ja... — Potyka się, niepewna, czy w ogóle była zaproszona. — Zobaczyłam dzisiaj zdjęcia... były w gazecie... nie wiem, zaczęłam myśleć o tobie... i...

— Proszę, proszę. — Nathan zachęcająco wyciąga rękę i Sirine mija przekrzywione drzwi. — Wybacz. Tyle czasu spędzam w ciemni, że gubię dzień i noc. Dla mnie ich już po prostu nie ma. Przyzwyczailem się żyć, nie włączając światła. — Naciska przełącznik, to raczej nocna lampka, niż normalna lampa, rzuca tylko tyle światła, by Sirine mogła odróżnić kształty: puste kubki, pudełka, puszki, najróżniejsze rupiecie, którymi są zastawione zbyt duże meble. — Chodź, tędy. — Prowadzi ją przez pokój, a Sirine idzie za nim, zderzając się z nierozpoznawalnymi przedmiotami. — Wybacz, proszę, ten... — Kopniakiem odrzuca coś z drogi. — Prawie nie miewam gości. — Otwiera drzwi z tyłu.

Tutaj zapach jest najsilniejszy, metaliczny, cierpki i kwaśny, niemal kręci się od niego w głowie. Pokój jest skąpany w proszku czerwono-brązowego światła, a kolejne na wpół widoczne przedmioty wynurzają się z ciemności i wiszą u sufitu.

— Witam w mojej norze nietoperza.

Jest tu dużo sprzętów, składane metalowe krzesło, długi stół zastawiony kuwetami pełnymi rozpuszczalnikami, leży sterta negatywów, które Nathan rozcinał.

— To tutaj pracujesz? — Czuje się zawstydzona. Oboje mówią zniżonym, ostrożnym głosem, jakby ktoś spał obok.

Nathan unosi negatywy, podchodzi do kuwet.

— Właśnie robiłem odbitki. Widzisz: to jest wywoływacz, a to jest utrwalacz, a... — Czerwone światło zniekształca wyraz jego twarzy. Trzyma parę srebrnych szczypiec. — Chcesz zobaczyć? — Zsuwa papier na kuwetę, lekko nim porusza, chichocze. — Naprawdę nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Poważnie, mnie nikt nigdy nie odwiedza. — Urywa, potem pyta: — Wspominałaś Hanowi, że tu przyjdiesz?

Sirine uśmiecha się łobuzersko.

— Nie. Ale myślę, że nie szkodzi. — Podnosi kanister, odstawia go z powrotem.

Pokój jest zagracony i Nathan instynktownie się pochyla, przechodząc od kuwety do kuwety. Mówi do niej:

— Popatrz. — Wkłada do kuwety papier, i po paru chwilach Sirine dostrzega niezwykłe kształty, pojawiające się na kartkach w plastikowej wanience. Próbuje się przyjrzeć: kobiece włosy, twarz i białe jak pierze ramię, załamujące się pod kątem prostym, płyną po powierzchni papieru. Nogi są dziwnie zgięte, stopy połączone — rybi ogon? Nathan rzuca fotografię na następną tacę, pochyla się nad kuwetami.

Z chemicznej kąpieli wyłaniają się kolejne egzotyczne obrazy: roześmiani ludzie, skraj białych zębów w ciemnych twarzach. Wyglądają jak stworzenia z innej planety.

— Czego to są zdjęcia?

— Och, właściwie nigdy nie wiem. — Podnosi kolejny negatyw. — Kiedyś dawałem na wszystko nalepki, pisałem na filmie daty i miałem porządek. A potem odkryłem, że lepiej zapamiętać, co fotografowałem, i pozwolić, żeby wróciło w nowej formie. Żeby naprawdę zobaczyć obrazy. — Pochyla się nad kuwetami z takim skupieniem, iż Sirine wyczuwa, że nie jest już świadom jej obecności. Nathan oddycha głęboko, bez skrępowania, z cienkim świstem krzyżącego ptaka. Sirine wpatruje się w jego profil — włosy wyglądają, jakby je obcinał kuchennymi nożycami albo nożem, wąska szczeka zaciska się i rozluźnia.

— Co to jest? — Sirine wskazuje na urządzenie z guzikami, przypominającymi pokrętła do nastawiania pieca. Dotyka go, a palące się u sufitu czerwone światło gaśnie, zrzucając pokój w pozbawioną wymiarów ciemność. Sirine chwyta skraj stołu. — Och!

— To minutnik. — Czerwone światło znowu się zapala. Nathan kładzie rękę na jej przedramieniu. Szare oczy ducha, same źrenice. — Dobrze się czujesz?

— Świetnie. — Sirine śmieje się słabo.

— Na pewno? — Nathan patrzy na nią z ukosa. — Nie wyglądasz, jakbyś się świetnie czuła.

Sirine siada na składanym metalowym krześle obok stołu i zastanawia się, czy nie zaczęło jej się kręcić w głowie od oparów. Zamyka oczy, otwiera, jego twarz wyłania się tuż obok. Przez chwilę wydaje się, że Nathan chciałby ją pocałować, ale on prostuje się i obraca.

— Przynieść ci trochę wody?

Sirine przypatruje się jego plecom. Chciałaby rozgryźć Nathana. To jak łaskotanie tuż pod jej skórą. Wydaje się, że on czegoś od niej chce, ale nie tego, czego zazwyczaj chcą męż-

czyżni. To raczej jakieś niemożliwe, nieskończone pragnienie, jedno z tych, których nie sposób zaspokoić. Sirine zauważa delikatny skos odkrytego karku, różowe obrzeża uszu, tył wystrzyżonej głowy i czuje, że on czeka na jakieś usprawiedliwienie, odpuszczenie.

— Nathan — zaczyna mówić powoli — jak długo mieszkałeś w Iraku?

Nathan z powrotem się odwraca, widać, że nie spodziewał się tego pytania.

— Po prostu... tyle o tym wiesz — dodaje Sirine. — Widzę, że Han jest naprawdę szczęśliwy, kiedy może o tym z tobą porozmawiać.

— Tak uważasz? — Podnosi parę szczypiec, obraca je. — Wiesz, nie wolno mi było tam jechać.

— Nie wolno ci było?

— Obowiązuje zakaz handlu z Irakiem. Ale ja pojechałem z przyjacielem, który pracuje w organizacji humanitarnej, przemyca jedzenie i przybory szkolne dla dzieci. Kompletnie niedozwolone przez nasz rząd. Kiedy byłem w Bagdadzie, podszedł do mnie Amerykanin w garniturze i powiedział, że mogę wybrać: albo opuszczę kraj, albo dam mu moje zdjęcia.

— Och. — Sirine czuje, jak oczy się jej rozszerzają. Słyszała wcześniej od studentów podobne opowieści o wzywaniu na przesłuchanie, o CIA, FBI, niewidzialnych mężczyznach, którzy mogą zrobić, co chcą, z kim tylko zechcą. — I co postanowiłeś?

Nathan robi bolesny grymas.

— Byłem zakochany. Nie mogłem wyjechać.

— Och. — Sirine mruga, oddech utkwił jej w gardle jak czkawka. — Co było na tych fotografiach?

Nathan potrząsa głową, usta ma zaciśnięte i ponure. Potem odpowiada:

— Tylko ludzie. Nic ważnego. Nie sądziłem, że tam było coś istotnego. Ten człowiek powiedział, żebym napisał raport o moich doświadczeniach, a ja odmówiłem. Nie dałbym mu żadnych nazwisk ani podobnych informacji. Zebrałem się, zostawiłem mieszkanie w mieście i zatrzymałem się u rodziny kobiety, którą kochałem. Spałem na polu przed ich domem. Wiedziałem, że ten facet w żaden sposób mnie tam nie odnajdzie.

— Czy ona była na którymś z tych zdjęć, które mu dałeś? Ta kobieta?

Nathan wpatruje się w srebrne szczypce.

— Na wielu. — Odwraca się, zanurza szczypce w jednej z kuwet. Sirine patrzy na wylaniające się z wanienki obrazy: kosy, nagie drzewa podobne do ołówkowych szkiców, rozma-

wiający ludzie, ale w każdym z nich jest coś dziwnego, mężczyzna wydaje się mieć u ręki zbyt dużo palców, ze środka jeleniej głowy wystaje pojedynczy róg.

— Czy coś... czy coś się stało?

Nathan potrząsa głową, grzechocze szczypcami w kuwecie.

— Za dużo by tłumaczyć. Prawdę mówiąc... trudno mi o tym myśleć, to stare dzieje. To się wydarzyło lata temu. I tak już za dużo powiedziałem.

Sirine czeka z nadzieją, że będzie mówił dalej. Nathan milczy, więc ona wreszcie łagodnie pyta:

— Masz jej zdjęcia?

Dziecko z włosami jakby wysmarowanymi smołą i zaczesanymi do tyłu. Kobieta ze smolistymi oczyma — to głębokie jamy wypełnione płynem.

— Nie mogę żadnych znaleźć — odpowiada Nathan. Potem z błagalnym wyrazem twarzy podnosi wzrok na Sirine. — Proszę, nie wspominaj o tym Hanowi. O tym mężczyźnie i zdjęciach, i w ogóle o tym wszystkim. Nie miałem wyboru — mówi żarliwie. — Nie mogłem jej zostawić i nie mogłem jej zabrać z sobą. Nie wiedziałem, co robić, byłem zrozpaczony. Proszę, nie mów Hanowi, proszę, on by chyba tego nie rozumiał.

— Jestem pewna, że Han by...

— Proszę, obiecaj mi. Sirine przytakuje.

— Dobrze, w porządku, naprawdę. Nikomu nic nie powiem.

Nathan potrząsa głową.

— Gnojek jestem, że ci tego naopowiadałem. Zawsze gadam za dużo, chociaż nie chcę i nawet o tym nie wiem, a potem mija dzień albo dwa i zaczynam rozumieć, że wychodzę na wariata. Ludzie na pewno myślą, że jestem obłąkany.

— Naprawdę, to jest... Przerzywa jej:

— A w ogóle to dlaczego ludzie cały czas muszą o wszystkim rozmawiać? Gadanie, gadanie, gadanie. Dlaczego nie możemy pozwolić, żeby rzeczy się po prostu działy? Jeżeli o mnie chodzi, nic więcej mi nie potrzeba. — Wskazuje na odbitki. — To widzę i to mi wystarczy. Czemu ludzie muszą kopać przy brzegach i wydrapywać słowa i rzeczy, próbować się do czegoś dostać? Tam nic nie ma. Przynajmniej nic, co by chcieli wiedzieć. Ja wiem dosyć o tym, co we mnie jest, i to mi starczy.

— Czy nie czujesz się trochę... samotny? — szepce Sirine. Rozgląda się po pokoju. Ma wrażenie, że spod warstwy chemikaliów wyczuwa zapach jego oddechu albo ciała, jakby za-

tęchły sezam i spalony cukier. A jego głos, tak nisko modulowany, drży w jej uchu jak odgłos muszli z morskiej głębi. Nagle czuje, że zbyt wiele tu bliskości, nie chce zostać dłużej. Ale Nathan unosi kolejną fotografię, mówiąc:

— To jakby dokładnie widzieć, gdzie jest ich dusza. Wsunęta gdzieś w ich wnętrze.

Sirine spogląda na obraz: mężczyzna o ciemnej skórze siedzi na krześle przed drzwiami do biura. Nogi ma skrzyżowane, a głowę lekko obróconą, cała sylwetka i pochylenie ramion wdzięcznie przechylają się w delikatny, kaligraficzny łuk. Na twarzy ma tęsknotę i żal, jakby tuż przed zrobieniem zdjęcia właśnie przestał płakać.

— Jakie to smutne — cicho mówi Sirine. Czuje, jakby serce unosiło jej się w piersi. To taki dziwny, poruszający widok. — Kim jest ten mężczyzna?

Nathan zaczyna chichotać, przestaje i spogląda na nią. Po chwili mówi:

— No, przecież to Han.

Sirine czeka w drzwiach Nathana. W świetle półokrągłego księżyca patrzy ponad zaniebanym trawnikiem. Widzi wiszące wśród liści gruszki czerwone jak róże, ćmy o miękkich skrzydłach, siarkowe i turkusowe, przefruujące obok. Czuje zapach liści cytryny, mirtu i jagód, które się prażą w tę gorącą noc. Późna ciemność zmiękcza dom i podwórze, sprawia, że wyglądają oryginalnie i romantycznie.

— Proszę bardzo! — Nathan wraca do pokoju od frontu, trzyma zdjęcie otoczone ramką z białego matowego kartonu. — Chciałem je najpierw zawinać, ale... — Wsuwa je w ręce Sirine, jakby to była tajemnica, którą dzieli. — Dziękuję, że tu przyszedłaś. I że pozwoliłaś mi mówić o... no wiesz, o tym wszystkim. To dla mnie dużo znaczyło.

Sirine bierze fotografię, nie patrząc na nią, i przystaje na chwilę. Pociera palcami skraj matowej tekturki, podnosi wzrok.

— Nathan, co by się stało, gdyby Han wrócił do Iraku? Nathan lekko obraca głowę.

— Czemu? Czy on powiedział...

— Nie, och, nie, tylko się zastanawiam, wiesz, co by się stało, gdyby to zrobił.

— Myślę, że nigdy więcej byśmy go nie zobaczyli.

Sirine jeszcze na chwilę przytrzymuje jego spojrzenie, potem się cofa i zerka na zdjęcie: niewyraźne pasmo aut, w rogu chłopiec z rozmazanymi ustami — mają kolor wiśni, Sirine dostrzega to nawet na czarno-białej fotografii, dłoni wyciągająca go z kadru, sklepowa wywieszka z pochyłymi arabskimi literami. To scena uliczna, sklepy między Nadia's Café i rzeźnikiem, a

w środku stoi Sirine z twarzą jak pytanie, zaś jej białe niby pochodnia włosy odfruwają od niej gdzieś daleko.

Rozdział siedemnasty

Więc gdzieśmy to byli? Czekaliśmy z ciotką Camille na brzegu jeziora Tanganika w nadziei, że spotka się z nią Matka Wszystkich Ryb. Tanganika to szalona, wijąca się, dzika woda, jezioro, które zmienia się w rzekę Nil, pełne wodnych stworów najprzeróżniejszego rodzaju. Były tam Wielkie Oczy i Żółte Płetwy, Wirujące Latarenki i Grube Pyski. Ryby z pomarszczonym czołem i grubymi paluchami, podobne do rozgniewanych księgowych, ryby z uśmiechem, knujące jak studenci, ryby ze wstęgami niby włosy i zwisającymi płetwami przypominającymi nogi i z głupkowatymi, piegawatymi twarzami, jak u dzieci pod drugiej stronie ulicy.

A tymi wszystkimi rybimi dziećmi w głębokiej, szafirowo-niebieskiej wodzie zajmowała się stara, stara, stara, stara, stara, stara matka. I kochała wszystkie swoje ryby, nawet te, które wyglądały jak tępe dzieci sąsiadów, bo takie są matki. Zupełnie pozbawione obiektywizmu. Nawet jeśli twierdzą, że są bezstronne, nie należy im wierzyć.

I może cię to zdziwi, ale Matka Wszystkich Ryb była drobną, zmęczoną, wysuszoną sardynecką z małym płaskim nosem, w spłowiałej sukience i w malutkiej chustce zawiązanej pod brodą, jakby wszystkie rosyjskie, greckie, włoskie i arabskie starsze panie właśnie od niej zapożyczyły koncepcję stroju. Jej strażnik, dżin o kakaowej skórze, opuścił ją za dokładnie jednego nadziewanego bakłażana, więc nie pozostało jej nic innego, jak ulitować się nad cudziemską podróżniczką, która zagubiona chodziła wzdłuż brzegu, i zachować się tak, jak okoliczności wymagały. Wystawiła filigranowy rybi nosek i spytała:

— Co znowu? Jestem Matką Wszystkich Ryb. Co one tym razem zmalowały?

Ciotka Camille usadowiła się na samym brzegu jeziora, załamała ręce i najśłodszym, najpiękniejszym głosem powiedziała:

— Och, droga matko! Ja także jestem matką. Być może słyszałaś o moim synu. Na imię ma Abdelraman Saladyn...

I nagle matki robaków i żab i wydr i wszystkich istot z jeziora, pospołu z Matką Wszystkich Ryb, wywróciły oczy, potrząsnęły głowami i teatralnie westchnęły.

— Abdelraman Saladyn... To zabawne — stwierdziła Matka Wszystkich Ryb — ale jakoś trudno sobie wyobrazić, że taki chłopak w ogóle może mieć matkę.

— Wiem — odparła ciotka Camille. — To nieznośny chłopiec, chociaż próbowałam go porządnie wychować i nauczyć, czego trzeba, ale on dalej jest nieznośny. A ja, nie wiadomo dlaczego, kocham tego najgorszego najbardziej.

I znowu wszystkie matki istot z jeziora chórem westchnęły, bo same wiedziały, jak to jest.

— Tak czy inaczej — ciągnęła ciotka Camille — to fakt, że musiałam zepsuć tego chłopaka. Mówiłam mu nie raz, ale tysiąc razy: koniec z udawaniem, że się topisz! Ale czy on mnie posłuchał? Nie! Obracał się na pięcie i robił dokładnie na odwrót. Pięknie. Nieważne. Problem jest taki, że stało się dokładnie to, co mu przepowiadałam. Tyle razy udawał utonięcie, że zapomniał, jak się pływa. Nie wraca już całe miesiące... może lata, straciłam rachubę. Droga rybia matko — błagała Camille — jesteś moją jedyną nadzieją. Zwracam się do ciebie jak matka do matki, czy możesz mi wyjawić, co się przytrafiło mojemu najmłodszemu, ulubionemu synowi, Abdelramanowi Saladynowi?

Matka Wszystkich Ryb zamyśliła się na chwilę, w zadumie wydmuchując bąbelki, a potem znowu się wychyliła i rzekła:

— No cóż, to wbrew protokołowi, ale odpowiem ci przez wzgląd na solidarność wszystkich matek. Wiem, jak to jest utracić syna. Niezliczone dzieci postradałam w sieciach i na haczyku, w czas suszy i głodu, a matka każdą taką stratę czuje tak boleśnie, jakby to było jedyne dziecko, jakie ma na świecie! Rzeczywiście wiem, co się przydarzyło Abdelramanowi Saladynowi. Uwiodła go jedna z wielu naszych morskich czarodziejek. Zwą je ifritami albo syrenami, albo selkiami, albo morskimi pannami. Ta właśnie niepocziwa syrena, Alif, zabawia się w udawanie zrozpaczonej wdowy, która szuka zaginionego męża. Wywabia niewinnych Beduinów w ocean albo do innych miejsc, gdzie nie powinni się znaleźć.

— Ifrit! — wykrzyknęła ciotka Camille, a drzenie przebiegło ją do szpiku kości. Sytuacja była poważniejsza, niż jej się dotąd wydawało.

Światło, które wzbogaca teraz dni, zdaje się wypływać z zachodzącego słońca — to ostatnie, potężne tchnienie przed długą nocą. Wszystko wygląda żywo i barwnie. Dziękczynienie to pierwsze z samotnych studenckich świąt. Nadia's Café będzie zamknięta, a zawsze znajdzie się paru cudzoziemskich studentów, którzy zapomnieli albo po prostu nie wiedzą, co to za

dzień, podchodzą do wejścia, ciągną klamkę, zaglądną w ciemne okno. Potem dostrzegają w drzwiach wywieszkę, wypisaną po angielsku i po arabsku, zauważają przydymiony spokój ulic, pozbawione blasku witryny, stukanie ulicznych świateł nad Westwood Boulevard, i wracają do domu dwa razy bardziej samotni.

Sirine i jej stryj starają się zapraszać do siebie wszystkich, którzy potrzebują miejsca, gdzie mogliby usiąść, kęsa jedzenia i rozmowy. Sirine ogłasza w pracy, że tym razem Dziękczynienie będzie po arabsku, z ryżem, orzeszkami piniowymi i indykiem nadziewanym mieloną jagnięciną, a nie kukurydzianym chlebem, i z jogurtowym sosem zamiast żurawin. Mireille jest urażona — mówi, że nie lubi jogurtu, na co Sirine pyta z rozdrażnieniem, czemu raz nie można zrobić czegoś inaczej. A Um-Nadia uspokaja, nie przejmujcie się dziewczyny, mówi, możemy przygotować nadzienie z ryżu, a puszkę czerwonego sosu żurawinowego sama przyniosę.

— Zaczę robić jakieś pięćset przysiadów dziennie — deklaruje Mireille, sprawdzając talię swoich czarnych dżinsów. — Mam zamiar zgubić parę kilo na cześć Dziękczynienia.

Dawniej Sirine przez parę tygodni byłaby zaabsorbowana planowaniem, co ugotować na Święto Dziękczynienia. To było ulubione święto jej matki i tradycyjne amerykańskie potrawy zawsze przypominają Sirine o niej, o jesiennym cieple ich stołu. To jedno z jej najwcześniejszych i najlepszych wspomnień. Ale teraz wszystko się zmieniło. Han opanował jej myśli. W splocie rzeczy, w wodzie płynącej z kranu i w warkocie silników i w podwórkowym ptasim ogrodzie słyszy jego głos.

Razem spędzają noce i Sirine dowiaduje się, jak Han sypia. Odkrywa, że dręczą go koszmary, sny wprawiające w takie drżenie, że kopie kołdrę albo krzyczy tak głośno, że Sirine budzi się przerażona, z bijącym sercem. Kiedy próbuje go obudzić, Han patrzy, nie poznając jej albo wypowiada kilka niezrozumiałych słów, po czym znowu zapada w sen. Sirine sądzi, że może gdyby więcej rozmawiali o Iraku, nie miałby tylu koszmarów, że pewnie w rozmowie mógłby się od tego uwolnić. Ale nie mówi tego Hanowi, leży tylko bezsennie i przygląda mu się. Czasem Han sypia źle, przewraca się z boku na bok i budzi, a Sirine o północy otwiera oczy w pustym łóżku i słyszy, że on snuje się po ciemnym mieszkaniu, od jednego okna do drugiego.

Pewnej nocy Sirine budzi się, na palcach podchodzi do drzwi sypialni i przygląda się, jak Han siedzi przy oknie. Ma zmarszczone czoło, patrzy gdzieś daleko, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Twarz mu błyszczący, plama światła pada od okna na czarnoniebieskie włosy.

Miejska noc zdaje się zniżać, światło nabiera blasku, wzmacnia się, zbyt jasne. Na niebie widać smugi, jakby zasłony deszczu wisiały nad odległym miastem.

Za bardzo ich ciśnie Nadia's Café, szklany słój, gdzie wszyscy przypatrują się i przysłuchują. W wolne dni Han i Sirine jadą więc na wschód Wilshire, albo na północ lub południe Westwood, zwiedzają niezliczone miejskie ulice albo szperają w nieznanym dzielnicach, lub odkrywają odległe przedmieścia i sąsiednie miasteczka: Pasadenę, Coronę, Malibu, a wszystko, co widzą, wydaje im się nowe. Wysokie apartamentowce, biura ze szklanymi ścianami, balkony i przesuwane drzwi wychylają się ku nim, a oni zagląдают przez ścianki, chroniące przed wiatrem. Oddalają się od stiukowych ścian i czerwonej dachówki zachodniego Los Angeles, jadą do centrum. Przyglądają się, jak bankierzy i sekretarki sączą się późnym popołudniem, aż nie zostaje nic prócz długich niebieskich cieni i pustych korytarzy. Albo ruszają do odzieżowej dzielnicy, wzdłuż ulic wypełnionych kramami pełnymi ubrań i zabawek, i sznurów chilli, i zielonych łuków bananów, do miejsc, o których Han mówi, że przypominają mu Kair. Sirine kupuje słodkie, twarde meksykańskie cukierki, pastelowe koreańskie słodycze, chrząszczące płaty herbacianych liści, trawkę cytrynową, liście kaffir, chińskie zioła i proszki, japońskie pasty i maści. Próbuje wszystkiego, co jadalne, bada nowe smaki, chce się przekonać, czy nią wstrząsną, a za każdym razem, gdy czegoś smakuje, dowiaduje się więcej o równowadze i kompozycji, o dodawaniu i odejmowaniu. Han przygląda się, wzrokiem bada dziwne pokarmy. Kiedy Sirine mu je podaje, on zamyka oczy i potrząsa głową.

Odwiedzają na wpół opustoszałe zoo w miejskim parku, przypatrują się szkieletom starych klatek, żdźbłom słomy, duchom zapomnianych zwierząt. Przechadzają się wzdłuż Melrose, Sunset, Rodeo Drive, zerkając na połyskliwe witryny jubilerów i sklepów z odzieżą. Han chce kupować Sirine prezenty, ale ona nie zgadza się nawet wejść do środka — źle się czuje w pustych, luksusowych pomieszczeniach. Wędrują wzdłuż ulic w kolorze granitu, ze śmieciami wirującymi w powietrzu jak popiół, a potem uświadamiają sobie, że idą po wytartych gwiazdach, schodzonych nazwiskach, odciskach dłoni w cemencie.

Sirine wypytuje Hana. Pyta go o rodziców, o wspomnienia ze szkoły, o przyjaciół. On rzuca ułamki szczegółów, fragmenty wspomnień — wapienne drogi w rodzinnej wiosce, zielona niby mech oliwa na ich kuchennym stole, czarny jak węgiel sokół, który nawiedzał drzewo obok domu. Mówi jej o chodzeniu na pustynię, która zaczynała się zaledwie parę mil od go-

spodarstwa stryja — ta sama pustynia, którą miał przejść później, uciekając z Bagdadu, pocięte wiatrem mile gorącego, gęstego piasku, a nad głową ogromna mapa chmur.

Pewnego dnia w połowie listopada, gdy spotykają się już prawie od trzech miesięcy, siedzą na trawie przed wielkim gmachem Wydziału Językoznawstwa, gdzie uczy Han. Rozmawiają, zadowoleni z pogodnego dnia. I wtedy Han mówi Sirine:

— Nie jestem pewien, czy to się naprawdę wydarzyło, czy tylko tak wszystko zapamiętałem. Może chcę to tak pamiętać. Wydaje mi się, że życie było nieskończenie prostsze, łatwiejsze, jak powolny, równomierny, trwający cały dzień ruch. Pracowaliśmy, jedliśmy, rozmawialiśmy. Robiliśmy drobne rzeczy, żeby się rozerwać. Moja matka i kobiety z sąsiedztwa handlowały między sobą tym, czego potrzebowały, nićmi i guzikami, jajkami, oliwkami, żarówkami, kurczakami. Matka sprzedawała swoje hafty. I uczyła czytać i pisać w zamian za jedzenie i ubrania, czasami za owce. Kiedyś ktoś jej dał starą kamienną tabliczkę. Mówiła, że jest starożytna, że została zapisana ugaryckim pismem, które się uważa za najstarszy znany alfabet. Mawiała, że nasza rodzina miała zamek w Babilonie, wykładany mozaikami zwierząt, które zmieniają się w ludzi, ludzi z rogami i skrzydłami, że były tam komnaty bez sufitu, z posadzką z wody. I że w kamieniu wtarto zapach pachnącego nocą jaśminu. — Uśmiecha się. — Takie rodzinne podania.

Niebo jest szklście turkusowe, tak ciepłe, że Sirine czuje się jak ukołysana do snu. Odchyła się, opiera na łokciach i pozwala szyi wygiąć się do tyłu, by spijała światło. Jest niedziela, więc w miasteczku uniwersyteckim panuje spokój, przyciszone głosy brzmią w powietrzu jak w kaplicy. Przez przymknięte powieki spogląda w stronę Hana i widzi, że jego oczy są zamknięte, a twarz wykrzywia mu smutek.

— Han, co się stało? — pyta wystraszona. To ten wyraz twarzy, zaczyna go już rozpoznawać. Wyraz twarzy z jego bezsennych nocy.

Han odwraca się od niej, przez chwilę nie odpowiada. Potem wzdycha i mówi:

— To powietrze i to światło...

Sirine patrzy na niebo przez zmrużone oczy.

— Przez chwilę... tylko przez chwilę... nie pamiętałem, gdzie jestem. Zapomniałem, że to Ameryka. Byłem na brzegu Tygrysu. Widziałem słońce pod powiekami. Siostra miała mnie zawołać na posiłek. Jakby to światło się we mnie wdarło i sprowadziło mnie z powrotem, a później musiałem tu wrócić.

Sirine kiwa głową, ale gardło ją piecze. Przybliżyła twarz do jego twarzy, zarzuca nogę na jego nogę, jakby mogła wcisnąć się w niego i siebie razem z nim w tę ziemię, w to miejsce i chwilę, sprawić, żeby oboje pozostali tutaj, zdrowi i cali.

— Nie rozumiem tego — mówi Han. — Nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Może... to jest trochę jak... trochę jak śmierć — ostrożnie odzywa się Sirine. Nie jest pewna, jak wyrazić to, co chce powiedzieć. Ciągnie powoli, szukając drogi między myślami. — Kiedy jesteś żywy, to nie masz żadnego sposobu, żeby pojąć śmierć. To znaczy... jeżeli ktoś bliski umiera, to tak naprawdę nie da się tego zrozumieć, prawda? Niby to rozumiesz rozsądkiem, ale twoje ciało pojmuje tylko tyle, że nie widzi tego kogoś ani go nie dotyka, więc może on jest o przecznicę dalej albo w innym mieście. Han kiwa głową.

— Tak.

— I bardzo trudno sobie wytłumaczyć, że nigdy więcej tego kogoś nie dotkniesz ani nie zobaczysz. Pozwolić sobie pojąć, że od teraz będziesz go znać tylko przez swoją pamięć.

— Tak, tak. A ze mną jest jeszcze gorzej — przytakuje Han. — Strasznie to brzmi, ale czuję, że łatwiej by mi było, gdybym wiedział, że oni nie żyją. Gdybym był pewien, że tylko raz muszę przejść przez to doświadczenie, że trzeba ich zostawić raz, ale nigdy więcej. Ostatnio zacząłem się budzić z uczuciem, że wyjechałem zaledwie wczoraj. Albo tylko godzinę temu. — Obraca się, żeby usiąść, podtrzymuje głowę, rozchyła palce we włosach. — Dwadzieścia dwa lata temu, kiedy wyruszałem do Anglii, byłem jak znieczulony przed operacją, jakbym zasypiał...

— Pozwoliłeś sobie na zapomnienie — dopowiada Sirine.

— Ale teraz się boję — mówi Han.

— Czego?

Han pociera skronie.

— Że niczego nie zapomniałem, nic a nic. Zaczynam myśleć, że to przez cały czas było we mnie. I zaczęło powracać, odkąd cię spotkałem. Znowu to czuję i widzę. Ostatnio za każdym razem, kiedy skręcam za róg, mam wrażenie, że wejdę w ulicę Sadun albo na most Dzumurrija. Każda osoba, z jaką rozmawiam, zmienia się w sprzedawcę warzyw albo w mojego nauczyciela ze szkoły.

— Odkąd mnie spotkałeś? — z niedowierzaniem pyta Sirine. Han bierze ją za rękę.

— Nie, to dobrze, bo zacząłem mówić i myśleć o rzeczach, nad którymi się nie zastanawiałem od wyjazdu z Iraku. Miałem wspomnienia zepchnięte tak głęboko, że właściwie nie

zdawałem sobie sprawy, że je straciłem. Jakbym chciał poznać ciebie, żeby na nowo wiedzieć wszystko, co wiem, chcę cię przeprowadzić przez moją historię, by była w nas obojgu, żebyś wiedziała, kim jestem, naprawdę wiedziała. — Niebo rozbiła słońce, Han przysłania sobie oczy ręką. — Ale czasami, kiedy zaczynam sobie przypominać... czasem się boję, że nie zdołam się zatrzymać. — Urywa na chwilę. — Abu-Nadźmeh mawiał, że trzeba odejść trzykrotnie, żeby się naprawdę uwolnić. — Uśmiecha się. — A ja dotąd tylko dwa razy opuściłem Irak.

Sirine przygląda się Hanowi i przez chwilę ma wrażenie, że rozpoznaje w jego twarzy starożytne rysy, że jego spojrzenie wzięło się z tysiąca lat wpatrywania się w horyzont. To piękne, niepocieszone patrzenie, bogatsze i bardziej uwodzicielskie niż wszystko, co dotąd widziała. Jakoś się ono łączy z tym, co w niej samej jest wrażliwością i ciszą. Przez chwilę czuje się, jakby przed oczyma rozblęskło jej rozpoznanie, i wtedy zamyka powieki.

Rozdział osiemnasty

Dawne opowieści i wspomnienia, zwłaszcza te, które gromadzą się w zbiorowej nieświadomości rodziny, są jak zwierciadła. Mimo że są złudne i pełne fantazji, zwykle ich podstawą jest odbicie rzeczywistości. Chcesz wiedzieć, czy ciotka Camille naprawdę rozmawiała z rybą? Bardzo możliwe, że tak. To byłoby do niej podobne. Właśnie taka była. Czy rozmawiała z Matką Wszystkich Ryb? No cóż, może to była po prostu ryba wyróżniająca się wyglądem. A może te rojenia wzięły się z samotności, gdy Camille została uwięziona w chłodnym domu Anglika na pustyni. Może nie było żadnej podstępnej syreny uwodzicielki, a tylko przewrotne pragnienie, by ruszyć w miejsca, gdzie nie jesteśmy u siebie. W słuchaniu takiej opowieści nie chodzi o to, żeby się rozwodzić nad szczegółami, *habibtī*, ale żeby dopuścić, by ujawnił się duch rzeczy. Nauczyć się, jak im pozwolić, aby były sobą. Niech pomidor pozostanie pomidorem. A więc Matka Wszystkich Ryb wezwała miejscową panią jeziora, tunezyjską syrenę imieniem Kan Zamana, która leniwie wylegiwała się na skale, błyskając łuskami rozpostartego ogona i lśniąc miękkimi brązowymi ramionami, i Kan Zamana opowiedziała ciotce Camille, co przydarzyło się jej synowi. Wyjawiała, że Abdelraman został sprowadzony do podmorskiej jaskini syren w Krainie Na, do pałacu przyjemności dla uprowadzonych żeglarzy, strzeżonego przez niszów, na wpół uformowane, podobne do małp stworzenia z jedną nogą i jedną ręką. I przez jakiś czas wszystko układało się doskonale. Abdelraman okazał się wzorowym więźniem, przystojnym, dobrze wychowanym, miłym w obyciu. Ale zdarzyło się, że niedługo potem do

podmorskiej jaskini przybył inny Beduin imieniem Dżajpur al-Raszid, zwany jednak przez wszystkich al-Raszidem Szaleńcem.

Wygląda na to, że Szaleniec al-Raszid przeżył niezwykle doświadczenie, jeszcze zanim uprowadziły go syreny, ale nikt nie chciał słuchać jego opowieści, a jeśli już ktoś jej wysłuchał, to w nią nie wierzył. Szaleniec utrzymywał, że porwało go pustynne wydanie kosmitów. Szaleniec al-Raszid wprawiał się w takie rozgorączkowanie, próbując kogokolwiek nakłonić, żeby wysłuchał jego historii o wozach bez wielbłądów i ognistych aniołach, że kiedy syrena imieniem Alif w końcu pozwoliła mu snuć tę męczącą opowieść, podekscytowany mówieniem zszedł z nabrzeża prosto w morze. Syreny i syreni, którzy nie odróżniają góry od dołu, a tym bardziej dobra od zła, zaciągnęli go do atramentowoniebieskiej jaskini, gdzie trzymali Abdelramana, a tam Szaleniec mieszał w głowie swojej uwięzionej jednoosobowej publiczności obłąkanymi historiami. Tak się nad nimi rozwodził, opisywał wszystko w takich szczegółach, że zaraził obłędem Abdelramana Saladyna. Abdelraman dał się opętać widokom i odgłosom, o których opowiadał Szaleniec, i nabrał przekonania, że sam musi to zobaczyć.

Słuchając tej relacji, ciotka Camille ożywiła się.

— A więc mój syn jest tam teraz? Kan Zamana zaprzeczyła.

— Musieliśmy go wypuścić. Nie dało się z nim wytrzymać. Szaleniec w końcu się uspokoił, zjadał sobie obrane ze skórki morskie winogrona i przypiekane wodorosty i sypiał do południa. Ale Abdelraman Saladyn, kiedy się zetknął z tym lichem, stracił dobre maniery i całą ogładę. A co najgorsze, zaraził się obsesją Szaleńca. Ci dwaj bez końca jęczeli o jakimś Fil'Imm tym i Fil'Imm owym. I o czymś, co się nazywa Hal'Awud. I o Dar'Aktr, ciągle ten Dar'Aktr.

Ale co mogły oznaczać te złowrogie słowa, zastanawiała się ciotka Camille. Fil'Imm, Hal'Awud, Dar'Aktr. Czy to był jakiś rodzaj dżinów lub aniołów? Najwyraźniej chodziło o istoty tak potężne i tak nużące, że Alif i inne syreny wołały oddać Abdelramanowi pieniądze, byle nie słyszeć już o tym ani słowa.

— To on wcale nie jest u syren — na wpół z ulgą, a na wpół z przerażeniem zawołała ciotka Camille. — Więc błagam cię, powiedz, gdzie jest?

Leniwa panna wodna oparła się na łokciu i pokazała palcem.

— Z tego, co ostatnio słyszałam, moja pani, Abdelraman Saladyn wyprawił się do Hal'Awud w strasznej i przerażającej krainie zachodzącego słońca.

O wpół do siódmej rano w Dniu Dziękczynienia Sirine rozgniała w kuchni czosnek, a Król Babar leży u jej stóp. W kuchni jest zbyt gorąco, pachnie piekący się indyk. Poprzedniego wieczoru Um-Nadia przyszła ze swoją drewnianą szkatułką, wypchaną ręcznie wypisanymi przepisami na potrawy, których nie gotowała ani nie jadła przez trzydzieści pięć lat, odkąd ona i Mireille opuściły Liban. Niektóre z nich to sposoby przygotowania prostych, eleganckich dań, ryżowego pilawu i pieczonych mięs, inne dotyczą bardziej egzotycznych specjałów, jak gołąbki w całości gotowane na parze z kuskusem albo marynowane jagnięce mózdzki w rosole. I do późnej nocy omawiały składniki i sposoby przyrządzania. Um-Nadia w końcu zasnęła na twardej tapczanie w salonie, a stryj zapadł w drzemkę naprzeciw niej, w swoim fotelu. Ale Sirine nie kładła się przez całą noc, sprawdzała przepisy, siekała i przygotowywała. Wyszukiwała irackie dania, próbując odnaleźć potrawy z dzieciństwa Hana, o których jej opowiadał, sfi — paszteciki nadziewane mięsem i szpinakiem i okrągłe tace mensaf z górami jagnięciny, ryżu i jogurtowego sosu z cebulą, i desery, delikatne, rozplływające się w ustach ciasteczka ma'mul. Nafaszerowała indyka ryżem, cebulą, cynamonem i mieloną jagnięciną. Teraz na stole stoją garnki duszonej zieleniny ze słodko-gorzkiem octem i soczewicy z pomidorem, cebulą i czosnkiem, a obok nich polakierowane klonowym syropem słodkie ziemniaki, duszona zielona fasolka i su-flet z dyni.

Miną jeszcze godziny, zanim zjawią się pierwsi goście. Um-Nadia i Mireille przechodzą przez wszystkie pokoje ze szmatkami i płynem do czyszczenia mebli, odkurzają, wycierają kurze i zamiatają. W pewnej chwili Mireille podchodzi, pochyla się nad nakrapianym kuchennym blatem i przygląda się pracującej Sirine.

— Coś tu apetycznie pachnie — stwierdza. — Co to takiego?

Um-Nadia staje w drzwiach, macha ręką, aż rozdzwaniają się jej bransolety.

— To jak arabska kuchnia z dawnych czasów.

Sirine uśmiecha się, przechyla głowę i końcem drewnianej łyżki ściga po patelni kawałki naciowego selera i cebuli.

W południe są już: Han, Mireille, Victor Hernandez z kuzynem Eliazerem, Aziz poeta, Nathan, Um-Nadia, dozorca Cristobal, Shark, Dżenub, Abdullah, Szmaal i Gharb — pięciu spośród samotnych studentów z restauracji, Sirine i jej stryj. Król Babar wita wszystkich, stając na tylnych nogach i odciskając im na spodniach znak zakurzonej łapy.

Mireille nakrywa do stołu, a Um-Nadia podaje mezze w bibliotece. Ale studenci i Aziz kierują się prosto do porzuconego salonu, żeby w wiekowym, migającym telewizorze z cza-

peczką ze zgiętej anteny i pomarszczonej folii aluminiowej obejrzeć parady i mecz piłki nożnej. Studenci kładą się na trzech warstwach dywanu, jakiś metr przed ekranem, i po arabsku wdają się w narzekania, że nie ma pilota — co Aziz przekazuje Sirine. Aziz siada na tapczanie w najdalszym kącie pokoju i prosi, żeby mu wyjaśnili, o co chodzi w tych paradach i meczu piłkarskim, a oni widocznie nie mają nic przeciwko temu, bo cierpliwie wszystko tłumaczą.

— A co to za szybujący człowiek? — pyta Aziz.

— To nie żaden szybujący człowiek — odpowiada Szmaal.

— To Wielki Ptak.

Aziz posyła uśmiech Sirine.

— Trzy lata w tym kraju, a to moja pierwsza parada. — Uśmiecha się i mruży oczy w stronę skapanego w świetle ekranu. — To trochę jak demonstracja, no nie? — zauważa.

— Tylko bez kamieni — stwierdza Szmaal.

— I z muzyką! — dodaje Gharb.

Sirine wychodzi do kuchni, żeby sprawdzić, co z indykiem. Okna lśnią jak monety, wewnątrz jest przesiąknięte światłem. Wszystko połyskuje: masło, garść pokrojonych pomidorów, miseczka z siekaną pietruszką, dojrzałe kolory są wyraziste jak na obrazie. Sirine czuje, że światło przez nią przepływa. Miesza sos, gdy dwoje ramion przysuwa się z tyłu i obejmuje ją, i słyszy, jak Han mruczy jej do ucha:

— Stęskniłem się za tobą.

Sirine uśmiecha się, zdmuchuje z czoła pasmo włosów i opiera się na jego mocnej klatce piersiowej.

— Pracowałam przez całą noc.

— Widzę. A co to za aromat?

Sirine z uśmiechem odchyła do tyłu głowę.

— Rozpoznajesz?

Han przysuwa nos do jej szyi.

— Przygotowałam dla mnie mieloną pieczeń, więc chciałam ci się odwdziżyć. — Pokazuje garnki. — Arabskie Dziękczynienie. To był mój pomysł. Co o tym myślisz? — Podnosi pokrywkę znad garnka z podwędzonym orkiszem i zanurza łyżkę.

— Proszę. Skosztuj.

Han przez chwilę trzyma łyżkę przy ustach. Sirine wie, jak to smakuje, że rosół jest doprawiony papryką i czosnkiem i głębokim, lśniącym zapachem dymu.

— A spróbuj tego — mówi. Pełne życia zielone jarzyny, czosnek i cytryna. — I tego. —
Ziołowe, mięsne, z owocową nutą.

Han odkłada łyżkę na blat. Zamyka oczy i nabiera powietrza.

— Han? — Sirine ze śmiechem kładzie mu dłoń na piersi. Han dotyka swoich ust.

Obiad na Święto Dziękczynienia jest wielki i parujący, z blatem stołu zatłoczonym gorącymi półmiskami, które zderzają się z sobą. Stoją tam trzy otwarte butelki wina, każde innego koloru, a talerzy i sztuczków jest o wiele więcej, niż potrzeba. Goście przynieśli między innymi wielki okrągły fatajer — to placek z jagnięciną, który Aziz kupił u zielonookiej dziewczyny z irańskiej piekarni, sześć pasiastych cylindrów sosu żurawinowego (od Um-Nadii), orzechy włoskie pieczone w całości w sosie chilli (od Cristobala), a Victor przytasczył trzy domowe placki z dynią i dwa litry kremowej śmietany. Nathan chce, żeby jego aparat leżał na stole, ale ze z wielkim obiektywem zajmuje tyle miejsca, co waza na zupe, Um-Nadia, Mireille i Victor besztają go, aż w końcu go zabiera.

— No i popatrzcie tylko na nas — mówi stryj Sirine. — Siedzimy tu jak banda Amerykanów z tym naszym zwariowanym indykiem. A więc teraz chcę wznieść wielki toast. Za kochane, niezwykle rodziny, miłe psy, które się przyzwoicie zachowują, jedzenie takie jak to, siedem rodzajów uśmiechu, półksiężyc i codzienną filiżankę dobrej herbatki z miętą. *Satain*. Powodzenia i niech nas wszystkich Bóg błogosławi.

Wszyscy przytakują i stukają się kieliszkami.

— Czy to nie na Boże Narodzenie? — pyta Dżenub. — Nie wtedy się mówi o bożym błogosławieństwie?

— To się przecież nadaje na każdą okazję — odpowiada Aziz.

— A to co za siedem rodzajów uśmiechu? — dopytuje się Eliazer.

Victor dyskretnie macha ręką, jakby chciał powiedzieć: nawet o tym nie wspominaj.

Han siedzi naprzeciwko Sirine, a Nathan obok Hana. Król Babar wędruje od jednych kolan do następnych, przyjmuje okruchy i datki ze stołu. Sirine słucha rozmowy przy obiedzie tylko jednym uchem — próbuje się skoncentrować na potrawach, profesjonalnie ocenić własną pracę, ale atmosfera przy stole jest tak ożywiona, że trudno się na czymkolwiek skupić. Czuje naprzeciw siebie elektryzującą obecność Hana. Jego noga lekko przesuwana się po podłodze, póki Sirine nie poczuje, jak podbicie jego stopy dotyka jej podbicia. Nathan, siedzący u boku Hana, obserwuje, co się dzieje między nim a Sirine.

Sirine wkłada do ust widelec ze słodkimi ziemniakami. Są miękkie jak aksamit, sos przypomina atlas. Zupełnie, jakby mogła wyczuć smakiem wewnątrz wszystkich składników: pędy, na których wyrosły żurawiny, ziemię w chlebie, nawet ciepłą krew, która kiedyś płynęła w indyku. Przypomina sobie swój mały sekret, który znała od lat, jedyną prawdę, jaką posiadała: że jedzenie jest lepsze od miłości, pewniejsze, wierniejsze, bardziej satysfakcjonujące i wzbogacające. Póki może się zatracić w rytmie obierania cebuli, jest pełna i całkowita. Póki umie gotować, będzie kochana.

Podawane miski dzwonią, rozmowa przechodzi w brzęczenie. Nagle Gharb z uśmiechem pochyla się do przodu i stwierdza:

— To dziwne.

Wszyscy spoglądają na niego. Gharb macha rękami.

— Wszyscy ci faceci i dziewczyny, wszyscy razem.

— Tak, wyobraź sobie, do czego to może doprowadzić — rzuca Aziz. Siedzi obok Mireille, która zajęła miejsce przy Sirine. Victor Hernandez rzuca Azizowi spojrzenie z drugiej strony stołu, zaciska wargi.

— Właśnie o to mi chodzi — dopowiada Gharb. — W mojej wsi faceci i kobiety jadają osobno, żeby się nie wpakować w kłopoty. To jest pierwszy amerykański dom, w jakim tak naprawdę jem, więc będę się musiał do tego przyzwyczaić. Podoba mi się to, pewnie, że mi się podoba!

— Amerykański? — powtarza Nathan.

— Mówisz o Egipcie! — z honorowego miejsca przy stole oświadcza Um-Nadia. — W Bejrucie zawsze jest chłopak, dziewczyna i tak dalej, i tak dalej. To o wiele bardziej wyrafinowane.

— Wiecie, w Iraku też niekoniecznie tak jest — dorzuca stryj Sirine. — W naszej wsi na wielkich przyjęciach kobiety i mężczyźni zawsze byli rozdzielni, ale na co dzień rodzina i przyjaciele jadali wspólnie.

— U nas też — dodaje Han. — Wszyscy razem.

— Dobra, dobra, ale to niebezpieczne — ze swojego końca stołu odzywa się Szmaal. Wszyscy obracają się w jego stronę, a on wzrusza ramionami. — No co? Mówię tylko, że chłopak-dziewczyna to można robić w Ameryce, bo tutaj tak jest, no nie? Ale w Kuwejcie? Człowieku, sam byś sobie szukał kłopotów. Wystarczy, że usiądziesz z dziewczyną...

Kilka osób odchyła głowy do tyłu, sykając na znak sprzeciwu.

— I też niedobrze — mówi jego przyjaciel Shark. Właściwie ma na imię Sharq, co oznacza „wschód”, ale poprosił wszystkich amerykańskich przyjaciół, żeby nazywali go Shar-kiem. — W tym jest cały problem, cała *mishkila* — wyjaśnia. — W tym podejściu. Wszystkie arabskie dzieciaki są takie spięte, takie przerażone, co rodzina pomyśli, że boją się normalnie zachowywać i w ogóle.

— Normalnie? — ze śmiechem pyta Abdullah. — To znaczy jak?

— No wiesz, normalnie, zwyczajnie. Takie sprawy to żaden problem, jeżeli się z nich nie robi problemu.

— Tak, naprawdę? Tego roku, kiedy przyjechałem do Stanów, moja siostra Mejsun wybrała się na przejażdżkę ze swoim chłopakiem, jego samochodem. Oczywiście w ogóle nie wolno jej było mieć chłopaka. Ale, tak czy inaczej, zaparkowali gdzieś na wsi i wydawało im się, że są dobrze ukryci. Oczywiście jakiś Beduin czy ktoś inny zobaczył, jak się całowali. Nad stołem odbywa się wymiana spojrzeń.

— Właściwie to gorzej, niż się całowali. Jak to się nazywa? Obściskiwali się.

— No — stwierdza Szmaal. — Powinni wiedzieć, że tego się nie robi.

Abdullah wali w stół tak, że widelce podskakują, a Um-Nadia wydaje odgłos protestu:

— I co takiego? Ile amerykańskich dziewczyn całowałeś?

— Hej, ja nie mówię, że się z tym zgadzam ani nic podobnego — odpowiada Abdullah.

— Po prostu tak to jest. I ani jednej, jeśli mam odpowiedzieć na pani pytanie. Ani Amerykanek, ani nie-Amerykanek, w ogóle. A już zwłaszcza publicznie, w samochodzie.

Nathan pochyla się i ze skupieniem przygląda się Abdullahowi. Twarz ma zaróżowioną od rumieńca, w ręce trzyma kieliszek z winem.

— Co się stało z twoją siostrą? — pyta.

— Tata chciał, żebym ją stłukł — wyjaśnia Abdullah. — Bo wiecie, jestem starszym bratem i w ogóle. Miałem jej dać nauczkę czy coś.

— Nieźle — rzuca Szmaal.

— I co zrobiłeś? — dopytuje się Nathan.

— Skakaliśmy, w górę i w dół. Aziz wybucha śmiechem.

— Zamknęliśmy drzwi do sypialni i powiedziałem: poskaczmy. Więc zaczęliśmy skakać i obijać się o ściany, a ja wrzeszczałem różne rzeczy: kurwa, dziwka i w ogóle. A Mejsun się darła, jakbym jej wszystkie zęby wyrywał. A potem potargała sobie włosy jak wariatka i po- darła na sobie bluzkę. Później wyszliśmy z sypialni, a matka tak mnie walnęła, że upadłem na

tyłek, i złapała Mejsun i cała była w stylu: nie musiałeś jej tak bardzo pobić. A ojciec: synu, jesteś twardszy, niż myślałem. Więc możecie mi mówić, co chcecie, o normalności.

Sirine przygryza wargę. Czuje, jak naciska ją stopa Hana.

— Właściwie to jest dosyć smutna historia — ponurym głosem odzywa się Nathan. — Naprawdę, posłuchajcie tylko: tak właśnie są traktowane arabskie kobiety. Właśnie tak to wygląda.

Han trwa gdzieś na obrzeżu tej rozmowy, jego uwaga wędruje między Sirine i półmiskiem z freke. Je powoli, za każdym razem nabiera na widelec tylko odrobinę. Sirine pyta, czy nie chciałby trochę indyka z sosem żurawinowym, może nadzienia, ale on uśmiecha się tylko i potrząsa głową.

Rozmowa przy stole do końca posiłku wije się zakosami. Nathan wpada w zły nastrój i odsuwa się, ale pozostali dyskutują o dziwnym, ale nie przykrym doświadczeniu, jakim jest spożywanie indyka, i o rozkoszach ryżowego nadzienia, faszerowanych dyń i liści winogron, śmietankowego szpinaku i lakierowanych słodkich ziemniaków, przydymionego freke i baba ganudż, i plasterków sosu żurawinowego z puszek od Um-Nadii. Plotkują o klientach restauracji, o studentach i profesorach z uniwersytetu, a potem zaczynają dyskusję o bliskowschodniej polityce, co wszystkim psuje humor, więc Aziz stara się ich uspokoić, rozwlekłe objaśniając swoje polityczne teorie, wysnuwające związek między polityką i poetyką.

— Zastanówcie się, jaka różnica jest w poezji między pierwszą i trzecią osobą — mówi, przyciskając kciuk do palców wskazujących. — To jak różnica między patrzeniem na osobę a spoglądaniem jej oczyma.

— Ja czuję to samo wobec jedzenia — wtrąca Sirine, a niektórzy wybuchają śmiechem.

Aziz unosi brodę i jedwabście spuszcza oczy.

— Proszę, opowiedz o tym coś więcej.

— To znaczy, chodzi mi o to, że... — Szuka słów, rozrywa kromkę chleba, sama próbuje zrozumieć, co miała na myśli. — Coś takiego... spróbować kawałka chleba, który ktoś kupił, to jak patrzeć na tego człowieka, ale jeść chleb, który sam upiekł, to jakby widzieć jego oczyma.

— Fantastyczna metafora — chwali Aziz. Nathan unosi głowę.

— To daje władzę nad tobą innym ludziom.

— Nie większą, niż to zwykle jest — zaprzecza Aziz.

— Zawsze ktoś musi mieć władzę i ktoś zawsze musi piec chleb. — Obraca się i szarmancko uśmiecha do Sirine. — Masz duszę poetki! Gotowanie i smakowanie jako metafora widzenia. Twoja kuchnia odkrywa Amerykę nam, nie-Amerykanom. I na odwrót.

— Nasza szefowa kuchni nie jest amerykańską kucharką — protestuje Victor Hernandez. — Nie robi jedzenia tak jak Amerykanie, co to tylko wrzucają sól do garnka. A wszystkie smaki idą w tę samą stronę. Szefowa gotuje tak jak my. W Meksyku dajemy do słodkich ciastek cynamon z czekoladą i paprykę, więc te rzeczy ciągną w różne strony, wiece, rozpychają się, żeby smak był większy. — Gestykuje, otwiera dłonie. Mireille podejrzliwie zerka na swój talerz z indykiem, ale stryj Sirine śmieje się, przytakuje i potwierdza:

— Tak, to bardzo dobre. To cię budzi. Myślę, że Prorok gdzieś w Koranie mówił o tym, że jedzenie powinno nastrajać optymistycznie.

Ale wtedy Dzenub pyta, jak po angielsku nazywa się to, co jest przeciwieństwem optymizmu. I nagle rozmowa wraca do polityki. Szmaal przypomina o ONZ i inspekcjach szukających broni atomowej, a Gharb opowiada o głodzie w Iraku, o przestępczości i prostytutce, i Nathan stwierdza, że Irak stoi na skraju klęski głodu, a dalej jest regularnie bombardowany przez Amerykanów, którzy ostatnio sprzedają tam helikoptery, i czy kogoś to w ogóle obchodzi, a wszyscy milkną i wbijają wzrok w talerze.

— Oni i tak uważają nas wszystkich za terrorystów — wesoło stwierdza Aziz, nabierając na widelec gniecionych ziemniaków.

— Jacy oni? — pyta Victor. Stuka ząbkami widelca o talerz, a dzwoniący odgłos brzmi groźnie. — Ja tak nie myślę.

— Ty? Też mi coś. Gdybyśmy się razem wybrali do supermarketu, ty i ja, myślisz, że biali by zauważyli, jaka jest między nami różnica? Pomyśleliby, że jesteś jednym z moich kumpli terrorystów.

— Pewnie, jakbym z tobą poszedł. Tylko że ja bym nie poszedł.

Nathan podnosi talerz humusu.

— Prawdziwa ironia dzisiejszego dnia polega na tym, że w całej Ameryce trwa świętowanie i obżarstwo, a tymczasem oni tam, w domu, głodują...

— O czyim domu ty mówisz? — przerywa Szmaal.

— Ludzie, dlaczego wy zawsze musicie politykować i się kłócić — woła Um-Nadia.

— Zgadzam się... Amerykanie powinni usłyszeć naszą poezję i opowieści i podobne rzeczy. — Gharb przytakuje, po czym zwraca się do Aziza: — A dlaczego ty w ogóle nie piszesz politycznych wierszy?

— Nie o to mi chodziło! — zaprzecza Um-Nadia.

— Ona miała na myśli to, że Amerykanie powinni poznać wielką, ciemną, romantyczną duszę Araba — żarliwie tłumaczy stryj Sirine.

— Wierzcie mi, byłem taki polityczny, że Mahmoud Darwisz wyglądał przy mnie jak Mała Sierotka Ania. A Edward Said jak... Edward Nożycoręki — uderzając się dłonią w pierś, oświadcza Aziz.

— A co to za Mała Sierotka? — dopytuje się Shark.

— Ale słuchajcie, miałem dosyć napaści. Wydaje wam się, że jak czytałem moje polityczne wiersze, to przychodziły do mnie miłe listy? Nie przychodziły. Dostawałem listy, gdzie było napisane: Nie, nie opowiadaj o Arabach takich ponurych rzeczy. Przez telefon słyszałem: Nie chcemy już złych nowin, pisz o serduszkach i kwiatkach, i o radosnych, pogodnych Arabach, którzy są dla siebie mili. I kto do mnie pisał te listy? Arabowie, którzy zawsze narzekają, że w prasie i w telewizji jest za mało prawdy o Arabach.

— Oczywiście — przytakuje Dżenub. — W telewizji i w filmach widzimy tylko takich Arabów, co strzelają, bombardują albo porywają. — Odlicza na palcach. — Taki jest wybór. Jedyne tekst, jaki dostają do wypowiedzenia, brzmi: „Zamknij się i siadaj!” — krzyczy, wyginając palce na kształt rewolweru.

Um-Nadia łapie się za uszy.

— Dosyć tego! — Obraca się do Sirine. — Dobrze, w porządku. Teraz powinniśmy się zająć kwestią deseru.

— Och, tak — pospiesznie odpowiada Sirine. — Pójdę go przynieść.

Złożona chusta wciąż leży na kuchennym blacie. Sirine podnosi ją. Zaplanowała, że ją założy dla widowiskowego efektu, gdy będzie wносиła placki z dynią od Victora. Stoi w stygnącej, ciemniejszej kuchni, wśród srebrnych muszli garnków, i szuka noża do placków, gdy rozbrzmiewają kroki. W drzwiach staje Nathan, twarz ma poważną.

— Sirine, miałem nadzieję, że będę mógł z tobą pomówić o naszej rozmowie tamtego dnia. Jest parę rzeczy, które chciałem... — Nagle przerywa, przybliżyła się, głowę ma lekko odchylną na bok. — Co to jest?

— To? — Sirine rozkłada dłonie tak, że zwój tkaniny rozszerza się, ukazując delikatne ściegi o barwie jagód. — Moja chusta.

Nathan unosi palce, ale zatrzymuje się, gdy właśnie ma jej dotknąć.

— To od Hana?

— Podoba ci się? — Sirine rozwija całą tkaninę i narzuca ją sobie na ramiona.

— Och — Nathan wypowiada to ledwo słyszalnym głosem.

— Jest bardzo stara — mówi Sirine. — Należała do matki Hana.

Twarz Nathana pochmurnieje. Przez chwilę się nie odzywa, wpatruje się tylko w nią i w chustę. A potem niepewnie pyta:

— Tak ci powiedział? — Nie mówi nic więcej, stoi tam tylko przez chwilę. Sirine zsuwa chustę z ramion. Otwiera usta, ale Nathan wchodzi jej w słowo: — Ja... nie mogę... wybacz. Przepraszam. — I pospiesznie wychodzi.

Sirine rusza za nim, ale wtedy do kuchni wchodzi Um-Nadia i Mireille i jest mnóstwo roboty z plackami i nastawianiem kawy, i nikt już nie myśli o niczym innym.

Wszyscy wrócili do biblioteki na baklawę, kunafę, ciastka, placki z dynią i opowieści. Słońce późnego popołudnia wpada do biblioteki i nasycza wszystko lśnięcymi, pomarańczowymi i różowymi barwami, podpala krzesła, ściany i perski dywan. Szmaal unosi rękę, a cienka siatka skóry między jego palcami rozbłyskuje. Król Babar odchyła się i przeciąga, wysuwa przednie łapy do przodu, a łeb odrzuca w tył. Ziewa potężnie, tak że z jego pyska widać tylko zęby i prostujący się język.

— Czy to rozdział czwarty czy piąty? — pyta Um-Nadię stryj Sirine. — Mam nadzieję, że się w tym nie pogubiłaś.

— Zaraz, czy my tu nie potrzebujemy jakiegoś wprowadzenia? — wtrąca Victor. — Gdzie jesteście?

Stryj Sirine potrząsa głową.

— Nigdzie nie jesteście. To nie jest historia, która się zaczyna w jednym miejscu i zmierza prosto do drugiego. Ta opowieść wędruje i wędruje. I jest całkowicie pozbawiona morału. To niepouczająca opowieść. Możesz ją na chwilę odwiedzić albo iść wypić kawę na podwórku i popatrzeć na zięby. To też przyjemne.

— A więc — niecierpliwie przerywa Um-Nadia — rozdział czwarty albo piąty, albo szósty, albo jaki tam masz.

— Właśnie — stryj Sirine poprawia kołnierzyk i upija łyk kawy. — Rozdział, jaki tam masz.

Eliazer, Cristobal, Gharb i Shark śpią na dywanie, pomiędzy meblami. Dżenub i Szmaal zasnęli na tapczanie z końskiego włosia, a zza ściany słyszą Króla Babara, który szpera im po kurtkach zostawionych na ławce w przedpokoju, szukając jedzenia.

Sirine wychodzi z biblioteki, żeby poszukać Nathana. Zagląda do salonu, na podwórko, do jadalni, do kuchni, wreszcie rusza na górę. Będzie nalegała, żeby z nią porozmawiał i wytłumaczył, co się dzieje. Ale zamiast znaleźć Nathana, wpada na Aziza, który właśnie wychodzi z łazienki na piętrze.

— *Tisslam idajki* — mówi. Błogosławiona twoja ręka, to komplement dla kucharza. Podnosi dłoń Sirine i całuje grzbiety palców, potem ją obraca, składa pocałunek we wnętrzu dłoni i zgina nad tym miejscem jej palce, jakby pakował prezent. — Tak. Co za uroczy stary dom. Gdzieś tu na górze musi być twoja sypialnia?

— Na pewno ci powiem, gdzie — odpowiada Sirine. — A tak na przyszłość, toaleta dla gości jest na dole.

— Wiesz — jego melodyjny głos przepelnia sugestywność — zawsze myślałem, że to taki błąd, kiedy piękna kobieta wiąże się tylko z jednym mężczyzną.

Sirine unosi brew.

— To lepiej znajdź tę kobietę i jej to powiedz.

— Jesteś taka pewna, że Han to niewiniątko? Sirine krzyżuje ręce na piersi.

— Chcesz mi powiedzieć, że wiesz coś, czego ja nie wiem?

Aziz unosi jedną z jej rąk i całuje wewnątrz przegubu. Sirine wyczuwa jego wodę kolońską, słodką cytrynę i trawę.

— Tyle jest rzeczy, o których mógłbym ci powiedzieć! Wyjdiesz gdzieś wkrótce z Azizem wieczorem? Na takie przyjazne koleżeńskie spotkanie? Tylko nas dwoje, tylko żeby się rozerwać. Żadnego kombinowania. Żadnych wygłupów. Boże broń, absolutnie żadnych wygłupów.

— Właśnie, Boże broń.

Aziz pochyla się, jakby chciał ucałować wewnątrz jej łokcia, ale Sirine cofa rękę.

— Nie wyżej, niż dochodzi woda — przestrzega.

Słyszy kroki zbliżające się po schodach i instynktownie cofa się o krok od Aziza. To Victor z przewiercającym spojrzeniem i napiętymi ramionami. Jest już blisko, gdy dostrzega Sirine i Aziza. Patrzy na wszystkie strony, zagląda między nich.

— Wydawało mi się, że usłyszałem... Słyszałem głos kobiety i jego... — Rzuca Azizowi palące spojrzenie, po czym odwraca się do Sirine. — I myślałem, że to... nie wiem.

Aziz wyciąga szyję, żeby popatrzeć najpierw przez jedno, a potem przez drugie ramię.

— Nikogo tu nie ma oprócz nas, kurczaczków — oznajmia. Victor łypie na niego.

— Przykro mi, Victorze — mówi Sirine. — Nie widziałam tu ostatnio... nikogo innego. Zaglądałeś do kuchni?

Victor w końcu przestaje przewiercać wzrokiem Aziza i tupiąc, rusza w dół schodami.

Sirine słyszy, jak mamrocze:

— Dupek *pendejo*.

— A więc wracając do naszej pozbawionej wyglupów randki. — Aziz znowu obraca się do Sirine. — Kiedy się...

— Teraz nie mogę — przerywa Sirine, prześlizgując się obok niego korytarzem. — Szukam kogoś.

— I ten ktoś to nie ja? — żalobnym tonem pyta Aziz. — Mnie nikt nigdy nie szuka. Oczywiście. W porządku.

— Ale dziękuję za ten wspaniały jagnięcy fatajer, który dzisiaj przyniosłeś.

Aziz zatrzymuje się i kłania, wyraźnie z siebie zadowolony.

— Zrobiono go z reszty tych pięknych kawałków jagnięciny od Ody.

— Jakich kawałków jagnięciny?

— Pamiętasz, jak Złe Oko wpadło do sklepu rzeźniczego, i Oda z powrotem zabrał jagnięcinę? No więc, kiedy przyjechała policja, zostawił mięso na skrzynce pocztowej. Pomyślałem, że to szkoda, żeby taki piękny kawałek się zmarnował. Więc wróciłem i złapałem go, a potem zaniósłem do piekarni, a ta zielonooka dziewczyna zrobiła z niego coś specjalnego.

— Ale on mówił, że to mięso było skażone... — Sirine urywa, zastanawia się.

— Złym Okiem? — Aziz wzrusza ramionami. — Najpierw je powąchałem. Nie czułem tam żadnego Oka. — Macha ręką i schodzi na dół.

W końcu Sirine pada na leżak na podwórku, obok Hana. Przez chwilę siedzą w milczeniu, przyglądając się, jak Król Babar obserwuje kocura sąsiadów z futrem koloru toffi, który

zjada jagody z krzaka. Za każdym razem, gdy Król Babar się przybliży, kot stroszy sierść tak, że robi się dwa razy większy, a potem znów topnieje, gdy tylko Król Babar się wycofa.

— Idziesz ze mną do domu, prawda? — z nadzieją pyta Han.

Sirine wzdycha i spogląda na kuchenne okno, które jest tuż za nimi, nad ich głowami. Bez trudu może sobie wyobrazić górę kubków i spodków. Każdy talerz i każdy garnek, jaki jest w tym domu, został wykorzystany w taki czy inny sposób. Słyszy płynącą z kranu wodę i wie, że Um-Nadia i stryj zajęli miejsca przy zlewie.

— Martwisz się brudnymi naczyniami? — łagodnie pyta Han. — Naczynia są wieczne. Robią się tylko coraz brudniejsze. Zostawmy je.

Tylne drzwi skrzypią lekko, jakby ktoś za nimi stał. Sirine podnosi wzrok, pociera ramiona i otula się nimi.

— Co myślisz o Nathanie?

Han przesuwając się w leżaku, odchyła go lekko do tyłu.

— Nathan. — Lekko chichocze i mruczy coś do siebie, potem odwraca wzrok, coś innego przyciągnęło jego uwagę. — Mówię ci, ten pies twojego stryja jest niezmierny.

Powietrze kręci się i podnosi wokół nich, liście trą o ziemię. Sirine jest zmęczona do szpiku kości, czuje się jak przepuszczona przez wyżymaczkę, traci równowagę z braku snu, poboлева ją głowa, więc przystaje na plan Hana, żeby się wymknąć, z nikim się nie żegnając. Nakładają kurtki ukradkiem, jak przestępcy. Potem na palcach przechodzą obok kuchni z chlapającymi naczyniami i piramidą piany, mijają opuszczony salon z grzmiącym telewizorem, cichą wyobrażoną bibliotekę, schodzą długim korytarzem i znikają za frontowymi drzwiami.

Rozdział dziewiętnasty

Ciotka Camille dowiedziała się, że na próżno przewędrowała całą drogę do źródła Nilu. Zanudziwszy cały podwodny świat opowieściami o Hal'Awud, jej syn wynurzył się i powędrował do Krainy Zachodzącego Słońca.

Ona i szakalouchy pies imieniem Napoleon Tu Był otrzepali się i wyruszyli ku zachodowi. Co to za głupi pomysł, myślała sobie ciotka Camille, iść w stronę zachodu słońca. Skąd będzie wiedziała, gdzie się mam zatrzymać?

Niefortunnie dla nich obojga postanowiła zdać się na psie wyczucie kierunku. Stało się tak, ponieważ to pies pomógł jej znaleźć kuchnię dzina — która nie była specjalnie daleko — i

dlatego, że psy omotały ludzi i przekonały ich, że zawsze wiedzą, jaką wybrać drogę. Na przykład Król Babar stale w ten sposób omotuje. A w rzeczywistości psy to tylko nowe wcielenia mnichów, którzy się nie przykładali do odmawiania modlitw.

Napoleon poprowadził, a ciotka Camille ruszyła za nim. I zaczęli wędrować, kreśląc szerokie, rozpostarte na pustyni koła. W ten sposób minęły całe lata. Beduini i ludzie z miasta ofiarowywali im jedzenie i błogosławieństwa, bo sądzili, że pielgrzymują do Mekki. W owym czasie do ciotki Camille zalecał się egipski książę, który zabawiał ją w swojej pustynnej karawanie i podarował jej małą niewolnicę, żeby dotrzymywała jej towarzystwa. Ciotka Camille nazwała niewolniczkę Hanan, to oznacza dobroć i czułość, i wychowała ją łagodnie, wieczorami kołysząc ją do snu opowieścią o poszukiwaniu Abdelramana, swojego kuzyna. A kiedy zwróciła Hanan wolność w jej osiemnaste urodziny, nie odnalazły jeszcze Abdelramana Saladyna i Hanan odeszła rozczarowana.

Camille wędrowała szerokimi, przedzionymi na pustyni kołami, przemierzając całe ramiona Afryki, aż wreszcie pobliskie plemię zainteresowało się tym i spłynęło ze wzgórz, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Byli to wyjątkowo zarozumiali Beduini, niezwykle próżni, ponieważ handlowali kadzidłem, a nie kozami i wielbłędami, czyli zwykłym śmierdzącym beduińskim towarem. Ich włosy i skóra były zabarwione na zakurzony błękitny kolor, pachnieli swoimi wonnościami, a mówili po włosku i po arabsku, a także w słodkim, pełnym życia, swiergoczącym języku, zwanym przez starożytnych Sumerów Lulubulu albo Mową Ptaków. Spodobała im się Camille, która odkryła, że oni także znaleźli się w nie swoim miejscu. Ich plemię pochodziło z gór Dofar na Półwyspie Arabskim. Oni także wiedzieli o Hał'Awud i Dar'Aktr i byli im zdecydowanie przeciwni. Okazało się, że Dar'Aktr to osoba, hałaśliwa i bardzo biała, niezwykle biała, z krzaczastymi brwiami, włosami jak zagon wrzośca i sposobem mówienia, który przypominał wiatr smagający pustynię. To właśnie Dar'Aktr był powodem, dla którego znaleźli się w tym miejscu, tak daleko od domu. Utrzymywali, że przeniósł ich tutaj, aby wypełniali jego dziwaczne rozkazy.

— Przeniósł was? — z niedowierzaniem dopytywała się ciotka. — W jaki sposób?

A oni tylko potrząsali głowami, robili znaki chroniące przed Złym Okiem i mówili:

— Allah jeden wie, tego naprawdę nie sposób wytłumaczyć. — Wypełnili jego dziwne polecenia, co najwidoczniej także nie dało się wyjaśnić, po czym ich opuścił, nie dając im żadnej sposobności powrotu do domu. Dodawali, że nie są właściwie niezadowoleni z tej sytuacji, ale to niewygodne, Camille przekonała się, że kiedy się ich bliżej poznało, okazywali się cał-

kiem przyjaźni. Ona z kolei opowiedziała im o swoim nieznośnym synu, o tym, jak go przestrzegała, o wyprawie w górę Nilu, o rozmowie z rybą. Camille powiedziała im też o czasie, jaki spędziła, będąc niewolnicą słynnego odkrywcy sir Richarda Burtona, na co członkowie plemienia bardzo się ożywili i zaczęli przytakiwać: tak, tak! Ar-Raszad Bur'aton! Ten przerażający biały człowiek z wklęsłymi oczyma! On też tam był! I wszyscy poczuli się usprawiedliwieni, jakby to spotkanie było im przeznaczone. I ustalili, że jeśli uda im się pomóc Camille odnaleźć drogę do domu, to Camille pomoże plemieniu odszukać drogę do ich siedziby na Półwyspie Arabskim.

Dzień to słoneczny wybuch smogu i mgły — lśni w prostych jak strzała ulicach, brązowych wijących się kanionach i odbijających lazurowo basenach. Na ugorach tkwi w pędach wrzośca i włóczniech lawendy. Dotyka rozpalonych dachów, ulic łuskowatych na podobieństwo kurzych łap. Żółtych kształtów ostrych niby szkielety i rogatych, diabelskich roślin, i twardych błękitnych zarośli, wykrzywionych jak kości dłoni. Unosi się i przecina półksiężyc horyzontu, wielką otwartą kartkę nieba, lekko słoń, ze śladem owoców, cytrusów i wody w wietrze.

Sirine zbudziła się przed Hanem. Oparła się na łokciu, obserwuje brązowe odcienie jego skóry o poranku. Robiąc to, przypomina sobie sen, w którym Han prowadził podwójne życie i w tajemnicy miał rodzinę w Iraku. Jego żona była czarodziejką, rzuciła na niego zaklęcie. Wyglądała podobnie jak Rana, była żarliwa, błyskotliwa i zdolna do wszystkiego, i miała go wezwać z powrotem do starego kraju, do jego prawdziwej tożsamości. We śnie Sirine ta kobieta odrzuciła czarny kwef, a pod nim miała girlandę z żółtych kwiatów we włosach i suknię czerwoną jak wybuch płomieni. Popatrzyła na Sirine i zaczęła się śmiać.

Sirine pociera oczy, próbuje otrząsnąć się z tych myśli. Ostrożnie wysuwa się z łóżka i idzie do wyłożonej białymi kafelkami łazienki. Wpatruje się w zmatowiałe lustro łazienkowej szafki, obraca je tak, by padało na nie światło. Przygląda się swojemu portretowi w lustrze z metalową ramą. Widzi tylko biel. Jest taka biała. Oczy ma szerokie, w kształcie migdałów i zielone jak morze, usta i nos są zgrabne i zwarte. Zupełnie jak u matki. Ludzie widzą tylko tyle — kiedy pytają ją o narodowość, zawsze są zdumieni, gdy im mówi, że jest pół-Arabką. Każdy odpowiada ze śmiechem: To by mi nigdy nie przyszło do głowy, wcale na to nie wyglądasz. Kiedy tak mówią, Sirine czuje się, jakby schodziła z niej skóra. Podejrzewa, że odziedziczyła wygląd matki i wnętrze ojca. Gdyby mogła porównać własne i ojcowskie organy wewnętrzne, krew i kości, i kształt umysłu i uczuć, to wydaje jej się, że odnalazłaby swoją prawdziwszą,

głębszą naturę. Wyobraża sobie swoich młodych rodziców, gdy oczekiwali pierwszego dziecka. Może czekali na prawdziwy stop swych dwóch ciał. Zastanawia się, czy byli rozczarowani, że mają dziecko o tak jasnej skórze?

Próbuje bezgłośnie wślizgnąć się z powrotem do łóżka, ale Han otwiera oczy. Na czarnych powierzchniach Sirine dostrzega złote płatki. Patrzy na nią i uśmiecha się, a jej mocniej uderza serce. Przychodzi jej do głowy, że jeszcze nigdy nie widziała, żeby się uśmiechał takim uśmiechem, poufałym, a zarazem odległym, jakby nie do końca skierowanym do niej.

— Hej? — mruczy. A potem: — *Habibti?* Co się dzieje? Sirine odpowiada uśmiechem i pyta, co by chciał na śniadanie. Han ziewa i siada, i niemal nieśmiało zagaduje:

— Pewnie nie mogłabyś zrobić więcej tego freke?

Potrawa z przydymionych ziaren orkisz z oliwą i czosnkiem. Sirine siedzi bez ruchu, światło z balkonu ślizga się po sypialni. W domu stryja są całe worki freke, w restauracji kilogramy, nawet indyjski sklep kilka przecznic od mieszkania Hana sprzedaje je w dużych opakowaniach. Ale Sirine nabiera powietrza, marszczy brwi i mówi:

— Nie jestem pewna, czy mogłabym tak od razu znaleźć więcej.

Namawia Hana, żeby jeszcze trochę pospał, a sama idzie do indyjskiego sklepu. Ale kiedy wraca z zakupami, nie ma wśród nich freke. Przygotowuje na śniadanie jajecnicę z bekonem. Nabiera tłustą śmietaną i ser, miesza z jajkami, pozwala, by nasączył je tłuszcz z bekonu, przekrawa na połowę kwadraty posmarowanych masłem grzanek, napełnia szklanki sokiem pomarańczowym. Podaje to Hanowi, który leży jeszcze w łóżku, a on uśmiecha się, je i ani słowem nie wspomina o freke.

Później tego samego ranka, już w pracy, Sirine uświadamia sobie, że nie pamięta, gdzie położyła swoją chustę.

— Twoja piękna chusta? Zgubiłaś ją! — wykrzykuje Um-Nadia.

— Nie zgubiłam — przeszukując szafki i szuflady w tylnej kuchni, odpowiada Sirine. — Gdzieś jest.

Um-Nadia każe Victorowi i Cristobalowi szukać wszędzie, a potem dzwoni do stryja Sirine do domu.

— Powiedz nam, że ta chusta tam jest — woła w słuchawkę. Czeka i czeka, a potem słucha i kiwa głową, jakby potwierdzała nieuniknione. Przykłada dłoń do słuchawki i mówi: — Nie ma. Znikła.

Mireille obraca się do Sirine.

— Przypomnij sobie, kiedy ostatnio miałaś ją na sobie?

Ale Sirine nie pamięta, by ją niedawno zakładała. Tylko coś niewyraźnego z poprzedniego dnia, o wnoszeniu deseru, o układaniu chusty na krzesło.

— Ja chyba w ogóle nie zauważyłam, żebyś w niej była — stwierdza Mireille.

— Właściwie... — odzywa się Victor — zdaje się, że ją widziałem na podłodze w kuchni.

— To cała nasza Sirine — oznajmia Um-Nadia.

Nathan wpada na baklawę i żeby się napić kawy. Wygląda jak wyżęty, jakby miał kaca, oczy zapadły mu się ze zmęczenia i nie ma przy sobie swojego aparatu. Przeprasza, że wyszedł z obiadu tak nagle — tłumaczy, że okropnie bolała go głowa.

— Widziałeś jej chustę? — wyrzucając w górę ręce, pyta Um-Nadia.

— Chyba jej nie zgubiłaś? — Oczy Nathana są ciemne jak ołów. — Pamiętam, że w kuchni ją miałaś. Gdzieś ty ją położyła?

Sirine zmusza wszystkich, by przysięgli, że ani słowem nie pisną o tym Hanowi. Po pracy jedzie rowerem prosto do domu. Przewraca wszystkie poduszki w salonie. Zagląda pod krzesła w bibliotece. Przeszukuje kosz z brudami do prania. W pewnej chwili ma wrażenie, że widzi ją złożoną na blacie w kuchni, oddech unosi się w jej piersi, ale to tylko kuchenna ścierka.

— Nie zgubiłam jej — powtarza sobie. — Nie ma wątpliwości, że gdzieś musi być.

Stryj zagląda za książki w bibliotece.

— Co ty wyprawiasz? — pyta Sirine. — Tam jej nie ma.

— A w filmach właśnie tam chowa się rzeczy — odpowiada stryj.

Niemal nie chce jej się już sprawdzać na górze, ale w końcu postanawia zrobić to dla pewności. Łazienka (ogarnia ją nagła, dzika nadzieja, że Aziz przymierzał chustę) jest pusta, ręczniki wiszą prosto jak żołnierze. Jej sypialnia też robi wrażenie opustoszałej i obojętnej: łóżko z ciemnego wiśniowego drewna, w kształcie sań, czyste ściany, śmietankowobiała kołdra. Sirine okrąża łóżko, znowu spogląda w stronę korytarza, i nagle słyszy pod łóżkiem dźwięk podobny do płaczu.

Pada na czworaki. To Król Babar zawodzi dziwnym, wysokim łkaniem, jakby był ranny. Wyciągnął się na brzuchu pod łóżkiem, a rzadko tam wchodzi, chyba że coś zbroił, na przykład przewrócił choinkę albo zjadł wszystkie naleśniki przygotowane na kolację.

Sirine zagląda pod łóżko.

— Królu Babarze — mówi łagodnie, unosząc róg kołdry — co się stało, skarbie? Co przeskrobałeś?

Pies leży na podłodze pod samym środkiem łóżka. Obraca w jej stronę wielkie oczy winowajcy. Wzdycha i skamle, więc Sirine sięga pod łóżko, żeby spróbować go pocieszyć, i wtedy zauważa, że on leży na czymś. Sięga pod niego, ale pies najpierw marudzi, a potem zaczyna warczeć. Zaskoczona Sirine mówi:

— Nie, Babar! — i wyciąga białą kopertę wielkości maszynowej kartki. Jest stara i tylko złożona, a nie zaklejona, a w środku tkwi kolorowe zdjęcie.

Sirine wysuwa je. Portret dziewczyny, a właściwie młodej kobiety z lśnącymi oczyma czarnymi jak przyprawy i długimi, wijącymi się włosami, które w grubych lokach spływają wokół jej twarzy. Śmieje się, ręką odgarnia z twarzy rozwiane wiatrem włosy, a przynajmniej próbuje to zrobić. Jej skóra lśni bursztynowo, a coś w jej uśmiechu rozświetla całe ujęcie.

Sirine trzyma fotografię obiema rękami, śmiech dziewczyny wzbija się w powietrze, rozbrzmiewa po wszystkich kątach i śpiewa w korytarzu, jej włosy, ciemne, ale dzikie i kręcone jak u Sirine, unoszą się i opadają, a oczy patrzą wprost na Sirine.

Sirine odwraca oczy od zdjęcia, a potem znowu na nie spogląda.

— Skąd to się wzięło? Gdzie to znalazłeś? — pyta psa, który teraz opiera się o jej nogę.

Przygląda się zdjęciu z bliska: ziarna na skórze dziewczyny, zmarszczka w rogu jej uśmiechu, skraj oka. Powoli zaczyna rozpoznawać: to ta sama kobieta, którą widziała na fotografii w pokoju Hana. Jego siostra? Z jakiegoś powodu ją to niepokoi. Skąd to zdjęcie się tu wzięło? Oddech gna w jej piersi.

— Co to jest? — pyta, a niecierpliwość zaciska jej gardło. Król Babar wpatruje się w nią, sapie i uśmiecha się.

Gdzieś spoza jej ciała napływa uczucie podobne do wibracji powietrza, drżenia ziemi. To ukryte zdjęcie jest jak czarna magia. Przychodzą jej na myśl czarownice, o których słyszała od

Um-Nadii: wstążka przywiązana do kołyski, żeby chronić dziecko, szczególnie sznur koralu, by wywołać określone duchy, zwierciadło, które jest dla nich przejściem. Przez chwilę zdjęcie migocze, przysłonięte światłem. Chyba nie jest bezpiecznie trzymać je w rękach. Ukrywa je w szufladzie przy łóżku.

Tę noc spędza znowu u Hana. Już ma powiedzieć coś o zdjęciu, ale nie robi tego. Śni jej się, że Han ma w ukryciu żonę, która ukradła chustę, a teraz sztydzi ją z Sirine, biegnie przed

nią, zbyt szybko, a chusta faluje z tyłu jak chorągiew. Wbiega z nią do oceanu, a fale rozrzucają długie, fioletowe szpulki piany.

Tej nocy, bardzo późno, budzi ją dzwonek telefonu. Sirine czuje, jak Han wyslizguje się z łóżka i skrada do salonu. Mówi po arabsku, głos unosi się i opada. Chociaż Sirine nie rozumie słów, słyszy w intonacji Hana coś tak łagodnego, błagalnego, że niemal może zobaczyć światła nad pustynnymi górami i czuje zapach prądów w rzece Tygrys. Myśli o wciśniętym do jej nocnego stolika zdjęciu, które śpiewa śmiechem.

Sirine leży bez ruchu, z szeroko otwartymi oczyma, nabiera w siebie ciemność. Oddech zwinął się w niej ciasno, ręce zacisnęła do środka. Kiedy była małą dziewczynką, a jej rodzice wyjechali do pracy, leżała samotnie i bezsennie w gościnnej sypialni domu stryja. W tych nocach izolacji był szczególny stopień samotności, rodzice znikali tak, jakby wcale ich nie było. Leżała, nie śpiąc i próbowała sobie wyobrazić, kim będzie, gdy dorośnie, jako trzydziesto-, czterdziesto-, pięćdziesięciolatka. To było jak spróbować zajrzeć na wskroś nieba, przez warstwy żółtej mgły, w jakieś odległe miejsce. Rozmawiała z tą przyszłą sobą, wyczarowywała swoje inne ja, które, jak czuła, już w jakiś sposób przy niej istniały. Kiedy rodzice wracali, zawsze byli podekscytowani na jej widok i zwykle przywozili jej jakąś dziwną, małą zabawkę z któregoś z krajów, gdzie pracowali — pewnego razu była to słomiana lalka z Indii, innym razem rodzaj kukielki z Tajlandii, narysowanej na papierze i umocowanej na długich kijkach. Sirine zawsze się zastanawiała, czy te zabawki były własnością chorych dzieci. Matka ścisnęła ją trochę za mocno i za długo, a ojciec wyglądał, jakby zostawił część siebie w miejscach, które właśnie opuścili, oczy miał puste, nie umiał do końca skupić wzroku na Sirine. Później zawsze wciskała te prezenty na dno kubła na śmieci za domem.

A teraz Sirine przysypia, na wpeł przysłuchując się kołysance płynnych dźwięków arabskiego, które wpływają do sypialni. Z tęsknotą myśli o swoim dawnym życiu przed Hanem, o spaniu w bezpiecznym, wąskim łóżku, o tym, jak Król Babar ogrzewał jej stopy. O stryju i jego ulubionej pomidorowej sałatce i o Um-Nadii z herbatą przyprawioną kardamonem i wszystko jest dobrze, tak jak zawsze było.

Kiedy Sirine znowu się budzi, słońce jeszcze nie wstało, ale w kuchni świeci lampa. Wstaje, ubiera się i wychodzi z sypialni. Han siedzi przy kuchennym stole, czytając „Los Angeles Times”. Sirine dostrzega na kartkach więcej ciemnych fotografii i odwraca od nich wzrok. Wtedy zauważa bladożółte gazetowe kartki pod stertą prac studentów.

— Co to? — pyta, dotykając brzegu strony. Han wyciąga i pokazuje jej.

— Och, to gazeta z Jerozolimy.

— Nie wiedziałam, że to czytujesz.

Han uśmiecha się, jakby sam był tym trochę zaskoczony.

— Zwykle nie. Ale widać czasem ogarnia mnie ciekawość. Wziąłem to ze stoiska z gazetami w miasteczku uniwersyteckim.

— Przeczytałeś to? Jest tam coś ciekawego? Teraz Han spogląda na nią uważnie.

— Właściwie nic. Czyli zbrodnie, jak zwykle. Interesujesz się polityką zagraniczną?

— Och, nie wiem. To znaczy wiem, że powinnam. — Sirine przypatruje się żółtawemu dziennikowi, zwiniętemu na pół na kuchennym blacie, zatartej fotografii, pajęczym arabskim znakom na stronach: to jak tajemny kod. Wykręca przeguby, pociąga sobie dłonie — to stary nawyk z dzieciństwa, kiedy wycierała ręce o fartuch z nadzieją, że bakława będzie chrupiąca, jagnię miękkie, a liście winogron się nie rozleczą. Han przygląda jej się przez chwilę, potem łagodnie nakrywa ręką jej dłonie.

— *Habibti*, o co chodzi?

Sirine opuszcza wzrok, wykręca ręce nad łokciami.

— Proszę, co?

Wreszcie spogląda wprost na niego.

— Muszę usłyszeć więcej — mówi drżącym głosem. — Jeszcze za mało o tobie wiem. Jeżeli my... jeżeli mamy... czymś mamy być. Potrzebuję więcej.

Han unosi dłonie, jakby składał ofiarę.

— Oczywiście. Co tylko zechcesz. Powiedz mi, co byś chciała wiedzieć.

Sirine odpowiada, unikając jego wzroku:

— Muszę wiedzieć więcej o kobietach w twoim życiu. — Han unosi jej dłoń i ściska mocno, jakby ją podtrzymywał, jakby nie pozwalał jej głowie opaść pod niewidzialną linię. I Sirine na wpół czeka, żeby się roześmiała albo żeby wyglądała na zaszokowanego, albo przynajmniej potrząsnął głową i powiedział: O czym ty mówisz, jakie kobiety?

Ale on tylko przytakuje, jakby to już znał, jakby czekał na taką prośbę, i mówi:

— Oczywiście, że ci powiem. Wszystko, co jest do opowiedzenia.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział dwudziesty

— Kiedy byłem dzieckiem — mruczy Han — gdy byłem bardzo młody, ja i mój przyjaciel Sami ciągle szukaliśmy sposobu, żeby się jakoś rozerwać. Mieszkaliśmy w małej wiosce na obrzeżach Bagdadu, a do mojego ojca należało parę akrów sadowniczej ziemi, gdzie uprawialiśmy cytryny, figi i oliwki. Ale zarazem żyliśmy na tyle blisko stolicy, że kiedy dozorca naszej studni, Abu-Nadźmeh, dał nam rowery, odkryliśmy, że bez trudu możemy popedałować do miasta, żeby odkrywać dzielnice i targowiska. Sami i ja staliśmy się poszukiwaczami przygód i zaczęliśmy zjeżdżać w dół alejami i przeciskać się przez zarośla. Nie mogłem się oprzeć. Bałem się nieznanego, ale stale mnie kusiły niepoznane ulice. I w ten sposób odkryliśmy basen przy Hotelu Wschodnim...

Jego rodzina nie była zamożna — nie starczało im pieniędzy na podręczniki dla Hana ani na to, żeby posłać do szkoły jego siostrę. Han uczył się przed domem, przy świetle ulicznej latarni, bo nie mogli sobie pozwolić na podłączenie prądu. Czasem przyglądał się ptakom, które nocą przefruwały nad jego głową, rybitwom o ostro wyrażonych skrzydłach i kosom z długimi piórami w ogonie. Przesuwał palcem po słówkach ze słownika, zapisanych w zeszycie, notował ulubione: *szelaal, asfur, mismar, szemsijja...*

W Iraku jego dzieciństwa wszystko działo się powoli. Żeby przejść z jednej strony sufitu w sypialni na drugą, jaszczurka potrzebowała całego biegu słońca. Nawet poranek się nie spieszył, powoli uwalniał światło, najpierw szare, potem niebieskie, zielone, a w końcu żółte. Han jednak był niecierpliwy, stale sobie wyobrażał wszystkie miejsca, do których chciał podróżować, życia, jakie sobie zaplanował.

Aż raz pewnego dnia on i jego przyjaciel Sami jechali na rowerach ruchliwą, nieznaną częścią miasta i zupełnie przypadkowo zauważyli rzędy szmaragdowozielonych drzew, przyciętych na kształt pudełek. Podkradli się bliżej i między liśćmi mignął im niebieski plasterek wody. Han poczuł, że obudził się w którymś z tych nowych czasów, nowych miejsc, o których śnił.

Samy trzymał się z tyłu, ale dla Hana te kolorowe kwiaty i pełne wdzięku palmy były równie znajome, co opowieści wujka o przygodach Sindbada. Samy wołał:

— Nie, nie, Han! — A tymczasem Han prześlizgnął się między krzewami i odkrył, że został przeniesiony do świata długich nóg, czerwonych paznokci, kryształowych oczu, rzędów bladych kobiet na leżakach ustawionych dookoła doskonałego księżycowego kręgu błękitnej wody.

Sami powoli ruszył za przyjacielem przez żywopłot. I obaj chłopcy, jedenastolatki, stanęli tam wpatrzeni i sparaliżowani. Z początku żadna z kobiet się nie poruszyła, a Han zastanawiał się, czy one są prawdziwe.

W końcu jedna z nich powoli sięgnęła, czym wystraszyła chłopców, i zsunęła ciemne okulary o centymetr w dół nosa, żeby na nich popatrzeć. Widział, jak jej lśniące wargi lekko się wykrzywiają, i wybuchnęła śmiechem, który brzmiał, jakby ktoś zadzwonił małym dzwonczkiem. I nagle wszystkie kobiety zaczęły się śmiać, powietrze wypełniły głosy dzwonek, a ich włosy i skóra połyskiwały jak klejnoty.

Kobieta w ciemnych okularach skinęła na Hana, a on posłusznie stanął obok niej. Jej włosy uniosły się, odbijając światło niby płomień.

— A więc, mój mały — powiedziała po angielsku, biorąc go za rękę — lubisz pływać?

Han uczył się angielskiego w szkole, a był dobrym uczniem. Zdał sobie sprawę, że rozumiał, co powiedziała, a jego oczy rozszerzyły się nadzieją. Popatrzył przez ramię. Pływał w rzece Tygrys i czytywał o zaczarowanych basenach z baśni tysiąca i jednej nocy, ale nigdy żadnego nie widział. Wyglądało to trochę jak staw, ale staw, który zstąpił z nieba, płynny szafir osadzony w marmurze.

— Tak — odparł cichym głosem. Sami gapił się z rozdziawionymi ustami, jakby widział Hana po raz pierwszy w życiu: on z nimi rozmawia! W ich własnym języku!

— Jaki zgrabny, przystojny chłopiec — powiedziała kobieta. — Jak masz na imię?

— Hanif — odpowiedział, wciąż cicho.

— No, Hanifie — rzekła — masz piękne oczy. Popatrz, Kay. — Obróciła Hanifa tak, by stał twarzą do kobiety na leżaku obok. — Spójrz na jego rzęsy.

Han nie widział nawet, czy ta sąsiadka w ogóle na niego spojrzała zza wielkich, czarnych szkieł.

— Skarbie — wycedziła leniwie — mogłabym go schrupać.

— No to już — zachęciła kobieta z płonącymi włosami.

Han zdał sobie sprawę, że powiedziała to do niego. Uniosła długą, lśniącą nogę, pierwszą nagą kobiecą nogę, jaką widział, i stopą wskazała wodę. — Naprzód, ktoś powinien zrobić użytek z tej bzdury.

Han spojrzał na Samiego, a potem odwrócił wzrok. Oczy mu się zaokrągliły, nie mógł wydusić słowa. Wiedział, jak bardzo Sami miałyby ochotę uciec. Ale Hanif chciał zostać.

Zsunął białą koszulę, poskładał ją i ułożył na trawie. Kobiety bez ruchu leżały na szezlongach, niektóre przerzucały kartki pism, a ospała nuda unosiła się nad nimi niby para. Okrążył basen po marmurowej okładzinie, nagrzanej od słońca, nieskończenie gładkiej, ale nie było tam żadnego wejścia, pochylonego brzegu ani skał. Przykucnąwszy, pochylił się nad brzegiem, nie zwracając uwagi na szeptane prośby Samiego, i wyciągnął stopę w kierunku błękitu. Ale jakiś cień na wodzie, może chmura, a może samolot, rozproszył go i Han stracił równowagę. Jego stopa płasko uderzyła o powierzchnię wody, która rozprysnęła się na milion płomiennych płytek, i wpadł do środka.

Otwarte oczy, otwarte uszy, otwarte usta, a na końcu kołyszące się włosy. Głowę wypełnił mu dziwny, podwodny puls i odgłos jego własnego, tętniącego ciała. Ciotka opowiadała mu, że woda, podobnie jak powietrze i ogień, ma swoje własne, wypełniające ją dziny. Jego płuca wybuchały, zatoki ogarniał ból, ale kiedy bąbelki się rozplynęły, wszystko, co widział, to był idealny świat, czysty i zimny i poprzecinany skośnymi żyłami światła. Kaszłąc, pierścieniem świetlistych kropelek odrzucając do tyłu włosy, wypłynął na powierzchnię i zawołał do Samiego:

— To fantastyczne! — a Sami podszedł do brzegu i patrząc na Hana, wskoczył do środka.

Przychodzili codziennie, wymykając się innym chłopcom. Obaj starannie składali koszule na trawie, a potem spędzali cały dzień w wodzie. Stali się akrobatami, zabawiali kobiety, stając na głowach i kręcąc młynki. Z biegu wskakiwali do basenu — przygarniając rękami kolana, frunąc wysoko w powietrzu — co łukiem opryskiwało leżaki. Kobiety piszczały i podnosiły ręce, jedna czy druga ze złością zatrzaskiwała swoje pismo i nakładała szlafrok.

Han poznał imiona kobiet z otaczającego brzeg basenu szeregu leżaków: Helga, Houlani, Dee Dee, Sarah, Dot, Gina, Kay, Renate, Connie, Dominique, Margaret, Ginger, Lisel, Pehar, Farnaz i Janet. Były żonami dyplomatów, przyjezdnych dygnitarzy, polityków i biznesmenów. Większość kobiet znad basenu nie miała ani pracy, ani własnych dochodów. Smarowały się

oliwką, czytały romansowe powieści i przechylały lusterka pod brodą. Hanowi z trudem przychodziło uwierzenie, że należą do tego samego gatunku, co kobiety z jego wioski, stale zajęte oczyszczaniem ryżu, ubijaniem pszenicy, zamiataniem podłóg, wyszywaniem pościeli, ze zgrubiałą skórą i oczyma promieniującymi zmarszczkami od patrzenia na pola i ściany akacji zwanej wielbłądzim kolcem piętrzące się w słońcu.

Kobiety nad basenem wydawały się Hanowi tylko na wpół ukształtowane, uwięzione między dzieciństwem i dorosłością — oczywiście były od niego starsze, ale smukłe niby dzieci, ze skórą delikatną jak u larw. I miały dziecięce humory — zachęcały Hana i Samiego, namawiały ich do robienia w wodzie sztuczek, ale potem nieodmiennie się nużyły i na nowo odwracały do swoich czasopism.

Janet nigdy nie wyglądała na znudzoną. Uważnie przyglądała się Hanowi, a przynajmniej taką miał nadzieję, bardziej uważnie niż Samiemu, który też był inteligentny i zabawny, i dobry z angielskiego, chociaż może nie mówił równie płynnie jak Han i nie był aż tak bystry. Każdego dnia, gdy obaj wreszcie wychodzili z wody, niebo wyglądało jak spuchnięte i zacienione, a powietrze późnego lata nadal było gorące. Skóra chłopców robiła się pomarszczona, szorty wisiały na ich kościstych udach. Janet przyniosła im dodatkowe ręczniki, miękkie i gęste jak śmietana, z wyszytym monogramem Hotelu Wschodniego.

Zainteresowała się Hanem. Różniła się od innych kobiet, chociaż może na pierwszy rzut oka wydawała się taka sama, z tym nastrojem zarazem nudy i oczekiwania. Ale Han zauważył, jak mrużyła oczy, gdy jej opowiadał o życiu poza basenem. Widział, że słucha.

Sami kładł się na swoim ręczniku, na spękanej, spalonej słońcem trawie, którą z takim trudem uprawiano, nawożono i przycinano, żeby otaczała marmurowe patio, i drzemał w słońcu. Ale Han siadał na marmurze obok leżaka Janet, krzyżował nogi i opowiadał jej o kunsztownych haftach, jakie jego siostra wyszywa na pościeli, o matczym mozolnym przesiewaniu soczewicy, o codziennym mieleniu przypraw: sezamu, tymianku, sumaka, o powietrzu wypełnionym palącą mgiełką. Powiedział jej, że jego matka, podobnie jak Janet, żyje w społeczności kobiet, oddzielonej od mężczyzn, którzy zajmują się inną pracą i mają własne rozrywki.

Janet roześmiała się, potrząsnęła lśniącymi włosami i spytała:

— Czy myślisz, że ja tak żyję przez cały czas?

A Han mrugnął niepewnie, bo tylko tyle o niej wiedział, więc założył, że Janet spędza życie w wiecznym lecie, w kostiumie kąpielowym, nad basenem.

Ale po dwóch miesiącach tej codziennej przyjemności Han i Sami przyszli pewnego dnia nad basen, gdzie nie było niektórych kobiet — ich leżaki zostały złożone i odstawione na bok. Kiedy Han o nie spytał, Janet westchnęła, oparła głowę na ręce i powiedziała:

— Bogu dzięki sezon się prawie kończy. Jedziemy do domu.

I w następnym tygodniu nie było już żadnej z kobiet, nawet Janet — zniknęły bez śladu i pożegnania. Chłopcy stali na niemym marmurowym kręgu, przy pustych leżakach, i tylko zimny kryształ wody był czysty i nienaruszony niby obce słońce.

Han wracał jeszcze do basenu kilka razy, chociaż powietrze robiło się wyraźnie chłodniejsze, a dni zaczęły się skracać. Ale kobiety się nie pojawiły. W końcu zniknęły leżaki, a nad basenem rozpostarto czarną, pomarszczoną pokrywę. Han i Sami wrócili do dawnej paczki przyjaciół. Ale w Hanie coś się zmieniło. Nie miał cierpliwości do kolegów, nie był zadowolony ani z nich, ani nawet ze szkoły, którą przedtem uwielbiał. Chociaż tak samo się ubierał i tak samo wyglądał, był odmieniony.

Zima przyszła i odeszła, minęły dwunaste urodziny Hana, niektórzy chłopcy zostali zabrani ze szkoły, żeby pomagać ojcom przy pracy. Han miał tego lata pomóc ojcu w sadzie. Czekał na to niecierpliwie. Wreszcie był dość duży, by pracować juk mężczyzna. Potem, na jesieni, miał wrócić do szkoły. Oboje, i ojciec, i matka, zauważyli jego niezwykle zdolności. Mówiło się nawet o tym, że w końcu zostanie posłany na bagdadzki uniwersytet, chociaż z pieniędzmi będzie problem, jak z naciskiem powiedziała matka. Och, z pieniędzmi zawsze jest problem, odparł ojciec.

Han zaczął pracować w sadzie, wspinał się na najwyższe, najgiętsze gałęzie oliwek. Pewnego ranka wcześniej rano, między snem i jawą, śnił o zbieraniu twardych, czarnych oliwnych jagód, gdy ktoś zastukał do okna. Han wstał, ziewając — to był Sami.

— Te panie — powiedział, a policzki miał różowe od potu.

— Wróciły!

Han wymknął się z domu i razem z Samim wyruszył w półmroku przedświt do basenu. Przepelzli przez żywopłot i ujrzeni składane leżaki znowu ustawione w krąg, na jednym przeciwsloneczne okulary, przy drugim delikatne zielone sandaalki — i miękkoszary, połyskliwy basen, z pokrywą zsuniętą niby stara skóra, wodę czystą i spokojną jak myśl.

Ale był pewien kłopot — Han i Sami mieli teraz po dwanaście lat i ojcowie spodziewali się, że zostaną w domu, żeby pomagać w polu.

Han zmyślił historię o specjalnym zebraniu w szkole, więc tego dnia mógł wcześniej opuścić sad. Po południu pojechał rowerem prosto nad basen i przywitał Janet. Potem drżącym głosem powiedział jej, że nie będzie mógł z nimi spędzić następnego lata.

Ale Janet otworzyła tylko słomianą torbę obok swojego leżaka i wyciągnęła z niej wyszywaną, bawełnianą portmonetkę, z której wyjęła kilka banknotów, i zapytała:

— Czy mógłbyś mnie nauczyć mówić po arabsku? Kiedy ojciec Hana zobaczył pieniądze i wysłuchał tego, co Han miał do powiedzenia, w pierwszej chwili był zdumiony, a nawet oburzony. Z trudem mu przychodziło wyobrazić sobie, czemuż to bogata Amerykanka miałaby płacić dwunastolatкови, żeby ją uczył języka. Wypytywał Hana:

— Jak się poznaliście? Kiedy? Jak to się stało, że zaczęliście ze sobą rozmawiać? Co na to jej mąż?

Han wbijał wzrok w ziemię. Nigdy nie spotkał męża Jane i chociaż nosiła obrączkę, wcale nie był pewien, czy taki mężczyzna w ogóle istnieje, a nie potrafił się zmusić, by dalej okłamywać ojca. Może nie była zameżna, przyznał Han, ale zawsze otaczały ją koleżanki.

— A ile tych koleżanek tam jest? — spytał ojciec. Han namyślał się przez chwilę.

— Może z czternaście albo piętnaście — stwierdził. Ojciec wybuchnął śmiechem.

— Czternaście albo piętnaście koleżanek? Zapuściłeś się do haremu?

A Han, który nigdy w życiu żadnego haremu nie widział, znał je tylko z opowieści, z książek takich jak *Przygody Sindbada Żeglarza*, zaczął się zastanawiać, czy właśnie to mu się nie przytrafiło.

Na szczęście jego ojciec nie był podobny do zwyczajnych ojców, którzy mogliby nie przystać na zwolnienie syna z pracy w polu. Wystarczyło mu raz spojrzeć na te wszystkie amerykańskie pieniądze i już wiedział, że jego syn zarobi po wielokroć więcej, ucząc tę kobietę, niż bosso na drzewach oliwnych. A co jeszcze ważniejsze, będzie pracował z Amerykanką, ojciec zaś czuł, że to może przed nim otworzyć różne perspektywy. Pozwolił, by jego pytania pozostały bez odpowiedzi.

Han skręcał w wąskich alejkach, wymijał wałęsające się psy i kury, nosiwodów i sprzedawców biżuterii, ostrzycieli noży i handlarzy owoców, kobiety taszczące na głowach kosze z chlebem, chłopców, którzy nieśli srebrne tace wypełnione szklankami i dzbankami z gorącą herbatą. Kierował rowerem jedną ręką. W drugiej trzymał blok czystych kartek, dwa ołówki, słownik arabsko-angielski i gruby podręcznik arabskiej gramatyki, by ją nauczyć pięknie uformowanych znaków fus-ha, czyli klasycznego języka arabskiego, mowy Koranu.

Sami nie miał tyle szczęścia. Ojciec zatrzymał go do pracy W polu, a Janet nie zaproponowała mu garści pieniędzy, żeby ją uczył. A więc co dnia Han samotnie gramolił się przez dziurę w żywopłocie, aby się spotkać ze swoją uczennicą.

Przez tydzień, a może nawet dwa, Janet przepisywała ćwiczenia, które wyznaczył jej Han, próbując nagiąć palce do zawijasów i kreseczek *alif, ba, ta...* starając się ułożyć wargi do gardłowych dźwięków litery *'ayn*, do chrapliwego *ghayn* i do ciężkiego *dod*. Nieodmiennie jednak, po jakimś kwadransie zmagania, zaczynała plotkować z przyjaciółkami o przyjęciach w ambasadzie. A Han wracał do basenu, żeby bawić kobiety fikołkami i nurkowaniem.

W ten sposób stworzyli świat idealny. Han pływał albo leżał na trawie, na hotelowym ręczniku, przysłuchiwał się rozmowie kobiet, wygrzewał w słońcu, a pod jego powiekami przesuwaly się przyprawiające o zawroty głowy powidoki wody i chlorowej mgiełki. Można było odnieść wrażenie, że są tam kobiety z każdego kraju świata, a on w ich towarzystwie rozwinął zdolności językowe. Kiedy przez kilka tygodni słuchał rozmów po niemiecku, w hindi albo po włosku, odkrywał, że zręby tego języka zagnieźdżały mu się w umyśle. Niektóre kobiety zwracały się do niego po angielsku, a inne we własnej mowie, i przekonał się, że jeśli słuchać uważnie, to znaczenie słów w końcu się ujawni, połyskując poprzez dźwięki niby owoce na ciemnych gałęziach.

Po dwóch tygodniach powtarzanych bez przekonania ćwiczeń Janet odsunęła książki i kartki i powiedziała do Hana:

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy zamiast tego ćwiczyli konwersację.

Han poczuł ulgę. Niełatwo było nakłonić Janet, żeby ćwiczyła alfabet, a za każdym razem, gdy ją nauczył nowej litery, zapominała tę, która była przedtem.

Ale jej zasób arabskiego ograniczał się jedynie do hotelowej recepcji: umiała spytać o owoce, lody, fryzjera, samochód, pokojówkę, ręczniki, wódkę, lakier do paznokci, kwiaty, koce i pralnię chemiczną, i niemal nieskazitelnie wymawiała po arabsku „chcę” i „daj mi”. Ale niezależnie od tego, jak długo z nią ćwiczył, nie potrafiła poszerzyć słownictwa. Konwersacje zostały zarzucone podobnie jak ćwiczenia pisemne, kiedy Janet uznała, że lepiej wykorzystają czas, doskonaląc angielski Hana i że będzie mu za tę przyjemność wypłacać stypendium.

Jesienią, gdy Han wrócił do szkoły, nauczyciele języków byli zdumieni postępami, jakie zrobił w angielskim, włoskim i perskim. A rodzina Hana korzystała z zarobków, które przynosił przez całe lato. Na stole pojawiły się przysmaki — sezamki, prasowane morele i freke z

wędzoną pierśią gołębią, a w stadzie przybyło owiec. Ojciec Hana z zadowoleniem przystał na to, by taka sytuacja trwała również następnego lata.

— Tak długo, póki twoja znajoma potrzebuje lekcji — zdecydował, uciszając matkę.

Czasami pustynne wiatry kopały w górę piasek z miejsc odległych o mile i kręciły nim w powietrzu, a czasem grzmot wrzał na niebie. Ale najczęściej były to długie, gorące, przezroczyste dni pływania i rozmów. Janet sprawiała wrażenie zafascynowanej tym, co Han opowiadał jej o świecie poza basenem, i zadawała wiele pytań. Ona z kolei mówiła o swoim życiu w miejscu, które nazywa się Lincoln w Nebrasce, o płaskich jak stół polach wypełnionych rzędami kukurydzy, obsadzonych akrach, które zaczynały się tuż za tylnymi drzwiami jej domu, i o tym, jak otwarta pustynia przypomina jej te równiny.

Pod koniec ich trzeciego lata zaczęły się rozmowy o rewolucji w Bagdadzie. Uważano, że władca jest skorumpowany, Irakijczycy zaś z idealistyczną nadzieją pragnęli nowych rządów. Ale ojciec Hana nie był przekonany, czy nowa partia okaże się sprawiedliwsza i bardziej skuteczna, i mówił to przy rodzinnym stole i w miasteczku. Z kolei sąsiedzi zaczęli rozprawiać o tym, że Han, w odróżnieniu od innych chłopców, nie musi pracować w sadzie. Zawsze uważano, że rodzina Hana trzyma się trochę na uboczu, a teraz patrzono na nich z otwartą podejrzliwością i niechęcią — dlaczego na ich pastwisku są nowe owce? Wszyscy zaczęli plotkować o tym, że Han codziennie gdzieś jeździ na rowerze, a koledzy nazwali go Sokolim Okiem.

Kiedy znowu spotkali się latem, w czternastym roku życia Hana, Janet robiła wrażenie podenerwowanej i myślami była gdzie indziej. Jej mąż rozważał przeniesienie na nową sezonową placówkę, bo sytuacja polityczna w Iraku była niestabilna. Janet i jej przyjaciółki szeptały, zatroskane. Kilka innych kobiet nie wróciło tego lata, nastrój nad basenem się zmienił. Han także zaczął się zmieniać. Rósł, a całe dni spędzone na pływaniu obdarzyły go szerokimi ramionami, silnym grzbietem i długim, muskularnym wcięciem w pasie. Wyglądał już raczej jak mężczyzna, niż jak chłopiec. Zauważył, że kobiety przyglądają mu się, gdy wychodzi z wody, a nie tylko przy nurkowaniu. Niektóre zaczęły się otulać szlafrokami, kiedy przechodził, gdy tymczasem inne odkrywały nogi. Zauważył, że jego cień stał się szerszy i dłuższy, płaski odciśnięcie mokrej stopy większy.

Wewnątrz jego głowy także coś się działo. Rozmawiał z Janet jak zwykle — ona wylegiwała się na leżaku, połyskiwała kropelkami oliwki dla niemowląt, a on, długonogi, rozciągał się na ziemi, na ręcznikach.

Ale oczy Janet często robiły się miękkie i połyskliwe, i nabrała zwyczaju zakręcania pukla włosów na czubku palca, kiedy z nim rozmawiała, jak hipnotyzer, który kołysze zegarkiem na łańcuszku. I Han zauważył, że kiedy ją opuszcza wieczorami, by wrócić do rodziny, wciąż jeszcze o niej myśli. W jego pamięci oczy Janet były szersze i głębsze niż w rzeczywistości. I z jakiegoś powodu myślał nie o basenie, ale o wielkim zielonym oceanie, z jego wędrownymi szczytami i białymi zasłonami, głębokimi studniami i jedwabistymi falami i z jego odległym spojrzeniem.

Pewnego popołudnia późnym latem Janet położyła umalowane końce palców na przegubie Hana i zapytała cicho, czy wróci nad basen tego wieczoru. Miała mu coś ważnego do powiedzenia.

Nigdy przedtem nie przychodził po zmroku nad basen i musiał podać jakąś wymówkę, żeby rodzice pozwolili mu wyjść. W żadnym razie by się nie zgodzili, aby w nocy spotykał się z kobietą. Wymyślił więc inną opowiastkę — tym razem jego przyjaciel Sami był chory i Han chciał do niego zajrzeć. Kiedy to mówił, ręce mu drżały, więc schował je za plecami. To było desperackie kłamstwo, prawda łatwo mogła wyjść na jaw. Matka uniosła brew i popatrzyła na ojca, ale ten tylko skinął głową.

A więc Han wyszedł wieczorem tuż po kolacji, kiedy wszystkie rodziny były razem w domach, a chłopcy leżeli już w łóżkach, żeby nabrać sił na długie godziny w polu i w sadach. Rowerem zjeżdżał w dół skośnych błękitnych rogów i alej Bagdadu. Widział mrugające w ciemności oczy, uliczne latarnie oświetlały jakąś dłoń, jakieś usta.

Przemierzał miejską noc z drzeniem, ale wkrótce wypatrzył małą wyrwę w żywopłocie, zsiadł z roweru i wpelzł do środka.

Jego oczy potrzebowały chwili na przyzwyczajenie się, bo chociaż noc wokół basenu była ciemna bez żadnego szwu, sama woda połyskiwała niby mała planeta. Światła, umieszczone wokół obrzeża basenu i wewnątrz niego, wysyłały przez nią pasma turkusowego światła. Instynktownie obrócił się w stronę szezlonga Janet, ale nikogo tam nie było i przez chwilę pomyślał, że sobie z niego zakpiła, że tak naprawdę wcale nie zamierzała przyjść.

Jednak po chwili samotnego stania i przypatrywania się rzędom pustych leżaków Han poczuł się, jakby coś pełzło mu po ramionach i karku — zupełnie, jak gdyby ktoś zakradł się z tyłu i dmuchnął na jego skórę. I usłyszał, że głos tak złocisty i łagodny, jakby przemówił sam księżyc, woła jego imię. Obrócił się, a tam, na drugim końcu basenu, zanurzona do ramion, była Janet. Końce jej rozpuszczonych włosów unosiły się w szafirowej wodzie.

Lato po lecie oglądał ją w skrojonych z amerykańska kostiumach kąpielowych, ale przez cały ten czas ani razu nie widział jej w wodzie. Przykucnął na brzegu basenu. Obserwowali się, a potem, bez uprzedzenia, Janet zanurkowała, a w jego uszach zaczął narastać odgłos oceanu, który słyszał od tygodni, a może od lat. I jakby nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia, zanurkował za nią.

Miał czternaście lat. Popłynął do Janet — nie miał pojęcia, w jakim mogła być wieku. Dwadzieścia trzy lata, trzydzieści, trzydzieści pięć? Pierwszy raz pocałowali się pod wodą, w zwodniczym świetle. Han wyskoczył na powierzchnię, młot uderzał w jego sercu i płucach, z podniecenia kręciło mu się w głowie. Okrążył ją, objął ramionami, a ona pozwoliła, żeby zbił ją z nóg, ramionami ciasno oplótła mu żebra. Trudno było powiedzieć, czy robią to na poważnie, czy się wygłupiają, nawet kiedy rozwiązała sznureczki swojego kostiumu i w jego dłoniach błysnęły jej małe piersi i jasny brzuch. Nawet kiedy prowadziła go w siebie, nadal w basenie, pokazując mu jak i kiedy, i gdy on przez pomyłkę wyszeptał swoje uczucia po arabsku, a ona potrząsnęła głową i powiedziała:

— Nie, mów po angielsku — nawet wtedy to wszystko wydawało się zabawą.

Dopiero później, gdy wyciągnęli się na leżakach, gdy on zarzucił nogę na jej nogi, a ona oparła mu rękę na ramionach, popatrzył z bliska w jej twarz i przekonał się, że to nie była gra.

Powiedziała, że jej męża przenoszą. W Bagdadzie nie byłiby bezpieczni — monarchia wkrótce zostanie obalona i amerykański konsul ostrzegł, że konsulat nie może im zagwarantować bezpieczeństwa. Szeptała, że nie wie, jak długo jeszcze pozostaną w mieście. Han rozejrzał się dokoła, ale dostrzegł tylko obwód siatki, gęste krzewy i porcelanowy księżyc. Było jeszcze za wcześnie, by mógł pojąć jej smutek. Wciąż czuł naelektryzowanie miłosnym zbliżeniem, umysł miał jak osmalony, ciało tliło się w miejscach, gdzie przed chwilą się dotykali.

— *Habibti*, moja ukochana — powiedział, ale czuł się, jakby wypróbował tylko słowa, które znał z piosenki. Miał wrażenie, że mógłby się rozpuścić, że powietrze i deszcz mogą przenikać przez jego ciało. — Jestem taki szczęśliwy — wydukał wreszcie.

— Szczęśliwy? Ale to nie miało się wydarzyć! — zawołał nagle, prostując się.

Uniósł głowę.

— Co ty mówisz? Co nie miało się wydarzyć?

— Och, Boże. — Przysłoniła oczy dłonią. — Han, czy *ty* nie rozumiesz? — spytała. — Jestem szczęśliwą mężatką a ty... ty jesteś załedwie chłopcem.

Usiadł. Wpatrywał się w nią.

— Ale gdy sobie uświadomiłam, że mogę cię już nigdy więcej nie zobaczyć, to... nie mogłam tego znieść. I kiedy cię zobaczyłam, stojącego przy brzegu basenu... byłeś taki wysoki i przystojny, przypominałeś mi mojego męża z czasów, kiedy się poznaliśmy. Byliśmy niewiele starsi niż ty teraz.

Nie był pewien, czy to z powodu nocnej bryzy, owiewające mu wilgotną skórę, ale zaczął się trząść. Zęby mu szczękały Patrzące bez mrugnięcia oczy Janet przypominały dym, a jej skóra była tak blada, że w ogóle nie wyglądała na skórę. Zapytała, co mu się stało, gdy z wolna się wycofał, wysunął z jej rąk Oparła się na łokciu, jakby nogi nie mogły unieść ciała i może to z powodu wstrząsu, ale na jej twarzy pojawił się lekki uśmiezek.

— Dokąd ty idziesz? — zapytała, jakby nie mogła uwierzyć, że odchodzi.

Drżał już tak mocno, że nie był pewien, czy uda mu się z powrotem przejść przez otwór w żywopłocie. Czuł, jak rower się telepie, koła zgrzytają, jaka luźna jest kierownica, ale kiedy wsiadł, dygot zaczął ustępować i rower zaniósł go poprzez cienie.

Ojciec był rozczarowany, kiedy się dowiedział, że lekcje języka dawane Amerykance niespodziewanie się zakończyły. Han tłumaczył, że jego uczennica biegle mówi już po arabsku i poznała wszystko, czego mógł ją nauczyć. Ojciec nie dowierzał, protestował — przecież uczeni poświęcali zgłębianiu języka arabskiego całe życie i wielkie biblioteki. Han wzruszył ramionami i odparł, że w takim razie to on powinien więcej się uczyć. Matka, która od początku podejrzliwie traktowała tę sprawę, wyciągnęła ramiona i położyła sobie głowę syna na podłokiu. Głaskała go po włosach, mówiąc do ojca: *khullus*, to już skończone i tym lepiej. Potrzebujemy go w domu, tam gdzie jego miejsce.

Następnego dnia i w dniach, który przyszyły po nim, Han budził się z myślą o Janet i o basenie, a potem wracały do niego jej oczy ducha i wstrząsające słowa. Z wolna odgłos oceanicznego pływania zniknął z jego świadomości, aż stał się tylko odległym pulsowaniem.

Wstawał jeszcze przed wczesnym letnim słońcem, nakładał robocze ubranie i ruszał do sadu. Ale każdego dnia, gdy słońce wdrapywało się nad głowy i prażyło srebrzyste liście i ciemne oliwki, Han w końcu trafiał z powrotem do domu, zakradał się do kuchni, gdzie matka i siostra siedziały z kobietami z sąsiedztwa, wygniatały na stole ciasto i przygotowywały kolację, a wszystkie się śmiały i snuły opowieści. Twarz Lejli rozświećlała się, gdy jej brat pojawiał się w drzwiach. Dzielila z nim krzesło — wspólnie zajmowali akurat tyle miejsca, żeby się na nim zmieścić. Kobiące głosy pocieszały go i uspokajały.

Ojciec i matka wiedzieli, że zaniedbuje swoje obowiązki, a potrzebowali go w polu, skoro zabrakło pieniędzy, które przedtem przynosił. Ale raz jeszcze zostawili mu trochę swobody, bo dobrze widzieli, że od zakończenia lekcji arabskiego cierpiał z powodu jakiejś wewnętrznej rany, o której nie mógł żadnemu z nich opowiedzieć.

Pewnej nocy, gdy lato miało się ku końcowi, księżyc wisiał na niebie gorący, okrągły i pomarańczowy. Rodzina właśnie skończyła kolację, ale zamiast sprzątać naczynia, wszyscy zostali przy stole, rozmawiając. Ojciec opowiadał im historię stryja Amuna, który do połowy przeszedł pustynię w drodze do Mekki, po czym zrezygnował i postanowił iść z powrotem. Słyszeli odgłos cykających w ciemności skrzydlatych owadów i żbika, który krzyczał jak niemowlę.

Nagle rozległo się stukanie do drzwi.

— Ja otworzę — powiedziała Lejla.

Ojciec odparł, że sam zobaczy, kto to. Już za późno, żeby dziewczynki otwierały drzwi.

Była to kobieta ubrana w kompletny hidżab: gruba czarna chusta całkowicie okrywała jej głowę i twarz, a czarny płaszcz otulał ją od szyi po kostki. Miała też białe rękawiczki i wysokie czarne buty. Ojciec zaprosił ją, by weszła, i od razu było widać, że to nie jest Arabka — była za wysoka i nie poruszała się jak arabskie kobiety. Kiedy zaczęła mówić po angielsku, Han rozpoznał w niej Janet.

Posadzili ją przy stole, zerkali po sobie i pospiesznie uprząтали naczynia, pytając, czy chciałaby coś do jedzenia albo do picia. Ale ona odmówiła wszystkiego, co proponowali, i napiętym, niecierpiącym zwłoki tonem oświadczyła, że musi z nimi omówić sprawę zasadniczej wagi.

Han zamarł przy stole, kolana miał wiotkie, wnętrza dłoni szczypały go od potu. Choć niewiele wiedział o tym, jak dzieją się podobne rzeczy, zastanawiał się, czy ona nie zaszła w ciążę. Może zastanowiła się nad znaczeniem ich wspólnej nocy — sam raz po raz to robił — i uznała... że co? Że została wykorzystana i porzucona, może nawet zgwałcona? A może chciała go odzyskać.

Serce tłukło mu się w piersi, kiedy słuchał tego, co mówiła. Był tak zdenerwowany, że z trudem udawało mu się dosłyszeć jej słowa. Jego rodzice znali niewiele angielskiego, więc oszołomiony ze wstydu Han zdał sobie sprawę, że musi tłumaczyć, co powiedziała. A kiedy mówiła, pojął, że przyszła do nich z pewną propozycją.

Najpierw przedstawiła się jako kobieta, której Han dawał lekcje.

Han ma wspaniały umysł, powiedziała, jest znakomitym, szlachetnym nauczycielem, jest niezwykle i jego talenty powinny zostać dostrzeżone. Han wymamrotał te słowa po arabsku, z ciemnym rumieńcem, a tymczasem jego rodzice przytakiwali zadowoleni, chociaż zarazem wytrąceni z równowagi tą niesłychaną wizytą. A więc, ciągnęła zza kwefu, ona i jej mąż postanowili ustanowić stypendium, aby wysyłać wybitnych uczniów, takich jak Han, do specjalnej prywatnej szkoły w Kairze — miejsca, gdzie królowie i dyplomaci posyłają synów, by uczyli się o dyplomacji i społeczeństwie i przygotowywali się do studiów na najlepszych uniwersytetach świata.

Han tłumaczył, a jego dłoń zaciskała się na brzegu siedzenia. Ręce i plecy mu zeszywniały. Matka łagodnie położyła dłoń na jego ramieniu, a siostra — na rękę.

— No cóż — ojciec przemówił w końcu po arabsku do Hana. — Powiedz jej tak: Niewątpliwie dała nam pani dużo do myślenia. Nie trzeba dodawać, że tak hojna oferta nas oszłomiła. Ale takiego kroku nie podejmuje się lekkomyślnie. Kair leży bardzo daleko stąd, a Han wciąż jest jeszcze bardzo młody. Nigdy nie wyjeżdżał z domu. Wiele rzeczy trzeba rozważyć, a wśród nich ważne jest też, czego pragnie sam Han. — Przetłumaczył to z pochyloną głową i płonąca twarzą.

A wtedy jego matka uśmiechnęła się, jakby coś sobie przypomniwała, podniosła wzrok i także po arabsku odezwała się wprost do Janet:

— Han nam mówił, że posiadała pani całą jego wiedzę. — Urwała na chwilę, a Han tłumaczył. Potem uniosła brwi, pochyliła się do przodu i zapytała bardzo wolno i wyraźnie: — Jak tam z pani arabskim?

Han zamilkł, nie tłumaczył, wstrzymał oddech, zaciskając zęby. Janet obracała się od Hana do jego matki, aż w końcu wesoło zapytała po angielsku:

— Co?

Rodzina pozostała przy stole, gdy Han odprowadzał gościa. Nie miał zamiaru przyjmować tej dziwacznej propozycji i nie planował rozmawiać z nią poza uprzejmym „Dobranoc”. Ale kiedy doszli do wyjścia, popchnęła go na zewnątrz i zatrzasnęła za nimi drzwi. A potem wyszeptała:

— Mój mąż nas widział w basenie.

Powietrze załało klatkę piersiową Hana. Szeroko otworzył oczy. Nocne niebo zrobiło się dwa razy większe, wystawały z niego wielkie, ostre białe gwiazdy.

— Nie martw się. — Gdy dotknęła jego ręki, przebiegł go elektryczny prąd. Han odskoczył. — Przyglądał się z jednego z okien w hotelu i nie był pewien, co właściwie widział. Myślał, że to tylko dwoje dzieciaków wygłupia się w wodzie, ale potem ja weszłam w mokrym kostiumie kąpielowym.

Han wpatrywał się w nią, wściekły na siebie, że mógł sobie w ogóle wyobrazić między nimi coś w rodzaju romansu. Był tylko czternastolatkiem, ale w tej chwili poczuł się, jakby żył od tysiąca lat. Przez cały czas miał wrażenie, że ona go wykorzystuje, chociaż nie wiedział, jak ani czemu.

— Tylko że nie widział twojej twarzy — ciągnęła Janet. — Ale rozpoznał, że jesteś Irakijczykiem. I przysiągł, że tym razem dowie się, kto to, niezależnie od tego, co mu wmawiam.

— Tym razem? — Gwiazdy zawirowały na niebie, zostawiając za sobą długie białe ogony.

Wygładziła szwy swojego hidżabu.

— Myślisz, że mnie jest łatwo tak żyć? Spędzać całe miesiące w samotności, w zapomnianych przez Boga miejscach, takich jak to? — Popatrzyła dookoła, na zbieraninę małych domków, na nieoświetloną ulicę. — Byli w moim życiu inni mężczyźni — powiedziała łagodnie. — I on o tym wie. Ale nigdy wcześniej nie widziałam, żeby tak go to ubodło. Może dlatego, że jesteś Arabem — zastanowiła się. — Ogarnęła go obsesja, koniecznie chce się dowiedzieć, kim jesteś. Może narobić wiele kłopotów. No i słyszeliśmy, że w tym kraju wszystko się zmieni. Słyszeliśmy, że ktoś nowy dojdzie do władzy, kolejny zamach stanu. Najlepiej, żebyś stąd na jakiś czas zniknął. Pozwól, żebym cię wysłała do tej szkoły. Mam mnóstwo pieniędzy, tym się nie ma co przejmować. Proszę. — Dotknęła jego ręki, a on tym razem nie zdołał się odsunąć. — To coś, co chcę zrobić.

— A ty zawsze dostajesz to, czego chcesz, prawda? — spytał. Odwrócił się, żeby odejść, ale ona chwyciła go za rękę z niespodziewaną siłą.

— Han, proszę! — powiedziała błagalnie. — Sytuacja jest poważniejsza, niż ci się zdaje. Czego chcesz? Powiedz mi tylko, czego chcesz, a ja to zrobię.

— Czego chcę? — uśmiechnął się na ten dziwaczny pomysł. — No dobra, chcę odpowiedzi. Powiedz mi, dlaczego, ze wszystkich mężczyzn i wszystkich chłopców, właśnie mnie musiałaś to zrobić?

Odepchnęła kaptur kwefu, odsłaniając twarz. W cieniu jej oczy przypominały atrament. Uniosła jego rękę tak, że rozlało się po niej światło księżyca.

— Wystarczy na ciebie spojrzeć — rzekła najłżejszym głosem. Podniosła jego rękę, jakby to było cenne dzieło sztuki, ciemna pozłota skóry w jej zgiętych białych palcach. — Popatrz na siebie!

Sirine wpatruje się w łuk pleców Hana w świetle wczesnego poranka. Siedzi odwrócony, palcami przetykając włosy. Zamilkł.

— I co się stało? — pyta go łagodnie.

— Co się stało... — obraca się do niej, ale Sirine nie umie rozpoznać wyrazu jego twarzy, tylko unoszenie się i opadanie ramion. — Nic. Reszta mojego życia. — Przerywa. — W końcu ojciec zdecydował za mnie, matka nie odzywała się, a siostra przepłakała lato, aż do dnia, gdy wyjechałem. Wiedzieliśmy, że wszystko się zmienia. Partia Bas pchała się we wszystkie sprawy naszego życia, od mediów przez sztukę do szkół, zwłaszcza szkoły były pod nadzorem, i ojciec się martwił, co się może stać z chłopakiem takim jak ja, płynnie mówiącym innymi językami. Mogłem trafić do więzienia, ale bardziej prawdopodobne, że zwerbowałiby mnie do partii. Tydzień po odwiedzinach Janet nasz nauczyciel matematyki został usunięty, podobno dlatego, że jego żona należała do Islamskiego Ruchu Feministycznego. Zastąpił go człowiek bez żadnego pojęcia o matematyce, za to zagorzały zwolennik Bas.

Więc wyjechałem do tej prywatnej szkoły, i to była moja pierwsza ucieczka z Iraku. Szkołę wypełniały dzieci z bogatych rodzin. Zawsze byłem przekonany, że nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia — dodaje niespodziewanie rzeczowym tonem. — Tak samo, jak z tą nocą w basenie.

— Jak ci się tam podobało? — Sirine czuje, jak jego palce muskają jej skronie, a potem suną przez włosy.

— Dla mnie wszystko się tam zaczęło. Podobanie czy niepodobanie nie miało tu nic do rzeczy. To było raczej jak siła żywiołu. Wielka i nieunikniona. Szkoła miała wydział brytyjski i amerykański, zajęcia prowadzono po angielsku, a lekcje historii dotyczyły historii Zachodu, literatura była o literaturze Ameryki i Wielkiej Brytanii. Nie kwestionowałem tego. Nie pochodziłem z zamożnej rodziny, ale czułem się znacznie starszy i bardziej doświadczony niż te wszystkie dzieci. One były takie... miękkie i nieuformowane. Pewnie nawet im trochę zazdrościłem niewinności. Wstydzilem się tego, co zaszło między mną i Janet, czułem, że to w jakiś sposób była moja wina.

— Twoja wina! Miałeś czternaście lat. Han leciutko się uśmiecha.

— Wpojono mi przekonanie, że to zawsze mężczyźni są uwodzicielami. Naprawdę sam w to nie mogłem uwierzyć: że byłem zdolny zrobić coś takiego, i to jeszcze z mężatką, i nie czuć ani trochę żalu. Kiedy trafiłem do szkoły, uczyłem się z całych sił, pewnie w taki sposób chciałem odpokutować. Nauczyciele zauważyli moje zdolności i zachęcali mnie. Chyba zostałem wystrzelony z orbity mojej rodziny i domu. Może stałem się kimś innym, niż było mi przeznaczone. Nie wiem. Zastanawiałem się nad tym.

Sirine próbuje go dotknąć. Sięga do przodu, ku jego twarzy, ale on podnosi się, a jej palce muskają powietrze.

— Dla mnie jesteś taki, jak trzeba — mówi do niego.

— Nigdy więcej jej nie zobaczyłem — cicho odzywa się Han. I odwraca wzrok w stronę kąta pokoju, a Sirine wie, że znowu miał na myśli tę Amerykankę. — Czasami, nawet teraz, mam sen, w którym znów jestem w swoim pokoju, w Iraku, a Janet dalej czeka na mnie w basenie. Ale nigdy do niej nie wracam.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Camille i Napoleon Tu Był znaleźli się na pustyni jak na mieliźnie, pospołu z równie zagubionymi błękitnymi Beduinami. Próbowali wszystkich znanych Beduinom sposobów odnajdywania drogi: kierowali się według słońca, księżyca, gwiazd, wody, wiatru, cieni, szli nawet linią, którą kreśliło poranne pochylenie wielbłądów i wieczorny skos płomieni w ognisku. Ale te ścieżki nigdy nie prowadziły tam, dokąd chcieli zostać zaprowadzeni. Stracili grunt pod nogami, znaleźli się zbyt daleko od swoich handlowych szlaków. Po miesiącach bezowocnej wędrówki wydawało się, że nigdy nie odnajdą powrotnej drogi do domu. I kiedy właśnie sądzili, że nie ma już nadziei, Camille westchnęła i rzekła:

— Gdyby tylko ta okropna syrena, Alif z Krainy Na, nie postanowiła ukraść mi syna, wszystko to by się nie zdarzyło!

Na te słowa jeden z najstarszych Beduinów, mężczyzna tak wiekowy, że niemal cały błękit wyciekł z jego skóry, o długiej szepcącej twarzy i rozbieganych małych oczkach, piskliwie zaintonował:

— Alif z Krainy Na! Ja też znam jedną Alif z Krainy Na! To chyba nie może być ta sama, jak myślisz? — I nie bez powodu o to zapytał. W końcu wiesz, jak to jest, mówisz komuś

w Azerbejdżanie, że jesteś z Teksasu, a on odpowiada: Z Teksasu? A znasz Joe Smitha? On jest z Teksasu!

Ale stary Beduin przykuł uwagę Camille, która odparła:

— Jeśli ta Alif, którą znasz, to podstępna, zmieniająca postać syrena, to na pewno mówimy o tej samej.

— Znaczy to ona, jak najbardziej — orzekł stary Beduin. — I jeżeli nie zmieniła adresu, to nawet wiem, że mieszka niedaleko.

I wyjaśnił, że opuściła Krainę Na, żeby prowadzić pustelnicze życie w zakolu Synaju, i że zadomowiła się w przytulnym mieszkanku, w jaskini pomiędzy pustynią i morzem.

Wyruszyli. Camille, pies i Beduin, na kolejny długi spacer, który trwał dniami i nocami, dniami i nocami. Aż wreszcie dotarli do miejsca dokładnie w zakolu Synaju, gdzie wyniosłe ściany klifu z piaskowca pionowo unosiły się z Morza Czerwonego. I wiedzieli, że to właściwe miejsce, bo kiedy przybijały fale, niczego nie dało się usłyszeć. Ale gdy się cofały, podobny do aksamitnego połysku dźwięk rozbrzmiewał echem po jaskiniach koloru fiołków, którymi nabitą była fasada klifu, i okrywał całą ziemię.

Wszystkie oczy rozszerzyły się, kości zaczęły tańczyć w ich ciałach i czuli się, jakby coś im wyrywało serca z piersi.

— Oto i ona — oznajmił stary Beduin. — Oto Alif z Krainy Na. Przyzywa nas.

Czegoś podobnego Camille jeszcze nie słyszała. I chociaż umysł jej mówił, żeby uciekała najszybciej, jak potrafi, jej ręce rozpoczęły wspinaczkę, a nogi ruszyły za nimi. Zupełnie tak samo jest, kiedy się zwiążesz z niektórymi uczuciowymi czarownicami z czarodziejskimi dreszczkami, prawda? Rozum coś mówi, ale ciało zdecydowanie się nie zgadza.

Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, Camille uległa zakłęciu syreniego wołania — dźwięku, w którym jest aromat jagód, czekolady i mięty, który smakuje solą, oliwą i krwią, który brzmi jak pomruk serca, przepływ chmur, wezwanie do modlitwy, imię umiłowanego i odległe dzwonięcie w uszach. Ale Camille nie straciła głowy, bo — pamiętaj o tym — sama była po części syreną i znała parę sztuczek.

I gdy błękitny Beduin trzymał się z tyłu, perląc się błękitnymi perlami potu, Camille i Napoleon dotrzymywali sobie kroku. Znaleźli wąską półkę, co się wiała wzdłuż płaszczyzny klifu. Dawała tylko najszczuplejsze oparcie, kruszyła się i wdrapywała między kępami szaławii i palącymi skałami. I w najkruchszym, najbardziej prostopadłym i stromym miejscu Camille podniosła wzrok i dostrzegła wejście do najczarniejszej, najgłębszej jaskini. W powietrzu drża-

ła woń róż i Camille musiała się chwycić kościstego łba Napoleona, by utrzymać równowagę i nabrać odwagi.

Powietrze było tu rozrzedzone, a dźwięk jeszcze jaskrawszy i Camille mogła się obrócić na pięcie i uciec, ale wpatrywała się w wejście do jaskini, teraz odległe zaledwie o parę metrów. Aż do tego miejsca podtrzymywała ją na duchu myśl, że tak naprawdę nie ma takiego zwierzęcia jak syrena. Oczywiście jest Matka Wszystkich Ryb, bo przecież każdy musi mieć matkę. I są dżiny, nimfy i sylfidy, no bo przecież one są wszędzie. Ale syrena? Co za bzdura! Aż do chwili, gdy, jak mówię, zdarzyło jej się podnieść wzrok i ujrzeć wysuwający się z wejścia do jaskini połyskliwy, opalizujący, morskozielony ogon.

To nie całkiem tak, że coś się zmieniło, myśli Sirine. Ma nadzieję, że się myli — ma nadzieję, że nie zmieniło się nic. Kiedy go prosiła, żeby jej opowiedział o kobietach swojego życia, myślała, że to ją może uspokoić. Ale tej nocy, gdy powiedział jej o amerykańskiej kobiecie imieniem Janet i o basenie w Hotelu Wschodnim, leży bezsennie, chociaż Han już zasnął, całkiem rozbudzona nasłuchuje ciszy w pokoju, wpatruje się w ciemność. To uczucie nie musi być złe ani złowróźbne, chociaż niekoniecznie zawiera się w nim nadzieja i oczekiwanie, ale na pewno jest to stan wzmożonej czujności, rodzaj czekania, a koncentracja unosi się na powierzchni jej ciała niby ważka.

Przez cały następny dzień łapie się w pracy na tym, że myśli o kobiecie z opowieści Hanna, i nagle sobie uświadamia, że oddycha szybciej, a serce jej łomocze. Wpada w restauracji na zamknięte siatkowe drzwi, potyka się na lekkim wzniesieniu progu między dwiema częściami kuchni. Pod koniec dnia jej ręce pokrywają małe czerwone przypalenia od grilla, a oba kciuki ma rozcięte nożem. Unika Um-Nadii ze strachu, żeby nie dodała jej obrażeń w jedną sumę. Ale wieczorem, gdy już zamyka, a w restauracji nie ma nikogo oprócz Cristobala, który wyciera podłogę w tylnej kuchni, uderza czołem o wiszący garnek — garnek, który omija niemal codziennie od lat. Tępe dzwonienie rezonuje aż po potylicę. Sirine kładzie rękę na blacie, ból zaczyna migotać na jej czole. I nagle pojawia się Aziz, wślizguje się za bar, bierze Sirine za rękę, prowadzi do krzesła i znajduje zimną szmatkę, żeby ją mogła przyłożyć do głowy.

— Co ty tu robisz? — przyciskając okład, pyta Sirine, zbyt zawstydzona, żeby popatrzeć prosto na niego.

Aziz przykuca i ustawia się tak, by nie mogła umknąć mu spojrzeniem.

— Przyszedłem, żeby ci zrobić mokry okład.

— Dziękuję.

— Dobrze się czujesz? Sirine macha ręką.

— To jest... — Głos jej słabnie. — To się zdarza bez przerwy.

— Właściwie przyszedłem zapytać, czy pójdziesz ze mną obejrzeć wirujących derwiszów.

I może sprawiło to uderzenie w głowę, a może dobroć Aziza i łagodność jego dłoni, gdy się o nią zatroszczył, ale Sirine uśmiecha się do niego i odpowiada:

— Jasne, pójdę z tobą. Czemu nie?

Tego wieczoru pyta Hana, czy się z nimi wybierze, nawet go trochę namawia, ale on uśmiecha się z roztargnieniem i prosi, żeby sprawiła sobie przyjemność oglądania wirujących derwiszów bez niego. W tym tygodniu trzeba sprawdzić prace z końcowych egzaminów, i musi zebrać materiały do nowej książki, jeśli kiedykolwiek chce dostać stały etat. Mówi, żeby tam pojechała, dobrze się bawiła, przyjemnie spędziła czas i uważała na tego diabła Aziza.

W piątek, jadąc z Azizem do gminnego college'u Santa Monica, Sirine już żałuje, że postanowiła się tam wybrać. Stara się nie obijać kolanem o jego kolano w małym samochodzie, a rękę trzyma zaciśniętą na kolanach. Jadą zobaczyć derwiszów Maulawija, znanych też jako wirujący derwisze, coś, o czym Sirine słyszała, ale do głowy by jej nie przyszło, że to wciąż istnieje. Ona i Aziz siadają na trybunie szkolnej sali gimnastycznej. Wraz z nimi jest tam jakieś dwieście osób. Ubrani w tradycyjne garnitury i sukienki mieszają się z innymi, w hawajskich koszulach i dredach, sandałach i z warkoczami. Wielu z nich się obejmuje, wykrzykują powitania. Sirine wyczuwa ślady wczorajszej partii koszykówki — powiew podgumowanych sportowych butów, smugi starego potu, soli i pasty do podłóg, a także nuty olejków z paczuli i jaśminu. Bilety z programem kosztują piętnaście dolarów.

— Niewiele, jak za zerknięcie w niebo, nie sądzisz? — płacąc za nich oboje, zauważa Aziz.

Okazuje się, że poeta Rumi, którego Aziz nazwał swoim duchowym mistrzem, żył przed tysiącem lat. Sirine czyta w notce z programu, że ceremonia wirującej modlitwy nazywa się *sema*, że Rumi był założycielem zakonu derwiszów i że *sema* to „podróż poprzez wszechświat przed oblicze Boga, duchowe odurzenie, które za sprawą ekstazy ukazuje człowiekowi prawdę jego egzystencji”. Przypatruje się widowni, oczekując tej zbliżającej się podróży, a zarazem pozostaje sceptyczna. Nie myślała o sprawach ducha od spotkania Kobiet w Islamie, które zresztą, jak się okazało, nie miało wiele wspólnego z duchowością. Jakoś tak się dzieje, że za każdym razem, gdy świadomie stara się szukać Boga, coś ją rozprasza, umysł z powrotem zwi-

ja się w ciele i Sirine przekonuje się, że zamiast o Bogu myśli o nadziewanych liściach winogron ciasno zwiniętych wokół ryżu, o mielonej jagnięcinie, czosnku, cebuli i porzeczkach, aromatycznych od zielonej oliwy.

Publiczność się sadowi, Aziz wzdycha z satysfakcją, a na scenę wychodzi grupa muzyków. Mężczyzna występuje naprzód, intonuje jeden z poematów Rumiego, powtarzając wers: „Nie zasypiaj na nowo”.

Potem brzmią następne wiersze, nieco muzyki i pieśń, w której głos śpiewaka unosi się i drży w miejscu niby ciało zrobione z wody, przesywając Sirine niezziemskim, pełnym godności dźwiękiem. Słyszy urywki wierszy: „Posłuchaj, jeśli zdzierzysz... dusza kładzie się w tej trawie... grające we flecte powietrze... róża zabłąkana we własnym zapachu”.

Wreszcie jakichś dwudziestu derwiszów wyłania się z drzwi z tyłu sali. Idą na miejsca, ustawiają się w krąg, a potem bardzo powoli zaczynają się obracać. W miarę jak muzyka nabiera mocy, derwisze wirują szybciej. Z zamkniętymi oczyma, pochylonymi głowami, z wolna podnoszą ręce, kierując jedną dłoń do góry, a drugą w dół, długie suknie kłębią się im wokół kostek, szybują nad podłogą, gdy derwisze się poruszają, więc zdają się nie mieć stóp.

Niektórzy lekko podskakują, niektórzy się uśmiechają, trochę przechylają głowy, ale wszyscy wydają się oczarowani, skupieni na jakimś nieruchomym, wewnętrznym przedmiocie — stałym punkcie pośród całego tego wirowania. Wciąż się obracając, zaczynają w kręgu sunąć po podłodze. Potem rozchodzą się promieniście po całej posadzce.

Sirine, przygwożdżona między słuchaniem i patrzeniem, czuje uniesienie, jakby znalazła się w obecności cudu. Pochyla się naprzód, zapomina myśleć o czymkolwiek. Znaczenie ma tylko ten wir ruchu, tak znajomy dla Sirine, poddający myśl ciału, powtarzalny, nieprzerwany. Jak mieszanie w garnku.

Na zakończenie wieczoru derwisze stają w jednej linii, poważni i nieruchomi. Po żadnym nie widać zawrotów głowy. Sirine spodziewa się, że uścisną sobie dłonie z prowadzącym. (Aziz szepce, że to szejka). Ale oni, podchodząc do szejka, zginają rękę, wysuwając do przodu ramię i unosząc dłoń, i klaszczą w podniesioną dłoń szejka, a potem jednocześnie, urzekająco, całują sobie nawzajem grzbiety dłoni.

Po końcowym rytuale Sirine czuje się, jakby się budziła ze snu. Wzdycha i nagle sobie uświadamia, że jej ręka i noga gdzieś powędrowały i że dotykała Aziza.

Odsuwa się.

— Przepraszam — mówi.

— Och, wróć — odpowiada Aziz. — To było urocze.

Sirine odwraca wzrok, gorąco oblewa jej twarz i kark.

Idą w dół ulicy, Sirine wciąż kołysana powidokiem derwiszów, ich hipnotyzującym ruchem. Na szerokie chodniki, okalające miasteczko uniwersyteckie, padają płyty światła ulicznych latarni, więc Sirine i Aziz przechodzą przez migoczące pudła blasku. Balsamiczne powietrze wypełnia mistyczna cisza i nawet Aziz zdaje się łagodnieć. Widowisko ożywiło i zdezorientowało Sirine — sama nie wie, czy otaczający ją stłumiony warkot pochodzi od samochodów, oceanu czy wiatru. Przechadzają się bez celu, z rękami w kieszeniach, nie rozmawiając, mijają parkingi, sklepy i ulice. Idąc tak obok Aziza, Sirine czuje się szczęśliwa i swobodna, a potem zaczyna się zastanawiać, czy nie powinna chcieć od razu wrócić do Hana. Ale tak naprawdę nie ma na to ochoty.

W końcu chodnik się urywa. Kończy się przy pustym placu, okolonym sznurami żarówek zawieszonych między słupami, jakby to był zapomniany parking. Światła kołyszą się w bryzie, rzucają na plac dzikie cienie.

— No cóż — mierząc wzrokiem ten widok, odzywa się Aziz. — Zdaje się, że to koniec drogi.

Ale Sirine wciąż jest niespokojna, nie całkiem gotowa, by wrócić do domu. Idą więc do małej kawiarenki, która ma nad drzwiami tylko kobaltowy neon w kształcie filiżanki — mijali ją wcześniej. W pustym wnętrzu rozbrzmiewa echo, podłogę pokrywają czarne i białe kafelki, a ladę mozaika z antylopą stojącą na łące. Kobieta za ladą ma senne czarne oczy i włosy proste niby zasłona, obcięte na wysokości brwi i ramion. Spogląda na Sirine, jakby ją rozpoznawała, a przyjmując zamówienie, pochyla głowę, zaś ostrza jej lśniących włosów kołyszą się do przodu.

Sirine siada przy jednym ze stolików z kutego żelaza i przysuwa się do przodu, opiera łokcie na stole, żeby kośćmi biodrowymi nie wciskać się tak mocno w żelazne krzesło. Milcząca kobieta przynosi im kawę z mlekiem w błękitnych ceramicznych miseczkach, z zawijaszem pary i lekkim aromatem gałki muszkatołowej. Sirine otula dłońmi miseczkę, wpatruje się w nią, jakby to była latarnia. Przypomina sobie wers: „Nie zasypiaj na nowo” i uśmiecha się.

— Co? — Aziz odchyła głowę, żeby zajrzeć pod kaskadę jej czupryny.

Sirine odgarnia włosy do tyłu, siada prosto.

— To, co właśnie widzieliśmy... czy to jakiś rodzaj islamu? — pyta.

Aziz wygląda na rozbawionego.

— Zależy, kogo spytać. Niektórzy sądzą, że tak.

— Oni naprawdę się modlili?

Robi minę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią, ale to może być tylko wymówka, by się na nią pogapić. W kawiarnianym świetle jego skóra przypomina miedź, usta ma pełne i wrażliwe, zgięte w wiecznym uśmiechu, jakby to był naturalny wyraz jego twarzy. Przesuwa wskazujący palec po brzegu kubka i Sirine dostrzega, że nosi na nim różowożłoty pierścionek z zielonym kamykiem. Podstawę jego palca okrąża delikatna linia, jakby margines, i to z jakiegoś powodu przyprawia ją o dreszcz.

— Moja naukowa opinia jest taka, że dziś wieczorem wyglądasz wyjątkowo promiennie i kusząco.

Sirine śmieje się i krzyżuje ramiona, ale ma ochotę jakoś zripostować, oddać Azizowi pchnięcie. Jego wpatrzone w nią oczy lśnią urokliwie.

— Nie bądź nieznośny — odpowiada mu z uśmiechem. Aziz wzrusza ramionami.

— Jestem, jaki jestem. Nieznośny Aziz. Taki się urodziłem. Równie dobrze można prosić kota, żeby nie miauczał.

— No to dzięki za ostrzeżenie — mówi Sirine. — Nigdy nie wiedziałam, kim naprawdę jesteś.

— To, kim jestem naprawdę, jest jasne jak słońce. — Pod stołem muska nogą łydkę Sirine i uśmiecha się szeroko. — Jestem wyjątkowo jasnym przypadkiem. Możesz mnie zapytać o cokolwiek. Co chciałabyś wiedzieć?

Sirine zagląda do swojego kubka, z którego upiła tylko odrobinę. Jakaś część jej mózgu wciąż wspomina wirujące szaty, wyciągnięte ramiona.

— W porządku. Skąd pochodzisz?

— Oczywiście z Matki Arabskiego Świata. Z Damaszku. Z eleganckiej części, tam, gdzie mieszka inteligencja. Koło miejskich ogrodów.

— Od jak dawna w tym kraju?

— Pięć długich lat.

— Ulubiona muzyka?

Odlicza, wyginając palce palcem wskazującym.

— Cheb Khaled. Oum Koulthoum, wiadomo. I Abba.

— Wiek?

— Sporo, sporo po trzydziestce, czyli czterdzieści osiem.

— Hmmm — Sirine namyśla się przez sekundę. — Złe nawyki? Palenie, picie, uganianie się za kobietami?

Aziz uśmiecha się szeroko, kiwa ręką.

— Wybieram odpowiedź D.

— D?

— Wszystkie z powyższych. Sirine unosi brwi.

— Jejku. Naprawdę jesteś niezdolny. Czy powinnam się bać?

— Bać się? — powtarza Aziz. — Mnie?

Sirine uśmiecha się i zamyka oczy. Widzi blade, spokojne twarze derwiszów, białe szaty unoszące się i rozchylające, wirowanie, które wypełnia całą przestrzeń jak śnieżna burza. Ale gdy otwiera oczy, Aziz jest blisko, rękę trzyma nad jej dłońmi, patrzy zza długich, atramentowych rzęs wyzywająco i romantycznie. I mówi:

— Aziz jest zupełnie niegroźny.

A Sirine odczekuje tylko sekundę, zanim cofnie rękę.

Sirine wyciąga klucz, zanim jeszcze doszła do drzwi. Powtarza sobie: nie patrz na niego. Nie patrz. Nagle przychodzi jej do głowy, że normalna kobieta by czegoś takiego nie zrobiła. Normalna kobieta nie wychodziłaby sama w nocy z takim mężczyzną. A może raczej: porządna dziewczyna. Próbuje sobie przypomnieć, ile przecznic dalej mieszka Han, ale nie może się doliczyć. A za nią stoi Aziz, kładzie jej na ramieniu końce palców, i już Sirine czuje w sobie to przyciąganie, przyspieszające w gardle.

— Jak brzmiał ten wers z wiersza? — na wpół do siebie mruczy Aziz. — No, czemu ja nigdy sobie nie potrafię przypomnieć takich rzeczy, kiedy są potrzebne? To było jakoś tak: „W ustach możemy poczuć smak wieczności”. Tak to było, no nie? — Z uśmiechem głaszcze ją po ramieniu. — Chodź, piękna Sirine, moja syreno, czy nie chcesz się dowiedzieć, jak to smakuje? — Przyciąga ją trochę bliżej, jeszcze troszkę, i jeszcze odrobinę. — Rozpuść mnie, o ty, która rozpuszczasz cukier. — Lekko pochylił głowę, jego oczy to tylko ciemna grzywka rzęs, i jeszcze ta wywinięta górna warga, miękki wydech powietrza. Sirine przymyka powieki na sekundę, tylko na mgnienie, jakby kręciło jej się w głowie. Wstrzymuje dech, odsuwa się, ale oddech ją zawodzi i zapach Aziza wypełnia jej głowę, słodki kwiat pomarańczy i migdały, a jego oddech biegnie po jej twarzy i to jakby się ugiąć przed przyływem oceanu i jej ręce same się otwierają, opadają bezbrinnie na boki, a oni dwoje już się całują.

Rozdział dwudziesty drugi

Tymczasem u wejścia do jaskini syreny Alif z Krainy Na ciotka Camille była właśnie świadkiem, jak rozwija się olbrzymi zielony ogon. Stała, ale nie czuła gruntu pod nogami. Łapała powietrze, lecz nie wiedziała, czy tlen wypełnia jej płuca. Wszystko wokół pełne było dźwięku migotania i mrużenia, mrużenie owo narastało zaś i zbiegało się, aż zmieniło się w głos, głos uczyniony z miodu i ochrypłości i róż i modłów i płaczu i wina i fal oceanu i światła pustyni, a głos ten mówił:

— Camille, Camille! Zbliź się, zbliź!

Teraz biedna ciotka Camille trzęsła się każdą kosteczką, a Napoleon Tu Był drżał pod jej dłonią, ale wbrew sobie przypełzała coraz bliżej do krawędzi, aż wreszcie wykrzyknęła:

— Dobra królowo Alif, zmiłuj się nad nami!

I wtedy posłyszała śmiech lżejszy od ważek, a drobna, spiczasta, biała rączka przemknęła wzdłuż wejścia do jaskini. A potem ujrzała, jak począwszy od zaostzonych czubków, ukazują się lśniąca, uwieńczona perłami, inkrustowana złotymi pąkami korona. I wreszcie opadły zasłony włosów i pojawiła się twarz. Ach, cóż to była za twarz! W jednym świetle biała niby marmur, w innym czarna na podobieństwo onyksu, z szerokimi oczyma o powiekach ciężkich jak u Kleopatry, wypełnionymi barwą i ruchem oceanicznych fal. A jej usta, czyste, niezwykle i drobne jak tropikalna orchidea, otwały się w śmiechu i wypełniły się dźwięcznym warczeniem nadchodzącego przyboju.

— Och, wielka Alif — krzyknęła Camille, padając na twarz i na kolana, a pies zrobił to samo. — Zmiłuj się, proszę! — zawołała raz jeszcze.

Syrena wbiła w nią jedno ze swych pięknych, straszliwych, nakrapianych oczu i westchnęła. Camille otworzyła oczy. A Alif po dramatycznej pauzie rzekła:

— Cały dzień ludzie tu przychodzą i proszą mnie o łaski. Zrób to, zrób tamto. A czy kogoś obchodzi, jak ja się czuję?

Wtedy Camille usiadła, zerknęła ostrożnie i spytała:

— Co masz na myśli?

Syrena usadowiła się u wrót jaskini, Camille zaś przycupnęła na skalnym stopniu. Alif raz jeszcze westchnęła i zaczęła mówić:

— Czy możesz sobie wyobrazić samotność syreny? Po raz pierwszy otwieramy oczy w macicy morza, narodzone bez dobrodziejstwa posiadania rodziców i dzieciństwa, z oczyma peł-

nymi zielonych pasm fal, z gronorostami za jedyny przydzwiewek. Przychodzimy na świat, nie mając nawet języka, póki błękitne walenie nie ulitują się nad nami i nie nauczą nas śpiewać, a narwale — wyszywać.

Żyjemy na wygnaniu i od ludzi, i od ryb, w sercu wnętrza morza, gdzie nie trafia nikt prócz obłąkańców i dzikusów, a my musimy ich wtedy zabijać, wiodąc ich na sztormowe skały. To nasza jedyna rozrywka, a i tak zwykle właściwie nie pragniemy tego czynić, tyle że z natury jesteśmy ciekawskie.

— A ile was razem jest? — spytała Camille.

— Dwadzieścia osiem. Alif, Ba, Ta, Tha, Dżiim, Ha... — I wyliczyła cały alfabet. — Oczywiście niektóre są miłsze niż inne.

— Pewnie, jak to siostry — przytaknęła Camille. — W rodzinie dary nie zawsze bywają równo rozdzielone.

— O, jakie to prawdziwe — zdumiała się Alif. — Niektóre są bystre i ironiczne, niektóre odcytane, niektóre to marudy, a jeszcze inne wspaniale przyjmują gości i potrafią przygotować piękną tacę z podwieczorkiem. Za dnia pływamy, trzymając się za ręce, wszystkie dwadzieścia osiem, przez płachty światła i topazowe ławice ryb. Na noc wracamy na skaliste wybrzeża Krainy Na.

— Jakie jest to miejsce? — dopytywała się Camille.

— Jest czarne i poszarpane, stworzone z mahoni, łupka i srebra. Pod księżycem skały zamieniają się w lód, a czasami grzmi tak głośno, że cała wyspa się trzęsie. Innym razem wielkie ciche zielone żyły błyskawic rozświetlają się, rozświetlają, rozświetlają wszędzie dookoła i wyspa połyskuje niby zwierciadło. A czasem, kiedy jest bardzo cicho, ledwo-ledwo słyszymy odgłosy wielkiej zaginionej cywilizacji, która miała się zgubić w odległym sercu samego centrum środka, gdzie nikt nigdy nie idzie.

Nieźle miejsce na wizytę, pomyślała sobie Camille, ale mieszkać bym tam nie chciała.

Następnego ranka Sirine budzi się wcześniej i sprawdza drugą stronę łóżka, żeby się upewnić, że nie wpuściła Aziza do środka. Ostatniej nocy przerwała pocałunek, mówiąc:

— Han to twój przyjaciel! — Na co on uśmiechnął się szeroko i odparował:

— Tak, a twój kochanek!

Jest tak wcześnie, że na zewnątrz panują jeszcze ciemności, ale wczorajsze flirtowanie z Azizem skurczyło się już do wstążki dymu, niefortunnego omamu wyobraźni. Sirine ma wilgotną twarz, jakby właśnie przebudziła się z gorączki. Wstaje i ubiera się pospiesznie, po spę-

dzanej osobno nocy tęskni za Hanem. Dzwoni do niego, spragniona, by usłyszeć jego głos, ale nikt nie odbiera.

Próbuje się powstrzymać od rozważań, gdzie on może być tak wcześnie rano. Zagląda do szuflady nocnej szafki i napotyka wzrok roześmianej kobiety na zdjęciu. Zatrząskuje szufladę.

Nie będzie o tym myśleć. Nie. Pada z powrotem na łóżko, zamyka oczy. Próbuje sobie przypomnieć jakieś wiersze z ostatniego wieczoru, ale do głowy przychodzi jej tylko to, co Aziz powiedział o smaku wieczności, tuż nim ją pocałował. Czy on to sam wymyślił? Król Babar wskakuje na łóżko. Sirine otwiera oczy, a on patrzy na nią tym swoim spojrzeniem, na wpół mądrym, na wpół zezującym, które mówi, że znał ją przez tysiąc poprzednich żywotów. Przenika ją poczucie winy, i chociaż próbuje się przekonywać, że to wszystko było błahostką, głęboki niepokój wsącza się jej w krwiobieg, wspomnienie ubiegłej nocy zabarwia powietrze i dręczy jej umysł. Sirine wstaje z łóżka i ubiera się.

Po drodze do pracy skręca w ostatniej sekundzie i pedałuje do mieszkania Hana. Już ma zapukać, ale wstrzymuje oddech i przykłada ucho do drzwi. Czy to były jakieś głosy? Stuka, a dźwięk w środku zdaje się milknąć. Woła jego imię. Nikt nie odpowiada.

Przez cały dzień Sirine czeka, żeby zjawił się Han. Dwa razy telefonuje do niego, kiedy ma przerwy, ale nikt nie odbiera. Podnosi słuchawkę za każdym razem, kiedy dzwoni telefon, lecz ani razu nie jest to Han. Wydaje jej się, że wciąż czuje na wargach smak Aziza. Ścisła rączkę patelni, aż bołą ją kostki palców. W głowie ma tylko jedną myśl: Han wie.

Tej nocy Sirine zostaje dłużej w pracy, z nadzieją, że on jeszcze do niej przyjdzie. Jutro zaczyna się ramadan, miesiąc codziennego postu, przerywanego *iftarem* — specjalnym posiłkiem po zachodzie słońca, i niewielką przekąską przed wschodem. Han jej mówił, że idea postu w ramadanie ma przypomnieć wszystkim o biednych i mniej szczęśliwych, że to czas dobroczynności, współczucia, abstynencji i przebaczenia. I chociaż Um-Nadia twierdzi, że nie wyznaje żadnej religii, a wśród jej klientów jest wielu chrześcijan, wszyscy lubią spożywać tradycyjne potrawy, które na Bliskim Wschodzie przyrządza się podczas ramadanu, aby świętować conocne przerywanie postu. Będą takie dania, jak słodkie naleśniki katajif i ciastka i śmietankowe napoje i gęsty nektar z moreli. Sirine postanawia wyszukać na cześć tego miesiąca bardziej niezwykle specjały, żeby czymś zająć uwagę. Tego wieczoru zostaje dłużej, miesza marynaty i kartkuje dawne przepisy, aż w końcu zauważa, że wzeszedł księżyc i minęły całe godziny od czasu, gdy miała wracać do domu.

Zaparkowała swój rower na kuchennym podwórku. Księżyc wygląda ciężko i wystawnie, jest niemal w pełni, a gęsta mżawka nasycza noc słonym rybny zapachem. Sirine pedałuje najszybciej, jak tylko ma odwagę, boi się pośliznąć, i czasem brzegi zasadzonych przy krawężniku palm drapią ją w twarz i opryskują jej ręce i włosy, uliczne kałuże po kolana obrzucają ją błotem. Sirine wraca do domu Hana.

Skreca na rogu i kilka przecznic dalej zauważa parę, przechadzającą się razem pod światłem ulicznych latarni. Są do niej odwróceny plecami, ale w sposobie, w jaki się poruszają, w znajomym przekrzywieniu głowy, kołysaniu ręki jest coś, co każe jej zwolnić, naciskając ręczny hamulec, i wyteża wzrok przez mgiełkę. Przybliża się do nich trochę i uświadamia sobie, że patrzy na Hana i że osoba obok niego jest okryta chustą i czarną szatą. Woda zagęszcza powietrze, odbija światło — nie widać dokładnie. Sirine łapie oddech. Wygląda na to, że trzymają się za ręce.

Zdaje się, że samo powietrze zmieniło się w płyn, którym nie da się oddychać, przez który niczego nie można dojrzeć. Ręce tych dwojga wydają się stykać, potem się rozdzielają. Pochylają się ku sobie, potem się odsuwają, w jednej chwili sztywni i odlegli, w drugiej poufali i figlarni jak kochankowie.

Sirine zsiada z roweru i podchodzi z nim bliżej, cicho posuwa się do przodu. Jej uczucia to stopiony, czysty, pradawny żar — nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek doświadczała czegoś podobnego. Trzęsie się i oblewa potem. Para obraca się do siebie, chyba się zatrzymują. Sirine przystaje trzy przecznice za nimi, ścisła hamulce, drży na całym ciele, noc wokół niej jest zimna i szara jak ołów. Jego ręka zdaje się unosić do twarzy kobiety. Mężczyzna opuszcza głowę. Niewiele widać. Czy oni się całują? Czy coś takiego mogłoby się zdarzyć? Uliczne światła robią się jaśniejsze i bardziej intensywne, błyskają niebiesko i biało, i nagle Sirine wyczuwa okrutną delikatność ich ciał, swojego własnego ciała, kolana jej dygocą, zamiast skóry ma błonkę cukru. Patrzy w dół, na swoje dłonie, zbielełe kostki na kierownicy, blade i drobne jak rozgwiazdy.

Myśli: Jego miejsce jest przy tej kobiecie.

Czeka samotnie, pod kapiącym światłem latarni, póki nie odejdą.

Zastanawia się, czy nie jechać do domu stryja, do swojej sypialni z lśniącymi saniami łóżka, z oknem w nogach, z nocnym stolikiem, płóciennymi zasłonami, z małym psem, czekającym na środku pościeli. Ale nie chce tam wracać. Czeka tak długo, że nie czuje prawie nic

prócz wilgoci i sięgającego do kości zimna, aż wreszcie wdrapuje się na rower i jedzie do mieszkania Hana.

Jest już dawno po północy, ale Sirine nie puka i nie nasłuchuje głosów. Otwiera drzwi swoim kluczem. Jeżeli ta kobieta tu teraz jest, Sirine zobaczy przynajmniej jej twarz. Ale kiedy uchyla drzwi, Han siedzi sam w kącie, ze skrzyżowanymi nogami, otoczony przez książki i kartki z notatkami do tłumaczeń. Nie patrzy na nie. Sirine czuje ulgę, ale zarazem i dziwne rozczarowanie. Z rogów pokoju dobiegają misterne sploty dźwięku — Han słucha tej pięknej libańskiej śpiewaczki. Podnosi głowę, gdy Sirine wchodzi do środka, ale nie sprawia wrażenia zaskoczonego. Spogląda na nią z wolna, sennie, jakby tylko na wpół ją rozpoznawał. Potem się uśmiecha, odpycha się ręką od podłogi.

— *Habibti*, tak się zatraciłem w muzyce. Przez chwilę wydawało mi się, że jesteś kimś innym.

Sirine drży i ciężko oddycha. Dostrzega jego suche włosy i to, że ma na sobie suchy, biały sweter. Mężczyzna, którego widziała w blasku ulicznych lamp, był ubrany w ciemny garnitur. Czyżby się przebrał?

— Han. — Z jej włosów i dzinsów skapuje na podłogę mały półksiężyc. — Przepraszam, że tak późno. Straciłam poczucie czasu nad starą książką z przepisami, tak mnie wciągnęły te opisy i ja... ja... — urywa, wpatruje się w Hana. Wreszcie mówi: — Nie zadzwoniłeś do mnie przez cały dzień.

— Wiem, wiem, chciałem, ale... — Rozkłada dłoń nad książki i papiery. — Studenci nie dawali mi spokoju z końcowymi egzaminami. W końcu się wymknąłem z biura i cały dzień kryłem się w bibliotece, pracowałem. — Wyciąga ręce, żeby ją objąć, i wykrzykuje: — Jesteś przemoczona do nitki!

Sirine cofa się o krok.

— Wydawało mi się, że cię widziałam.

— Byłaś dzisiaj w bibliotece? Sirine spuszcza wzrok.

— Wydawało mi się, że widziałam cię na zewnątrz, jak szedłeś do domu. Z inną kobietą. — Czeka z nadzieją, że on coś powie. Stara się nie mówić nic więcej, ale nie może się powstrzymać. — Całowaliście się.

— Całować się! Ja? Kogo całowałem? — Jego twarz jest czysta, szeroka i otwarta. Rusza ku niej, jego dłoń przesuwa się po jej ramionach łagodnie, jakby była szklanym ptakiem. Sirine zmusza się do bezruchu. Han przyciąga ją do siebie, całuje i przyciska twarz do jej włosów.

Sirine próbuje się wycofać.

— Han...

Han unosi głowę.

— Przez cały dzień myślałem o tobie. Zamierzałem do ciebie zadzwonić, jak tylko wrócę, tylko że nie miałem pojęcia, że jest tak późno i restauracja będzie już zamknięta. Ale siedziałem z nadzieją, że tu dotrzesz. — Przebiega dłońmi po jej rękach. — Jesteś taka zmarznięta! — Z wnętrza jego dłoni płynie suche, miękkie gorąco.

Ale ona wysuwa się z jego objęć.

— Wyglądał zupełnie jak ty.

— Sirine, nie mówisz chyba poważnie. Jak ja bym mógł całować inną kobietę? — pyta. Otacza ją ramionami, jego oddech jest ciepły i poufały. — Jak mógłbym całować kogokolwiek poza tobą? Jestem twój. Całkiem się w tobie zatraciłem.

Sirine marszczy brwi, przypatruje się stercie jego papierów.

— No chodź. — Han prowadzi ją do kuchni. — Zobacz, co dla ciebie dzisiaj kupiłem. — Na blacie leżą małe torebeczki. Sirine otwiera je, zagląda do środka, a potem wyciąga: migdały w czekoladzie, butelka wina aromatyzowanego lawendą, mała srebrna rybka z niebieskim oczkiem, na srebrnym łańcuszku.

— Żebyś była bezpieczna — podając jej amulet, wyjaśnia Han. — Widzisz? Niebieski pomaga chronić przed Złym Okiem. A ryby oczywiście przynoszą szczęście.

Idą do łóżka, z nocy pozostało tylko parę godzin, i Sirine pozwala, by ją trzymał w łuku swoich ramion. Przez jakiś czas leży w półśnie, próbuje na nowo zobaczyć to, co widziała na ulicy: układ męskich ramion, tył jego głowy — czy to nie był Han? Szafa w sypialni jest uchylona, widać ciemne, kwadratowe zarysy garniturów. Gdyby ich dotknęła... czy jeden z nich byłby wilgotny? Czuje się szalona i winna i sama nie wie, co ma myśleć. Jej nieczyste sumienie zniekształca wszystko. Zastanawia się, czy nie obudzić Hana i nie powiedzieć mu, że całowała się z Azizem, ale nie ma odwagi. Sprzecza się sama z sobą, co zrobić, aż w końcu odpływa w płytki sen, dziecięce wspomnienie: obraz afrykańskiej dziewczynki w telewizorze, to, jak przyłożyła dłoń do jej ręki, żeby porównać odcień. Próbuje coś mówić do tej dziewczynki, wie, że ma jej coś ważnego do powiedzenia.

Rozdział dwudziesty trzeci

Skuliwszy się na chłodnej kamiennej podłodze jaskini, z psem Napoleonem Tu Byłem wtulonym w jej nogi, ciotka Camille słuchała, jak Alif, królowa-syrena, opowiada o życiu w oceanie i o swoim domu w skalistej, fantastycznej Krainie Na.

— Właściwie był to monotony, domowy żywot. Spędzałyśmy całe dni na szyciu ubrań, których nie mogłyśmy nosić, oraz oszukiwaniu i dręczeniu żeglarzy. Ale pewnego dnia wszystko to się dla mnie odmieniło.

Sięgnęła do tyłu i z półki w jaskini wyciągnęła grubą, wypaczoną od wody księgę.

— Znalazłam to — rzekła — w jednym z naszych wraków, — Był to obszarpany tom dzieł Hermana Melville'a. — Widywałam skrzynie złotych dublonów i żółtych szafirów, i turkusowych rubinów, ale czegoś podobnego nigdy nie widziałam. Nie miałam pojęcia, co to może być, więc zniosłam to do zaprzyjaźnionego narwala, który ma wskaźnik do tablicy wrośnięty w czoło, więc jest najbardziej uczoną i wykształconą ze wszystkich ryb. Już wcześniej nauczyłam się języka wielorybów, meduz i koników morskich, więc narwal niechętnie przystał na to, bym poznała obie strony mojej natury, oceaniczną i ziemską, i to on mnie nauczył mówić i czytać po arabsku.

— Zastanawiałam się, skąd masz taki akcent — wtrąciła Camille.

— Właśnie, wszyscy myślą, że jestem z Malty! — odparła syrena, uderzając się po rybijm udzie, i obie się z tego uśmieły. W końcu Alif westchnęła i sprawdziła, czy jej grube loki okrywają wszystko to, co powinno być zakryte. — Opuściłam moje siostry i mój kraj — rzekła. — Bo kiedy z narwalem przeczytaliśmy tę książkę, zdałam sobie sprawę, że w głębi serca chcę pisać wiersze, a nie wyprowadzać statki na manowce. Przybyłam tutaj, żeby spróbować pisać, ale ludzie ciągle zawracają mi głowę o szczególne łaski. Połowa z nich wysmaża powieści, druga połowa pisze pamiętniki. Nikt nigdy nie ma ochoty zobaczyć, nad czym ja pracuję, więc kiedy tracę cierpliwość, zwodzę ich, żeby weszli na nieistniejące skalne półki, a tam spadają ku swej zgubie. Biedni mężczyźni... ich jest szczególnie łatwo wywieść w pole. Wystarczy zawołać, a idą.

— A ja bardzo bym chciała zobaczyć, nad czym pracujesz! — oświadczyła Camille.

Twarz Alif rozjaśniła się.

— Och, nie, nie mówisz poważnie — krygowała się.

Ale skoro Camille nalegała, policzki Alif nabiegły krwią, a jej oceaniczne oczy rozbłysły. Weszły więc do jaskini i spędziły tam rozkoszny dzień, czytając i komentując wiersze Alif. Camille udzieliła jej paru redakcyjnych wskazówek, ponieważ narwał nauczył Alif nader specyficznej interpunkcji i gramatyki. Popijały filiżanki gęstej herbatki z wodorostów i pogryzały chrupki z mątwy w sosie z atramentu kałamarnicy, a na koniec Alif oznajmiła:

— Wiesz, jeszcze nikt nigdy nie chciał się o mnie tyle dowiedzieć. Bawiłam się znakomicie i postanowiłam cię jednak nie zabijać. Zamiast tego dokładnie ci wytłumaczę, jak masz wrócić do domu i do twojego niedobrego, okropnego syna Abdelramana Saladyna, a ty mu przekażesz, że ma nad sobą pracować, żeby się poprawić. — Bo chociaż ciotka Camille ani razu nie wspomniała powodu swojego przybycia do jaskini

Alif, panny wodne i syreny zawsze wiedzą, jakie niewypowiedziane życzenia kryje ludzkie serce.

Alif wskazała krętą, ukrytą drogę powrotną, ścieżkę, która niby wąż snuła się pośród piaszczystych odkrywek i jak nitka wędrowała przez chwasty i kryła się pod strumieniami i wspinała na głązy. Wyglądała na dziką, podstępą i nie do przejścia, z jeżynami, wrzościami, ostrymi skałami i ukrytymi rzekami, ale to była ich jedyna szansa. Camille, Napoleon Tu Był i błękitny Beduin zebrali się na odwagę i ruszyli w złociste zarośla. Po siedmiu dniach i nocach dotkliwych upadków, swędzących wysypek, rozcięć, zadrapań i nieprzyjemnych ukąszeń owadów znaleźli się na opustoszałej, smaganej wiatrem stacji kolei transjordańskiej, która miała ich zabrać w drogę z powrotem do domu.

Um-Nadia każe Victorowi Hernandezowi stanąć na chybotałej drabinie, żeby pozawieszać w restauracji sznur bożonarodzeniowych lampek. Sama stoi pod nim, wydaje mnóstwo poleceń (W taki sposób to nie wygląda jak na Boże Narodzenie. Wyżej to daj, wyżej, i zrób kółka.) i bezceremonialnie przytrzymuje drabinę z kolebiącymi się nóżkami, tak że chwieje się ona za każdym razem, gdy Victor sięga w górę z kolejnym odcinkiem kabla. Wreszcie Mireille wychodzi do nich i szturchańcem odsuwa matkę, a Victor spogląda w dół i uśmiecha się. Mireille udaje, że tego nie dostrzega, ale w końcu nie może się powstrzymać i uśmiecha się do niego leciutko, kącikiem ust.

Wchodzi Nathan. Włosy ma nieumyte i pozlepiane, oczy ciemne jak ziarenka pieprzu.

— Pracowałem bez przerwy — oświadcza Um-Nadii, Sirine i Mireille. Wręcza im czarno-białe pocztówki. Z jednej strony jest ziarnisty wizerunek dziecka z rozwianymi włosami i

wyciągniętymi rękami, które biegnie albo właśnie ma upaść. Na drugiej stronie widnieje zaproszenie na wystawę fotografii pod tytułem: „Z małej wioski”.

— To moja praca na koniec semestru. Oficjalna. Ta pierwsza, na początku roku, to była tylko rozgrzewka — wyjaśnia im. — Zaczyna się za godzinę. Do tej pory nie odważyłem się nikomu tego dać.

Po wyjściu Nathana Um-Nadia przygląda się swojemu zaproszeniu, po czym zaczyna się nim wachlować, patrząc, jak Nathan wraca w górę ulicy.

— Biedak. Ani koloru, ani ostrości, nic. Trudno w ogóle poznać, co to ma być. Jakby się miało ból głowy. Zupełnie jak Aziz z tymi jego wierszami bez rymu. Ciągle Nathanowi mówię, żeby się spotkał z moim kuzynem Basilem, hydraulikiem. On go wyszkoli, wytrenuje, pokaże mu całą robotę. — Przez chwilę krytycznie przygląda się choinkowym lampkom, po czym oznajmia: — No dobrze, zamknijmy restaurację i zbierajmy się na to jego przyjęcie. Chodzi o dobroczynność.

Wystawa Nathana mieści się w kościele, który wygląda jak pomarańczowe pudło z cegieł. Nikt sobie nie przypomina, by go wcześniej zauważył. Z frontu wysoka markiza z plastikowymi literami ogłasza: „Kościół Dynamo” z jednej strony i: „Problem z notowaniem w pamięci polega na tym, że atrament tak szybko wysycha” z drugiej. Kościół stoi przy jednej z najruchliwszych ulic Santa Monica, w pobliżu nie ma żadnego parkingu, więc Han, Sirine, jej stryj i Um-Nadia kilka razy przejeżdżają obok wielkim samochodem Hana, nim znajdą miejsce na ulicy. Z miejsca, gdzie zostawili samochód, muszą przejść do kościoła siedem przecznic. Um-Nadia idzie w chybotliwych szpilkach, które, jak mówi, nie zostały stworzone do chodzenia. Gdy docierają na miejsce, widzą przybity do frontowych drzwi, skopiowany na ksero arkusz papieru, informujący o wystawie fotografii.

— Spójrz — mówi stryj Sirine. — Marcin Luter tu był. Wewnątrz pachnie klejem i gipsowymi płytami, jakby budynek postawiono tego ranka. Wystrój jest spartański: podłoga wyłożona niebieskozielonym linoleum, tu i ówdzie parę rozstawionych składanych drewnianych krzeseł i tablica, na której straszą duchy wymazanych słów: „Sukces! Jak być dyrektorem zarządzającym swojej DUSZY!”

Na ścianach wisi seria matowych, czarno-białych zdjęć. Paru studentów ostatniego roku kręci się wokół stołu z winem, ściskając plastikowe kubki. Nathan stoi pośrodku sali, trzyma plastikowy kubeczek z lambrusco i rozmawia ze starszą kobietą ubraną w purpurowy wełniany płaszcz i norkową etolę, z głową norki wbijającą zęby w brzeg futra.

— Halo! — kobieta odzywa się radośnie do stryja Sirine. — Jestem Dewey. Przyszłam tylko zobaczyć, co ci młodzi z kościoła dzisiaj wymyślili. Za każdym razem jest coś innego. Zawsze coś się dzieje. Proszę popatrzeć na te śliczne zdjęcia. Bardzo, bardzo nietypowe. Całkiem niezwykle, wyglądają tak artystycznie. A moja wnuczka też jest fotografem, w uczniowskiej gazecie szkoły LaBrea.

Stryj Sirine gawędzi z Dewey, a tymczasem Sirine, Han i Um-Nadia ruszają obejrzeć zdjęcia. Um-Nadii starcza zerknąć na jedno albo dwa.

— Złe wieści — szepce do Sirine. — Kompletnie żadnych postępów. Nie wiem, co z tym można zrobić.

Ale Sirine bardzo się podobają te fotografie, przewrotne, odkrywczyste, a nawet odrobinę ładne. Pierwsze ujęcia mają chyba mówić o żywności — stoisko z rzędami zwiędniętych cebul, jacyś ludzie trzymają olbrzymiego arbuza, tył głowy i ramion kobiety, która pochyla się nad wielkim pojemnikiem z włoskimi orzechami — wygląda to jak uliczny jarmark albo wiejski targ. Sirine próbuje się bliżej przyjrzeć, gdy słyszy, jak z tyłu Han wydaje przytłumiony odgłos. Wpatruje się w kadr z biegnącymi po ulicy dziećmi — wydaje się, jakby aparat fotograficzny unosił się kilka metrów nad nimi. Wyciągają ręce, jedwab ich włosów frunie, a jeden z chłopców spogląda prosto w górę z gwałtownie oskarżycielskim wyrazem twarzy.

— Jakie to dziwne — przechylając głowę, mruczy Han. — Spójrz, jak on na nas patrzy. — Rusza dalej, ale Sirine zatrzymuje się przy tym zdjęciu, a potem przy kilku innych fotografiach dzieci: chłopiec trzyma zaskoczzonego koguta, dwie dziewczynki przed dwoma kotami. Nie można tych obrazów nazwać uroczymi — zwierzęta wyglądają matowo i brudno, jednemu z kotów brakuje chyba ucha. Jest też wiele ujęć z dorosłymi: kobieta o podsinionych oczach wpatruje się w obiektyw, inna, podstarzała, unosi rękę. Nie ma tu rogów, tajemniczych rybich ogonów ani rozplywających się uśmiechów, ale w nastroju tych kadrów jest coś niepokojącego, skażenie mrocznością, na horyzoncie kłęby opadającego z nieba dymu. Twarze są mizerne, wyglądzone, zapadnięte policzki, oczy jak czarne szklane kulki. Wszystkie spoglądają, jakby z odbitek patrzyły na świat. Jak gdyby ktoś, kto ogląda to w jakimś szczęśliwszym miejscu, mógł poczuć swoją współwinę, odpowiadając na to spojrzenie.

Jeszcze kilku gości wkracza do małego kościoła, niepewnie ściskając zaproszenia.

— Witam wszystkich — Nathan odzywa się donośnym, zachęcającym do podejścia głosem, choć w sali jest zaledwie dziesięć osób. Staje na krześle. — Chyba chciałbym wygłosić mowę. To nie będzie trwało długo. — Nagle intensywnie się czerwieni i spogląda w dół, jakby

żałował decyzji wejścia na krzesło. — Hmm. Może „mowa” to nie jest właściwe określenie. Dobra, wyznanie. Coś w rodzaju mowy-wyznania.

— W porządku, zaczynaj, powiedz to — wtrąca z boku stryj Sirine.

— A więc po pierwsze chciałbym podziękować kościołowi Dynamo za postępowe spojrzenie i wsparcie mojego projektu. Hmm. Dziękuję Różowej Kropce za ofiarowanie trzydziestu pięciu plastikowych kubków...

Stryj Sirine składa ręce w trąbkę i pyta przez nią:

— A gdzie ta mowa? Nathan zerka na niego.

— Tak. No, dobra. — Bierze głęboki oddech. — A więc, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat, niczego nie wiedziałem o świecie. Ale głowę miałem pełną kowbojów, Indian, dowódców łodzi podwodnych i rosyjskich szpiegów. Byłem nieszczęśliwy, bo myślałem, że wszystkie czarne charaktery zostały już złapane, a na świecie zostało niewiele ciekawych rzeczy. A potem pewnego dnia wybrałem się, żeby obejrzeć *Czarną niedzielę*, wiecie, ten film z Bruce'em Derrnem, gdzie terroryści chcą porwać sterowiec Goodyeara. I wróciłem do domu, myśląc: świetnie, są jeszcze terroryści!

Więc uznałem to za swoje powołanie. Przecież wszyscy chcą mieć jakieś powołanie, prawda? Zacząłem marzyć, że pojedę gdzieś do Libanu albo Iraku i będę łapał terrorystów. — Na chwilę zwiesza głowę, śmieje się z zakłopotaniem. Wszyscy milczą. Znowu podnosi głowę, rozgląda się. — Wiecie, jak James Bond. — Patrzy dookoła. — W końcu każdy chce być jak James Bond. — Urywa na chwilę, stryj Sirine wzdycha. — No dobra, nieważne. Taki miałem plan: jechać na Bliski Wschód, żeby ujawniać szpiegów terrorystów. Chciałem robić im zdjęcia i wysyłać do CIA czy gdzieś. Żeby nie przedłużać: skończyłem college, przeszły mi takie pomysły, a za to postanowiłem podróżować i fotografować to, co zobaczę.

A kiedy tam w końcu dotarłem, wiecie, na Bliski Wschód, przejechałem przez rozmaite kraje i stało się coś niesamowitego: okazało się, że ludzie tam są dla mnie naprawdę mili. Nie wozili się wielkimi samochodami, nie rozmawiali z sobą przez telefony. Zapraszali mnie od razu do swoich domów. Popijaliśmy herbatkę i przegadywaliśmy całe dni. Może dla was to brzmi nudno, ale ja się czułem, jakbym wreszcie odnalazł prawdziwe życie. Jakby wróciły mi zmysły. Więc w końcu zająłem się fotografowaniem naprawdę pięknego świata. Miejsca naprawdę bardzo, bardzo urokliwego i pełnego. Można było zobaczyć okropne rzeczy: zagłodzone dzieci, biedę i zniszczone budynki, ale moja dzisiejsza wystawa ma być hołdem dla piękna, które tam znalazłem, i dla tego, czego się nauczyłem.

Tylko że nie znalazłem żadnych terrorystów, jeśli nie liczyć — unosi jedną brew, zło-wieszczo zniża głos — mnie samego.

— Świetnie, dobra przemowa! Dobra przemowa! — klaszcząc, podsumowuje stryj Sirine. — Ale już skończona.

Wszyscy szybko się rozchodzą, ruszają obejrzeć fotografie. Nathan jeszcze przez chwilę stoi w miejscu, ale wreszcie schodzi na dół, mówiąc:

— Ja nie skończyłem.

Sirine wraca do zdjęć, szuka charakterystycznych punktów krajobrazu albo czegoś w stroju, co by jej podpowiedziało, gdzie zostały zrobione. To szare sny, przepelnione oskarżeniem i snującym się poczuciem pustki. Sirine zauważa, jak inni ludzie w sali pochylają się, z bliska przyglądają ujęciom i pospiesznie się cofają. Pomruk narasta — zwiedzający wydają się wzburzeni.

Nathan staje obok Sirine, która przygląda się zdjęciu młodej kobiety w sadzie srebrnych liści, rozżarzonych od światła i deszczowej wody. Ponad czubkami drzew snuje się dym.

— I co? — dopytuje się Nathan. Stryj przystaje z drugiej strony.

— To ma być hold? — pyta.

Nathan muska rękę Sirine kostkami dłoni i pospiesznie wciska sobie ręce pod pachy.

— To takie dzikie — zauważa Sirine. — Trudno na to patrzeć.

— Tak — żarliwie, ognście przytakuje Nathan. — Właśnie tak. Bo Amerykanie nie chcą patrzeć na takie rzeczy. Nie chcą, żeby im to pokazywać. Wolą nie mieć pojęcia, co tam się dzieje. — Gestykuje w stronę drzwi, parę osób zaczyna się przyglądać. — Co się robi innym, w naszym imieniu, w naszym interesie, żebyśmy mogli tak żyć. — Rozkłada ręce na boki, jakby otaczał go przepych.

Han stoi przed innym zdjęciem młodej kobiety z szalem, który unosi się jej znad ramion jak skrzydła kruka. Niebo nad jej głową ma kolor kości. Han odwraca się od fotografii i cicho pyta:

— Gdzie to zrobiłeś?

— Och, ja... chcę, żeby były uniwersalne, wiesz, nie ograniczone do...

— Nikt z tych ludzi nie dał ci pozwolenia, prawda? — W głosie Hana jest coś ostrego.

— Wszystkie twoje zdjęcia takie są, robisz je bez pytania, no nie?

Sirine bierze szybki oddech.

— Han?

— Ci ludzie by się nigdy nie zgodzili, żebyś to robił!

— Ale... przecież widzisz. — Nathan wskazuje ręką na zdjęcia. — Nikt z nich się ode mnie nie odwraca ani nie kryje, ani...

— To moja kuzynka Lamia! — stukając w ramkę, rzuca Han. — Ta kobieta, właśnie ta. Mieszkała przy tej samej drodze. Była córką najmłodszej siostry mojej matki.

Nathan przytakuje, kładzie rękę na piersi, jakby składał ślubowanie.

— Han... Miałem zamiar ci powiedzieć... myślałem, że cię to ucieszy...

Sirine wpatruje się w zdjęcie, zdumiona, jak nieoczekiwany obrót przybrały zdarzenia.

— To jest skandaliczne nadużycie — Han wypowiada te słowa tak głośno, że kilka osób podnosi głowy. Sirine chciałaby dotknąć jego ramienia, ale się boi. — To pogwałcenie jej prywatności i prywatności mojej rodziny. Nie wiem, co chciałeś osiągnąć, robiąc coś takiego. Nie wiem, może uważasz, że to zabawne, że to dobry dowcip...

— Nie, proszę, Han! — broni się Nathan. — Nic nie rozumiesz.

— I nie chcę rozumieć. Czy nie wystarczy, że twój kraj postanowił systematycznie niszczyć mój? Czy na dodatek musisz wykorzystywać moją rodzinę dla własnej rozrywki? A może chodzi wyłącznie o to, żebyś mógł zrobić karierę? — I powiedziawszy to, Han zostawia ich i sześcioma krokami wychodzi z kościoła, a frontowe drzwi zatraskują się z łomotem. Twarz

Nathana ma zaszokowany czerwony kolor, ręce wiszą mu bezwładnie po bokach. Wygląda, jakby uszło z niego całe powietrze.

— Miałem mu powiedzieć — mówi. — To miało być na ich cześć. — Jego głos brzmi bezdźwięcznie i szaro.

— Ojej, ojej — wzdycha Dewey, ta starsza kobieta. — Ten to ma temperament.

— Arabowie — wywracając oczyma, stwierdza Um-Nadia.

Sirine znowu spogląda na fotografię kobiety w sadzie, przebiega wzrokiem inne zdjęcia, zastanawiając się, kogo jeszcze mogą przedstawiać. I wychodzi.

Niebo się zasnęło, światło zza chmur jest atłasowe, płaskie i fotograficzne. Han idzie w dół ulicy, oddala się od kościoła i od zaparkowanego samochodu.

— Han! — woła Sirine. — Han?

Han stawia jeszcze kilka kroków. W końcu przystaje, zatrzymuje się na chwilę i wreszcie obraca. Złośliwy wiatr kopie kurz w powietrze i zdmuchuje mu włosy na twarz. Sirine kładzie sobie rękę na plecach. Podchodzi do niego, a on stoi tam i czeka, nieruchomo, z twardym spojrzeniem.

Sirine próbuje mówić lekkim tonem, nie okazywać niepokoju.

— Han? Dobrze się czujesz?

On dalej się jej przypatruje, nic nie mówi, wokół nich faluje ruch uliczny, spaliny i sadza fruną w niebo. Jego skóra połyskuje, oczy iskrzą się metalicznie.

— Gdzie ona jest? — pyta.

Sirine ledwo go słyszy, przysuwa się bliżej.

— Gdzie co jest?

Han patrzy na nią, czeka chwilę, po czym zaczyna mówić:

— Chusta. Co zrobiłaś z chustą, którą ci dałem? Dlaczego nigdy jej nie nosisz?

Sirine otwiera usta, ale słowa zacinają się, głos grzechocze jej w gardle.

— Chyba... ja tylko... nie miałam...

— Chcę coś wiedzieć — przerywa jej. — I chcę, żebyś mi powiedziała prawdę. Czy możesz to dla mnie zrobić?

Sirine zamyka usta. Kiwa głową.

— Zgubiłaś moją chustę? Sirine nie odpowiada.

— Powierzyłem ci tę jedną rzecz. Tylko jedną drobną rzecz, Sirine.

Odwraca od niej wzrok.

— Jak mogłem być takim głupkiem. — Jego oczy wracają do niej. Teraz są płaskimi, ostrymi kamykami. — Jak mogłem powierzyć coś tak cennego takiej jak ty?

Ogłuszona, jeszcze raz otwiera usta, próbując wymyślić jakąś odpowiedź, cokolwiek powiedzieć, ale w głowie ma pustkę. Czuje dudnienie ruchu ulicznego w chodniku, w betonie pod stopami. Przez chwilę stoi w milczeniu, odwzajemnia jego spojrzenie. A potem on odchodzi.

Tego wieczoru Sirine, która miała już czas, by wymyślić tuzin różnych odpowiedzi, dzwoni do mieszkania Hana, ale nikt nie odbiera telefonu. Przed pójściem spać próbuje jeszcze dwukrotnie i w nocy nie udaje się jej zmrużyć oka — wyobraża sobie Ranę, pocieszającą Hana w jego wyłożonym książkami biurze. Widzi, jak Rana kładzie rękę na jego dłoni, przypomina sobie, jak w świetle latarni twarze tamtej pary migotały do siebie. Wraca w myślach do rozmowy, która potem odbyła się między nią i Hanem. Ani razu wyraźnie nie zaprzeczył, że faktycznie był z Raną. Przewraca się z boku na bok w łóżku i słyszy śmiech, unoszący się z szuflady nocnego stolika.

Następnego dnia w restauracji wszyscy rozmawiają o tym, jak Han wybiegł z wernisażu Nathana. Między stołami przepływają najróżniejsze opinie i plotki.

— Puszczal parę jak byk — relacjonuje Um-Nadia. — Włosy mu się najeżyły, o tak. Oczy ciskały gromy. I w ogóle.

— Słyszałem, że przewrócił stół z kieliszkami — dorzuca jeden z policjantów. — Mówili, że wszędzie było potłuczone szkło. I że podarł niektóre zdjęcia.

— Bardzo możliwe — zamyśla się Um-Nadia.

— Mamo! — woła Mireille. — Tam były plastikowe kubki.

— A co się stało z Nathanem? — dopytuje się policjant.

Um-Nadia porusza rękami, rozczapierzając palce, jakby rozgarniała mgłę.

— Zniknął. Biedak rozpuścił się ze wstydu.

Sirine jest tak zmęczona, że pracuje jak w transie. Butelki i pojemniki w kuchni brzęczą, jakby były w nich owady, puste krzewy w ptasim ogrodzie zdają się drżeć, czuje na sobie spojrzenia klientów, ale kiedy na nich patrzy, odwracają wzrok. Pod koniec dnia, gdy wyczuwa, że ktoś stoi na podwórku i przypatruje jej się przez ciemne kuchenne okno, musi popatrzeć dwa razy, nim się przekona, że tam naprawdę ktoś jest.

To Aziz. Macha do niej, taszczy kosz jabłek, które w świetle z ganku połyskują jak brąz. Sirine szarpnięciem otwiera okno nad zlewem, a Aziz podnosi koszyk.

— Uginam się od owoców!

Sirine wbrew sobie spogląda raz jeszcze. Jabłka błyszczą, jakby przybyły prosto z baśni. Wychodzi i siada na ganku z tyłu, gdzie księżyc jest dwa razy większy niż zwykle, a Aziz sadowi się obok niej, z koszem jabłek na kolanach. Nie widziała go od wieczoru derwiszów. I od pocałunku. Bierze jedno z jabłek w obie ręce i wpatruje się w nie, żeby nie spojrzeć w oczy Azizowi.

— Jak się miewasz, moja droga? — pyta on. — Coś mi się zdaje, że unikasz biednego Aziza, nie, nie musisz odpowiadać. Wystarczy, że powiesz: tak albo: nie.

Sirine gryzie wargi.

— Mam kłopoty z Hanem — rzuca.

— Co? Naprawdę? To nie w porządku! Jak to możliwe?

— Widziałeś go dzisiaj w miasteczku uniwersyteckim? Aziz zastanawia się przez moment.

— Nie. Co jest dość niezwykle. Choćbym nie wiem jak bawił się z nim w chowanego w tej wielkiej przerośniętej szkole, Han i tak zawsze mnie znajduje. On pewnie by powiedział, że to ja go znajduję. Nawet kiedy nie wiem, że szukam.

— A Rana się tam gdzieś kręciła?

— Ra... — Jego oczy robią się okrągłe. — Moja studentka? Skąd znasz Ranę? — Uważnij się jej przygląda. — Czekaj chwilę. O co ty mnie właściwie pytasz? Co ci chodzi po głowie? — Sięga po jabłko Sirine, ale ona je odsuwa.

— Myślałam, że są dla mnie — mówi.

— Tak, ale to jest najśłodsze. Popatrz. — Wysuwa je z jej dłoni i nadgryza. — Będę tylko gryzł po kawałku z tej strony. To jak druga strona planety. W ten sposób nasze usta nigdy się nie zetkną. — Oddaje jej owoc.

Sirine przez chwilę patrzy na jabłko, po czym odwraca wzrok.

— Więc była tam?

— Na zajęciach? — Aziz wzrusza ramionami. — Jak się tak zastanowić, to nikt niczym we mnie dzisiaj nie rzucał. Więc raczej nie, chyba Rany dzisiaj nie było.

Sirine nadgryza jabłko, a potem Aziz gryzie po swojej stronie. Sirine wpatruje się w krzewy naprzeciw nich, które kołyszą się na wietrze.

— A więc... myślisz, że to znaczy, że... co? Hana nie ma, Rana zniknęła, z czego wniosek, że mają romans? — pyta Aziz.

Jej oczy odbijają oświetlone księżycem szyby. Aziz czeka cierpliwie, wręcz z łagodnością. Sirine bierze głęboki oddech i mówi:

— Myślę, że Han jest na mnie naprawdę wściekły. Bo zgubiłam coś, co mi dał. I... może jeszcze przez zdjęcia, które widział... a teraz nie wiem, gdzie on jest... i nagle wszystko się zrobiło okropne i robi się coraz okropniejsze, i okropniejsze, i okropniejsze!

Mireille wystawia głowę przez drzwi.

— Wszystko w porządku, Sirine? Och. — Na widok Aziza milknie.

Aziz macha do niej, żeby wracała do środka.

— Całkowicie opanowałam sytuację. Mireille spogląda na niego spođe łba.

— Niczego nie opanowałeś, przyjacielu — rzuca łobuzersko i nie wchodzi do wnętrza, póki Sirine do niej nie pomacha i nie kiwnie jej głową.

— No, dobra. — Aziz rażno się podnosi. — Za dużo pracujesz i mózg ci się lasuje od tego miejsca. Chodź. — Poklepuje się po kieszeni i wyciąga z niej kluczyki do samochodu. — Potrzebna nam zmiana otoczenia.

Sirine wstaje i zagląda przez oświetlony kwadrat szyby w drzwiach wychodzących na podwórze. Mireille składa zamówienie przez telefon, Victor i czyściciel przecierają podłogi. Restauracja jest zamknięta na noc. Powinna wrócić do środka i przygotować coś na jutro, wymieszać sosy, dresingi i marynaty do kebabów. Ale czuje, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia, praca zostanie wykonana, dziś lub jutro, albo następnego dnia. Nikt tego nie zauważy. Może poświęcić godziny wysiłku daniu, które będzie zjedzone po paru minutach. Czuje, że mogłaby od razu odejść i już nigdy nie wracać, a nikt by tego nawet nie spostrzegł.

Prostuje się.

Zostawiają na tylnym ganku kosz z jabłkami. I jeden ogryzek.

Połyskliwie szklisty księżyc rozświetla ocean tak, że Sirine widzi wszystko. Rozsiane po plaży pary młodych Meksykanów tulą się do siebie, słuchają muzyki z radia albo patrzą na wodę. Wzdłuż całego mola promieniuje pajęczyna napiętych, oświetlonych księżycowym światłem wędkarskich żyłek. Minęły lata, odkąd Sirine była w nocy na plaży i widziała jej przemianę. Ogarnia ją wzruszenie, przypomina sobie nocne wyprawy nad morze z rodzicami, białą jak twaróg pianę na tle czarnych fal.

I wraca do niej wspomnienie tej nocy nad basenem minionej jesieni, gdy poszła pływać z Hanem.

Prawie przez godzinę powoli spacerują po plaży, tuż poza zasięgiem fal. Nie mówią wiele, słuchają tylko pomruku oceanu, aż w końcu docierają do drewnianego mola. Tam skręcają i przechodzą przez całe molo, aż do samego końca, a gdy nie mogą iść dalej, opierają się na barierce. Sirine dostrzega w wodzie wartkie ryby, migoczące niby złote monety. Aziz kładzie łokcie na balustradzie.

— To tutaj lubię przychodzić, kiedy muszę się poważnie nad czymś zastanowić. Albo jak mam nastrój poetycki.

Światło księżycy jest gęste i mleczne. Sirine widzi połyskliwe czerwone nitki we włosach Aziza, czarne dyski tęczęwek przy powierzchni jego oczu. Wiatr wzburza się, potem zamiera i z wirowaniem wpada jej we włosy. Sirine odgarnia je z oczu. Wreszcie Aziz odzywa się:

— Sirine, wiesz, że mam dla ciebie tylko szacunek. Moje uczucia wobec ciebie są czyste i subtelne. — Spogląda na nią nieśmiało. — I oczywiście to samo czuję dla Hana, to niezwykle

człowiek. Potrafi uwieść dobrocią i ciszą i zanim się obejrzy, w każdej sekundzie dnia zwierzasz mu się ze swoich najgłębszych tajemnic. — Sirine przechyla się przez balustradę. — Po prostu poddałaś się jego czarowi. To naturalne. Jesteś tylko Amerykanką i nie masz żadnej obrony.

— Aziz — mówi Sirine — naprawdę nie uważam...

Aziz podnosi rękę, opuszcza końce palców, przesuwa nimi po zaokrągleniu jej ręki.

— Czy znasz historię o danielu i dziewicy?

— Chyba masz na myśli dziewicę i jednoroźca?

— Tak. Na jedno wychodzi. Daniel, z tymi swoimi żalnymi, romantycznymi oczyma, nie umie mówić. Ale potrafi bez przerwy wyglądać smutno i romantycznie, więc niezamężne dziewice, które szaleją za takimi rzeczami, dają mu się schwytać, a daniel wywozi je w klatkach i trzyma w swoim domu.

— Chyba coś pokręciłeś — odpowiada Sirine, ale jego palce tak przymilnie przesuwiają się po wewnętrznej stronie jej ręki, a ocean wokół nich kołysze się pod zmysłowym księżycem. Witki meduz kręcą się na powierzchni wody, wszystko jest tak wielkie i wyraźne, wciska się w nią i budzi jej zmysły, jakby były anemonami na wzburzonym morzu.

— Czemu jesteś tutaj ze mną?

— Chciałabym, żeby był tu Han — spuszcza oczy, odpowiada Sirine.

— Ja też. — Aziz odgarnia jej włosy z twarzy. — Teraz wiem, co czuje biedny daniel wobec tego okrutnego piękna, nie mogąc mówić, niezdolny do ucieczki.

Obok nich przechodzą meksykańscy wędkarze z tranzystorowymi radiami i wiadrami pełnymi przynęty i złapanych ryb. Sirine wstrzymuje oddech, póki ich nie miną. Kiedy podnosi wzrok, twarz Aziza jest tak blisko. Sirine dostrzega delikatny, wyraźny obrys jego oczu, czarnych jak u Hana i przez chwilę równie wrażliwych. Jego usta są pełne, wycięte w kształt półksiężyca. Powiew oddechu Aziza na jej twarzy sprawia, że Sirine kręci się w głowie, czuje, jak ześlizguje się, słabnie, zaczadzona przyjemnym przyciąganiem. Wiatr zrywa się, wyje ponad wodą.

Sirine kładzie rękę na balustradzie, próbuje się przytrzymać równego, srebrzyście gładkiego drewna. Stara się stać całkiem nieruchomo, nawet kiedy jego palce podnoszą się do jej twarzy, kiedy czuje, jak wibrujące pożądanie zaczyna kreślić delikatny tatuaż, podnosząc się ku powierzchni jej skóry. Jeszcze raz nabiera powietrza, pozwala, by długa, równomierna siła wdechu ją uspokoiła.

Przez chwilę patrzą tylko, jak fale zwijają się i rozwijają, jak woda przyboju płynie naprzód, a później się cofa. Potem Sirine puszcza balustradę. Aziz wyciąga rękę, a ona ją przyjmuje. Wiatr się wzmaga, pełno w nim migoczących cętek deszczu. Opuszczają głowy i biegną. W samochodzie jest ciepło i przytulnie, pachnie wilgotną wełną i oddechem i jej ręka zostaje w jego dłoni. Sirine pozwala, by Aziz zawiózł ją do swojego małego mieszkania w Culver City. Umysł ma pusty jak okienna stora. Deszcz zmienia kierunek, grzechocze o okna i spływa w dół sznurami koralu. Całują się, a potem kochają na rozkładanej kanapie, a odgłos miejskiego ruchu zalewa jej myśli. Później ciepło pościeli wciąga ją w półsen. Śni jej się, że zgubiła się w gęstym lesie, że pospiesznie zbliżają się do niej łomoczące kroki, i budzi się z bijącym sercem, zdezorientowana śliskimi poduszkami i ich korzennym zapachem. Budzi Aziza i zmusza go, żeby ją odwiózł do domu stryja, chociaż on próbuje ją namówić, by została na noc.

— Chyba nie powinniśmy tak od razu mówić o nas Hanowi — ostrożnie mówi Aziz, zatrzymując się przed domem. — Znasz tych arabskich gości. Zazdrość ich ogarnia i mordują ludzi gołymi rękami.

Sirine chwyta klamkę.

— To się nigdy. Więcej. Nie powtórzy — mówi i nie przyjmuje jego ręki do uściśnięcia. Biegnie do domu, bierze prysznic w ukropie i trze ciało ręcznikiem, aż cała skóra ją szczypie i zamiast bladej robi się różowa. Zanim zaśnie, całe godziny siedzi przy oknie w swojej sypialni z kamiennym spojrzeniem.

Sirine automatycznie podnosi słuchawkę. Jest szósta trzydzieści, spała półtorej godziny.

— Mmmm? — pyta.

— Sirine? *Ruhi*, czy to ty? Chciałem cię złapać, zanim wyjdiesz do pracy.

— Han? — Siada w łóżku.

— Aziz właśnie zadzwonił i powiedział, że spodobały ci się moje przeprosiny.

Sirine łapie oddech, cała noc do niej wraca, najpierw grzmoty, później ciężar ołowiu, obrzydliwe wrażenie, jakby obudziły ją mdłości. Cieleśna pamięć jego miękkich ust. Niewłaściwych ust. Zamyka oczy, głęboko oddycha przez nos.

— Sirine?

— Ja... jestem tu.

— Więc podobało ci się? Ten kosz z jabłkami? Zobaczyłem je na targu i pomyślałem, że są piękniejsze od róż.

— Jabłka? — Jabłka w kolorze brązu. Przypomina sobie ich sok, chłodną chrupkość między zębami. — Ale... Aziz...

— Bałem się, że gdybym sam je przyniósł... nie wiem. Pomyślałem, że będziesz jeszcze zła. A on zaproponował, że zrobi to za mnie. Nie odważyłem się do ciebie zadzwonić, tak mi było głupio z powodu tamtego dnia. Nawet nie potrafię tego wytłumaczyć tak, żebym sam to rozumiał. Może to było jak opętanie. Jak Amerykanie to mówią? Coś mnie napadło?

— Och, Han. — Sirine zakrywa oczy ręką. — Nic się nie stało.

— Myślałem o tym bez przerwy, jak nawrzeszczałem na Nathana i na ciebie i w jaki sposób stamtąd wypadłem. Przyszło mi do głowy... to głupie... ale nie byłem przygotowany, żeby zobaczyć te obrazy. To był taki szok, tak po prostu zobaczyć twarz mojej kuzynki. Nie spodziewałem się tego. Nie widziałem ani jej, ani nikogo z mojej rodziny od dwudziestu lat. I nagle: oto ona, zupełnie jakbym wyjechał zaledwie wczoraj. Tej nocy, kiedy odszedłem, ona, jej matka i siostry przyszły do naszego domu, dały mi chleba i oliwek. I wtedy ostatni raz widziałem je wszystkie, aż do wystawy Nathana. Tak mnie to zaskoczyło, że nie wiedziałem, jak się mam zachować. Ale potem, kiedy się uspokoiłem na tyle, żeby móc o tym myśleć... Zdałem sobie sprawę, jakie to było dla mnie poruszające, znowu ją zobaczyć, po tych wszystkich latach.

Dźwięk wyrywa się z gardła Sirine. Musi się powstrzymać, bo chciałaby wszystko mu wyznać.

— Sirine — pyta Han. — Czy mi wybaczysz?

— Han. — Ma wrażenie, że jej gardło pokrywają sęki. Bierze oddech. — Nie ma tu nic do wybaczenia. A przynajmniej ja nie mam ci nic do wybaczenia — dodaje pospiesznie, a w poruszeniu jej głosu tętni puls.

Słyszy stukanie zza parapetu i zaskoczona podnosi wzrok. Czerwonogłowy ptak dziobie framugę, macha rozłożonymi skrzydłami.

— Han, ta chusta... ja nie... ja...

— Nie, nie — przerywa Han. — Nawet nic nie mów, Sirine, to nie ma żadnego znaczenia. Chusta była tylko rzeczą. Zgubiłaś ją czy nie, jest, jak jest i koniec. Chusta to chusta to chusta, prawda? Za to ty jesteś całym światem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Czy ci opowiadałem, jak ciotka Camille zaproponowała naszyjnik z łez Królowej Wielbłądów, by ją zaniósła w miejsce, gdzie Tygrys łączy się z Eufratem? Ponieważ, jak wszyscy wiedzą, na tym polega różnica między zwierzętami i ludźmi: zwierzęta nie potrafią płakać, a ludzie tak. Ale Królowa Wielbłądów odmówiła, bo niektórzy utrzymują, że właśnie to zlewisko było kolebką cywilizacji, miejscem, gdzie Adam i Ewa stracili niewinność, a więc zarazem tym, gdzie wielbłądy po raz pierwszy dźwignęły ciężar na grzbiecie.

Ale dla podsumowania: Ciotka Camille wydała na świat mojego występnego kuzynka Abdelramana Saladyna, który sprzedawał się handlarzom niewolników i uciekał im, aranżując utonięcie w Morzu Czerwonym. Szukając go, uwiodła okropnego sir Richarda Burtona. Pielgrzymowała do źródła Białego Nilu, rozprawiała z Matką Wszystkich Ryb, ubijała interesy z dżinami, syrenami i plemieniem błękitnoskórych Beduinów.

A czy wiedziałaś, że kiedy Camille była starą, starą, stareńką damą i w końcu nauczyła się czytać i pisać, odkryła, że jej nieznośny syn Abdelraman zmienił nazwisko i przeniósł się do Kalifornii? Opowiem ci, co zaszło.

Pamiętasz, jak błękitnoskórzy Beduini rozprawiali o Hal'Awud i Dar'Akr? Był rok 1960.

W 1959 pewien reżyser przybył do Wadi Rum, na południu Jordanii, by się zastanowić nad tym, jak będzie kręcił nowy film pod tytułem *Ben Hur*. Rzecz jasna w końcu wszystko sfilmowano we Włoszech, z aktorami o amerykańskim wyglądem. Ale miał taki pomysł, żeby wykorzystać różnych miejscowych Arabów, by jeździli tam i z powrotem w scenach z bitwami i karawanami. Odkrył w Wadi Rum przystojnego, bosego Szaleńca al-Raszida, to było jeszcze, zanim w Akabie porwały go syreny. Reżyser zaprosił al-Raszida do filmu, a razem z nim kilka beduińskich plemion, które przeniósł w to miejsce, by mieć statystów. Oczywiście ich role wylądowały na podłodze w montażowni. Był to jednak początek obsesji Szaleńca na punkcie aniołów i płonących rydwanów, świateł, kamer i akcji — wszystko to opisywał Abdelramanowi, gdy obaj byli więźniami syren.

A więc co stało się z Abdelramanem?

Abdelraman Saladyn — może to jest, a może nie jest prawdziwe nazwisko filmowego gwiazdora Omara Sharifa. Nigdy nie będziemy do końca pewni. Ale kto może być czegokolwiek pewny do końca na tym dziwnym, niepoprawnym świecie?

Omar Sharif!

Mhmmm.

A całe to gadanie, ten Dar'Aktr i Hal'Awud, to znaczyło... Arabszczyzna. Dar'Aktr to w arabszczyźnie aktor, a Hal'Awud to... Hollywood.

Tak. A kiedy błękitni Beduini rozmawiali o Ar-Raszadzie Bur'atonie, nie chodziło im o angielskiego podróżnika i właściciela niewolników sir Richarda Burtona, lecz o walijskiego, zalanego, wyglądającego jak Arab aktora, starego, dobrego Richarda Burtona, który też kręcił się po planie, bo właśnie miał jako Marek Antoniusz zagrać w innym filmie swoją wielką rolę i zapragnął poczuć atmosferę pustyni. Tylko słowa im się pomieszały. Widzisz, Beduini nie potrafią niczego zostawić w spokoju. Uwielbiają improwizować, improwizować, improwizować!

W restauracji Sirine i Um-Nadia mają pełne ręce roboty ze specjalnym *iftarem*, czyli przerwaniem postu — przygotowują menu na miesiąc ramadanu. Wieść o tym dociera do muzułmanów z całego miasta, więc w środku tłoczy się jeszcze więcej klientów. Irańczycy, Saudyjczycy, Palestyńczycy, Libańczycy, nawet Malezyjczycy, Pakistańczycy i Chorwaci snują się przed wejściem i czekają na stolik. Przychodzą wcześniej rano, przed wschodem słońca, a potem gdy słońce zachodzi i dzień postu się kończy. Zamawiają szczególne przysmaki — paszteciki killadż, naleśniki katajif, smażone zalabije i ciasteczka ma'mul. Sirine nie ma już czasu na nic prócz gotowania i pieczenia. W krótkich chwilach nieuwagi przypomina sobie, co zaszło między nią i Azizem. Nikomu o tym nie wspomniała i modli się, by i Aziz tego nie rozgadał, ale nosi z sobą tę myśl jak świst w oddechu. Napięcie to kość, która utkwiała jej w środku ciała. Um-Nadia i Mireille traktują ją, jakby była chora — dyskretnie trzymają się na dystans, posyłają jej zmartwione spojrzenia.

Mają tyle pracy, że Victor Hernandez zaczyna pomagać jako asystent kucharza, sieka całe miski cebuli, czosnku i papryki, przygotowuje sałatki i miesza marynaty. Pewnego dnia przynosi torbę pełną papryk chilli. Niektóre są długie, smukłe i pomarszczone jak stare palce, inne drobne i lśniące niby młode paluszki. Opieka je pod rusztem i w rondlu bez tłuszczu, a potem zsuwa osmaloną skórkę. I Sirine dodaje miękkie, wewnętrzne serca zmielone na purée do omdlałego imama i marynat do kebabów.

— Mówi się, że papryka jest dobra na miłość — zagaduje Victor i podnosi brew w stronę Mireille, która się rumieni. — Daje żar krwi.

Ale Sirine przypadkiem smaruje sobie palce oliwą z chilli i czuje pieczenie mimo wszystkich zgrubień. Trzyma palce pod zimną wodą, póki ból nie sięgnie do szpiku kości.

Han przeprosza Sirine przez cały tydzień, przynosi jej wspaniałe owoce z kolcami i ro-gami, z jadalną skórką i nasionami czerwonymi jak krew, kosze jagód z drugiego końca świata. Ale te podarki pogłębiają tylko jej napięcie i poczucie winy, a pod koniec tygodnia z trudem zmusza się, żeby coś przełknąć, jej żołądek supła się przeciwko jedzeniu. Han zauważa jej nie-pokój i pyta, czy to z powodu sceny na wystawie Nathana, czy dlatego, że od razu do niej nie zadzwonił, czy też zdawało jej się, że widziała go z jakąś kobietą, a może powód jest jeszcze inny? A ona wszystkiemu zaprzecza. Pewnego dnia, podawszy wspaniałą ucztę *id* dla uczcze-nia końca ramadanu (składały się na nią między innymi: nadziewane w całości jagnię, baklawa i paszteciki kunafa ze słodkim serkiem), wychodzi na przerwę z restauracji i odkrywa wokół brzegu koszyka swojego roweru zawinięte i poprzepłatane gałązki pachnącego jaśminu i roz-kwitłej bugenwilli. Śmieje się po raz pierwszy od wielu dni, a gdy tego samego wieczora, przy-jeżdża na rowerze do mieszkania Hana, już w korytarzu czuje zapach gotującego się jedzenia. Han stoi w drzwiach wejściowych, czeka na nią.

To trochę jak powtórka pierwszej nocy ich romansu. Na kocu, rozłożonym na podłodze salonu, stoją talerze z potrawami. Jest nawet bawełniany, lazurowy obrus i dzbanek żółtych margaretek, a w powietrzu unosi się pachnąca para.

Sirine staje nad miejscem nakrytym do posiłku.

— Co się dzieje? Co to wszystko jest? Han bierze jej rękę, obraca i całuje. Mówi:

— Prosty dar. — Sadza ją na podłodze i jedną ręką przesuwając nad jedzeniem. — *'Id al-iftar* dla Królowej Saby.

— I jej armii — dorzuca Sirine. Stoi tu półmisek marokańskiego tadżinu z kurczaka z kiszonymi cytrynami, kuskus nabijany pistacjami i porzeczkami, ryż posypany obsmażonymi w maśle migdałami. — To niewiarygodne. Nie miałam pojęcia, że tak umiesz gotować.

— No cóż... — Han sadowi się naprzeciwko. — Nie umiem. Ale okazuje się, że Um-Nadia potrafi.

— Nie wierzę. Ona już wcale nie gotuje.

— Przyniosła dzisiaj wszystkie składniki, a ja jej pomagałem — wyjaśnia Han. — To znaczy kroilem. Jesteś pod wrażeniem?

— Pod wrażeniem? To za mało powiedziane...

— Chciałem spróbować coś zrobić. — Spogląda na nią bezradnie, dotyka jej palców. — Za ciężko pracowałaś. Jesteś wychudzona, *hajati*, wyglądasz na zmęczoną.

— Och, Um-Nadia zawsze się martwi. Ona ci to musiała powiedzieć.

Han odchyła głowę do tyłu.

— Sam widzę.

Napełnia talerz Sirine i palcami podaje jej kawałek jagnięciny, jakby żywność była ich prywatnym językiem. Rozmawiają o uniwersytecie i o pracy. Słowa przepływają w posilanie się. Sirine je i je. Smaki w jej ustach są intensywne, słodko-migdałowa owocowość pistacji, a obok przydymiony kwaśny smak sumaku, delikatny szafran i ziołowe nuty oliwy. Zaczyna ją boleć żołądek, nieprzyzwyczajony do takich ilości pokarmu. Han je tylko trochę, ale podnosi jej ust kawałki mięsa i łyżki ryżu.

Kiedy Sirine w końcu nie może już przełknąć ani kęsa, siada wygodnie, śmieje się i wachluje się jedną ręką. Han nie pozwala jej pomóc przy sprzątaniu — mówi, że ma odpoczywać, tylko odpoczywać i sam zabiera się za porządki, stukając naczyniami.

Sirine opiera się o ścianę i chwilę przygląda się gwiazdom przez balkonowe drzwi — przenikają ją ich delikatne kolory i żar. Niektóre z nich połyskują, a inne zanikają albo mrugają. Sirine przeciąga się, potem niesie do kuchni trochę naczyń. Han stoi przed połyskującą piramidą piany.

— Chcesz zostawić ryż? — pyta Sirine.

Ale woda się leje, a Han jest odwrócony plecami. Kiedy nie odpowiada, Sirine odstawia naczynia i idzie do łazienki — płucze twarz i wygładza swoje niemożliwe do wygładzenia włosy. Przesuwa lustro w drzwiach szafki, przypatruje się czystemu zielonemu szkłu swoich oczu, sprawdza, czy w kącikach pojawiły się zmarszczki, potem zauważa we włosach siwe pasma, prawie nieodróżnialne na jasnym tle. Kiedy się przygląda, dochodzi ją lekki, owocowy zapach. Wdycha go, marszcząc brwi, i wreszcie sobie uświadamia: tak pachną dojrzałe jagody. Chusta Hana. Odwraca się z rozszerzonymi oczyma, wdycha, wyciąga ręce jak lunatyczka. Sprawdza w ręcznikach, zagląda między nie i wacha. Dwa poskładane, wytarte ręczniki leżą na szklanej półce przy natrysku. Na obu wyszyto inicjały E.H. Sirine otwiera wszystkie szuflady i szafki, zagląda nawet za zasłony prysznic. Ale po chuście nie ma śladu. I wtedy zapach zaczyna się ulatniać, jakby był tylko wytworem jej wyobraźni. Sirine obiema rękami łapie się umywalki, patrzy w lustro i próbuje siłą woli zatrzymać ginącą woń. Na czoło występuje jej zimny pot i uderza ją okropna fala mdłości. Pochyla głowę, próbuje wolniej oddychać. Ale usta zalewa jej ślina, musi podnieść deskę klozetową i wymiotuje mocno, żołądek jej się zaciska, ramiona opadają, z oczu płyną łzy, z nosa cieknie. Nie potrafi nic na to poradzić, może się tylko pochylać nad ubikacją. Przechodzi ją dreszcz, jeszcze mocniej ściskający żołądek.

Gdy to wreszcie mija, Sirine siada, a potem kładzie się na łazienkowej posadzce, przyciska policzek do zimnych kafelków. Przez kilka minut nie może myśleć ani się poruszyć, zagubiona w pustej komnacie łazienki.

W końcu spuszcza wodę i dwa razy szczotkuje zęby i język. Musi wyjść, czuje się okropnie, myśląc o tym wspaniałym posiłku, zastanawiając się, jak to wytłumaczyć Hanowi. Ale kiedy wraca do kuchni, widzi, że woda lała się przez cały czas, a on niczego nie słyszał.

— *Hajati* — mówi z uśmiechem i bierze ją w ramiona. Przykłada nos do jej włosów i pyta: — Gdzieś ty była?

Tej nocy kochają się szybko i w ciszy. Czuje się krucha, kości wewnątrz jej ciała są szkliste i łamliwe, żołądek zapadnięty. Z poczucia winy unikała seksu z Hanem od tej nocy, gdy spała z Azizem. Kiedy zaczynają się kochać, Sirine marszczy brwi, jakby koncentrowała się na jakimś niebezpiecznym, sekretnym zajęciu. Czeką, by Han odkrył jej zdradę, zobaczył to wypisane na jej twarzy. Ale on zamyka oczy, wyraz twarzy ma odrobinę błagalny. Sirine jest zaskoczona tym, jakie to łatwe, tym, że zdrada jest w zasięgu ręki. Po wszystkim leży na plecach, a Han kołysze ją w ramionach. Czuje się słaba, ma wrażenie, że jej kończyny nie trzymają się ciała. Han dotyka jej czoła, przeciąga palcami wzdłuż mostka, przesuwa rękę w dół żołądka, do kołyski miednicy, i przykłada ją tam.

Później, gdzieś między późną nocą i wczesnym rankiem, dzwoni telefon. Han odbiera, Sirine słyszy, jak mówi po arabsku. Docierają do niej słowa „Irak” i „Bagdad” i w tym momencie, zgodnie z logiką snów, z porażającą jasnością czuje to, co oczywiste i czemu długo zaprzeczała: coś go tam zawezwie.

Następnego ranka Sirine przesypia dzwonek budzika, a kiedy Han próbuje ją dobudzić, ona ledwie otwiera oczy. Han dotyka jej czoła, a potem telefonuje do restauracji i rozmawia z Mireille, która mu każe zatrzymać Sirine w domu, ona i Um-Nadia ją zastąpią. Sirine słucha Hana i stłumionego głosu po drugiej stronie słuchawki i wie, że Mireille będzie się martwić. Po raz pierwszy od dziewięciu lat Sirine nie przyjdzie do pracy. Han musi iść na uczelnię, ale otacza ją stertą kołder, a przy łóżku ustawia stos nowel Hemingwaya, po czym całuje ją trzy razy w czoło. Sirine słucha, jak Han zamyka za sobą drzwi i myśli, jak dziwnie będzie zostać bez niego w jego mieszkaniu. Ale wkrótce senność ogarnia ją jak fala, cofająca się z tyłu głowy, i ciągnie ją w dół.

Kiedy znów się budzi, jest pierwsza po południu. Siada w łóżku, twarzą do balkonu, i przygląda się, jak wiatr wieje nad dachami i drzewami. Wygląda to, jakby jakieś światło zamia-

tało srebrzystymi palmami: widzi, jak połyskuje ono na niebie i unosi się ponad wszystkim. Z wolna sobie uświadamia, że pada deszcz. Jeszcze raz zapada się w pościel i słucha siąpienia, miękkiego i gęstego niby mech, niby futro na dachu, zanikającego i znowu narastającego aż do wrzenia. W mieszkaniu rozbrzmiewa syk deszczu. Sirine czuje dziwną pustkę otaczających ją rzeczy, ubrań Hana, które załamane wiszą na wieszakach, i pogniecionej, ciepławej pościeli na łóżku. Podoba jej się to poczucie całkowitej izolacji — to słodki, tępy ból, jak ćmiący ząb, który ma się ochotę przycisnąć.

W tym roku będzie obchodziła czterdzieste urodziny. Zamyka oczy i wyobraża sobie, że to nie czterdzieste, ale już setne, wczuwa się w luźną skórę i włosy, ciało od niej ulatuje. Potem widzi siebie na łożu śmierci, umierającą, łagodne odłączanie ducha od kości, zapadanie się i rozpuszczanie ciała. Z początku czuje strach i żalobę, świadomość całkowitej niepamięci, lecz to się rozplywa, zmienia się w niemal przyjemne wrażenie — delikatne jądro unosi się do szczytu splotu słonecznego, jakby wyczuwała kształt i zarys własnej duszy. Przychodzi jej na myśl falowanie szat wirujących derwiszów i właśnie zaczyna się zapadać w to uczucie, gdy rozlega się stukanie do drzwi.

Sirine siada, w głowie rozbłyskują jej światła. Otula się szlafrokiem Hana, skrada do sąsiedniego pokoju, wpatruje w wejście. Ukradkiem podchodzi ku drzwiom, przystając po drodze, a puls tak głośno bije jej w uszach, że prawie nic nie słyszy. Przez chwilę zastanawia się, czy to nie Rana puka. I wtedy rozlega się psie skomlenie i węszenie, więc Sirine pyta:

— Król Babar?

— *Habibti?* Jesteś tam? — woła jej stryj. — To tylko my, kurczaczki.

Sirine otwiera drzwi i do środka wpada Król Babar. Podnosi go, a on przyciska twarde łeb do jej twarzy, liże jej usta i oczy i tłucze ogonem o jej ręce.

— Bardzo się zmartwiliśmy, kiedy się dowiedzieliśmy, że dzwoniłaś, bo jesteś chora. Postanowiliśmy sprawdzić, co się z tobą dzieje.

Wchodzą, stryj rozgląda się i pyta:

— Gdzie są meble? *Habibti*, ty żyjesz jak Beduinka w namiocie z koziego włosia.

Sirine język płacze się z zawstydenia.

— Och, wiem, przykro mi, właściwie nie ma tu gdzie usiąść.

— Nic nie szkodzi — uspokaja stryj. — To bardzo interesujące. — Ale kiedy usiłuje się usadowić na podłodze, jęczy, zatrzymuje się w połowie i dalej nie może się ruszyć. Z trudem się podnosi.

— Czekaj. — Sirine układa siedzisko i stół ze sterty książek Hana. Stryj, zanim usiądzie, przygląda im się i mówi:

— Popatrzmy, *Iliada* i *Dzieła zebrane* Szekspira. To się świetnie nada.

Sirine parzy dzbanek herbaty z miętą i znajduje resztki z wczorajszego wieczoru — nadziewane daktylami ciastka i słodkie pierożki kunafa z serem. Przynosi filiżankę, dzbanek i wypieki, ale stryj oświadcza:

— Ale, ale, nie będę jadł, jeśli się nie przyłączysz.

Sirine spogląda na jedzenie. Wie, że powinna czuć głód. Układa własny stos książek, żeby na nim usiąść.

— Jak widzisz — mówi, gestami pokazując wnętrze — niczego mi tu nie brakuje.

Stryj podnosi egzemplarz *Pożegnania z bronią*, mrużąc oczy, czyta tytuł i potrząsa głową. Wzdycha nad ciastkami i mówi:

— Nie, cieszę się, że tu jesteś, budujesz własne życie i tak powinno być. Oczywiście ja i Babar za tobą tęsknimy. To takie samotne uczucie, kiedy się je w pojedynkę. Nigdy nie spotkałem tego kogoś, z kim było mi przeznaczone jedzenie kolacji, nie tak jak... — i urywa. Sirine czeka, myśli, że stryj powie: nie tak jak twoja matka i ojciec. Ale on nie kończy zdania. Sirine przygląda mu się z bliska. Zawsze uważała, że on i jej ojciec byli do siebie podobni, ale z latami rysy stryja zastąpiły wspomnienie twarzy ojca. Są rzeczy, których wolałaby nie widzieć: jego włosy, kiedyś faliste i czarne, posiwiały, owalne okulary zjeżdżają mu z miękkiego nosa jak u staruszka, a tęczęwki straciły pigment i nabrały barwy herbaty. Kiedy była małą dziewczynką, po śmierci rodziców, zdarzało jej się zapomnieć i nazwać go „baba”, ojcem. A on ją wtedy przytulał i najłagodniejszym głosem mówił:

— *Habibti*, pamiętaj, że jestem twoim *ummo*. Nie zapominaj o swoim *babie*.

Sirine czuje, że stryj wie więcej o miłości, niż daje po sobie poznać. Na przykład te flirty, które prowadzi z Um-Nadią — dochodzi tylko do pewnej granicy, a potem zmienia front. Jego życie wydaje się oazą medytacji i spokoju, ale Sirine wie, że to niesprawiedliwe, że on jest przecież takim samym człowiekiem jak ona sama, i w jego prywatnym życiu musi być wiele rzeczy, o których nie miała pojęcia. I czasem przychodzi jej do głowy, że nigdy się nie ożenił, ponieważ jego życie nieoczekiwanie i całkowicie wypełniło się wychowywaniem małej dziewczynki. Tak samo, jak Sirine nigdy nie poszła na studia, nie udało jej się wyjść za mąż, bo poświęciła się temu, żeby się nauczyć gotować ulubione potrawy stryja. Ma ochotę go zapytać, co

naprawdę sędzi o Hanie. Czy wierzy, że Han jest dla niej właściwym mężczyzną. Ale to byłyby zbyt intymne pytania. Zadając je, żądałaby od stryja za wiele.

Pozwala więc, by Król Babar wskoczył jej na kolana, i głaszcze go po łbie, tak że skóra wokół jego oczu raz po raz się rozciąga, a potem rozluźnia.

— Witaj, mój królu — mówi.

— Spójrz na niego — stwierdza stryj. — W poprzednim życiu był paszą. Był bogatym i bezwzględny skośnookim sułtanem i twoim niewolniczo oddanym mężem.

Psi łeb pod jej ręką jest ciepły. Sirine całuje zgrubienie na czubku tej głowy, Król Babar zaś opiera brodę na jej kolanie. Przez chwilę siedzą razem w ciszy, popijając herbatę, a umysł Sirine zapełniają pytania, których nie można zadać.

Następnego dnia, gdy Sirine wraca do pracy, Um-Nadia idzie za nią do kuchni, z góry na dół omiata ją spojrzeniem i wreszcie pyta:

— Co się z tobą dzieje?

Sirine wybucha nerwowym śmiechem i dopija ostatni łyk kawy.

— Nie wiem, o czym mówisz — oświadcza i stawia porcelanową filiżankę na blacie przy piecu. Potem smaży kalafiora i właśnie zaczyna układać w garnku warstwy bakłażana i marchwi, gdy podnosząc wzrok, zauważa, że Um-Nadia wpatruje się w jej filiżankę, obraca ją i mruży oczy, jakby studiowała podręcznik — patrzy w fusy.

— Um-Nadio — odzywa się Sirine — proszę, nie... — Sięga po filiżankę, ale Um-Nadia już uniosła zaokrąglone, zdumione oczy. Podnosi filiżankę i przyciszonym, niemal pełnym czci głosem mówi:

— Tego bym nigdy nie zgadła: jest inny mężczyzna!

Um-Nadia ciągnie Sirine do tylnej kuchni. Pokazuje jej krzesło i Sirine ciężko siada za stołem. Ramiona jej opadają ku deskom do siekania, zapachowi cebuli, imbiru, cytryny, pietruszki. Um-Nadia przysuwa swoje krzesło, a Sirine przechyla filiżankę, zerka na rozproszone pod brzegiem fusy, kawałki, zawijasy i łuki, przypominające linie arabskiego pisma.

— Jak ty to robisz? — pyta.

— To nic takiego. — Um-Nadia odrzuca rękę do tyłu, pochyla się, przybliżając. Dzisiaj ma obramowane kredką oczy z rozszerzającymi się brzegami. Napina skórę tak, że oczy zmieniają się w długie czarne linie, zakłada nogę na nogę i krzyżuje ręce nad kolanami.

— Mów, mów, kogo my tu mamy?

Sirine przymyka oczy. Wstaje, niesie filiżankę do zlewu, napełnia ją wodą, płucze do czysta i kładzie na suszarce, a w końcu znowu siada.

— Nie możesz nic powiedzieć Mireille ani Victorowi. Um-Nadia przesuwa ręką po ustach, jakby zamykała suwak.

— To Aziz — mówi Sirine. Um-Nadia tłucze się ręką w pierś.

— Nie.

— Chciałam powiedzieć, że to przez dwie sekundy był Aziz. Nawet nie. Nigdy nie było Aziza. Tylko przechodziłam pewne zamieszanie z Hanem. — Zamyka oczy, wzdycha. — Ja i Aziz mieliśmy coś wspólnego z sobą tylko przez jedną noc, to było takie głupie, właściwie wcale mi się nie podobał, ja tylko... Nie wiem, on był taki miły...

— Tak, pewnie, to są zawsze ci mili.

Sirine przesuwa czubek palca po brzegu deski do siekania.

— Jeszcze nie powiedziałam Hanowi. Ale mam zamiar to zrobić. Dłużej tego nie wytrzymam, bez przerwy noszę to w głowie. Po prostu będę musiała to zrobić...

— Nie! — Um-Nadia krzyczy, głos ma jak kolec. — Nie wolno ci tego robić, nie wolno. To za bardzo niebezpieczne. Jeżeli powiesz, to albo jego to zabije, albo on będzie musiał zabić kogoś innego.

— Zabić kogoś? Han? — wtrąca Sirine. — Nie...

— *Habibti*, nawet za milion lat byś nie uwierzyła, jacy ciągle są ludzie. Spytaj mnie, ja wiem.

Sirine potrząsa głową.

— Nie Han. Nigdy.

— Jasne, jasne, nie Han. Myślisz, że on jest ekstra czysty. Ale jeśli nawet... — Um-Nadia wyciąga z kieszeni podomki paczkę papierosów na ciężkie chwile, wystukuje jednego, obraca go między palcami, nie zapalając. — Pamiętasz tę historię o mojej znajomej, która miała złego męża? Wiesz, tego, co latał tam i z powrotem?

— Och, a kiedy umarł na atak serca, dowiedziała się, że w Jemenie czy gdzieś tam miał drugą żonę i rodzinę?

— Właśnie, a więc moja znajoma... Jak ja mówiłam, że miała na imię?

— Ach, chyba Munira.

— To ona. Tak, pamiętam, była zupełnie taka jak ty. Wiesz, że bardzo mi ją przypominasz? Ona też nie mogła w to uwierzyć. Myślała, że świat jest stuprocentowo nowoczesny. Wyobrażała sobie, że jak się już trafi do Ameryki, to więcej nic złego nie może się przytrafić.

— Ale jej mąż ciągle gdzieś latał.

Um-Nadia wskazuje papierosem na Sirine, która widzi obłupany na brzegach paznokci lakier w kolorze różowej muszelki, ślady różowej szminki na filtrze.

— I widzisz, co z tego wynikło.

Mireille wsuwa głowę przez drzwi, ale widząc miny Sirine i Um-Nadii, zamyka usta i wchodzi do środka. Siada przy stole obok matki.

— Co się dzieje?

— Co się stało z Munirą? — pyta Um-Nadię Sirine.

Um-Nadia przez chwilę patrzy na Mireille. Z powrotem wkłada papierosa do paczki.

— No cóż, umarła.

— Umarła? — Sirine czuje dziwny niepokój. — Nie wiedziałam. Co się stało? Była stara?

— Ssss. — Nie.

— Więc co?

Um-Nadia jeszcze raz patrzy na Mireille. Mireille opiera brodę o wnętrze dłoni i stwierdza:

— Ona nie miała na imię Munira, tylko Nadia. To jest historia mojej siostry Nadii.

Sirine się prostuje.

— Umarła od złamanego serca, miesiąc po mężu — mówi Um-Nadia. — Nie mogła się pogodzić z tym, czego się dowiedziała.

Mireille wyjaśnia Sirine:

— Miała raka żołądka.

— A jak myślisz, z czego on się wziął? — gniewnie pyta Mireille Um-Nadia. — Myślisz, że tak się po prostu pojawił w chmurce dymu, jak dżin z lampy? Dostała go od męża, przez to jego uciekanie chyłkiem i kłamstwa, kłamstwa i uciekanie.

To było jak życie z wężem, a każdej nocy, kiedy spała, wąż wsączał w nią truciznę.

— Mamo... — Mireille pociera twarz rękami. — My nawet nie wiemy, czy to prawda z tą potajemną rodziną. Nie wiemy, czy w ogóle znał tych ludzi. Nie miał żadnych ich zdjęć ani

listów, niczego od nich. Wiemy tyle, że ta kobieta była kombinatorką i chciała odebrać jego ubezpieczenie na życie.

— Wiem, co jest prawdą! — Um-Nadia wstaje, odsuwa krzesło z hałasem. Trochę włosów wysunęło się z jej koka, oczy ma czerwone i szerokie, szminka zebrała się we wgłębieniach wokół ust. — Dobrze wiem, co jest prawdą. Nigdy w życiu mi nie mów, że nie wiem. Jestem twoją matką i wierz mi, ja wiem.

Rozdział dwudziesty piąty

Kiedy ciotka Camille była bardzo, bardzo starą kobietą, a ja byłem bardzo, bardzo młodym chłopcem, zdarzyło nam się przez krótki czas jednocześnie przebywać na ziemi. Wykorzystała tę sposobność, żeby mi opowiedzieć o moim kuzynie Abdelramanie. Mówiła mi, jak z tonięcia zrobił sobie zawód, jak szukała swojego nieznośnego syna i tak dalej, i tak dalej.

Sama ci to opowiedziała? Ale to znaczy, że te historie są prawdziwe?

Będziesz tu ze mną zaczynać filozofowanie? Prawdziwe, nieprawdziwe, rzeczywiste, nierzeczywiste? Kto wie, co jakie jest?

Ale ci ludzie... ci ludzie z tej opowieści — czy oni istnieli?

Spójrz na to w taki sposób: prawda jest we wszystkim, co żyje i umiera, a co więcej, nie zawsze można ją rozpoznać na pierwszy rzut oka — jak z tym niewinnym nasieniem, z którego wyrasta bezwstydne drzewo medznuna.

Ale co z Abdelramanem? Przeżył? Naprawdę pojechał do Hollywood?

Wiesz, słuchanie opowieści to sztuka, która wymaga w równej mierze ciszy, jak chłonności. Tak. Żył kiedyś pewien Abdelraman, był twoim prakuzynem. Czy przeżył? Cóż, może się utopił, a może nie. W końcu w każdym z nas jest kropla zatopionego Araba. Osobiście wiem, że we mnie jest tego całkiem sporo.

Więc umarł?

W porządku, porozmawiajmy o teoretycznym zakończeniu tej opowieści. Skoro omawiamy teorię. I skoro nie jest zdrowo porzucać opowieść.

Każdego roku na zakończenie semestru zimowego uniwersytecki Wydział Etnomuzycologii daje koncert. To wielkie wydarzenie, które przyciąga arabskich i amerykańskich studentów, a także mieszkańców okolicy. Dyrektor programowy, Mazen Mahmoud, to słynny libijski wirtuoz gry na *ud*, a w programie zawsze pojawia się muzyka wielu arabskich narodów,

w tym Maroka, Libii, Egiptu, Palestyny i Syrii. Tego roku program zapowiada, że podczas koncertu zabrzmie muzyka instrumentalna i śpiew, a także klasyczna i popularna muzyka arabska, a na zakończenie odbędą się tańce.

Na widowni Han i Sirine wpadają na Aziza z Nathanem. Sirine i Han po raz pierwszy spotykają Nathana od wystawy fotograficznej i przez chwilę wszyscy są sztywni i niepewni. Wreszcie Han wyciąga rękę, a Nathan przyjmuje ją i lekko, z godnością się kłania, ale Sirine widzi, jaką ulgę mu to sprawiło. Nathan ma włosy sztywno zaczesane do tyłu, widać w nich jeszcze zagłębienia po grzebieniu, ubrał się w sztruksową bluzę z zamszowymi łatami na łokciach. Wygląda jak chłopiec, wystrojony do szkolnego zdjęcia. Han przeprosza za incydent na wernisażu, a Nathan ze zdumieniem odpowiada:

— Nie, proszę, to wszystko moja wina. — I niezgrabnie, jedną ręką obejmuje Hana. Aziz ma na sobie aksamitną smokingową marynarkę z pasem ozdobionym frędzlami i niebieskie zamszowe buty.

— To ja jako poeta angielski — wyjaśnia. Po czym bierze rękę Sirine i całuje ją ceremonialnie, zanim uda się jej uwolnić.

— Wiecie, to ważny koncert — z powagą oświadcza Nathan.

— A na koniec będą tańce — pokazując program, dodaje Aziz. — Co oczywiście znaczy, że będziemy musieli się podzielić Sirine.

Sirine rzuca mu piorunujące spojrzenie.

— Nie umiem tańczyć — mamrocze.

— Ja też nie — kładąc jej rękę na ramieniu, dodaje Han. — Więc jesteśmy sobie przeznaczeni.

Na widowni można zająć dowolne miejsca, a już jest tłoczno, ale Nathanowi udaje się wypatrzeć wolny rząd. Robi się małe zamieszanie, bo nie wiadomo, kto ma siedzieć obok kogo. Wchodzą w głąb rzędu, a potem dwa razy się cofają, zmieniając miejsca. Sirine chce siedzieć z brzegu, obok Hana, ale w końcu trafia między Hana i Aziza, a Nathan sadowi się po drugiej stronie Aziza.

— Jak zrobisz dyplom — mówi Nathanowi Aziz — to też będziesz mógł siadać obok pięknych kobiet.

Nathan krzyżuje ramiona i z pociemniałą twarzą odwraca wzrok.

W końcu gasną światła i otwiera się kurtyna, ukazując na scenie wielką, wielopoziomową orkiestrę, złożoną ze studentów i muzyków z wydziału. Mazen Mahmoud odwraca się do widowni, wymachując dyrygencką pałeczką. Słuchacze milkną wyczekująco.

Dyrygent kreśli w powietrzu pętlę batutą, a orkiestra rozpoczyna pierwszy punkt programu, skrzypce piłują, flety unoszą się, trzej mężczyźni dłońmi i palcami wymierzają bębnom kaskadę uderzeń — to czysty dramatyzm i intensywność. Jest tu kilka instrumentów, których Sirine nigdy wcześniej nie widziała. Han szepce ich nazwy, to kanun, rebab, ud. Sirine jest zdumiona, że ci młodzi studenci potrafią biegle grać na tak niezwykłych instrumentach. Wciska się ramieniem w Hana, opiera się o niego i manewruje tak, by być jak najdalej od ręki i kolana Aziza. Czuje najłżejsze poruszenia ciał Aziza i Hana, bliskość ich skóry, najeżanie się włosów na ręce, niewidzialny dotyk kostki dłoni albo zbliżenie się na cal do uda.

Ale w miarę upływającego wieczoru muzyka każe jej zapomnieć o sobie. Pieśni są skomplikowane i rytmiczne, rezonują w głębi jej świadomości. Przypomina sobie, że niektóre z nich to piosenki, jakie ojciec puszczał z adapteru, stereofoniczne ramię podskakiwało i obniżało się wraz z falami nagrania, a ojciec nucił do wznoszącej się i opadającej muzyki. I chociaż nie rozumiała słów, miała wrodzoną zdolność pojmwania, że ta muzyka jest ekscytująca i pełna uczucia. Jej stryj słuchał tylko włoskich oper, które, jak się nad tym zastanowić, były całkiem podobne. Sirine pochyla się w zasłuchaniu, porywa ją widowiskowość koncertu, energia wypełniającego powietrze dźwięku, który wibruje na deskach podłogi i w jej kościach.

W drugiej części programu na scenę wkracza młody mężczyzna. Wita go gromka owacja. Dyrygent przedstawia go jako znanego śpiewaka *makam* — tradycyjnych pieśni w stylu irackim. Han pochyla się i szepce:

— Znam jego nagrania, jest z Bagdadu.

Pieśniarz składa przed sobą ręce, podnosi brodę, muzycy czekają, i wtedy pieśń unosi się z niego i połyskuje nad widownią, migotliwa i tęskna. Topazowe, na wpół zamknięte oczy śpiewaka zdają się szybować z jakimś niewytłumaczalnym uczuciem. Pieśń wędruje przez Sirine, szumi, odbiera ostrość jej wrażeniom.

Kolejne piosenki poruszają także Aziza i Nathana. Kolano Aziza przesuwają się lekko i zderza z kolanem Sirine, a ona odsuwa obie nogi w stronę Hana. Potem zaczyna się poruszenie między Azizem i Nathanem, którzy prostują ręce i ramiona, wiercą się na fotelach. W chwili ciszy między pieśniami Nathan szepce:

— Przepraszam! — Ktoś w rzędzie z tyłu ucisza ich sykaniem.

Kiedy przychodzi czas na finałowy utwór, pieśniarz wychodzi na przód sceny. Unosi dłonie, jak gdyby otulał nimi płomień świecy, a jego głos wznosi się, migoce i mruga, jakby był w nim więcej niż jeden głos, jakby dźwięk pochodzący z ziemi albo nieba tylko przez niego rezonował, jakby jego ciało było płomieniem, przynoszącym ciepło i blask. Słowa pieśni są arabskie, ale kiedy Sirine zamyka oczy, muzyka niesie ją w miejsce, gdzie niebo jest przejrzyste, a drzewa mają gałęzie niby czarne kości i baldachimy spiczastych liści. I w przestrzeni pieśni uwalnia się jej wyobraźnia — Sirine widzi barwy i kształty, wyobraża sobie prostujące się, pociemniałe sylwetki z zacienionymi twarzami, złote latarnie zwisające z kijów, świetliki kołujące nad ziemią.

Na koniec klaszcze mocno, poruszona i usatysfakcjonowana. Ale kiedy właśnie ma się odwrócić w poszukiwaniu swojej kurtki i torebki, dyrygent wraca przed mikrofon i ogłasza:

— A teraz otwieramy parkiet taneczny!

Trzej mężczyźni grający na tabli, czyli ręcznie uderzanych bębnach, zaczynają kreślić swoje tatuaże, skrzypkowie jednocześnie machają smyczkami, muzyka nabiera tempa. Teraz piosenkarz brzmi raźnie, niemal po amerykańsku. Słuchacze od razu przechodzą na parkiet, kręcą ponad głowami rękami i dłońmi, kołyszają biodrami do przodu i do tyłu. Jedna z kobiet macha nad głową białą chusteczką.

— To fantastyczne! — mówi Aziz. — Musimy tam iść. Chodź, Han. Jeżeli nie zabierzesz tam Sirine, ja ją sobie wezmę.

— Czemu jej nie zostawisz w spokoju? — pyta Nathan.

Młody mężczyzna z grupy, którą Han uczy arabskiego, przechyla się do ich rzędu i przerywa słowami:

— Widzisz, profesorze? To muzyka rock'n'roll. Han śmieje się, obraca się do niego.

— Ho, ho — mówi do Nathana Aziz. — Więc ciebie też oczarowała. Mogłem się tego spodziewać.

— Co jest z tobą? — pyta Nathan. — Niczego nie umiesz uszanować?

— Czemu nagle wyskakujesz z szacunkiem? Proszę cię, przyjacielu, nie wpadaj przy mnie w religijny nastrój. Zdaje się, że to ty robisz wywiadowcze fotografie.

Twarz Nathana twardnieje.

— Niczego o mnie nie wiesz.

— A bo co? Przygotowałeś na mnie jakieś tajne akta? — dopytuje się Aziz. — Zrobiłeś ostatnio dobre rozbierane zdjęcia?

Han wraca do rozmowy.

— O co chodzi? — pyta.

Sirine obraca się do niego, zasłaniając przed nim obu mężczyzn, łapie go za rękę.

— Tylko się wygłupiają. Chodź, chcesz zatańczyć?

Ale kiedy tylko stają na parkiecie, zaczyna tego żałować. Lampy grzeją nieznośnie, a wszędzie wokół nich pną się w górę rzędy widzów. Próbuje obracać dłońmi nad głową, jak inne kobiety, ale jest skrepowana i sztywna. Han uśmiecha się i klaszcze razem z mężczyznami, krąży wokół niej, nie odwraca wzroku. Sirine próbuje naśladować jego rytm, patrzy na jego stopy i oczy. I po chwili zaczyna czuć się swobodniej, ciało jej mięknie, przychodzi jej do głowy, że może jednak umie tańczyć. To trochę jak poruszanie się po kuchni, przepływ od wielkiego pieca do zlewu i blatu, omijanie Victora, podawanie Mireille talerzy. Uśmiecha się, powoli opuszcza ją niepokój. Wokół nich kobiety i mężczyźni poruszają się parami i Sirine widzi, że właśnie tak jest urządzony świat, że buduje go bliskie partnerstwo, coś, czego właściwie nigdy nie szukała, ale ono i tak ją odnalazło. Z daleka przychodzi do niej wspomnienie: siedziała przy zniszczonym stole piknikowym ze stryjem, przyglądając się, jak rodzice tańczą na trawie. Pamięta włosy matki i jej kloszową spódnicę, rozdymającą się jak balon wokół kolan, i to, jak jej ojciec cofnął się o kilka kroków — zupełnie jak teraz Han — patrząc i podziwiając.

Zamyka oczy. Wie, że nie powie Hanowi niczego o nocy spędzonej z Azizem, bo nic nie zaszło. Było, minęło. To było szaleństwo, ostatnia przygoda — wszystko, co wydarzyło się przed Hanem, to tylko przygody. Teraz, mówi sobie, nauczy się nowego sposobu kochania. Wszystko będzie świetnie, myśli.

Ale kiedy znowu otwiera oczy, zza lewego ramienia Hana zbliża się zakwefiona sylwetka.

— Cześć, Sirine — woła Rana. — Witaj, profesorze! Nigdy bym nie pomyślała, że tu będziecie. Zabawimy się w odbijanego? — Sirine czuje, jak strumyczek potu wzdłuż jej kręgosłupa i po wewnętrznej stronie przedramion robi się lodowaty. Han uśmiecha się, przechyla głowę i spogląda na Sirine, jakby chciał powiedzieć: cóż, a jaki mamy wybór?

Sirine przęłyka ślinę i cofa się, wpada na parę tancerzy, zatrzymuje się, żeby przeprosić. Kiedy się rozgląda, Han i Rana zostali już głębiej wciągnięci w tańczący tłum, a ona nie ma ochoty wracać do Nathana i Aziza. Schodzi z parkietu i z odległości przypatruje się Ranie, łapiącej Hana za rękę, przeplatającej palce z jego palcami, wyginającej się do tyłu i kołyszącej

biodrami. Wokół jej ramion fruwa chusta i kiedy Rana obraca głowę, Sirine zauważa na tej chuście czerwono wyszywane obramowanie.

Na parkiecie tłoczy się coraz więcej tancerzy i trudno coś zobaczyć. Sirine mruży oczy, pochyla głowę, zagląda między ręce i ramiona. Czarna jedwabna chusta, obramowana czerwonymi jagodami. Oddycha coraz szybciej. Marszczy brwi, niepewna, czy dokładnie pamięta, jak wyglądała jej chusta. Rozgląda się na boki i z powrotem wchodzi na taneczny parkiet.

Prześlizguje się między tańczącymi z opuszczoną głową, pospiesznie, jakby miała się z kimś spotkać. Chusta miga między poruszającymi się ciałami, potem znika i znów się pojawia. Sirine się obraca, wydaje jej się, że widzi Nathana i Aziza, wchodzących na parkiet. Zbliża się, głowa Rany jest między twarzami Hana i Sirine, po chwili Sirine stoi niemal tuż za Raną i wyraźnie widzi, że to jej chusta, o której myślała, że ją zgubiła, że otula głowę młodej kobiety, a Rana popisuje się pięknym wyszywanym jedwabiem, żeby widział go cały świat.

I zanim ma czas pomyśleć, co może zrobić, co powinna powiedzieć, wyciąga rękę — wtedy Han ją zauważa, twarz mu lśni od potu, uśmiecha się szeroko — i zdiera chustę z głowy Rany.

Rana obraca się, jej odkryte włosy rozkładają się jak wachlarz, rozsypują na ramiona. I w chwili, która zdaje się trwać i trwać, Sirine zdaje sobie sprawę, że to wcale nie jej jedwabna chusta, że ta jest sztywna i nakrochmalona, to tania bawełna, a zamiast eleganckich wyszywanych jagód ma na brzegu niezgrabny nadruk. Wbija w niego wzrok. A potem upuszcza chustę na podłogę.

Obraca się i zaczyna biec.

Wybiega jednymi z bocznych drzwi, ciężki metalowy pręt ślizga się pod jej dłońmi, i nie zatrzymuje się, póki nie stanie na zewnątrz, w wąskiej uliczce, w przestrzeni pełnej mżawki, z wilgotnymi ceglаныmi ścianami i betonowym chodnikiem. Przez ściany budynku, odbijając się echem w uliczce, dociera do niej muzyka i taneczne tupanie. Bez tchu opiera się o ceglana ścianę, trze dłońmi szorstkie cegły. Gdyby ktoś przechodził, mógłby pomyśleć, że się modli. Czuje w gardle uderzenia serca. Wyczuwa zapach oleju napędowego, błota i mokrej kory. Deszczowa mgła wypełnia jej włosy, unosi je w lokach wokół całej głowy.

— Och, Boże — powtarza raz po raz. — Och, Boże, och Boże, och Boże, och Boże.

Nagle słyszy stuknięcie i zamiera. Ma nadzieję, że ktokolwiek to jest, nie zauważy jej. Może pomyśli, że to jakaś wariatka albo bezdomna, nie zatrzyma się. Słyszy zbliżające się kroki, wstrzymuje oddech.

— Wymknęłam się Hanowi — odzywa się Rana. — Nie wie, gdzie jesteśmy.

Sirine nie odpowiada. Zamyka oczy.

— Mylisz się co do mnie — ciągnie Rana. — On mnie nie interesuje. Jeżeli o to ci chodzi.

Sirine mocniej przyciska głowę, wciska ręce w cegłę tak, że czuje zimno sięgające jej aż po przeguby.

— Nie wierzę ci — mówi. Ale spogląda na Ranę. — Widziałam was któregoś wieczoru, jak się całowaliście.

— Nie widziałas — rzeczowo zaprzecza Rana. — Wcale nie widziałas.

— Śledziłam was. Rana wzrusza ramionami.

— To nie ma znaczenia. Po pierwsze, jestem mężatką. Sirine opuszcza ręce.

— Ty masz męża?

— Miałam trzynaście lat, kiedy wyszłam za męża. Rodzice mnie wyswatali. I to moja matka, Amerykanka... Wydali mnie za bogatego stryjecznego kuzyna Farida. Myśleli, że to pozwoli mi utrzymać w ryzach.

Sirine obraca się bokiem do ściany, żeby na nią popatrzeć.

— Zrobili coś takiego? Kiedy miałaś trzynaście lat? Rana też opiera się o mur.

— No. Był inżynierem w przemyśle, starszym o dwadzieścia jeden lat. Pracował w Arabii Saudyjskiej, na polach naftowych. Nie było go po pół roku, czasem dłużej. Farid miał kompletnego fioła na punkcie kontroli. W całym domu, włącznie z łazienką, zainstalował kamery, żeby móc mieć na mnie oko nawet wtedy, kiedy wyjeżdżał.

— Żartujesz.

— Och. — Rana macha ręką do Sirine. — To dopiero początek. Dookoła domu były zamknięte stalowe bramy, a w oknach żelazne sztaby, żeby nikt nie mógł się wspiąć do środka, jak mówił. Ale ja oczywiście nie mogłam się wydostać. Nawet telefon był zamknięty na klucz. Służący musieli mi przynosić jedzenie, wsuwając talerze pod prętami. Do nikogo nie miał dość zaufania, żeby mu powierzyć klucz.

— To jest absolutnie straszne. — Sirine czuje się jak idiotka. Patrzy na chustę w dłoni Rany i ma ochotę zapaść się pod ziemię.

Rana pokazuje gestem cementowe schodki, siadają obok siebie.

— Chcesz tego wszystkiego słuchać? — pyta sceptycznie. Sirine przytakuje. — Nie lubię o tym opowiadać amerykańskiemu znajomym, to potwierdza stereotypy. Wiesz, szejk z dwudziestoma dziewczynkami i te rzeczy.

— Nie martw się, ja tak nie pomyślę — zapewnia Sirine.

— Dobra, opowiem ci skróconą wersję. — Rana składa ręce na piersi. — To wszystko od początku było beznadziejne. Ale wiesz, jak byłam zamknięta, to miałam dużo czasu na myślenie. Więc uknułam plan. Farid przyjeżdżał tylko na parę dni, raz albo dwa razy w roku. Spraszał znajomych inżynierów z pól naftowych i ich zabawiał. Wtedy otwierał bramy i okna, żeby się nie połapali, co on wyprawia. Służba gotowała, a oni jedli i pili i padali na podłodze w salonie. Wszyscy, z wyjątkiem Farida. On nigdy nie pił. Brał mnie wtedy do sypialni i domagał się, żebym wypełniła, jak to określał, „moje obowiązki”. Co za ohyda. Nienawidziłam tego. Ale z latami nabrałam rozumu. Pewnego dnia czekałam, aż wróci do domu, i powiedziałam mu, że tym razem chcę mu sama przygotować coś specjalnego na kolację. Był cały podniecony, myślał, że wreszcie zaczęło mi na nim zależeć. Jak prawdziwa żona, powiedział. Przygotowałam dla niego talerz jagnięciny z ryżem i namoczyłam całe to jedzenie w araku.

— W alkoholu? To bardzo mocne. Niczego nie poczuł? Rana wzrusza ramionami.

— Powiedziałam mu, że to moja pierwsza kucharska próba, i pewnie chciał mi okazać uznanie. Zjadł wszystko i urznął się jedzeniem, a potem dolałam mu tego jeszcze do kawy. To był specjalny arak, trzymał go dla znajomych. Podobno z dodatkiem jadu jakiegoś węża, żeby był mocniejszy. I mężczyzna też po tym się robi mocniejszy, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jakieś takie gówno. Wlałam mu tego do lodów i do herbaty, wszędzie, gdzie tylko mogłam — ciągnie ze śmiechem. — A potem po prostu nalałam całą szklankę i powiedziałam, że to francuska woda gazowana. Ledwie wypił łyk, padł. Jego koledzy pili i leżeli we wszystkich pokojach z frontu i przy głównym wyjściu, więc postanowiłam się przecisnąć oknem łazienki. Tylko to było wystarczająco duże, żebym się zmieściła. Miałam wtedy piętnaście i pół roku. Wiedziałam, że jeżeli zaczekam jeszcze rok, nie dam rady.

— Mój Boże.

— Ale zrobiłam to. — Odwraca się do Sirine. Jej oczy i włosy wyglądają w ciemności jak emalia. — Wydostałam się, a on mnie nie szukał. Pewnie za bardzo mu było wstyd. Więc teraz interesuję się mężczyznami wyłącznie dla sportu. Przesypiam się z jakimś tylko dlatego, że mogę, a potem nie chcę go widzieć. Jak z moim nauczycielem poetyki.

— Ty i Aziz!

Rana lekko wzrusza ramionami.

— W sumie nie jest taki zły. Można się do niego przyzwyczaić.

Sirine siedzi z łokciami wciśniętymi w kolana i wpatruje się w chustę Rany. Potrząsa głową.

— Nieźle.

— Chociaż nie jestem pewna, czy jego można uznać za ciekawą zdobycz. Niektórzy fa-
ceci są zbyt łatwi. Lubię wyzwania.

— Oczywiście — przytakuje Sirine. Ma ochotę się roześmiać, ale spogląda tylko prosto
w górę i pozwala, by mgiełka opadała jej na twarz.

Siedzą chwilę, ale stopień robi się zimny i mokry.

— Cóż — odzywa się Rana.

Wstają, Sirine przez chwilę się zastanawia i pyta:

— Ale po tym wszystkim, czemu jeszcze nosisz... — Przygląda się zgniecionej chuście,
którą Rana trzyma w ręce.

— To? — Rana otrzepuje ją i układa na głowie. — To mi przypomina, że należę do sie-
bie. I do Boga. Widzisz, wciąż mam wiarę. — Uśmiecha się. — Tata chce, żebym się rozwio-
dła, ale ja się przekonałam, że taki nieobecny mąż się przydaje.

— Tak mi przykro — mówi Sirine. — To znaczy... wiesz... z powodu tego wszystkiego.

Rana przechyla głowę. Usta ma pełne i ciemne jak czarne jagody. Czubkami palców do-
tyka twarzy Sirine.

— Właściwie to naprawdę mi ciebie żal — mówi. — Bo próbujesz być z kimś takim jak
Han.

— Co masz na myśli?

Oczy Rany patrzą w dół. Wygląda, jakby się nad czymś zastanawiała. Zawiązuje chustę
pod brodą, pasmo włosów wymyka się. Rana, zaczynając od szczytu czoła, starannie przesuwa
palcami wzdłuż brzegu chusty, póki nie wsunie pod nią każdego włoska. Potem mówi do Siri-
ne:

— Myślę, że lepiej, żebyś sama go o to spróbowała spytać.

Rana proponuje, że ją odwiezie do domu, ale Sirine woli pójść piechotą. Potrzeba jej
powolnego rytmu własnych ruchów. Samochody śmigają bulwarem obok niej, a na ulicy lśni
śliskie odbicie księżyca. Sirine mija nieoświetlone rogi i boczne uliczki, parę samochodów

obok niej zwalnia, ale nikt jej nie zaczepia. Kiedy godzinę później dociera do domu, ma ubranie przemoknięte od mgły i trzęsie się.

Tego wieczoru Nathan, Aziz i Han dzwonią do domu jej stryja, a każdy z nich chce z nią rozmawiać. Stryj za każdym razem podchodzi do zamkniętych drzwi sypialni, przystaje tam i wzdycha, ale Sirine mówi:

— Nie ma mnie w domu. — Leży w łóżku zwinięta, otulona kołdrą. Zupełnie nie jest przyzwyczajona do robienia scen. To doświadczenie kosztowało ją tyle wstydu i wyczerpania — czuje, że musi spać bardzo długo, nim będzie mogła z kimkolwiek rozmawiać.

Głęboką nocą Sirine wydaje się, że słyszy uderzenia deszczu o ścianę. Obraca się półprzytomna. Śni jej się, że podchodzi do okna, a pod długimi, płaczącymi się pasmami palmowych drzew stoi Han, woła ją. Nie odpowiada mu, bo gdyby zaczęła mówić, powiedziałaaby o Azizie. Otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Ma sztywny, chłodny kręgosłup, prosty kark. Wiatr wachluje palmowymi liśćmi, ich sploty migoczą. We śnie zadaje mu pytanie: jeśli to nie Rana, to kto to jest?

Król Babar jęczy i wciska się w nią. Fotografia w szufladzie nocnego stolika szepce jej do ucha.

Rozdział dwudziesty szósty

Po tym, jak jego uszy napełniły się opowieściami Szaleńca al-Raszida, po wyrzuceniu z więzienia syren, Abdelraman złapał wielbłąda, łódź, dżipa, autobus, i powoli, ale pewnie zmierział w stronę Hal'Awud. Kiedy był już w Ameryce, dowiedział się, że miasto Hollywood, czyli Hal'Awud, bywa nazywane Babilonem, a kiedy tylko tam dotarł, zdał sobie sprawę, że to miejsce rzeczywiście ma w sobie coś starożytnego i przeklętego. Słyszał na ulicach potoki języków i głosów, falujących w górę jak rozgrzane powietrze nad ulicznym korkiem. Wszędzie były pomniki, rzeźby i symbole, a nazwę miasta wypisano wielkimi, okropnymi literami na stoku wzgórza, jakby to był sumeryjski ziggurat z Ur. Widział gwiazdy filmowe w futrach, reporterów z wielkimi lampami błyskowymi i Chiński Teatr Graumana — to tam zobaczył swoje pierwsze filmy. I te kolory, te iglice, te rozbłyski światła i dźwięków kazały mu uwierzyć, że odkrył zakazaną Mahram Bilkis — księżycową świątynię Królowej Saby. I w pewien sposób rzeczywiście tak było, chociaż dziś trudno myśleć o tym w ten sposób. Biedne Hollywood z brudnymi chodnikami, gdzie chodzisz po gwiazdach i nawet tego nie zauważasz, póki przypad-

kiem nie upuścisz opakowania po gumie do żucia i pochylając się, nie dostrzeżesz, że siedłeś po Robercie Mitchumie albo, co gorsza, po kimś, o kim nigdy nie słyszałeś, po jakiejś Marcie Gastower... W dniach minionych ta okolica była piękna i demoniczna jak kobieta w żółtej sukni. A Abdelraman Saladyn, mimo wszystkiego, co widział i robił, w głębi serca pozostawał beduińskim prostytutkiem.

Ale na świecie bez wątpienia jest miejsce dla beduińskich prostytutk6w — wiedzą oni na przykład, że oazy mają w sobie coś księżycowego i odwiecznego, niezależnego od tego, co robią tam ludzie. Abdelraman rozpoznał sposób, w jaki wiatr wiał nad Pacyfikiem, zupełnie jak nad jego Morzem Czerwonym, a idąc ulicami miasta, poczuł uzdrawiający, tamujący zapach pustyni. Zaledwie raz spojrział na księżycową świątynię gwiazd, znaną też jako Chiński Teatr, i o mało nie postradał zmysłów. Bo, jak wieść niosła, piękność Królowej Saby i jej dw6rek była tak wielka, że można było od niej stracić rozum. Stał w holu kina, zbyt bojąc się rozbłyskujących świateł, żeby wejść do środka i usiąść w obecności b6stw. Obejrzał film przez szparę budki z ulgowymi biletami i tam ukąsił go bakcyl aktorstwa.

Połknął bakcyła.

Tak, połknął. Nie wiedział, kim byli ci piękni ludzie na lśniącym ekranie ani czego chcieli, ani jak się tam dostali. Wiedział tylko tyle, że chce znaleźć się tam razem z nimi.

Następnego dnia Sirine wraca do pracy. Miesza tabule i wrzuca ziarna kardamonu do malutkich filiżanek czarnej kawy po arabsku, jak robiła to już z tysiąc razy. I modli się, żeby nikt nie widział, jak na wczorajszym koncercie zerwała Ranie chustę. Studenci schodzą się i chociaż nikt niczego nie mówi, Sirine ma uczucie, że rzucają w jej stronę ukradkowe spojrzenia.

Zajmuje miejsce przed wielkimi stalowymi palnikami. Pokrywy palników wyglądają na zapalczywe, są czarne jak zęby. Sirine przesuwaa rondle nad ogniem, pewną ręką potrząsa nimi tak, że plasterki cebuli obracają się i skwierczą. Stopniowo zatracaa się w rytmie pracy, w garnku pełnym ryżu, opiekaniu kebab6w, picciu kawy, w płomieniu, który skacze pod osmaloną patelnią. Pracuje, póki jej umysł nie stanie się chłodny, niezakł6cony, póki nie będzie tylko jej dłoni i sześciu wysokich, błękitnych pierścieni ognia. I zaczyna sobie przypominać swój sen, ale pamięta tylko odgłos kropel na szybie, chociaż ostatniej nocy chyba nie było deszczu.

Kąt padania światła za oknem się zmienia, w kuchni czas przybiera rzadką, bezkształtną postać. Sirine nie jest świadoma otaczających ją klientów, szumu rozm6w, telewizora, widelców i noży dzwoniących o talerze, warczącego srebrnego hełmu nad grillem. Obiadowy tłok się

rozwiewa. A Han nie przychodzi. Sirine pracuje bez przerwy od kilku godzin, gdy jakaś ręka dotyka jej ramienia, a męski głos mówi cicho:

— Szefowo?

Obraca się. Biała kuchenna bluza Victora Hernandeza jest zapięta do ostatniego guzika, wojskowe buty są na wpół rozwiązane. Victor niepewnie spuszcza wzrok.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Chodzi tylko o to, o to, że...

— W porządku, Victor. — Sirine odwraca się, żeby zamieszać w misce natkę, cytrynę i pomidory. — Co się stało?

— Więc twój przyjaciel — zaczyna Victor. Sirine przestaje mieszać, obraca się, żeby na niego spojrzeć. W te długie, wąskie, azteckie oczy. — Han, prawda? Przyszedł tu wczoraj wieczorem — ciągnie.

— Han? Był tutaj? — Sirine pokazuje podłogę.

— Zostawił ci coś w kuchni. Pracowałem do późna, było koło wpół do drugiej albo drugiej. Nawet Cristobal już poszedł. I usłyszałem coś na podwórku z tyłu. Wystraszyło mnie to, wiesz? Więc poszedłem zobaczyć, a tam Han siedział na schodkach.

Sirine wygląda sobie z przodu bluzę, zastanawia się.

— Rozmawiałeś z nim?

Victor przytakuje.

— Myślałem, że jest wstawiony. Oczy miał jakieś czerwone, skóra mu się błyszczała. A może nie był, teraz nie jestem taki pewny. Ale wyglądał na naprawdę przybitego. Usiadłem z nim, a on powiedział, że myśli, czyby nie wracać do Iraku.

Sirine czuje, jak serce jej przyspiesza.

— Tak powiedział?

— Właściwie wiem, co on czuje. Znaczący, ja się tu urodziłem i w ogóle, ale czasem chciałbym jechać do jakiegoś miejsca, takiego jak Meksyk. — Przez chwilę łagodnie patrzy na Sirine, namyśla się. — Tak czy inaczej, gadał i gadał. Powiedział, że tu, w Ameryce, nic dla niego nie ma. Zapytał, czy czasem nie czuję, że to jeden wielki, pokręcony sen.

Sirine przyciska palce do ust. Powiew czosnku i ostrej papryki.

— I co odpowiedziałeś?

— Powiedziałem: człowieku, gdzie tam! Ameryka to żaden sen. Ale i tak myślę, że ten pomysł nie daje mu spokoju, z tym wracaniem. Wiesz, nieraz to widziałem. Moi przyjaciele

dochodzą do pewnego punktu. — Victor rozgląda się, jakby szukał szpiegów. — Ale, szefowo! Nie możesz mu na to pozwolić.

Sirine czuje, jak łomocze jej serce. Przygląda się jego twarzy, brązowym, płaskim bokom kości policzkowych.

— Wiesz, on mi opowiadał, jak tam jest, tam, skąd przyjechał, o tej *guardii*, którą tam mają, o stukniętym dyktatorze, i to mi się z czymś kojarzyło. I potem sobie przypomniałem o Cristobalu. Wiesz, że Cristobal jest z Salwadoru?

— Nie, nie wiedziałam.

— Zrzucili bomby zapalające na całą jego rodzinę. *Guardia*. Wszyscy martwi. To byli tylko zwykli wieśniacy z jakiejś dziury. Na wsi. On się wydostał, nie wiem jak. Powinnaś zobaczyć, jakie ma zniszczone nogi.

Sirine zamyka oczy.

— Posłuchaj, szefowo. Mówię ci, nie możesz pozwolić, żeby Han tam wrócił. Zabiją go na sto procent. W takich miejscach ludzie tacy jak Han są pierwsi na celowniku. Za bardzo odstają i wszyscy zwracają na nich uwagę i zaczynają gadać. Zawsze tak to idzie. — Zabiera się do podnoszenia sterty naczyń, ale z powrotem je stawia. — Wiesz, co jeszcze mi powiedział? Powiedział, że oni myślą, że słowo „Ole” wzięło się ze słowa „Allah”. Jak Arabowie przyszli do Hiszpanii, milion lat temu. Tak sobie pomyślałem, że może to i prawda, bo na przykład na walkach byków zawsze krzyczą „Ole!”, jak zarzynają byka, sam to widziałem, i wiesz, myślę, że to może tak być.

Kiedy Victor odchodzi, Sirine idzie do tylnej kuchni. Prezent od Hana stoi w wazonie na stole — to bukiet aksamitnie czerwonych róż.

Kobieta na wydziale Studiów Bliskowschodnich mówi, że nie ma pojęcia, gdzie może być Han, ale potem z pokoju wychodzi smukła, ubrana w dżinsy dziewczyna z naręczem papierów.

— Szukasz Hana? Myślę, że poszedł na popołudniowy odczyt.

Sirine pyta o drogę. To tylko piętro niżej, okazuje się, że to ta sama sala, w której Aziz na początku semestru czytał wiersze, tylko że teraz tarasowe okna są zamknięte, a dywan ma zmatowiałe, granitowe kolory. Zbliżając się, Sirine słyszy w korytarzu głos mówcy — to przyjemny dźwięk, monotony jak w nienastrojonym radiu. Wszystkie rozkładane krzesła zostały wystawione, ale jest tu tylko garstka słuchaczy. Han i Nathan siedzą razem, w ostatnim rzędzie. Han pochylił głowę do przodu, jakby był w kościele.

Głos prelegenta unosi się i Sirine przystaje w drzwiach, żeby posłuchać. Mężczyzna mówi:

— Teraz, według UNICEF-u, co roku pięćdziesiąt tysięcy dorosłych Irakijczyków ginie z powodu amerykańskich sankcji, a przez amerykańskie embargo na żywność i leki pięć tysięcy dzieci umiera co miesiąc. Sankcje nie pozwalają ludziom na dostęp do podstawowej opieki zdrowotnej, czystej wody i elektryczności. Są systematycznym pogwałceniem konwencji genewskiej, która zabrania użycia głodu wśród cywili jako metody prowadzenia działań wojennych. W ciągu kilku ostatnich lat dziesiątki tysięcy ludzi uciekły z Iraku, a wielu z nich to osoby wykształcone, próbujące się wyrwać z okropnej sytuacji ekonomicznej i politycznej. — Mówca podnosi głowę znad notatek i wzdycha. Patrzy na słuchaczy, mówi: — Jeżeli dwadzieścia pięć osób zginie w rozbitym samolocie w USA, to jest wydarzenie na czołówki gazet. Ale pięć tysięcy irackich dzieci? Albo stu politycznych dysydentów? Jeśli nawet cały Irak postępował źle i na wszelkie sposoby prowokował, od chwili gdy Ameryka zaczęła mu sprzedawać broń, jak to możliwe, że w naszych umysłach nie jest wypalona comiesięczna śmierć pięciu tysięcy dzieci?

Sirine słyszy pomruk — Nathan szepce coś do Hana, który obraca się i zauważa ją w drzwiach.

Han szeptem mówi coś Nathanowi, po czym wysuwa się z krzesła. Zza jego pleców Nathan obraca się i macha do niej. To dziwny znak, bardziej sygnał niż przywitanie, rozchylił palce, jakby chciał przed czymś ją ostrzec, patrzy z błagalnym wyrazem twarzy. Sirine marszczy brwi, przekrzywia głowę, ale właśnie wtedy podchodzi do niej Han. Twarz ma płaską i posępną, z niebieskimi skrzydłami cieni pod oczyma. Podchodzi, pochyla się do niej i szepce:

— Sirine, czekałem, aż... Czy możemy gdzieś iść? — Wyciąga rękę, a ona ją przyjmuje.

Głos mówcy unosi się i Han na chwilę się odwraca, żeby go posłuchać.

— Pozwólcie, żebym wam coś powiedział — zmienionym z emocji głosem mówi mężczyzna. — Powiem tylko tyle. Ameryka po prostu nie może dalej rabować naturalnych zasobów i gospodarki innych krajów, zrzucać na cudze plecy swoich pragnień i wartości, swojej chciwości i pogardy, i nie spodziewać się żadnych konsekwencji. Oto, co wam powiem: konsekwencje będą na pewno. Nie wiem, kiedy ani jakie. Ale jeśli sprawy dalej będą szły takim torem, konsekwencje z pewnością się pojawią. Nie żyjemy w próżni. Nie jesteśmy jedynym narodem na świecie. Od bardzo dawna wyrządzamy okropne krzywdy krajom takim jak Irak. Amerykanie wierzą, że nie muszą się o tym dowiadywać. Możecie chcieć prowadzić życie w

dobrotliwej obojętności wobec reszty świata, ale zrozumcie, że póki żyjecie tutaj, w waszym imieniu dokonuje się morderczych czynów. Mamy moralny obowiązek, pakt, by żyć tak, jak inni mieszkańcy tego globu. Przez naszą obojętność wobec innych zerwaliśmy ten pakt. I pewnego dnia także nam przydarzy się coś okropnego.

O czwartej po południu w domu stryja panuje cisza. Późne słońce obmywa ceglane ściany i płowieje na czerwonych dachówkach okolicznych domów w koralowe i brzoskwiniowe odcienie. Dziś jest najkrótszy dzień roku, wiatr jest lekki i szary jak westchnienie i wydaje się, że świat kładzie się do długiego snu. Sirine prowadzi Hana przez wejście i czuje się zagubiona, jakby znowu była pięciolatką, która wchodzi tu po raz pierwszy: zapach wełnianych i jedwabnych dywanów stryja, staromodne meble z wypalonymi śladami po papierosach, stare olejne malowidła przedstawiające wytworne damy w przejrzystych sukniach, kapitanów i mężczyzn w monoklach, i woń tysiąca oprawionych w skórę, płótno i papier książek, które tłoczą się na półkach, i ślady po niezliczonych filiżankach kawy z kardamonem.

Ale nie idą na prawo, do biblioteki stryja, ani na lewo, do porzuconego salonu, ani do jej sypialni na górze. Zamiast tego Sirine zabiera go w głąb domu, do kuchni, i sadza przy białym, poplamionym stole. Sama siada naprzeciwko, krzyżuje ręce, bierze oddech i mówi:

— Han, przepraszam. Przykro mi, że zgubiłam twoją chustę, i przykro mi, że zrobiłam scenę na tańcach, i przykro mi... och, przepraszam za wszystko.

Jego twarz jest pusta, przypomina papier, oczy są przekrwione, niemal wypalone. Sirine czuje, że także z jej twarzy odpłynęła cała krew, cichy szum wypełnia jej uszy.

— Czemu, za co ty przepraszasz? — mrużąc oczy, pyta Han. Potem jego policzki rozkwitają kolorem głębokim jak buraczany sok, pokrywają się czerwonymi trójkątami i nagle jego oczy rozszerzają się, śmieje się łagodnie i mówi: — Sirine, moja jedyna prawdziwa miłość.

Przez chwilę siedzą przy stole w milczeniu. Sirine czuje mieszaninę napięcia i ulgi. Chce, żeby znowu było jak kiedyś, ale wszystko jest nie tak. Przeraża ją, że z nim tak siedzi, że nie rozmawiają i nie patrzą na siebie, więc w końcu wstaje i zaczyna otwierać szafki, wyciąga ryż, cebule i czosnek. Han nie rusza się z miejsca, wpatruje się w swoją prywatną głębię, a ona przygotowuje posiłek: kawałki jagnięciny opieczone wprost nad gazowym płomieniem, połyskliwe szpadki z cebulą, pomidorem, cukinią, zapach lawendy w oliwie. W jednej z szafek stoi torba freke i Sirine przez chwilę się zastanawia, ale w końcu zamyka drzwiczki. Kuchnię wypełnia aromat czosnku, przypieczonej jagnięciny i otwartych pól. Wnosi wszystko na stół na wielkim półmisku, razem z ryżem przyprawionym szafranem i prażonymi orzeszkami pinio-

wymi. Sama próbuje trochę zjeść, ale mięso nie ma smaku — z trudem je przełyka. Siedzi więc tylko i patrzy, jak je Han, z nadzieją, że ta prosta czynność sprowadzi go z powrotem.

Kiedy Han kończy, Sirine przeszukuje lodówkę i znajduje puszkę mielonej kawy. Odchyła plastikowe wieczko i nabiera łyżeczkę śliskiego, połyskliwego proszku, wsypuje go do małej filiżanki wody. Łyżeczka cukru, wymieszać nad ogniem, czekając, aż w odkrytym rondelku podniesie się piana. Nie może znaleźć kardamonu, ale dodaje spiralę skórki cytrynowej. Czuje się przemęczona, w głowie ma pustkę, więc dla siebie parzy w szklance herbatę z cukrem. Herbata ma kamienny posmak — Sirine podejrzewa, że musiała być zwietrzała, ale i tak ją wypija.

Słońce już dawno zaszło. Sirine przygląda się profilowi Hana, oświetlanemu płomieniami samochodowych świateł zza kuchennego okna — mieszkańcy okolicy wracają z pracy do domu. Jego palce dotykają brzegu filiżanki, obracają ją powoli, Han wydaje jakiś dźwięk.

— Co?

Uśmiecha się, a potem mówi:

— Gotujesz jak anioł.

Sirine chowa się za swoją szklanką z herbatą, obserwuje go przez chwilę. Tak naprawdę go tu nie ma. Powinna spytać, co się stało. Ale w rzeczywistości boi się wiedzieć, a on jakby to wyczuwał. Sirine bierze kolejny głęboki oddech, odkłada szklankę i prowadzi go w górę schodów wznoszących się od wejścia, z wypolerowaną drewnianą balustradą i prostokątami ulicznego światła, padającego przez szybki we frontowych drzwiach. Wprowadza go do swojej sypialni, w której sypiała niemal tak dawno, jak sięga pamięcią. Sadza go na łóżku z kremową kołdrą i wygiętym drewnianym wezglowiem i deską w nogach, trzyma go za rękę. Potem odwraca się w stronę nocnego stolika i wysuwa szufladę, i po raz pierwszy nie słyszy unoszącego się w powietrze melodyjnego śmiechu. Fotografia, którą podnosi, jest cicha. Ten wizerunek wcisnął się w jej pamięć. Nie jest pewna, czemu to robi — jakby na coś naciskała, przebijała się przez pajęczyny. Podaje zdjęcie Hanowi. On uśmiecha się z roztargnieniem, nie patrzy na nie, siedzi na łóżku, pocierając oczy.

— Żadnych fotografii.

— Co masz na myśli?

Jeszcze przez chwilę trzyma dłoń nad oczyma i mówi:

— Widziałem już za dużo.

Potem opuszcza rękę. Spogląda na zdjęcie, jego głowa odchyła się do tyłu.

— Skąd to masz? — Róg odbitki drży w jego palcach. Han wpatruje się w nią i Sirine słyszy oddech, przebiegający mu ciałem. Wyraz jego twarzy jest jasny jak rozbłysk światła, Sirine ma wrażenie, że widzi misterne sploty najskrytszych myśli, gdy gnają żyłkami niby komórki krwi. — Zgubiłem jedyne jej zdjęcie, jakie miałem. Myślałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę. — Podnosi wzrok, oczy zbyt mocno mu błyszczą. — To moja siostra Lejla.

— Przed wojną — zaczyna Han — zanim Amerykanie zaczęli bombardować Irak...

Sirine z wolna wtula się do tyłu, w łóżko, mruga. Han opiera się obok niej. Teraz jej opowie, choćby nie chciała tego słuchać.

— Rodzice posłali mnie do Kairu, do prywatnej szkoły dla chłopców — mówi. — Moja amerykańska przyjaciółka Janet mnie sponsorowała, pokrywała chesne i koszty, więc wkroczyłem do świata myśli, o którego istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia. Pięć lat przeżyłem z daleka od domu, ferie i całe lato spędzałem w szkole razem z kilkorgiem innych dzieci, które w gruncie rzeczy zostały porzucone przez rodziców. Kochałem rodzinę, ale oni należeli do świata, który porzuciłem. Mogłem iść na bagdadzki uniwersytet, ale w 1979, w tym samym roku, kiedy wróciłem do Iraku, Saddam przejął władzę. W 1980 wypowiedział wojnę Iranowi z powodu spornego terytorium. Nagle zaczęło brakować książek i papieru, woda i jedzenie były racjonowane. Stypendia nie istniały, a moje sponsorowanie z Ameryki... cóż, oczywiście się skończyło.

Z Kairu wróciłem z obsesją wszystkiego, co ma związek z kulturą: literatury, malarstwa, dramatu. Nie chciałem mieć nic wspólnego z religią i pieniędzmi, nazywałem je zdradami. Mówiłem i robiłem, co się tylko dało, żeby jak najmocniej unieszczęśliwić rodziców. Ciągłe byłem na nich zły. Czulem, że ja w życiu znalazłem nowe miejsce, gdy tymczasem oni uparcie nie chcą iść do przodu. Teraz wszędzie dookoła widziałem naszą biedę, wszystko: klepisko na podłodze domu, krzywe szybki w oknach, i to mnie obrażało. W nocy na niebie rozbłyskiwały bomby, nie dało się spać. Miałem koszmary, w których rozerwany na kawałki wylatywałem w powietrze.

Saddam zaczął zmuszać młodych mężczyzn, żeby wstąpili do armii, i rodzice chcieli, żebym siedział w domu, nie rzucał się w oczy. Ja tymczasem chodziłem po nocy z Arifem i Lejlą, odwiedzałem znajomych, dyskutowałem o ekonomicznych teoriach, o polityce zagranicznej i o mechanizmach, które rządzą światem. — Przerywa, przez chwilę patrzy na swoje dłonie, powoli je pociera. — Chyba dlatego tak lubię opowieści Nathana o Bagdadzie, on miał więcej dorosłych doświadczeń z tym miastem, żył życiem, którego pragnąłem, ale byłem na niego za młody, kiedy wyjeżdżałem. Kiedy byłem trochę starszy, niektórzy szkolni koledzy zaczęli

mówić, że Ameryka to wielki oszust, pożera dobra i zasoby, i nigdy niczego nie daje w zamian oprócz mydlanych baniek, taniej rozrywki. Dymu i luster. I zacząłem ich rozumieć. Wywieszki na ulicach Bagdadu są wypisane po arabsku i angielsku, wszędzie widać postacie Disneya i koszulki w amerykańskim stylu. Błyskotki. Śmiecie.

Ale zarazem to Ameryka wysłała mnie do mojego nowego życia i nie wyobrażałem sobie, żebym się mógł od tego odwrócić. Chciałem być pisarzem i wizjonerem, jak Hemingway, ekscytowały mnie możliwości, jakie dają języki i podróże po świecie. Nie wychodziły mi fabuły ani poezja, więc rzuciłem się w wir polityki, w obszarpany język, w podziemnych gazetach publikowałem diatryby przeciwko Saddamowi Husajnowi. Pisałem pod pseudonimem Ma'al — wydawało mi się, że to brzmi niebezpiecznie i tajemniczo.

Han zamyka oczy i pociera skronie. Znowu podnosi twarz, spojrzenie ma sztywne.

— Pozwalałem, żeby Lejla i Arif roznosili te gazetki między znajomymi. Zachęcałem ich, by chodzili od drzwi do drzwi, wręczając ludziom odbite na powielaczu kopie moich artykułów. Czytali nawet moje dzieła podczas publicznych zgromadzeń, a tymczasem ja pozostawałem w ukryciu, takie były zasady gry. Lejla miała szesnaście lat, a Arif dwanaście, i oboje uważali, że jestem cudowny.

W końcu policja polityczna Saddama usłyszała o tym, co pisałem, i dowiedziała się, gdzie mieszkam. Ktoś podrzucił im trop. Przyszli do naszego domu, zaczęli walić w drzwi. Rodzice ukryli mnie w piwnicy na oliwę pod głównym pokojem. Słyszałem, jak Lejla zatrzymuje ich przy drzwiach. Powiedzieli, że przyszli aresztować niejakiego Ma'ala, autora zdradzieckich i zniesławiających artykułów, które atakują prezydenta Iraku i przypuszczalnie także iracki naród. Ale można się było domyślać, że w gruncie rzeczy szukali mnie z innego powodu. Powiedzieli, że mają informacje o moich kontaktach z pewnym amerykańskim biznesmenem, znanym informatorem CIA. Mój dwunastoletni brat wystąpił naprzód i powiedział im, że to on jest Ma'alem.

Piwnicę wypełniały wielkie słoje z oliwą. Dłonie mi się po nich ześlizgiwały. Gorzki zapach solanki mieszał się z wilgotną ziemią piwnicy. Odgłos buciorów, zimne, ostre głosy nad głową, stłumiony dźwięk, który matka wydała w kuchni, zanim ojciec ją uciszył. Patrzyłem przez pęknięcie w fundamentach i pamiętam, jak złoty był kurz i zdeptane butami chwasty wokół naszego domu, wszystko takie żółte.

Ukryłem się w piwnicy na oliwę i pozwoliłem, żeby on złożył siebie w ofierze. Nie wiedziałem, co robić. Nie sądziłem, że naprawdę aresztują dziecko. Przypuszczałem, że robią to

tylko po to, żeby nas przerazić, że wezmą go na krótko, a potem wypuszczą. To o mnie im chodziło. Więc kiedy tylko policja odjechała, wiedziałem, że po mnie wrócą. Odszedłem tego samego wieczoru. Ale oni nie wypuścili Arifa. Potem się dowiedziałem, że wrócili w tym samym tygodniu i zabrali mojego przyjaciela Samiego. A parę lat później przyjechali znowu i aresztowali także moją siostrę Lejlę. Powiedzieli, że ma kontakty z amerykańskimi szpiegami. Zabrali ich wszystkich. Może policja sądziła, że w ten sposób sprowadzi mnie z powrotem do Iraku, ale tak się nie stało. Pozwoliłem na to, żeby policja ich wzięła. Kiedy znalazłem się w Anglii, próbowałem wszystkiego, co tylko przyszło mi do głowy, żeby ich odszukać, wydzwaniałem do znajomych i słałem listy, ale równie dobrze mogłem szukać kogoś na księżycu. Zastanawiałem się, czy Janet zdawała sobie sprawę, jak niebezpieczne były związki z nią dla mnie i dla mojej rodziny. Zacząłem widzieć czas, spędzony w tej prywatnej szkole, jako pranie mózgu, wystawienie na zachodnie myśli i wartości, gloryfikację Zachodu. Chociaż Janet wydała na mnie tyle pieniędzy, nigdy nie poznałem jej nazwiska i nie dowiedziałem się, co ona i jej mąż tak naprawdę robili w moim kraju. A ona wiedziała, że Saddam Husajn dojdzie do władzy. Wiedziała wiele rzeczy, o których nie powinna była mieć pojęcia. I chociaż nigdy nie poznałem ich prawdziwych pobudek, w końcu zrozumiałem, że w jakiś sposób, rozmyślnie lub nie, to właśnie oni mnie zdradzili.

— Czy Lejla...

— Tak, Lejla nie żyje.

— Ale skąd wiesz?

— Ta chusta, którą ci dałem... Nie należała do mojej matki, tylko do Lejli. Ciotka Dima mi ją przysłała, kiedy Lejla została zabita.

Sirine otula rękami klatkę piersiową. Potrzęsa głową.

— Czemu mi nie powiedziałeś?

Han marszczy brwi, patrząc w stronę okna.

— Nie chciałem cię przerazić. Myślałem, że nie nosiłabyś jej, gdybyś wiedziała.

Sirine pochyła się do przodu, bierze rękę Hana. Ale znowu coś odciągnęło go od niej, poza jej zasięg, jakby ta opowieść wypełniła mu płuca i ściągała pod wodę. Jego oczy poruszają się, lecz znikł z nich blask. Drży jakby w gorączce, skórę ma poszarzałą, blizna w kącie oka jest czerwona i rozpalona. Sirine wpatruje się w nią, a jego palce wędrują w to miejsce.

— To mam, odkąd uciekłem. — Han delikatnie muska bliznę. — Jeden z mężczyzn, którzy mi pomagali w drodze, nagle zwrócił się przeciwko mnie i próbował ukraść modlitewne

korale, które dostałem od ojca. Zauważył, że zawsze je noszę przy sobie, i uznał, że muszą być cenne. Którejś nocy się obudziłem, kiedy próbował mi je wysunąć z ręki, a on ciął mnie przez twarz potłuczoną butelką. Krwawiłem tak mocno, że go to przeraziło i uciekł. Tej nocy musiałem samotnie przejść pięć mil po pustyni, aż doszedłem do obozowiska Beduinów przy samej granicy. Tam jeden z mężczyzn powiedział, że był kucharzem i widział w kuchni tyle ran, że potrafi zacerować wszystko. Zeszył mi twarz igłą z nitką od swojej żony, a potem sami mnie przeprowadzili przez granicę.

— Kucharz? — Sirine próbuje się uśmiechnąć.

Ale Han chyba nie słyszy. Jego myśli to fragmenty, refleksy migające po powierzchni umysłu. Marszczy brwi i pyta:

— Słyszałaś o Złym Oku? Wiesz, kiedy dorastałem, ciągle o nim słyszałem. To zły duch, który zabiera ludziom rzeczy i sprawia, że wszystko idzie nie tak.

Sirine obiema rękami trzyma jego dłoń, która leży między jej palcami obrócona wewnątrz do góry, jakby otulała ją przed wiatrem.

— Pewnie, wiem o Złym Oku.

— Nigdy w to nie wierzyłem, póki nie zabrali Lejli i nie aresztowali Arifa. A parę lat później ojciec umarł na wylew. Myślę, że nie zniósł tego strachu i smutku.

— Tak mi przykro.

— Zastanawiasz się, czy możesz coś zrobić. Nie śpisz przez całą noc, próbujesz wymyślić coś, co by ich uratowało. — Jego oczy są szkliste i oszołomione. — Co to może być? Co to jest? Słałem listy i pieniądze i nigdy nie wiedziałem, czy coś do nich dotarło. Kiedy tylko się dowiedziałem o Lejli, chciałem wracać, ale ojciec powiedział: nie. Powiedział, że moim zadaniem jest przeżyć.

Sirine ściska mu rękę.

— A zanim wyjechałem, żeby się tu przenieść, do Los Angeles, dostałem kartkę od Dimy, siostry mojej matki. Pisze, że matka bardzo się rozchorowała i nawet trochę w głowie jej się miesza od życia w samotności.

— To okropne. — Ten list, myśli Sirine.

Han uśmiecha się wyblakłym, pełnym żalu uśmiechem.

— Właśnie, to wszystko jest okropne, prawda? Zacząłem wierzyć w Złe Oko. Bo nie mogło mi się pomieścić w głowie, że tyle zła może się przydarzyć jednej rodzinie. Ale przecież to się zdarzyło całemu krajowi. Zastanawiam się, czy kraj może być zaczarowany Złym Okiem.

Sirine odwraca spojrzenie.

— Nie — mruczy Han. — Sam nie wiem. To nie jest w porządku. Nic nie jest w porządku... — Patrzy w okno sypialni, jego głos cichnie.

Sirine idzie za jego spojrzeniem, przypomina sobie noc, gdy wyszedł tym samym oknem. Teraz wydaje się, że to się zdarzyło bardzo dawno temu.

— Rzeczy się zmieniły — odzywa się Han. — Muszę wracać, póki matka jeszcze żyje. Chcę ją ostatni raz zobaczyć, być przy niej... Powinienem to zrobić lata temu. Muszę wracać. — Jego oczy otwierają się i zamykają powoli, jakby prawie spał.

— Już w porządku — uspokaja Sirine. — Nie dzisiaj, dobrze?

— Właśnie dzisiaj — odpowiada Han. — Teraz mamy tylko dzisiaj. — Ale wsuwa się pod kołdrę.

— Han, oboje musimy odpocząć. Rano o wszystkim porozmawiamy. — Sirine odgarnia włosy z jego twarzy. Han spogląda na nią raz, z czułością, a potem zamyka oczy. Po chwili jego oddech ześlizguje się w równe wznoszenie i opadanie. We śnie wygląda młodo, ale wciąż marszczy brwi, pionowa kreska na dobre zagnieździła się między jego oczami, jakby próbował rozwikłać nierozwiązywalną zagadkę.

Wschodzący księżyc to zaledwie skrawek, pokój wypełniają cienie, ale powietrze się nie porusza. Sirine cicho podchodzi do okien i otwiera je na parę cali. Wiatr kołysze się przez pokój, przepojony zapachem ulic i kurzu, i pustyni, ostatni wydech długich zimowych nocy. Nocne niebo jest srebrzyste i widmowe, światło rozbłyskuje w oknach, odbija się od samochodów. Bryza wieje chłodem i Sirine wchodzi z powrotem do łóżka.

Wślizguje się obok Hana, ostrożnie kładzie mu rękę na piersi, starając się go nie obudzić, i szeptem:

— Będzie dobrze, *habibti*, wszystko będzie dobrze. Zostaniesz ze mną i z moim stryjem. Będziemy się kochali, pobierzemy się i będziemy szczęśliwi. Może jakoś nam się uda posłać po twoją matkę, sprowadzić ją tutaj. Będziemy razem i wreszcie wszystko będzie dobrze. — Głaszcze włosy śpiącego Hana. I w końcu sama zapada w głęboki, zamurowany sen bez marzeń, gęsty jak ogarniający ciało dym.

Budzi się, gdy świt zabarwia pokój na szaro. Ma na sobie dzinsy i sweter, i coś jest nie tak. Okna są zamknięte. Usta ją palą, jakby zjadła za dużo cukru.

Siada na łóżku. Na nocnym stoliku nie ma już zdjęcia. Jego miejsce zajął kawałek papieru, złożony w kształt łódki. Dotyka kołdry i dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, że Han znikł.

Na kartce jest napisane: „Rzeczy się zepsuły. Świat się zepsuł. Już czas, *hajati*. Odszedłem. Wyobraź sobie, że nigdy mnie tu nie było”.

W jego mieszkaniu nikt nie odbiera telefonu. Sirine łapie kluczyki stryja i jedzie przez wczesnoporanne ulice, które właśnie zaczynają się wypełniać ludźmi dojeżdżającymi do pracy. Własnym kluczem otwiera drzwi do mieszkania. Zniknęła większość książek i ubrań, jego walizka, szczoteczka do zębów, lapisowe modlitewne korale. I jej żółte spinki do włosów.

Nie ma też stert zapisków i notatek o Hemingwayu — białych, zwijających się kartek w linie, zapisanych po arabsku, niebieskim długopisem. *Rzeka dwóch serc*, *Ruchome święto* i *Stary człowiek i morze*.

Sirine jedzie do miasteczka uniwersyteckiego, ale są ferie zimowe i prawie nikogo tam nie ma. Próbuje wszystkich drzwi w budynku językoznawstwa, aż w końcu znajduje otwarte wejście z zewnętrznych schodów. Ale gmach jest pusty, straszy w nim nieobecność studentów, korytarze rozbrzmiewają echem. Idzie przez hol, słuchając, jak piętra powtarzają odgłos jej kroków. Znajduje biuro Hana na trzecim piętrze, grzechoce gałką u drzwi, wpatruje się w jego nazwisko, odbite z szablonu na szkłe, spogląda na rzędy krzeseł, ustawionych pod drzwiami, czekających na niego. Czuje, jak wzbiera w niej czarna fala rozpacz.

Kiedy wraca do domu stryja, słońce już wschodzi. Stryj czeka na nią przy drzwiach.

— *Habibti*, dzwonił Lon Hayden. Właśnie się okazało, że Han wczoraj w nocy zostawił mu na sekretarce wiadomość, że rezygnuje z pracy!

Rozdział dwudziesty siódmy

A więc Abdelraman Saladyn miał dość topienia się. Postanowił, że spróbuje zostać gwiazdą filmową. I chociaż nie grał nigdy przedtem, choć zaczął z zaledwie trzema angielskimi słowami: *Hal'Awud*, *Dar'Aktr* i *Fil'Imm*, był też diabelnie przystojny, z gładką skórą i gładkimi oczyma, i szerokimi plecami pływaka. Więc na początek dostał tu i tam po małej rólce — grał Meksykanów i Włochów i różnych takich. Stopniowo nabrał ambicji, zapragnął większych ról, więc zaczął się rozpytywać i usłyszał o tym i owym. Między innymi o dawno nakręconym filmie pod tytułem *El Shaykh*. *Szejk*.

Tak. Właśnie ten. Flagowa rola. Wcielenie arabskości. Ale dali tę rolę Włochowi! Jakiemuś ciemniakowi nazwiskiem Rudi Tak-a-tak, bo nikt w Hollywood nie chciał mieć nic wspólnego z prawdziwym Arabem. W tamtych czasach reżyserzy i producenci nie myśleli o Arabach jako o terrorystach, oni sobie wyobrażali, że Arabowie są jak z Biblii. Oczywiście na takie bzdury nie mieli czasu. Poza tym obawiali się, że ktoś z ciemną skórą może dostać szału, zrobić coś nieprzewidzianego. Były więc inne filmy o Arabach ze wspaniałymi rolami, które dostały się Włochom, Irlandczykom, nawet Hiszpanowi albo dwóm, jak słyszałem. Był film *Dziesięcioro przykazań*, nakręcony koło domu naszej cioci Nedźli. I *Opowieść wszech czasów*, filmowana w gospodarstwie dziadka Abdelramana. I *Barabasz* — tam reżyser zaproponował rolę sułtana stukniętemu błękitnemu Beduinowi, Szaleńcowi al-Raszidowi, który przyjechał z miasta, żeby ich odwiedzić, ale ukradł sprzęt i wszystko zepsuł.

Nieważne. Tak się akurat złożyło, że przygotowywano nowy arabski film. Dużo pieniędzy, muzyki, piachu, pełen zestaw. Abdelraman Saladyn miał wreszcie szansę na coś większego. Miało to być zresztą filmowane na wijącym się kawałku pustyni Wadi Rum, akurat na tyłach Akaby, gdzie dorastał. To były wysokie progi, nadal nie był znany, ale musisz pamiętać, że chociaż Abdelraman Saladyn spędził lata, kisząc się w Morzu Czerwonym, wciąż był młody i piękny. Piękny. Ze skórą jasną jak twoja i czarnymi lśniącościami oczyma, jakie miał twój ojciec, z kręgosłupem niby sztylet i czupryną ciemną jak północ na Nilu.

Kiedy wszedł na scenę w czasie przesłuchań, wszyscy włoscy aktorzy zamilkli. Reżyser był bardzo daleko, ukrywał się w morzu pustych foteli, a kiedy skinął głową, Abdelraman otworzył usta i zawołał:

— Mali, barbarzyńscy ludzie! — co zresztą było jedną z najciekawszych kwestii w tym scenariuszu, a jego głos rozłupał powietrze teatru jak dzida i wszyscy wiedzieli, że to on będzie gwiazdą tego filmu.

Tylko jak mógł być gwiazdą taki jordański, syryjski, libański, egipski, iracki, palestyński zatopiony arabski Beduin?

Sirine przez cały dzień pracuje, patrząc jednym okiem na wejściowe drzwi, jakby wstrzymywała oddech.

Jeszcze nigdy nie widziała, żeby restaurację jednocześnie wypełniało tylu studentów. Przy każdym stoliku tłoczą się młodzi mężczyźni ze wszystkich arabskich krajów, niektórzy musieli pożyczyć krzesła z drogerii Szeherezada po drugiej stronie ulicy. Kłócą się po arabsku.

Nie ma ani jednego, który by nie krzyczał, węzły wystąpiły im na szyje. Wielu z nich także wpatruje się w drzwi, jakby czekali na Hana, który w każdej chwili może się pojawić.

Victor Hernandez zostaje w kuchni i gorączkowo pracuje z Sirine, przygotowuje sałatki, zupy i sosy, a tymczasem Sirine obsługuje grill. Cristobal i Um-Nadia biegają z talerzami do stolików.

Gdy Mireille zatrzymuje się, czekając na zamówienie, Victor pyta ją:

— Co to jest? Co się tam dzieje?

Mireille rzuca spojrzenia na Sirine, aż wreszcie odpowiada:

— Mówią, że Han rzucił uniwersytet i pojechał z powrotem do Iraku. Kłócą się o to, czemu tam wrócił, czy musiał uciekać, czy był w to zamieszany Saddam Husajn albo CIA, albo sama nie wiem co jeszcze.

Victor obraca się, żeby spojrzeć na Sirine.

— Jednak to zrobił, wrócił!

Sirine kryje głowę pod warczącym okapem. Czuje się, jakby żar grilla przechodził przez jej ciało, tłuszczył szczęką i kąsał niby zęby.

Pracuje bez przerwy, obraca szpadki jagnięciny i kurczaka, marynowane golenie, pieczoną rybę, póki ramiona jej nie zwiotczeją, póki nie zeszywnieją plecy. Studenci nie odcho-
dzą, przez cały dzień robią zamieszanie. Jedzą i czekają, i kłócą się jeszcze godzinę po zwy-
kłym czasie zamykania, aż wreszcie Um-Nadia wyciąga ze schowka szczotkę i staje pośrodku
sali, potrząsając kijem i krzyżąc:

— *Imszi!* A teraz wszyscy do domu! Dostyc tego wszystkiego i głowa mnie boli!

Victor, Cristobal i specjalnie wezwany kuzyn Cristobala Eliazer biorą się do sprzątnia. Sirine pada na krzesło. Czuje się przezroczysta, jakby straciła kości i skórę. W głowie wciąż szumi jej warkot wyciągu i harmider sporów. Snuje się ziemisty zapach siekanej natki. Sirine na chwilę zamyka oczy, nasłuchuje białego dzwonienia w uszach. Mireille siada naprzeciwko niej.

— Niektórzy studenci mówią, że był szpiegiem.

— Szpiegiem? — Ręce Sirine opadają na kolana. — Szpiegiem? Czyim?

Mireille wzrusza ramionami.

— CIA, Irakijczyków, kogokolwiek.

— To szaleństwo.

— Ktoś inny uważa, że był jednym z potajemnych synów Saddama Husajna.

Sirine pociera skronie.

— Dlaczego rozmawiamy o Hanie w czasie przeszłym?

— Czy on ci w ogóle coś powiedział? Wraca? Naprawdę pojechał z powrotem do Iraku?

Sirine opuszcza wzrok, czuje, że twarz jej pęka, jakby miała się rozpląkać, ale chyba zabrakło jej łez. Usiłuje powiedzieć: nie wiem, ale nie ma dość powietrza w płucach. Mireille przysuwa swoje krzesło tak blisko, że dotykają się kolanami, mocno chwyta Sirine za rękę.

— Wszystko będzie dobrze. On wróci, jestem tego pewna. Czuję to.

Sirine potrząsa głową.

— Nie wiem, co myśleć.

— To posłuchaj mnie, ja wiem, co on do ciebie czuł. Każdy głupi to widział. Może się przestraszył, ale wróci, bez dwóch zdań.

Sirine wbija wzrok w podłogę.

— Czego się przestraszył?

Tego wieczoru Sirine wraca do mieszkania Hana, ciągnie telefon do łóżka i dzwoni do linii lotniczych. Kiedy drżącym głosem mówi:

— Halo, chciałabym kupić bilet. Do Bagdadu — po drugiej stronie zapada długa cisza.

— Przykro mi — odpowiada w końcu kobieta. — Nie ma komercyjnych lotów ze Stanów Zjednoczonych do Bagdadu.

Sirine mruga, ściska słuchawkę.

— Chce pani powiedzieć, że... że nie mogę polecieć?

— Amerykanów obowiązuje zakaz podróży. Nawet gdyby pani dojechała samochodem do granicy, myślę, że by pani nie wpuścili — mówi kobieta.

Sirine pociera czoło ręką. Usiłuje się zastanowić.

— A gdybym była Irakijką? Znowu cisza.

— No cóż, prawdopodobnie można spróbować polecieć do Europy albo do innego kraju na Bliskim Wschodzie, a potem dalej z przewoźnikiem, który ma kursy do Iraku. Niewielu jest takich. Albo może mogłaby pani lecieć do sąsiedniego kraju i przejechać samochodem. Wie pani, tam jest bardzo niebezpiecznie — dodaje kobieta.

— Czemu? — pyta Sirine. — Co oni by mi zrobili? — Patrzy na balkon Hana i przypomina sobie tę noc, kiedy się jej wydawało, że widzi tam maskarona, który jej się przypatruje.

— Słucham?

— Myśli pani, że by mnie aresztowali? — Zaciska wargi, wie, że w jej głosie słycać nadzieję i szaleństwo.

— Proszę pani, ja... ja naprawdę nie sędzę... Sirine pospiesznie odkłada słuchawkę.

Dzwoni telefon. Jest tak ciemno, że Sirine przez moment nie może sobie przypomnieć, gdzie właściwie jest. Nawet światła miasta wydają się odległe i przyćmione, zacierają się w jej świadomości, gdy budzi się z twarzą obróconą w stronę balkonu. Ale przecież nie spała, prawda? Nie mogła zasnąć. Czeką, ale automatyczna sekretarka się nie włącza, a Han nie może odebrać, bo nie wrócił jeszcze do domu. Telefon dalej dzwoni. Sirine siada, zastanawia się, czy zatelefonowałby do własnego mieszkania.

Podchodzi do telefonu w drugim pokoju, podnosi słuchawkę i szeptem:

— Halo? — Ale nikt się nie odzywa.

— Halo? — mówi, tym razem głośniej.

Wciąż cisza, w której Sirine wyczuwa teraz czekanie, jakieś oczekiwania. Słyszy, jak coś drobnego, cząsteczkowego spływa po linii telefonicznej do okólków jej ucha. Wydycha powietrze, i w tym wydechu szeptem:

— Han? — I natychmiast zdaje sobie sprawę ze swojej pomyłki. Oddech ma jak obdarty ze skóry, serce obrane niby bulwa. Tam jest coś niesamowitego i złowrogiego, wyczuwa to w słuchawce. Coś potwornego czeka na nią, uczone jej umysłu, w środku nocy zwisa na tej cienkiej linii. Chce od siebie odrzucić to coś, uciec, ale ono tam wisi, oddycha cicho, wślizguje się do jej ucha. Sirine czuje w ustach gorzki, wypalony smak, jakby wypełniała je sadza.

Zamyka oczy i drżąc, zmusza się, żeby powoli odłożyć oddychającą słuchawkę. Ta cicha rzecz, czekająca na linii, chce jej. Nie wie, czemu. Rozgląda się po na wpół pustym mieszkaniu, które o tej chłodnej, północnej godzinie zdają się wypełniać kształty duchów.

Rozbiera się i nakłada jedną z koszul, które Han zostawił, by wisały w szafie, a potem wraca do łóżka. Zwija się w ubraniu Hana, w jego pościeli i zapachu. Śpi lekko, snem powycinanym misternie jak koronka. Boi się snów. Przewraca się z boku na bok, kilka razy ma wrażenie, że słyszy w zamku chrobot jego klucza. Wpatruje się w stłumione czerwone światło zegara z budzikiem, pokazujące godziny. Wreszcie zasypia bardzo wczesnym świtem i zwleka się z łóżka o dziewiątej. Spóźni się do pracy, ale nie potrafi się spieszyć, ledwo ma siłę opryskać twarz wodą i mrużąc oczy, popatrzeć na swoje odbicie w lustrze. Oczy ją boją, są spuchnięte, jakby przepłakała całą noc. Rowerem wraca do domu stryja, żeby sprawdzić, czy przyszły jakieś wieści od Hana.

Ale nie ma ani żadnej kartki, ani wiadomości na automatycznej sekretarce. Wchodzi na górę, do swojej sypialni, przypatruje się niepościelonemu łóżku. Potem przebiera się w robocze ubranie, porusza się wolno, ale automatycznie, odsuwa się od myślenia. Lepiej być ogłuszoną i zdezorientowaną. Schodzi na dół, bierze kurtkę i klucze, i trzyma już rękę na klamce, kiedy coś każe jej zawrócić. Zagląda do kuchni i zauważa stojącą jeszcze na stole filiżankę Hana z ubiegłego wieczoru. Ale z jakiegoś powodu spodek przykrywa filiżankę, tak jak się to robi dla wróżbitów, żeby po wypiciu kawy odczytujący mógł potrząsnąć filiżanką i odczytać wzór z fusów.

Przypatruje się przez chwilę. Nie zauważyła, żeby Han przykrywał filiżankę, ale to jest jak znak albo tajemna wiadomość dla niej. Bardzo ostrożnie, obiema rękami podnosi filiżankę i spodek, i uświadamia sobie, że nie zdoła w ten sposób jechać na rowerze. Stryj wyjechał już na uczelnię, więc nie ma samochodu. Jazda miejskim autobusem, w tłoku i po wybojach, byłaby zbyt ryzykowna, dlatego w końcu postanawia zadzwonić po taksówkę. Nazwisko na zezwoleniu, wsuniętym za szybę, brzmi V.S. Ramoud. Kierowca pomaga Sirine zająć miejsce i nie zadaje pytań, jedzie powoli, we wstecznym lusterku zerka na odbicie filiżanki i spodka w jej rękach.

Kiedy Sirine wchodzi do pracy, Um-Nadia momentalnie zauważa filiżankę po kawie. Natychmiast się ożywia i koncentruje.

— W porządku — mówi pospiesznie. — W porządku, chodź do kuchni. Od razu.

Zajmują miejsca przy kuchennym stole, a Victor i Cristobal im się przyglądają. Um-Nadia wpatruje się w filiżankę, po czym odwraca wzrok na Sirine.

— Czy to twoja filiżanka? — pyta. Sirine potrząsa głową. Um-Nadia powoli obraca spodek, przypatruje mu się uważnie. — Czy było jakieś życzenie? — dopytuje się.

— Nie wiem — odpowiada Sirine.

Um-Nadia unosi spodek, a filiżanka przyczepia się do niego na chwilę, nim się oderwie z lekkim plaśnięciem. Um-Nadia kiwa głową.

— Życzenie się spełni — mówi. Obraca filiżankę, odczytuje prądy zmielonych ziaren, wyściełające porcelanowe wnętrze. W skupieniu marszczy czoło, cicho porusza ustami, a Sirine, Victor i Cristobal czekają. Kiedy wreszcie podnosi oczy znad naczynia, spojrzenie ma strapione, unika ich wzroku. W końcu pospiesznie mówi:

— Świetnie. Wszystko jest świetnie. Sirine patrzy i czeka. Wreszcie pyta:

— I to koniec? Świetnie? A co z miłością i podróżami, i kłopotami? Nie widzisz nic więcej?

Um-Nadia zerka pobieżnie, jakby wołała nie patrzeć.

— Nie — odpowiada i stawia filiżankę na spodku. — Nic tam nie ma ciekawego. Poza tym to wszystko głupie zabobony. Powinnaś o tym wiedzieć. Arabowie już nie wierzą w te stare przesady. Jesteśmy rozwiniętą cywilizacją. Nie ma miejsca na ciemnotę! — I wypowiadając te słowa, wstaje, niesie filiżankę i spodek do kosza na śmieci pod zlewem i tam je wrzuca. — Zbliża się południowy szczyt! — oświadcza i wychodzi.

Pozostała trójka przez chwilę patrzy w stronę kosza, a potem każde z nich bierze się do własnej pracy. Później, gdy w tylnej kuchni nie ma nikogo, Sirine wraca i przekonuje się, że ktoś wyłowił filiżankę ze śmieci, owinał w ścierkę i wsunął jej do plecaka.

Dzień to niema rozpadlina: Sirine porusza się jak lunatyczka, sieka i miesza, podnosi łyżkę do ust, ale wszystko ma dla niej smak mokrej waty. Nie może nie czekać na Hana, nie nasłuchiwać dźwięków od frontowych drzwi. Nie chce się pogodzić z tym, że on nie wróci. Ludzie dookoła niej gadają, śmieją się i jedzą, hałas i gorąco unoszą się z nich, otaczają ją, ale są od niej oddzielone. Wygląda na to, że studentom nudzą się już dyskusje o Hanie. Nagle wchodzi rodzina: mężczyzna Arab i jasnowłosa kobieta z dwójką bladych, ciemnookich dzieci. Sirine przez chwilę wyobraża sobie, że to ona i Han z rodziną, że jej własne życie toczy się w pobliżu męża i dzieci. Zamyka oczy, miesza.

Podczas przerwy wymyka się do tylnej kuchni i dzwoni na policję. Płytko, rozpaczliwie chwyta powietrze. Mówi, że chce zgłosić zaginięcie.

— Od jak dawna nie ma tej osoby? — pyta funkcjonariusz.

Sirine zastanawia się, nie jest do końca pewna, poczucie czasu ją zawodzi.

— Myślę, że to może być czterdzieści osiem godzin. — Podaje dane Hana: nazwisko, wygląd, adres, zawód. Mówi policjantowi, że Han jest jej chłopakiem. Zaskakuje ją pytanie o to, czy ma jakieś podejrzenia, dokąd mógł się udać. Zastanawia się przez chwilę, w końcu mówi:

— Tak, myślę, że wrócił do Iraku.

— A czemu tak pani sądzi?

— Cóż, zostawił kartkę. Tak mówił. I zabrał swoje rzeczy. Ale to było takie dziwne i niespodziewane...

— Czemu miałby jechać do Iraku?

— No, on stamtąd jest. Pochodzi stamtąd. Ale nie byłby tam bezpieczny. Myślę... — głos jej drży. — Myślę, że mogliby zrobić mu krzywdę.

— Kto mógłby?

— Wie pan, Saddam Husajn... Chwila milczenia, a potem:

— Uważa pani, że Saddam Husajn chce zrobić krzywdę pani chłopakowi?

To brzmi dziwnie. Przez chwilę jest zmieszana. Potem pyta:

— Myśli pan, że nie? Znowu milczenie.

— Proszę pani — odzywa się funkcjonariusz — nie jestem pewien, czy to naprawdę jest sprawa dla policji.

— A nie moglibyście po prostu... Czy nie możecie i tak go poszukać? — Powiedział, że go zabiją. Ale sama rozumie, że to zupełnie jak poprzedniego dnia z biurem sprzedaży biletów lotniczych, że już mówi, jakby była lekko stuknięta.

— Proszę pani...

Mireille i Victor wnoszą do kuchni brudne naczynia. Sirine odkłada słuchawkę.

Tego wieczoru Sirine zostaje w pracy długo. Nie chce wracać do domu, ale jednocześnie z nadzieją czeka na Hana. W końcu zaczyna pomagać Victorowi i Cristobalowi przy czyszczeniu i szorowaniu. Zauważa przy pracy delikatne, gładkie dłonie Cristobala, to, jak starannie trzymają mop, sposób, w jaki włosy połyskującymi czarnymi pasmami opadają mu na oczy. Jak u Hana. Kiedyś pracujący tu dozorca zmieniali się bez przerwy. Arabowie, Azjaci albo Meksykanie. Ale Cristobal wytrzymał już prawie dwa lata i często przychodzi z kuzynami albo kolegami, którzy pomagają mu w sprzątanii. Daje im jedzenie, które zostało w kuchni, i dzieli się z nimi napiwkami. Sirine zerka na niego i czuje, że coś ją do niego przyciąga, ma ochotę położyć rękę na jego ciepłej skórze. Przypomina sobie, jak Victor mówił, że Cristobal jest z Salwadoru. Chciałaby go zapytać: co teraz stanie się z Hanem? Co oni mu zrobią? Wydaje się, że Cristobal może znać odpowiedź. Ale to oczywiście nieprawda, myśli Sirine — są z innych krajów, jak mógłby wiedzieć takie rzeczy? A jednak bezwiednie, prawie nieświadomie się do niego przybliża, szorując grill, przecierając blat, aż w końcu on z zaskoczeniem podnosi na nią oczy i odsuwa się. Sirine czeka, by przeszedł do następnego pomieszczenia, a potem podnosi rękę do jedwabistego metalowego wyciągu i próbuje się powstrzymać od płaczu. Myśli, że jeśli teraz zacznie, nie będzie umiała przestać.

W końcu nie ma już żadnej pracy do zrobienia. Wszystkie krzesła zostały ułożone na stołach do góry nogami, posadzka lśni, i Sirine musi gdzieś pójść. Wraca rowerem do domu

Hana, lecz boi się wejść do pustego, wygaszonego wnętrza. Pedaluje na tyły budynku, tam, gdzie widać jego balkon, ale nie świecą się żadne światła. Hana tam nie ma. Sirine nawet się nie zatrzymuje, skręca tylko, szurając oponami po żwirze, i rusza do domu stryja.

Stryj wychodzi jej na spotkanie do drzwi, trzymając otwartą książkę — historię Konstantynopola.

— Ktoś z Wydziału Kultury Tureckiej mi powiedział, że to się dobrze czyta — stwierdza. Potem, mrużąc oczy, przypatruje się jej twarzy. Wzdycha, odkłada książkę i rozchyła ramiona. — Chodź — mówi. Sirine wsuwa się w nie, czuje zapach dobrego tytoniowego kurzu, mielonej kawy i rozlatujących się książek. Zapach stryja. — Ach, *habibti* — mówi stryj. — *Habibti, habibti*.

— Odszedł — Sirine po raz pierwszy wypowiada to na głos.

— Wiem. Wiem. Taka szalona decyzja.

— Co się z nim teraz stanie? — Sirine płacze w szyję stryja.

— Nie mam pojęcia, *habibti* — szepce on. — To nie jest miejsce, do którego można jechać. Nie teraz. Nie w takim świecie.

— Czy on wróci? Stryj nie odpowiada.

Sirine idzie za stryjem do biblioteki, siada obok niego na tapczanie z końskiego włosia. Dotyka szorstkiego materiału, wdycha stęchły zapach, słabe światło i aromat eukaliptusa. Próbuje je poczuć. W myślach powtarza: Znowu jestem w domu.

Stryj pociera twarz dłońmi. Sirine podnosi załzawione oczy i mówi:

— Jesteś zmęczony.

Stryj wydaje się odległy, zamyślony, trochę smutniejszy niż przedtem. Składa ręce, rozdziela je, rozsuwa na boki i wzdycha:

— Starzeję się. — Spodnie, podwinięte nad nagimi kostkami, wiszą na nim, na wierzch narzucił przewiązany paskiem szlafrok z kraciastej flaneli.

— Nie.

— Och, pewnie, że tak. — Uśmiecha się do niej i kiedy Sirine już ma na nowo zacząć płakać, jeszcze raz przyciąga ją w objęcia. Wygładza jej włosy, nuci i mówi: — Twoja matka to dopiero płakała.

Kołysze ją chwilę, pozwala, żeby łzy zamoczyły mu róg koszuli, i w końcu podaje jej do wytarcia nosa starą szydełkową serwetkę ze stolika.

— Dziękuję — szepce Sirine. Stryj wygładza jej włosy do tyłu, a ona przypomina sobie, jak w podstawówce próbował szczotkować jej kręconą czuprynę. Im dłużej ją cesał, tym więcej robiło się włosów i tym bardziej były kędzierzawe, naładowane elektrycznością tak, że strzelały w nich iskry.

Stryj jeszcze raz wzdycha i mówi:

— Na tym świecie nic nie wiadomo. Musimy się uzbroić w cierpliwość, *habibti*.

Sirine zamyka oczy.

— Ale jak? Jak się w nią uzbroić? — Stryj naciąga jej na ramiona wełniany szal, a Sirine wślizguje się pod ciepłe prądy pokoju, we wspomnienie opowieści, które dla niej snuł, gdy była dziewczynką.

— Cierpliwość przychodzi z dziwnych miejsc — mówi stryj. — Z księżycy i gwiazd, ze wzdychania i nabierania powietrza, z pracy i snu, by wymienić tylko niektóre.

Sirine prawie już śpi, gdy stryj snuje tę opowieść:

— Nie wszyscy o tym wiedzą, ale za prawdziwymi górami są jeszcze uśpione fioletowe duchy gór. I nigdy w nic nie należy się zbyt długo wpatrywać, jeśli się nie chce ujrzeć tego drugiego świata, świata poza zmysłami, świata, który zapełniają nie rzeczy, lecz niezmiennie, niepoznawalne byty.

Właśnie tak się czułem tego dnia, gdy twój ojciec spotkał twoją matkę. Mieszkaliśmy w tym kraju razem z bandą innych zaprzyjaźnionych imigrantów, wszyscy na wół oszalali z tęsknoty za domem, za rodzicami, za naszym językiem, naszym jedzeniem. I pewnego dnia mój młodszy brat przyszedł do domu i rzekł do mnie: Dzisiaj poszedłem na spacer i moje przeznaczenie przyszło do mnie ulicą. I jak ci się to podoba? Chociaż byliśmy tysiące mil od miejsca, gdzie się urodził, tu właśnie czekało na niego przeznaczenie! Poczulem to znowu w dniu, kiedy się pobrali. To się czuło, wisiało to w powietrzu. To był okropny dzień Okropnie Gorących Garniturów, pocilem się tak, że miałem mokrą marynarkę i wszystko, aż po skarpetki. Tego dnia było mi tak smutno, że myślałem, że już zawsze będę się tak czuł. Zdawało mi się, że jestem smutny, bo w moim życiu nigdy nie będzie takiej miłości.

I w końcu, kiedy twoja matka była z tobą w ciąży, zrozumiałem, co właściwie wisiało w powietrzu. Dotknąłem jej brzucha, mogłem cię tam wyczuć, pływałaś w fioletowym rybitwie światła. Byłaś taka tajemnicza: wyobrażałem sobie siebie z płomiennymi piórami, z twarzą jak złota mozaika. I chociaż do tej chwili matka chciała ci dać na imię Maybelle, a ojciec pragnął cię nazwać Samar (ja sam w sekrecie byłem za Wielką Diszdaszą), gdy dotknąłem jej brzucha,

może trzy cale nad twoją głową, wiedziałem, że nazywasz się Sirine. I że po tobie wszystko może się zdarzyć.

Później tego samego wieczoru, po opowieściach, nakarmieniu psa i wyłączeniu wszystkich świateł, Sirine wdrapuje się na górę. Odsuwa koce ze swego wąskiego łóżka, jak robiła to już tyle razy. Ale teraz czuje się inaczej. Jakby nie miała skóry, jakby części jej ciała poskładano tylko obok siebie. Wszystko ją boli. Leży w łóżku i czuje nieobecność Hana, otwierającą się w niej na podobieństwo rany. Dygocze, a lzy, które w niej wzbierają, są ogromne. Nigdy, w żadnej sytuacji jeszcze się tak nie czuła. Naciąga kołdrę po uszy. Zwija się kolanami w siebie. I gdy właśnie jest pewna, że to nie do zniesienia, że już tego nie zniesie, Król Babar wskakuje na łóżko, przyciska do jej twarzy wełnisty łeb i wyciąga się wzdłuż jej klatki piersiowej. I w końcu Sirine zasypia.

Śni jej się, że znowu jest dzieckiem. Ma pulchne i miękkie ręce, dziko splątane włosy. Właśnie wrócili ze stryjem z plaży i jak zwykle ma piasek w ubraniu i w butach. To dzisiaj rodzice znowu wyjeżdżają do Afryki. Kanciaste szare walizki musiały być otwarte przez całą noc, żeby się przewietrzyć. Stoją w rzędzie przy drzwiach wejściowych, spakowane i zdyscyplinowane jak żołnierze. Walizka matki jest mała, ojca — jeszcze mniejsza, i w obu zostały schowane zdjęcia Sirine. Rodzice zawsze pokazują jej te fotografie, zanim je spakują.

— Widzisz? — mówi matka. — Zabieramy cię z nami. — We śnie są razem, matka przykucnęła, żeby podnieść Sirine. Opadają na nią lśniące włosy matki i zapach bzu. Obie przypatrują się ojcu Sirine, który robi do nich miny z końca korytarza i raz po raz zaczesuje rękami włosy do tyłu.

— Tajemnica dobrego małżeństwa — otulając dłońmi ucho Sirine, szepce matka — to nigdy tak naprawdę nie znać swojego męża. Nie do końca. — Ręce matki są długie i białe jak skóra Sirine, jej włosy to połyskująca kasztanowa flaga. Ojciec podchodzi, podnosi Sirine jedną ręką i pokazuje, jak się osłaniać, kiedy spada bomba, jak włożyć kciuki do uszu i zakryć oczy palcami. Sirine podziwia go — ojciec wie tak dużo. Ma silne, ciemne jak drzewo ramiona i gęste, wełniste włosy. Czarne, wijące się włoski pokrywają mu pierś.

A potem sen przenosi się w miejsce, gdzie Sirine nie chce być. Obserwuje dwóch mężczyzn — teraz wie, że to spikerzy, Huntley i Brinkley — i słucha zapowiadającej ich muzyki, która przywodzi jej na myśl zacinający deszcz. Jest spokojna, tak jak tamtego dnia, siedzi obok stryja na twardym tapczanie z końskiego włosia. Słuchają palmowych liści, które przez otwarte drzwi brzmią jak deszcz. Noc za siatką połyskuje świerszczami, jest ciepła i łagodna, chociaż

do Bożego Narodzenia zostało zaledwie kilka dni, Wigilia-ja-ja-ja, powiedział stryj, i widzieli zdjęcia burzy śnieżnej gdzieś indziej, samochody ślizgały się na boki po białych ulicach, jakby były zabawkami. Potem jest reklama preparatu do czyszczenia Borax Silny Jak Muł i Sirine spodziewa się, że następny będzie jej ulubiony program „Zagubieni w kosmosie”. Ale wtedy wracają wiadomości — może to wszystko by się nie stało, myśli, gdybyśmy zmienili kanał. Gadający mężczyźni znowu pokazują Afrykę. Trwają tam walki, ale w miejscach, do których jeżdżą rodzice, zawsze są walki albo trzęsienie ziemi, albo głodujące dzieci, albo coś straszne-go. Nie ma na świecie bezpiecznego miejsca oprócz tapczanu z końskiego włosia, obok stryja. Ojciec mawia, że zawsze chodzi o ropę i chciwość. Ropa i chciwość nie wywołują trzęsień ziemi, mówi matka. Nie jestem taki pewien, odpowiada ojciec. Ale teraz Huntley i Brinkley rozmawiają o karabinach i o walce na ulicach, i o amerykańskim personelu kryzysowym. A Si-rine wie, że to nie wydarzyło się dokładnie tak, ale dzieje się to w tym dziwnym, okropnym śnie: widzą wszystko w telewizorze. Jej rodzice na wiejskiej drodze. Po drugiej stronie, naprze-ciwko nich, plemienni żołnierze w obcych mundurach, ze strzelbami w rękach. Rodzice są z przyjaciółmi: Mohaną inżynierem, Ruthie nauczycielką, Laurą pielęgniarką — to ci młodzi lu-dzie, którzy na fotografiach śmiali się i trzymali napoje, siedząc na leżakach. Teraz są w tele-wizji, a na ich twarzach widać śmierć, pięcioro członków amerykańskiej misji kryzysowej, mówi reporter. Powiedzieli: wojna — czy właśnie tak to było? Powstanie. Czy oni byli muzuł-manami? Nie. Stryj mówi, że nie. Słyszała, jak dziennikarz o tym opowiadał, ale tak naprawdę tego nie widziała. Ale we śnie, którego nie może przerwać ani uciec z niego, ani go zmienić, dzieje się to przed nią, na ekranie. Mohana, potem Laura, potem Ruthie. Widzi pojedynczą ku-lę, która trafia ojca w głowę, malutki otwór. Natychmiastowa śmierć. I matkę trafioną kulami w nogi i w przegub, następnego dnia umiała w wiejskim szpitalu z upływu krwi i na septemię, zakażenie. Ona i stryj słyszeli to w telewizji, a w jej śnie oglądali, jak się to dzieje. Rodzice wyjechali i już nigdy nie wrócili do domu. Ich ciała przysłano w prostych, zapieczętowanych pudłach z desek. Ale dla Sirine zostali pogrzebani gdzieś w Afryce — nigdy więcej ich nie wi-działa.

W testamencie było niewiele, prawie żadnego majątku ani oszczędności. Na wypadek ich śmierci prawnym opiekunem został ustanowiony stryj Sirine. Dowiedziała się, że załatwili to w miesiącu, gdy się urodziła. Jakby wiedzieli.

Po ich śmierci stryj zabrał ją na płaski dach swojego domu, dwie przecznice od mieszka-nia, które Sirine zajmowała z rodzicami. Powiedział:

— Ten dom jest twój, a ty zawsze będziesz moją jedyną córką i moim jedynym dzieckiem, na zawsze. — I przytulił ją tak mocno, że czuła jego żebra, drobny, kruchy kształt, wciskający jej się w ramiona. Owego dnia czuła się — wie o tym, śniąc ten sen — tak jak tej nocy, trzydzieści lat później: śmiertelnie zraniona, stara i milcząca. I wszystkie łzy opuściły jej ciało, prawie na zawsze.

Aż do chwili, gdy budzi się następnego ranka i czuje na twarzy wilgoć chłodną jak powietrze. I w półśnie wie, że miała ten zakazany sen, sen-wspomnienie, który trzyma zamknięty głęboko. Z miękkim ukluciem, jakby przypominała sobie coś dawno straconego, uświadamia sobie, że jest już o dziesięć lat starsza od rodziców, kiedy umierali.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wróciwszy do rodzinnego miasta Akaba, ciotka Camille cieszyła się znajomymi widokami i zapachami, które opuściła przed laty, wyruszając na poszukiwanie swojego niezdolnego chłopca. Jej liczni synowie na powitalną ucztę przygotowali mensaf z młodego jagnięcia, duszonego w cebulowo-jogurtowym sosie, ułożonego na ryżu i chlebie. Nakarmili matkę i całe wykorzenione plemię błękitnych Beduinów, których namawiali, żeby osiedli w Akabie na stałe. Ale błękitnym Beduinem jest się właśnie po to, by się spowijać w pachnące kadzidło i wędrować górami Dofar. A więc po trzech dniach ucztowania i wspomnienia ciotka Camille ze łzami w oczach pomachała na pożegnanie w stronę pociągu, który miał ich wreszcie zabrać do domu.

Wtedy odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze swoimi dziewiętnastoma synami, i zobaczyła, że jeden z nich przyniósł rzeczy do prania, innemu trzeba było coś zacerować, a jeszcze inni nie strzygli włosów, odkąd opuściła miasto. Westchnęła i zrozumiała, że gdy była w drodze, coś się w niej zmieniło: Akaba wyglądała na jeszcze mniejszą i bardziej senną niż w jej wspomnieniach. Nie było tu nic z pełnego życia bogactwa i ciepła, w które przystroiła ją pamięć Camille. Zwyczajne miejsce, jakich wiele. Zdała sobie sprawę, że coś w niej urosło. Myślała już, że zrezygnowała z szukania swojego syna, ale jakiś głos znowu wzywał ją do poszukiwań.

Tydzień po tym, jak Han zniknął, do domu stryja przychodzi błękitny lotniczy list z londyńskim stemplem. Sirine natychmiast rozpoznaje w niebieskim tuszu uporządkowane, drukowane pismo Hana. Ręce jej zaczynają drżeć, potrzebuje minuty, żeby ząbkowanym nożem przeciąć brzeg. Jej oddech zatrzymuje się, serce tak łomocze, że wydaje się pięścią w ścianach

klatki piersiowej. Siada, trzyma list obiema rękami i potrzebuje chwili, nim może się skupić na słowach:

Między samolotami,

lotnisko Heathrow, 10 stycznia 2000 r.

Droga Sirine!

Nie mogę przestać o Tobie myśleć. Ale czuję się, jakbym opuścił ciało, moje ciało podróżuje bez duszy i świadomości, one zostały w Ameryce, z Tobą. To właśnie dzięki takiemu rozbiściu na części udało mi się tamtego ranka wyjść z naszego łóżka i zostawić Cię, śpiącą. Teraz wydaje mi się, że patrzę na siebie, idącego naprzód. Nie potrafię siebie zatrzymać.

Jest wiele powodów, dla których muszę wrócić do Iraku, chociaż boję się je tutaj wymieniać, boję się zobaczyć je napisane czarno na białym. Tak jak bałem się odezwać tamtego dnia, kiedy dla mnie gotowałaś i mówiłaś o przebaczeniu. Wtedy było za wcześnie.

Czy wystarczy, jeśli powiem, że nie chciałem jechać, nigdy sobie nie wyobrażałem, że będę mógł to zrobić, że myśl o tym, by Cię zostawić, była nawet gorsza niż zastanawianie się nad tym, co czeka mnie w Iraku?

Nic nie wystarczy, teraz to wiem, ale dla mnie jest za późno. Kieruje mną plan powrotu, mój kraj mnie nie chce wypuścić, napęnia mnie całego. Wiesz o tym. A pewien lęk, lęk emocjonalny, podniósł nagle głowę i uwolnił mnie.

Sirine, nie wiem, co się zdarzy. Napisałbym, że wrócę do Ciebie, gdybym sądził, że będę mógł. Skontaktuję się z Tobą, jeśli będzie jakaś okazja — co jest mało prawdopodobne. Teraz mam tylko nadzieję, że dostanę czas, żeby zobaczyć rodzinę, nasz dom. Obawiam się, że poza tym nie będzie żadnych wyborów.

Nie proszę Cię o przebaczenie, tylko o to, żebyś pozwoliła sobie o mnie pamiętać i wiedzieć, że tak bardzo cię kochałem. Nie wiedziałem, że tak potrafię.

Zawsze Hanif

Sirine leży na łóżku, z listem w dłoni, tuż przy twarzy. Przezroczysty papier jest błękitny jak żyła z krwią. Gdy wydycha, papier drży. Czyta go raz po raz, zaczynając od miejsca, gdzie napisał: „wrócę do ciebie”. Twierdzi, że ją kocha, że nie potrafi znieść tego, żeby ją opuścić, a jednak odszedł. Czyta wciąż od nowa, aż nie widzi już słów.

Próbuje się zająć pracą. Dni zagęszczają się, twarde i prostokątne jak klocki, jakby czas miał kanty, a Sirine zostawia go sobie tylko tyle, żeby przenieść się ze snu, który stał się zdra-

dziecki i niegodny zaufania, do kuchni. Szaleńczo pędzi przez uliczny ruch, manewruje między samochodami, skręca tak blisko, że czuje unoszące się ze zderzaków i metalowych pokryw gorąco. W pracy zatracą się w siekaniu, mieleniu, obieraniu ze skóry, rozgniataniu. Miesza, nie patrząc i nie wachając, gotuje na pamięć, nie próbuje niczego. Wie, że jedzenie nie smakuje tak, jak powinno, ale jej już nie zależy na jedzeniu. W przerwach przerzuca gazety, które studenci zostawiają na stolikach, szukając wieści z Iraku albo po prostu patrząc na fotografie z arabskich pism.

Kilku kolegów Hana zatrzymuje się w kawiarni, żeby sprawdzić, jak Sirine się miewa. Raz od frontu miga jej sylwetka dyskutującego z Um-Nadią Aziza, który jednak nie wchodzi do kuchni. Później Um-Nadia opowiada jej, jak to oświadczyła Azizowi, że w tej chwili jego obecność to dla Sirine byłoby „za wiele”. A Nathan wcale się nie pokazuje. Sirine nie chce widzieć nikogo poza Hanem. Kiedy spotyka jego znajomych, dotyka to w niej jakiegoś bolesnego, czulego punktu, przepojonego poczuciem winy podejrzenia, że od początku nie zasługiwała na jego miłość. Dlatego stara się w ogóle nie podnosić głowy znad pracy. Naciska siebie tak, by nie zostało ani trochę miejsca na myślenie. Po kilku tygodniach uświadamia sobie, że właściwie nie czeka już na Hana. Nie tak, jak na początku, tak świadomie i uporczywie. To ją jeszcze bardziej zasmuca. Kiedy Han zniknął, nie mogła sobie z sobą poradzić. W tych pierwszych dniach zdawało jej się, że serce może jej wypaść środkiem klatki piersiowej. Ale teraz potrafi się pozbierać z szeleszczącego żalu, ciasno go zawinąć.

Którejś nocy jej sny mieszają się z odległym, obcym zapachem. Za długo zostawiła na piecu kawę, która teraz się przypala. Han jest w tym samym pomieszczeniu, czeka, ale ona nie potrafi znaleźć filiżanki i spodka do kompletu. Jeżeli szybko nie przyniesie kawy, on odejdzie. W kredensach są setki naczyń, Sirine szuka i szuka, ale nic do siebie nie pasuje i czuć zapach palącej się kawy.

O trzeciej nad ranem budzi się na dobre i kiedy otwiera plecak, odkrywa tam filiżankę po kawie, którą ktoś całe tygodnie temu zawinął w ścierkę. Teraz fusy są zupełnie wyschnięte, odpadły od swoich misternych deseni, w filiżance nie ma już prawie żadnego aromatu, Sirine nie czuje go nawet, gdy przytyka nos. Schodzi do kuchni, a Król Babar idzie za nią, pazurami stuka o podłogę. Sirine nastawia wodę w czajniku. Potem napełnia filiżankę, wlewając parujący wrzątek na stare fusy i miesza, aż powstanie lurowaty, szarawy napar. Znikł jego smak, jest ziarnisty i lekko gorzki. Sirine wypija wszystko, patrząc w noc przez okno nad zlewem. Cokolwiek przeznaczenie wypisało w jego kubku, myśli, chce to z nim dzielić.

W dniu jej czterdziestych urodzin Hana nie ma już od dwóch miesięcy.

W restauracji dostaje prezenty owinięte w lśniący papier: pierzastą ozdobę do włosów od Mireille, parę dobrych, ciężkich noży od Um-Nadii, pudełko meksykańskich gniecionych ciasteczek fistaszkowych od Victora, a od stryja książkę z przepisami z Syrii, wydaną w 1892 roku — *O rozkoszach i przemianach pokarmu*, do której dołączył własnoręcznie napisane, wklejone tłumaczenie.

— Najlepsze życzenia, *habibti* — mówi. — Zawsze będziesz moim małym kurczątkiem.

Sirine je kawałek cynamonowo-paprykowo-czekoladowego ciasta, które upiekła matka Victora. Nie ma urodzinowych świec, więc nie ma także życzeń, za co Sirine jest wdzięczna. Um-Nadia namawia ją, żeby sobie wzięła wolne na resztę dnia, ale ona odmawia, mówi, że wolli raczej pracować. Otwierają więc drzwi do restauracji. Sirine przygotowuje śniadanie i raz po raz półgłosem śpiewa sobie urodzinową piosenkę: *Senna helua ja džamil*, ślicznego roku, o Piękna.

Tej nocy, po skończonej pracy, sama w swojej sypialni, siada na łóżku obok drzemiącego, śniącego Króla Babara i wpatruje się w starą syryjską książkę kucharską. Przepisy zostały sprowadzone do tego, co nieodzowne: to proste równania, idealne proporcje soli do warzyw do oliwy do mięsa do ognia. Są prawie listami, bez wskazówek, jak gotować, nie podają temperatur, ale między kartkami rozsiano krótkie refleksje nad naturą zwierząt, lasu, kwiatów, ludzi i Boga. Sirine kartkuje książkę, zatrzymuje się równie długo nad tymi rozważaniami, co nad spisami składników, które dla niej mają rytm i równowagę poezji. Jest tu przepis na pieczonego kurczaka, może spróbuje go przygotować jako danie dnia: kurczę, szafran, czosnek, cytryny, oliwa, ocet, rozmaryn. Po składnikach anonimowy autor dopisał, a stryj przełożył: „Chwała niech będzie Allahowi za to, że dał nam światło dnia. Za istoty, które w umyśle, jeśli nawet nie w ciele, mają lot i powietrze”. Czy to przepis, czy modlitwa? Sirine czyta jeszcze kilka razy, lecz wciąż nie jest pewna.

Odkłada książkę na podłogę przy łóżku, gasi światło, ale nie zasypia. Czuje się, jakby jej ciało było napiętą struną, rezonującą do ciemnej muzyki. Leży na plecach, oczy ma otwarte. Zwiesza rękę z boku łóżka, przesuwając palce po starej okładce książki z przepisami. Jutro przygotuje nowe danie. Ale Han nigdy go nie spróbuje, myśli. Przypomina sobie, że widziała w jego kalendarzu zakreśloną datę swoich urodzin, ze swym imieniem obramowanym czerwonym

serduszkciem. Jest przekonana, że gdyby jeszcze żył, znalazłby sposób, żeby zadzwonić do niej w ten wieczór.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Tymczasem w Hal'Awud brytyjski reżyser, nie bez powodu bogaty i sławny, obsadził główną rolę swojego filmu — wybrał wysokiego, szalonego, zatopionego arabskiego Irlandczyka z przezroczystą skórą i przezroczystymi oczyma i z głosem jak woda w studni. To on miał być gwiazdą programu. A film nie nazywał się teraz *Sherif Ali ibn el Kharish z Arabii*, prawda? Nosił tytuł *Lawrence. Lawrence z Arabii*.

Tak! Widzisz, to o Arabii jest na drugim miejscu. Nikt się specjalnie nie przejmował, że Arabia ma być arabska, zależało im na Irlandczyku, przebranym w arabski strój i na tym, jak reżyser wyobrażał sobie pustynną muzykę, która według niego brzmiała mniej więcej tak: aa-aaaa — da-daaa dada daaa-daaa.

I on przywłaszczył sobie ten film, tak po prostu. Zupełnie tak, jak prawdziwy Lawrence przywłaszczył sobie zaufanie arabskich plemion, jak gringo przywłaszczył sobie Kalifornię, która należała do Meksykanów, Peter O'Toole ukradł Omarowi Sharifowi film, który się słusznie Sharifowi należał. Bo to on był prawdziwym blaskiem i pięknem i inteligencją tej opowieści.

Jesteś pewien, że Omar Sharif był kiedyś Abdelramanem Saladynem?

Przecież w Hollywood wszyscy zmieniają nazwiska, prawda? Na przykład taki Woody Allen. Nazywał się Allen Konigsberg, co, moim zdaniem, brzmi o wiele bardziej melodyjnie.

Ale czy jesteś pewien?

Cóż, nigdy nie można być pewnym. Chodzi o to, że Sharif też był zatopionym Arabem. Właśnie z tego czerpał swoje tragiczne piękno. I że kiedy pozwolisz innym zobaczyć w sobie zatopionego Araba, jesteś stracony.

Morał!

Tylko dlatego, że go szukasz, co oznacza, że patrzysz w zupełnie niewłaściwą stronę.

Cóż, to jest bardzo dziwne zakończenie.

Och, nie martw się, historia Abdelramana Saladyna nigdy nie zostanie opowiedziana do końca.

Nie wiedziałam tego o Królowej Saby. Że była taka piękna. Że to mogło doprowadzić do szaleństwa.

To była jedna z jej najbardziej wyrazistych cech.

Dni to sen siekania, mieszania i smażenia, noce są przeznaczone na sprzątanie i rozmowy. Każdego wieczoru, gdy wszyscy już odeszli, gdy wysączono całą herbatę i opłukano naczynia, każdej nocy Sirine płacze trochę mniej, odrobinę mniej pod surowym, kochającym spojrzeniem, które Król Babar posyła jej z nóg łóżka. Czasem śni jej się szczekający pies.

Ostatnio zamykają restaurację wcześniej i każdego wieczoru Mireille, Um-Nadia i Victor Hernandez idą do domu jej stryja, gdzie rozmawiają, póki słowa nie wypełnią pokoju jak kadzidło. Sirine podejrzewa, że rozmawiają, jakby było bardzo ważne, żeby nie myślała o ubiegłym roku. Jakby chcieli wygnać Hana ze swoich wspomnień, jakby nie miało znaczenia, że jego nie ma już na świecie. Um-Nadia zaczyna napomykać o przystojnych klientach, którzy odwiedzili restaurację. A potem podnosi brwi w stronę Sirine. Pewnego dnia Victor przeprowadza swojego nieżonatego kuzyna Alejandro, ale Sirine prawie na niego nie patrzy, a on, sztywno zawstydzony i milczący, przestępuje z nogi na nogę przy barze.

Sirine spędza wiele czasu sama, wewnątrz swoich myśli. Zaczęła się zastanawiać nad różnymi rzeczami, nad tym, czy Han naprawdę ją kochał, czy może tylko była dla niego chwilą wytchnienia przed powrotem do prawdziwego życia, czy sam zdecydował, że ją opuści, czy też coś go do tego zmusiło. I nad tym, co się z nim stało. A potem się zastanawia, czy zamiast nie wiedzieć takich rzeczy, nie byłoby lepiej mieć pewność, że w ogóle nie była kochana. Pewnego wieczoru nagle ogarnia ją wielki gniew na Hana za to, że ją opuścił — przychodzi jej do głowy, że może to wszystko nie ma aż takiego znaczenia, jak się jej wydawało. Może śmierć to tylko śmierć. To nie ona go zdradziła, on zdradził ją! Zdradził ich miłość, nadużył jej wiary i zaufania. Pozwolił jej myśleć, że zawsze będzie przy niej. Sirine opiera łokcie na parapecie i spogląda na łuk księżyca. Umie zmysłami wychwycić tyle niewielkich różnic — wyczuć węchem, czy to miód lawendowy, czy goździkowy, dotykiem rozpoznać postępujące dojrzewanie gruszki, wiedzieć, ile gorąca unosi się z patelni z sosem, soczewicą, czosnkiem. Przez skórę wyczuwa te subtelności, ale nie wie najprostszyc rzeczy, na przykład tego, czy on ją zdradził.

Oczywiście, że to ona go zdradziła.

Sirine nie umie tego pojąć, nie potrafi się z tym pogodzić.

Że odszedł, zniknął bezpowrotnie, i że nigdy nie zdoła wezwać go z powrotem. Nie umie sobie wyobrazić tego świętego, obcego języka, który ich rozdzielił — nie wie już, kim jest Han.

Wierzy, że był czas, gdy nawoływały się żywioty, które były w niej i w Hanie, tak jak rozmawiają z sobą składniki potrawy, smak imbiru drży obok kawałka czosnku jakby z pożądania, jak łyk wina może wołać do oliwy w jedzeniu. Teraz czuje, że nie ma już nikogo, kto by z nią tak rezonował. Ta osoba nie chodzi już po ziemi, i ziemia stała się o wiele zimniejsza i bardziej niezgłębiona.

Pewnego dnia jedzie rowerem do pracy po wschodzie słońca, a powietrze jest białe i wełniste od mgły. Wszędzie jest tyle bieli, że Sirine kojarzy się to ze śniegiem. Chyba kiedyś widziała śnieg, lekkie jak papier płatki, które mieszały się w powietrzu niby popiół i znikaly, zanim dotknęły ziemi, podczas jakiegoś dziwnego ataku zimna, a oddech, który z siebie wyrzucała, zmieniał się w kwiaty pary. Teraz mgła jest tak gęsta, że trzeba pedałowac powoli, uważać na pióropusze palm i na samochody, które wyłaniają się z niej jak duchy.

Mgła próbuje się wślizgnąć do restauracji, kreśli misterny deseń wokół drzwi, toczy się nad progiem.

— To jak inny świat — mówi Mireille, patrząc rozszerzonymi oczyma.

Wszystko wydaje się miększe, kanty się zacierają, jakby magia wyciekła na ulicę. Klienci wchodzi, obracają się i jeszcze raz patrzą przez zbielale okno, przyglądają się, jakby nie całkiem mogli w to uwierzyć.

Sirine wiąże włosy, nakłada ciężką niebieską bluzę i fartuch. Czuje się pewnie, umie pracować, jest w swoim żywiole. Ale powściąga i odsuwa wszelkie uczucia, bo zawsze jest też to, które narodziło się z nieobecności Hana — że nic nie jest już tak, jak powinno być.

Przekrawa cebulę na pół, odciąga bursztynową skórkę, między palcami ma wilgotny, chrupki miąższ. Kładzie go rozcięciem w dół. Wie, jak posiekać cebulę. Albo pomidora. Albo ząbek czosnku. Jak ciąć, żeby nie straciły aromatu i soku. Sieka szybko, trzyma podwinięte palce z dala od ostrza, spieszy się. Rozbrzmiewają dzwonki nad wejściem, drzwi grzechocą. I widzi wchodzącego Hana.

Odcina sam czubek wskazującego palca. Niewiele. Pasemko skóry, które tak łatwo przekroić, zupełnie jak kawałek cebuli — nawet sobie nie zdaje sprawy, że to zrobiła, póki nie spojrzy w dół. Chwyta poszarpany oddech. Potem znowu podnosi wzrok i to wcale nie jest Han. To Aziz.

Aziz wykrzykuje:

— *Ija Allah*, twoja ręka. — W dłoń splywa jej purpurowa nitka krwi.

Um-Nadia łapie Sirine i mówi:

— Na zaplecze! — i prowadzi ją przez wahadłowe drzwi. Polewają koniuszek lodowatą wodą, póki nie zakwitnie czerwienią, póki w wodzie nie zawiruje krew. Um-Nadia przeciera ranę środkiem dezynfekującym, a Sirine trzyma rozciętą rękę w górze, gdy Mireille szuka bandaża.

— Może trzeba to zeszyć — proponuje w czasie opatrywania Mireille.

— Tsss — rzuca Um-Nadia — zeszyć. A co tu szyć?

— Sirine? — odzywa się Aziz. Wsuwa głowę przez kuchenne drzwi.

— Zobacz, do czego ją doprowadziłeś! — wyrzuca mu Um-Nadia. Aziz wygląda na przerażonego, oczy ma załzawione. Otwiera usta, ale nie pada z nich ani słowo. — Mówiłam ci, że masz nie przychodzić.

Mireille spogląda na Sirine.

— Mam go walnąć?

Sirine potrząsa głową. Um-Nadia i Mireille sadowią ją na kuchennym krześle, opierają jej stopy wysoko na stołku i każą jej trzymać palec w górze.

— Nic mi nie jest — protestuje Sirine. — Naprawdę, to było tylko draśnięcie.

— Jesteś w szoku — oświadcza Um-Nadia. — Sama nie wiesz, czy ci coś jest, czy nie. Powiem ci, jak uznam, że nic ci nie jest. Bo właśnie coś ci jest. — Wyciąga rękę do góry, prosto w twarz Aziza. — Trzy minuty — rzuca. — A potem *kullus*. — I wychodzi. Mireille idzie za nią, rzucając mu szydery uśmiech.

Aziz stoi przed lodówką.

— Tak mi przykro — mówi cicho.

— Och... — Sirine macha zabandażowaną ręką. — Naprawdę, to nic takiego.

Aziz kiwa głową i patrzy na jej rękę, jakby jej nie wierzył. Potem jeszcze ciszej mówi:

— Muszę cię też przeprosić za moje zachowanie. Chciałem przyjść się z tobą zobaczyć, kiedy Han, wiesz... ale po prostu... — Potrząsa głową, zaciska na plecach skrzydełka łopatek. — Tak czy inaczej byłem całkiem pewien, że ty nie będziesz chciała mnie widzieć. Nie wychodziłem nawet przez tydzień z mieszkania, miałem nadzieję, że zadzwoni. Czuję się unieruchomiony.

Sirine przypatruje się jego ręce z za ciasnym złotym pierścionkiem. Nic nie mówi. Rozumie, co Aziz ma na myśli, wie dokładnie, co on czuje. Ale brak jej energii, by mu zaproponować choćby takie pocieszenie. W końcu Aziz podnosi głowę.

— Wyglądasz na zmęczoną. Czy ty w ogóle sypiasz?

— Czasami. Nie za często — odpowiada Sirine, a potem się uśmiecha.

Aziz sadowi się naprzeciw niej przy stole i opiera brodę na dłoni.

— Tak, wiem. Ja też wyleczyłem się ze złych przyzwyczajęń, takich jak spanie. Ciągle myślałem o tym, że, Boże, Han naprawdę tam wraca, i mnie też to utkwilo w głowie, wiesz? Rozmyślałem o tym na wszystkie strony. I dalej nie mogę uwierzyć, że on to zrobił.

— No. — Sirine odwraca wzrok. — Ja staram się w ogóle o niczym nie myśleć.

— Tak. — Aziz odchrząkuje, kolebie się. — No cóż, oczywiście chciałem się z tobą zobaczyć, ale miałem jeszcze jeden powód, żeby przyjść... chciałem ci tylko powiedzieć... ja i moja książeczka zostaliśmy zaproszeni na artystyczne stypendium do Włoch. To podobno wyróżnienie. Z końcem semestru wyjeżdżam stąd na dobre.

Sirine odwraca wzrok w jego stronę, ale nie patrzy mu w oczy. Przyjmuje te nowiny tak, jak ostatnio przyjmuje większość informacji — przez warstwę gazy, tłumiącej ciszy, bo dla niej nie mają właściwie wagi ani znaczenia. Żal tkwi w zewnętrznej warstwie jej skóry, obciąża rysy i sprawia, że jest zbyt wrażliwa na dotyk. Wtedy spogląda na niego — teraz, gdy już wie, że to nie Han, ledwo go rozpoznaje. Musi sobie przypominać, że pewnej nocy z sobą spali i że kiedyś się tym zadreślała.

— I przyszło mi do głowy... wiem, może to absurd, ale pomyślałem sobie, że może się zastanowisz, czy byś nie chciała pojechać ze mną?

Sirine przechyla głowę, zaciekawiona, jakby mówił innym językiem.

— Gdzie?

— No. Do Włoch. Mogłabyś ze mną zamieszkać. To znaczy nie musielibyśmy... nic robić... gdybyś nie chciała. Możemy tylko razem jechać, jak przyjaciele. Ale może to by była zmiana rytmu. Coś nowego, na co mogłabyś popatrzeć. Przenieś swój umysł w nowe, ładne miejsce. Możesz zostać, jak długo zechcesz.

— Ty i ja, we Włoszech? — Czuje, jak pod jej przeponą unosi się zmarszczka czegoś, co przypomina śmiech. Ma ochotę zapytać: a jak ty właściwie masz na imię? Ale on patrzy na nią tak szczerze i smutno, że się opanowuje. — To... bardzo miło z twojej strony.

— Pomyśl o tym. Nie musisz odpowiadać od razu. Sirine potrząsa głową.

— Nie mogę stąd wyjechać. Tu jest moje życie.

— Ale może chciałabyś to życie trochę rozszerzyć? Sirine na wpeł się uśmiecha.

— Nie z tobą.

Wtedy wyraz jego twarzy lekko blaknie, Aziz przesuwa ręką wzdłuż stołu.

— Oczywiście, czułem, że możesz to powiedzieć. — Rozgląda się dookoła melancholijnie i Sirine także próbuje dostrzec to, co on widzi, ale są tu tylko wielkie worki folii spożywczej i półki pełne pojemników. W końcu Aziz podnosi brodę, spogląda na nią i mówi:

— Jest parę rzeczy, które zrobiłem... i nie jestem z nich specjalnie dumny. Mogłem w życiu przeskrobać coś niezbyt godnego szacunku... Bóg wie, że nie jestem Hanem... — Urywa, ale Sirine nie patrzy na niego, przyciska kciukiem zraniony palec. — Muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie — zniecierpliwiona mówi Aziz. — Han nie zostawił mi żadnej wiadomości, żadnego pożegnania. Nie miałem pojęcia, w ogóle. Myślałem, że ja i on jesteśmy przyjaciółmi, ale... — Wpatruje się w nią. — Nie mogę przestać o tym myśleć, muszę się dowiedzieć: czy to przez to, co się stało między mną i tobą, czy to dlatego Han odszedł?

— Przez to, co... — szepce Sirine, zastanawiając się, o czym on właściwie mówi, znowu zapomniała, potem sobie przypomina. — Och. Nie — odpowiada. — Nie, wcale mu nie powiedziałam. Nic. — Usta ma jak z waty.

— To dobrze — pospiesznie rzuca Aziz. — Dzięki Bogu, dzięki Bogu. Bo nigdy bym sobie nie wybaczył.

— Hej, szefowo... — Victor zagląda do środka, szuka Sirine, ale zatrzymuje się na widok Aziza. Twarz mu ciemnieje, a Sirine siada prosto, drobne włoski najeżają się jej na karku.

— Wszystko w porządku — uspokaja Victora. — Nic się nie dzieje. Już idę.

Victor przez chwilę stoi w drzwiach, patrzy zwięzionymi oczyma. Z hukiem cofa się przez wahadłowe drzwi.

Sirine szybko obraca się w stronę Aziza.

— No właśnie. Naprawdę powinnam wracać do pracy. Wszystko się tam dzieje tak wariacko, tak szybko... — Odpycha ręce od kolan i podnosi się.

— No cóż. — Aziz wstaje, na nowo szarmancki. Całuje ją w zranioną rękę. — Pozwól mi tylko powiedzieć, że nie przestałem o tobie myśleć — oznajmia. — O wszystkim, co było między nami. Zawsze możesz do mnie zadzwonić. Pamiętaj, że Aziz przyjmuje telefony przez całą dobę.

— To miło — prostując się, mówi Sirine. — Przyślij kartkę, jak będziesz we Włoszech.

Aziz próbuje pocałować ją w rękę, ale ona zmienia to w uścisk dłoni. A potem macha mu na pożegnanie.

Han odszedł dziewięć miesięcy temu. Jest wczesny ranek, Sirine miesza sok cytrynowy z sosem tahini. W restauracji panuje wyjątkowy spokój jak na wrzesień, początek roku akademickiego, kolejny semestr zimowy. Sirine miesza, kiedy jakiś student wchodzi i siada samotnie przy barze. Zamawia kawę, kartkuje gazetę — tę z bladożółtymi kartkami, „Świat”, i zaczyna czytać.

Sirine zauważa to kątem oka, mogłaby wcale nie podnieść wzroku, ale do sosu tahini trzeba dodać więcej cytryny, a cytryna jest na półce koło baru. Kiedy spogląda w górę, jej wzrok przykuwa gazetowa fotografia, zamazana, ziarnista, pełna cieni: trzech zakapturzonych, bosych mężczyzn. Przypatruje się: głowa jednego z nich jest częściowo odkryta, widać smutne, skierowane w dół oczy i to, jak czarny cios włosów opada mu na czoło, i już wie.

— Przepraszam — odzywa się do studenta, który podnosi wzrok, przesuwa srebrną oprawkę okularów. — Przepraszam, że przeszkadzam. Ale czy mógłbyś mi powiedzieć, co jest napisane w tym artykule?

Student składa kartkę i przez chwilę czyta.

— To o Saddampie Husajnie — wyjaśnia. — Napisali, że stracił tych mężczyzn, oskarżonych o zbrodnię zniesławienia i zdrady. Piszą, że to zachodni szpiedzy i kolaboranci. — I wtedy student też na chwilę urywa, jeszcze raz spogląda na zdjęcie. Starannie składa gazetę i patrząc trochę w bok, podaje ją Sirine, mówiąc zniżonym głosem: — Chciałabyś... chciałabyś to sobie zatrzymać?

Ale ona idzie już do tylnej kuchni, mija Mireille i Um-Nadię, Victora Hernandeza i Cristobala, wychodzi na podwórko na zapleczu i przechodzi dalej, przez zasłonę liści, w zarośla bugenwilli. Pcha się w gęste, drapiące gałęzie, najgłębiej jak może, tak że krzaki łapią jej włosy, drą ubranie, zakrywa twarz rękami i łka.

Tydzień później do domu jej stryja przychodzi mała paczka. Jest na wpół zgnieciona, pokryta znaczkami i przekreśleniami z Tunezji, Jemenu i Francji. Nazwisko i adres Sirine są rozmazane, napisano je po angielsku i po arabsku, nieznanym, prymitywnym charakterem pisma. Sirine siada od razu na pierwszym stopniu schodów, żeby ją otworzyć, usta ma suche jak papier, puls łomocze jej w uszach. Zwykły, bibułkowy papier, który otula przesyłkę, opada i Sirine drżącymi rękami uchyla małe kartonowe pudełko.

Wewnątrz jest błękitny kawałek papieru. I niebieskie korale modlitewne Hana.

Jedwabny sznurek musiał pęknąć, został na nowo zawiązany i wygląda na to, że brakuje kilku koralików. Sirine je węża: są chłodne i pokryte dołkami, przyciska korale do policzka i tak, w tym samym miejscu, na tym samym schodku, po powrocie do domu godzinę później znajduje ją stryj.

— *Habibti* — mówi, pochylając się nad nią, patrząc na paczuszkę. — Och, *habibti*, co się tym razem stało?

Sirine podnosi błękitną kartkę. Zapisano ją po arabsku, w piśmie są wielkie wyrwy, większość została zamazana grubym czarnym mazakiem.

— Proszę — mówi.

Stryj siada obok niej, zmienia zwykle okulary na połówki, kładzie rękę na jej ramieniu i zaczyna tłumaczyć skromne resztki listu: „Znałem twojego... tutaj, w tym miejscu... my... prosił, żeby posłać... często mówił o... powinnaś wiedzieć... i on... tak bardzo”. Zdejmuje szkła do czytania, wsuwa je do kieszeni koszuli i zakłada swoje drugie okulary.

— To wszystko.

— Tylko tyle tam jest?

— Obawiam się, że sporo wycięto.

Sirine starannie składa papier, zaciska palce na modlitewnych koralach.

— Więc tyle wystarczy — stwierdza.

Rozdział trzydziesty

Różnica między szaleńcem a prorokiem jest taka, że ten drugi ma wyznawców. A więc różnica między kelnerem i gwiazdą filmową to fani. I wszyscy fani przyszli do kina, żeby zobaczyć upiornego Irlandczyka. Petera O'Toole'a.

Tak. Ale kiedy dotarli na seans, inny aktor, całkiem nieznan, przykuł ich oczy, ten, który się nosił jak dłoń pełna wody, którego skóra była czysta jak woda, ale który miał oczy ostre i czarne niby strzały. Gdy był Abdelramanem Saladysem, był właściwie nikim, ale kiedy się stał czymś innym, aktorem filmowym... Omarem Sharifem. ...wtedy stał się wszystkim i wszystkimi. W jego lewym uchu brzmiał delikatny wdech i wydech pustyni i szemranie oceanicznych wiatrów. W prawym dzwonił ostry, metaliczny brzęk Ameryki. Stał się tym, co tutaj nazywa się gwiazdą. Prawym okiem widział przyjęcia i dziewczęta, reżyserów i scenariusze, pieniądze i szybkie samochody. Ale lewe patrzyło na nieobecność, na pustkę, której sam nie umiał do

końca nazwać. A jeśli próbował spojrzeć na nią wprost, po prostu odpływała w wyjątkowo de-nerwujący sposób, właściwy podobnym rzeczom.

Tymczasem w domu, w sennej Akabie, gdzie nic nigdy się nie zmienia, ciotka Camille wzięła się wreszcie za to, by stać się starszą panią. Wiele lat przeszło i minęło, odkąd po raz pierwszy wyruszyła na poszukiwanie straconego syna, i w końcu postanowiła zakosztować odpoczynku. Inni niezliczeni synowie zabierali ją na spacer, przynosili pocztę i pamiętali o niej w Dniu Matki. Ale każdego wieczoru, gdy wychodziła przed dom i spoglądała na kołyszący się ocean, myślała o swoim zagubionym synu Abdelramanie Saladynie.

Pewnego dnia dostała list z adresem zwrotnym: „Na wschód od słońca i na zachód od księżycy”. Sądziła, że to znowu reklamówka towarzystwa wystawiającego karty kredytowe, i o mało go nie wyrzuciła. Ale uświadomiła sobie, że pismo na kopercie, z dziwnymi skosami, zaokrągleniami i skrętami i z zabawną interpunkcją wygląda znajomo. Zdała sobie sprawę, że to od jej starej przyjaciółki, syreny Alif. Otworzyła list i dowiedziała się, że któryś z wielu życzliwych, oddanych wielbicieli Alif zatroszczył się, by nabyć i sprowadzić jeden z tych wymyślnych motorowych wózków inwalidzkich i dostarczył go jej do jaskini, więc wreszcie mogła trochę wychodzić.

Alif była tym zachwycona! Nareszcie koniec z ciągnięciem za sobą tej wielkiej bryły rybiego ogona po suchym lądzie. Ale, jak sobie łatwo wyobrazić, poszarpane skalne ścieżki i półki szybko wykończyłyby elektryczny wózek. Tak więc Alif postanowiła dla kamuflażu nałożyć kwef i przeniosła się razem ze swoim cudownym wózkiem z zapleśniałej jaskini do centrum Kairu.

Wspaniałe wieści, ale było coś więcej. Parę wieczorów temu królowa Alif wyszła po to i owo na kolację — kilka osób miało przyjść do jej kairskiego mieszkania w dawnej fabryce na wino i ser — i cóż zobaczyła nalepione tysiąc i jeden raz na wszystkich ulicach? Plakaty, które pokrywała twarz wysoka na trzy metry albo i więcej, twarz złego syna Camille, Abdelramana Saladyna.

Omara Sharifa.

Do listu Alif dołączyła garść swoich najnowszych wierszy, które miały zostać wydane w pewnym modnym piśmie literackim. Ale Camille nie miała czasu, by docenić poezję. Zagwizdała na Napoleona Tu Był, zaczęła pakować torby i zachodziła w głowę, co o tej porze roku nosi się w Kairze.

Wieczorem, po tym jak dostała korale Hana, Sirine jest w pracy, gdy wyslizguje jej się i upada patelnia pełna pieczonej ryby w sosie tahini. Sos i ryby pokrywają całą podłogę w kuchni, a w środku stoi Sirine z wyciągniętymi rękami i nie oddycha. Um-Nadia zagląda przez wadłowe drzwi i mówi:

— *Habibti*. — Wchodzi z mopem, przypatruje się Sirine z góry na dół, po czym zarządza: — *Habibti*, idź do domu, zanim kogoś zabijesz.

Sirine się nie sprzeciwia. Idzie do kuchni na zapleczu i nakłada płaszcz przeciwdeszczowy na kucharską bluzę. Mireille proponuje, że ją podwiezie, ale Sirine potrząsa głową. Wychodzi w chłodne, szkliste powietrze, wsiada na rower. Wszystkie płatki odpadły, liście są poszarpane, ale zostało jeszcze parę skrawków kwiatów, które Han wplótł w druciany koszyk jej roweru. Drżą, kiedy pedałuje, i Sirine uświadamia sobie, że woli to, podarty, wiedźmowaty widok starych liści, od nowych kwiatów. Wyobraża sobie, że mogłaby owinać cały rower poszarpanymi lianami i żeglować po ulicach, ciągnąc za sobą tren gałązek i czepnych wąsów.

Ostatnio dużo myśli o swoim ostatnim wieczorze z Hanem, przypomina sobie rzeczy, które mówił i robił. To, jak zakrył oczy, kiedy mu pokazała zdjęcie jego siostry, i powiedział: Widziałem już za dużo. Zastanawia się, co miał na myśli.

Myślała, że wróci prosto do domu, ale spostrzega, że pojechała w stronę Westwood Village. Minęły już całe miesiące, lecz pamięta drogę przez uliczne latarnie, neony i tłumy na zakupach, a potem światła miasta rzedną i wjeżdża w tę okolicę, w kręte chodniki pod rozłożystymi łukami palm. Zjeżdża jedną ulicą, potem następną. Przez chwilę sądzi, że zgubiła drogę, ale przypomina sobie nietypowy skręt jezdni, dzwonki wietrzne z bambusa, kępę bananowców. Niebo nad jej głową to wysokie, wygięte sklepienie.

Odnajduje dom z popękkanymi dachówkami, ciemnymi oknami i krzywymi drzwiami. Powoli pcha rower przez trawnik i wciąga go na betonowe stopnie. Stuka i woła:

— Nathan! — Nie pokazywał się w restauracji od zniknięcia Hana i nie wiadomo nawet, czy jeszcze tu mieszka.

Przyszła z nadzieją na zdjęcie. Nieważne, jak będzie wyglądało. Jest przekonana, że gdzieś w tej ciemni musi być przynajmniej jeszcze jedno zdjęcie Hana. Chce się upewnić, że on naprawdę istniał, że go kochała. Minęło prawie dziewięć miesięcy. Ubiegłej nocy, gdy dostała korale, leżała, nie śpiąc, i wtedy sobie uświadomiła, że nie potrafi już przywołać jego twarzy. Gdyby tylko udało jej się jeszcze raz go zobaczyć, przyjrzeć się brwiom, zarysowi ust, wyra-

zowi oczu, może wtedy by się dowiedziała tego, czego nie wiedziała o Hanie, a co powinna była wiedzieć.

Puka raz po raz, a kiedy nikt nie otwiera, próbuje wejść — drzwi nie są zamknięte na klucz.

— Nathan? — powtarza. Rozgląda się, a potem wchodzi do ciemnego, zagraconego salonu. — Nathan, jesteś w domu? — Powoli przechodzi przez pokój, mija sterty ubrań i książek, pogniecione papiery, puste butelki. — To ja, Sirine! — Ale trudno jej podnieść głos. Jest tak cicho, że ma ochotę iść na palcach. Podchodzi do drzwi ciemni. Pali się czerwone światło, drzwi są częściowo uchylone, więc lekko je popycha i zagląda do środka. Wewnątrz nie ma nic oprócz kuwet z chemikaliami i odbitek, suszących się na sznurze.

Ogląda się za siebie, a potem wchodzi do środka. Widzi przychepione do sznurka zdjęcie Aziza w smokingu, z pełną, zmysłową, zadowoloną z siebie twarzą i odgarniętymi do tyłu włosami. Na innym ona sama marszczy brwi, wpatruje się w tłum na koncercie Wydziału Etnomuzykologii. Przez chwilę przygląda się tej fotografii — nie wiedziała, że Nathan ją zrobił. Potem zauważa odbitkę, na której ona i Han piją herbatę w domu jej stryja. Ożywiona, ściąga ją ze sznurka, uważnie przypatruje się twarzy Hana. Po jej skórze przebiegają znajome rysy jego twarzy, blizna w kącie oka przerywa jej oddech. Han. W końcu obraca się do innych fotografii i odkrywa jeszcze więcej niespodzianek: ona i Han razem, przed perskimi delikatesami, przed biurem Hana, jest nawet zdjęcie, na którym ona i Mireille z korytarza przyglądają się Hanowi, który prowadzi zajęcia. Jest ujęcie Hana, który całuje Sirine na podwórku na tyłach restauracji, i jedno czy dwa z nimi obojgiem, kiedy robią baklawę w kuchni na zapleczu. Odnajduje jeszcze więcej fotografii ich dwojga, przerzuca je pospiesznie. Zupełnie jakby cały ich związek został ukradkiem upamiętniony i skatalogowany. Han jest bohaterem, a Sirine jego ukochaną. Niektóre momenty pamięta wyraźnie albo jak przez mgłę, innych zupełnie sobie nie przypomina: jej głowa na piersi Hana, spojrzenie, jakie jej posłał, obracając się do tyłu, widelec z jedzeniem, który Han wkłada jej do ust. Ich twarze są tak otwarte, w gestach jest tyle czułości, że czuje powracającą surową rozpacz, odsunięte uczucie z minionych miesięcy, które rozrywa coś ukrytego w jej ciele, i łzy, które teraz przychodzą z taką łatwością, uwalniają się z byle powodu. To jak stopiona, wszechogarniająca słodycz, wypełniona rozbłyskami bólu. I w tej głębi żalu zdumiewa ją, ile koncentracji, ile podstępów, dyscypliny i skupienia na jednym celu wymagało zdobycie tych obrazów. Zdjęcia przerażają ją mniej, niż chyba powinny. Jest w nich blask, światło zostało uchwycone w taki sposób, że oglądający widzi w nich szacunek, a nawet

część i dyskrecję, z jaką zostały zrobione. Wcześniej nie miała pojęcia, jak ważny dla Nathana był Han ani jak istotne miejsce w życiu Nathana zajmował ich związek. I teraz, gdy Hana zabrakło, jest w tym skupieniu na nim uwagi coś pocieszającego, a nawet poruszającego.

Pociera oczy i skronie, ogarnia ją narastająca litość dla siebie i Nathana, zrozumienie jego samotności i wyizolowania, zagubione wśród tych wizerunków. Każde z nich jest zamknięte w osobnej żałobie. Ukradkiem chwyta kilka odbitek i zaczyna się wycofywać z pokoju. Wstrząśnięta rozpacz wreszcie zaczyna ustępować miejsca przerażeniu i poczuciu, że jest w tym coś nie z tej ziemi, bo im dłużej się sobie przygląda, tym mniej rozpoznaje się w tych podobiznach i tym bardziej nabiera przekonania, że wszystko na świecie jest inne, niż sobie to wyobrażała. Zupełnie jak ludzie, którzy otarli się o śmierć, opisują patrzenie z góry na własne ciało, gdy tymczasem ich dusza gdzieś odlatuje.

Przystaje przez chwilę w drzwiach, zamiera między lękiem i uporczywym, nieznoszącym sprzeciwu pragnieniem, by zebrać wszystkie te zdjęcia, żeby chronić siebie i Hana przed takim nadużyciem. Zauważa jeszcze jedną odbitkę — Han przytula ją, opiera głowę o jej głowę, oczy ma zamknięte. Właśnie o to jej chodziło. Jeszcze raz wślizguje się do pokoju, żeby ją podnieść, i wtedy dociera do niej coś ukrytego pod gorzkim zapachem rozpuszczalników i roztworów, coś tak ulotnego, jakby wcale tego nie było, ale tak znajomego, że nie może się powstrzymać, obraca głowę i wdycha aromat jagód.

Kiedy wychodzi z ciemni, woń staje się wyraźniejsza. Kieruje się do ciemniejszej, tylnej części domu, w jednej ręce trzymając zdjęcia, a drugą wyciągając przed siebie. Nasłuchuje, wdycha powoli i ostrożnie, smakuje powietrze. Dochodzi do następnych drzwi i popycha je. Oczy potrzebują sekundy, żeby się przyzwyczaić. W pokoju jest jedno duże, nieprzysłonięte okno. Światło księżyca rozlewa się po podłodze i rozjaśnia łóżko, na środku którego leży nieruchoma postać, od stóp do głów okryta wielką, czarną, kwadratową chustą. Sirine podchodzi bliżej, bierze w palce brzeg tkaniny i delikatne węzélki haftu, żeby się przekonać, jakie są w dotyku. Czuje, że jej serce nie może pomieścić krwi. Mocny puls łomocze w całej górnej połowie jej ciała, w przegubach, w twarzy. Wdycha, ten zapach jest wszędzie, to misterna koronka pól i owoców. A teraz jest to zarazem zapach samego Hana.

Bardzo delikatnie zaczyna ciągnąć ku sobie tkaninę. Sylwetka pod nią jest tak nieruchoma, że równie dobrze Sirine mogłaby odsłaniać posąg.

Jedwabna gaza wydziela rozrymający się, szczególny aromat ziemi i rzadkiego deszczu, zaparza się w zmysłach Sirine, jej wspomnienia unoszą się jak liście herbaty w filiżance. Ostat-

ni skrawek materiału, szepcząc, zsuwa się z okrytej nim postaci i Sirine widzi śpiącego Nathana, skulonego nago na łóżku. Jego skóra wygląda w ciemności sinawo i gładko niby perłowa macica, z penisem zwiniętym między nogami jak muszelka. Sirine z drżeniem podnosi chmurkę tkaniny do twarzy, wdycha ją.

Po chwili uświadamia sobie, że chce stąd odejść. Obraca się i stawia kilka ostrożnych kroków w stronę drzwi, ale słyszy z tyłu jakiś dźwięk, obraca się i widzi Nathana, który siada na skraju łóżka.

Spogląda na nią, jakby się zastanawiał, czy to nie sen.

— Sirine — mówi cicho. — Chciałem ją oddać. Naprawdę chciałem. Od miesiący chciałem ci ją zwrócić. Tylko nie wiedziałem, jak to zrobić. — Owija się kołdrą, odwraca twarz do okna.

Sirine obraca się, rusza do wyjścia, przystaje i jeszcze raz się obraca. Nathan się nie poruszył. Wygląda teraz jak mnich: zapadnięte policzki, księżycy cieni pod głodnymi oczyma, ciało, w którym zamieszkał upiór.

Sirine trzyma chustę przy piersi.

— Od razu ją rozpoznałem — odzywa się Nathan. — Na pierwszy rzut oka.

Sirine w ogóle się nie porusza.

— To ty ją zabrałeś — mówi. — Czemu wzięłeś moją chustę?

— Chciałbym się wytłumaczyć. Czy mogę zrobić przynajmniej tyle?

— Co wiesz o tej chuście?

— Byłem zakochany w siostrze Hana. W Lejli.

— Lejla... — Sirine urywa, bierze głęboki oddech.

Nathan przesuwa dłońmi po pościeli, palce kołyszą się na falach. Księżycowe światło, sączące się przez okno, pada na szczyty załamań, które wyglądają jak grzebienie piany.

— Czytałem kiedyś o Bagdadzie w *Baśniach tysiąca i jednej nocy* — mówi. — To była sama magia i przygody. Myślałem, że tam naprawdę tak jest. A kiedy podrosłem, Bagdad zamienił się w miejsce z telewizora, kojarzył się z wojną i bombami. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że tam może być jakieś normalne życie.

Sirine opiera się o framugę. Zamyka oczy, w palcach składa jedwab. Próbuje zachować spokój, pozwolić, żeby ukazała się jego wersja Bagdadu — miasta z zatłoczonymi ulicami i barami i z wykształconymi młodymi ludźmi, poszukującymi artystami i reżyserami, i eleganckimi turystami z całego świata. I z Nathanem, który stał na ulicy i próbował wchłonąć to

wszystko. Otwierając oczy, Sirine dostrzega stare książki z biblioteki, które otwarte, grzbietem w górę leżą na jego łóżku, zwinięte w kłębek podkoszulki i skarpety na podłodze. Poprzez woń jagód dociera do niej zapach starych ubrań, pojemników na filmy, czegoś gorzkiego i chemicznego, co jest w tym pokoju.

Więc nie otwiera oczu, kiedy Nathan opowiada o wschodnich świątyniach za ścianami wielopiętrowych zachodnich gmachów, o ruinach starożytnych i współczesnych, śladach wojny z Iranem, a potem amerykańskich bomb, które zostawiały w ziemi wielkie, dymiące leje. Słucha o targowiskach pełnych wiszących, obdartych ze skóry królików, jagniąt przyczepionych do pali, kramów z owocami, wysoko załadowanych malutkimi, cierpkimi pomarańczami i połyskliwą cebulą i główkami czosnku wielkimi jak pięści, o przydymionym zapachu sezamu, o świeżo wypieczonym chlebie z otwartego stoiska. I o rysujących się na horyzoncie uśpionych, fioletowych górach.

Potem Sirine słyszy o młodej kobiecie. Stała na targu z matką, kiedy przyszedł tam Nathan. Opisuje ją drobiazgowo: rozsypujące się czarne włosy, śliwkowoczerwone usta, wygięcie ręki, gdy wdychała cytrynę. Wiedział, że musi ją znowu zobaczyć, wiedział, że już po nim.

W końcu, po wielodniowych poszukiwaniach, odnajduje ją. Dziewczyna wiesza pranie na polu, on przechodzi obok. Zatrzymuje się. Ona wie, że jej szukał, bo wszyscy go widzieli i gadają o Amerykaninie, który wałęsa się po całym mieście, robi zdjęcia, wypatruje dziewczyny, którą zobaczył na targowisku. Myślą, że to szpieg.

Przestawia się jej ojcu i młodszemu bratu Arifowi — starszy brat jest w Oksfordzie — i przekonuje ich, żeby mu pozwolili pracować w swoim sadzie. Ojciec wierzy, że bogactwo i polityczne wpływy Ameryki to dla Irakijczyków jedyna szansa, by pokonać panującego dyktatora. I ojciec, i Arif są zaintrygowani tym uczuciowym młodzieńcem z bladoszarymi oczyma i porcelanową skórą. Z jakiegoś powodu go lubią, mimo że słabo mówi po arabsku, ciągle robi zdjęcia, zadaje pytania i kręci się wokół nich. Dostrzegają oczywistą, bezradną miłość do dziewczyny. Wiedzą, że jest stracony, na wpół obłąkany, zakochany zbyt mocno. Pozwalają mu zostać i pracować, chociaż zdają sobie sprawę, że to przynosi pecha i może być niebezpieczne. Amerykanie przyciągają uwagę. Chłopak stawia namiot w sadzie, gdzie pracują beduińscy ogrodnicy, ale wieczorami chowa się pod parapetem okna dziewczyny, a ona czasem wychodzi i rozmawia z nim.

Słysząc jakiś dźwięk i Sirine otwiera oczy. Znowu jest w ciasnym pokoiku w Ameryce. Wydaje jej się, że widzi wokół Nathana poruszenie światła, jakby wstążkę dymu. Może to tylko

światłne złudzenie. Nathan wstaje, ciągnąc za sobą kołdrę białą jak kość, z ćmami błękitnego cienia. Idzie w ką — Sirine słyszy syczenie otwieranej szuflady — i wraca z kopertą. Poklepuje miejsce na łóżku, obok siebie, żeby tam usiadła. Sirine chwilę się zastanawia, w końcu ostrożnie przysiada. Nathan wyciąga garść kolorowych odbitek. Podaje Sirine jedną po drugiej. Odbijają księżycowe światło. To obrazy najprostszycch rzeczy: nagie, pokryte solą pędy szorstkiej trawy, kamienny róg okna, węgiel prostego, pobielanego domu.

— To tam żyłem — mówi. — Przez całe miesiące. To był cały świat. Przestrzeń pod jej oknem. — Oczy ma zamknięte. — Pachniało tam oliwkami. I trochę jakby morzem.

— Dom Hana — cicho odzywa się Sirine.

Inne zdjęcie — potylica mężczyzny, spowita w białe nakrycie głowy, kaffije, ręka sięgająca po filiżankę do okrągłego stolika z brązu.

— Chciałem się z nią ożenić. Ale w jej świecie, wśród rodziców, braci, byłem tylko gościem. Nie mogłem jej stamtąd zabrać.

Kolejne fotografie — drzewa o lśniących konarach na tle wyblakłego nieba.

— Sad. — Spiczaste liście, lśniące niby monety. Czarne oliwki. — Mój świat. — Jej ręka: krągła, gładka, brunatna jak chleb. — Lejla.

Poza jest inna, ale to ta sama roześmiana dziewczyna, te same wijące się loki i aksamitne oczy.

— Och, tak — cicho odzywa się Sirine, podnosząc odbitkę do księżycowego światła. — Ja ją znam. Znalazłam pod łóżkiem jej zdjęcie.

Nathan jest zdumiony.

— Znalazłaś tę fotografię? Przyniosłem ją na Święto Dziękczynienia, żeby wam pokazać. Miałem zamiar opowiedzieć wam o Lejli i o mnie. Wam obojgu, tobie i Hanowi. Ale kiedy zobaczyłem, że masz na sobie tę chustę... — Oczy mu się rozszerzają. — Zdenerwowałem się i wyszedłem. Miałem jej zdjęcie w kieszeni płaszcza i dopiero następnego dnia się zorientowałem, że znikło.

Sirine zastanawia się przez chwilę, potem lekko się uśmiecha i wyjaśnia:

— Ten pies, Król Babar, to okropny złodziejaszek.

— Może mógłbym je dostać z powrotem? — prosi Nathan. — Nie mogę znaleźć negatywu.

Sirine spogląda w dół.

— Pokazałam to zdjęcie Hanowi tuż przed tym, jak wyjechał. Zabrał je z sobą.

Nathan wpatruje się w nią, Sirine widzi ogarniające go uczucia. W nierównym świetle Nathan wygląda, jakby przykrył go nurt rzeki. Marszczy brwi, opuszcza głowę.

— Han nie miał prawa podarować tej chusty! — mówi z przekonaniem. — Nie miał prawa. Nie w taki sposób. Nie wiedziałaś, co to oznacza. Upuściłaś ją. Znalazłem ją na kuchennej podłodze... Mnie się należała. — Na chwilę dotyka tkaniny, ale cofa rękę. — Nie. Ona należała do Lejli. Lejla miała ją na sobie ostatniego dnia, kiedy ją widziałem.

Portret — poważna twarz młodego mężczyzny, czarne oczy, w spojrzeniu spokój horyzontu, mignięcie rysów Hana.

— Arif wiedział, co mnie łączy z Lejlą. Był wobec mnie grzeczny, ale cichy, zawsze trochę na dystans. Zanim go poznałem, był już w więzieniu i został wypuszczony, robił wrażenie starszego niż w rzeczywistości. Od paru miesięcy pracowałem w sadzie, kiedy pojawili się ci mężczyźni. Arif był w domu i między drzewami przybiegł do miejsca, gdzie pracowałem. Złapał mnie i zaprowadził do piwnicy, którą wykopali pod domem, żeby tam trzymać oliwki i korzenie.

Zdałem sobie sprawę, że słyszę wszystko, co działo się w domu, to było tylko parę cali ziemi i desek. Lejla mówiła i oni też mówili, pytali o Amerykanina, który robi tyle zdjęć. Byłem przerażony, przypominały mi się opowieści, które słyszałem o policji Saddama, ledwo mogłem oddychać i przełykać. Ale Lejla nie dała się przestraszyć, powiedziała, że nie ma żadnego Amerykanina, że to szaleństwo. Zaczęli przeszukiwać dom. Słyszałem, jak wywracają wszystko do góry nogami, a ona szła za nimi. Obrzucała ich obelgami, przeklinała rząd. W ciemności przyciskałem ręce do ziemi na powale, modliłem się, żeby przestała. Kiedy ją zabierali, nie wydała żadnego dźwięku. Ale później, jak wszyscy wróciliśmy na górę, znalazłem na ziemi przy drzwiach wejściowych jedno z moich zdjęć Lejli. Jedno z tych, które dałem Amerykaninowi w garniturze.

Fotografie w dłoniach Sirine są ciemnym szkłem. Wsuwa je z powrotem do koperty i podaje Nathanowi, ale on się odsuwa.

— To trucizna — mówi. — To one sprowadziły policję.

— Han myślał, że policja aresztowała Lejlę, żeby dostać jego. Czuł się za to odpowiedzialny.

— Nie, on wyjechał o wiele wcześniej. Policja przyszła, bo rodzina dawała schronienie cudzoziemcowi.

— Więc ten Amerykanin, któremu dałeś zdjęcia... Czy on był z CIA, czy...

Nathan uśmiecha się i potrząsa głową.

— Nie wiem.

Sirine przygląda mu się przez chwilę.

— Nie ma żadnej szansy, żeby Lejla jeszcze żyła?

Z początku Nathan nie odzywa się. Powoli opada do tyłu, na łóżko, opiera głowę na łokciu.

— To jest tak: parę dni po tym, jak policja bezpieczeństwa Saddama kogoś zabierze, czasem dają rodzinie prezent. Małe, zapieczętowane pudełko. Mówią, że to wszystko, że to są szczątki tej osoby, którą zabrali.

— Można zajrzeć do środka?

— Jeśli się ma dość odwagi... Ale jeżeli się nie popatrzy, to wciąż jest nadzieja, że ten człowiek nadal żyje.

Sirine przesuwa końcami palców po chuście.

— To przyszło razem z pudełkiem — dotykając rogu tkaniny, wyjaśnia Nathan. — Dzieło sztuki. Rodzice musieli to wysłać Hanowi, kiedy był w Anglii.

Sirine spogląda na chustę — w dotyku jest jak skóra, jak stopione masło, jak kałuża na jej kolanach.

— Z początku mi powiedział, że należała do jego matki — mówi do Nathana. — Potem mówił, że się bał, że bym jej nie nosiła, gdybym знаła prawdę.

— A nosiłabyś? — Nathan uśmiecha się do niej. Potem obraca się na plecy i wbija wzrok w sufit. — Czasem mi się wydaje, że to był sen, ale ja sam jestem wewnątrz tego snu. Po tym, jak przyszła policja, przez całe dni byłem tak przerażony, że nie wychodziłem z kryjówki, z tej piwnicy, a reszta rodziny żyła, rozmawiała i poruszała się nad moją głową. Ale tego ranka, kiedy odnieśli jej chustę, wyszedłem, wziąłem aparat i chodziłem po głównej ulicy wioski. Chciałem, żeby ktoś mnie aresztował i zabrał. Ale nikt się nie pojawił. Wyglądało to tak, jakby w ogóle nikt mnie nie zauważał. To sprawiło, że poczułem się lepiej. Zupełnie jakbym już się stał duchem, tak jak Lejla. Autostopem dojechałem do miasta, a parę dni później uprosiłem, żeby mnie zabrali do samolotu. Wróciłem do Stanów. Byłem duchem. Czuję się, jakbym mógł przechodzić przez ściany, jakbym w ogóle nie miał ciała.

Potem przez całe lata mogłem tylko pracować, patrzeć na rzeczy, fotografować je. O niczym nie umiałem myśleć. Ale kiedy usłyszałem, że Han przyjeżdża, żeby tutaj uczyć, nabrałem podejrzania, że może nadal żyje.

— Wcześniej go nie spotkałeś?

— Nie, ale przez cały czas, kiedy znałem Lejlę, ona bez przerwy opowiadała o swoim starszym bracie w Anglii, o tym, jaki on jest bystry i dzielny, jak zdobył stypendia słynnych uczelni. Pracowałem w studiu fotograficznym w Glendale, i arabski klient wspomniał, że Han, ten sławny tłumacz, przyjedzie na uniwersytet. Nie mogłem w to uwierzyć. Pojechałem do Westwood, żeby się przekonać, czy to prawda. Wygłaszał akurat przemówienie, to była jedna z rzeczy, które musiał zrobić, żeby dostać tę pracę. Z początku trudno mi było na niego patrzeć, tak mi przypominał Lejlę. To było bardzo dziwne uczucie, jakby krew na nowo zaczynała płynąć w ciele po odmrożeniu, wszystko mnie piekło, to się zaczynało we wnętrznościach, a kończyło na skórze. Po raz pierwszy od lat znowu poczułem, że nie śpię. Chciałem być przy nim w każdej sekundzie.

— Musiałeś mnie nienawidzić — stwierdza Sirine. — Odbierałam ci go.

— Wcale nie! — protestuje Nathan. — Z początku to było... dziwne, ale potem uznałem, że jesteś darem dla mnie. Patrząc na was razem, mogłem od nowa przeżyć moją dawną miłość. I właśnie dlatego... — Nathan zamyka oczy, jego głos cichnie.

— Te wszystkie fotografie, które zrobiłeś — dopowiada Sirine. Podnosi garść odbitek. — Jak album pamiątkowy.

— To nie wszystko — mówi Nathan, odwracając się tak, żeby nie patrzeć na Sirine.

Samochód mija okno, tak blisko, że reflektory osmalają pokój, fotografie rozbłyskują w dłoniach Sirine.

— Wiesz, ja mu wszystko powiedziałem — przetyka, Sirine dostrzega jego przesuwającą się grdykę. — Tego wieczoru, zanim wyjechał.

Sirine zastanawia się. Pamięta, jak znalazła Han i Nathana na uniwersytecie, pamięta odczyt: co miesiąc umiera w Iraku pięć tysięcy dzieci. Przypomina sobie wyraz twarzy Hana, kiedy do niej podchodził, jego milczenie. Lęk przesuwa się po jej ciele.

— Nathan, coś ty mu powiedział?

Nie odpowiada od razu. Sirine widzi, jak porusza się jego szyja.

— Tak ciężko było żyć z tymi tajemnicami — odzywa się Nathan. — Musisz to zrozumieć. Nie zdawałem sobie sprawy, że Han czuje się odpowiedzialny za śmierć Lejli. Chyba powinienem się był tego domyślić. Mówi się, że dla niektórych ludzi poczucie winy, że przeżyli swoich ukochanych, jest gorsze niż sama śmierć. Przez cały ten czas milczałem o tym, co się stało, traktowałem to jak karę dla siebie. Żyć w taki sposób, odciąć się od wszystkiego i nigdy,

ale to nigdy nie mówić nikomu, co się wydarzyło. Nie mogłem znieść wstydu. Nie mogłem znieść samego siebie. Zastanawiałem się nad tym, czy się zabić, ale życie wydawało się do-
tkliwszą karą. Jestem odpowiedzialny za śmierć Lejli. Moja beztroska doprowadziła do niej
policję. Kiedy spotkałem Hana, znowu poczułem obecność Lejli. Tak bardzo chciałem się do
niego zbliżyć, że wszystko bym zrobił, żeby tylko się nie dowiedział, co na mnie ciąży.

— Ale potem... w końcu właśnie to mu powiedziałaś. Nathan zamyka oczy.

— Przyszedł do mojego domu, było bardzo późno, parę godzin po tym koncercie arab-
skiej muzyki. Zabolało go, że zniknęłaś. Czuł się winny, że tańczył z tą studentką. Powiedział,
że nie chciałaś z nim rozmawiać, kiedy później zadzwonił do ciebie do domu, a jak przyszedł,
zignorowałaś go.

— Przyszedł? — Sirine marszczy brwi, a potem sobie przypomina: sen o deszczu, małe
kamyki, które rzucał w jej okno.

— Zaczął się obwiniać o najróżniejsze rzeczy. Wymienił Lejlę. Powiedział mi, że odpo-
wiada za jej śmierć. I właśnie wtedy wyznałem mu prawdę. Kiedy mu to opowiedziałem, mia-
łem takie uczucie, niemal fizyczne, jakby powietrze rozpadało się na kawałki. Nie musiałem
już sam dźwigać tej wiedzy. Han z początku mi nie wierzył. Raz po raz pytał: Zabrali ją z two-
jego powodu? Myślałem, że mnie zabije, byłem przekonany, że mnie znienawidzi. Ale on wy-
glądał tylko na oszołomionego. Powiedział, że pójdzie do domu, że musi przemyśleć to, co mu
powiedziałem. Nawet mi podziękował. Może w jakiś sposób i on się poczuł uwolniony.

— Uwolniony, żeby wracać do Iraku. — Sirine spogląda w okno, na mokre chodniki i
długie, rzucane przez księżyc cienie. W jej uczuciach zachodzi zmiana. Nathan odwraca się i
spogląda na nią wprost, i Sirine przeczuwa coś.

— To nie wszystko, prawda? — mówi.

Jego spojrzenie umyka, Nathan potrząsa głową.

— Nie chciałem... przysięgam, Sirine. Nigdy, nigdy bym cię świadomie nie skrzywdził.
Nigdy. Wcale nie chciałem, żeby to się zdarzyło.

Sirine próbuje przełknąć ślinę, ale gardło ma zaciśnięte i opuchłe, prąd przebiega ją od
czaszki do podstawy kręgosłupa.

— Powiedz mi.

Nathan znowu potrząsa głową.

— To było później... po tym, jak powiedziałem Hanowi, co zaszło między mną i jego
siostrą. Mówił, że mnie nie wini. Nawet powiedział, że uważa mnie za brata. Nie wiem. Może

byłem nieostrożny, bo wreszcie wyjawilem moje sekrety. Czułem się tak lekko. Powiedziałem Hanowi, że chcę mu dać odbitki tych zdjęć, które robiłem w Iraku. Zaprosiłem go do ciemni. W kuwecie były fotografie. Zapomniałem, nad czym pracuję. Wiesz, nigdy na nic nie daję nalepek. I kiedy ja przeszukiwałem albumy, on tam stał, a potem na niego popatrzyłem, a on się wpatrywał w zdjęcie w wodzie. Zupełnie o nim zapomniałem... — Jego głos wędnie.

— Jakie zdjęcie? — cicho pyta Sirine.

— Twoje. — Nathan kiwa głową. — Z Azizem.

Sirine nieruchomieje, jest tak cicho, że wyczuwa puls w swojej szyi i w skroniach. Słyszy płynącą w głowie krew. Przygląda się, jak Nathan wstaje i wyciąga ze sterty na komodzie następną odbitkę, podchodzi, podaje jej w milczeniu, potem siada.

— Szedłem za wami na plażę. Nie powinienem, ale martwiłem się. Nie ufałem Azizowi. Ale zrobiłem tylko tyle. Kiedy odjechaliście z plaży, nie śledziłem was już dalej. — Mówi ze sztywną dyskrecją.

Sirine obraca zdjęcie tak, by padało na nie światło z okna. Widzi siebie i Aziza na plaży — pochylają się w siebie, ich twarze są tak blisko, właśnie mają się pocałować, on trzyma rękę z tyłu jej głowy, jej twarz jest otwarta, senna, wygląda na słabą jak dziecko.

— O Boże — szepce. — On to widział? Nathan pociera twarz dłońmi.

— Nie powinienem był go robić, nie trzeba było tego fotografować. Wiedziałem o tym. Ale i tak je zrobiłem. We mnie to jak instynkt, kiedy widzę coś... uderzającego. Zrobiłem tylko to jedno. Od razu pożałowałem. Chciałem je zniszczyć.

— Ale jest tu teraz.

— Zapomniałem o nim, naprawdę.

Sirine spogląda w stronę okna. Jej oczy wypełniają światła następnego samochodu z ulicy. Nie mruga, pozwala, żeby światło przepaliło jej głowę. Czuje je, przenikające przez nią do ściany z tyłu, na wylot przechodzące przez jej skórę. Han to widział.

— Wiedziałem, że w końcu wróci do Iraku — mówi Nathan. — To, co kto mówił albo robił, nie miało znaczenia.

— Czy on... czy coś powiedział? Kiedy zobaczył to zdjęcie? — głos Sirine brzmi słabo.

Nathan waha się przez chwilę, w końcu odpowiada:

— Powiedział, że ma takie dziwne uczucie...

— Uczucie.

— Powiedział, że czuje, że to nic nie znaczy... — Pochyla się. Sirine czeka, a on podnosi głowę. — Ale że i tak nie wie, czy będzie umiał ci wybaczyć.

Żadne z nich nie mówi nic więcej. Sirine przypomina sobie, że ma oddychać. Rozgląda się po pokoju. Przez chwilę zastanawia się, czy nie spróbować wytłumaczyć Nathanowi, dlaczego wtedy poszła z Azizem, ale teraz to już nie ma znaczenia. W końcu pozwala sobie jeszcze raz spojrzeć na twarz Nathana: jest jak krepa, zapada się do wnętrza, jakby pod powierzchnią nie było żadnej materii.

— To dlatego wrócił do Iraku — mówi głucho. — Z powodu tego zdjęcia.

Nathan wyciąga rękę, palcami muska grzbiet jej dłoni. Jego skóra jest chłodna i sucha jak drewno. Dotyka jej włosów, czubkiem palca prześlizguje się wzdłuż wijącego się kosmyka.

— To Han zdecydował, że pojedzie.

Sirine odwraca wzrok do okna, pod ulicznym latarniami widać srebrne powrozy deszczu, księżyc rozbiela niebo. Wstaje i rusza ku drzwiom, potem zatrzymuje się, kładzie chustę na łóżku.

— Zatrzymaj ją, proszę — mówi.

Nathan podnosi ją powoli, jakby się jej lękał, i spogląda na Sirine.

— Należy się tobie — mówi ona.

Nathan przyciska chustę do piersi, Sirine się odwraca.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Tymczasem w zakazanej świątyni Królowej Saby, zwanej także Hollywood w Kalifornii, Abdelraman Saladyn zmęczył się udawaniem gwiazdy filmowej. Czterdzieści lat filmów przeszło i minęło, ale on miał dość błyszczących wieczorem kobiet, które rozsypują się do rana. Znużyło go wcielanie się w Rosjan i Francuzów, przejedli mu się Włosi grający Arabów i wysocy, biali aktorzy udający niskich, śniadych Meksykanów. Miał dosyć elektrycznych świateł, które wcale nie gasną, hałasu, który nigdy nie dopuszcza do głosu ciszy, i pieniędzy. Tak, jeśli możesz to sobie w ogóle wyobrazić: człowiek, który sprzedał się sto razy, albo więcej, za torbę złotych monet, zmęczył się w końcu pieniędzmi.

Starzał się i tęsknił za wygodnym domem i rodziną. Nie mógł znaleźć nikogo, z kim dałoby się wypić filiżankę herbaty i zagrać partyjkę lub dwie tryktraka albo brydża. Ci ludzie z Hollywood wydawali tylko szalone party i jeździli w kółko lśniącymi samochodami. Pewnego

wieczoru Abdelraman brał udział w jednym z takich przyjęć. Byli tam wszyscy: Frankie, Sammy, Jerry, Dino. Abdelraman lubił Dina, spoglądał głęboko w jego nabiegłe krwią oczy i widział tam zatopionego Araba. Ale, jak zwykle, wkrótce znudził się przyjęciem i wyszedł na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Stał nad nerkowatym basenem, gdzie nagie jasnowłose dziewczęta pływały w szampanie, ale patrzył w górę, w noc. Jego lewe oko zamglilo się, do lewego ucha dotarł szept. Nagle ktoś walnął go w plecy, zawisła nad nim biała twarz z woskowato czarnymi włosami. Dino. Abdelraman Saladyn czuł promieniujące z jego skóry zabójcze dawki alkoholu. Oczy Dina nie skupiały się na niczym, pływały tak, że przypomniały Abdelramanowi spojrzenie Szaleńca al-Raszida.

— Hej, o co biega, stary? — spytał Dino.

Abdelraman tylko się uśmiechnął. Jego spojrzenie powędrowało znowu w noc i powoli, stopniowo, z ciemności wyłonił się pierwszy obrzynek półksiężyca.

Półksiężyc to dla islamu ważny symbol. Wiele meczetów ukoronowano półksiężycem tak samo, jak kościoły wieńczy się krzyżem. Prorok Mahomet, pokój z nim, nakazał wyznawcom, żeby odprawiali niektóre rytuały i czynności według nowiu księżyca. Pierwsze ujrzanie nowego księżyca oznacza początek każdego islamskiego miesiąca i kończy ramadan, wielki i nabożny miesiąc postu, który zamyka się Id-al-Fitr, świętem Złamania Postu, gdy wszyscy ubierają się w nowe stroje, chodzą w odwiedziny i jedzą.

Dlatego Abdelraman bardzo się tym przejął. Wiedział, jakie jest znaczenie półksiężyca — to nagroda dla cierpliwych, uważnych, tych, którzy gotowi są czekać. Jego oczy napełniły się łzami, dłonie zadrżały. Wyciągnął rękę, żeby go pokazać. Dino gapił się, marszczył, kołysał, aż wreszcie powiedział:

— Chłopie, ja nic nie widzę.

Abdelraman Saladyn był pierwszą na świecie osobą, która ujrzała ten księżyc. Wisiał nad ich głowami, smukły jak rzęsa, jasny niby rtęć, emanujący ledwo słyszalną, kosmiczną muzyką. Abdelraman uśmiechnął się uszczęśliwiony, Dino zaś, widząc przez opary pijaństwa ten czuły, tęskny uśmiech, pierwszy szczerzy uśmiech, jaki zobaczył od lat, pochylił się i wyszeptał do kolegi:

— Wiesz, czasem facet musi wiedzieć, kiedy wracać do domu.

Tej nocy Abdelraman wysłał telegram do swojego przyjaciela, egipskiego reżysera Jajipura al-Raszida, zwanego też Szaleńcem al-Raszidem, który zaczynał przesłuchania do sztuki pod tytułem *Otello*, napisanej przez pewnego obłąkanego Anglika. Al-Raszid zamierzał prze-

łożyć ją na arabski, wystawić z egipską obsadą, a aktor grający Otella miał sobie upudrować twarz na białą. Abdelraman napisał do starego znajomego, prosząc, by zostawił mu rolę w tej rewolucyjnej inscenizacji, zawsze chciał bowiem spróbować sił w prawowitym teatrze. Nie miał pojęcia, że al-Raszid dla przyciągnięcia publiczności kazał już zawiesić plakaty ogłaszające, że jego słynny przyjaciel wystąpi w roli głównej. Zamierzał każdego wieczoru wmawiać kairskiej publiczności, że Abdelraman Saladyn niestety zachorował, więc jego rolę zagra zastępca. A więc wszystko ułożyło się jak najlepiej.

I ani Abdelraman, ani al-Raszid nie domyślali się, że po obejrzeniu owych reklamowych plakatów dwie szczególne kobiety pojawią się na widowni w dniu premiery: syrena-poetka i dumna matka. Cóż, co ja mam powiedzieć? Reszta jest historią.

Więc co się zdarzyło?

Och, zdarzyło się tyle rzeczy!

Ale ja chcę usłyszeć o tym, jak się spotkali. Co się wtedy działo? Co czuli?

Habibti, musisz zrozumieć coś, co dotyczy opowieści: mogą wskazać ci kierunek, ale nie potrafią cię zaprowadzić na miejsce. Opowieści to półksiężyce, połyskują na nocnym niebie, lecz najwspanialsze są w stanie niepełnym. Bo ludzie pragną piękna niewiedzy, ekscytacji sugestią i słodkiej tragedii tajemnicy.

Innymi słowy, *habibti*, nie wolno nigdy niczego opowiadać do końca.

Rok później Sirine zaczyna czuć, że znowu potrafi oddychać, nie czując wzbierających łez. Doświadcza przede wszystkim neutralnej nieobecności: ani wesoła, ani smutna poza nagłymi przyływami uczuć, których uderzenia przechodzą ją na wylot, szybkie i elektryzujące jak synapsy nerwowe. Tylko kiedy gotuje, w chwilach mieszania i próbowania, czuje się znowu w pełni sobą.

Zaczęła znowu smakować własne potrawy w profesjonalny sposób. Z dystansem, krytycznie i zbyt drobiazgowo. Smakują nieco inaczej niż w jej pamięci. Smaki stały się dziwniejsze, bardziej ciemne i rozległe — do humusu dodaje opieczone papryki i morele, a do kurczaka kapary. A któregoś dnia wchodzi do składu w piwnicy i nakrywa Victora Hernandeza na całowaniu Mireille na rzeźniczym pieńku, między łupinami cebuli. Najpierw Mireille, a potem Sirine wybuchają śmiechem. Później Sirine uświadamia sobie, że pierwszy raz od roku szczerze się roześmiała. Miesiąc później Mireille zaręcza się z Victorem Hernandezem, który wprowadza się do niej i Um-Nadii. Na swoje weselne przyjęcie Victor przygotowuje trzy rodzaje sosu mole i ciasto z czekoladą, cynamonem i czarnym pieprzem. Mireille daje Sirine prezent dla

druhny — książkę o kobiecie, która płakała nad gotowaniem i zarażała gości swoimi emocjami. Sirine znajduje pocieszenie w tej historii. Myśli o niej przez całe tygodnie i zastanawia się, czy można zrobić to samo, stojąc tylko w pobliżu jedzenia. Klienci restauracji, młodzi arabscy studenci, profesorowie i rodziny, wydają się teraz poważniejsi, łatwiej wpadają w zadumę, przytulają się i rozmyślają. A ileś razy ktoś — zwykle student — wybuchnął płaczem, jedząc zupę albo odrywając kawałek chleba. Um-Nadia chce posłać Sirine do znanej szkoły, instytutu kulinarnego w San Francisco, żeby się wykształciła na mistrzynię, żeby nauczyła się, jak mówi Um-Nadia, gotować „francuskie rzeczy”. Sirine nie jest pewna, czy pragnie tam jechać. Podejrzewa, że Um-Nadia chce, żeby miała urlop i okazję do poznania nowych mężczyzn. Ale jej przyjemność sprawia tylko mieszanie, próbowanie i przepływanie tam i z powrotem między przednią i tylną kuchnią.

Na czterdzieste pierwsze urodziny stryj i Um-Nadia, którzy, jak Sirine zauważyła, zaczęli się zderzać ramionami, stojąc obok siebie przy zmywaniu, ofiarowują jej nowy sznurek modlitewnych koralików. To nieregularne, jaskrawoniebieskie kamienie ze złotymi płatkami i złotą jedwabną kitką. Sirine przesuwa po nich palce.

— Dziękuję — mówi, stukając paciorkami. — Są śliczne. Stryj i Um-Nadia wyglądają na wzruszonych, uczucia tłoczą się i przepychają w pokoju.

— To przypomnienie — stwierdza stryj. — Żebyś nie zapomniała o odmawianiu modlitw.

— Są z lapisu — dodaje Um-Nadia. — Tak jak niebo.

Tego wieczoru Sirine wyjmuje modlitewne korale Hana z kieszeni, całuje je i odkłada do szuflady nocnego stolika, razem z nowymi, i zamyka szufladę.

Wczesnym rankiem po urodzinach, gdy Um-Nadia i stryj piją herbatę i rozmawiają na dole, Sirine wyleguje się w łóżku i przegląda *Kitab al-Wusla Ila'L-Habib*, czyli *Księgę złączenia z umiłowanym*, jeszcze jeden urodzinowy prezent, który stryj zostawił w nocy, zawinięty w lśniący papier, pod drzwiami jej sypialni. To tłumaczenie średniowiecznej książki kucharskiej i wygląda, jakby miało z pięćset lat. Przy obracaniu każda z kruchych brązowych stron odrobinię się rozpada, wydając zapach kurzu. Przepisy, w których mówi się o dziczyźnie z przeróżnych wymarłych zwierząt, o organach wewnętrznych, pleśniach i fermentacjach, intrygują ją. Wczytuje się właśnie w opis duszonego zająca, gdy od drzwi na dole dobiega jakiś hałas, a potem śmiech Um-Nadii, tak miękki, że skóra na karku Sirine pokrywa się gęsią skórką. Śmiech wznosi się przez podłogę i wypełnia otaczające ją powietrze.

Sirine cicho skrada się do drzwi, przykłada ucho, przyciska twarz do zagłębienia w drewnie. Sama nie wie, czemu się ukrywa. Potem otwiera drzwi i patrzy w dół schodów. Um-Nadia i stryj stoją przy na wpół otwartych drzwiach, szare światło wczesnego poranka podkreśla ich profile. Um-Nadia śmieje się melodyjnym, trzyakordowym śmiechem i Sirine widzi, jak jej ręka wysuwa się do przodu, żeby dotknąć twarzy stryja. Stryj chwyta tę dłoń i całuje końce palców. Sirine, która właśnie miała do nich zawołać, powstrzymuje się. Czuje, jak przebiegają ją fale najpierw gorąca, a potem zimna.

Ostrożnie wślizguje się z powrotem do sypialni, wraca do swojej książki kucharskiej, kładzie się na brzuchu, ogarnia ją nieuniknione uczucie ciężaru. Nie otwiera książki, przesuwa tylko palcami po okładce z wyciśniętym tytułem, po całkiem startym złoceniu liter. Słysząc stukanie do drzwi. Sirine kładzie twarz na książce i mówi:

— Proszę.

Stryj stoi w korytarzu sam. Przez chwilę mruga, rozgląda się po pokoju, patrzy na Sirine.

— Pewnie to ty byłaś przed chwilą? Na schodach?

— Przepraszam. — Sirine pociera nos. — Nie chciałam was szpiegować.

Stryj wskazuje na fotel, jakby pytał, czy może usiąść, po czym po prostu pada na siedzenie, na wszystkie rzucone tam ubrania Sirine.

— Wybacz, moje plecy. — Składa ręce. — Więc widziałas. — Spogląda na nią kątem oka. — Jesteś zaszokowana?

Z początku Sirine wydaje się, że jest, ale kiedy przypatruje się jego miękkiej twarzy, zdaje sobie sprawę, że to nieprawda, że cieszy się z ich powodu. Tak samo, jak cieszy się z powodu Mireille i Victora. I że cała ta radość dotyka w niej wrażliwego miejsca. Pochyliła się na spadzistym wezglowiu łóżka, zastanawia się, jak to wyjaśnić. W końcu wzdycha tylko i mówi:

— Chodzi o... Hana. Stryj kiwa głową.

— Powiedz mi, proszę.

— Jest coś... złego, naprawdę złego, co zrobiłam. — Sirine wpatruje się w swoje kolana. — Nie chciałam, żeby o tym wiedział. Próbowałam to przed nim ukryć, ale on i tak się dowiedział i dlatego odszedł. — Ciasno zaciska wargi, wpycha dłonie między kolana. W końcu zerka w górę, nie podnosząc głowy.

Stryj sadowi się wygodniej, stuka palcem w poprzeczkę okularów. Wreszcie mówi:

— Wiesz, bardzo długo czułem, że zdradziłem twojego ojca.

— Ty? Jak?

— To był mój pomysł, żeby przyjechać do Ameryki. Nie jego. Pragnąłem przygód, chciałem zwiedzać świat i tak dalej. Twój ojciec wolał studiować inżynierię w Bagdadzie, trzymać się jak najdalej od kłopotów i pracować na miejskiej posadzie. Przyjemnie, zwyczajnie i prosto. Nigdy nie lubił wyjeżdżać z domu. Własne miejsce mu wystarczało. Ale nie, ja nie chciałem zrezygnować. Gadałem i gadałem, i gadałem o Ameryce, aż w końcu dał za wygraną i powiedział: dobra, dosyć, niech będzie, jedźmy. A jak tu dotarliśmy, okazało się, że to ja zostawałem w domu, a on przeżywał przygody. Przekreśliło to w nim jakiś potężny przełącznik. On i twoja mama stale gdzieś wyjeżdżali. I widzisz, właśnie dlatego się to stało. Dlatego zginęli — mówi cicho. — On znalazł się w miejscu, gdzie nie miało go być. Często sobie myślałem, że gdybym na początku go nie namówił, żeby tutaj przyjeżdżać, to może żyłby do dzisiaj.

Sirine przyciąga brodę do szyi.

— Ale tego nie wiadomo. Wszystko mogło się zdarzyć. A gdyby tutaj nie przyjechał, to mnie pewnie nie byłoby na świecie.

— Właśnie. Widzisz? Tak to jest z takimi rzeczami. W końcu musiałem uznać, że właśnie to miało się stać. — Stryj wzrusza ramionami. — Ja na to patrzę tak: powinnaś się cieszyć, że Han się dowiedział o tej złej rzeczy. To jedyny sposób, żeby się przekonać, czy ktoś może cię kochać, jeżeli kocha cię nawet wtedy, kiedy się dowie o złej rzeczy. Albo o dwudziestu ośmiu złych rzeczach. Co do jednej.

— Ale Han nie... — Sirine potyka się na tym słowie. Zamiast niego wypowiada żalose: — Hana tu nie ma.

— Więc zrób to. Ja ci pomogę. Powiesz mi o złej rzeczy, a ja ci przebaczę.

— Muszę mówić, co to było? Stryj trze brodę.

— Nie wiem. Jak myślisz?

— Nie wiem — odpowiada Sirine. Obraca się na bok, opiera głowę na dłoni i usiłuje to przemyśleć, ale w głowie ma zamęt, myśli jej się płaczą. Próbuje sobie wyobrazić, że Han jej wybacza, i zalewa ją poczucie straty. — Nie mogę — mówi cicho.

— W takim razie pozwól, że coś zaproponuję. Zjedzmy śniadanie.

Sirine przytakuje z ulgą, wysuwa się z łóżka i w dwójkę wychodzą do nieoświetlonego korytarza. Jest tak wcześnie, że w domu panuje jeszcze ciemność, a kiedy Sirine spogląda w stronę okna nad wejściowymi drzwiami, ma wrażenie, jakby światła miasta zostały wygaszone.

Schodzą na dół, światło z wejścia do sypialni Sirine w czasie schodzenia ześlizguje się po jej ramionach. Noc jak oceaniczny przyływ wypełnia wnętrze domu. Po drugiej stronie pokoju Sirine widzi kwitnące nocą kwiaty stryja. Mają całkowicie otwarte kielichy.

Włącza światło w kuchni. Chce wypróbować przepis z tej średniowiecznej książki kucharskiej — omlet smażony na oliwie, z czosnkiem, z nadzieniem z mielonych orzechów, ostrych papryczek chilli i nasion granatu. Podchodzi do szafek, do lodówki i bierze się do roboty, gdy tymczasem stryj siada przy stole i otwiera historię Konstantynopola. Sirine stoi przy blacie, obiera i sieka cebule, po czym lekko podsmaża omlet, raz go przewracając. Jego aromat jest bogaty i złożony. Potem Sirine i jej stryj siadają razem w bibliotece i jedzą.

Potrawa jest słodka, delikatna i tak smakowita, że właściwie niematerialna. Jajka roztaapiają się im w ustach. Sirine jest głodna, od ponad roku nie zjadła tyle na jeden posiłek. Czuje, że to jest smaczne. Po raz pierwszy od ponad roku wyczuwa własny wpływ na jedzenie. Kiedy kończy, oblizuje palce. Stryj odkłada serwetę, mówi:

— *Alhumdullilah*, Bogu niech będą dzięki. — Potem kiwa głową, wskazuje na pusty talerz i stwierdza: — Jajka ci wybaczyły.

Rozdział trzydziesty drugi

A więc Abdelraman Saladyn zagrał rolę życia na chybotliwej, nieznannej scenie w Kairze, z twarzą posypaną białym pudrem, zgodnie ze wskazówkami na wpół obłąkanego reżysera. To był wielki sukces — tak naprawdę nikt się nie spodziewał, że słynny amerykański gwiazdor pokaże się w sztuce w Kairze. Lecz że miał pobieloną twarz, większość widzów go nie rozpoznała. Ale matka owszem. Abdelraman zemdłał na popremierowym przejęciu, kiedy po raz pierwszy od czterdziestu jeden lat zobaczył matkę. Ciotka Camille podeszła do niego, wysoka jak drzwi, a na każdym palcu połyskiwały jej klejnoty w kolorach morza, które kupili jej inni synowie. A za nią pojawił się tam także Zasłonięty Mężczyzna — a teraz syrena, królowa Alif na swoim elektrycznym wózku. Camille była taka dumna z syna. Zrozumiała, że przez całe życie grał, najpierw zatopionego Araba, potem zatopionego Maura.

Przytulali się, całowali i śmiali, i Abdelraman wybaczył syrenie Alif, że go oczarowała, a ona wybaczyła jemu, że marny był z niego więzień. Bo właściwie ta opowieść mówi także o tym, jak dobrze jest wybaczyć — to wielka ulga dla tego, kto źle postąpił, a jeszcze większa dla tego, kto może mu odpuścić winę! I wszyscy wprowadzili się do ładnego mieszkania w Kairze,

grali w tryktraka i pili słodką miętową herbatę i czytali wiersze. Ciotka Camille i szakalouchy pies zestarzelili się razem, jedno bardziej niezwykle od drugiego, i rozstali się z życiem dokładnie tego samego dnia, jedno o świcie, drugie o zachodzie słońca. Ale w tej opowieści jeszcze nie umarli. W tej opowieści psy i syreny i matki i synowie żyli szczęśliwie, na zawsze. Aż wydarzyła się następna ważna rzecz.

No i proszę. Jesteś wreszcie zadowolona?

Jak na późną wiosnę, poranek jest chłodny. Sirine stoi obok nagrzewającego się rusztu. Do restauracji wsączają się jeden po drugim samotni studenci. W drzewach nad oknem, powyżej zlewu, kłócą się ptaki. Victor, teraz oficjalny zastępca szefa kuchni, sieka cebule i czosnek. Cristobal jest pomocnikiem kuchennym, a dzieciak z Senegalu imieniem Percy nowym sprzątaczem.

Minęły prawie dwa lata, odkąd Han odszedł. Zaczął już znikać ze snów Sirine. Nie byli razem aż tak długo, powtarza sobie, zaledwie parę miesięcy. A jednak wciąż go szuka, nieświadomie wypatruje w tłumie.

Ale tego ranka wraca do niej sen, który miała. Potrafiła w nim oddychać pod wodą. Przypomina sobie puls oceanicznych pływów w głowie, radosne oszołomienie w piersi. Przez okna widać teraz świt w kolorze szafranu i restauracja rozbłyskuje światłem. Sirine miesza w garnku jogurt leben, który trzeba podgrzewać powoli, ostrożnie, delikatnie i z nadzieją. Przekłada się go masłem i cebulką, jest mocny i intensywny jak noc w środku lata. Nie może przerwać mieszania, bo to delikatny, kapryśny sos, lubi się warzyć i ścinać, jeśli tylko mu pozwolić. Musi więc czekać, stać i mieszać i mieszać i mieszać i patrzeć i patrzeć. Stoi więc i miesza i patrzy przez okno, a potem w stronę sali.

Jeden ze studentów sadowi się przy barze i otwiera gazetę. Sirine nie czytuje amerykańskich gazet, ale wciąż z namysłem spogląda na arabskie pisma, zwłaszcza na te, które wydrukowano na seledynowym i kremowym papierze. Tego ranka omiata spojrzeniem gazetę studenta, i kiedy widzi zdjęcie, ledwo je spostrzega. Ale coś każe jej popatrzeć raz jeszcze. A potem trzeci raz, mruga i przygląda się uważniej i to jest fotografia mężczyzny, który przypomina Hana, ale nie może być Hanem.

— Przepraszam, czy mogłabym... — odzywa się do studenta.

Chłopak odchyła róg gazety, żeby na nią spojrzeć, i widzi, że Sirine patrzy na zdjęcie po przeciwnej stronie.

— Możesz mi powiedzieć, co to takiego? — Wskazuje palcem.

Student cierpliwie obraca gazetę i czyta krótki artykuł, szepcząc do siebie po arabsku. Potrząsa głową, śmieje się i mówi:

— To jakaś zwariowana historyjka. Piszą, że ten facet to więzień polityczny, że uciekł i wydostał się z Iraku, idąc szlakiem tych zwierząt przez granicę i do Jordanii. Mówi, że teraz wróci do domu, nie wiem, gdzie.

Sirine jeszcze raz spogląda na zdjęcie i dostrzega w tle niewyraźne, przypominające jelenia zwierzę z parą wielkich, zakręcanych rogów, które wygląda na dzikie i płochliwe.

Student zbliża gazetę do twarzy i przez chwilę przygląda się fotografii. Inny student wstaje od stołu, żeby zajrzeć pierwszemu przez ramię. Wskazuje na ilustrację.

— Widzisz, o, to jest gazela.

— Żadna gazela — odpowiada siedzący chłopak. — To jest... jak oni to nazywają po angielsku? Łoś?

— Może być górską kozica.

— Gdzie to kozica, idioto? — rzuca czwarty student.

— To jest oryks. — Wszyscy milkną na chwilę, obracają się, żeby zobaczyć, kto mówi. To Kurosz, który patrzy w egzemplarz tej samej gazety i je porcję jajek z soczewicą. — Oryks. — I wraca do swojego talerza.

Sirine spogląda na studenta, żyłastego, gęsto uprzedzonego, z oczyma błyskającymi humorem. Potem wpatruje się w gazetę.

— Jak on się nazywa? — pyta, wskazując palcem. — Piszą coś?

Młody człowiek jeszcze raz odwraca się do kartki, przez chwilę się przygląda.

— O, jest — podnosi wzrok na Sirine. — Abdelraman Saladyn.

Sirine czuje powiew wiatru, jakby wybuch śmiechu. To dziki wiatr, jak wichura na grzbiecie oceanu. Kolana się jej uginają, w ustach czuje suchość. Podnosi ręce, ale nie ma czego się złapać.

— Szefowo? — odzywa się siedzący student. — Wszystko w porządku?

Młodzi mężczyźni ruszają, żeby jej przysunąć krzesło, ale Sirine potrząsa głową, chybotliwie cofa się o krok.

— Nic... nic mi nie jest. Czy mogę... — słabo wyciąga rękę w stronę pisma. Student podaje jej gazetę. Sirine podnosi ją i mówi: — Potrzebuję tylko trochę powietrza.

Wychodzi na tylne podwórko. Stoi tam, drży i bierze głęboki oddech, zanim spojrzy na kartkę. Podnosi ją do twarzy i z bliska przygląda się fotografii, najpierw przypatruje się zwi-

rzęciu, jego wspaniałym rogom i migdałowym oczom, opóźniając chwilę, kiedy jeszcze raz popatrzy na mężczyznę. I wreszcie pozwala sobie powoli, stopniowo spojrzeć na niego. Ubranie ma w strzępach, twarz okrywa tygodniowy zarost, stoi w otwartej przestrzeni, jakby właśnie wyrzuciła go tam woda. Sirine próbuje się skupić na jego twarzy. Fotografia składa się z małych kropek farby i Sirine od wpatrywania się w druk piękną oczy. Znowu je zamyka, mówi sobie: spokojnie, i otwiera je.

Han.

To niemożliwe, ale oczywiście, bez wątpienia, to prawda.

Patrzy, patrzy i patrzy, zdjęcie wypełnia ją całą: miękki zarys jego oczu, opadające włosy, a w kątku oka blizna w kształcie półksiężyca.

I wszystko w niej zaczyna drżeć, uwalniać się, wielkie bryły lodu przesuwają się i łamią. Upuszcza gazetę na schody i idzie przez podwórko do drzewa medznuna i chwyta jego płonące, obsypane kwiatami gałęzie. Drzewo kołysze się wokół niej jak pożoga. Sirine trzyma się go, jakby było jedyną kotwicą, która utrzymuje ją przy ziemi. Han żyje. Han jest na tym świecie.

— Mój Boże. — Podnosi wzrok i widzi stojącą na podwórku Mireille, która wpatruje się w upuszczoną przez Sirine gazetę. Mireille podnosi ją. Głos jej drży. — Czy to...?

Mireille idzie powiedzieć matce, a Sirine zostaje na podwórku. Przez ściany słyszy życie kuchni i restauracji. Widzi odbicia, pływające w tylnym oknie.

Znowu ją czuje. Szybka i ostra niby fizyczny ból, jak krew wracająca po odmrożeniu myśl: Han żyje. Po tylu miesiącach czekania i żałoby. Jest niemal spokojna, otoczona tak papierową bugenwillą, drzewem szalonej kobiety z całą jego wspaniałością, na podwórku, wśród mozaiki światła, roślin i wiatru.

Rozmyśla nad opowieścią o Abdelramanie Saladynie. Czasem, w tych miesiącach po odejściu Hana, kiedy zasypiała, wszystko jej się myliło i nie było już pewna, czy kochał ją Han, czy Abdelraman, i który z nich zanurkował w czarną kartkę otwartego morza. Czy to Abdelraman musiał ją opuścić, żeby wracać do swojego dawnego domu, czy Han nie potrafił się wyrzec topienia się raz po raz.

Wyobraża go sobie zaplątanego w wodzie, w długich, czarnych językach glonów, które wyrastają na kilometry z głębi morskiego dna. Bał się tej chwili czy może już dawno oddał się wodorostom i rybom? Być może taka śmierć śniła mu się tyle razy, że w końcu stała się naturalna jak powrót do domu? Pojechał do Iraku, wiedząc, że na pewno go tam zabiją. Ale go nie zabili. Z jakiegoś powodu, myśli Sirine, im obojgu odroczone wyrok.

W jednej chwili znikają wszystkie długie miesiące rozłączenia, które minęły, lata rozsypują się.

Um-Nadia pojawia się w drzwiach i rozgląda się, jakby onieśmielona. Trzyma gazetę. Uśmiecha się, odgarnia włosy z twarzy i zamyka oczy.

Wiatr narasta, dwie wysokie palmy wydają drżący, deszczowy odgłos. Z samego końca ulicy Sirine słyszy beznamienne szczekanie małego psa na krótkiej smyczy. Wszystkie drzewa i krzaki zaczynają się kołysać i Sirine dostrzega, że drzewko granatu wydało wreszcie zalążki nowych owoców.

W kuchni zaczyna dzwonić telefon.

Sirine czeka, trochę wyżej zapina bluzę, a potem ktoś woła jej imię. Biegnie do środka. Victor Hernandez trzyma słuchawkę, wypowiada słowo: „Han” i patrzy na nią. Stoi przy frontowym piecu, mieszając srebrny kocioł lebenu, z wielką łyką przekrzywioną w dłoni, a palniki migocą błękitnymi płomieniami. Sirine przyciska rękę do ust i bierze słuchawkę.

